

ALFRED SIATECKI

MAJĄTEK



Alfred Siatecki

Majątek

Saga

Majątek

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 2023 Alfred Siatecki i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788727076034

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

PROLOG

SOLINGEN, LISTOPAD 2001

– Jakobheide... Teraz Jakubin. Zabrali majątek, który od dwóch wieków należało do Pohlhofferów. – Z szuflady szafki stojącej przy łóżku stara kobieta wyjęła zniszczony od częstego przeglądania numer „Crossener Quartalsschrift” Mitteilungsblatt für die früheren Bewohner der Stadt und Kreises Crossen an der Oder¹. – Otwórz na rozkładówce i zobacz, czyje jest tam nazwisko.

Czasopismo samo rozchyliło się od częstego zaglądania.

– Agnes Margret von Rotenhahn z domu Pohlhoffer.

– Wspomnienia twojej prababci i mojej matki, Wolfgang. Kwartalnik przestał się ukazywać, ponieważ większość spośród tych, którzy go założyli i zbolali tkwili w lekturze tekstów, już jest tam, skąd nie ma powrotu.

Czytał na głos:

Moje serce zostało w Jakobheide

Linia rodowa Pohlhofferów wydzieliła się w 1816 roku po ślubie Jakoba Ludwiga z Seliną z Żółtowskich. Za pieniądze ze sprzedaży ojcowizny w Ebersdorf na Oberschlesien² mój praprzodek kupił majątek w powiecie Crossen an der Oder, niedaleko miasta Grünberg³ (Schlesien). Dwór był stary i zaniedbany, zabudowania gospodarskie w opłakanym stanie. Praprapradziadka Jakoba skusiła niska cena, pofałdowany krajobraz, łagodny klimat i wierzby wyznaczające brzegi rzeki przecinającej łąki pachnące ziołami. Prapraprababka Selina nie była zadowolona z wyboru tego miejsca. Zgodziła się tam zamieszkać tylko dlatego, że z Jakobheide do Alt Strunz w Grossherzogtum Posen⁴, gdzie się urodziła i wychowała, było niedaleko. W 1837 roku praprzodek ukończył budowę okazałego domu, który został tak zaprojektowany, żeby można go było powiększyć o dwa skrzydła, co stało się dopiero krótko przed moim urodzeniem. Praprapradziadek Jakob Ludwig

przede wszystkim dążył do rozkwitu majątku, systematycznie go powiększając o nowe zabudowania, kupując maszyny zastępujące ludzi i zatrudniając nowych fernali. Starał się tak zarządzać dobrami, żeby okoliczni mieszkańcy brali z niego wzór. Główny dochód rodziny pochodził ze sprzedaży siana zbieranego z łąk nad Bobrem, odbieranego przez pułk grenadierów konnych księcia Karola Pruskiego. Po śmierci prapraprababki Seliny, mając sześćdziesiąt osiem lat, praprapradziadek Jakob Ludwig przekazał majątek najstarszemu synowi Labrechtowi Jakobowi, a ten kontynuując starania swego ojca postawił gorzelnię, tartak i założył ogrodnictwo z sadem oraz wyznaczył miejsce na niewielką winnicę. Jego następca, Georg Otto, ożeniony z Renate Anne z domu von Linkeburg, nie umiał gospodarować, toteż szybko pozbył się majątku na rzecz swego syna, Friedricha Wilhelma. Ten poślubił młodszą wdowę z pobliskiego Jähnsdorf, Marie Constanze von Scharf, po to, żeby powiększyć dobra. Mieli dwoje potomstwa, Johanna Gottfrieda i Ingrid Herthe, wydaną za Christiana von Bethego, oficera pułku piechoty stacjonującego w Crossen. Mój ojciec ożenił się z Erne Hildegard, siostrą swego szwagra. Z tego związku przyszło na świat pięcioro dzieci. Pierwszy chłopiec zmarł niedługo po urodzeniu. Drugą byłam ja, Agnes Margret. Miałam starszego brata Erwina, o rok od niego młodszego Wenera i siostrę Marie. Ojciec postanowił, że zgodnie z zwyczajem panującym w rodzie Pohlhofferów jego następcą w Jakobheide zostanie najstarszy syn. Kiedy Erwin skończył czternaście lat, został wysłany do Kaiserliche Ritterakademie zu Liegnitz⁵. Po jej ukończeniu zapisał się na studia prawnicze w Breslau⁶, obiecując ojcu, że jeśli uzna je za mało przydatne w prowadzeniu majątku Jakobheide, zapisze się na studium z zakresu rolnictwa i leśnictwa. Tak się stało pod koniec 1937 roku. Wtedy ojciec zdecydował, że majątek przepisze na Erwina po zbiorach jesienią 1939 roku. Młodszy brat Werner, który skończył studia lekarskie w Schesische Friedrich-Wilhelms-Universität zu Breslau⁷, osiadł w Grünberg, gdzie prowadził praktykę jako medyk zakładowy w poradni należącej do Fabrik für Brückenbau und Eisenkonstruktionen „Beuchelt & Co.”⁸. Oznaczało to, że siostra Marie i ja zostaniemy wydane za mąż i tak jak nasza matka będziemy przy mężach w ich majątkach. Niestety, stało się inaczej, ale to nie wina rodziców.

Okolice Jakobheide były piękne. Łąki i pola wspinały się po pagórkach ku lasom sosnowym pachnącym żywicą, bogatym w borówki, grzyby i inne

owoce. Lubiłam tam chodzić szczególnie na początku września, kiedy mogłam cieszyć oczy wrzosami, mieniącymi się kolorami bliskiej jesieni. Przymuszalnie dlatego praprapradziadek Jakob Ludwig nazwał to miejsce Jakobheide. Pierwszymi mieszkańcami wsi w większości byli Wendowie, z nami rozmawiający po niemiecku, między sobą po łużycku. Nasze Jakobheide w ich języku to była Jakobowa Gola. Świąteczne ubiory mężczyzn niemieckich i łużyckich specjalnie się nie różniły. Inaczej to wyglądało wśród kobiet. W niedzielę, kiedy cała wieś zbierała się w kościele, lubiłam patrzeć na udrapowane na głowach Łużyczanek bogato zdobione duże chusty, nazywane lapami. Mniejsze chusty, także pięknie haftowane, latem przykrywały sukienki dziewczyn, przystrojone barwnymi wstążkami, zimą natomiast były narzucone na wełniane serdaki.

Po sprawunki rodzice jeździli do Grünberg, do Crossen, do Guben. Niekiedy mnie i Marie ze sobą zabierali. Lubiłyśmy te miasta, ale nie tak jak nasze Jakobheide, chociaż u nas nie było sklepów, kawiarni i tylko w środku wsi stał niewielki kościół. Po powrocie sprawdzałyśmy, czy coś się zmieniło w czasie naszej nieobecności. Dla nas, nastolatek, Jakobheide było najpiękniejszym miejscem na świecie.

W naszym domu niewiele się rozmawiało o polityce. Ojciec nie należał do przeciwników partii narodowo-socjalistycznej, ale i jej nie popierał tak, jak to robili inni w okolicy. Co innego starszy brat. Erwin w trakcie studiów zapisał się do NSDAP⁹, nie tyle widząc w niej drogę do wyjścia z poniżenia i kryzysu gospodarczego, w jakim znalazły się Niemcy po pierwszej wojnie światowej, co za czyjąś namową. O ile dobrze zrozumiałam, wystąpił z niej zaraz po ukończeniu studium rolniczego. Werner nigdy nie przyznał się, czy należał do jakiejś organizacji o charakterze politycznym, pewnie jednak musiał być członkiem zrzeszenia studentów, ponieważ w czasie wakacji uczestniczył w hufcach pracy. Marie i mnie ominęła obowiązkowa przynależność do BDM¹⁰ dlatego, że nie było związku dziewcząt w Jakobheide.

Latem 1939 roku Erwin i Werner niemal równocześnie zostali zmobilizowani do Wehrmachtu¹¹. Erwin dostał przydział do batalionu zmotoryzowanego w Crossen. Wenera wezwano do Breslau na kurs dla lekarzy szpitali wojennych. Obaj wyruszyli na front wschodni. Erwin zginął w pierwszym tygodniu października, Werner pół roku później. W jakich okolicznościach to się stało i gdzie są ich groby, administracja wojskowa

nie podała. W grudniu 1940 roku mój narzeczony, Ernst Carl von Schmetow, także został powołany na front. Z informacji przekazanej jego matce wynikało, że zginął śmiercią bohatera w czasie walk w centralnej Polsce. Niedługo po tych okropnych wydarzeniach zmarł mój ojciec. Z pewnością miało to wpływ na psychikę mojej matki, która popadła w głęboką depresję. Latem 1941 roku zmarła z powodu wykrwawienia się, uprzednio przecięwszy sobie tętnice obu rąk przy pomocy starej brzytwy ojca. Jej ciało spoczęło w grobowcu rodzinnym na cmentarzu przy kościele. W majątku zostałam z siostrą Marie i nianią Franziską.

Ponieważ w Jakobheide brakowało mężczyzn do pracy w folwarku, władze przydzieliły polskich robotników. Wszyscy pochodzili z miasta, toteż na początku z trudem wykonywali to, co kazałyśmy im robić. Dopiero z upływem tygodni stawali się bardziej zręczni, a nawet podpowiadali takie rozwiązania, jakie mnie i mojej siostrze nie przyszły do głowy. Traktowałyśmy ich tak, jak na to zasługiwali, pamiętając nawet o tym, aby wspólnie z nami świętowali Boże Narodzenie i Wielkanoc. W pierwszej połowie 1944 roku bez jakiegokolwiek wyjaśnienia robotnicy zostali zabrani z naszego majątku i skierowani do pracy w DAG Alfred Nobel Christianstadt¹², oddalonym od Jakobheide o około piętnaście kilometrów. Słyszałam, że tam powstała fabryka zbrojeniowa. Miejsce polskich robotników w naszym majątku mieli zająć inni robotnicy, lecz władze zwlekały z dotrzymaniem obietnicy.

Pod koniec roku zaczęły do nas docierać wiadomości o nacierających Rosjanach i przegrywanych bitwach wojsk niemieckich w wielu miejscach frontu wschodniego. Wiadomości dostawały się do Jakobheide razem z uciekinierami, którym dawałyśmy schronienie. Zdaniem władz było to celowe pociągnięcie, żeby nasze armie mogły się przegrupować i z nową siłą uderzyć na wroga. Nie znając się na taktyce wojskowej i nie rozumiejąc kwestii politycznych, jak większość okolicznych mieszkańców, wierzyłyśmy w zwycięstwo naszych żołnierzy. Marie i ja miałyśmy jedno marzenie: żeby wojna szybko się skończyła i mężczyźni wrócili z frontu. Męskie ręce były bardzo potrzebne w Jakobheide. Nigdy nie ukrywałyśmy przed władzami, że z trudem sobie radzimy w majątku, a po zabraniu od nas polskich robotników stało się to widoczne nawet przez osoby nieznające się na rolnictwie.

Pierwsze dni stycznia 1945 roku były śnieżne, w połowie miesiąca opady śniegu zmalowały, a pod koniec zanikły i zrobiło się zimno. Na początku lutego w dzień mróz sięgał dwunastu stopni, czego wcześniej nie doświadczyliśmy w Jakobheide. Grusze i jabłonie w sadzie zaczęły pękać. Obawialiśmy się, żeby winorośle, ciepłolubne krzewy nie wymarzły, co byłoby utratą pamiątki po Erwinie.

Od południa 30 stycznia i przez kolejne dni Jakobheide wypełniało się uchodźcami z terenów wschodnich. Byli to ci Niemcy, którzy od lat mieszkali w okolicy Wollstein, Bomst, Fraustadt, Schlesiersee¹³. W obawie o swoje życie i życie swoich najbliższych postanowili przenieść się na tereny bardziej bezpieczne. Dawali wiarę uchodźcom z Generalnego Gubernatorstwa, że Rosjanie gwałcą kobiety, zabijają dzieci i starców, grabią i palą domy. Lokowaliśmy ich w największej sali pałacu na siennikach wypchanych słomą, gotowaliśmy zupełną, na dalszą drogę dawaliśmy pożywienie. Wszyscy byli nam wdzięczni za opiekę. Część uważała, że powinniśmy przygotować się do ucieczki, bo kiedy Rosjanie dotrą do Jakobheide, to nikomu nie okażą litości.

W sobotę, 3 lutego, Marie i ja usiadliśmy przy stole w salonie, żeby rozważyć, co nas czeka, jeśli zostaniemy w Jakobheide. Pomimo bardzo cierpkich opinii o postępowaniu Rosjan nie miałyśmy zamiaru opuszczać pałacu, jednak wiadomości docierające ze wschodu zmuszały nas do podjęcia decyzji. Miałyśmy nadzieję, że niedługo wrócimy do Jakobheide, wyjdziemy za mąż, urodzimy dzieci i będziemy prowadziły udane, a przy tym szczęśliwe życie w otoczeniu naszych rodzin. Tego wieczoru Marie nastawiła gramofon. Najpierw słuchałyśmy wszystkiego, co znajdowało się na czarnym krążku *Die weisse Taube*¹⁴, później na *Donau so blau, so blau*¹⁵ i tańczyłyśmy. Byłyśmy tak rozbawione, że nie spostrzegłyśmy kapitana von Gorsena, który przyjechał do pałacu z informacją, że władze nakazały obowiązkową ewakuację wszystkich mieszkańców narodowości niemieckiej na zachód.

Przez całą niedzielę pakowałyśmy żywność na drogę i umieszczaliśmy ją na wozie. Z rzeczy osobistych zabrałyśmy tylko te najniezbędniejsze, licząc na to, że armia niemiecka zatrzyma nacierających Rosjan i niezadługo wrócimy do Jakobheide. Ze ściany w salonie zdjęłyśmy jedynie portrety praprapradziadka Jakoba i prapraprababci Seliny i owinięte w miękkie płótno włożyłyśmy je między odzież. W poniedziałek z samego rana ruszyłyśmy na zachód. Od mostu w Christianstadt długa kolumna wozów poruszała się

w dwóch, a gdzie droga była szersza, to i w trzech rzędach. Co chwila wozy przystawały, ponieważ nadlatywały nieprzyjacielskie samoloty i ostrzeliwały uciekinierów. Wtedy kryłyśmy się w rowach na poboczu drogi. Dopiero drugiego dnia o zmroku przeprawiliśmy się przez most w Forst. Będąc na zachodnim brzegu Lausitzer Neisse¹⁶, kiedy zatrzymałyśmy się na odpoczynek, Marie powiedziała, że uciekamy nie tylko przed Rosjanami. Także przed Niemcami. Niemcy nas wypędzili, Agnes. Nigdy nie wrócimy do naszego Jakobheide. Wrócimy, musimy wrócić, zapewniłam ją. Jeśli nie ty i ja, to wrócą nasze dzieci, nasze wnuki, nasze prawnuki. Tam, Marie, zostało twoje i moje serce.

– I wróć do nazwiska rodowego.

– Mam być Pohlhofferem?

– Odzyskaj majątek, pałac i bądź Pohlhofferem, Wolfgang. I jeszcze coś. Za pałacem, tam gdzie winnica, zostały zakopane pamiątki rodzinne.

CZEŚĆ 1

JAKUBIN, UL. GŁÓWNA, PIĄTEK, WCZESNE POPOŁUDNIE

Od tego dnia, kiedy przyjechał do Polski, a właściwie wrócił, Lukas Bielok brał do ręki jedynie te czasopisma, w których były krótkie wiadomości sportowe. Wyjątek stanowiło poniedziałkowe wydanie „Gazety Zielonogórskiej”, ale tylko od wczesnej wiosny do późnej jesieni, z przerwą w lipcu i do połowy sierpnia. Interesowało go przede wszystkim to, co sprawozdawca sportowy napisał o piłkarzach Juventii. Właściwie nie musiał czytać, bo przecież każdej niedzieli oglądał mecz i znał wynik, pamiętał, kto wbił gola czy komu się nie udało pokonać bramkarza rywali. Czytał dlatego, żeby jeszcze raz cieszyć się zwycięstwami. Juventia rzadko przegrywała, częściej remisowała, mimo to Bielok liczył na awans drużyny do wyższej klasy rozgrywek. Nie chodziło mu o wyniki ani o to, że dziennikarz dawał Juventię jako wzór do naśladowania. Zależało mu na tym, żeby mahoniowy napis HolzPohl na miętowych koszulkach zawodników rzucał się w oczy i każdy, kto weźmie gazetę do ręki wiedział, jak się zwie firma, która wspiera piłkarzy. Finansowanie musi się opłacać.

Nie miał ochoty, jednak bardziej z nudów niż z zainteresowania sięgnął po leżącą na biurku Pohlhoffera „Düsseldorfer Rundschau” z poprzedniego tygodnia. Na pierwszej stronie tuż pod główką kłuł w oczy tytuł *Bundestag zdecydował: małżeństwa dla wszystkich*. Bielok czytał, że podczas głosowania członkowie izby niższej niemieckiego parlamentu opowiedzieli się za ustawą, która ma zmienić zapisy w Kodeksie cywilnym. Jeśli Bundesrat nie sprzeciwi się, co zdaniem gazety jest wykluczone, to paragraf 1353 tego kodeksu będzie brzmiał: „Małżeństwo zawierają dożywotnio dwie osoby różnej lub tej samej płci”. Informację *p* rzeczytał jeszcze raz. I trzeci raz, powoli kontrolując każde słowo. Po czym się uśmiechnął i w tej samej chwili pomyślał o Wolfgangu Pohlhofferze. Wreszcie mężczyzna będzie mógł poślubić mężczyznę. „W

małżeństwie decydująca nie jest płeć, lecz gotowość do odpowiedzialności za związek”, gazeta cytowała stwierdzenie Thomasa Oppermanna z SPD. Bielok też tak uważał, dlatego już zdecydował, że podczas najbliższych wyborów odda swój głos na polityka partii lewicowej, chociaż dotąd nie podobało mu się wszystko, co lewicowe. Chwilę później zezłościł się, gdy przeczytał oświadczenie Volkera Kaudera. Chadecki parlamentarzysta ogłosił, że w zgodzie z własnym sumieniem nigdy nie podpisze niczego, co będzie małżeństwem dla wszystkich. Jeśli on nie podpisze, to i również Angela Merkel, bo reprezentują tę samą partię, pomyślał Bielok. W następnym akapicie gazeta informowała, że pani kanclerz głosowała przeciw tej ustawie. Merkel wytłumaczyła swoją decyzję przeciwko zmianie w kodeksie tym, że według konstytucji małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny. Jednak Bundestag uchwalił ustawę. Czyli jej sprzeciw nie miał znaczenia.

Osoby tej samej płci, które mają ochotę zawiązać małżeństwo, przed pójściem do pałacu ślubów będą musiały stanąć przed notariuszem, ale to formalność. Ważniejsze jest, że taki związek podlega tym samym prawom, co związek mężczyzny i kobiety, jednak z kilkoma odstępstwami od zasady. Małżeństwa homoseksualne nie będą mogły adoptować dzieci ani wspólnie rozliczać się z fiskusem. Ale będą mogły dziedziczyć majątek i będą miały zapewnioną ochronę w razie śmierci jednego z partnerów. Nareszcie, uśmiechnął się zadowolony, po czym wydał tryumfujący kwik.

Bielok wetknął gazetę do szuflady. Po południu, kiedy Wolfgang wróci do Jakubina, rozłoży ją na biurku i pokaże ten tekst.

KROSNO ODRZAŃSKIE I OKOLICE, SOBOTA, PÓŹNE POPOŁUDNIE

Kiedy wsiadał do arteona, to był przeświadczony, że plan jest perfekcyjny. Lepszego nikt by nie wymyślił. Lukas ma głowę. *Liebchen*¹⁷.

O zmroku przemknął przez granicę w Świecku. Pół godziny później będzie w Fürstenwalde. Samochód zostawi nie przed hotelem Kaiserhof, gdzie wynajmie pokój na jedną noc, lecz na miejskim parkingu. Wejdzie do restauracji, zamówi zapiekankę ziemniaczaną z kapustą kiszoną i szklanę wody Rosbacher bez cytryny. Jeszcze wieczorem zapłaci kartą Debit MasterCard za pokój. Później wymknie się z hotelu przez drzwi ewakuacyjne.

Wsiądzie do arteona, uruchomi GPS, który doprowadzi go drogami lokalnymi do Rogossen, skąd dostanie się na autostradę. Jeszcze pięć minut temu był przekonany, że ten precyzyjny rozkład jest na piątkę z plusem i nic go nie pokrzyżuje. Chodziło o to, żeby w Fürstenwalde zostały po nim ślady. Za Dąbiem zdecydował się na korektę pierwszej części planu. Dotąd nigdy nie zmienił tego, co raz postanowił, chociaż Lukas usiłował go przekonać, że to nie jest najlepsze wyjście. Identycznie zachowywał się jego ojciec, dziadek, pradziadek, prapradziadek, a przecież w jego żyłach płynie ta sama krew. Gdyby zapuścił wąsy i bokobrody, byłby podobny do protoplasty rodu Jakoba Ludwiga, którego portret przekazała mu matka, żeby pamiętał, od kogo wywodzą się Pohlhofferowie. Teraz pierwszy raz doszedł do wniosku, że jeżeli nie zmieni tego perfekcyjnego planu, może przegrać i stracić to, co już zdobył. Dotąd zawsze wygrywał. Nadal musi być nie do pokonania. Przecież jest z Pohlhofferów. Dał słowo babci, że odzyska majątek i pamiątki rodzinne.

Dlatego nie przekroczy granicy w Świecku i nie pojedzie do Fürstenwalde. Jak najszybciej musi się dostać za Nysę. Najkrótsza droga z Dąbia do Niemiec prowadzi przez most w Sękowicach. Zanim polska policja zacznie go szukać, powinien być po drugiej stronie rzeki. Zatrzyma się przy automacie na stacji paliw, gdzie kupi kawę i coś do zjedzenia. Potem przedostanie się na zachodni brzeg Nysy i przestrzegając przepisów, żeby nikt nie zwrócił na niego uwagi na arteona, pojedzie w stronę Rogossen. Nie będzie się zatrzymywał na żadnym parkingu. W planie miał dojazd do autostrady, ale teraz postanowił zmienić wszystko, co mu Lukas podpowiedział. Jeszcze nie zdecydował, którą drogą wróci do Polski. Powinien to zrobić w Podrosche, skąd najbliższej do Zielonej Góry, lecz doszedł do wniosku, że w tak małej miejscowości ktoś zwróci uwagę na białe auto. A i pewnie skrzyżowanie jest śledzone przez kamery monitoringu. To jechać do Bad Muskau i dopiero tam skręcić na most graniczny? Nie pamiętał, czy już się zakończył remont drogi z Łęknicy w stronę Żar, a nie chciał włączyć komórki. Nigdzie, dosłownie nigdzie, ma nie być najmniejszego śladu mojej obecności, przypomniał sobie to, co mu nakazał Lukas.

Gdy dojeżdżał do ronda przed Połupinem, było piętnaście po piątej, wtedy usłyszał dźwięk, którym mógł sobie torować drogę radiowóz policyjny, karetka ratownicza albo wóz pożarniczy. Zwolnił i zerknął w lusterko nad głową. Za nim nie jechało żadne auto. Z lewej strony ustawiała się kolejka

samochodów osobowych. Przecież to się stało najwyżej pięć minut temu. Nie dowierzał, że już ktoś zadzwonił pod numer alarmowy. Co mi tam! Zanim przyjadą ratownicy z Krosna i po nich policja, upłynie niemało minut. Do tego czasu dojadę do Sękowic albo nawet będę za Nysą, a wtedy mogą mi nagwizdać. Szukaj wiatru w polu!

W czerwcu zapłacił mandat za przekroczenie prędkości na drodze w Dąbiu, dlatego pamiętał, że tam musi przyhamować. W innych miejscowościach także zdejmował nogę z pedału gazu, ale nigdy nie zwalniał do pięćdziesiątki. Każdego, kto w dzień przejeżdżał przez Dąbie szybciej niż nakazują przepisy, natychmiast wychwytywał fotoradar ustawiony po prawej stronie drogi między wsią i lasem. Kilka dni później listonosz przyniósł mu list polecony i kazał pokwitować odbiór przesyłki z pieczęcią inspekcji transportu drogowego.

– Spieszyło się, co? Nie spodziewał się pan, że zostanie złapany na gorącym uczynku. A tu, panie Wolfgang, jest państwo prawa. Rzeczpospolita Polska. U nas przepisy są po to, aby każdy bez względu na to, czym się zajmuje, ich przestrzegał. W tej sprawie nie ma różnicy między wójtem, księdzem czy właścicielem firm. Będą punkciki karne i mandacik – uderzył w jego ambicje listonosz, który z wszystkimi starał się być za pan brat. – Nie trafiło na biednego, prawda?

W kopercie było czytelne zdjęcie tablicy rejestracyjnej i znaku „vw” na masce, niezbyt wyraźna twarz osoby za kierownicą, data, godzina i miejsce oraz prędkość, z jaką wtedy jechał przez Dąbie i formularz do wypełnienia. Przy pomocy Żółtowskiego Pohlhoffer odpowiedział na pytania, jakie zadała mu inspekcja. Nie rozumiał, do czego jest potrzebna nazwa urzędu, który wydał mu prawo jazdy albo kto siedział za kierownicą w chwili popełnienia wykroczenia. Żółtowski, który nigdy nie zapłacił mandatu, powiedział po łacinie: *Ignorantia iuris nocet*¹⁸. Wtedy Wolfgang Pohlhoffer postanowił, że nigdy więcej nie złamie żadnego przepisu, choćby prawo mu się nie podobało.

A dziś złamał.

Nie chciał, lecz musiał złamać prawo, którego od tamtego spotkania z listonoszem starał się przestrzegać, mimo że wiele polskich nakazów i zakazów uważał za idiotyczne. Powinien był się zatrzymać i w pierwszej kolejności sprawdzić, czy żyje potrącony mężczyzna. Jeśli przytomny, to spytać, czy potrzebuje pomocy. Jak przytomny, to musiałby wezwać karetkę

albo zadzwonić pod numer alarmowy lub powiadomić policję i czekać. Ale czy wtedy mógłby wykonać to, co sobie zaplanował? Pewnie otoczyliby go ci, którzy stali przed sklepem. Znaleźliby się świadkowie, że jechał za szybko i dlatego potracił mężczyznę przechodzącego przez jezdnię. I co z tego, że przechodził nie po pasach? Że nagle wtargnął na drogę? Każdy powinien mieć oczy ze wszystkich stron głowy. Tym bardziej kierowca, który siedzi za kierownicą volkswagena arteona z wyposażeniem biznesowym. Ale taki gwizdże na przepisy. Co mu można zrobić? Najwyżej ukarać. To zapłaci mandat. Przecież go stać. A tymi punktami karnymi mogą się wypchać ci, co je wymyślili. Nie przekonałby nikogo, gdyby powiedział, że nie przewidział, że chwiejący się mężczyzna bezmyślnie wejdzie na jezdnię. Należy mieć na uwadze wszystkie możliwe okoliczności. Tym bardziej w miejscowości, przez którą trzeba jechać wolniej. Nie ma znaczenia to, że do wypadku doszło tam, gdzie nie było wyraźnie oznaczonego przejścia dla pieszych. Ponadto siąpił deszczyk, do nawierzchni jezdnii przykleiły się liście spadające z drzew stojących wzdłuż drogi, bo koniec października. Gdyby wtedy wcisnął równocześnie pedały hamulca i sprzęgła, pomimo systemu ABS arteon wpadłby w poślizg. Policja uznałaby go za winnego, ponieważ nie zachował należytej ostrożności, a przypadkowi świadkowie z pewnością by to potwierdzili. Straciłby prawo jazdy na wiele miesięcy albo nawet na zawsze. W Dąbiu, jak w każdej miejscowości, przed którą sterczy biała tablica z czarnymi konturami zabudowań, od wczesnego ranka do zmierzchu wszystkich kierowców obowiązuje ograniczenie prędkości do pięćdziesięciu kilometrów.

Zamiast natychmiast zatrzymać arteona i włączyć światła awaryjne, wdusił pedały gazu, samochód przyspieszył i gdy wjeżdżał w łuk drogi, przypomniał sobie o fotoradarze od lat tkwiącym w tym samym miejscu na poboczu i czyhającym na kierowców. Od dnia, kiedy zapłacił mandat za nieprzestrzeganie przepisów, przy wyjeździe z Dąbia zawsze zwalniał, żeby zaraz za łukiem drogi ruszyć z kopyta i nadrobić to, co stracił we wsi. Teraz było za późno na hamowanie. Gdy z żółtej skrzynki nagle wystrzelił błysk lampy, syknął przez zaciśnięte zęby: *Du Arschloch*¹⁹. W tej samej chwili postanowił, że zmieni plan. Musi zmienić! Jego arteon został sfotografowany.

Przed Forst już się pochylił w lewo, żeby skrócić na most graniczny do Polski, gdy coś, czego nie widział, a co towarzyszyło mu od wyjazdu

z Jakubina, mimo coraz bardziej deszczowego wieczoru nakazało zboczyć do centrum Chociebuża i wynająć pokój w hotelu Lausitz, gdzie wiele razy się zatrzymywał. To coś mu szepnęło, że zanim wynajmie pokój, powinien zapłacić kartą Debit MasterCard. Potem ma otworzyć drzwi, zapalić światło, zajrzeć do szafy, włączyć telewizor, położyć się na łóżku, wejść do łazienki, usiąść na sedesie i umyć ręce, co zajmie kwadrans i zwróci uwagę recepcjonistki.

Bez wątpienia takiego alibi nikt nie podważy, pomyślał.

KROSNO ODRZAŃSKIE, UL. HENRYKA SIENKIEWICZA, SOBOTA, WIECZÓR

Czarny mercedes z zakładu pogrzebowego Cyprys przyjechał do Dąbia zanim lekarz z karetki orzekł, że mężczyzna zmarł niedługo po tym, jak został potrącony na jezdni. Mogło to się stać między czwartą a piątą albo nawet później. Facet był tak pijany, że nie czuł bólu, to i nie cierpiał. Lekarz wypełnił druczek zaświadczenia stwierdzającego zgon i wrócił do Krosna. Technicy policyjni niewiele mieli do roboty. Prokurator Wojtczak skwitował, że to czwarty wypadek w Dąbiu w tym roku i drugi w październiku, trzeba więc będzie od kogoś domagać się wyjaśnień, żeby nikt nie zarzucił mu beczynności, po czym wsiadł do swego passata i odjechał zaraz za sprinterem techników. Ubrany po cywilnemu podkomisarz Tarniowy podszedł do grupki mężczyzn. Przedstawivszy się, zapytał, od której godziny stoją przed sklepem, kto widział, jak doszło do wypadku i czy znają tego, który zginął. A ponieważ wyjął notes i długopis z kieszeni, gotów wszystko zapisać, przede wszystkim imię, nazwisko i adres świadka, żeby zastępca komendanta, prokurator i ewentualnie sąd nie mieli wątpiwości, nikt się nie odezwał. Jedni zadarli głowy i mimo zmroku patrzyli gdzieś daleko, drudzy wodzili wzrokiem po czubkach swoich butów. Nie pierwszy raz Tarniowy znalazł się w takiej sytuacji, toteż na nikogo nie naciskał, zresztą to by nic nie dało, dlatego bez słowa wsiadł do radiowozu i także pojechał do Krosna. Jednak miał nadzieję, że i tym razem wytypowanie winowajcy nie będzie aż takie trudne. Zawsze, gdy dochodziło do wypadku na którejś z dwóch „krajówek” mknących przez powiat krośnieński, dzwonił do lokalnej placówki inspekcji transportu drogowego.

– Czy już ktoś przeglądał dzisiejsze nagrania ze statywu w Dąbiu? – zwrócił się do dyżurnego, który jeszcze niedawno był jego kolegą w komendzie.

– Szefuńcio sprawdza każdego dnia między siódmą trzydzieści a dziesiątą. O jedenastej raport musi być wysłany do centrali. W poniedziałek ma roboty od cholery, bo musi przejrzyć nagrania z całego weekendu. A jutro Wszystkich Świętych, wolny dzień, to dopiero we wtorek będzie przeglądał. Tobie chodzi o coś konkretnego?

Ponieważ lekarz nie podał godziny śmierci mężczyzny i ci przed sklepem nie odpowiedzieli na żadne pytanie policjanta, Tarniowy powiedział, że interesują go nagrania z sobotniego popołudnia. Za dużo nie powinno ich być. Podkomisarz pamiętał, że w Dąbiu stoi fotoradar solarowy, dlatego w dzień deszczowy i po zachodzie słońca się wyłącza, czego nie domyśla się większość kierowców. Jeszcze niedawno przed wjazdem niemal do każdej wioski strażnicy gminni ustawiali radary przenośne i na oczekaniu wypełniali druczki mandatowe, z czego najbardziej cieszyli się wójtowie i burmistrzowie. Kierowcy mniej pewni siebie nie kłócili się i płacili od ręki. W ten sposób zapełniały się kasy gmin. Pieniądzy wystarczało na latanie dziurawych dróg, remonty szkół, malowanie świetlic i przede wszystkim na premie dla urzędników. Najmniej korzyści mieli strażnicy, ale i oni nie narzekali, bo zamiast użerać się z pijaczkami, wypełniali druczki w służbowych samochodach, gdzie zimą cieplej, jesienią nie leje się z nieba na głowę, a latem słońce nie przypieka. Gdzieniegdzie wisały puste skrzynki na słupach, ale i one hamowały zapędy nadpobudliwych kierowców. Tak było do zeszłego roku, kiedy partia opozycyjna wygrała wybory i niedługo po zwycięstwie zaczęła zmieniać te przepisy, które wprowadziła jej poprzedniczka. Znowu tylko policjanci i inspektorzy transportu drogowego mają prawo do ustawiania rejestratorów prędkości, jak urzędowo nazywa się fotoradary.

– A czy dałoby się tak od ręki obejrzeć dzisiejsze nagrania z Dąbia?

– Da się zrobić, komisarzu – odpowiedział dyżurny i czekał, kiedy policjant odpowie, że na razie nie ma szansy na awans. Tarniowy będzie tak długo dwukropkiem, jak długo zastępca komendanta będzie nosił mundur komisarza. Wtedy on dostanie trzecią gwiazdkę i wskoczy na jego miejsce w siatce płac. Nie zanosilo się na to, aby w najbliższym czasie zastępca miał zająć gabinet komendanta w Krośnie lub w którejś z komend powiatowych.

Teoretycznie istnieje jeszcze jedna ścieżka awansu, ale nie dotyczy ona Tarniowego, bo jest za młody, dociekliwy i nie należy do koła myśliwych, w którym kadrowiec gra pierwsze skrzypce.

– Pospiesz się – ponaglił go policjant.

– Sobotnie popołudnie, tak? – zapytał dyżurny, ale nie czekał na potwierdzenie. – Niewiele tego. Dwa tiry i jedna osobówka. Potem kłapa. Są jakieś fotki, tyle że ledwie czytelne. Tiry pewnie cię nie interesują. Osobówka to biały albo srebrny wolwuk. Chociaż nie. Prędeż aluminium. Zachłapany przód, to dokładnie nie widać.

– Wolwuk?

– Może być passat tiguan albo jeszcze coś nowszego. Po mojemu blachy niemieckie. Poznają po literach.

– Są jakieś ślady uderzenia? Z prawej strony na zderzaku? Może w okolicy drzwi?

– Niczegusieńko. Przekroczył prędkość o jedenaście kilometrów. Niewiele, ale zapłaci. A czy chodzi ci o tego, który potrafił gościa w Dąbiu?

– Skąd to wiesz?

– Na okrągło jest włączone radio. Jednym uchem słucham transmisji z koszykówki. Podali, że przed wieczorem doszło do wypadku w Dąbiu na drodze krajowej trzydzieści dwa. Ofiara, mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, będący pod wpływem alkoholu, zmarł, zanim przyjechała karetka. Sprawcą był prawdopodobnie kierowca białego samochodu osobowego marki Volkswagen. Przypuszczalnie miał niemiecki numer rejestracyjny. Przypuszczalnie, ponieważ świadkowie wypadku nie byli jednomyślni. Tyle wiem z radia. Komisarz pyta o tego samego? Jeśli Niemiec, trudno będzie go namierzyć.

– Masz markę, model, numer, fotkę. To w czym trudność?

– Kiepska jakość fotki.

– Ale coś jest.

– Można zadzwonić na przejście w Sękowicach. Oni prowadzą monitoring. Co trzy godziny rejestrują każdy pojazd, który przejeżdża przez granicę. Tyle że ten wolwuk był w Dąbiu jakąś godzinę temu. Jeśli rzeczywiście za kierownicą siedział Helmut, to już dawno jest za Nysą. Nasze znajomości się wyczerpały. Teraz trzeba drogą służbową.

– Przez centralę – powiedział skwaszony Tarniowy.

– A Warszawa wyśle maila do swego odpowiednika w Berlinie. Ten do kogoś w Poczdamie. On do kogoś niżej w Chociebużu. Chociebuż do Gubenu. Guben na przejście graniczne. Minie tydzień albo i więcej zanim przyjdzie odpowiedź. Niech komisarz popróbuje przez centrum w Świecku. Po to oni tam siedzą. Siedzą – powtórzył i się roześmiał.

– Będzie identycznie jak u ciebie. Dziś sobota. Zaczął się długi weekend. Nawet drogówka pracuje na pół gwizdka.

– Czyli nie da się inaczej?

– Czyli zanosi się na zamrażarkę – rzucił Tarniowy z rezygnacją. – Chyba że opatrność nade mną się zlituje.

ZIELONA GÓRA, UL. GŁOGOWSKA, NIEDZIELA, POŁUDNIE

Pomimo tych wszystkich wynalazków, które sprawiły, że świat stał się globalną wioską, nowożeńcy w Polsce nadal stawiali nogi tak, żeby żadne nie potknęło się na schodach ani tym bardziej na chodniku rozciągniętym wzdłuż głównej nawy kościoła. Matka Anny Marii pamiętała i o tym, aby białe róże w bukietcie ślubnym córki były bez kolców. Matka Marcina kazała mu uśmiechać się przed ołtarzem, bo uśmiech na twarzy pana młodego zapewnia sielankę w małżeństwie. Kiedy blisko ćwierć wieku temu rodzice Anny Marii i Marcina ślubowali sobie miłość, wierność i uczciwość małżeńską, panowało przekonanie, że deszcz zapowiada łązy w nowym związku. Teraz chlapa, a jeszcze lepiej niespodziewana ulewa jest traktowana jako zwiastun szczęścia i dostatku w rodzinie.

– Dzięki Bogu, udało się – szepnęła Zahorska, matka Anny Marii, do swego męża, kiedy na parkingu przed hotelem Grempler zgasły silniki wszystkich samochodów. Dopiero teraz widziała, ilu gości weselnych kulilo się pod parasolami. – Zapraszamy do środka! – zawołała akurat w chwili, gdy otworzyły się drzwi hotelu i perkusista trzy razy łupnął w wielki bęben. Za nim stali akordeonista z klarncem, obok gitarzysta i blondyna w ciemnych okularach z czymś w dłoni, co z daleka wyglądało jak kropidło. Mógł to być mikrofon.

Grempler ma tylko trzy gwiazdki, co oznacza, że hotel nie zalicza się do luksusowych. Za najbardziej reprezentacyjny zielonogórzanie uważają

czterogwiazdkowy Ruben, stojący niemal w samym centrum miasta tuż przy skrzyżowaniu reprezentacyjnych ulic. Miejscowi w nim nie śpią, toteż nie wiedzą, że jeszcze przed północą goście się budzą, zamykają okna w pokojach i kryją uszy pod kołdrami, a zaraz po śniadaniu szukają noclegu w mniej hałaśliwym miejscu. Takie położenie hotelu nie przeszkadza jedynie weselnikom, którzy zazwyczaj dopiero nad ranem kładą się do łóżek i śpią tak mocno, że nie słyszą warkotu samochodów wspinających się na Srebrną Górę ani pisku hamulców aut zatrzymujących się przed skrzyżowaniem Konstytucji 3 Maja z Długą, Moniuszki i Fabryczną.

Chociaż właściciel Gremplera nie wystarał się o więcej niż trzy gwiazdki, w hotelu nigdy nie brakuje gości. Nie dlatego, że stoi przy południowym wjeździe do miasta osłonięty ścianą wiązów, klonów i brzoź, a nie jak Viridomontania przy hałaśliwej głównej drodze, na oko ze sto metrów od Szosy Wrocławskiej, na zboczu wyniesienia, gdzie jeszcze dwa lata temu szumiał las. Czasem już w piątki, a zawsze w soboty i niedziele w miesiącach z „r” w nazwie, jest naprawdę trudno o miejsce w hotelu. Wcale nie chodzi o to, że za małe pieniądze Grempler oferuje dość wysoki standard usług. Bardziej o dobre samopoczucie gości stara się pobliski ForRest. Dzieje się tak z powodu weselników, a raczej zapewnienia wypisanego nad drzwiami, że wesele w Gremplerze oznacza dożgonną trwałość małżeństwa, na co brakuje dowodów, bo hotel jest czynny dopiero od sześciu lat. Rodzice par, które mają zamiar zaprosić gości do Gremplera i wynająć młodym apartament poślubny pod oszklonym dachem, muszą nie tylko zarezerwować miejsce, lecz i wpłacić zaliczkę co najmniej rok wcześniej. Dlatego zdarza się, że przy stole weselnym obok młodych małżonków stoi łóżeczko, a w nim dzieciątko przypomina o swoim istnieniu. Wtedy, kiedy rodzice Anny Marii i Marcina się pobierali, było to niedopuszczalne, mimo że wtedy tak jak i teraz panny młode traciły cnotę na długo przed ślubem. Wiele wybranek szło do ołtarza z lekko odstającym brzuchem, na co wtedy księża przymykali oko. Tak jest również i teraz. Rodzice kandydatów na młodych małżonków, szczególnie tych z rodzin katolickich, zaciskają usta, żeby nie wykrzyzczyć swego wstydu. Dziadkowie zaś przypominają im powiedzonko: „Jaka marchew, taka nać. Taka córka, jaka mać. Jakie drzewo, taki klin. Jaki ojciec, taki syn”.

Kto nie przyjechał z daleka i komu nie spieszyło się do domu, ten przyszedł na poprawiny. Taki zwyczaj, aby to, co rodzice młodej pary

zamówili i za co zapłacili, a czego goście nie zjedli i nie wypili w sobotę wieczorem i w nocy, kelnerki podały w niedzielę. Półmiski z tym, co się nie zmieściło na głównym stole, a było tego niemało, stały na ladach i dodatkowych stołach wzdłuż ścian. Do nich śmiało podchodzili ci mężczyźni, którzy przesadzili z piciem wina czy wódki i których od rana męczył kac. Stały tam dwa szeregi butelek z piwem, w jednym był trunek słabszy, w drugim wzmocniony spirytusem. Ten drugi większość łaknących traktowała jak aspirynę i dlatego zaraz po przekroczeniu progu restauracji z uśmiechem i nadzieją na poprawę humoru chwytła za butelki. Podczas wesela każdy powinien siedzieć tam, gdzie mu rodzice młodej pani wskazali miejsce. Na poprawinach ta zasada nie obowiązuje. Mimo to ojciec Marcina usadowił się na tym samym krześle, na którym usiadł w sobotę wieczorem i siedział w nocy, skąd miał najlepszy widok na wszystkich, jakby chciał obserwować gości także w niedzielę. Starszy Ogrodziński stuknął widelcem kilka razy o szklanekę, co uciszyło jedynie część rozgadanych, i dopiero wtedy podniósł się ociężale. Pochylony, oparty rękami o brzeg stołu, nabrał powietrza do płuc, wypuścił je z sykiem, odchrząknął i dopiero wtedy poprosił o ciszę, ponieważ ma zamiar wygłosić przemowę.

– Co należało do rodzicielskich obowiązków mojej kochanej małżonki i do mnie... zrobiliśmy. O szczęście zawiązanej wczoraj rodziny niech się troszczy nasz syn. – Wziął kieliszek do ręki, znowu odchrząknął, spojrzał aluzyjnie na syna i synową, jakby znał jakąś ich tajemnicę, ale nie miał zamiaru jej ujawnić, i dopiero wtedy powiedział: – Najdroższy Marcinie, wznoszę ten toast z głębi serca za twoją pomyślność i pomyślność twojej małżonki, Anny Marii z Zahorskich, na nowej drodze życia. Już pragnę zostać dziadkiem. Jestem przekonany, że identyczne pragnienie ma twój ojciec, moja droga synowo. Nie czekajcie za długo. – Mrugnął do młodej pary, jakby wiedział więcej niż pozostali weselnicy. – Po to młodzi ludzie zakładają rodziny, żeby mieć dzieci, które będą pomnażały dorobek swoich rodziców. Dziadek bez wnuków to żaden dziadek. Tak samo babcia.

Wszyscy wstali, także podnieśli kieliszki i wypili do dna to, czym kelnerki je napełniły.

– I na drugą nóżkę! – zawołał rozochocony Ogrodziński, sięgając po butelkę z wódką Weselną.

– Brakuje pani Mirabelli – odkryła matka Anny Marii, po czym pytającym wzrokiem zmierzyła swego siostrzeńca. Zapamiętała, że wczoraj wieczorem,

kiedy wszystkie pary wyszły na środek sali pierwszy raz, tylko Mirabella i Jakub pozostali na swoich miejscach. Po wypadku na lotnisku, w którym zginęła żona siostrzeńca, Jakub nie związał się z żadną kobietą. Od wydarzenia minęło więcej niż rok, a on nadal obwinał siebie, mimo że komisja badania wypadków lotniczych nie stwierdziła winy nikogo spośród żywych. Wtedy szybowiec wpadł w korkociąg, do czego nie powinna dopuścić dwukrotna wicemistrzyni kraju, i uderzył w płytę lotniska. Jakub upierał się, że niezbyt stanowczo zabraniał Olenie uprawiać szybownictwo. Właściwie to ją zachęcał do latania. Lubił, gdy przytulona do niego opowiadała, co widać z góry. Czuł się wtedy tak, jakby i on był pilotem. Wczoraj wieczorem matka Anny Marii rozpromieniła się, gdy zauważyła, że Jakub pochylił się w stronę Mirabelli, coś długo do niej mówił, a ona uśmiechała się i kiwała głową. Kilka minut później wstał, uklonił się staroświecko i wyprowadził ją na parkiet. Wreszcie koniec żałoby, ucieszyła się matka Anny Marii.

Jaki ten Kuba jest podobny do Olgierda, w tym samym czasie pomyślała Anna Maria. Gdyby nie czarna, krótko przystrzyżona broda, mógłby być jak bliźniak. Identycznie uczesany na gładko. Takie same smutne oczy. Kiedy się uśmiecha, a robi to rzadko, jeszcze bardziej przypomina Olgierda. Nawet jest tego samego wzrostu. Przez cały wieczór Jakub nie odstępował Mirabelli. Razem wracali do stołu i razem wychodzili na parkiet. Anna Maria nie miała nic przeciw temu, ponieważ Wolfgang mimo zaproszenia nie przyjechał na wesele. Gdy przed kościołem spytała Mirabellę dlaczego, usłyszała, że nagle został wezwany w sprawach biznesowych do Niemiec. W sobotę po południu? Tego nie powiedziała, tylko tak pomyślała. W oczach znajomych Mirabella i Wolfgang nie uchodzili ani za znudzone, ani za przykładne małżeństwo. Takich związków jest większość. Jakie ono było naprawdę, wiedzieli nieliczni mieszkańcy Jakubina oraz Anna Maria i jej matka. Toteż obu Zahorskich specjalnie nie zdziwiło, że Mirabella sama przyjechała do kościoła. Kiedyś Anna Maria powiedziała, że pomiędzy Bellą i jej mężem zaraz po ślubie wszystko układało się właściwie, ale z biegiem tygodni coś zaczęło się psuć i teraz nie jest tak, jak powinno być w małżeństwie. Pewnie dlatego, że to ich drugi związek, próbowała wyjaśnić Anna Maria, co jej matka przyjęła z powątpiewaniem. Ona także ma drugiego męża. Skoro Wolfgang nagle został wezwany w sprawach biznesowych i dlatego nie przyjechał na ślub Anny Marii i Marcina, to powinien był się

usprawiedliwić i złożyć im życzenia przez telefon. W ostateczności wysłać esemesa.

– Kuba! – zawołała matka Anny Marii do siostrzeńca. Miała ochotę mu przypomnieć, że zaraz po oczepinach wyszedł z Mirabellą z restauracji, musi więc wiedzieć, w którym pokoju ona mieszka. Nie było ich blisko godzinę. Wrócili roześmiani i od razu wmieszali się między tańczących. Matka Anny Marii dostrzegła brak złotego łańcuszka z wisiorkiem w kształcie imienia na szyi Mirabelli. Zauważyła również ślady szminki w makowym odcieniu na skroni i lewym uchu Jakuba. – Kuba, ty pewnie wiesz, co się dzieje z panią Mirabellą?

– Mamo, dlaczego akurat Kuba ma to wiedzieć? – zapytała Anna Maria, chwytając za rękę swego męża.

Jakub nagle dostał rumieńców. Nie spodziewał się, że ciotka zauważy jego pociąg do Mirabelli. Zerknął w stronę matki, ale ta siedziała z rękoma splecionymi na piersiach i patrzyła przed siebie, jakby jej nie interesowało to, co się działo w restauracji. Przeniósł spojrzenie na ojca, który oparł się mocno plecami o krzesło i gapił się na żyrandol, co go nie zdziwiło. Ojciec nawet po wypadku Oleny nie spytał, czy i jak może mu pomóc. Póki Jakub studiował, miesiąc w miesiąc ojciec wysyłał mu pieniądze. Nigdy nie zapytał syna, co będzie robił jako magister filozofii. Tylko raz, zanim Jakub wybrał uniwersytet w Zielonejgórze, powiedział, że kobieta może być nauczycielką, pielęgniarką, dziennikarką, tłumaczką, sekretarką, urzędniczką, notariuszką. Mężczyzna musi być odpowiedzialny za rodzinę, dlatego powinien mieć porządny fach w ręku. Jaki, tego nie wyjaśnił. Dopiero kiedy Jakub był na ostatnim roku studiów, po śniadaniu wielkanocnym matka go zapytała, jakie ma plany i czy już wybrał kandydatkę na żonę. Nie przyznał się, że poznał Olenę, studentkę z Ukrainy, która chce pracować jako pilotka śmigłowca sanitarnego. Już zapisała się na kurs ratowników medycznych. Potem rodzice oznajmili, że skoro nie ma zamiaru wrócić do Świebodzina, to sam musi sobie radzić. Im nikt nie pomagał, a czasy były bardzo trudne i pomimo tego zgromadzili pokaźny majątek, który przejmie jego młodszy brat i będzie go powiększał.

Gdyby Mira nie odezwała się pierwsza, nie zwróciłbym na nią uwagi, pomyślał Jakub z postrzegalną radością. Posiedziałbym przy stole do oczepin, bo tak wypada, i zaraz po północy położyłbym się do łóżka.

– Było dokładnie piętnaście po drugiej, kiedy poszła do swego pokoju – odrzekł, po czym cicho dodał, że Mirabelli zrobiło się niedobrze. Przesadziła z piciem, a nie jest przyzwyczajona do mocniejszego alkoholu.

– Na jej miejscu zrobiłabym to samo – stwierdziła Anna Maria, ale nie powiedziała głośno tego, co wiedziała ona i jej matka. – Miała powód.

– Miała powód? – chciała wiedzieć matka Marcina, zerkając na syna, jakby go ostrzegała, czym kończą się małżeństwa, gdy mężczyzna chodzi własnymi ścieżkami. – A jakież to powód? – Nie ustępowała. – Jej tylko ptasiego mleczka brakuje.

– Biedulka – orzekła matka Jakuba. Nie przyznała się, że wczoraj wieczorem i jeszcze w nocy przypatrywała się Mirabelli. Niewiele o niej wiedziała, a mimo to była zadowolona, że syn zainteresował się tą zgrabną, powabną i z pewnością zamożną kobietą. Taka mogłaby być synową.

– Młodzi panowie, który pójdzie po panią Mirabellę? – zapytała matka Anny Marii, rozglądając się po sali. – Może źle się czuje i...? Trzeba to koniecznie sprawdzić.

– Niech idzie Kuba – rzucił Marcin.

– Dlaczego ja?

– A kto z nią przez cały wieczór i pół nocy...?

Jakub się przygarbił. Znowu się zarumienił. Zawsze, nawet wtedy, gdy po zajęciach studentki podchodziły do niego i zadawały pytania, czerwienił się, pocił, uciekał wzrokiem na podłogę. Był dowodem na to, że nieśmiałość jest jak nieuleczalna choroba.

– Kuba, czy wiesz, w którym pokoju mieszka pani Mirabella?

– Ja pójdę. – Anna Maria się podniosła. – Bella jest moją serdeczną przyjaciółką. I kuzynką.

– Jak najbardziej – pochwaliła ją teściowa.

– Kuba, pamiętasz numer pokoju?

– Trzydzieści osiem.

– Najlepiej byłoby, gdyby Kuba osobiście... Ale jeżeli Kuba uważa... – urwała Zahorska, uśmiechając się do siostrzeńca pobłaźliwie, jakby dawała mu do zrozumienia, że domyśla się, co zaszło między nim i Mirabellą w nocy. – Czarek – pokazała rozkazująco na młodszego brata swego zięcia – tobie jako drużbantowi najbardziej wypada. Idź do pokoju pani Mirabelli i dowiedz się, dlaczego jeszcze nie przyszła na poprawiny. Może rzeczywiście źle się czuje?

CHOCIEBUŻ (COTTBUS), KARL-MARX-STRASSE, NIEDZIELA, POŁUDNIE

Wolfgang Pohlhoffer miał zamiar wstać o dziesiątej i zaraz po śniadaniu w hotelowej restauracji wyjechać z Łużyc gdzieś za dawną granicę niemiecko-niemiecką. Może tylko do Brunszwiku albo nawet aż do Düsseldorfu, gdzie dawno nie był. Sklepy ogrodnicze w zachodnich Niemczech sprzedają pergole, płotki, altanki, panele osłonowe, donice, sztachety i inne drobiazgi z drewna obrobionego w jego fabryce. Gdy tam zaglądał, a zdarzało się to jesienią każdego roku, pytał sprzedawców, czy klienci są zadowoleni i czego oczekują. Jeżeli usłyszał, że czegoś brakuje albo jest nie takie, jakiego kupujący się spodziewali, po powrocie do Jakubina natychmiast kazał inżynierowi Żółtowskiemu wypełnić lukę albo poprawić funkcjonalność wyrobu. Menedżer nigdy nie protestował, nie przekonywał go, nawet nie pytał, czy to będzie opłacalne na dłuższą metę, bo rozumiał, że na jego miejsce w fabryce czeka kilku posłusznych, pokornych, cichych technologów. W Jakubinie mieszka więcej niż dwa tysiące osób, ale tylko jeden człowiek decyduje o wszystkim, co się będzie działo we wsi. Nie sołtys, nie wójt ani nie przewodniczący rady gminy. Nie dyrektorka szkoły. Nie komendant straży gminnej i nie dzielnicowy. Nawet nie proboszcz. O wszystkim, co się dzieje w Jakubinie i okolicy, decyduje on, Wolfgang Pohlhoffer, ale i on czuje się odpowiedzialny za tych, którzy mu zaufali. Właściwie to których sobie podporządkował. Zawsze, zanim podjął decyzję, nawet tę najbłahszą, przypominało mu się zdanie, które usłyszał od babci: „Pamiętaj, że nie wolno o niczym decydować, nie biorąc na siebie odpowiedzialności za konsekwencje tego, co postanowiłeś”.

Obudził się przed dwunastą i jeszcze leżąc w łóżku zmienił plan. Drugi raz od wyjazdu z Jakubina. Teraz postanowił, że niedzielę spędzi w Chociebużu. Po południu pojedzie na stadion w Eliaspark. Dopiero poszedł do gimnazjum, ale pamięta, że zaraz po zjednoczeniu ci *wessis*, czyli zachodni Niemcy, którzy interesowali się piłką nożną, a kpili ze wszystkiego, co pochodziło z części wschodniej, gdzie mieszkali *ossis*, jedynie z szacunkiem i podziwem odnosili się do chociebuskiej Energie, która odnosiła sukcesy w Bundeslidze. Ostatnio jest ciszej o drużynę, pewnie więc spadła do niższej ligi, ponieważ jej właścicielowi gorzej się wiedzie albo doszedł do wniosku, że będzie bogatszy, jeśli za pieniądze, jakie zarobił na Energie zbuduje fabrykę soku z jabłek

czy serownię. Inwestowanie w przemysł spożywczy i przetwórstwo na pograniczu nie tylko on uważa za najbardziej opłacalne.

Wyjeżdżając wczoraj po południu z Jakubina, wyłączył komórkę. Nie logował telefonu za Nysą. Jeszcze przed przekroczeniem granicy rozważał, czy zadzwonić do Anny Marii i Marcina i złożyć im życzenia. Powinien to zrobić, tym bardziej że zaprosili go na ślub i wesele. Nie chciał, aby pozostał jakikolwiek ślad jego obecności w eterze. W dzisiejszych czasach nie jest łatwo uciec od nowoczesności naszpikowanej elektroniką, szczególnie w jego sytuacji. Jeśli śledczy zechcą, namierzą każdego.

Do Chociebuża wrócił o piątej z minutami. Szlaban parkingu hotelowego był podniesiony. Ochroniarz drzemał w stróżówce. Mógł zaparkować arteona na opłaconym miejscu, lecz w ostatniej chwili zmienił plan. Pojechał na August-Bebel-Strasse, gdzie był parking wielopoziomowy i gdy zbliżył się do barierki, zdał sobie sprawę z tego, że ten obiekt, jak i główne ulice, jest monitorowany. Nad drogami przed wjazdem do każdego większego miasta w Niemczech wiszą kamery. Które są atrapami, a które przekazują obraz do centrali monitoringu, tego nie wie żaden kierowca. Nawet gdyby człowiek się bronił, to nie uda mu się wymknąć z kleszczy cywilizacji, chyba że ucieknie do lasu i będzie żył jak pustelnik, ale i tam długo nie wytrzyma bez tego, co wymyślili ludzie. Współczesny człowiek coraz bardziej staje się uzależniony od nowych technologii. Wyjątek stanowią psychicznie chorzy, którym jest wszystko jedno.

Arteona zaparkował między samochodami mieszkańców bloku w pobliżu restauracji Zur Sonne, skąd przeszedł na Berliner Platz. Do hotelu dostał się bocznymi drzwiami przekonany, że gdzie jak gdzie, ale przy rampie dla dostawców nie będzie kamer. Zresztą poprzednim razem, gdy zameldował się w Lausitz, wieczorem spacerował wokół hotelu i sprawdzał jego otoczenie. Już wtedy miał w głowie ten plan. Udało się go doprowadzić do końca dzisiejszej nocy.

Udając socjologa z uniwersytetu w Düsseldorfie badającego zmiany w zachowaniu starszych mieszkańców Dolnych Łużyc po zjednoczeniu Niemiec, poczęstował ochroniarza papierosem, a potem zamienił z nim kilka zdań. Dowiedział się, że ochroniarz jest Serbołużyczaninem, ale nie ma nic przeciw temu, żeby uważać go za Niemca. Częściej rozmawia po niemiecku niż po dolnołużycku. Matka mieszkająca w Horno woła na niego Bjarnat. W języku żony i teściowej jest Bernhardem. Przez sześć lat był dzielnicowym

na obrzeżach Chociebuża. Po zjednoczeniu Niemiec razem z wszystkimi starszymi policjantami został zwolniony ze służby. Nie ma żalu do tych, których rozkazy wykonywał, ani do tych, którzy go usunęli. Co innego gdyby wyrzucili z policji i nie wyznaczili nowego miejsca pracy. Nie jest na utrzymaniu żony i nie wyciąga ręki do opieki społecznej, a to przede wszystkim się liczy u mężczyzny. Ochroniarz mu wyjaśnił, że Serbowie Łużyccy to Słowianie, którzy osiedli nad Sprewą jeszcze przed Germanami. Nigdy nie utworzyli odrębnego państwa i nie zostali stąd wypędzeni. Zachowali własne obyczaje, kulturę i język. Niemcy nazywają ich Wendami. Bjarnat/Bernhard pożegnał się kilkoma słowami po dolnołużycku. Dźwięczały, jakby były po polsku.

Ponieważ jeszcze nie zjadł śniadania, a zawsze w niedzielę o ósmej żywił się jajkiem na miękko, o dwunastej poczuł się bardzo głodny. Mieszkał w pokoju dwa piętra nad restauracją, postanowił więc, że nie wsiądzie do windy, a zejdzie po schodach. Tak jak poprzednim razem zajął miejsce przy oknie, skąd mógł obserwować to, co się dzieje na Stadtpromenade. Lubił przypatrywać się mężczyznom w swoim wieku. Interesowało go przede wszystkim to, dlaczego są pochyleni, jak stawiają nogi i ile jeszcze mają włosów na głowie. Wówczas zastanawiał się, co oni robią, że tak wyglądają. Nie wyobrażał siebie jako starszego pana, któremu młodzi ustępują miejsca.

Kelner bez pośpiechu podszedł do stolika i położył przed Pohlhofferem kartę dań. Zamówił szklankę wody Rosbacher bez cytryny. W menu szukał jakiejś potrawy kuchni łużyckiej. Gdy był w południowych Niemczech, rozglądał się za restauracją, gdzie podają szpecle z sosem mięsnym i słodką kapustą przyprawioną koperkiem. W Polsce często jadł gołąbki zapiekane w sosie pomidorowym. Lubił kaszę gryczaną z sosem grzybowym, a przepadał za smażonymi pierogami z kapustą i prawdziwkami. Tu nie natknął się na nic takiego, czego by jeszcze nie jadł, dlatego poprosił kelnera, aby mu zaproponował którąś z obiadowych specjalności restauracji.

– Najlepiej coś łużyckiego. Tylko, proszę, bez przesady z tłuszczem. Nie jestem mięsożerny. Może być więcej warzyw. Lubię kapustę, szczególnie prosto z wody, z odrobiną masła. Albo niech pan poda to, co najczęściej zamawiają wasi goście – dodał po krótkim namyśle.

– Naszą specjalnością jest czernina. W innych lokalach także podają czerninę, ale daleko jej do takiej jak nasza. My podajemy ją z kluseczkami

ziemniaczanymi.

– Czyli słodko-kwaśna zupa z krwi? – zapytał zbędnie, bo wiedział, z czego gospościa proboszcza robi czerninę. Lukas wyjawiał mu tajemnicę tej potrawy, często obecnej jesienią na niedzielnych stołach Ślązaków. – Coś z chudym mięsem. Nie za dużo.

– Roladki schabowe z szynką i grillowanymi warzywami. Również proponuję mieszankę surówek z kapusty półsłodkiej, marchewki i buraków ćwikłowych. To nowość w naszym jadłospisie. Goście zamawiają lekko alkoholowy napój z soku jabłkowego, zwany cydrem. Od niedawna łużycka specjalność. Nie wiele ma wspólnego z winem jabłkowym podawanym w Hesji.

Kiwnął głową. Kiedy kelner odszedł od stolika, znowu przeniósł spojrzenie na Stadtpromenade. Z alei rzeźb ciągnącej się wzdłuż starego muru wyłowił tę, która mogła przedstawiać kobietę odpoczywającą po kąpieli. Postanowił, że podobną figurę każe postawić w parku przylegającym do jeziora w Jakubinie. Będzie miała rysy twarzy Birgit albo Mirabelli. Na kamienne cokółki obok altany okolonej lipami wróci większość rzeźb ogrodowych. Konie odlane z brązu, przechowane na wiekowych fotografiach przedstawiających otoczenie domku myśliwskiego, a pierwszy raz zatrzymane tam na polecenie dziadka Johanna Gottfrieda, będą stały na swoim miejscu. Fontanna ozdobiona płaskorzeźbami tak jak dawniej będzie tryskała wodą na dziedzińcu przed pałacem. Po obu stronach bramy z żeliwa spiętej kompozycją heraldyczną z herbem Pohlhofferów lwy będą witały gości. Część zabytków już odzyskał, resztę każe Lukasowi zamówić u rzeźbiarza.

– Czy mnie wzrok nie myli? Osobiście pan Pohlhoffer, prawda? Doktor Wolfgang Pohlhoffer z Jakubina?

Oderwał wzrok od mokrej Stadtpromenade i przez chwilę zastanawiał się, skąd zna mężczyznę, który stoi przed stolikiem. Chuchro jak wójt Jakubina. Czyżby on? Niemożliwe. Co by wójt robił w niedzielne, deszczowe samo południe w Chociebużu? W restauracji czterogwiazdkowego hotelu Lausitz? Pewnie któryś spośród odbiorców pergoli, altanek, sztachet i innych drobiazgów z drewna obrobionego w mojej fabryce, pomyślał.

– Pohlhoffer – potwierdził. – A pan to kto? Znamy się? Skąd, jeśli można wiedzieć? Aha, robimy jakieś interesy.

– Pan mnie nie poznaje?

– Tak jakby... – Skupił wszystkie swoje myśli, a mimo tego nadal nie wiedział, kim jest ten uśmiechający się chudzielec.

– Adam Ficnerski. Wójt gminy Jakubina w powiecie krośnieńskim na Ziemi Lubuskiej.

– Wójt Jakubina?

– Żywy. Może pan mnie uszczypnąć. – Ficnerski wyciągnął dłoń i się roześmiał. Nagle przypomniał mu się ten fragment z Nowego Testamentu, gdy Jezus mówi do Tomasza: „Podnieś tutaj swój palec i zobacz moje ręce. Podnieś rękę i włóż do mego boku, i nie bądź niedowiarkiem, lecz wierzącym!”

– Nie spodziewałem się spotkać wójta za granicą.

– Jaki ten świat jest mały, prawda?

– Przyjemniej spotkać wójta w hotelowej restauracji niż na cmentarzu.

– Kiedy tu wszedłem i zobaczyłem pana... przypomniało mi się, że wczoraj po południu zaczęło się wesele u Zahorskich. Pan powinien tam być. Czyżby tatuś panny młodej zapomniał zaprosić pana doktora?

– Nie zapomniał. Oczywiście że Zahorski zaprosił, ale... – Pohlhoffer rozciągnął ręce – niespodziewane sprawy natury biznesowej uniemożliwiły mi wzięcie udziału w tej uroczystości. Szczerze żałuję. Rodzinę reprezentuje moja małżonka. Jestem przekonany, że przekazała młodej parze najlepsze życzenia od nas obojga i dołączyła prezent ślubny – dodał, cedząc słowa. – A wójt dlaczego nie na weselu?

– A ja przyjechałem na konferencję gospodarzy gmin i miasteczek partnerskich z centralnej Europy. Oprócz dziesięciu Niemców i Polaków jest po trzech Słoweńców, Austriaków, Węgrów, Czechów, Słowaków i jeden gość z Liechtensteinu na okrasę. Jeszcze miał być burmistrz ze Szwajcarii, ale coś mu wypadło i dlatego nie dojechał, a szkoda. Miałem wystąpienie po angielsku na temat tożsamości kulturowej Jakubina, poczynając od Serbów Łużyckich aż do współczesnych czasów. Naturalnie wspomniałem o Pohlhofferach. Moja wypowiedź została przyjęta lepiej niż ciepło. Oczywiście nie zapomniałem powiedzieć, że gdyby nie pan, nasza przecież niewielka gmina nie byłaby w stanie odbudować tego, z czego słynęła przed wielu laty. Więcej opowiem po powrocie do Jakubina, naturalnie jeśli to będzie interesowało szanownego pana. W poniedziałek w Brandenburgii dzień roboczy, a u nas urząd zamknięty, bo święto kościelne. Wszystkich Świętych. Nie ma powodu się spieszyć. Wrócę dopiero

po południu. Jedenastego listopada znowu wolny dzień. Święto Niepodległości. Przepraszam, teraz powinienem dołączyć do pozostałych uczestników konferencji. – Wójt uklonił się niemal uniżenie, po czym spytał, czy może odejść.

– Nie zatrzymuję, Ficnerski.

Beznadziejny jako wójt, a przy tym coraz bardziej pewny siebie, ocenił go Pohlhoffer. Znowu był to nietrafny wybór. Jeszcze za słabo znam ludzi, stwierdził.

Wójtowie Jakubina zmieniali się co cztery lata nie tyle dlatego, że podczas wyborów mieszkańcy tego chcieli. Właściwie to ich niewiele obchodziło, kto będzie rządził gminą. Wójtowie zmieniali się, ponieważ Wolfgang Pohlhoffer tak chciał, a jemu nikt nie miał odwagi odmówić. Tylko od niego zależało, czyje nazwisko znajdzie się na karcie do głosowania i kto zostanie wójtem gminy. Poprzednik Ficnerskiego nie najgorzej znał się na finansach i administracji, nie kadził Pohlhofferowi i byle czym nie zawracał mu głowy, ale i próbował stawać okoniem wtedy, kiedy on rozporządził, jak musi być. Gdyby to zdarzyło się raz, najwyżej dwa, góra trzy, może Pohlhoffer nie przywiązywałby wagi do nieposłuszeństwa, a to pod koniec kadencji powtarzało się za często. Dlatego dwa lata temu Wolfgang Pohlhoffer zdecydował, że wójtem zostanie magister Adam Ficnerski. Dlaczego akurat nauczyciel angielskiego, a nie sekretarz gminy, który od dawna polował na to stanowisko, czy dyrektorka szkoły, jego żona, tego nikomu nie wyjaśnił. Prawdę mówiąc, to Pohlhoffer nie wiedział, czym się kierował przy wyborze kandydata na wójta. Od Żółtowskiego usłyszał, że młody Ficnerski jest godny zaufania, bo po studiach anglistycznych wrócił do Jakubina, a przecież mógł zostać w Zielonej Górze, gdzie łatwiej o pracę dla nauczyciela. Najpierw uczył geografii i przyrody, potem był świetlicowym i dopiero kiedy anglistka dostała pracę w Krośnie, gdzie mieszkała, zajął jej miejsce. Pohlhoffer kazał Żółtowskiemu, a ten polecił sekretarce natychmiast wezwać Ficnerskiego do biura i nie pytając go o zdanie, oznajmił, że zostanie wójtem. Wtedy nie wiedział, że jedynie komitet wyborczy może zgłosić kandydata i musi go poprzeć co najmniej stu pięćdziesięciu dorosłych mieszkańców gminy. Załatwienie wszystkich formalności zlecił Żółtowskiemu. Byli tacy, którzy znali Adama Ficnerskiego od dziecka, a właściwie jego dziadka milicjanta i ojca naczelnika gminy, dlatego nie chcieli podpisać się na liście poparcia albo pytali, dlaczego ten, który jest wójtem od czterech lat, nie może nim być

nadal. Nauczył się administrować. Nie udaje kogoś, kim nie jest. Z każdym porozmawia. Nie pije więcej niż jego poprzednik. Proboszcz też go chwali. I przecież gołym okiem widać, ile dobrego zrobił. Wtedy sekretarka zbierająca podpisy pytała oponenta, czy nie zapomniał, w czyjej firmie pracuje i czy chce dalej pracować. Chętnych w okolicznych wioskach i miasteczkach nie brakuje.

Pomimo tego że ludowcy mieli swego kandydata, zastępcę nadleśniczego, który był szwagrem poprzedniego wójta, Ficnerski wygrał wybory z miażdżącą przewagą. Już z rana w poniedziałek powyborczy elekt ubrał się w garnitur, białą koszulę, krawat i świętował sukces w szkole. Wieczorem bez zapowiedzi przyszedł do pałacu i powiedział do Pohlhoffera, że skoro aż tylu mieszkańców na niego głosowało, to musi zrobić coś takiego, co spowoduje, że za cztery lata, kiedy będzie następne głosowanie, ludzie znowu go wybiorą. Co, tego na razie nie wie, ale przy wsparciu pana na Jakubinie, jak powtórzył po ludziach, coś wymyśli. Pohlhofferowi spodobało się to określenie.

– Od niedzieli wyborczej w Jakubinie najważniejsi są: ja, wójt magister Adam Ficnerski, i pan, właściciel wszystkich firm – powiedział elekt, a widząc grymas na twarzy Pohlhoffera, zaraz się poprawił: – Rzecz jasna kolejność powinna być odwrotna. Od nas obu będzie zależało wszystko. Nawet to, kto zostanie pochowany w pobliżu krzyża na parafialnym cmentarzu, a kto przy śmietniku. Cała władza jest w naszych rękach, panie Wolfgang.

Już wtedy Pohlhoffer zdał sobie sprawę z tego, że to nie był najlepszy wybór. Ktoś inny powinien zostać wójtem. Może nawet kandydat ludowców, którego znał i od pierwszego dnia pobytu w Jakubinie na swój sposób cenił. Teraz tym bardziej był przekonany, że wtedy źle zarządził, ale nie miał zamiaru przyznać się do pomyłki. Nie lubił, a właściwie nie umiał przegrywać. Za dwa lata odbędą się kolejne wybory wójta. Ficnerski wróci do szkoły i znowu będzie uczył dzieci angielskiego. Za dwa lata, a Pohlhoffer już o tym zdecydował. Wójtem zostanie Żółtowski albo Dominiak.

A jeśli po powrocie do Jakubina Ficnerski się wygada, kogo spotkał w niedzielę w samo południe w Chociebużu?

JAKUBIN, UL. GŁÓWNA, NIEDZIELA, POŁUDNIE

Na pewno w Zielonej Górze, a może i w Krośnie nikt nie nazwałby Urszuli Wojtczak starą panną. Może ktoś by tak pomyślał, gdyby się dowiedział, ile ona już ma lat, ale tego by nie powiedział. W Jakubinie jest tak, że każda dziewczyna, która w czerwcu skończy szkołę, najpóźniej od Bożego Narodzenia powinna być mężatką spodziewającą się dziecka. Urszula słyszała to nawet od proboszcza. Podczas ostatniej kolędy ksiądz powiedział bardziej do jej ojca niż do niej, że najwyższy czas, aby córka wyszła za mąż. Kobieta powinna mieć męża i przed trzydziestką urodzić co najmniej troje dzieci. A im więcej, tym lepiej. Miejsce starej panny jest u elżbietanek, a jeszcze bardziej odpowiednie są karmelitanki bose. Dawniej chodziło o majątek. Teraz rzadko który kawaler pyta, ile hektarów mają rodzice panny i jaki posag ona wniesie do małżeństwa. Liczy się przede wszystkim to, czy dziewczyna ubiera się tak, jak prezenterki telewizyjne, gdzie ma tatuaż i czy nosi kolczyk w pępku, czy zagląda do restauracji Pod Żłotym Jeleniem, która teraz nazywa się Winestone, i pije importowane piwo, co pali, jaką ma komórkę i w której sieci ją loguje. Ważne jest, żeby nie była mrukliwa, nie dąsała się bez powodu, rechotała i nie jeżyła się wtedy, kiedy kawaler ma ochotę zaciągnąć ją do łóżka. Nie musi być ładna ani zgrabna, ale powinna być wesoła, a jeszcze lepiej beztroska i mówić takim językiem, żeby nie było trzeba zaglądać do słownika w internecie. Powinna znać nazwiska najbardziej popularnych piosenkarzy anglojęzycznych i nucić ich najnowsze hity. Może jarać, rzucać jobami, bez powodu wtrącać przekleństwa. Im bardziej wulgarna, tym większe ma powodzenie. Nie musi wiedzieć, dlaczego jednego roku Wielkanoc jest pod koniec marca, a drugiego na początku kwietnia albo jeszcze później, a Boże Narodzenie zawsze wypada dwudziestego piątego grudnia. Jest jeszcze coś, czego żaden jakubiński zalotnik nie potrafi nazwać, ale co większość czuje, chociaż nie wie, dlaczego nie przy wszystkich pannach, lecz jedynie w obecności niektórych. U jednych to wywołuje drgawki na czubku głowy, wyciska pot pod pachami, powoduje wiotczenie nóg i zmusza do milczenia. U drugich wzmaga wciąganie brzucha, prostowanie grzbietu, prężenie szyi, zadzieranie głowy i błysk w oczach. Są też tacy zalotnicy, którzy dopiero wtedy paplają bez składu i ładu albo pokrzykują tylko dlatego, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Dlaczego Urszulą nie zainteresował ani jeden miejscowy kandydat na zięcia, to najbardziej martwi jej matkę. Od ostatniej rozmowy

z proboszczem ojciec jeszcze nie spytał, kiedy wesele. Matka wiele razy zadawała to pytanie.

– Ja, jak miałam twoje lata, to tyś już była na świecie. Andrzejek skończył rok i zaczął chodzić. Co jest warta kobieta bez mężczyzny? Tak samo i bez dziecka.

Urszula nie odmówiła racji matce. Ale czy to tylko jej wina, że jest panną? Pani Mirabella pochowała jednego męża, ma drugiego, majątnego, a jeszcze nie doczekała się dziecka. Nie zawsze i nie wszystko, czego pragnie kobieta, jedynie od niej zależy.

– Jakby miała to coś, co powinna mieć, to by chłopaki spokoju jej nie dali – powiedziała żona sekretarza gminy do skarbniczki, a ta słowo w słowo powtórzyła matce Urszuli, z którą kiedyś pracowała w gminnej spółdzielni, i poradziła ostrzec córkę przed Dominiakiem, bo to babiarz. Ficnerski też ma swoje za paznokciami, ale to wójt, zna angielski i pierwszy postawił dom na osiedlu, gdzie był pegeerowski sad.

Wtedy matka Urszuli stwierdziła, że takie czasy. Zapytała, czy jej córce czegoś brakuje. I przypomniała, że Urszula skończyła studia administracyjne na uniwersytecie w Zielonej Górze, pracuje w urzędzie gminy, ma prawo jazdy i składa na auto, umie się ubrać modnie, potrafi się podmalować, nie jest kusiajdą, nosi tatuaż na lewym ramieniu, jest ochrzczona i bierzmowana. Kto potrzebuje pomocy, temu nie odmówi. Brat Andrzej zajmuje wysokie stanowisko w Krośnie. Bratowa zarządza wojskowym przedszkolem. Wiele lat ojciec był sołtysem i radnym powiatowym. A pomimo tego Uleńka jeszcze nie wyszła za męża. Inne, co to są tylko po maturze albo kształcenie się zakończyły na podstawówce, mają mężów i rodzą dzieci. Niektóre nawet dwa razy w roku. Trzy lata temu matka Urszuli dałaby sobie rękę uciąć, że córka zostanie synową sekretarza gminy. Została sekretarką i to tylko dzięki synowi Dominiaka, który tę funkcję wyblagał u swego ojca.

Jeszcze przed ukończeniem studiów Urszula postanowiła, że zatrzyma się w Zielonej Górze, gdzie ma sporo znajomych, albo poszuka sobie jakiegoś zajęcia w Krośnie, lecz brat prokurator wybił to jej z głowy. Któreś z ich dwojga musi zostać z matką i ojcem, a on ma odpowiedzialne stanowisko, żonę i dzieci, kredyt na mieszkanie w nowym bloku. Ojciec wyremontował dom w Jakubinie tak, żeby na parterze było miejsce dla co najmniej dwóch rodzin. Wprawdzie rodzice jeszcze nie narzekają na za długie kolejki do lekarzy i na razie nie potrzebują opiekunki, ale przecież żadne nie jest

z żelaza. Nie pytając siostrę o zdanie, brat, a właściwie jego żona wyznaczyła Urszuli miejsce na piętrze domu przy ulicy Głównej w Jakubinie. Bratowa zapewniła ją, że do jesieni przyszłego roku wyjdzie za mąż, potem urodzi dwoje dzieci. W międzyczasie może nawet zostanie wójtem, o załatwienie czego będzie się starał Andrzej. Prokurator wiele może. Jeśli nie zostanie wójtem, to na pewno będzie sekretarzem gminy, a to też dobrze płatna funkcja. I mniej odpowiedzialna. W sam raz dla kobiety.

A Urszula Wojtczak na razie nie chciała być ani wójtem, ani sekretarzem, nawet radną. Jak większość zdrowych kobiet chciała wyjść za mąż. W lipcu skończyła dwadzieścia sześć lat. Łatwo powiedzieć: wyjść za mąż. W Jakubinie nie ma za kogo. Nie to, że żaden kawaler tego by jej nie zaproponował, lecz że żaden jej się nie podoba. Chociaż to nie jest bezsprzeczna prawda. Jest jeden taki, który podoba się Urszuli. Gdyby tylko dał jej najmniejszy znak, nie zastanawiałaby się nawet przez minutę. To ten, który siedzi po lewej stronie w czwartej ławce. Wie o nim tyle, że przyjechał do Jakubina razem z panem Pohlhofferem i jest jego pomocnikiem. Ludzie powtarzają, że nie tylko pomocnikiem, ale Urszula im nie wierzy. Ludzie, jeśli ktoś im się nie podoba, są niesprawiedliwi i tendencyjni. A jej podoba się Lukas Bielok. Mieszka w nowym domku obok siedziby firm należących do pana Pohlhoffera. Gdy sekretarz gminy pierwszy raz usłyszał jego nazwisko, powiedział, że to na pewno Ślązak. Polak z Mazowsza nazywałby się Bielak. Imię ma jeszcze rzadsze. Urszula nie spotkała mężczyzny, który miał w dowodzie Lukas. Jak do takiego się zwracać? Sekretarz powiedział, że Lukas to pewnie Łukasz, ale tego nie był pewien. Urszula zerknęła na mężczyznę w czwartej ławce po lewej stronie. Gdyby tylko zwrócił na nią uwagę, byłaby w siódmym niebie, pomimo tego że Lukas jest niemową. Lepszy mąż niemowa niż żaden. Urszula nikomu nie przyznała się, że każdej niedzieli przychodzi do kościoła na sumę właśnie dlatego, żeby zobaczyć Lukasa. Dawniej przychodziła na dziewiątą, wtedy prawie całą niedzielę miała wolną. Teraz przychodzi na dwunastą i zawsze siada po prawej stronie w przedostatnim rzędzie ławek, skąd może obserwować Lukasa. Niekiedy tak się zapatrzy i zamyśli, że nie słyszy tego, co mówi ksiądz. Urszula klęka na oba kolana i modli się naprawdę żarliwie. Tylko Pan Bóg wie, o co ona prosi.

Przymknęła oczy. Chciała, żeby znowu Lukas przyszedł do jej pokoju w nocy. To znaczy wtedy, kiedy zapraszała go we śnie, a zapraszała bardzo

często. Po ciemku zzuwał buty, ściągał z siebie koszulę, spodnie, bokserki i nagi podnosił kołdrę. Ona się nie odzywała. Robiła mu miejsce obok siebie i czekała, żeby położył tę swoją wielką dłoń na jej brzuchu. Gdy poczuła szorstkość i ciepło palców przesuwających się w stronę piersi, dawała mu znak, że jest tym jedynym mężczyzną, na którego tak długo czekała i dzięki bogu się doczekała. Szeptała, że zostali stworzeni dla siebie. Muszą być razem na dobre i na złe. Znowu uniesie się na łokciu i będzie patrzyła w jego błękitne tęczówki. Pomimo ciemności zobaczy w nich swoje odbicie. Chciałaby usłyszeć, że jest tą jedyną, którą on kocha i dlatego do niej przyszedł. A gdy Lukas to jej wyzna uśmiechem czy wzrokiem, Urszula przytuli się do niego i będzie mierzwiła włosy na jego piersiach. W niedzielne popołudnia chodziłam na boisko nie dlatego, żeby oglądać mecze, powie. Piłkarze niewiele mnie obchodzili. Przychodziłam, bo ty, Lukasiu, tam byłeś. Lubiłam patrzeć, jak się cieszysz. Później mu się przyzna, że spośród wszystkich mężczyzn najbardziej podobają jej się ci, którzy mają szerokie, umięśnione ramiona i owłosione piersi.

Dotąd żaden obcy mężczyzna nie wszedł do jej pokoju. Do żadnego nie przytulała się ani nie mierzwiła włosów na jego piersiach. Jeszcze w liceum był taki jeden, chodzili do tej samej klasy i nawet się całowali, ale gdy jego ojciec został generałem, wyjechał do Wrocławia. Później żaden jej się nie podobał. Urszula wierzy, że którejs nocy to się stanie i że będzie nim ten, który siedzi po lewej stronie w czwartej ławce.

Z Wikipedii dowiedziała się, że w zapaśniczej reprezentacji Niemiec był zawodnik, który nazywał się Lukas Bielok. Zdobywał medale najpierw na młodzieżowych, później na akademickich mistrzostwach Europy. Dlaczego porzucił tę dyscyplinę sportu, tego nie napisał autor informacji na stronie www. związku zapaśniczego. Jeszcze bardziej zainteresowało ją to, że Lukas Bielok urodził się w Tost. Jako niemowlak przyjechał z rodzicami do Solingen w Nadrenii Północnej–Westfalli. Skąd przyjechał? Sprawdziła, że Tost po niemiecku to polski Toszek na Górnym Śląsku. Większości miejscowości po polskiej stronie Niemcy nadali swoje nazwy. Breslau to Wrocław, Warschau – Warszawa, Posen – Poznań, Grünberg – Zielona Góra, Crossen an der Oder – Krosno Odrzańskie. Nie była tym zaskoczona, bo Polacy również po swojemu nazywają miasta za Odrą. Drezno to Dresden, Leipzig – Lipsk, Chociebuż – Cottbus. Tylko Berlin w obu językach jest Berlinem.

Gdy pierwszy raz Lukas Bielok przyszedł do urzędu gminy, Urszula sądziła, że będzie chciał rozmawiać z wójtem. Dziwnie to wyglądało, bo wszedł do sekretariatu bez słowa, tylko skinął głową, po czym wyjął z kieszeni notes, w którym napisał, że czeka na niego sekretarz, pan Dominiak. Potem uśmiechnął się jakby przepraszająco, a ona się zawstydzila.

Jest wysoki, barczysty i nie garbi się jak większość miejscowych mężczyzn. Blondyn o niebieskich oczach i gęstych brwiach.

Gdy wyszedł z urzędu, zaczęła przeszukiwać Facebook. Znalazła profil Lukasa Bieloka. Jego aktywność ograniczyła się do kilku postów. Z ich treści niewiele wynikało. Był króciutki biogram, informacja o klubie sportowym i kilka zdjęć w stroju zapaśnika. Jak się spodziewała, nie założył profilu na Twitterze ani na Instagramie. W referacie ewidencji ludności Urszula sprawdziła, że jest tylko o sześć lat od niej starszy. To właściwa różnica wieku, bo mąż powinien być troszkę starszy od żony.

Z powodu Lukasa Bieloka przychodzi w niedzielę na sumę. Zawsze siada w przedostatniej ławce po prawej stronie, kątem oka zerka na czwartą ławkę po stronie lewej. Gdy ksiądz Zygmunt ogłosi „Idźcie w pokoju Chrystusa” i Urszula włączy się do chóru odpowiadającego „Bogu niech będą dzięki”, ona jeszcze nie wychodzi z kościoła. Klęka, udając skupioną na modlitwie czeka, kiedy Lukas podniesie się z kolan. Wtedy i ona wstaje, podąża za nim, wciągając do płuc zapach wody po goleniu. Żeby odwrócić się, spojrzął na mnie i się uśmiechnął, prosi w myślach. Prosi tak już drugi rok. Prosi i nie ma nic przeciw tym, którzy nazywają ją starą panną.

– Za niemowę nigdy bym się nie wydała – powiedziała do niej żona wójta.
– Jak z takim rozmawiać? A w ogóle to Lukas jest tym... no... – Obejrzała się i dodała szeptem: – Gejem. Tak mówią ludzie.

Urszula też to słyszała, ale nie uwierzy, żeby taki mężczyzna był gejem. Gej to wymoczek z wyżełowanymi włosami i pstrokatą apaszką na szyi.

Urszula uważa Lukasa za najbardziej szlachetnego i przy tym męskiego spośród wszystkich mężczyzn w Jakubinie.

ZIELONA GÓRA, UL. GŁOGOWSKA, NIEDZIELA,
POŁUDNIE

Pomimo tego że stojący na zboczu hotel Grempler miał tylko cztery kondygnacje nad powierzchnią i jedną ukrytą w części podziemnej, były w nim dwie zawsze czynne windy. Wdusiwszy trójkę na konsoli, Cezary Ogrodziński, młodszy brat pana młodego, zastanawiał się, co odpowiedzieć, kiedy zapuka do drzwi pokoju i usłyszy zaproszenie. Wejdzie nieśmiało i zobaczy Mirabellę w łóżku skacowaną, błagającą o riposton, albo naga, czekającą na kogoś, kogo się spodziewa. Na przykład na Jakuba. Jeszcze w restauracji, zaraz po tym jak matka żony brata stwierdziła, że jedynie Mirabella nie wstała na poprawiny i pewnie Kuba wie, w którym pokoju ona mieszka, przypomniał sobie to, czego dowiedział się o niej od Anny Marii wtedy, kiedy pomagał jej i Marcinowi ułożyć listę gości weselnych.

– Żyją pod jednym dachem, ale zachowują się tak, jakby to, co sobie ślubowali przed ołtarzem i co słyszał każdy, kto był w kościele, nie miało żadnego znaczenia – powiedziała Anna Maria. – Czy to jest normalne?

– Hucpa na pokaz? – roześmiał się Marcin.

– Literalnie Bella jest żoną Wolfganga. On literalnie jest jej mężem. Bella przyjęła jego nazwisko i jedynie ono ich nie dzieli. Nie łączy stół i nie łączy łóżko. A pragnęła jak większość zdrowych, jeszcze młodych kobiet być matką nie tylko dlatego, że tak została wychowana. Pragnęła, bo taka jest kobieca powinność. Taki obowiązek i taki cel.

– Znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

– Właściwie bez wyjścia. Wolfgang ignoruje Bellę jako żonę – stwierdziła Anna Maria z naciskiem na ostatnie słowo. – Rano przy śniadaniu lepiej odnosi się do kucharki niż do niej. Potem znika na cały dzień. Wieczorem, gdy wraca do pałacu, zachowuje się tak, jakby Bella była obca. A przecież to jej pałac.

– Wolfgang jest Niemcem. Facetem z głową na karku. Właścicielem firm. Taki może nie rozumieć, że kobieta, polska żona... – zaczął Marcin niepewnie i urwał. Miał zamiar powiedzieć, że z jego obserwacji wynika, iż Wolfgang ożenił się z Mirabellą tylko dlatego, żeby tym, którzy posądzają go o homoseksualizm, zatkać usta. – Ja, jeśli chodzi o obowiązki mężowskie, obiecuję ci...

– Bella najbardziej boi się tego, że któregoś dnia coś ją omami. Że połknie garść jakiegoś senzopu i się nie obudzi.

Cezary rozważał, czy zapukać i czekać, aż Mirabella odpowie, czy nacisnąć klamkę i bez ceregieli wejść do pokoju. Nigdy z nią

nie rozmawiał. Pewnie Mirabella nie wie, że jest młodszym bratem Marcina i od wczorajszego popołudnia szwagrem Anny Marii. Po krótkim namyśle zapukał delikatnie, jakby nie chciał jej wystraszyć. Przygarbiony, nadstawiając lewe ucho, nasłuchiwał. Za drzwiami panowała cisza. Zapukał powtórnie, tym razem mocniej. Znowu nasłuchiwał. Żadnego szmeru czy poruszenia po tamtej stronie. Trzeci raz zapukał natarczywiej i dłużej, jakby rytmicznie wystukiwał melodię. Dalej cisza. Zerknął na numer drzwi. Trzydzieści osiem.

– Pani Mirabello, wszyscy weselnicy są w restauracji. Czekamy na panią. Czy coś się stało, że pani nie zeszła na poprawiny? Źle się pani czuje? Można w czymś pomóc? Wezwać lekarza? Woli pani, żeby tu była Anna Maria?

Nie usłyszał odpowiedzi ani zaproszenia.

Czyżby już wyjechała? To by nikomu o tym nie powiedziała? Żałował, że nie zapytał recepcjonistkę, czy ją widziała. A może teraz Mirabella jest z kimś w pokoju i nie chce, żebym tego się dowiedział? Ale z kim, skoro wszyscy goście zeszli do restauracji i na nią czekają?

Położył dłoń na klamce i jeszcze się zastanawiał, co w tej sytuacji powinien zrobić. Wejść? Cofnąć się na parter i poprosić recepcjonistkę, żeby sprawdziła, czy na haczyku wisi klucz do pokoju trzydzieści osiem? Jeśli powie, że nie ma klucza, wrócę na trzecie piętro. Zajmie to nie więcej niż pięć minut. Może wejść do pokoju bez zaproszenia? Jeśli Mirabella jest tam sama, będzie tłumaczyła, że za dużo wypła, nie nastawiła budzika w komórce i dlatego zasnęła. Przeprasza wszystkich gości. Zaraz wstanie, ubierze się i zejdzie do restauracji. Tak jej przykro. Wstydzi się. A jeśli jest z kimś i dlatego się nie odzywa?

Pomimo wątpliwości nacisnął klamkę.

– Pani Mirabello – odezwał się przytłumionym półgłosem z przedpokoju, nie robiąc następnego kroku. Czekał na choćby jej zamruczenie. – Pani Mirabello – powtórzył troszkę głośniej. – Pani Mirabello.

Cisza. Żadnego poruszenia w pokoju. Jakby jej tam nie było, a przecież granatowe szpilki stoją pod krzesłem. Na poręczy wisi ta sama karminowa sukienka z dekoltem, którą miała na sobie w kościele i w restauracji. Otwarta torebka w kolorze butów stoi oparta o pusty wazonik na biurku. Obok niej leży złota obrączka i pierścionek z wiśniowym oczkiem, bransoletka i dwa kolczyki barwy dojrzałych wrzosów. Brakuje jedynie wisiora, lecz Cezary

na to nie zwraca uwagi. Prześlizguje się wzrokiem po komórce. W kieszeni ma identycznego smartfona firmy Samsung.

– Pani Mi-ra-be-lloo.

Najpierw wysunął lewą rękę, jakby chciał dać jej znak, że za chwilę wejdzie do pokoju. Potem wystawił głowę i zamarł z otwartymi ustami. W zaścielonym łóżku nikogo nie było. Jednak Mirabella wyjechała bez pożegnania, przemknęło mu przez myśl. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że przecież jej buty, sukienka, ozdoby i komórka pozostały w pokoju. Nie dość że wyjechała bez pożegnania, to i nie zabrała swoich rzeczy? Czy to możliwe? Pewnie kiedy usłyszała pukanie do drzwi, wyrwana ze snu domyśliła się, że zasnęła. Przecież o dwunastej miały się zacząć poprawiny. Ktoś spośród weselników po nią przyszedł. Wstyd. Dlatego czmychnęła do łazienki, że niby jeszcze się przygotowuje. Ubierze się i jakby nic się nie stało, zaraz zejdzie do restauracji.

– Pani Mirabello – szkolonym w ognisku muzycznym półbarytonem wywołał jej imię, tym samym dając znak, że wie, gdzie ją znajdzie. Podeszedł do drzwi łazienki i dwa razy w nie zapukał. Najcichszej odpowiedzi. Dosłownie nic. Bawi się ze mną w ciuciubabkę? Powoli odchylił drzwi, wlepiając wzrok w mrok. Nikogo. Pomyślał, że Mirabella ukryła się za zasłonką w wannie. Zapalił światło.

I nagle zdrętwiał. Jak posąg stał pół minuty z wybałuszonymi oczami. Może dłużej.

– Jezu Chryste – wysyczał przez usta osłonięte dłonią.

Nie zamykając za sobą drzwi, puścił się pędem po schodach do restauracji.

– Ona tam!

– Kto?

– Ona tam! – zawołał podłamanym głosem i podniósł rękę, pokazując palcem na sufit. – Pani Mirabella.

– Co z nią? Czarek, co się stało Belli? Czarek, do kurwy nędzy, gadaj! – rzuciła Anna Maria, wyrywając się zza stołu.

– Chyba nie żyje.

– Chyba? Jak? Kto? Nasza Bella?

– Bella nie żyje?

– Skąd to wiesz, Czarek?!

– Pani Mirabella leży w wannie cała we krwi.

Mimowolnie Jakub przymknął oczy. Oparty plecami o poręcz krzesła, poczuł pot na plecach i pod pachami.

ZIELONA GÓRA, LOTNISKO PRZYLEPA, NIEDZIELA, WCZESNE POPOŁUDNIE

Jeszcze w czwartek umówili się na latanie w sobotę od przedpołudnia. W piątek wieczorem zmienili plan tylko dlatego, że szefowa Daniela Junga poprosiła go przez telefon, aby w sobotę przed południem poszedł na naradę do wicewojewody i tam zreferował udział „Gazety Zielonogórskiej” w akcji dotyczącej pomocy uchodźcom z północnej Afryki. Co to ma być, ona zaraz wypichci w punktach i prześle mu e-mailem. Maciej Libera jako jej zastępca pojechał do Krakowa po jakąś nagrodę, wróci dopiero w nocy i na ile Szpalta go poznała, choćby się waliło i paliło, aż do poniedziałku nie włączy komórki i się nie odezwie. Sekretarz redakcji jest na urlopie w Tunezji. Ona z samego rana w sobotę musi wyjechać do chorego ojca. Jung próbował się wykręcić niewiedzą na temat uchodźców, gdy naczelna przypomniała, że tyle razy ratował redakcję, to i teraz na pewno sobie poradzi. Gdyby jednak padło jakieś pytanie, na które nie będzie umiał odpowiedzieć z sensem, to ma się nie poddawać, tylko tak krętać, żeby nikt tego się nie domyślił. Zresztą narada jest formalnością i poza wicewojewodą nikogo nie interesuje. Wicewojewoda zwołał ją w sobotę przed południem wyłącznie po to, aby przed swoim zwierzchnikiem wykazać się inwencją. Jung nie tyle cenił Szpaltę jako redaktorkę naczelną, co uważał, że jako jej podwładny powinien być lojalny wobec zwierzchniczki. To wpoila mu policja, gdy był nadkomisarzem w pionie kryminalnym. Nie odmawiał prośbie Szpalty nawet wtedy, kiedy nagle musiał zmienić swój plan, co zdarzało się dwa, trzy razy w roku. Po zakończeniu rozmowy z naczelną zadzwonił do Jacka Syskiego, z którym zakolegował się jeszcze na pierwszym roku psychologii. Potem obaj rozpoczęli staż w policji i po jego zakończeniu pracowali w pionie kryminalnym. Niedługo po tym, jak Syski zajął gabinet naczelnika wydziału, Jung odkrył, że zastępca komendanta wycygał szable, szpady, kordelasy i pistolety od wicedyrektora Muzeum Środkowego Nadodrza. Gdyby to się wydało, zastępca straciłby swoje stanowisko w komendzie, a może i miejsce w policji. Ale się nie wydało, ponieważ zastępca kazał Jungowi usiąść

za biurkiem w sekcji prasowej i odpowiadać na pytania dziennikarzy. Podszeptał także inne rozwiązanie: Ponieważ Jung ma za sobą piętnaście lat służby w policji, może przejść na wcześniejszą emeryturę, ale pod warunkiem że oświadczy na piśmie, iż wszystko, czego się dowiedział jako nadkomisarz w pionie kryminalnym, zachowa w tajemnicy. Po rozmowie z Syskim wybrał emeryturę i robotę dziennikarską, tym bardziej że od wielu lat współpracował z „Nowym Przeglądem Policyjnym”. Redaktorka naczelna „Gazety Zielonogórskiej”, do której okrężną drogą dotarło, dlaczego nadkomisarz Jung postanowił odejść z komendy, nawet nie zapytała go o umiejętności pisarskie. Najpierw był ni to asystentem, ni konsultantem i kimś takim, kto nie odmówi Szpalcie pomocy. Sześć miesięcy później został szefem działu kryminalnego przede wszystkim dlatego, że nie gubił się na sądowych korytarzach, miał w małym palcu procedury policyjne i żadnemu rzecznikowi prasowemu nie pozwalał sobą manipulować. Jako reporter śledczy nie lekceważył podpowiedzi tych policjantów, z którymi pracował w komendzie, o czym zawsze informował redaktorkę naczelną. W ramach wdzięczności odważniejszym proponował przeloty swoją motolotnią. Najczęstszym pasażerem był Jacek Syski.

– Zgadzasz się, żebyśmy spotkali się nie w sobotę przed południem na parkingu przy lotnisku, jak się umówiliśmy w czwartek, a dopiero w niedzielę? – Jung zapytał Syskiego przez telefon.

– Mam wolny cały weekend. Pierwszy od urlopu. W sobotę dyżuruje Ilonka, w niedzielę Aracha. Wszystkich Świętych dostał Grodzki – odpowiedział policjant. – Przed chwilą obejrzałem prognozę pogody w telewizji. W sobotę będzie niewielkie zachmurzenie na zachodzie, po południu możliwe przelotne opady. W niedzielę od rana słonecznie i cały dzień bez kropli deszczu, czyli pogoda w sam raz dla nas.

– Nie bardzo. Na lotnisku może być tłok większy niż na giełdzie staroci przy alei Zjednoczenia.

– Na lotnisku tłok bywa w sobotę. W niedzielę motolotniarze są jak policjanci. Jedni idą do kościoła, drudzy z rodzinami wędrują po korytarzach galerii handlowych, a jeszcze inni uważają, że to najlepszy czas na leżenie do góry pępkim przed telewizorem. Mylę się?

– Ostatni dzień października, Jacusiu. Finał sezonu na lotnisku – przypomniał mu Jung. – Chociaż w poniedziałek też wolny dzień, bo Wszystkich Świętych, pierwszego listopada zaczyna się martwy okres.

Tak będzie do końca marca. Kto dotąd się nie nalatał, jutro i w niedzielę na pewno będzie na Przylepie.

Jeszcze kilka lat temu, gdy Jung większość wolnego czasu spędzał na lotnisku i w górze na wózku motolotni, Syski docinał mu, że po odejściu z policji dwa razy stracił rozum. Pierwszy wtedy, kiedy został reporterem śledczym zamiast założyć firmę detektywistyczną, i drugi, gdy po lekturze książek fantastyczno-naukowych zapisał się do sekcji motolotniarskiej Aeroklubu Ziemi Lubuskiej. Nie znając dowodów na uznanie motolotni za niebezpieczną maszynę, jednak tak ją traktował. Już prędzej dałby się namówić na podziwianie świata z balonu, chociaż i to uważał za ryzykanckie. Jednak kiedyś zabrał się z Jungiem na lotnisko i wbrew temu, jak traktował motolotniarstwo, zdecydował się z góry obejrzeć lasy, łąki i pola wokół Zielonej Góry. Od tamtego czasu już nigdy nie wypowiedział krytycznej opinii o motolotniarzach, baloniarzach, spadochroniarzach i pilotach szybowców, a nawet, do czego nie chciał się przyznać, stał się gorliwym entuzjastą oglądania naszej planety z góry. Czytał wspomnienia oblatywaczy i opowieści, których bohaterami byli piloci. Przeciwników tego hobby usiłował gasić maksymą Leonarda da Vinci: „Wystarczy, że raz doznasz lotu, a będziesz zawsze chodził z oczami zwróconymi w stronę nieba, gdzie byłeś i gdzie pragniesz powrócić”. Większość pokazywała mu dużym palcem czoło.

Po każdym wylądowaniu na płycie lotniska Syski pomagał Jungowi wepchnąć motolotnię do hangaru i tak długo razem ją przeglądali, aż stwierdzili, że wszystkie części znajdują się tam, gdzie ich miejsce. Gdyby któryś element poluzował się czy pękł, Jung miał tydzień na usunięcie usterki. Przygotowanie maszyny do bezpiecznego lotu traktował rygorystycznie, tym bardziej że niemal zawsze latał z pasażerem. Po zakończeniu przeglądu dolewał benzynę do baku i uruchamiał silnik. Dopiero gdy uznał, że motolotnia została przygotowana do latania, zamykał wrota hangaru na kłódkę magnetyczną i dodatkowo przeciągał plombę linkową przez ucha klamry.

– Obawiasz się, że ktoś może coś... W nocy palą się lampy wokół ogrodu. Są włączone czujniki ruchu. Tyłu kamer na podczerwień, ile wisi wokół hangarów, nie ma nawet przed aresztem śledczym przy Łużyckiej. Gdyby jednak jakimś cudem ktoś dostał się za ogrodzenie, włączy się alarm i ochroniarz będzie wszystko widział na ekranie monitora – powiedział Syski.

Chciał dodać, że na tak chronione lotnisko nie wślizgnie się nawet mysz, gdy sobie przypomniał to, co się wydarzyło dwa lata temu. Prawda, wtedy było mniej zabezpieczeń, to i pod osłoną nocy prześladowczyni doktora Letzkiego przecięła siatkę nożycami do drutu. Mało tego, dostała się do hangaru, gdzie stały motolotnie Junga i Letzkiego i jedną uszkodziła. Na szczęście Junga, nie była to jego maszyna.

– To z przyzwyczajenia i wedle zasady, że strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– Od kiedy wierzysz w Pana Boga? – Syski roześmiał się szeroko.

– Trochę wierzę i trochę nie wierzę. Jak większość polskich katolików bywam w kościele dwa, trzy razy w roku. Pasterka, rezurekcja. Czasem chrzciny, zaślubiny, pogrzeb. W niedzielę najczęściej się dzieje, to jako dziennikarz wtedy pracuję. Ślub kościelny wziąłem, zresztą taki warunek postawiła Miśka. Jeszcze nie napisałem testamentu. Kiedy z tą sprawą pójde do notariusza, to go poproszę, aby zaznaczył, że życzę sobie pogrzeb z udziałem księdza. To także wymusiła na mnie Miśka.

– Pewnie ze względu na tych, którzy przyjdą na twój pogrzeb.

– Także. Ale i za namową Bogusia Letzkiego. Nie wprost. Pośrednio. Nie chciałbym, aby nad moją trumną gawędził taki, który się uważa za świeckiego mistrza ceremonii. W rzeczywistości kopiuje księdza nawet w ubiorze. Ma jedynie tę przewagę nad księdzem, że nie mówi „co łaska”, tylko pokazuje cennik i wypisuje rachunek. Zapłata za pracę.

Syski zapamiętał, że dwa lata temu pomagier doktora Letzkiego, który miał klucze do hangaru, bez wiedzy i zgody właściciela uruchomił motolotnię i wybił się w powietrze. Niecałe cztery minuty później maszyna runęła na las za lotniskiem. Jako przyczynę wypadku biegły z uniwersyteckiego zakładu budowy i eksploatacji pojazdów wskazał przecięty przewód doprowadzający paliwo do silnika. Nadkomisarz Mrozińska, która prowadziła śledztwo, nie wskazała na doktora Letzkiego jako sprawcę, ale i nie uwolniła go od podejrzania. Kto to zrobił, dlaczego i kiedy, tego nie potrafiła wyjaśnić. Dopiero gdy Syski podążył tropem profesora Witkowskiego do Gubenu, Letzkiemu udało się uwolnić od podejrzania. Wężyk zaopatrujący silnik motolotni w benzynę przecięła Polka pracująca w Niemczech. Wynajęła ją właścicielka Kulsch Medizintechnik, która chciała pozbawić życia doktora Letzkiego tylko dlatego, że opracował metodę uzyskiwania materiału nierdzewnego na implanty stawów biodrowych i sprzedał ją zielonogórkowskiemu

Olemedowi, a nie jej firmie, pomimo tego że zaoferowała wyższą cenę. Jak się później przyznała, miało to być ostrzeżenie za lekceważenie.

– Ledwie wyjechałem z domu i już nie dają mi spokoju – wymamrotał Syski, wyjmując komórkę z kieszeni. – Dyżurny komendy – zakrywszy mikrofon ręką, szepnął do Junga. – Znosi się na urwanie jaj. W innej sytuacji by nie zadzwonił. – Palcem wskazującym przesunął zieloną ikonkę w prawo i pomimo tego, że wiedział, kto chce z nim rozmawiać, przedstawił się. – Słucham cię, przyjacielu – powiedział i po chwili poradził, aby zadzwonił do podkomisarza Araszkiewicza. – Dziś Aracha trzyma rękę na pulsie. Ja mam wolne. No, chyba że rzeczywiście będzie większa bonanza, to wtedy cały wydział postawi się na nogi.

Co dyżurny odpowiedział, tego Jung nie słyszał. Jednak coś takiego, że i on, gdy spojrział na Syskiego, uznał to za bardzo ważne.

– Koniec latania? – zapytał.

Komisarz przytaknął.

– Samobójstwo w hotelu Grempler. W trakcie wesela. Tyle dowiedział się dyżurny. Może zabójstwo? Młoda kobieta. Żona jakiegoś Niemca. Kogoś od wielkiego biznesu. Miranda? Milena? Mirela? Czy jakoś podobnie? Imię jakby nie polskie. Dyżurny pierwszy raz je usłyszał. Nazywa się... jeśli dobrze zapisał, Polchofer. Niemka albo Polka, która wyszła za Niemca.

– Pohlhoffer?

– Jakoś tak powiedział dyżurny.

– Identycznie nazywa się właściciel zakładu drzewnego w Jakubinie. Robią tam architekturę ogrodową i jeszcze coś, co ostatnio jest modne od Władystoku po Cabo da Roca. – Syski zrobił minę pytającą, Jung więc wyjaśnił, że miał na myśli płotki, sztachety, pergole, altany, ławki, stoły, skrzynki na kwiaty. Te przedmioty firma w Jakubinie robi z najgorszego drewna, dlatego są tanie, czego klienci się nie domyślają. Powinna je impregnować albo w inny sposób zabezpieczyć przed wilgocią, ale tak się nie dzieje. W instrukcji bezpiecznego użytkowania firma informuje klienta, że kupił wyrób przyjazny naturalnemu środowisku człowieka. W rzeczywistości chodzi o to, żeby te płotki, skrzynki, ławki po trzech latach użytkowania spróchniały i klient znowu poszedł do sklepu. Dlatego popyt na nie w zachodniej Europie nie spada, a zaraz za Odrą i Nysą, przede wszystkim w Brandenburgii, gdzie Niemcy chcą dorównać tym z Hesji czy Bawarii, jeszcze rośnie. – Pohlhoffer to odpowiednik Gremplera

w Zielonej Górze czy Stokłosy w Śmiłowie albo starego Balcerzaka w Sławie. Oprócz ogromnego zakładu drzewnego ma kilka mniejszych firm. Wszystkie są w Jakubinie. On jest zadowolony i wszyscy wokół są zadowoleni. A najbardziej wójt i miejscowi, już coraz mniej liczni rolnicy. Odbiorca mleka, mięsa, warzyw, owoców i co tam jeszcze wieś wytworzy w swoich gospodarstwach, jest pod nosem i płaci od ręki. Oraz, co jeszcze ważniejsze, ludzie nie szukają pracy.

– Pewnie płaci nie najgorzej.

– W Niemczech jedna z firm Pohlhoffera produkowała jakieś materiały dla budownictwa. Co i gdzie dokładnie, mniej to mnie interesowało. A właściwie wcale. Zdaje się, że jakieś pianki montażowe, uszczelniacze, kleje. W razie coś, bez czego trudno postawić dom. Ponieważ tam koszty produkcji tylko rosły, przeniósł firmę do Polski. Ile jest z Jakubina do Gubenu? – zapytał i sam sobie odpowiedział: – Najwyżej dwadzieścia minut. Taka odległość nie ma większego znaczenia przy dzisiejszej technice, prawda? W Niemczech Pohlhoffer był jednym z wielu przedsiębiorców z głową. W Polsce jest kimś, komu miejscowi kłaniają się w pas. Krąży opinia, że w Jakubinie nic się nie zdarzyło bez jego zgody. Wszystko co tam jest, powstało na polecenie Pohlhoffera. Większość już do niego należy lub niedługo będzie należało. Od dnia, kiedy zamieszkał w Jakubinie, wybory wójta wygrywali jedynie ci, których on zaproponował i namaścił.

– Ludziom to odpowiada? Co się pytam? Najważniejsze, że mają pracę, a reszta...

– Pan na Jakubinie. Tak o nim mówią w Krośnie.

– Z panami trudno się rozmawia.

Teraz Jung przytaknął. On nie, jego koledzy z „Zielonogórskiej” próbowali kilka razy dostać się do Pohlhoffera. Nie odmówił, ale i niczego nie wyjaśnił.

– Domyślam się, że dziś niewiele będziesz w stanie powiedzieć na temat tego, co się wydarzyło w Gremplerze. Nie byłbym sobą, gdybym przed wieczorem do ciebie nie zadzwonił. W jutrzejszej gazecie musi się znaleźć przynajmniej zdanko na ten temat.

– Ostrouchy...

– Po starej znajomości, Jacusiu.

– Aracha...

– Araszkiwicz? A Ostrouchy? Zresztą przestrzegam naszej zasady: dopóki prokurator czy policja nie wyfasuje oficjalnego komunikatu albo nie wezwie

dziennikarzy na konferencję, „Zielonogórska” nie poda źródła informacji. Miałeś kiedykolwiek piekło z mojego powodu?

Syski rozłożył ręce, co oznaczało, że zgadza się z Jungiem.

ZIELONA GÓRA, UL. GŁOGOWSKA, NIEDZIELA, POPOŁUDNIE

Komisarz Syski nigdy nie był w Gremplerze służbowo ani nawet prywatnie. Dlatego zapytał Junga, jak tam się dostać. Daniel wyjaśnił mu, że niewidoczny z ulicy hotel jest ukryty za ścianą wiązów i brzóz na wyniesieniu po prawej stronie w pobliżu ostatniego ronda w stronę Wrocławia, gdzie jeszcze dwa lata temu strzeliste drzewa rozmawiały z chmurami. Żeby tam trafić, trzeba ominąć parking dla ciężarówek i przed ogromną tablicą zapraszającą na domowe obiady w restauracji Anatra przy drzonkowskich basenach skręcić w prawo. Asfaltówka doprowadzi go na parking przy hotelu. Także może tam dojechać od strony Jendrychowa, tyle że będzie miał dalej, za to szutrówka najpierw biegnie wzdłuż ogródków, potem zapuszcza się w las sosnowy.

W ostatniej dekadzie po południowej stronie Zielonej Góry wyrosło tyle hotelików, pensjonatów, zajazdów, hurtowni, marketów, pole golfowe, strefa dinozaurów i park linowy z placem do gry w bule, że ten, kto wrócił do miasta po dłuższej nieobecności, mógł się tam zagubić. Jacek Syski wyjeżdżał z Zielonej Góry jedynie na szkolenia do Legionowa i Szczytna oraz na tygodniowe wycieczki za granicę, a mimo to na obrzeżach miasta czuł się obco. Zresztą i w centrum już nie był taki pewny jak dawniej przede wszystkim dlatego, że najpierw radni zmienili nazwy ulic, którymi chodził do podstawówki i liceum, później banki, biura rachunkowe i agencje nieruchomości wyeksmitowały sklepy z parterów kamienic przy głównych traktach. Restauracje, kawiarnie i lodziarnie same się wyniosły ze śródmieścia. Pozostały jeszcze gołębie, ale i one, gdy domyślą się, dlaczego ludzie przestali je żywić i turyści podziwiać, odfruną ze Starego Rynku i placyków między wiekowymi kamieniczkami. Tak się dzieje w większości dużych miast w Polsce.

– Na sto procent mamy samobójstwo – powiedział Araszkiewicz to, czego Syski wcześniej się dowiedział od dyżurnego komendy. – Denatką jest

kobieta. Lat? Bo ja wiem? Na oko nie mniej niż trzydzieści i nie więcej niż czterdzieści. Bliżej czterdziestki. Żyły przecięte o tu – podciągnął rękaw koszuli i pokazał na nadgarstek lewej ręki. – To znaczy u jednej i drugiej.

– Widziałeś to czy po kimś powtarzasz?

– Doktor Kamińska jeszcze nie dojechała. Rozmawiałem z nią przez komórkę. Ma coś do załatwienia w szpitalu. Nie naciskałem. Denatce nie pomoże, a my i tak będziemy marudzili do nocy. Jeszcze zdąży obejrzyć ciało. Łapiduchom z patologii też się nie spieszy. Kamińska prosiła, żebyśmy nie wyciągnęli denatki z wanny przed jej przyjazdem do hotelu.

– To kto ci powiedział, że kobieta przecięła sobie żyły u obu rąk?

– Jak to kto? – Araszkiewicz zdębiał. – Widziałem na własne oczy.

– Znasz się na tym? Od kiedy?

– Pokazywali na wykładach. Z Legionowa wozili nas na Oczki do Warszawy.

– I zrobiłeś wszystko tak, jak tego nauczyl cię na kursie?

Podkomisarz wyprężył się i stanął na baczność. Dopiero teraz Syski zwrócił uwagę na zaczesane do góry i wyżelowane włosy i wygolone boki nad uszami. Gdybym miał mniej lat i więcej włosów na głowie, pewnie także starałbym się być w zgodzie z modą, pomyślał.

– Tak jest, panie gubernatorze krymu.

Syski nie lubił takiego zachowania, tym bardziej że nie przyjechał do hotelu w mundurze, ale nie skarcił Araszkiewicza, nawet się nie skrzywił. Zaraz po powrocie z Legionowa podkomisarz nazwał naczelnika wydziału kryminalnego gubernatorem krymu. Gdy Syski zapytał, skąd to określenie, odpowiedział, że tak mówią między sobą kryminalni w innych komendach. I zaraz pochwalił się znajomością słownika żargonu policyjnego: baza lub fabryka to komenda, dzięcioł – młody policjant, skóra – zgon, nielegalny ubój – zabójstwo, wieszak albo breloczek – wisielec, faktura – mandat, antek – antyterrorysta, krym – wydział kryminalny. Syski był pewny, że i to przejdzie Araszkiewiczowi, jak przeszło mu odpowiadanie na pytania słowami „dokładnie” albo „jestem na tak”, opisywanie niemal wszystkiego jako „super” lub „mega”, rozpoczynanie zdania od „Powiem tak”. Najbardziej złościło komisarza zbyt częste powtarzanie „Na chwilę obecną”. Zresztą zastępca komendanta także wpadł w te same wnyki i odprawy zaczynał od słów „Na dzień dzisiejszy”. A kiedy gdzie tylko się dało Araszkiewicz zaczął wciskać *please, sorry, okey, yes, no*, naczelnik wydziału zagroził,

że wysłał go do Europolu na szkolenie tłumaczy zamiast na kurs młodych detektywów w Legionowie. To wystarczyło, żeby przestał się popisywać. Zresztą Natasza, czupurna żona Araszkiwicz, także często wtrącała modne słowa. Z niej więc podkomisarz brał przykład, domyślał się Syski.

– Wszystkim weselnikom kazałem siedzieć w restauracji. W samo południe miały się zacząć poprawiny, ale...

– Denatka nazywa się Pohlhoffer, tak? – zapytał komisarz, jakby sprawdzał, czy Araszkiwicz na pewno zrobił to, co jest obowiązkiem policjanta pionu kryminalnego zaraz na początku śledztwa. Miał powody nie ufać temu podwładnemu.

– Tak jest, panie naczelniku. – Araszkiwicz wyprężył i stanął na baczność. – Pohlhoffer Mirabella. Ma lat... Między trzydziestką a czterdziestką.

– Jakies podejrzenia? Ktoś pomógł jej zejść z tego świata?

– Po aptekarsku sama się odstrzeliła. Tak to wygląda na dzień dobry. Przyjedzie doktor Kamińska, to...

– Czy zdążyłeś jeszcze coś ustalić?

– Kobieta, jak mówiłem między trzydziestką a czterdziestką, bliżej czterdziestki, podcięła sobie żyły u obu rąk – powtórzył Araszkiwicz i zaraz dodał, że stało się to w nocy lub nad ranem.

– Sama przebywała w pokoju? Z kimś? Dlaczego nikt nie zareagował? Małżonek? Co mówi jej mąż? Rozmawiałeś z nim?

– Nie wiem, jak on wygląda – przyznał się podkomisarz. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że nie zainteresował się mężem denatki. Rozmawiał z rodzicami młodej pary i z mężczyzną, który znalazł kobietę w wannie. Może to był mąż? – Zaraz każę chłopakom, żeby go odszukali.

– Później to zrobisz. Teraz prowadź do jej pokoju – polecił Syski, zerkając na tabliczki ze strzałkami wskazujące drogę do schodów ewakuacyjnych.

– Windą będzie szybciej. Po co się męczyć? To trzecie piętro, szefie, a pan swoje lata ma.

Komisarz chciał się pochwalić, że zeszłoroczny test sprawnościowy zdał na czwórkę z plusem, najlepiej spośród wszystkich naczelników w komendzie, nic mu nie dolega, jeśli nie liczyć powiększenia gruczołu krokowego, co czasem przeszkadza, i jeszcze nie czuje się jak pierdziel pod ochroną, ale tylko machnął ręką. Araszkiwicz został warunkowo awansowany

na podkomisarza, dlatego że oblał próbę biegową i na trójkę z dwoma minusami zdał egzamin z propedeutyki prawa karnego.

Gdy spacerujący wzdłuż korytarza starszy posterunkowy zobaczył kryminalnych, zatrzymał się i wyprężony pokazał głową na drzwi do pokoju trzydzieści osiem. Komisarz nie miał nic przeciw policjantom, którzy przestrzegali procedur, ale nie lubił, kiedy zachowywali się na służbie tak, jakby byli ordynansami. Syski nigdy nie płaszczył się przed zastępcą komendanta, jak i nie kadził komendantce, chociaż bardzo lubiła, gdy podwładni karmili ją pochlebstwami. Może dlatego od zdegradowania z nadkomisarza na komisarza, co stało się osiem lat temu, Syski nie dostał pochwały ani medalu Za długoletnią służbę, chociaż w lipcu tego roku mógłby świętować dwudziestolecie pracy w pionie kryminalnym. Jedyne komisarz Grodzki miał dłuższy staż o rok, lecz i on nie należał do towarzystwa pupilów komendantki. Nawet był pomijany przy podziale nagród z okazji Święta Policji, mimo że związkowcy każdego roku wpisywali go na listę kandydatów.

Araszkiewicz wyjął z kieszeni dwa komplety rękawiczek lateksowych, jeden przydzielił komisarzowi, stanąwszy z boku, zaczął naciągać drugą parę na swoje dłonie, tym samym dając do zrozumienia Syskiemu, że poczeka, aż naczelnik wydziału wejdzie pierwszy do pokoju.

Jeszcze jeden, który zachowuje się jak ordynans, pomyślał o nim komisarz. – Na co czekasz? – rzucił Syski do Araszkiewicza. – Prowadź.

Podkomisarz nacisnął klamkę i powoli otwierał drzwi, jakby się wkradał do pokoju. Prześlizgnąwszy się między łóżkiem, biurkiem i krzesłem, z którego zwisała karminowa sukienka, zapalił światło w łazience, po czym pokazał ręką na ścianę ochlapaną krwią. Syski zacisnął usta i zrobił dwa kroki w stronę wanny.

– Wygląda na czyn szaleńczy. – Ile razy stał w pobliżu samobójcy, tyle razy przypominał mu się Józefik, którego Syski zastąpił w gabinecie naczelnika wydziału kryminalnego. Nadkomisarz też podciął sobie żyły w nadgarstkach, dlatego że miał przed sobą najwyżej sześć miesięcy życia w cierpieniu. Wtedy rak żołądka oznaczał powolne umieranie. Onkolog, który badał go w poliklinice, powiedział, że gdyby przyszedł pół roku wcześniej, może by doczekał emerytury. – Co jeszcze udało ci się ustalić?

Araszkiewicz wyjął notesik z kieszeni. Przewróciwszy kilka kartek, przeczytał:

– Pohlhoffer Mirabella, mężatka, zamieszkała w Jakubinie, ulica Pałacowa. Gdzie to jest, trzeba sprawdzić.

– Spora wieś pomiędzy Nowogrodem a Krosnem. Naszym Krosnem, to znaczy Odrzańskim, a nie tym na Podkarpaciu – powtórzył Syski to, czego się dowiedział od redaktora Junga. – Powiadomiłeś ludzi?

– Zaraz przyjadą technicy i zaczną robić swoje. Oni swoje, my swoje. Chciałem ściągnąć Bojkę do pomocy, ale, skurwiel, ze swoją ślubną szurnął do Karpacza. Trzy dni świąteczne. To pomyślałem o Kleemannie. Najlepszy od samobójów. Nie odebrał telefonu. Wysłałem mu esemesa, ale cisza. Grodzki trochę burczał. Jak to on potrafi. Jednak dziś przyjedzie, chociaż jutro jego dyżur. We trzech powinniśmy dać radę. Kleemann byłby najlepszy, ale w niedzielę... W razie czego ściągnie się Ilonkę Mrozińską. Jeszcze jest ta nowa. Jak jej?

– Aspirant magister Białek – przypomniał Syski.

– Nie ruszałbym mojej Nataszy. Żona nie najlepiej się czuje. Do wieczora wszystko powinno być jasne.

– Co jasne?

– Idę o zakład, szefie, że Ostrouchy sprawę umorzy.

– Nie bądź taki pewny. Ich także rozliczają z wyników – powiedział komisarz, pokazując wzrokiem na okrwawioną brzytwę, która leżała na brzegu wanny. – Czyżby tym się załatwiła?

– A...?

– Brzytwa.

– Brzytwa?

– Narzędzie przede wszystkim do golenia męskiej brody. Który mężczyzna w dwudziestym pierwszym wieku goli się brzytwą? Skąd ją wzięła kobieta? Miała w kosmetyczce? Po co? Do usuwania włosów tam, gdzie słońko nie zagląda, używa się wosku, a jeszcze wygodniejsze są plastry. Obcinacz paznokci, pilniczek, tarka do nóg, pęseta, zalotka, nożyczki do skórek, puderniczka – wyliczał komisarz, próbując sobie przypomnieć, co jeszcze jego żona trzyma w kosmetyczce. – Oczywiście i te wszystkie mazidła. – Ponieważ podkomisarz wybałuszył oczy, Syski wyjaśnił: – Kremy, podkłady, kredki, szminki, tusz do rzęs. Prezerwatywy również.

– O, holibka! Będzie tęgi zapieprz – orzekł podkomisarz.

Doktor Kamińska przyjechała do Gremplera szybciej niż się spodziewał Araszkiwicz. Potwierdziwszy to, co podkomisarz przekazał naczelnikowi

wydziału, wyjaśniła, że doszło do przecięcia żył powierzchniowych.

– To doprowadziło do wykrwawienia i prawdopodobnie było przyczyną zgonu.

– Prawdopodobnie, pani Krystyno?

Komisarz natychmiast skarcił Araszkiewicza zimnym wzrokiem. Tyle razy mówił, żeby podczas śledztwa nikt nie zwracał się do biegłych po imieniu. Niemal wszyscy lekarze sądowi, psychologzy, prokuratorzy, sędziowie to znajomi lub koledzy Syskiego, mimo to każdego traktował tak, jakby dopiero się poznali. Co innego gdy byli sami.

– Po sekcji będę pewniejsza. Moim studentom tłumaczę, panie Tadeuszu, że lekarz zawsze powinien mieć wątpliwości i nadzieję.

– Przecięcie żył równocześnie u obu rąk? – zapytał Syski, jakby chciał się upewnić, że poprawnie rozumuje. – Czy to możliwe?

– Nie tak dokładnie. Oczywiście że nie mogła zrobić tego równocześnie. Najpierw przecięła żyłę u jednej ręki, potem u drugiej. Nie za wiele mam doświadczenia z samobójstwami, a z samobójstwami prowadzącymi do wykrwawienia prawie w ogóle. Właściwie dziś pierwszy raz.

– Ja także – powiedział Araszkiewicz, jakby się tłumaczył.

– Czeka was, panowie, sporo roboty.

– Po to jesteśmy. – Podkomisarz się wyprężył, po czym pokazał na siebie i Syskiego.

– Nie przesadzaj, Aracha – zgasił go naczelnik wydziału.

– Co musiało się zdarzyć w życiu młodej kobiety, ale przecież nie siksy, żeby przecięła sobie żyły w hotelowej wannie? Podczas wesela? – zapytała z niedowierzaniem lekarka.

– Identycznie jak Whitney Houston, znana amerykańska piosenkarka. Tyle że tamta utonęła w wannie po przedawkowaniu kokainy – powiedział Araszkiewicz, czym zaskoczył Syskiego. – Britney Spears nagrała taki teledysk *Everityme*, w którym weszła do wanny i podcięła sobie żyły. Po interwencji rodziców małolatów producenci teledysku zmienili tę scenę.

Pewnie usłyszał to na kursie w Legionowie, pomyślał komisarz. Syski także jeździ tam co kilka miesięcy. Ostatnie szkolenie było na temat samobójstw. Zapamiętał kilkanaście ofiar, których nazwiska kiedykolwiek obity mu się o uszy. Amerykańska piosenkarka Simone Battle powiesiła się w swoim mieszkaniu, identycznie jak Lawren Scott, partnerka Micka Jaggera, twórcy sławnego zespołu The Rolling Stones. Dlaczego to zrobiły, tego

wykładowca nie wyjaśnił i nikt spośród słuchaczy nie zapytał o powody. Więcej powiedział o angielskiej wokalistce Amy Winehouse, która, jak pierwotnie podano, przedawkowała narkotyki, potem zmieniono to na zatrucie mocnym alkoholem po długiej abstynencji. W organizmie byłej modelki, afroamerykańskiej pieśniarki, aktorki i autorki tekstów Whitney Houston patolog znalazł więcej niż ślady kokainy, marihuany i alkoholu. Narkotyki i napoje wyskokowe to najczęstszy mordercy artystek. Jak trzeba być zbolaną, żeby położyć się na torach i czekać na przejeżdżający pociąg, a tak postąpiła czeska piosenkarka Iveta Bartošova. Czy uważana za ikonę kultury popularnej amerykańska aktorka Marilyn Monroe na pewno świadomie przedawkowała środki nasenne, żadnemu jej biografowi nie udało się tego potwierdzić. Może zrobili to lekarze przez pomyłkę albo na rozkaz mafii czy agencji wywiadowczej? A może jej gosposia? Jedno jest pewne: ta skłócona z życiem Amerykanka zmagala się z problemami psychiatrycznymi. Nie tylko kobiety wybierały śmierć samobójczą. I nie tylko za granicą. Zbliżający się do dziewięćdziesiątki Andrzej Łapicki, polski aktor o charakterystycznym tembrze głosu, nie poddał się dializie, co mogło być powodem jego śmierci. Ci, którzy lepiej go znali, twierdzili, że miał dość starości i bardzo młodej żony. Aktor znany z głównej roli w *Siekierzadzie*, Edward Żentara, przeciął sobie żyły podudzi. Autor powieści, na podstawie której powstał ten film, Edward Stachura, zanim uciekł ze szpitala psychiatrycznego i się powiesił w swoim mieszkaniu, najpierw rzucił się pod pociąg, którego koła obcięły mu cztery palce prawej ręki, potem próbował podciąć sobie żyły nożem. Z okna swego mieszkania wyskoczył Adam Pawlikowski, aktor, który odniósł sukces w *Popiele i diamentach*, uznanym za filmowe arcydzieło Andrzeja Wajdy. To samo zrobił publicysta Henryk Holland, gdy został oskarżony o ujawnienie tajemnicy partyjnej, skacząc z szóstego piętra podczas rewizji prowadzonej przez Służbę Bezpieczeństwa w jego mieszkaniu. Z powodu nieszczęśliwej miłości aktorka Anna Szczepanik także wyskoczyła przez okno. Przeciąwszy tętnicę szyjną i zażywszy weronal odebrał sobie życie pisarz, dramaturg, malarz, filozof Stanisław Ignacy Witkiewicz. Śmiercią samobójczą zmarli poeci Tadeusz Borowski, Jan Lechoń, Stanisław Piętak, Aleksander Wat, Rafał Wojaczek, komediopisarz Michał Bałucki, prozaicy Jerzy Kosiński, Jerzy Krzysztoń i Zygmunt Trziszka. Za granicą takich znanych postaci, którzy wybrali przedwczesną śmierć były tysiące, na przykład Sergiusz Jesienin, Sylvia Plath,

Jim Morrison, Arthur Rimbaud, Paul Verlaine, Charles Baudelaire. Na koniec wykładowca powiedział, że to artyści wyklęci. Uznania doczekali się dopiero po samobójczej śmierci.

– Z literatury przedmiotu pamiętam, że ten rodzaj zakończenia życia najczęściej młode kobiety, ba, nastolatki. Na pierwszym miejscu jest nieodwzajemniona lub zawiedziona miłość. Na drugim niechciana ciąża. Rzadziej niepowodzenie w nauce, a jeśli już się zdarzy, to częściej dotyczy licealistek niż studentek. Nie można wykluczyć depresji, tyle że badania naukowe niewiele miejsca poświęcają jej jako przyczynie samobójstw ludzi młodych. Depresja jest na pierwszym miejscu wśród średniego i starszego pokolenia samobójców. Przede wszystkim kobiet. Czyjś telefon dzwoni. Przepraszam, to mój. – Doktor Kamińska wyjęła komórkę z kieszeni fartucha, podniosła ją do ucha i zrobiła krok do tyłu, jakby nie chciała, żeby policjanci słyszeli rozmowę. – Kierowca pyta, za ile ma przyjechać po zwłoki – zwróciła się do Syskiego, mimo że wiedziała, jaką rolę pełni Araszekiewicz w niedzielę.

– Nie wcześniej jak za dwie, trzy godziny. Nasi technicy dopiero zaczęli zajmować się tym, co należy do ich zadań. Kolega Araszekiewicz – naczelnik wydziału wyciągnął rękę w stronę podkomisarza – dziś gra pierwsze skrzypce. O wszystkim jednak zadecyduje prokurator Ostrouchy, kiedy tu przyjedzie.

– Nigdy nie spotkałam się z taką sytuacją, żeby ktokolwiek przeciął sobie naczynia krwionośne u obu rąk równocześnie – przyznała się Kamińska.

– Ja też – powiedział Araszekiewicz.

Syski zmierzył go pobłażliwym spojrzeniem i nieznacznie się uśmiechnął.

– Ona musiała być w wyjątkowym stanie psychicznym. Desperatka? Z jakiego powodu? Pijana? Fakt, jak na kobietę, sporo wypila. Pomimo tego nie dałabym głowy sobie uciąć, że tylko alkohol pchnął ją do samobójstwa. Proszę dobrze pomyśleć, panowie. – Lekarka umilkła na chwilę, jakby spodziewała się, że policjanci odpowiedzą. Ponieważ milczeli, Kamińska kontynuowała: – Czy pijana kobieta jest w stanie napuścić wody do połowy wanny, wyjąć brzytwę z kosmetyczki, bo chyba tam ją miała, jeśli naprawdę miała, zasunąć zamek kosmetyczki i odłożyć ją na półkę, rozebrać się, zaciągnąć zasłonkę przed wanną, wejść do wody i przeciąć sobie żyły? Jeśli panowie tak długo się zastanawiają, to znaczy, że moje pytanie jest z tej ziemi. A może profesor Libera powinna wypowiedzieć się w tej sprawie? Policja często korzystała z jej podpowiedzi.

– Pani doktor uważa, że to nie było samobójstwo?

– Tak podpowiada mi przeczucie, panie naczelniku. Przeczucie, a nie doświadczenie.

– Niekiedy to, co pani nazwała przeczuciem, jest ważniejsze niż doświadczenie. Mnie intuicja podpowiada, że rozwiązanie tej zagadki nie będzie ani łatwe, ani szybkie. Oczywiście rozwiążemy ją, po to jesteśmy, ale zajmie nam to dużo czasu. I zanim przedstawimy winowajcę, okaże się, że wszystkie tropy były fałszywe.

– Pani doktor nie zaprzecza, że doszło do przecięcia żył przy użyciu brzytwy? – upewnił się Araszkiwicz.

– Przy użyciu bardzo ostrego narzędzia, panie Tadeuszu. Na krawędzi wanny leżała zakrwawiona brzytwa, więc... Gdyby tam był skalpel chirurgiczny, ze stuprocentową pewnością powiedziałabym, że przecięcie naczyń krwionośnych nastąpiło przy jego użyciu.

– Brzytwą przecięła sobie żyły i odłożyła ją na krawędź wanny? Czy to możliwe, pani doktor?

Kamińska rozłożyła ręce i pokręciła głową.

– Jeszcze jedno pytanie, na które nie potrafię odpowiedzieć, panie Tadeuszu. Tu nawet przeczucie na razie na nic mnie nie naprowadza. Mężatka, a gdzie jej mąż?

– Zabiła nam pani ówieka – orzekł Syski. – I to takiego na wylot.

– Nie ja, panie komisarzu. Nie ja. Ona. – Doktor Kamińska pokazała na denatkę leżącą w wodzie zabarwionej na czerwono.

– Z babami zawsze... – zaczął Araszkiwicz i natychmiast urwał, zganiony wzrokiem naczelnika wydziału.

Lekarka lekko się uśmiechnęła.

– Pan, komisarzu, jako bardziej doświadczony oraz dżentelmen z krwi i kości lepiej ode mnie zna się na męskiej higienie. Chodzi mi o przedmiot dawniej używany do golenia zarostu twarzy.

Syski otworzył usta, ale nic nie powiedział. Jeszcze nie słyszał, żeby któraś kobieta nazwała go dżentelmenem. Codziennie rano się goli, zmienia koszulę, skarpety i majtki, raz w miesiącu bywa u fryzjera, częściej chodzi do kosmetyczki niż do dentystki, zagląda do drogerii, lecz nie uważa tego za coś wyjątkowego. Jako naczelnik wydziału kryminalnego stara się świecić przykładem, tym bardziej że uważa się za wyrozumiałego szefa i obowiązkowego policjanta. Wprawdzie komendantka zdegradowała go z nadkomisarza do komisarza, ale to nie miało nic wspólnego z jego

niezależnością, odwagą i przede wszystkim honorem. Skoro ona nazwała mnie dżentelmenem, niech tak zostanie. Jestem bardziej mężczyzną z zasadami, przebiegło mu przez myśl.

– Ostatnią osobą, w rękach której widziałam brzytwę, był dziadek mojego męża. Proszę mi wybaczyć pytanie być może nie na miejscu – zastrzegła lekarka. – Czy zna pan kogoś, kto goli się brzytwą? A pan Tadeusz?

– Pierwszy raz zobaczyłem takie narzędzie dopiero tutaj – przyznał się Araszkiwicz.

– Zdarzyło się raz, może dwa, że porannym pociągiem wróciłem z Warszawy. Nie chciało mi się jechać autobusem do mieszkania na Zaciszu, żeby się ogolić i przebrać. Z dworca przez deptak na nogach drałowałem do komendy. Mogłem iść krótszą drogą koło urzędu i przez Wzgórze Winne. Wybierałem tę dalszą koło pomnika Bachusa. Nawiasem mówiąc, Bachus witający przychodniów na deptaku, to najbardziej udana figura w mieście.

– A mnie bardziej się podobają bachusiki – wtrącił podkomisarz.

– Odkąd pamiętam, pod Aldemedem zawsze był zakład fryzjerski – kontynuował Syski. – Kiedyś pracowali tam sami mężczyźni. Teraz same kobiety. Niewiele więcej się zmieniło. Modelują fryzury, strzygą włosy i golą brody na mokro. I nadal do gładkiego golenia używają brzytw.

– Jeśli dobrze się domyślam, pani doktor uważa, że denatka podcięła sobie żyły brzytwą – ni to spytał, ni stwierdził Araszkiwicz, chociaż kilkanaście minut temu Kamińska co innego powiedziała. – Na kursie mówili, że żyłetka jest najczęstszym narzędziem używanym przez samobójców, którzy wybierają śmierć przez podcięcie sobie żył. Czy nie zastanawia szefa, dlaczego Mirabella Pohlhoffer wybrała brzytwę?

– O klasyczną żyłetkę teraz nie jest tak samo łatwo jak o brzytwę. Ci, którzy golą się codziennie, posługują się maszynkami z wymiennymi ostrzami albo golarkami elektrycznymi. Są na prąd zmienny i na baterie. Ja preferuję golenie na mokro przy pomocy nożyków znanej powszechnie firmy, której nazwy nie wymienię jedynie dlatego, żeby kolega Araszkiwicz nie posądził mnie o jej reklamę – powiedział Syski głosem wyraźnie uszczypliwym.

Podkomisarz nie zdołał utrzymać uśmiechu. Po powrocie z kursu w Legionowie podczas odprawy Araszkiwicz zapytał, czy wszyscy przyjmą zaproszenie do bufetu w komendzie, gdzie pochwali się nowym mundurem galowym, a właściwie dwoma gwiazdkami na pagonach. Syski ze śmiechem powiedział, że podoficerowie i aspiranci oblewają swoje awanse w bufecie.

Araszkiewicz jako detektyw przeniesiony do korpusu oficerów powinien wydać bankiet w restauracji. Najlepiej w Essenzie na deptaku, skąd najbliższej do postoju taksówek przy filharmonii. Wtedy Araszkiewicz rzucił, że wie, kto jest właścicielem restauracji i póki będzie w wydziale kryminalnym, jego noga tam nie postanie. A w ogóle to żaden państwowy policjant nie ma prawa reklamować prywatnego interesu, o czym mówiono w Legionowie.

Do łazienki wszedł szef techników kryminalistyki.

– Melduje się mój zastęp. Czy chłopaki już mogą brać się do roboty? Im prędzej zaczną, tym szybciej skończą. Niedziela, komisarzu, chcieliby mieć wolny wieczór. Jutro Wszystkich Świętych, to trzeba będzie wybrać się na cmentarz. Niektórzy mają daleko. Ja aż za Kraków.

Syski wyciągnął rękę w stronę Araszkiewicza.

– Dziś Tadeusz zarządza wydziałem. Ja tu jestem w roli przyzwoitki.

– Chwileczkę, kolego podinspektorze. – Araszkiewicz podniósł obie ręce, dając do zrozumienia szefowi techników, żeby poczekał. – Podsumowując, pani Krystyno, kobieta, to znaczy denatka, wróciła do pokoju. Tam się rozebrała, weszła do łazienki, napuściła wody do wanny, wyjęła brzytwę z kosmetyczki i podcięła sobie żyły. O której godzinie to się stało?

Lekarka miała ochotę się roześmiać, bo przecież nie ona prowadzi śledztwo, ale udała, że to, co powiedział Araszkiewicz, potraktowała poważnie. Więcej pożytku jest z tego, gdy się pomaga ludziom, niż gdy się ich gani.

– Dokładniejszy czas zgonu będzie w protokole po sekcji zwłok, którą, mam taki zamiar, przeprowadzę jutro przed lub po południu. W tej chwili na podstawie daleko wstępnych oględzin mogę podać czas orientacyjny. Stało się to, panie Tadeuszu, mniej więcej dwanaście godzin temu. To znaczy w nocy około trzeciej, czwartej.

– Aha. – Araszkiewicz kiwnął głową, po czym wyjął notes z wewnętrznej kieszeni służbowej kurtki i coś w nim zapisał.

– Przypuszczalnie od śmierci denatki jej ciało przebywa w wodzie, przez pierwsze godziny pewnie w cieplej lub nawet gorącej. Więc te wszystkie oznaki, które patolog bierze pod uwagę przy ustalaniu czasu zgonu, w tym konkretnym przypadku mają poniekąd inne znaczenie – wyjaśniła doktor Kamińska, zwracając się do podkomisarza.

– No to wszystko jasne. Mamy do czynienia z samobójstwem popełnionym około trzeciej, czwartej nad ranem. Tyle powinno wystarczyć prokuratorowi,

żeby podjął decyzję o umorzeniu śledztwa – powiedział Araszekiewicz do Syskiego przekonany, że tak się stanie. – Niepotrzebnie kazałem dyżurnemu wezwać szefa do hotelu. Sądziłem, że to coś naprawdę poważnego. Przepraszam. Człowiek bez przerwy się uczy.

– Nic to. – Naczelnik wydziału wzruszył ramionami i się uśmiechnął, dając Araszekiewiczowi do zrozumienia, że nie ma do niego pretensji. – Może jeszcze zdążę na lotnisko.

– A dokąd pan leci? – zacięła się lekarka.

Syski odpowiedział, że gdyby nie wezwanie do hotelu, w tej chwili oglądałby lasy, pola i łąki z motolotni należącej do Junga.

– Pozbawiłem się najprzyjemniejszego zajęcia, a czekałem na nie cały tydzień. Mieliliśmy polatać wczoraj, ale wczoraj wieczorem Daniel musiał zmienić plan na sobotę. Umówiliśmy się na niedzielę. Już byłem na lotnisku, nawet pomogłem Danielowi wyprowadzić motolotnię z hangaru i ją przejrzeć.

– Jeszcze raz przepraszam, szefie.

– Pamiętaj, Aracha, o prokuratorze. Ostrouchy pewnie zaraz tu się zjawi. Jemu nie wystarczy to, co przed chwilą mnie powiedziałaś na temat okoliczności śmierci. Zacznie dociekać. Na pewno każe ci przepytac gości weselnych albo sam to zrobi.

– Poradzę sobie, szefie.

Syski zmrużył oczy.

– Może ktoś ją zmusił do popełnienia tego czynu? A może jednak to nie było samobójstwo?

– Samobój, szefie, na sto procent.

– Przypomnij sobie, na co pani doktor zwróciła uwagę – powiedział komisarz, przenosząc spojrzenie z Araszekiewicza na Kamińską.

– O czym szef mówi?

– Może jednak to było zabójstwo.

– Samobój, jak Boga kocham.

– I może do niego doszło nie w wannie...

– A gdzieżby? – Araszekiewicz przerwał Syskiemu. – Na podłodze? Albo w łóżku? Sprawca wymienił pościel? I co z nią zrobił?

– Na twoim miejscu, Tadeusz, jednak przesłuchałbym tyle osób, ile się tylko da. Żeby się upewnić i mieć spokojne sumienie. Pewnie nie wszyscy zechcą mówić, ale przy twoich zdolnościach powinno się udać. Do roboty,

oficerze dyżurny w wydziale kryminalnym. – Syski skierował kciuk w dół, co oznaczało, że ma na myśli gości weselnych zebranych w restauracji.

– Mogę. Co mi tam.

– Sugeruję, abyś zaczął od recepcji. Nie zapomnij o monitoringu. Gdyby się okazało, że mam cokolwiek racji, dzwoń. A czuję, że mam i dziś z latania będą nici. Przeczucie, Tadeusz. Przeczucie tylko. – Komisarz uśmiechnął się szeroko, pokazując naprawdę białe zęby. Kiedyś, jeszcze jako aspirant, Araszkiewicz chciał go zapytać, czy to naturalne, ale się wstydził. Już otworzył usta, gdy Syski dodał: – Dotąd przeczucie mnie nigdy nie zmyliło.

ZIELONA GÓRA, SZOSA WROCŁAWSKA, NIEDZIELA, POPOŁUDNIE

Samobójstwo w Gremplerze nie dawało spokoju komisarzowi Syskiemu. Nie tyle to, że młoda kobieta odebrała sobie życie w trakcie wesela, co dlaczego posłużyła się brzytwą. Gdyby przecięła żyły nożyczkami, żyletką czy najzwyklejszym nożem, policjant uznałby to za czyn świadomy i zaplanowany, po prostu desperacki. Wyłączając fryzjerów, który mężczyzna teraz używa brzytwy do golenia zarostu? Wszyscy znajomi Syskiego golą się maszynkami elektrycznymi na sucho albo na mokro przy pomocy pianki lub żelu i nożyków reklamowanych w telewizji przez popularnych piłkarzy. Nieliczni brodacze i wąsacze w komendzie twierdzą, jakby się zmówili, że używają przystrzygaczek na baterie, które dostali od żon jako prezent imieninowy. Pewnie gdzieś można kupić brzytwę, ale gdzie, tego komisarz nie wiedział. Postanowił, że wieczorem sprawdzi w internecie, czy w Zielonej Górze jest chociaż jeden sklep z akcesoriami fryzjerskimi i ile kosztuje brzytwa. Jeśli nie ma takiego sklepu w Zielonej Górze, to gdzie jest najbliższy i czy prowadzi sprzedaż wysyłkową. Przyszło mu na myśl, że mąż denatki goli się brzytwą. Jednak zaraz uznał za groteskowe, żeby pan na Jakubinie, jak go określił Daniel Jung, właściciel niemal wszystkiego, co znajduje się w gminie, był aż tak nienowoczesny. Jeżeli Pohlhoffer codziennie sam się goli, a nie robi tego jego fryzjer czy posługacz, który jest kierowcą, ochroniarzem, asystentem i bóg wie kim jeszcze, bo pewnie stać go na takiego kogoś, to nie bierze brzytwy do ręki. Przecież przed każdym goleniem się trzeba ją wyostrzyć na pasku skórzanym, co nie jest takie proste i zajmuje

czas. Ile minut mężczyzna przeznacz na poranną pielęgnację ciała? Dziesięć najwyżej. Pięć minut się ubiera. Tyle samo albo jeszcze mniej czasu siedzi przy śniadaniu. I marsz do pracy.

Wyjął komórkę z kieszeni i zerknął na zegar. Już minęła trzecia? To dziś nici z latania. Wracam do hotelu, postanowił. Araszkiwicz sobie nie poradzi. Trzeba zacząć od rozmowy z weselnikami. Może ktoś coś zauważył? A może to, co się wydarzyło nad ranem w Gremplerze, nie było samobójstwem. I może wśród weselników był lub jeszcze jest zabójca?

Zaraz za stadionem żużlowym skręcił kierownicą fabii na lewy pas Szosy Wrocławskiej. Kilkanaście sekund później zatrzymał auto na placu za stacją paliw, skąd zadzwonił do Araszkiwicza. Nie chciał rozmawiać przez telefon w trakcie jazdy, tym bardziej że od piątku do poniedziałku zaraz za rondem Świętego Urbana stoją kandydaci na policjantów „drogówki”. Nie tyle chodziło mu o mandat, co o wstyd. Na pewno powiedziałby, kim jest i dokąd jedzie. A ten, który by go zatrzymał, spytałby, czy jedzie służbowo i czy fabia służbowa, bo bez znaków policyjnych. Musiałby się przyznać, że auto prywatne i że ma wolną niedzielę. Dyżuruje świeżo awansowany na podkomisarza Tadeusz Araszkiwicz, absolwent kursu dla oficerów policji ośrodka w Legionowie, tego samego, w którym oni się podkszałają.

– Czy już zjawił się prokurator Ostrouchy? – zapytał Araszkiwicza przez telefon, niczego mu nie wyjaśniając.

– Właśnie dosłownie przed chwilą skończyłem z nim rozmowę, szefie. Niedziela, jutro Wszystkich Świętych, przyjechała siostra jego żony z rodziną. Zaraz wychodzą na cmentarz. Prokurator zgodził się z moją tezą, że mamy do czynienia z samobójstwem. Kazał zamykać sprawę i nie informować prasy. Umówiłem się z nim na pojutrze. We wtorek podpisze wniosek o umorzenie śledztwa.

– Tak bez niczego się zgodził? Ostrouchy? Przecież on jest bardziej papieski niż papież.

– Powiedział, że święto, ma gości i chce z nimi trochę pobycć.

– Za pięć minut będę w Gremplerze.

– Szef wraca? A po co? Dziś ja pełnię dyżur. Szef miał jechać na lotnisko do redaktora Junga.

– Coś mi nie pasuje.

– Szefowi zawsze coś...

– List.

– Co, list? Jaki list? Kto napisał? Do kogo?

– Jeszcze się nie zdarzyło, Tadeusz, żeby samobójca nie napisał, dlaczego targnął się na swoje życie. Nie mówili o tym w Legionowie?

Araszkiewicz nie pamiętał, pomimo tego powiedział:

– Pewnie coś było na ten temat. Tyle mówili, że człowiek, żeby wszystko zapamiętać, musiałby mieć głowę jak Loranty.

– Loranty?

– Ten inspektor, co go pokazują w telewizji.

Dariusz Loranty, wygadany ekspert do spraw bezpieczeństwa, znakomity negocjator policyjny, przypomniał sobie Syski. Kilka razy podczas kursów w Legionowie słuchał jego komentarzy. Nawet ma jakąś jego książkę z autografem.

– Każdy desperat pisze taki list. Zazwyczaj siebie wybielając i kogoś oskarżając. Psycholodzy nazywają to efektem Murraya – powiedział Syski. Miał ochotę na dłuższy wywód, lecz uznał to za stratę czasu. – Technicy sprawdzili w pokoju, czy denatka zostawiła coś takiego? Chodzi mi o list.

– Jestem w pokoju trzydzieści osiem. Na poręczy krzesła wisi czerwona sukienka i bielizna w tym samym kolorze. Na biurku leży obrączka, obok niej pierścionek z kamieniem w kolorze, bo ja wiem? rubin, nie, bardziej magenta albo fuksja. Możliwe że to...

– Mów po ludzku – przerwał mu naczelnik. Przypomniał sobie obrazki zdobiące pokój służbowy Araszkiewicza. Spytał go kiedyś, kto je namalował. Wtedy się dowiedział, że Araszkiewicz chodził do liceum plastycznego, a jego ojciec skończył studia malarskie i prowadzi firmę jubilerską.

– Taki jakby wiśniowy, ale...

– Dalej, Tadeusz!

– Jest bransoletka i dwa kolczyki z oczkami w kolorze takim samym jak to, co ma pierścionek. Może ciut ciemniejsze. Nie, jednak chyba takie same, tyle że mniejsze. Wyroby, zdaje się, ale to trzeba sprawdzić, ze złota wysokiej próby. Z granatowej torebki damskiej wystaje telefon. Samsung w złotej obudowie, model... niestety...

– Aracha, zaraz jasny szlag mnie trafi!

– To wszystko, co znajduje się na biurku. Proszę poczekać, jeszcze zajrzę do szuflady. – Po chwili kontynuował: – W szufladzie nie ma niczego, jeżeli nie liczyć zielonego etui z odcisniętym na okładce znakiem hotelu. W środku znajdują się dwie koperty, kartka papieru firmowego, długopis

z logiem hotelu i reklamówka z czarnej folii ze złotym napisem „Grempler mistrzem Polski”. Przepraszam, jest jeszcze jedna kartka. Ta z cenami posiłków dostarczanych do pokoi na zamówienie.

– Czy sprawdziłeś szufladę szafki nocnej przy łóżku?

– Tuż po wyjeździe szefa inspektor od techników osobiście zaglądał do szafy, szafki i gdzie tylko mógł wetknąć głowę. Nawet pod łóżko. Poza Pismem Świętym Starego Testamentu i napoczętą paczką prezerwatyw marki Durex w szufladzie nocnej szafki na nic się nie natknął.

– Tym gorzej.

– Gorzej, dlaczego? – zapytał Araszkiwicz. Ponieważ nie usłyszał odpowiedzi, powtórzył pytanie i dodał: – Moim zdaniem wszystko zostało wyjaśnione zgodnie z obowiązującymi nas procedurami.

– Tadeusz, jeszcze raz zadzwoń do Ostrouchego i powiedz mu, żeby jednak przyjechał do Gremplera. Gdyby próbował cię zwekslować lub się wymigiwał, mną go postraszyć. Albo nie. Ja zadzwonię i tak mu powiem, że... że...

ZIELONA GÓRA, UL. GŁOGOWSKA, NIEDZIELA, POPOŁUDNIE

Cezary Ogrodziński niewiele miał do powiedzenia. Na milczące polecenie brata ożenionego w sobotę pojechał windą na trzecią kondygnację hotelu. Tak nazwał to, o co go poprosiła matka Anny Marii. Najpierw delikatnie zapukał do drzwi pokoju z numerem trzydziestym ósmym, potem mocniej i trzeci raz natarczywiej. Ponieważ nie usłyszał zaproszenia ani jakiegokolwiek odzewu, nacisnął klamkę, popchnął drzwi i nieśmiało wszedł do przedpokoju. Stojąc tam, znowu się odezwał i gdy tym razem nic nie dotarło do jego uszu, zrobił jeszcze jeden krok. Zanim przekroczył próg pokoju, dostrzegł sukienkę wiszącą na poręczy krzesła, ozdoby leżące na biurku i otwartą torebkę, z której wystawała komórka. Zasłane łóżko wyglądało tak, jakby nikt nawet na nim nie usiadł. W pokoju pachniało czymś słodkawym. Cezary uznał, że to perfumy, lakier do włosów lub jabłka.

– Do jakiego wniosku pan doszedł, panie Ogrodziński? – zapytał Araszkiwicz, sprawiając wrażenie zawiedzionego.

– Moja pierwsza reakcja była taka: pani Mirabella wyjechała z hotelu. Chwilę później naszły mnie wątpliwości. Kiedy? Wyjechała i nikomu o tym nie powiedziała? Nawet swojej przyjaciółce Anusi, czyli żonie mojego brata? Jeżeli wyjechała, to dlaczego zostawiła sukienkę, ozdoby i torebkę z telefonem komórkowym? Pomyślałem, że kiedy usłyszała pukanie do drzwi, ukryła się w łazience. Zrobiłem kolejny krok. Zawołałem ją po imieniu. Cisza. Powtórzyłem wołanie. Dalej cisza. To uchyliłem drzwi łazienki i posłałem wzrok w ciemność. Nikogo. Tylko ten słodkawy zapach. Pomyślałem, że pani Mirabella ukryła się w wannie za zasłonką. Zapaliłem światło. I wtedy... To, co zobaczyłem, było wstrząsające – zakończył swoją opowieść Cezary.

– Kogo pierwszego pan powiadomił?

– Wszystkich bez wyjątku.

– Recepcjonistkę, menedżera, gości, tak?

– Zbiegłem po schodach do restauracji. Tam zebrali się wszyscy, którzy przyjechali na wesele. O dwunastej miały się zacząć poprawiny. Opowiedziałem, co widziałem w łazience.

– Zbiegł pan po schodach. Dobrze usłyszałem? Dlaczego nie zjechał pan windą? – zapytał Syski, który do tej pory się nie odzywał. Stał przy oknie i obserwował Ogrodzińskiego.

– Po schodach.

– Dlaczego po schodach, a nie windą? – powtórzył komisarz, zerkając na Araszkiwicza.

– Dlaczego... – Ogrodziński odwrócił głowę w stronę Syskiego. – Nie wiem. Nie potrafię sensownie odpowiedzieć. Pewnie to był odruch bezwarunkowy. Taki impuls. Reakcja obronna. Może wydawało mi się, że wybierając schody, będę na dole szybciej.

– Domyślam się, że wpadł pan do restauracji zasapany.

– Prawdopodobnie tak. Szczegół, którego nie pamiętam.

– Czy pan pamięta, co dokładnie powiedział do gości?

– Że pani Mirabella nie żyje?

– Proszę kontynuować rozmowę – Syski polecił Araszkiwiczowi. Wrócił na swoje miejsce przy oknie.

Ogrodziński położył dłonie na kolanach i zwiesił głowę jakby był winny.

– Na pewno tylko tyle pan powiedział? – zapytał podkomisarz, rzucając mu niezbyt przychylnie spojrzenie.

– Proszę powtórzyć pytanie.

– Że pani Mirabella nie żyje. Tylko tyle pan powiedział, panie Ogrodziński?

– Dokładnie nie pamiętam. Może jeszcze coś. Nie przypominam sobie szczegółów. Byłem tak zszokowany...

– Jak zareagowali goście?

Cezary podniósł głowę, zmrużył oczy i milczał, jakby rzeczywiście miał wyrwę w pamięci. Araszkiwicz nie naciskał na niego, ponieważ nie spodziewał się, że usłyszy jeszcze coś, co popchnie sprawę choćby o pół milimetra. Już dziesięć minut temu, kiedy Ogrodziński zaczął wyjaśniać, dlaczego poszedł po Mirabellę, Araszkiwicz uznał go nie za świadka koronnego, a za przypadkowego posłańca. Był pewny, że Syski myśli identycznie.

– O, przypomniałem sobie – zaczął Cezary, skupiony. – Aniusia, to znaczy bratowa, zerwała się zza stołu i coś krzycząc, biegła w moją stronę. Pani Zahorska, jej matka, kazała mi powtórzyć, jakby nie wierzyła, że to, co powiedziałem o pani Mirabelli, jest prawdziwe. Na pewno jeszcze raz zacząłem opowiadać o tym, co zobaczyłem w łazience. Czy było to skądne, nie pamiętam.

– Coś za dużo pan nie pamięta – orzekł Araszkiwicz kąśliwie. – Trzeba będzie pana przydusić.

– Pierwszy raz znalazłem się w takiej sytuacji.

– Panie Ogrodziński, w oparciu o co pan stwierdził, że Pohlhoffer Mirabella nie żyje?

– Nie ruszała się. Twarz i ręce miała całe we krwi. Woda w wannie także była czerwona.

– Nie przyszło panu na myśl, żeby ją ratować? Wezwać karetkę? Zawiadomić recepcję? Do kogoś zadzwonić? Może wtedy jeszcze żyła, panie Ogrodziński.

Cezary odwrócił głowę w stronę Syskiego i niemo patrzył na komisarza. Chciał powiedzieć, że teraz tak by zrobił, ale wtedy sytuacja przerosła jego wyobraźnię. Pomimo tego że jest doktorem nauk biologicznych, specjalistą w zakresie genetyki, najmłodszym adiunktem na uniwersytecie, wpadł w popłoch.

– Spanikowałem. Ja nigdy wcześniej... – zaczął i urwał, zdając sobie sprawę z tego, że źle się zachował. Bezsprzecznie powinien sprawdzić, czy Mirabella żyje. A nawet bez sprawdzania natychmiast wezwać pomoc.

– Czy tam, w restauracji, kiedy pan powiedział, co się stało w pokoju trzydzieści osiem, jeszcze ktoś poza bratową i jej matką dociekał, co pan zobaczył?

– Czy jeszcze ktoś dociekał? – Cezary powtórzył, jakby nie rozumiał pytania policjanta. – Jako naukowiec stawiam tezę i prowadzę badania pod kątem jej potwierdzenia. Dociekanie naukowe polega na wykorzystywaniu naturalnych właściwości umysłu człowieka. Inaczej to wygląda, jeśli chodzi o studenta, który poznaje otaczający świat w oparciu o wiedzę przekazywaną przez wykładowcę.

Araszkiewicz przeciął ręką powietrze, dając Ogrodzińskiemu do zrozumienia, że nie o to zapytał.

– Czy jeszcze ktoś spośród gości drażył to, z czym pan wpadł do restauracji?

– Wszyscy – odpowiedział Cezary. – Zrobił się taki harmider...

– A czy ktoś zachowywał się podejrzliwie? To znaczy... bo ja wiem? Czy ktoś wybuchnął nienaturalnym gniewem? Uznał pana za kłamcę? Albo stwierdził, że pan jest sprawcą?

– Nie pamiętam.

Podkomisarz nie miał więcej pytań. Właściwie dowiedział się wszystkiego, co go interesowało, ale to było za mało, żeby uznać Mirabellę za samobójczynię, jak i stwierdzić, że została zamordowana. Araszkiewicz był w punkcie wyjścia.

– Pohlhoffer Mirabella jest mężatką. Na wesele przyszła sama czy z mężem? A może ktoś inny jej towarzyszył? Na przykład kuzyn, przyjaciel? – zapytał Syski, stanąwszy za plecami Ogrodzińskiego.

– Na przyjęcie w hotelu na pewno sama przyjechała. Białą mokką – odpowiedział Cezary, odwracając się przez lewe ramię do komisarza. – Czy w kościele była z mężem lub kimś innym, nie potrafię odpowiedzieć miarodajnie. Jak już mówiłem, co nieco dowiedziałem się o niej od Aniusi, kiedy układała listę gości weselnych. Nigdy wcześniej nie widziałem pani Mirabelli ani o niej nie słyszałem. Dopiero na weselu zwróciłem na nią uwagę. Stało się to po ciepłym posiłku, kiedy wszyscy goście wyszli na parkiet. Jedynie pani Mirabella i Kuba zostali na swoich miejscach przy stole.

– Kuba? Jak się on nazywa?

– Kuba... Jakub Bednarz. Bratanek matki Aniusi.

Araszkiewicz zanotował nazwisko, ale jeszcze nie zdecydował, czy zaraz go przesłucha.

– Jakież półtora roku temu żona Kuby zginęła w wypadku samolotowym. Od tamtego dnia minęło tyle czasu, a Kuba jeszcze jest w żałobie. Wydaje mi się, że potem pani Mirabella i Kuba siedzieli blisko siebie.

– Na pewno siedzieli blisko siebie czy się panu tylko tak wydaje? Proszę sobie to przypomnieć.

– Siedzieli i rozmawiali, a nawet, ale tego nie jestem pewien, stanowili parę taneczną na parkiecie.

Teraz Araszkiewicz zdecydował, że musi przesłuchać Bednarza. Przy jego nazwisku w notesie postawił wykrzyknik.

– Tańczyli jako para?

– Hmm... Tego nie potrafię jednoznacznie potwierdzić. Dawniej to... ale teraz, szczególnie na weselu, wszyscy tańczą ze wszystkimi.

– Wystarczy. Dziękuję panu za wyjaśnienia. – Syski położył rękę na ramieniu Cezarego. Do Araszkiewicza powiedział: – Nie mam więcej pytań.

– Czy to znaczy, że mogę wracać do domu?

– Proszę podać adres i numer telefonu, żebyśmy, gdyby zaszła taka konieczność, nie musieli posyłać za panem listu gończego. – Araszkiewicz przesunął notes w stronę Ogrodzińskiego i pokazał palcem, gdzie ma napisać żądane informacje.

– Ale przecież ja... Jak Boga szczerze kocham... Panowie... Ja pierwszy raz zobaczyłem panią Mirabellę wczoraj w kościele.

– Sprawdźmy, panie Ogrodziński. – Pewny siebie Araszkiewicz mrugnął do komisarza.

ZIELONA GÓRA, UL. GŁOGOWSKA, NIEDZIELA, POPOŁUDNIE

Janusz Grodzki wszedł do pokoju akurat w chwili, kiedy Anna Maria usiadła na krześle i zaczęła wygładzać sukienkę odsłaniającą kolana. Jeszcze przed drzwiami podkomisarz ułożył sobie pytanie zaczepne, adresowane wprost do Araszkiewicza, z którym od dawna drze koty, lecz zobaczywszy młodą, atrakcyjną kobietę, strojnie ubraną, zrezygnował z ataku na kolegę z wydziału.

Właściwie podjął tę decyzję z powodu Syskiego, którego nie spodziewał się tu zastać. Uważał go nie tyle za swego zwierzchnika w komendzie, co za mistrza, pomimo tego że byli w zbliżonym wieku i z niemal identycznym stażem w policji. Nawet mu zazdrościł spokoju podczas odpraw, chociaż niektórzy zachowywali się tak, jakby nie byli z tego świata. Przy młodszych policjantach Grodzki lubił się popisywać, tym bardziej że dopiero rok temu przestał być prawą ręką Syskiego w wydziale, a stało się to po degradacji aż o dwa szczeble na drabinie służbowej. W rozkazie komendantka wyjaśniła swoją decyzję wykonywaniem czynności operacyjnej w sposób nieprawidłowy przez funkcyjnego oficera policji i złamaniem procedur w trakcie przesłuchiwanie podejrzanego o zabójstwo. Prawda, Grodzki jest porywczy i ma niewyparzony język. Wtedy siepnął faceta tak, że rozkwaśił mu nos i połamał ciemne okulary, które podobno kosztowały tyle, ile kosztuje para półbutów marki Giorgio Armani. Gdyby wiedział, czy szwagier odsunął krzesło od stołu, rozparł się na nim, jakby wygrał kilkanaście milionów w totka, splótł ręce na piersi i śmiał mu się prosto w oczy zamiast odpowiadać na pytania, kazałby podkomisarz de Murville tak długo go przesłuchiwać, aż by skapitulował. Żadnej wody, tym bardziej herbaty czy kawy z automatu i wyprowadzania do sraczyka. Starsi pracownicy pionu kryminalnego wiele razy zachowywali się identycznie jak zastępca naczelnika wydziału podczas tamtego przesłuchania, dlatego uważali degradację nadkomisarza Grodzkiego aż o dwa stopnie za nieproporcjonalną do jego winy. Nagana czy ostrzeżenie o niepełnej przydatności na stanowisku zastępcy naczelnika wydziału czy jako detektywa by wystarczyło. W ostateczności komendantka mogła go przenieść do „drogówki” albo, co było traktowane jako cierpka kara, do któregoś komisariatu poza miastem. Zresztą kryminalni mieli podobne zdanie na temat odebrania jednej gwiazdki Syskiemu, tyle że naczelnik pozostał w swoim gabinecie. Jak nie w tym, to w przyszłym roku albo za dwa, trzy lata po tej lub po tamtej stronie granicy polsko-niemieckiej wydarzy się coś, co do czerwoności rozpali opozycję w Sejmie i Reichstagu. Centrale policyjne w Warszawie i Berlinie będą chciały szybko ugasić pożar. Wtedy Polacy włączą Syskiego i może Grodzkiego do ekipy śledczej, a ci znowu popiszą się swoimi wyjątkowymi umiejętnościami. Po wyjaśnieniu sprawy stanie się o tym głośno i wtedy związkowcy zmuszą komendantkę do przywrócenia im stopni. Jeśli nie związkowcy, to na pewno politycy. Kogo jak kogo, ale tych, którzy

są posłami, senatorami, prezesami regionalnych oddziałów partii rządzącej, nawet urzędnikami marszałka i tym bardziej wojewody komendantka słucha.

– Proszę podać nazwisko i imię, imię ojca – odezwał się Araszekiewicz, kiedy Grodzki zamknął za sobą drzwi.

– Anna Maria Zahorska. Od wczorajszego popołudnia Zahorska-Ogrodzińska. Ojciec Władysław. Matka Irena, z domu Stachowiak.

– Które imię jest ważniejsze? Anna czy Maria? Bo chyba nie oba, co, pani Zahorska-Ogrodzińska?

– Oba są równoważne. Na chrzcie dostałam Anna Maria. Tak jest w dokumentach. Bliscy mówią: Anusia, Aniuśka, Aniula.

– Proszę przyjąć serdeczne gratulacje z okazji zamążpójścia – powiedział Syski. Pomimo tego że ten, który ułożył procedury, nie nakazał takiego rozpoczęcia rozmowy, komisarz uważał to za właściwy krok. Grodzkiemu wskazał miejsce przy oknie, a do Araszekiewicza puścił oko, co oznaczało, żeby nie męczył młodej pani pytaniami, jakby miał pewność, że odpowiedzi Anny Marii niewiele wniosą do sprawy.

– *Sorry*, pani Zahorska-Ogrodzińska – rzucił Araszekiewicz i zganiony wzrokiem Syskiego usprawiedliwiał się po polsku: – Przepraszam, że zakłócamy pani niewątpliwą radość z okazji tak ważnego wydarzenia, jakim jest ślub i uroczystość weselna, lecz nieprzewidziane okoliczności do tego właśnie nas zmusiły.

– Nie mam do panów pretensji. Rozumiem sytuację. Proszę pytać. Nie obiecuję, że wyczerpująco odpowiem na wszystkie pytania. Byłam mocno zaabsorbowana tym, co się działo podczas uroczystości tak w kościele, jak w hotelu.

– Pani Zahorska-Ogrodzińska, proszę powiedzieć, co pani wie na temat wydarzenia, które miało miejsce ostatniej nocy w hotelu Grempler w pokoju numer trzydzieści osiem. Wszystko, co pani powie, pani Zahorska-Ogrodzińska, zostanie zanotowane.

Syski odchrząknął. Grodzki zacisnął dłonie, ale się nie odezwał.

– Niewiele. Nigdy nie byłam w pokoju trzydzieści osiem. O tym, co się wydarzyło ostatniej nocy w rzeczonym pokoju, dowiedziałam się dziś w południe od brata mojego męża, Cezarego Ogrodzińskiego. Boleję z tego powodu, tym bardziej że Bella, to znaczy Mirabella i ja jesteśmy spokrewnione. Nawet gdyby Bella nie była moją kuzynką, także miałabym wyrzuty, że to stało się w jakiś sposób z mojego powodu.

– Z pani powodu? – Araszekiewicz uniósł brwi ze zdziwienia. – Pani czuje się winna? A dlaczego, jeśli można wiedzieć?

– Dlatego, że gdybym nie zaprosiła Belli na uroczystość, nie doszłoby do tego, co się stało.

Bystra, ocenił Annę Marię Grodzki. Nie chciałbym być na miejscu jej męża. Będzie go prowadziła na krótkiej smyczy.

– Powiedziała pani o spokrewnieniu z Pohlhoffer Mirabellą – przypomniał Araszekiewicz. – W jakim stopniu?

– Poprzez prababkę – odpowiedziała. Domyślając się, że policjant nie wszystko zrozumiał, wyjaśniła: – Babcia Belli i moja babcia miały tę samą matkę. Klementynę, *de domo*²⁰ Czaykowską, *primo voto*²¹ Markiewiczową, *secundo voto*²² Nehrebecką i *tertio voto*²³ von Bergmüller.

Ciche pukanie do drzwi. Araszekiewicz podniósł wzrok na Syskiego, a ten pokazał głową Grodzkiemu, żeby sprawdził, kto jest na korytarzu i spytał, czego chce. Pewnie menedżer hotelu przyszedł po coś, co jest mu potrzebne do pracy, ale zdaje sobie sprawę z tego, że w trakcie przesłuchania świadka nie może wejść do swojego pokoju, pomyślał komisarz. A może Ostrouchy? Ile razy prokurator przyszedł mu na myśl, tyle razy przypominało mu się zdanie z *Martwych dusz* Gogola: „Jeden tam tylko jest porządny człowiek – prokurator, ale i ten, prawdę mówiąc – świnia”. Syski uśmiechnął się pod nosem. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby Ostrouchy przyznał mu rację już na początku rozmowy. Postawienie na swoim i uparte bronienie tego, czego nie da się obronić słowami, jest jego dewizą. Po przegranej nigdy nie przeprosił. Wyłączając Tomczyszyna, tak zachowuje się większość znanych Syskiemu prokuratorów.

– Pani recepcjonistka pyta, czy ktoś z nas ma ochotę na kawę i coś słodkiego – powtórzył Grodzki. Nie usłyszawszy odpowiedzi Syskiego ani Araszekiewicza, podziękował jej za propozycję i zamknął drzwi.

– Pomiędzy panią i Pohlhoffer Mirabellą zachodzi pokrewieństwo trzeciego stopnia, jeśli prawidłowo wyliczyłem komutację – zwrócił się Araszekiewicz do Anny Marii zadowolony. Tego uczył się na kursie dla detektywów w ośrodku policyjnym w Legionowie, dlatego spodziewał się czegoś w rodzaju pochwały ze strony Syskiego i Grodzkiego.

– Czwartego stopnia – poprawił go Grodzki.

Anna Maria nie zareagowała, jakby nie rozumiała, o czym rozmawiali policjanci. Syski dał znak ręką Grodzkiemu, żeby na razie nie wtrącał się

do tego, co jest zadaniem Araszkiwicza. To jego debiut jako detektywa w korpusie oficerów policji.

– Pani Zahorska-Ogrodzińska, jak dobrze znała pani denatkę, to znaczy Pohlhoffer Mirabellę? – zapytał podkomisarz, nic sobie nie robiąc z uwagi Grodzkiego na temat stopnia pokrewieństwa.

– Mimo różnicy wieku, miejsca urodzenia i zamieszkania byliśmy sobie bliskie. Dzieli nas prawie dziesięć lat. Bella urodziła się w Poznaniu, ja w Zielonej Górze. Łączy nas hermeneutyka, którą obie studiowałyśmy na UAM-ie. I obie uzyskałyśmy stopnie magisterskie w zakresie hermeneutyki kulturalnej.

Araszkiwicz nie miał odwagi poprosić Annę Marię o wyjaśnienie, co to jest hermeneutyka, czym się zajmuje i komu jest potrzebny absolwent uniwersytetu z dyplomem tej specjalności. Udał, że to akurat nie ma większego znaczenia w trakcie tej rozmowy. Grodzki także pierwszy raz usłyszał ten termin. Syskiemu przypomniła się córka zastępcy komendanta, która skończyła etnologię kulturową w Anglii i gdyby nie to, kogo zna jej ojciec, byłaby na długiej liście absolwentek uniwersytetów poszukujących jakiegokolwiek płatnego zajęcia.

Grodzki zapalił papierosa. Anna Maria zapytała, co pali i czy może ją poczęstować.

– Odzwyczajam się, dlatego kupuję vouge miętowe – odpowiedział policjant.

– Właśnie takie paliłam na studiach. Paczka wystarczała mi na dzień. To niewiele. Ale w czasie sesji egzaminacyjnej i dwie było za mało. Od kiedy poznałam Marcina, rzuciłam. Nie wypada, żeby przy niepalącym mężu żona... ale teraz... Jestem taka podekscytowana, że... Że muszę czymś zająć palce.

Grodzki położył przed nią paczkę vougeów i zapalniczkę. Natychmiast wyjęła jednego papierosa i przypaliła go, wypuszczając dym przez lekko skrzywione usta pod nogi.

– Pani Zahorska-Ogrodzińska, powiedziała pani, że o tym, co się wydarzyło ostatniej nocy w pokoju trzydziści osiem, dowiedziała się dopiero dziś od brata swojego męża – przypomniał Araszkiwicz, kiedy Anna Maria zaciągnęła się papierosem drugi raz. – W jakich okolicznościach to się stało?

– Proszę powtórzyć, bo chyba nie zrozumiałam pytania?

– W jakich okolicznościach dowiedziała się pani o śmierci Pohlhoffer Mirabelli? Kiedy? Od kogo? Dlaczego właśnie pani? I tak dalej.

– Jeszcze wczoraj moi rodzice i rodzice mojego męża zaprosili wszystkich gości na poprawiny. A może to było już dziś? Ten szczegół umknął mi z pamięci? – przyznała się, robiąc niewinną minę. – W każdym razie dziś punktualnie o dwunastej zebraliśmy się w restauracji. Kiedy goście zajęli miejsca za stołem, moja mamusia zauważyła, że brakuje Belli. Spytała kuzyna Kubę, to znaczy doktora Jakuba Bednarza, czy wie, dlaczego Bella nie przyszła.

– Dlaczego akurat doktor Bednarz miał to wiedzieć? – zaciekawił się Grodzki.

– Dosłownie identyczne pytanie również ja zadałam. Kuba odpowiedział, że Belli zrobiło się niedobrze, dlatego piętnaście po drugiej poszła do swojego pokoju. Przesadziła z piciem, a nie jest przyzwyczajona do mocniejszego alkoholu, wyjaśnił. Wtedy powiedziałam, że na jej miejscu zrobiłabym to samo. Miała powód, dodałam i już chciałam...

– Jaki powód? Proszę konkretnie – przerwał jej Araszkiewicz, patrząc na złoty łańcuszek z serduszkami, który huśtał się na szyi Anny Marii, kiedy się pochylała, żeby strząsnąć popiół z papierosa do popielniczki. Podkomisarz cały czas taksował ją wzrokiem. Miała na sobie błękitną sukienkę z dużym wycięciem i szal z niebieskiego jedwabiu w biało-wiśniowe ciapki. Postanowił, że coś podobnego sprezentuje Nataszy. Wraz z przejściem do korpusu oficerskiego spodziewał się podwyżki pensji. Po wszystkim zapytał Annę Marię, gdzie kupiła ten szal i ile kosztował. A jeśli to prezent od męża?

Anna Maria zaczęła od tego, że pod koniec studiów na uniwersytecie w Poznaniu Bella poznała Olgierda, syna współwłaściciela ogromnych zakładów mięsnych Przylepa i mniejszych firm rozrzuconych wokół Zielonej Góry, których nazwy wyleciały jej z pamięci. Ponieważ Mirabella była z domu Żółtowska, a duchowny o takim nazwisku sprawował urząd nuncjusza apostolskiego w którymś państwie Ameryki Południowej, inny Żółtowski wykładał na Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu, jeszcze inny prowadził popularne audycje w telewizji publicznej, rodzice Olgierda wywnioskowali, że kandydatka na synową musi być z nimi spokrewniona. Dobrze mieć w dużej rodzinie osoby, których nazwiska już są w encyklopedii lub znajdują się tam w niedługim czasie. Po ślubie w zielonogórskiej konkatedrze i weselu w pięciogwiazdkowym hotelu Zamek Joannitów w Łagowie ojciec Olgierda przepisał na syna fabrykę mebli tapicerowanych w Nowogrodzie i znajdującą się w pobliżu wytwórnię stolarki okienna-

drzwiowej. To nie wszystkie prezenty. Założył Fundację im. Rodziny Żółtowskich, która od Skarbu Państwa wydzierżawiła zrujnowany pałac w Jakubinie, czym zaskoczył Bellę, jej rodziców i przede wszystkim jej brata, Antoniego. Stało się to niedługo po tym, jak w trakcie zbierania materiałów do pracy magisterskiej Mirabella natrafiła na zapis, że pierwszą współwłaścicielką pałacu była Selina z Żółtowskich, wydana za pruskiego junkra, Jakoba Ludwiga Pohlhoffera. Po remoncie, który teść Belli obiecał przeprowadzić w ciągu trzech, góra czterech lat, w głównym korpusie i jednym skrzydle miał się znaleźć komfortowy hotel z centrum konferencyjnym. Drugie skrzydło, to niższe i krótsze, wskazał jako mieszkanie Olgierda i Belli. Nie miał nic przeciw temu, aby w obu oficynach powstały pracownie plastyczne z pokojami dla artystów, którzy będą przyjeżdżali do Jakubina jako stypendyści fundacji. W przyszłości, ale to za dziesięć lat albo i jeszcze później, pokoje i pracownie zostaną zamienione na coś w rodzaju pensjonatu lub ośrodka opiekuńczego dla osób w wieku emerytalnym, które będzie stać na niemałe opłaty. Ojciec Olgierda wykalkulował sobie, że to musi oznaczać same korzyści. Po pierwsze, jak wyjaśnił Belli, władze administracyjne regionu uznają ją i jej męża za mecenasów sztuki i będą stawiały za wzór do naśladowania, co tylko pomoże fundacji pokonać przeszkody urzędnicze w czasie remontu pałacu. Po drugie, jeśli każdy malarz, który przyjedzie do Jakubina, a Bella będzie zapraszała przede wszystkim artystów z renomą, zostawi jeden obraz w pałacu, to za kilka lat z niczego powstanie kolekcja, na jaką nie stać muzeów w Warszawie czy Poznaniu, a tym bardziej w Zielonej Górze. Do tego czasu synowa powinna urodzić jedno, a jeszcze lepiej dwoje wnucząt, żeby później miała czas na zajmowanie się hotelem, centrum i galerią dzieł sztuki nowoczesnej. Ojciec Olgierda liczył na to, że po zakończonym remoncie nie będzie przeszkód, aby fundacja stała się prawnym właścicielem pałacu. Za kilka lat on go odkupi od fundacji za niewielkie pieniądze i przepisze na syna. Fundacja to jego rodzina i dla okrasa kilku osób spośród pracowników firm nadzorowanych przez Olgierda. Teoretycznie zarządzał nią Antoni Żółtowski, brat Belli. Praktycznie każdą jego decyzję kontrolowała siostra. Na początku wszystko układało się tak, jak to zaplanował ojciec Olgierda, a nawet przekraczało granice niezliczonych jego pomysłów. Niestety, później, jak to często bywa wtedy, kiedy idzie jak po maśle, na tej drodze zaczęły się pojawiać przeszkody, które boleśnie dotknęły rodzinę.

Jedną z nich, najtrudniejszą do pokonania, było to, że Bella nie mogła zająć w ciąży. Zielonogórcy profesorowie nauk medycznych nie potrafili jej pomóc. Jeździła do Białegostoku, gdzie jest najlepsza klinika perinatologii i położnictwa w Polsce. Była w Berlinie u doktora Betrügera, którego sława rozniosła się po całej Europie. Przez pół roku profesor Stopes leczył ją w Kapsztadzie. Nawet wybrała się do znachorki na Litwę. Teść Belli nie żałował pieniędzy, żeby tylko mieć wnuka lub wnuczkę. Byłby bardziej zadowolony z wnuka, ale i wnuczkę również by rozpuszczał. To zapobiegliwy mężczyzna z głową na karku i przy tym naprawdę wrażliwy. Gdy wszystkie terapie okazały się nieskuteczne, ktoś podpowiedział Belli, że powinna szukać ratunku w instytucie tradycyjnej medycyny w Chinach. Osoba, która czegoś bardzo pragnie, nie zważa na przeszkody i nie zastanawia się nad skutkami podjętej decyzji. Lekarze w Pekinie orzekli, że z Bellą wszystko jest jak najbardziej w porządku. Nie może zająć w ciąży z powodu Olgierda. To jej małżonek powinien się leczyć. Od słowa do słowa i się wydało, że jako siedmioletnie dziecko Olgierd zachorował na świnkę. Prawdopodobnie wtedy wystąpił zapalny obrzęk jąder, na co nikt nie zwrócił uwagi. Choroba mogła spowodować to, że jego plemniki, oględnie mówiąc, były zbyt słabe. Nadzieję nie tyle na pełne wyleczenie, co na poprawienie ich witalności dała mu klinika Rudolfineshaus pod Wiedniem. Po czterech miesiącach leczenia doszło do naturalnego zapłodnienia. Szczęśliwi, uśmiechnięci, radośni jak ptaszki na wiosnę, Bela i Olgierd wrócili do Jakubina. Jeszcze bardziej zadowoleni byli rodzice Olgierda. Trzy miesiące po tym, jak austriacki ginekolog potwierdził, że ciąża rozwija się prawidłowo, Bella poślizgnęła się schodach i poroniła. Powtórny pobyt w klinice Rudolfineshaus i starania o powtórzenie tego, co się wcześniej udało, mimo wysiłku lekarzy, nie przyniosły rezultatu. Z powodu pogarszającej się jakości plemników Olgierda zapłodnienie metodą *in vitro* również nie wchodziło w rachubę. Wtedy oboje uzgodnili, że Bella zostanie matką dziecka nieznanego ojca. Będą je kochali jak swoje. Pomysłem podzielili się z teściami, a ci powiedzieli „nie”. Bella musi urodzić dziecko, którego ojcem będzie Olgierd. W żyłach ich wnuka nie może płynąć obca krew.

– Słusznie – powiedział głośno Araszkiewicz. Jeszcze nikomu nie pochwalił się, że Natasza jest w ciąży i spodziewa się syna. Z szalem z niebieskiego jedwabiu w biało-wiśniowe ciapki, który jej kupi za podwyżkę pensji, poczeka aż do narodzin dziecka. – Proszę kontynuować.

– Do czyjej głowy wpadł ten pomysł, tego Bella się nie dowiedziała. Prawdopodobnie matka Olgierda tak zdecydowała. Od pierwszego dnia po ślubie teściowa była apodyktyczna wobec synowej. Teść wyrozumiały, łagodny, bardziej kochający Bellę niż swego syna. Psychologowie twierdzą, że większość matek zachowuje się wobec synowych tak, jak zachowała się matka Olgierda. W żonach swoich synów widzą rywalki. Kolejnej niedzieli po obiedzie teściowa zaprosiła, powinnam powiedzieć, że wezwała synową do swego pokoju. Tam nie siląc się na delikatność oświadczyła, że skoro Bella nie jest w stanie zajść w ciążę z Olgierdem, obmyśliła prawdopodobnie skuteczne rozwiązanie. Ojcem dziecka zostanie teść Belli. Ta sama krew. Ojciec Olgierda nie chciał się zgodzić, ale w tej sprawie on niewiele będzie miał do powiedzenia. Musi być tak, jak ona zdecydowała. Zresztą nikt nie pozna prawdy. Belli zabroniła rozmawiania z kimkolwiek na ten temat. Nawet z jej synem. Gdyby Olgierd kiedyś zaczął coś podejrzewać, niech mu zaproponuje przeprowadzenie badania genetycznego. Test DNA wykluczy obcą krew w żyłach dziecka.

– Pani Zahorska-Ogrodzińska, skąd pani o tym wie, skoro teściowa Pohlhoffer Mirabelli, wtedy żony Olgierda, zabroniła rozmawiania na ten temat z kimkolwiek? – Araszkiewicz jej przerwał.

– Daj spokój, Tadeusz – zgasił go komisarz Syski. Do Anny Marii powiedział: – Proszę kontynuować.

Grodzki domyślił się, że opowieść Anny Marii dlatego szczególnie zaintrygowała Syskiego, ponieważ znalazł się w identycznej sytuacji jak Bella i Olgierd. Pierwsza żona nie wydała na świat dziecka i od niego odeszła. Druga, pomimo że również nie urodziła potomka, jednak z nim została. Dlaczego kobiety, z którymi wiązał się Syski, nie rodziły jego dzieci, tego Grodzki nie wiedział i nigdy nie miał odwagi go spytać. Snuł przypuszczenia, że nie one były winne. Gdy rozmowa schodziła na dzieci, Syski milkł, a Grodzki czytał w jego oczach, że bardzo chciałby być ojcem.

– Cztery lata temu Bella owdowiała – Anna Maria powiedziała to ciszej i po dłuższym namyśle, jakby nie była pewna, że może ujawnić wszystkie tajemnice denatki. Araszkiewicz już otworzył usta, żeby ją spytać o okoliczności tego zdarzenia, gdy Anna Maria wydusiła z siebie, że śmierć Olgierda budziła wątpliwości jego rodziny i znajomych. Policja prowadziła śledztwo, ale nie była w stanie wskazać zabójcy, dlatego prokurator umorzył sprawę. Dobrze opłaceni detektywi i pełnomocnicy teściów Belli zebrali

poszlaki, wnieśli zażalenie na postanowienie prokuratora, apelowali do ministra sprawiedliwości i prezydenta Rzeczypospolitej, napisali skargę do unijnego sądu sprawiedliwości. Nawet wykupili całą stronę w „Zielonogórskiej”, gdzie przedstawili swój punkt widzenia. Nic to nie dało. Ponieważ biegli nie ustalili tego, z czyjej broni wystrzelony pocisk trafił Olgierda w klatkę piersiową poniżej serca, prokurator nie miał podstaw do oskarżenia kogokolwiek o spowodowanie śmierci w trakcie polowania. Może gdyby ktoś spośród myśliwych zauważył brak Olgierda w lesie, a nie dopiero przy ognisku na podsumowaniu sezonu, nie doszłoby do tragedii. Dlatego do winy poczuli się zbiorowo wszyscy członkowie koła łowieckiego Darz Bór. Także ci, którzy tamtego dnia nie polowali. Oni to za składowe pieniądze postawili okazały nagrobek Olgierdowi na cmentarzu przy jakubińskim kościele i trzeciego listopada każdego roku, w rocznicę tego zdarzenia, zapalają tam znicze. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Bella została wdową, w wypadku drogowym zginęła Birgit, żona Wolfganga Pohlhofferera. Zanim przyjechali ratownicy z Zielonej Góry, policjanci z Nowogrodu mieli już pewność, że gdyby kobieta siedząca za kierownicą była trzeźwa, insygnia by nie zjechała z asfaltówki na miękkie pobocze, nie dachowała i nie zakleszczyła się między sosnami. Zdaniem doktora Trzcinki, który na wniosek prokuratora przeprowadził oględziny ciała Birgit Pohlhoffer, taka ilość alkoholu, jaką laborantka wykryła w jej krwi, nie powinna spowodować upośledzenia koordynacji ruchowo-wzrokowej kobiety za kierownicą. Przyczyną wypadku mogło być coś innego, ale policjanci dalej sprawy nie badali. To i prokurator, nie mając podstaw do oskarżenia kogokolwiek, umorzył śledztwo.

Syski starał się przypomnieć sobie tę sprawę. Pamiętał ją jak przez mgłę. Może dlatego, że tamto wydarzyło się podczas mojego urlopu albo gdy byłem na kursie, pomyślał, i dlatego śledztwo prowadziła Ilona Mrozińska. A może Kleemann mnie zastępował? Po nim wszystkiego można się spodziewać. Jak ja nie cierpię tego faceta. Z jednej strony znakomity detektyw, z drugiej nadęty, zarozumiały cham, w dodatku często podkreślający swoją religijność. Zawsze tak się miga, żeby w niedzielę czy święto kościelne nie wypadł mu dyżur w wydziale. Grodzkiemu się pochwalił, że jest szafarzem w swojej parafii. Co robi szafarz, tego nie wiedziała nawet Ilona, a jej niedawno zmarły szwagier był pastorem. Po powrocie do domu Syski miał natychmiast zajrzeć do internetu, ale żona kazała mu iść do sklepu i o tym zapomniał. Teraz

postanowił, że wieczorem sprawdzi, kim jest szafarz. A może spytać Grodzkiego?

– Chyba wszyscy mieszkańcy Jakubina oddali ostatnią posługę Birgit. Ci, którzy pracowali w firmach należących do jej męża dlatego, że dostali wolne i płatne. Inni byli ciekawi, czym różni się pogrzeb ewangelicki od katolickiego. Rzucający się w oczy z daleka pomnik na grobie Birgit sąsiadował z okazałym nagrobkiem na mogile Olgierda. Z początku oboje, Bella i Wolfgang, codziennie, zawsze po południu, przychodzili na cmentarz. Pozdrawiali się, zapalali znicze, zamieniali ze sobą kilka grzecznościowych zdań i wracali do swoich domów. Później zjawiali się raz w tygodniu, jednak nadal zawsze po południu i o tej samej porze, jakby jedno czekało na drugie. Po roku i sześciu tygodniach, kiedy żałoba się skończyła, Wolfgang zaprosił Bellę na kolację do restauracji hotelu Ruben. Od tego czasu rzadziej spotykali się na cmentarzu, a częściej w tej restauracji i w jeszcze bardziej luksusowych lokalach. Zdarzało się, że zostawali na noc w hotelu. Tam zaplanowali wspólną przyszłość. Byli teściowie, gdy Bella pochwaliła się im, że Wolfgang poprosił ją o rękę, ucieszyli się bardziej niż jej rodzice, którzy woleliby zięcia katolika i rdzennego Polaka. Rodzice Olgierda nadal odnosili się do Belli jak do synowej. Pamiętali o jej urodzinach, imieninach, telefonowali co kilka dni. Nawet zaznaczyli, że gdy ze związku z Wolfgangiem przyjdzie na świat dziecko, a pragnęli tego tak samo jak Bella, będą je traktowali jak swego wnuka.

On młody wdowiec, ona młoda wdowa, słuszna decyzja, pomyślał Araszkiewicz. Przerywając monolog Anny Marii, powiedział co innego:

– O ile dobrze zrozumiałem, Pohlhoffer Mirabella to katoliczka, zaś Wolfgang jest wyznania ewangelickiego. Można tak?

Grodzki chciał powiedzieć, że minęły czasy, kiedy księża katolicy nie dopuszczali do małżeństw mieszanych. Gdy jego młodsza siostra chciała wyjść za syna ateisty, także niewierzącego, proboszcz poradził jej, aby napisała prośbę do biskupa o dyspensę i przyrzekła, że ochrzci swoje dzieci i wychowa je po katolicku.

– Zyga, to znaczy teraz szwagier, oświadczył, że nie będzie w tym przeszkadzać. Bardziej udanego małżeństwa nie ma w naszej rodzinie – ujawnił Grodzki. – A siostra Zygi wydała się za brata zakonnika. I po niecałym roku wróciła do rodziców, bo się okazało, że małżonek ma nieślubne dziecko, o czym wcześniej nikogo nie poinformował. Mało tego,

krytykował wszystko, co siostra ugotowała, upiekła, kupiła czy zaproponowała. I na dodatek jego matka uważała, że on ma rację, ponieważ kobieta powinna być potulna wobec swego męża i ma mu służyć. Ja też nie wziąłem ślubu w kościele, ale gdy mam ochotę i wolną niedzielę, to chodzę na msze.

– Pomimo tego że żyjemy w epoce telefonii komórkowej, internetu, telewizji satelitarnej, odbiorników cyfrowych, w naszej kulturze, identycznie jak i w pozostałych, po przekroczeniu pewnego wieku, kobieta samotna jest uważana za niepełnowartościową. Mówię to jako w pewnej mierze antropolożka, na podstawie obserwacji moich rówieśniczek i ich oczekiwań – przyznała się Anna Maria. – Na wsi, gdzie żyła Bella, każda kobieta powinna mieć nie tylko swego ślubnego mężczyznę, lecz i urodzić dziecko. Najlepiej co najmniej dwoje albo troje. Jeśli idzie o rodzenie, to niewiele ma ono wspólnego z kulturą. To fizjologia kobiety. To jej powinność. Obowiązek. Najważniejsze zadanie. Podstawowy cel w życiu. Chrześcijanin powie, że po to Pan Bóg ją stworzył. Kobieta, która urodziła, a jeszcze lepiej jeśli wychowała dzieci, czuje się spełniona. W opinii otoczenia jest pełnowartościowa. Godna zasłużonego szacunku. Mężczyźnie jest łatwiej, bo, według porzekadła, wystarczy, że zbuduje dom, posadzi drzewo i spłodzi syna. Kobieta ma być westalką domowego ogniska. Bella tak właśnie rozumiała swoją rolę i tak chciała. Dlatego zgodziła się zostać żoną Wolfganga. Czy go kochała? Myślę, że nie tak, jak ja kocham Marcina. – Uśmiechnęła się nieznacznie. – Bella na pewno kochała Olgerda, pierwszego męża. Drugiego, Wolfganga, kochała na swój sposób, ale na pewno nie był jej obojętny. Czy Wolfgang ją kochał?

– Tego dowiemy się od niego, proszę panią – stwierdził Araszkievicz.

Syski, kiedy to usłyszał, zacisnął dłonie. Tyle razy mu powtarzałem, że mówi się „proszę pani”. Zastępca komendanta też tak się odzywa. Jemu Syski nie zwrócił uwagi nawet wtedy, kiedy słyszał, że w miesiącu lipcu większa połowa wydziału kryminalnego powinna być na urloпах.

– Niedługo po ślubie ich związek zaczął się rozdwajać – kontynuowała Anna Maria. – Wolfgang coraz później wracał do pałacu z biurowca wytwórni architektury ogrodowej, który był centralną siedzibą wszystkich jego firm. Zdarzało się, że bez jakiegokolwiek wyjaśnienia nie wracał na noc. Żeniąc się z Bellą i dając jej swoje nazwisko, formalnie stał się mieszkańcem pałacu wymagającego jeszcze ogromnych pieniędzy na dokończenie remontu.

W rzeczywistości zachowywał się tak, jakby to, co się dzieje w pałacu, przestało go interesować. Wprawdzie spali w tym samym łóżku małżeńskim, ale nie ze sobą. Śniadanie jedli przy tym samym stole, lecz o różnych porach. Wieczorem Wolfgang nie opowiadał Belli, co robił w dzień, a jeśli ona zadała mu pytanie, to milczał lub rzucał lakoniczne zdanie, z którego niewiele wynikało. To było trudne do zniesienia, tym bardziej że Bella przy udziale fundacji pragnęła dokończyć remont pałacu i urządzić w nim hotel z centrum konferencyjnym, trudniejsze jednak było co innego. Dzień po ślubie z Wolfgangiem Bella skończyła trzydzieści trzy lata. Jak w przypadku mężczyzny ważne jest Mickiewiczowskie czterdzieści i cztery, tak u kobiety trzydzieści trzy. Kobieta w tym wieku nie ma już czasu, żeby odłożyć ciążę. To ostatni dzwonek pierwiastki. Nie z winy Belli nie udało się urodzić dziecka Olgierda, miała więc nadzieję, że wyda na świat potomka Wolfganga. Taka jest rola każdej zdrowej i myślącej kobiety. Każda taka bez wyjątku powinna zostać matką. Pomimo tego że Bella była żoną Wolfganga bardziej z powodu ucieczki przed samotnością niż zauroczeniem nim, chociaż go podziwiała, na swój sposób szanowała i kochała, ale to nie była miłość identyczna jak tamta, którą obdarzyła Olgierda. Liczyła na to, że dopiero dziecko bardziej zwiąże ją z mężem. Już mówiłam, że Bella chciała być spełniona jako matka. Także jako kochanka. I jako pani domu. Również jako mieszkanka Jakubina.

Grodzki przypomniał sobie to, o czym nie tak dawno rozmawiał z nadkomisarz Mrozińską na temat macierzyństwa. Z jej obserwacji wynika, że kobiety dzielą się na trzy grupy. Pierwszą, najliczniejszą, tworzą te, które szybko wychodzą za mąż i szybko chcą mieć dwoje, troje dzieci. Do drugiej zaliczyła te, które także mają mężów, ale nie mogą zostać matkami z przyczyn od nich niezależnych. To są najbardziej nieszczęśliwe osoby. W trzeciej, najmniej licznej, umieściła te, które przedkładają karierę zawodową nad rodzinę i macierzyństwo. Mrozińska dodała, że w ostatniej grupie są te, którym nie miał kto wytłumaczyć lub które jeszcze nie zrozumiały, że macierzyństwo to święte powołanie kobiety. Zrozumieją to, kiedy będzie za późno na urodzenie dziecka. Wtedy będą miały pretensję przede wszystkim do siebie.

– Kiedy odbył się ślub Mirabelli z Pohlhofferem Wolfgangiem? – zapytał Araszkiewicz.

Anna Maria chwilę się zastanawiała.

– Prawie cztery temu – odpowiedziała, podnosząc cztery palce. – Dokładnie trzy i pół. Trzeciego maja będzie cztery.

– Dlaczego nie mieli dzieci?

– Nie wiem, czy powinnam...

– Wszystko, co pani powie, pozostanie wyłącznie do naszej wiadomości – zapewnił ją Syski. – To jest bardziej rozmowa niż formalne przesłuchanie. Podkomisarz Araszkiwicz nawet nie robi notatek – dodał, jakby miał o to pretensję do podwładnego.

– Wolfgang przyjaźni się z Lukaszem. Czy to jest zwyczajna przyjaźń, mam wątpliwości. Tym bardziej że Wolfgang jest lekarzem z wykształcenia, obrotnym właścicielem firm, a Lukas wprawdzie ma maturę i był mistrzem Niemiec w zapasach, ale to nie ten poziom. – Anna Maria ściszyła nagle głos. – Bella podejrzewała, że Wolfgang ma skłonności homoseksualne. Może być z nią i może z mężczyzną.

– A ten Lukas?

– Lukas Bielok to inteligentny, tyle że nieszczęśliwy mężczyzna. I do tego niemowa.

– Prawdziwy niemy?

– Prawdziwy. Wszystko, co ma do przekazania, pisze na kartkach. Podobno podczas treningu czy zawodów coś mu uszkodzono w krtani. Nie znam się na budowie aparatu mowy.

– Ja też – przyznał się podkomisarz.

Grodzki mrugnął do Syskiego. Obaj roześmiali się cicho, kręcąc głowami. Nie daj Boże, żeby Araszkiwicz został naczelnikiem wydziału.

– Formalnie Bielok jest asystentem Pohlhoffera. Dlatego zawsze nosi garnitur. Także ochroniarzem i kierowcą. Formalnie, bo w rzeczywistości robi co innego. Ma więcej do powiedzenia niż Antek Żółtowski, a to dyrektor zarządzający. Bielok mieszka w znakomicie wyposażonym domku tuż obok siedziby zarządu firm. – Anna Maria uśmiechnęła się dwuznacznie. – Gdyby przed ślubem Bella wiedziała, co łączy Wolfganga i Bieloka, to...

– Niemiec? Polak? Pytam o Bieloka.

– Były reprezentant Niemiec w zapasach.

– W stylu klasycznym czy wolnym? – dociekał Araszkiwicz i zobaczywszy zdziwienie w oczach Anny Marii, domyślił się, że zadał jej za trudne pytanie. Póki Natasza nie zaszła w ciążę, należała do sekcji zapaśniczej w Gwardii, dlatego Araszkiwicz wiedział o tej dyscyplinie

troszkę więcej niż naczelnik wydziału. Ale gdyby Syski go zapytał, czym różni się styl wolny od klasycznego, musiałby tak zręcznie lawirować, żeby nie wyjść na dyletanta. – Nie wie pani – stwierdził podkomisarz, spuszcżając z tonu. – Czy Pohlhoffer Wolfgang miał dzieci z pierwszą żoną?

– Nie. Podobno z winy Birgit. Jak sobie teraz myślę... Może nie powinnam. Nie mam dowodów, a poszlaki...

– Poszlaki również mają znaczenie, pani Zahorska-Ogrodzińska.

– To sprawa Bieloka. On ma przeogromny wpływ na Wolfganga. – Anna Maria westchnęła. – Mnie Bielok jako mężczyzna się nie podoba i tyle. Belli także się nie podobał. Inne ścisnęły kolana na jego widok. Kupa mięsa i nic więcej.

– To wszystko Pohlhoffer Mirabella pani powiedziała? Bez skrępowania? – zapytał Araszkiewicz, jakby podejrzewał konfabulację. – Byłyście aż tak sobie bliskie?

– Niekiedy pani ma zadziwiająco doskonałą pamięć – włączył się do rozmowy Grodzki. – A niekiedy jest odwrotnie. Dlaczego?

Anna Maria zlekceważyła jego pytania.

– Umówiłam się z Bellą, że razem z Marcinem przyniosę zaproszenie na nasz ślub. Że przyjdziemy dopiero wieczorem, kiedy Wolfgang wróci z biura do pałacu. Tak zrobiliśmy. Proszę sobie wyobrazić, że przez cały wieczór Wolfgang nie odezwał się nawet półzdaniem. Siedział w fotelu i czytał „Düsseldorfer Rundschau”. Nawet nie odprowadził nas do drzwi. Zrobiła to Bella. Tam nas przeprosiła za jego zachowanie. Powiedziała, że najbardziej boi się tego, że któregoś dnia coś ją omami. Że połknie garść jakiegoś senzopu i już się nie obudzi. Albo odurzona podetnie sobie żyły.

– Na pewno powiedziała, że podetnie sobie żyły? – zapytał Araszkiewicz. – Pani się nie przesłyszała?

– Wtedy uznałam to za słowa bez znaczenia. W chwili słabości ludzie mówią różne głupoty, prawda? Potem żałują. Panu to nigdy się nie zdarzyło?

– Jeżeli Pohlhoffer Mirabella powiedziała, że podetnie sobie żyły, co pani słyszała, to sprawa jej śmierci jest bliska wyjaśnienia – uznał Araszkiewicz, zerkając na Syskiego. – Bez wątpliwości z góry zaplanowane samobójstwo. Koledzy komisarze zgadzają się ze mną?

Naczelnik wydziału nie odpowiedział. Grodzki odwrócił się do niego i zapalił papierosa, lecz tym razem nie poczęstował Anny Marii.

– Czy Pohlhoffer Mirabella na coś chorowała? Pytam nie o grypę, koklusz i takie tam kobiece choroby – kontynuował Araszkiewicz, coraz bardziej pewny, że zbliża się do końca rozmowy. – Interesuje mnie, czy miała jakieś zaburzenia, na przykład natury psychicznej? Czy się leczyła z tego powodu?

– Jak każda kobieta, która w młodym wieku nagle została wdową. Jak każda kobieta, która chciała urodzić dziecko. I jak każda kobieta, której w małżeństwie nie układało się z mężem. Oraz jak każda kobieta, która poślubiła mężczyznę heteroseksualnego, ale z przeważającymi skłonnościami homoseksualnymi, o czym dowiedziała się dopiero po ślubie. Proszę pana, gdyby Wolfgang nie wstydził się albo nie obawiał ostracyzmu czy konsekwencji jako przedsiębiorca, nie kryłby swego gejostwa.

– A to nie to samo, pani Zahorska-Ogrodzińska?

– Homoseksualista czy homoseksualistka to osoba zaspokajająca swoje potrzeby seksualne z osobą tej samej płci. Gej czy lesbijka to również osoba homoseksualna, ale i uważająca, że należą się jej takie same prawa jak osobom heteroseksualnym, które dominują w naszej kulturze. Geje i lesbijki domagają się zrównania ich związków partnerskich ze związkami małżeńskimi. Wtedy mieliby prawo do adaptowania dzieci czy dziedziczenia majątku. To jest sprzeczne z naszą kulturą. I na razie z naszym prawem. Homoseksualizmu nie uważa się za chorobę. Uważa się go za trzecią orientację seksualną najrzadziej występującą w przyrodzie.

– Czyli Pohlhoffer Mirabella nie chorowała – orzekł Araszkiewicz, zmieniając temat.

– W latach licealnych z powodu zawiedzionej miłości próbowała zrobić jakieś głupstwo. Wtedy krótko przebywała w szpitalu psychiatrycznym, o ile dobrze zapamiętałam, w Gnieźnie. Z jakiego powodu, o tym nigdy nie rozmawiano w naszej rodzinie.

– To by wiele wyjaśniało.

– Chciałabym przyznać panu rację. Jednak przez skórę czuję, że to początek czegoś poważniejszego – powiedziała do Araszkiewicza. Odwróciła głowę w stronę okna, przy którym Grodzki palił papierosa. – Poczęstuje mnie pan? Albo nie. Nie chcę narażać mojego dziecka na konsekwencje nikotyny.

Araszkiewicz uśmiechnął się. Dzień po tym, jak Natasza powiedziała mu, że zostanie ojcem, przestał palić. Od czterech miesięcy nie wydał ani grosza na papierosy.

– W oparciu o co pani czuje, że to początek czegoś poważniejszego? Jest jeszcze coś, o czym pani wie i czego nam nie powiedziała? Ukrywanie wiedzy o sprawcy lub ofierze podczas przesłuchania grozi poważnymi konsekwencjami karnymi – ostrzegł ją Araszkiwicz.

– Bella nie mogła popełnić samobójstwa, podcinając sobie żyły. Gdyby połknęła garść jakiegoś senzopu...

– Dlaczego nie mogła? – przerwał jej Syski.

– Bella bardzo chciała urodzić dziecko. Najlepiej dziecko swego męża, Wolfganga, lecz on... W nocy, kiedy Bella wyszła z Kubą z restauracji i po jakiejś godzinie, a może dłużej, wróciła, była nie tą samą kobietą, która przyjechała na wesele kuzynki. Tańczyła. Śmiała się. Nigdy wcześniej nie widziałam tyle radości w jej spojrzeniu jak tej nocy. Tak zachowuje się kobieta naprawdę szczęśliwa.

– Co pani sugeruje?

Anna Maria odpowiedziała dopiero po chwili:

– Że tej nocy pomiędzy nimi, to znaczy Bellą i Kubą... Panowie powinni się domyślić, co wtedy między nimi mogło zajść.

– Bierzemy się za tego Kubę – natychmiast zdecydował Syski. – Jak się on nazywa?

– Bednarz.

– Aracha, każ posterunkowemu przyprowadzić Bednarza. Albo sam po niego idź.

– Kuba nie zrobił niczego złego – zapewniła policjantów Anna Maria.

CHOCIEBUŻ (COTTBUS), ESCHENWEG, NIEDZIELA, PÓŹNE POPOŁUDNIE

Zaraz po obiedzie zjedzonym w hotelowej restauracji Wolfgang Pohlhoffer zatelefonował do znajomej adwokatkii, prosząc ją o spotkanie w poniedziałek z rana w jej kancelarii. Nie wyjaśnił, dlaczego chce z nią porozmawiać. Uważał, że kto jak kto, ale Kinga Moltenthin na pewno mu pomoże. Tym bardziej że nie robi tego za darmo. Wiele razy korzystał z usług jej kancelarii i zawsze był zadowolony. Adwokatka zaproponowała rozmowę jeszcze w niedzielę po południu, oczywiście jeśli on nie ma nic przeciw temu. Nie miał, a nawet się ucieszył, że tak szybko zacznie załatwiać sprawę, która

go dręczy od śmierci babci. Powinien był wcześniej pomyśleć o mecenas Moltenthin.

– Skoro mieszka pan w Lausitz, to spotkajmy się w hotelowej kawiarni – zaproponowała.

– Wolalbym w innym miejscu – odpowiedział Pohlhoffer. Przypomnił sobie Ficnerskiego, który go spotkał w hotelowej restauracji, a nie powinien wiedzieć, gdzie on przebywa. Zresztą wójt tego pożałuje. – Może być Technoclub pani męża?

– Na miłość boską, panie Pohlhoffer, wszędzie, tylko nie tam! Głośno, że własnych myśli nie słyhać. Nie da się rozmawiać.

– W takim razie niech pani wskaże najlepsze miejsce. Nie znam aż tak dobrze miasta, żeby wilk był syty i owca cała, jak często powtarza mój dyrektor zarządzający.

– Pan nie chce w hotelu, ja w klubie – powiedziała głośno bardziej do siebie niż do Pohlhoffera. – Zatem zapraszam pana do mojego domu na popołudniową kawę. – Podała adres i się rozłączyła. Nawet nie zdążył zapytać, czy ulica, przy której mieszka Kinga Moltenthin, jest daleko od hotelu Lausitz.

Chociebuż znał fragmentarycznie, a właściwie tylko najstarszą jego część wokół rynku. Jak dotrzeć na Eschenweg? Mógłby zagadnąć hotelowego ochroniarza, ale wtedy od słowa do słowa i musiałby mu powiedzieć, dlaczego chce się tam dostać. Eschenweg pewnie jest na podmiejskim, pełnym jesionów osiedlu. Adwokatkę i właściciela klubu techno stać na domek jednorodzinny. Wsiadłby do arteona, wbił nazwę ulicy do AutoMapy i za kilkanaście minut głos przewodnika doprowadziłby go na miejsce, ale wtedy zostawiłby ślad w sieci. To wziąć taksówkę? Nie na Eschenweg, a na którąś z pobliskich uliczek. Podszedł do planu Chociebuża wiszącego na ścianie przy recepcji. Ze spisu ulic dowiedział się, że Eschenweg łączy kwartały B2 i C2. Po poszukiwaniu trwającym kilka minut odnalazł ją na planie. Zdecydował, że zabierze się tam autobusem linii 15 sprzed hotelu. Wsiądzie przy Cottbus Center i przejdzie trzysta metrów albo dojedzie taksówką do Quergasse, która łączy Eschenweg z wylotową Sielower Chaussee.

– Znakomicie pan sobie poradził – pochwaliła go Kinga Moltenthin, kiedy pół godziny później nacisnął guziczek wideofonu przy furtce. I wtedy zdał

sobie sprawę z tego, że nie pomyślał o kwiatkach. Przecież mógł je kupić w kwiaciarni Cottbus Center, co zajęłoby najwyżej pięć minut.

Adwokatka mu się podobała nie tylko jako prawniczka. Szczególnie wtedy, gdy podążał za nią wąskim chodnikiem między szpalerami bukszpanu do domu. Obserwował, z jaką gracją stawia nogi. Jak wysuwa do przodu to lewe, to prawe ramię. Ujmująca twarz, podkreślona nie za mocnym makijażem, świadczyła o tym, że wie, na co mężczyźni zwracają uwagę. W tych sprawach Mirabella także była kuta na cztery nogi, ale Kinga Moltenthin robiła to jakby z większym kunsztem i wrodzoną pewnością siebie.

W salonie urządzonej bardziej praktycznie niż na pokaz, ręką wskazała mu jeden z dwóch foteli obciągniętych skórą przy stoliku z marmurowym blatem i wyszła bez słowa. Miał czas, żeby omieść wzrokiem obraz. Słabo znał się na malarstwie, ale dałby głowę, że na ścianach wiszą dzieła sztuki nie tylko z nazwy.

– Najbardziej lubię ten niewielki olej pędzla Chodowieckiego. *Scena rodzajowa w Charlottenburgu*. Może dlatego, że i w żyłach Daniela Chodowieckiego płynęła polska krew – powiedziała, a dołki w jej zaróżowionych policzkach zrobiły się jeszcze głębsze. Rozstawiła na stoliku filiżanki i talerzyki, położyła przy nich serwetki, uśmiechnęła się i zrobiła taki gest ręką, że bez wyjaśnienia Pohlhoffer zrozumiał, co miała na myśli. – W niedzielę Dagmara ma wolne. Jako osoba zajmująca się prawem w ogóle, w swoim domu staram się nie naruszać prawa pracy. Przy okazji: jestem panu wdzięczna. Tak pracowita i przy tym inteligentna gosposia jeszcze mi się nie trafiła. Niestety, Dagmara ma dwie wady. Jest za ładna i zbyt pomysłowa, a przy tym wyjątkowo sprytna – dodała z zasadniczym, ale i po trosze filuternym uśmiechem.

Tyś także grzechu warta, przeszło Pohlhofferowi przez myśl i wzrokiem odprowadził adwokatkę za drzwi. Jak ona stawia nogi. Ile w tym gracji. Czyż nie specjalnie założyła obcisłą spódnicę nie zakrywającą kolan? I ma na sobie dopasowaną bluzkę z dekoltem ozdobionym wisiorkiem. Do kawiarni tak by się nie ubrała. Ale zaraz upomniał się, że nie przyjechał na Eschenweg w niedzielę po południu po to, żeby podziwiać adwokatkę. Pięć minut później Kinga Moltenthin postawiła na stoliku dzbanek z kawą i paterę, na której wdzieczyły się ciastka oblane czekoladą i jeszcze czymś. Z marketu, stwierdził w myślach. Może nawet upieczone w moim zakładzie.

Nie pamiętał, z którymi sieciami Żółtowski podpisał umowy. Prosił go, żeby wyroby zakładu BoberPohl były w całych Niemczech. Na pewno są w Düsseldorfie, w Solingen i większych miastach północnej Nadrenii, co Lukas sprawdził i sfotografował. Jemu Pohlhoffer wierzy bardziej niż Żółtowskiemu. Zresztą jakie to ma znaczenie, jeżeli zakład cukierniczy przynosi większy zysk niż wytwórnia architektury ogrodowej?

Kinga Moltenthin usiadła w fotelu na wprost Pohlhoffera, bez pytania naląła kawy do obu filiżanek. Powiedziała, że w domu nie ma mleka, co nie jest jej winą, lecz Dagmary, za co go przeprasza.

– Jest za to asbach.

W pierwszej chwili nie zrozumiał. Gdy podniósł na nią pytające oczy, wyjaśniła, że to *weinbrand*, niemiecki krewniak koniaku. Kompozycja szlachetnych alkoholi z Rüdesheim, miasteczka położonego w dolinie środkowego Renu.

– Jako człowiek urodzony, wychowany i wykształcony w Nadrenii powinienem coś wiedzieć o asbachu, a nawet o nim nie słyszałem – przyznał się ze wstydem. – W moim domu tym nie częstowano gości. Jeśli częstowano, to killepitschem, ale ja za nim nie przepadam. Nie lubię żadnych likierów. Jägermeister, uwielbiany przez mojego menedżera, nie przeszedłby mi przez gardło.

– W niedzielę po południu piję czarną kawę bez cukru i lampkę asbacha. Taki nieszkodliwy nawyk. Jeśli mąż jest w domu, co bardzo rzadko się zdarza, z ochotą mi towarzyszy.

– Dostosuję się do zwyczaju panującego w tym domu, pani Moltenthin.

– Będzie mi miło, panie Pohlhoffer. – Uśmiechnęła się dziękczynnie, podnosząc swój kieliszek.

– Nie przyjechałem samochodem, mogę więc towarzyszyć pani mecenas – odpowiedział identycznym uśmiechem i podniósł kieliszek do ust. Asbach w smaku jest jak każdy *weinbrand*, stwierdził w myślach, przełknąwszy łyżeczk trunku. Nic zachwycającego. Na głos powiedział, że asbach ma wspaniały bukiet. I dodał: – Smakosze trafnie nazywają ten *weinbrand* wodą życia.

– Jak sobie radzi pani Bella? – zapytała Kinga Moltenthin, ale nie czekała na odpowiedź. – Gdybym była na jej miejscu, na waszym miejscu – poprawiła się natychmiast – wzięłabym sobie dziecko na wychowanie. Nie pierwsze lepsze od nieporadnej matki. Najlepiej od kogoś z rodziny.

– Długo studiowaliśmy ten temat. Nawet sondowaliśmy w rodzinie – skłamał. – Gdybyśmy teraz mogli zająć się tym, z czym przyszedłem do pani mecenas, byłbym wdzięczny.

– Z telefonicznej rozmowy wywnioskowałam, że coś naprawdę na wczoraj kazało panu do mnie zadzwonić. Coś, co nie powinno czekać do poniedziałku. Co to takiego, panie Pohlhoffer? Proszę przyjąć do wiadomości, że w niedzielę, w moim domu i dla stałego klienta porada prawna jest bezpłatna. Bardzo rzadko się zdarza, żeby taki klient kontaktował się z adwokatem w niedzielę. To musi być coś niecierpiącego zwłoki. Zamieniam się w słuch – dodała, uśmiechając się jakby z niedowierzaniem.

Nie tłumacząc, dlaczego ta sprawa go interesuje ani nie wdając się w dywagacje na temat sprawiedliwości dziejowej po drugiej wojnie, Wolfgang Pohlhoffer zapytał, jak z punktu widzenia prawa wygląda kwestia zwrotu majątku pozostawionego przez obywateli niemieckich na terenach, które w 1945 roku przejęła administracja polska.

– Chodzi panu o to, co część polityków niemieckich nazywa majątkiem zrabowanym osobom prywatnym w pierwszych latach po drugiej światowej przez Polskę, Czechosłowację i Węgry? – dopytała Kinga Moltenthin. Gdy Pohlhoffer kiwnął głową, poinformowała go, że tę kwestię uregulowała deklaracja poczdamska już trzy miesiące po bezwarunkowej kapitulacji Niemiec. Od tamtego czasu urodziło się trzecie pokolenie, a u części rodzin dawnych właścicieli majątków sprawa ta jeszcze nie wygasła. Jest grupa spadkobierców, która domaga się powrotu do mienia, ale sądy krajowe powołując się na prawo międzynarodowe nie przyznają racji skarżącym decyzję podjętą przez przywódców Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego. – W odniesieniu do Polski Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu po raz kolejny potwierdził, że Rzeczpospolita nie ma obowiązku zwracać majątków tym dawnym właścicielom niemieckim, którzy je pozostawili, uciekając przed frontem czy to z własnej woli, czy na polecenie władz. Inaczej ta sprawa wygląda w odniesieniu do obywateli innych państw, ale o tym teraz nie będziemy rozmawiali, bo pana interesują majątki należące dawniej do Niemców.

– Jak sędziowie to uzasadnili? – Nie wszystko, co prababka Agnes Margret von Rotenhahn napisała w „Crossener Quartalsschrift” o dziejach rodu Pohlhofferów w Jakobsheide, interesowało Wolfganga. W pamięci utkwiły mu zdania dotyczące tego, co się wydarzyło w sobotę, 3 lutego 1945 roku.

Wtedy do pałacu przyjechał kapitan von Gorslen z informacją, że władze nakazały obowiązkową ewakuację wszystkich Niemców na zachód. – Cywilni mieszkańcy nie chcieli opuścić swoich siedzib, ale musieli dostosować się do zarządzenia.

– Na kilkanaście minut proszę zamienić się w cierpliwego słuchacza. Na dodatkowe pytania i odpowiedzi przyjdzie czas. Czy pan, doktorze Pohlhoffer, dokądś się spieszy?

Doktorze? Skąd ona wie, kim byłem? Przecież nikomu nie przyznałem się, że jestem chirurgiem i ortopedą po studiach medycznych na uniwersytecie w Düsseldorfie. Nawet Mirabelli nie powiedziałem, co robiłem w Solingen, zanim ożeniłem się z Birgit. Jeżeli jeszcze raz Kinga Moltenthin tak się do mnie zwróci, postraszę ją, że poszukam innej kancelarii, postanowił. To, kim byłem w Solingen i co mam zamiar zrobić w Jakubinie, musi pozostać tajemnicą. W moje sprawy wtajemniczyłem jedynie Lukasa. *Liebchen*, Lukas.

Moltenthin zaczęła od przypomnienia, że Preussische Treuhand²⁴, spółka prawa handlowego założona przez członków Landsmannschaft Ostpreussen²⁵, w imieniu spadkobierców dwudziestu trzech rodzin wysiedlonych z terenów, które od zakończenia drugiej wojny są po stronie polskiej, domaga się od Rzeczypospolitej zwrotu majątków. Zdaniem zarządu spółki przymusowe wysiedlenie i konfiskata mienia po wojnie było czystką etniczną. Autorzy skargi do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka napisali nawet, że to, co się wtedy stało, oznacza zbrodnię przeciwko ludzkości. Powołali się na Europejską konwencję praw człowieka z 1950 roku. Od Rzeczypospolitej domagali się zadośćuczynienia w postaci odszkodowania pieniężnego i zwrotu mienia. Powoływanie się na ową konwencję jest nietrafne, gdyż w 1945 roku ona jeszcze nie istniała, orzekł trybunał w Strasburgu. Rzeczpospolita Polska ratyfikowała ją dopiero w 1994 roku. Już na pierwszym roku studiów kandydaci na adwokatów, prokuratorów, notariuszy, radców prawnych i sędziów dowiadują się, że *lex retro non agit*²⁶. W cywilizowanym świecie nie może być odstępstwa od zasady *dura lex, sed lex*²⁷. Był i drugi powód, dla którego sędziowie trybunału w Strasburgu uznali skargę za bezpodstawną. Trzecia Rzesza Niemiecka istniała do bezwarunkowej kapitulacji 8 maja 1945 roku. Od końca stycznia do kwietnia tamtego roku Polska nie sprawowała kontroli nad terenami niemieckimi, które potem weszły w skład terytorium Rzeczypospolitej. Opuszczenie przez Niemców najpierw Prus Wschodnich, później Pomorza i Śląska nakazały władze niemieckie.

Chodziło przede wszystkim o ochronę ludności cywilnej przed Armią Czerwoną, traktującą mieszkańców zajmowanych ziem, szczególnie młode kobiety, po barbarzyńsku. Nie bez znaczenia było i to, żeby wojska radzieckie zastały na tych terenach bezludnie. Nie budzi wątpliwości fakt, że do podpisania kapitulacji 8 maja 1945 roku wschodnie terytoria Trzeciej Rzeszy Niemieckiej były pod okupacją Związku Radzieckiego. Identycznie jak zachodnie kraje związkowe, gdzie władzę sprawowali wojskowi amerykańscy i brytyjscy. Wysiedlenia i późniejsze wypędzenia Niemców z terenów wschodnich były zatem skutkiem wojny niemiecko-radzieckiej i okupacji zajętych ziem. Jako że pod decyzją w tej sprawie podpisali się w Poczdamie przedstawiciele trzech zwycięskich mocarstw – Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego – trybunał potwierdził, że nie Polska, a te trzy państwa ponoszą odpowiedzialność za wysiedlenia. Tak to wygląda z prawnego punktu widzenia. Ma się rozumieć, że chodzi o prawo międzynarodowe. Adwokat zajmujący się tą sprawą nie powinien podejmować się oceny moralnej tak zwycięzców, jak i przegranych. W tym miejscu ciśnie się na usta istotne spostrzeżenie. Otóż Preussische Treuhand nie domaga się zwrotu majątków od Rosji, mimo że obwód kaliningradzki obejmuje dawne Ostpreussen²⁸. Wcześniej znaczna część tego terytorium należała do Litwy i Polski.

– W 2004 roku, w Gdyni, w odpowiedzi na utworzenie Preussische Treuhand, powstała organizacja pożytku publicznego Powiernictwo Polskie – poinformowała go adwokatka. – Jako swój główny cel organizacja wskazała wnoszenie skarg przeciwko Republice Federalnej Niemiec w imieniu tych Polaków, których rodziny utraciły swoje majątki w wyniku działań wojennych, represji i przymusowych wysiedleń dokonanych przez Trzecią Rzeszę w Generalnym Gubernatorstwie. Na razie na tym poprzestało, ale jeżeli Powiernictwu Pruskiemu lub podobnej spółce uda się przekonać sędziów w Strasburgu, że racja jest po stronie niemieckiej, polska organizacja także może odnieść sukces. Prawny, rzeczywisty i przede wszystkim polityczny. Proszę pamiętać, że pół wieku po drugiej wojnie Niemcy wypłacili odszkodowania tym Polakom, którzy byli robotnikami przymusowymi. Czyli Niemcy uznali swoją winę.

– Słusznie. Za każdą pracę wykonaną przez człowieka trzeba zapłacić. Tylko, pani Moltenthin, dlaczego z tego powodu ma cierpieć moja rodzina,

która utraciła to, od czego zaczął praprapradziadek Jakob Ludwig i jego żona Selina?

– Panie Pohlhoffer, dobrze pan wie, że nie Polacy wywołali wojnę w 1939 roku. To po pierwsze. Po drugie, pana rodzina nie została wypędzona przez Polaków, lecz opuściła Jakobsheide na polecenie administracji niemieckiej i tam nie wróciła. Po trzecie, panu jako spadkobiercy nie należy się odszkodowanie, ponieważ pana rodzina już je otrzymała.

– Moja rodzina niczego nie dostała. Od kogo miała je dostać?

– Wszyscy Niemcy przymusowo wysiedleni ze wschodniej i środkowej Europy otrzymali od władz w Bonn odszkodowanie pieniężne. W 1952 roku Bundestag uchwalił ustawę o wyrównaniu szkód na skutek wypędzenia. Objęła ona nie tylko nieruchomości, lecz i sprzęt codziennego użytku, i nawet oszczędności. Pewnie nie była to równowartość utraconego majątku.

Pohlhoffer zamilkł, jakby zastanawiał się nad tym, co usłyszał od Kingi Moltenthin. Dlaczego babka nie powiedziała, że Pohlhofferowie dostali odszkodowanie? Może unieśli się honorem i odmówili przyjęcia pieniędzy? Przecież chodzi o majątek, który będzie przekazywany z pokolenia na pokolenie.

– Zapytam wprost, jaką mam szansę jako spadkobierca na zwrot pałacu w Jakubinie.

– Na razie nie ma pan żadnej szansy. Pomimo tego, gdybym była na pana miejscu, zaczęłabym od formalności. Powinien pan postarać się o sądowe potwierdzenie, że jest prawnym spadkobiercą rodu Pohlhofferów. Dziś to nic nie da, jeśli idzie o pałac w Jakubinie. Może w przyszłości się przyda. Trzeba mieć taką nadzieję. Nadzieja i wiara chodzą w jednej parze, panie Pohlhoffer.

– Kurwa jebana mać, ja pierdołę takie prawo!! – zaklął po polsku.

Adwokatka parsknęła śmiechem.

– Słyszałam, że są Niemcy, którzy kupują nieruchomości w Polsce przy pomocy pośredników. Najczęściej jest to osoba, która ma podwójne obywatelstwo. Polskie i niemieckie. Taka osoba kupuje nieruchomość legalnie i legalnie odsprzedaje ją Niemcowi. Prawo międzynarodowe tego nie zabrania.

– Uważa pani, że to będzie sprawiedliwe, abym jako spadkobierca kupił to, co należało do mojej rodziny?

Kinga Moltenthin nie skomentowała wypowiedzi Pohlhoffera, mimo że on czekał na potwierdzenie swojej racji.

- Mam! – pochwaliła się. – Jest wyjście.
- Wyjście z czego?
- Z tej kłopotliwej sytuacji.
- Jest jakieś wyjście? – zapytał zaskoczony. – Czy pani powie jakie?
- Niech pan zwróci się o polskie obywatelstwo.

Teraz Pohlhoffer parsknął śmiechem.

– Właśnie w piątek dostałem pisemną informację z urzędu wojewody, że mój wniosek o przyznanie polskiego obywatelstwa został załatwiony pozytywnie. Mało tego. Nawet dostałem zaproszenie na uroczystość, podczas której wojewoda wręczy mi paszport z orzełkiem.

– Brawo, panie Pohlhoffer! W takim razie już nie ma przeszkód formalnych, żeby pan został właścicielem pałacu w Jakubinie. Oczywiście nie jako spadkobierca, a jako nabywca. Tylko...

– Jednak jest jakiś szlaban?

– Tylko po co panu stary pałac? Gdyby stał bliżej większego miasta albo niedaleko autostrady czy drogi szybkiego ruchu, jego część można przeznaczyć na hotel z restauracją i centrum konferencyjne.

– Najpierw...

– Proszę pamiętać, że zaraz po podpisaniu umowy na zakup budowli państwowy konserwator zabytków każe panu opracować plan jej zabezpieczenia przed dewastacją. To raz. Dwa to program remontu. Konserwator pana uprzedzi, że bez jego zgody nie wolno niczego zmienić w kształcie architektonicznym obiektu. Pieniądze, które pan włada w odbudowę pałacu, nigdy się nie zwrócą. Każdy zbytek to studnia bez dna.

Pohlhoffer splótł dłonie i westchnął tak, jakby dawał jej do zrozumienia, że o tym wie. Obiecał babci odzyskać pałac, musi więc dotrzymać słowa, choćby miał się zapożyczyć w banku albo sprzedać kilka swoich firm. Honor u Pohlhofferów ma większe znaczenie niż odwaga. Nie przyznał się adwokatce, że wójt wskazał mu niezbyt długą drogę do pieniędzy na odbudowę pałacu i późniejsze jego utrzymanie. Ficnerski podpowiedział, aby walące się obory, stajnie, chlewnie i stodoły zaadaptował na pokoje z łazienkami, zakładem rehabilitacji, hospicjum, kaplicą i co tam jeszcze będzie potrzebne starym ludziom podczas jesieni życia. W ośrodku z takimi wygodami i opieką pielęgniarek będą mogli mieszkać bogatsi emeryci z Polski. Jeżeli się okaże, że wśród Polaków jest za mało chętnych do zamieszkania w Jakubinie, starzy Niemcy będą mogli w nim żyć

aż do sądnego dnia. Chętnych nie powinno brakować, tym bardziej że koszty utrzymania w Polsce są dużo niższe niż w Niemczech.

ZIELONA GÓRA, UL. GŁOGOWSKA, NIEDZIELA PÓŹNE POPOŁUDNIE

Jakuba nie było w restauracji.

– Pewnie poszedł do swojego pokoju – powiedziała matka Anny Marii, gdy podkomisarz Araszkiewicz o niego zapytał. – Jedyne są na trzecim piętrze i jeżeli pamięć mnie nie myli, mają parzyste numery. Tak, tak. Pani Bella... trzydzieści osiem, prawda, Czarku?

Brat młodego pana przytaknął, po czym dodał:

– Mój jest trzydzieści dwa.

– Mój trzydzieści sześć. – Babcia Ogrodzińska wyjęła klucz z torebki i podniosła wysoko, żeby policjant nie miał wątpliwości, w którym pokoju ona mieszka.

– Kuba powinien zajmować trzydzieści cztery – wywnioskowała matka Anny Marii. – On tam może być.

Recepcjonistka nie mogła tego potwierdzić. W komputerowej ewidencji gości były nazwiska, imiona i adresy, ale czy dotyczyły akurat dzisiejszych gości weselnych, nie chciała wziąć za to odpowiedzialności. Ona tak robiła i pewnie identycznie postąpiła jej koleżanka, która w sobotę pracowała w recepcji. Po prostu klucze z numerami pokoi wrzuciła do koszyczków na ladzie. W większym leżały te do drzwi dwójek, w mniejszym te do jedynek. Ozdobiony białą kokardą klucz do apartamentu małżeńskiego czekał na młodą parę w etui mającym kształt podwójnego łóżka. Tak było każdej soboty i jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktokolwiek spośród gości miał pretensję czy uwagi do menedżera hotelu. Ponieważ recepcjonistka była także kelnerką i barmanką, przez cały czas pobytu w Gremplerze mężczyźni nosili klucze w swoich kieszeniach, a kobiety w torebkach. Bywało, że goście opuszczający hotel zabierali klucze ze sobą, co menedżer przewidział, dlatego do każdych drzwi kazał dorobić po dziesięć zapasówek.

– Od której godziny jest pani w recepcji? – zapytał Araszkiewicz.

Twarz recepcjonistki spłoszowała.

– Zmianę powinnam zacząć o siódmej – powiedziała ledwie słyszalnym głosem. – Spóźniłam się prawie pół godziny. Koleżanki z nocki już nie było.

– Czyli przez prawie pół godziny każdy mógł wejść do hotelu bez zatrzymania i niezauważony wyjść.

Recepcjonistka zacisnęła usta i milczała, zerkając w stronę windy, która zatrzymała się na parterze, lecz nikt z niej nie wysiadł.

– Nie jestem tu dla przyjemności. Proszę odpowiadać na pytania. Tak czy nie?

– Z doświadczenia wiem, że wesela kończą się około piątej. Przez jakieś pół godziny jest tak głośno, że głowa pęka, a potem w całym hotelu panuje cisza jak makiem zasiał. Wcześniej niż o jedenastej nikt nie wstaje.

– Co pani robi z rana? Wtedy, kiedy goście weselni śpią.

– Czasem oglądam serial w telewizji. O dziewiątej przyjeżdża kucharka, odgrzewa to, co zostało z wesela. Ja pomagam kelnerce nakryć stoły. O dwunastej wszystko musi być gotowe na poprawiny. Zazwyczaj o czternastej pierwsi goście odjeżdżają. Godzinę później zaczyna się sprzątanie restauracji. Wtedy zdejmuję dekoracje weselne i pomagam kelnerce rozstawić krzesła.

Z windy wyszedł menedżer hotelu. Zobaczywszy Araszkiewicza opartego o ladę w recepcji, zapytał, czy już policjanci coś wyjaśnili i w czym może pomóc. Nie chciałby, aby informacja o tym, co się wydarzyło w Gremplerze, przedostała się do mediów.

– Nigdy jeszcze, a jestem menedżerem...

– Trzeba będzie nasłać na was inspekcję pracy albo jakąś inną kontrolę – nie pozwolił mu dokończyć policjant.

– Z jakiego powodu? – chciał wiedzieć menedżer.

– Z powodu nieprowadzenia aktualnej ewidencji gości.

– Jest pan w błędzie. Postępujemy tak, jak do tego zobowiązują nas przepisy.

– To dlaczego pani recepcjonistka nie jest w stanie podać mi numeru pokoju, w którym mieszka Bednarz Jakub?

Menedżer schłostał wzrokiem kobietę. Araszkiewicz to dostrzegł, ale nie stanął po jej stronie.

– Przepisy nakładają na nas obowiązek zbierania danych o indywidualnych gościach. W przypadku grup zorganizowanych, a goście weselni do takich się zaliczają, wystarczy lista. Tym bardziej że organizator wesela, najczęściej jest

to rodzina panny młodej, wpłaca zaliczkę i na piśmie zobowiązuje się do pokrycia ewentualnych szkód wyrządzonych przez gości. Rozliczenie następuje po wykonaniu usługi, to znaczy trzy, cztery dni, do tygodnia po weselu. Jeszcze się nie zdarzyło, abyśmy musieli korzystać z pomocy firmy windykacyjnej. W przypadku tego wesela, umówiliśmy się z ojcem panny młodej, inżynierem Zahorskim, na pojutrze. On i my hołdujemy zasadzie: im szybciej, tym lepiej. Pani – menedżer zwrócił się do recepcjonistki – jak wszyscy wyjadą, pomoże pokojówce posprzątać dwójki na pierwszym piętrze. Około dziewiętnastej będziemy mieli czworo gości specjalnych. Aha, jeszcze trzeba zorganizować kolację. Pewnie zostanie coś z wesela, to... – urwał nagle, jakby się zagalopował.

Recepcjonistka nie kiwnęła głową i nie odpowiedziała. Dopiero kiedy menedżer zmierzył ją karcącym spojrzeniem, odrzekła, że robi to, co do niej należy. I zaraz dodała, że skoro goście weselni wspomnieli o pokoju trzydziści cztery, w którym mieszka ten Bednarz, to ona weźmie klucz zapasowy i zaprowadzi policjanta na trzecie piętro.

– Bynajmniej mi to nie szkodzi, tak – dodała tonem osoby obrażonej na cały świat.

– Idziemy – rzucił do niej Araszkiwicz i pierwszy ruszył w stronę windy.

Gdy znaleźli się na trzecim piętrze, recepcjonistka najpierw zapukała tak, jakby nie chciała nagonić strachu Bednarzowi. Za drzwiami była cisza. Z głową uniesioną wysoko, subtelnie się uśmiechając do policjanta, nasłuchiwała. Reprezentacyjna kobieta, ocenił ją w myślach Araszkiwicz i odpowiedział ledwie dostrzegalnym uśmiechem. Już mężatka czy jeszcze panna? Pewnie mężatka. Każda zgrabna i młoda, w dodatku pracująca w hotelowej recepcji, długo nie czeka na kandydata na męża. Recepcjonistka jeszcze raz zapukała do drzwi, teraz z większą siłą. Nie czekając na odpowiedź, lewą dłoń położyła na klamce, prawą wetknęła klucz do zamka i go przekręciła, ale nie weszła do pokoju, jak tego spodziewał się policjant. Zrobiła pytającą minę i mu oznajmiła, że niepotrzebnie się trudziła, bo drzwi nie były zamknięte na klucz.

Recepcjonistka pierwsza weszła do przedpokoju. Araszkiwicz chciał ją zatrzymać, ale zanim przyszło mu to do głowy, było za późno.

– Tylko niczego proszę nie dotykać – zdążył ją ostrzec.

W pokoju nie było nikogo. Jedna część kołdry leżała na łóżku, druga zsunęła się na podłogę. W łazience paliło się światło.

– Halo, czy jest tu ktoś? – zapytała recepcjonistka. Nikt się nie odezwał. Uderzyła ręką w drzwi. – Halo, halloo! – Nie usłyszawszy odpowiedzi, powoli wsuwała głowę do łazienki. – Nikoguśko.

– Na pewno? – zapytał Araszkiewicz, jakby jej nie wierzył. – Rzeczywiście – potwierdził po chwili. – Na dole też go nie ma. Znaczy Bednarza Jakuba.

– Widocznie gość wyjechał wtedy, kiedy pomagałam kelnerce nakryć stoły na poprawiny. Ale żeby nikomu nie powiedział? Jakiś fiśnięty?

Policjant zajrzał do szafy w przedpokoju.

– Zostawił swoje rzeczy, pewnie więc całkiem nie wyjechał – stwierdził, sięgając prawą ręką na półkę, gdzie leżała złożona w kostkę koszula, jakby chciał się upewnić, że niczego więcej tam nie ma.

– Może wyszedł się przewietrzyć. Niektórzy goście weselni, jak popiją, tak robią.

– Wyszedł z pokoju i nie zamknął drzwi na klucz?

– Sami swoi. Pracuję w tym hotelu od zakończenia studiów. Zaraz... cztery lata będzie na sylwestra, nie, to już pięć. W tym czasie jeszcze się nie zdarzyło, żeby kogoś okradziono. Tu nic nie zginęło. U nas nigdy nie było policji, chyba że prywatnie na weselu czy chrzcinach, ale to się nie liczy. Tak? Dziś panowie są pierwszy raz i w dodatku akurat na mojej zmianie. Muszę to gdzieś zapisać.

Z rękoma założonymi do tyłu, pochyliwszy się, jakby czegoś szukał między splotami wykładziny, Araszkiewicz zatrzymał się przy oknie. Palcami obu rąk rozchylił paski żaluzji. Na parkingu wzdłuż płotu stało co najmniej dwadzieścia samochodów. Większość zdobyły baloniki, pompony, wstążki, kokardy, kule ze sztucznych kwiatów. Przypomniał sobie, że dwa lata temu kawalkada identycznie udekorowanych aut jechała przez miasto z kościoła Najświętszego Zbawiciela na Strzelecką więcej niż pół godziny, bo musiała się zatrzymywać przed każdym przejściem dla pieszych. On w mundurze galowym z Nataszą w białej sukni weselnej, drużbantką i drużbantem siedzieli w policyjnej octavii, kierowanej przez naczelnika wydziału kryminalnego. Ludzie przystawali na chodniku i kiwali im rękami przyjaźnie.

– Czy będę jeszcze potrzebna? – przerwała jego rozmyślenia recepcjonistka. – Powinnam wrócić na swoje miejsce.

Araszkiewicz oderwał wzrok od samochodów sterczących na parkingu i się odwrócił do recepcjonistki. Wtedy, kiedy otworzył usta, aby powiedzieć,

że oboje zrobili to, co do nich należało i już nie mają czego szukać w pokoju, dostrzegł naszyjnik wystający spod kołdry zsuniętej z łóżka na wykładzinę. Zrobił krok i gdy recepcjonistka za nim podążyła, podniósł prawą dłoń, tym gestem ją zatrzymując. Po czym dwoma palcami lewej ręki chwycił brzeg kołdry i zaczął ją ostrożnie podnosić, jakby liczył na to, że poza naszyjnikiem znajdzie na wykładzinie jeszcze coś, co naprowadzi go na trop Bednarza. Nie licząc złamanej zapalniczki, nie było niczego więcej.

– Łańcuszek. Chyba z najprawdziwszego złota. Z jakimś dziwnym wisiorkiem. Ktoś go zgubił albo...

– Na pewno kobieta – powiedziała recepcjonistka. – Jeśli pana to interesuje, sprawdzę w komputerze, kto tu mieszkał przed panem Bednarzem.

– Zaraz, tu coś jest. – Araszkiwicz uklęknął na prawe kolano i się pochylił, próbując odgadnąć litery układające się w napis spinający łańcuszek. – Co to może być? Potrafi pani przeczytać?

– Mirabella – bez większego trudu odczytała recepcjonistka. – Teraz taka moda, że jedni tatuują sobie imiona na skórze, drudzy noszą biżuterię z imionami najbliższych albo ze swoimi. – Mój chłopak, Darek, ma moje imię na nadgarstku i w jeszcze jednym miejscu. Ja kazałam wytatuować sobie jego imię na lewym ramieniu. Bliżej serca. – Zdjęła apaszkę z szyi i rozpięła guzik białej bluzki, lecz policjant nie okazał zainteresowania jej tatuażem.

Komisarz Syski, gdy Araszkiwicz opowiedział mu o złotym łańcuszku znalezionym na podłodze w pokoju Jakuba Bednarza, zapytał Grodzkiego, co by zrobił w takiej sytuacji.

– Trzeba go przesłuchać.

– Najpierw trzeba go znaleźć – orzekł Araszkiwicz.

– Dlatego trzeba zacząć od przejrzenia zapisu z monitoringu. Szkoda, że nie wezwałeś Bojki. Na informatyce nikt lepiej się nie zna niż Artur. Prawdziwy magister inżynier.

– Artur obcyndala się z żonusią w Karpaczu.

– A Kleemann? Miłosz też jest kumaty w tych nowych technikach.

– Jak to on. W niedzielę nigdy nie odbiera telefonu. Choćby się waliło paliło i waliło, Kleemann ma wolny dzień.

– I nic mu, Jacul, nie zrobisz – powiedział Grodzki do Syskiego takim tonem, jakby uważał go za naczelnika wydziału pozwalającego sobie ciosać kołki na głowie. Komisarz nie mówił za dużo, ale gdy któryś spośród

detektywów obijał się albo dopiekl mu do żywego, to potrafił tak huknąć, że podwładny natychmiast milkł i stawał na baczność. – Bierzmy się za robotę, Aracha.

Menedżer potwierdził, że na każdym piętrze, na wprost głównych drzwi i na parkingu są zainstalowane ruchome kamery zwyczajne i na podczerwień. Dodatkowo w windzie jest urządzenie termowizyjne. Zawsze włączony komputer kontrolny stoi w jego gabinecie. Sterownia sieciowa jest ukryta pod ladą w recepcji. Osoba dyżurująca może obserwować na ekranie komputera to, co się dzieje w pomieszczeniach ogólnie dostępnych. Dotąd nie zdarzyło się, żeby recepcjonistki musiały wezwać ochroniarzy do pomocy. Świadczy to jedynie o tym, że Grempler, mimo położenia na uboczu, jest bardzo bezpieczny.

– W sąsiednim hotelu co rusz dochodzi do jakichś, że parlamentarnie to określe, incydentów. Tam nie ma tygodnia, żeby nie wzywano policji. Ostatnio jakiś gość po pijaku tak przywalił ochroniarzowi, że musieli wzywać karetkę. U nas dzięki Bogu...

Komisarz Syski dał mu znak ręką, że teraz to nie interesuje jego ani jego kolegów. Kiedy indziej menedżer dokończy swoją opowieść. Trzeba odnaleźć Jakuba Bednarza i wstępnie go przesłuchać. Najważniejsze to ustalić, czy on ma cokolwiek wspólnego ze śmiercią Mirabelli Pohlhoffer? Dlaczego na podłodze w jego pokoju leżał naszyjnik z jej imieniem? Zgubiła go? Czyli była w jego pokoju. Po co? O której godzinie przyszła i kiedy wyszła? W trakcie rozmowy na pewno pojawią się i inne pytania.

– Ustaliliśmy numer pokoju, w którym powinniśmy go zastać, ale tam nie ma żywego ducha. Bednarza nie ma wśród gości w restauracji. Nie wiemy, gdzie przebywa i nikt tego nie wie. Czy jest możliwe, żeby wyszedł niezauważenie? W pokoju zostały przedmioty do niego należące. Czyli powinien po nie wrócić.

– Gościom się zdarza coś zostawić przez zapomnienie.

– Uważa pan, że Bednarz był aż tak zakrecony, że zapomniał zabrać koszulę, krawat, piżamę, kosmetyczkę? Czy to możliwe, żeby aż tyle?

– Nie. Oczywiście nie – bronił się menedżer, już czerwony na nalanej twarzy.

– Mógł zjechać windą aż do piwnicy – dedukował Grodzki. – I stamtąd dał dyla na parking. Teraz szukaj wiatru w polu.

– Przez piwnicę nie da się wydostać z naszego hotelu. Jedyne głównym wyjściem. Chyba że od tyłu przez kuchnię. Tam są drzwi dla dostawców. Ale wtedy musiałby przejść obok recepcji. Pani go widziała? – menedżer zwrócił się do recepcjonistki.

Wetknąwszy kciuk do ust, kobieta patrzyła pod nogi i milczała, jakby klatka po klatce odtwarzała film dokumentalny w kinie pamięci. Trwało to co najmniej pół minuty, po czym pokręciła głową.

– Tak mi przykro. – Recepcjonistka rozłożyła ręce.

– Trzeba przejrzeć zapis z monitoringu – zdecydował Syski.

– Na ogół komputer przechowuje nagrania tak długo, jak to zostało zaprogramowane. U nas siedem dni. Gdyby jednak coś, tfu! tfu! odpukać, wydarzyło się i recepcjonistka zdecydowała się na wezwanie grupy interwencyjnej, w momencie nawiązywania połączenia z Grempler Security powinien się uruchomić obwodowy system zapisywania. To wyłącznie dla potrzeb organów ścigania.

– Znakiem tego to, co działo się wczoraj po południu, w nocy i dziś jeszcze nie zostało skasowane – wnioskuje Grodzki.

– Nie mogło... Jakby to wyjaśnić? – Menedżer splótł dłonie. – Nie mogło... ponieważ...

– Co, ponieważ? – Syski już wcześniej czuł, że menedżer coś ukrywa. – Wydusi pan wreszcie?

Recepcjonistka znowu pochyliła głowę. A jednak coś jest nie tak, pomyślał Araszkiewicz.

– Powstał pewien problem. Niezależny od nas. Jak Boga szczerze kocham, panowie. – Menedżer uderzył się zaciśniętą dłonią w piersi, aż zadudniło. – Nigdy wcześniej taka sytuacja nie miała miejsca. Typowa złośliwość rzeczy martwych. Jako menedżer zawsze starałem się... ale nie wszystko mogę. Człowiek jest słaby, zaś przeciwnieństwa losu silne.

– A potrafi pan powiedzieć to tak, żeby i policjanci zrozumieli?

– Nieszczęścia chodzą parami – odezwała się recepcjonistka, której zrobiło się żal menedżera. Nigdy jej nie skrzyczał, nawet nie wytknął, że spóźnia się do pracy.

– Ludzie, kurwa, przestańcie traktować nas jak idiotów! – krzyknął Grodzki.

– W czwartek przed południem mieliśmy awarię w centralnej sterowni – natychmiast zaczął wyjaśniać menedżer. – Najpewniej nic poważnego.

Wyposażenie jeszcze jest na gwarancji i niesprawność zostanie usunięta. Na to liczę. W sobotę mamy chrzciny. Rok temu była rezerwacja. Czterdzieści gości. Przyjadą z Francji. Do tego dnia musi grać sterownia. I będzie grała. – Menedżer podniósł zaciśniętą pięść, jakby ten gest miał potwierdzić, kto zarządza hotelem. - Bezzwłocznie, kiedy się okazało, że zaistniała taka sytuacja, skontaktowałem się z firmą w Żylinie na Słowacji, odpowiedzialną za prawidłowe funkcjonowanie monitoringu. Obiecali przyjechać w ciągu trzech dni. Zapis w umowie precyzuje to jako trzy dni robocze od chwili zgłoszenia niesprawności. Serwisant powinien przyjechać najpóźniej w poniedziałek.

– Czyli mamy do czynienia z niedopuszczalnym złamaniem przepisów – orzekł Grodzki. – Monitoring jest, lecz nie funkcjonuje. Jest, ale jakby go nie było. Na bank właściciel hotelu zostanie pociągnięty do odpowiedzialności karnej.

– Zrobiłem, co w mojej mocy, panowie. Nie ja podpisałem umowę ze Słowakami. Proponowałem firmę z Krakowa. Panowie, ja tu tylko pracuję. Wykonuję to, co... A tak w ogóle...

– A tak w ogóle miał pan zamiar powiedzieć, że na weselu bywają sami swoi i jeśli wydarzy się coś przynoszącego ujmę, to sprawę załatwią we własnym gronie – milczący dotąd Araszkiwicz przygadał menedżerowi. – Hotelowi chodzi wyłącznie o jedno: jak najmniejszym kosztem osiągnąć jak największy zysk. Mylę się? Tego Grempler wymaga od pana, od pani i od wszystkich, którzy pracują w jego firmach. To jest kapitalizm. Niemiec wyzyskuje Polaków.

Syski zacisnął usta i pokręcił głową niezadowolony z komentarza podkomisarza. Nawet rozwścieczony na rozmówcę nigdy tego nie okazywał. Nie podobały mu się odpowiedzi menedżera, lecz go rozumiał. Gdyby był na jego miejscu, pewnie powiedziałby to samo.

– O tym, kolego Araszkiwicz, później porozmawiamy. Teraz trzeba znaleźć Bednarza. Oczywiście przy państwa wsparciu.

– Zanim rozpoczniemy poszukiwanie, mam pytanie do pana – odezwał się Grodzki do menedżera. – Czy w hotelu jest salon fryzjerski?

Araszkiwicz odchrząknął. Gdyby był odważniejszy, spytałby, kto prowadzi to śledztwo. Grodzki jest tylko do pomocy.

– Salon funkcjonował na początku działalności hotelu. Przez rok, może ciut dłużej. Ale skórka nie była warta wyprawki. Najwyżej kilku klientów

dziennie. I tylko golenie. Nawet na opłaty za wodę i prąd dziewczynom nie wystarczało. A gdzie raty za dzierżawę sprzętu?

– Powiedział pan „dziewczynom”. Dobrze zrozumiałem, że w nierentownym salonie fryzjerskim zatrudnialiście więcej niż jedną osobę?

– Pierwsza fryzjerka wytrzymała dosłownie cztery tygodnie. Młoda, jeszcze nie miała czym dojechać, a autobusy miejskie wtedy chodziły co godzinę. Teraz jeżdżą częściej. Po niej była druga. Ta zrezygnowała po niecałych dwóch miesiącach. Dałem anons do gazety. Zgłosiło się kilka chętnych, tyle że bez doświadczenia i z wyjątkiem jednej każda chciała od razu przyjęcia na etat. Ktoś mi naraił Cwetkę. Bułgarkę. Ta była robotna. Harowała dwadzieścia cztery godziny na dobę. Siedem dni w tygodniu. – Menedżer przeszył wzrokiem recepcjonistkę, jakby nakazywał jej milczenie. Ponieważ ona zaniósła się śmiechem, on również się roześmiał. – Na brak klientów nigdy się nie skarżyła, ale nie w salonie. Niestety, musiałem dać jej wypowiedzenie. I od tego czasu...

– Co teraz tam się znajduje? – zaciekał się komisarz Syski.

– Salon w pełni wyposażony czeka na dzierżawcę z prawdziwego zdarzenia. Bywa, że para, rodzice młodych, świadkowie przyjeżdżają kilka dni wcześniej, żeby na miejscu przygotować się do ślubu. Panna młoda korzysta z usług manicurzystki, kosmetyczki, fryzjerki, mamy takie na zawołanie, i wtedy pomieszczenie jest wykorzystywane zgodnie z przeznaczeniem. Kosztuje to niewiele, a wszyscy są zadowoleni. Chcą panowie tam zajrzeć? Stąd parę kroków. Na prawo od windy.

Niemal równocześnie trzech policjanci przytaknęli.

Drzwi do salonu nie były zamknięte na klucz, co zwróciło uwagę przede wszystkim Grodzkiego. W dawno niewietrzoną pomieszczeniu nie tylko panował nieład, lecz i unosiła się woń zjełczałego potu.

– Jeżeli drzwi nie są zamykane na klucz, to każdy może wejść – stwierdził policjant.

– Dawno tu nie zaglądałem – przyznał się menedżer, jakby usprawiedliwiał się na zapas. – Natychmiast trzeba zrobić porządek – ni to polecił recepcjonistce, ni powiedział do siebie. Przesunął pomocnik spod drzwi pod ścianę i podniósł zdeptany ręcznik z podłogi. Pod nim krył się kubek z zapleśniałymi fusami kawy i popielniczka pełna niedopałków.

– Czy czegoś brakuje w pomieszczeniu? – zapytał Araszkiewicz.

– Tak od ręki trudno powiedzieć.

– Niech się pan rozejrzy.

Menedżer otaksował wzrokiem pomieszczenie, po czym zrobił krok przed siebie.

– Panów z pewnością interesują brzytwy. Powinny być dwie. Albo i trzy – powiedziawszy to, zwrócił się do recepcjonistki, jakby ją prosił o potwierdzenie.

Dwie brzytwy leżały na szklanym blacie szafki, obok stała porcelanowa miseczka, w niej tkwiło popękane mydło i sfatygowany pędzel do golenia. Na białej podkładce z poplamionego filcu wylegiwał się wygładzony niebieski kamień. Z boku szafki wisiał skórzany pas, w wielu miejscach naderwany. Araszkiewicz domyślił się, że kamień i pas służą do ostrzenia brzytw. A może do czegoś innego? Rozejrzał się, lecz nie natknął się na nic, co by pasowało do kamienia.

– Ile brzytw było na wyposażeniu? Dwie – podkomisarz pokazał na blat szafki – czy trzy?

Menedżer otworzył usta i przymknął oczy. Zastanawiał się.

Grodzki podszedł do ściany, na której wisiała zafoliowana kartka z wykazem inwentarza. Były tam zapisane numery foteli i szafek, myjki, suszarki, lokówki, prostownicy, infrazonu i maszynki do strzyżenia włosów. Nazwy niektórych przedmiotów podkomisarz widział pierwszy raz, ale się do tego nie przyznał.

– Aktualna księga inwentarzowa jest w moim gabinecie. Jeśli trzeba, to zaraz sprawdzę. To długo nie potrwa – menedżer zapewnił policjantów.

Syski pochylił się nad szafką.

– „Hans Baier Solingen” – przeczytał napisy na uchwytych obu brzytw.

– Na tamtej – Araszkiewicz podniósł palec wskazujący, co oznaczało, że ma na myśli tę brzytwę, którą znalazł w łazience pokoju trzydzieści osiem – był napis „Kronos Solingen”. Rączka tej jest zrobiona z czarnego materiału. Pewnie *made in China*. Tamta miała rączkę białą, jakby z kości słoniowej albo czegoś podobnego. A może także sztuczne tworzywo. Prawda, tu jest Solingen i tam było Solingen. Nazwisko producenta albo miejscowość, gdzie jest ta fabryczka. Trzeba to sprawdzić.

ZIELONA GÓRA, UL. GŁOGOWSKA, NIEDZIELA, BARDZO PÓŹNE POPOŁUDNIE

Starszy posterunkowy Kuchta zastanawiał się, dlaczego od z górą trzech godzin, to znaczy od pierwszej po południu z minutami, od kiedy strzeże głównego wejścia do Gremplera, mężczyzna siedzi za kierownicą granatowej yariski. Czeka na kogoś? Tyle godzin? Czeka na parkingu, kiedy goście bawią się na poprawinach? Dlaczego nie siedzi za stołem w restauracji? A może to jeden z tych rozsądniejszych weselników? Wypił za dużo i czeka, żeby alkohol wyparował z niego? Kiedy to się stanie, wtedy odjedzie? O, nie tak szast-prast, bratku-gagatku. Posiedzisz tu do białego rana. Jeszcze jutro kapeczki alkoholu będą w twojej krwi. Wszystko, co najprzyjemniejsze zaczyna się pod wpływem chwili, trwa krótko, a jego krytyczne skutki dają o sobie znać długo. Nierzadko aż za długo. Dopiero wtedy człowiek ma dużo czasu, żeby się zastanowić, czy było warto. Za grzechy przeciw ciału trzeba tak samo pokutować jak za nieprzestrzeganie prawa. To starszy posterunkowy zapamiętał z kursu dla kandydatów na kierowników komisariatów. Zapamiętał także, że nikomu, nawet ojcu i matce, a tym bardziej znajomemu, nie wolno ufać bezgranicznie. Obowiązkiem policjanta na służbie jest wszystko dokładnie sprawdzić i zapisać. Nigdy nie wiadomo, co się okaże przydatne w pracy operacyjnej. Dlatego Urbaniak postanowił zbadać, dlaczego mężczyzna siedzi w samochodzie z głową opartą o kierownicę. A jeśli nie może wyjść z yariski z powodu zdrowotnego i oczekuje pomocy, on będzie winny. Ale przecież policjantowi na służbie nie wolno opuścić stanowiska bez zgody przełożonego. Oddali się na pięć minut, nawet za swoją potrzebą, akurat wtedy podkomisarz Araszkiwicz wyjdzie z hotelu i uzna to za nieprzestrzeganie procedur i poderwanie jego autorytetu. Będzie chryja jak cholera. Półtora roku temu, kiedy Urbaniak nie zaliczył drugiego roku politologii, napisał wniosek o przyjęcie do policji. Na kursie dla kandydatów usłyszał, że w trakcie służby nie będzie miał nic do gadania. Nawet jako komendant komisariatu będzie jak dupa od srania. Podwładny ma robić wyłącznie to, co mu nakaże zwierzchnik. Góra bierze pieniądze za myślenie. Powiedzmy.

Jednak dwadzieścia minut później starszy posterunkowy podszedł do yariski. Najpierw okrążył auto, jakby jeszcze nie był pewny, czy postąpi słusznie, jeżeli zapuka w szybę. Mimo wątpliwości zapukał. Siedzący

w środku mężczyzna nie zareagował. Nawet nie podniósł głowy znad kierownicy. Głuchy? Pijany? Może chory? Urbaniak jeszcze raz zapukał i nie czekając na odpowiedź, pociągnął za klamkę. Drzwi się otworzyły. Dopiero wtedy mężczyzna oderwał głowę od kierownicy i spojrzał na policjanta, ale się nie odezwał. Wyglądał na takiego, który nie rozumie, co się dzieje wokół.

– Czekają pan na kogoś? – zapytał starszy posterunkowy, przygarbiwszy się.
– Potrzebuje pan pomocy? Może wezwać lekarza?

– Do mnie pan mówi? – Mężczyzna podniósł wzrok na starszego policjanta. – A nie, nie. Nie trzeba wzywać. Ja tylko tak.

– Aha. To przepraszam. – Urbaniak zatrzaskał drzwi yaris, odwrócił się na pięcie i niespiesznie ruszył na miejsce wyznaczone mu po pierwszej z minutami.

Ledwie wyjął paczkę desantów z kieszeni spodni, gdy z hotelu wyszedł Syski. Starszy posterunkowy natychmiast schował papierosy i obciągnął bluzę.

– Też bym palił na służbie, gdybym miał tyle lat, co pan. Z nudów bym palił – powiedział komisarz z pobłażliwością w głosie. – Policjant mądrzej nie wcześniej niż po czterdziestce, kiedy z trudem zalicza test sprawnościowy. Dopiero wtedy dochodzi do wniosku, że to z powodu dobrze gotującej żony i przez ćmiki. Palenie to nałóg nieobojętny dla zdrowia. Ma pan jeszcze dużo czasu, żeby to zrozumieć. Jednak im szybciej, tym lepiej. Moja babcia radziła, żebym papierochy zastąpił landrynkami. Ale od słodyczy również się tyje.

– Dokładnie tak. – Starszy posterunkowy się wyprężył. – Panie komisarzu, proszę się przyjrzeć gościowi w tamtym samochodzie. – Wyciągnął rękę w stronę aut unieruchomionych na parkingu. Syski podążył za nią wzrokiem. – Odkąd tu pełnię służbę, a to już trzy godziny i siedem minut, ten gość w granatowej w toyocie yaris siedzi jak mumia. Nie wyszedł nawet za własną potrzebą.

– Pewnie po kogoś przyjechał. Musi czekać, aż zakończymy wstępne śledztwo.

Urbaniak przyznał się, że kilka minut temu próbował porozmawiać z mężczyzną w yarisce. Mimo że logicznie odpowiedział na pytanie, wydał mu się dziwny. Jakby coś mu dokuczało i nie potrafił sobie z tym poradzić.

– Na mój nos on tu specjalnie nie przyjechał. To jest ktoś spośród weselników. Za świątecznie ubrany. Tylko, i to mnie zastanawia, dlaczego

od trzech godzin siedzi w samochodzie, a nie jest na poprawinach?

– Nic tu po mnie – rzucił Syski z rezygnacją. – Jadę na lotnisko. Może jeszcze zdążę poszybować. Na parolotni. – Podał rękę starszemu posterunkowemu. Zrobił kilka kroków i się zatrzymał. – Niech pan powie podkomisarzowi Araszkiwiczowi, że ten tam... – urwał, wyciągnąwszy rękę w stronę granatowej yaryski. – Może coś widział, słyszał albo... bo ja wiem? W każdym razie nie zaszkodzi z nim porozmawiać.

Araszkiwicz, gdy starszy posterunkowy powtórzył mu to, co usłyszał od Syskiego, zbył go lekceważącą miną. Odmiennego zdania był Grodzki. Podkomisarz często nie zgadzał się z opiniami zwierzchników, co nie znaczyło, że ignorował ich pouczenia i rozkazy, ale nigdy nie lekcewał poleceń Syskiego. Uważał, że naczelnik wydziału kryminalnego ma to coś, co go korzystnie odróżnia od pozostałych policjantów w komendzie.

– Aracha, jednak porozmawiaj z tym tam. – Grodzki pokazał za okno.

– Szkoda czasu – bąknął podkomisarz.

– Co ci szkodzi? I tak musisz czekać na prokopka. Ostrouchy nie powiedział, o której się zjawi. Może przyjedzie za godzinę, a może za dwie, trzy. Albo wcale. Technikom też jeszcze trochę zejdzie, zanim zameldują koniec roboty. Póki nie przyjadą łapiduchy od doktora Trzcinki, a im nigdy się nie spieszy, i słusznie, porozmawiaj z tym tam. Zawsze to jeden świadek więcej. A co u nas się liczy? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, powiedział z drwiną w głosie: – U nas w komendzie na pierwszym miejscu są papierki. Ten jest lepszy, ten dostanie pochwałę, ten ma szansę na premię, a i bywa, że na pozaregulaminowy awans, kto napisze więcej.

Coś w tym jest, pomyślał Araszkiwicz.

– Dobra. Przyrowadź, kolego, tego no... gostka – polecił starszemu posterunkowemu, który ciągle stał wyprężony przy drzwiach.

– Lepiej będzie, jeśli któryś z nas pójdzie po niego – podpowiedział Grodzki. – A jeszcze lepiej, gdybyś ty, jako oficer dyżurny, zrobił to osobiście.

– Dlaczego on nie może? – zapytał Araszkiwicz, wskazując starszego posterunkowego.

Gdybyśmy byli sami w pokoju, już bym ci przygadał, kretynie. Zamiast tego, Grodzki powiedział:

– Tyś, Aracha, oficer kryminalny. Detektyw i śledczy dyżurny. Wyższa półka. Do takiego ludzie zawsze podchodzą inaczej. Chłopak jest z prewencji.

– Grodzki mrugnął do starszego posterunkowego, jakby go bronił, chociaż nie miał przed kim.

W drodze na parking Araszkiwicz ułożył sobie kilka kategorycznych zdań, łącznie z tym, że w świetle prawa policjant na służbie może wylegitymować każdego i w razie podejrzenia o stworzenie zagrożenia dla innych osób lub ich mienia przymknąć nawet na czterdzieści osiem godzin. To na wypadek, gdyby mężczyzna kazał mu się odwalić, bo niczego nagannego nie robi. Siedzi w swojej toyocie. W swoim aucie każdemu wolno wegetować aż do znudzenia.

Ku zaskoczeniu policjanta mężczyzna bez oporu pokazał mu dowód osobisty.

– Bednarz Jakub Władysław, syn Władysława i Zofii? – zapytał Araszkiwicz, jakby chciał mieć stuprocentową pewność, że stoi nad poszukiwanym. – Proszę wysiąść z pojazdu. Idziemy.

Bez jakichkolwiek pytań Bednarz zrobił to, czego domagał się podkomisarz. Mało tego, nawet oddał kluczyki starszemu posterunkowemu, jakby się spodziewał, że będzie zatrzymany i toyota yaris zostanie przewieziona na policyjny parking.

– Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań w związku ze śmiercią Pohlhoffer Mirabelli – wyjaśnił Araszkiwicz, wcześniej oznajmiwszy Bednarzowi, że poza nimi w pokoju będzie jeszcze podkomisarz Grodzki. – Ja prowadzę śledztwo i proszę odpowiadać wyłącznie na moje pytania – zaznaczył wyniośle.

– Tego się domyśliłem, kiedy pan zażądał ode mnie pokazania dowodu osobistego.

– A dlaczego nie zgłosił się pan do nas z własnej woli?

Bednarz milczał. Po chwili, ciągle mając opuszczoną głowę, jakby się wstydził, odpowiedział ledwie słyszalnym głosem:

– Tak wyszło. Przepraszam.

– Panie Bednarz, czy może dlatego, że dobrze pan wiedział, co tej nocy stało się w hotelu?

– Nie zgłosiłem się dlatego, że nigdy nie miałem do czynienia z policją. Dotąd nawet nie zapłaciłem mandatu za przekroczenie prędkości. Zawsze staram się przestrzegać przepisów. Prowadząc zajęcia ze studentami, namawiam ich do stosowania w codziennym życiu zasad obowiązujących

w naszej cywilizacji. Łatwo mówić, że się jest chrześcijaninem, trudniej nim być na co dzień, a ja jestem praktykującym katolikiem.

Mamlak, ocenił go Grodzki. Bardziej święty od papieża Franciszka. Taki jest najgorszy. Zanim odpowie na najprostsze pytanie, jasny szlag zdąży trafić Arachę dwa razy. Chwała Bogu, że nie jestem dyżurnym.

Wskazówki przecięły podświetlony zegar na parkingu na dwie równe części. Czyżby już była szósta, nie dowierzał Grodzki. Spojrzał na czasomierz w komórce. Dokładnie osiemnasta zero zero. Za półtorej godziny zaczną się Zaduszki jazzowe w Piekarni Cichej Kobiety. Cholera, nie zdążę. W zeszłym roku już byłem w drzwiach, gdy zatelefonował Syski. Pilne wezwanie do komendy. Dziś po obiedzie, kiedy zadzwonił Aracha, powiedziałem do Grażyny, że muszę wyjść, ale na pewno wrócę przed wieczorem i pojedziemy na koncert. Oboje lubimy ten gatunek muzyki. Właściwie to jazz nas połączył. Jako narzeczeni i jako młodzi małżonkowie chodziliśmy do Harlemu. Po śmierci jego właściciela także jazz umarł w Zielonej Górze. Wtedy jeździliśmy na koncerty do Gorzowa, gdzie od trzydziestu lat z górą Boguś Dziekański prowadzi chyba najlepszy klub jazzowy w Polsce. W Zielonej Górze dopiero niedawno tę pustkę zaczęła zapełniać Piekarnia Cichej Kobiety, w której wtedy, kiedy Harlem był klubem jazzowym, wypiekano chleb i bułki.

– Przepraszam cię, Grażynko. Tak wyszło. Aracha szybko nie skończy. Muszę z nim zostać, żeby nie narobił więcej głupstw, a on potrafi nawywijać – powiedział do żony przez telefon. – Na pewno jutro pójdziemy do Zbawiciela. Wprawdzie nie będzie to jazz, ale Mozart też nam wynagrodzi dzisiejszy wieczór. Choćby się waliło i paliło, pójdziemy – zapewnił żonę. Dopiero gdy schował komórkę do kieszeni, przypomniał sobie, że jutro ma służbę w wydziale.

ZIELONA GÓRA, UL. GŁOGOWSKA, NIEDZIELA, BARDZO WCZESNY WIECZÓR

– Czy znał pan Pohlhoffer Mirabellę? – zapytał Araszkiwicz, wetknąwszy końcówkę długopisu do ust jakby to był lizak.

– Panią Pohlhoffer poznałem dopiero wczoraj wieczorem.

– W jakich okolicznościach?

– Nie rozumiem pytania.

– Co tu jest do rozumienia, panie Bednarz? Niech pan wyjaśni, w jakich okolicznościach poznał Pohlhoffer Mirabellę. Gdyby żyła, a pan był tam, gdzie ona jest teraz, to samo pytanie zadalibyśmy pani Pohlhoffer. Do rzeczy, panie Bednarz. – Araszkiwicz wyjął komórkę z kieszeni spodni i sprawdził, która jest godzina. Klikając, kontynuował: – Gospodarze posadzili was obok siebie przy stole? Ona odezwała się pierwsza? Pan poprosił ją do tańca? Bo ja wiem? Co jeszcze?

– Jak już wyjaśniłem, poznałem ją dopiero wczoraj wieczorem – powiedział Bednarz, wycierając otwartą dłońią pot z czoła. – Na początku nie znaliśmy się, to nie dialogowaliśmy. Dopiero później.

– Tylko dialogowaliście? A o czym, panie Bednarz? Można się tego dowiedzieć?

– I troszkę tańczyliśmy – wybąkał Bednarz, rozglądając się po gabinecie menedżera, jakby szycował się do ucieczki.

– Aha. Dialogowaliście. Tańczyliście. Co jeszcze robiliście?

Jakub Bednarz znowu opuścił głowę.

Mam cię, pomyślał Araszkiwicz, uderzając pięścią w otwartą dłoń. Znosi się na dobry koniec. Jeszcze kilka takich pytań i biała flaga na maszt, jak lubi mówić moja Natusia.

– Czy pił pan alkohol? – zapytał Grodzki i zaraz dodał: – Mam na myśli przyjęcie weselne.

– Na weselu większość zdrowych ludzi pije alkohol. Ja jestem zdrowy.

– Dużo tego było? – chciał wiedzieć policjant.

– Na początku kieliszek szampana za pomyślność młodej pary. Tak nakazuje zwyczaj. Później kilka kieliszków białej wódki.

– Kilka czyli ile? Mniej niż pięć? Więcej?

– Może więcej. W każdym razie nie aż tyle, żeby urwał mi się film. Kiedyś preferowałem czerwone wino. Mołdawskie. Niestety, tu było wyłącznie białe.

– A Pohlhoffer Mirabella?

– Co Mirabella?

– Czy również piła? Alkohol ma się rozumieć.

– Tak nam się dobrze dialogowało... Mira oczywiście także piła. Na weselu jedynie zdecydowani abstynenci i chorzy nie piją. Nas to nie dotyczyło. Powiedziałbym, że Mira przesadziła z alkoholem. W pewnym momencie poczuła się...

– Zalała się w trupa, co? – przerwał mu Araszkiewicz.

– Wyprowadziłem ją na korytarz przy recepcji. Pomyślałem, że powinna pooddychać świeżym powietrzem. Zaproponowałem wyjście na dwór. Nie miała ochoty. Spytała, w którym pokoju mieszkam i że chce, abym ją tam zaprowadził.

– I oczywiście pan jako dżentelmen ją tam zaprowadził.

Bednarz przytaknął. Po chwili, jakby się zorientował, że zrobił to bezwiednie, znowu zwiesił głowę.

Coś ukrywa, pomyślał Grodzki, obserwując go spod okna.

– A w pokoju? – Araszkiewicz wyjął komórkę z kieszeni, gdy poczuł wibrację. Nadszedł esemes od Nataszy. Żona dopytywała się, o której wróci do domu i co przygotować na kolację. Natychmiast odpisał, że nad tym się nie zastanawiał. Wszystko, co Natusia przygotuje, zje ze smakiem. – A w pokoju? – powtórzył, schowawszy telefon do kieszeni spodni. – Co robiliście w pokoju?

Bednarz nie odpowiedział. Nawet nie podniósł głowy. Pot ściekał mu po skroniach. Dopiero kiedy Araszkiewicz trzeci raz powtórzył pytanie, odpowiedział cicho i jakby ze wstydem:

– Poszliśmy do łóżka.

– Dopiero się poznaliście i już poszliście do łóżka? Pan jest szybki, co, Bednarz? – Podkomisarz znowu wetknął końcówkę długopisu do ust. – Ledwie facet poznał kobietę i już zaciągnął ją do wyra. Długo musiał pan ją namawiać? A może siłą? Tego nie da się udowodnić.

Jaki ten Aracha jest kanciasty, ocenił go Grodzki. Burak. Gorzej. Młot. Kto bez skrupowania odpowie na tak sformułowane pytania? Co mnie skusiło, abym wyprosił u Syskiego skierowanie Arachy na kurs oficerski do Legionowa? Podkszałcą go, nauczą, jak prowadzić rozmowę z podejrzanym, myślałem, usprawiedliwiał się podkomisarz. Wyjaśnią, co to jest psychologia przesłuchania i takie tam. W Legionowie będzie miał do czynienia z mądrzejszymi od siebie i głupszymi. Wyciągnie z tego wnioski. A ten patafian nie tylko że niczego się nie nauczył, to jeszcze po awansie na dwukropka zachowuje się jak gwiazdor. Aracha nie zasługuje nawet na to, żeby być posterunkowym. Odwrócił się plecami do drzwi i patrzył na lampy oświetlające parking.

– Tak wyszło – odpowiedział Bednarz niemal niesłyszalnym głosem.

– Która wtedy była godzina?

– Zaraz po oczepinach. Kwadrans, najwyżej dwadzieścia minut po północy.

– Inaczej mówiąc, uprawiał pan seks z Pohlhoffer Mirabellą. Seks pod wpływem alkoholu. I co było dalej?

Bednarz się zarumienił.

– Czy wtedy Mirabella miała naszyjnik z wisiorkiem na szyi? – włączył się Grodzki.

– Miała. Z zawieszka.

– To była zawieszka w postaci serduszka, dzwonka, listka, czterolistnej koniczynki, znaku zodiaku? – zapytał podkomisarz, zaglądając w myślach do kasetek, w których jego żona trzyma biżuterię. – Zawieszka pionowa czy pozioma? Może jajowata, w kształcie księżycy, okrągła, wypukła? Duża, mała? Miała coś charakterystycznego, na co pan zwrócił uwagę?

– Na zawieszce były litery układające się w jej imię. Nawet spytałem, dlaczego Mirabella przez dwa „l”. Odpowiedziała, że to nie fantazja rodziców, lecz błąd urzędniczki. Osoba, która sporządziła akt urodzenia w urzędzie stanu cywilnego, miała imię Bernadetta. Pewnie dlatego napisała Mirabella. Wtedy jej rodzice na to nie zwrócili uwagi. Siedem lat później, kiedy matka poszła do szkoły zapisać ją do pierwszej klasy, sekretarka powiedziała, że Mirabella będzie pierwszą uczennicą, której imię ma dwa „l”.

– Co się stało z naszyjnikiem? – dociekał Grodzki.

– Nie rozumiem pytania.

– Czy przed pójściem do łóżka Mirabella Pohlhoffer odpięła go i położyła na stoliku? Może pan to zrobił? Albo może pan był taki nieuważny i zerwał go z jej szyi? A może...?

– Ja na pewno nie – szybko odpowiedział Bednarz. – Mira? Nie przypominam sobie, żeby go odpinała.

– A kiedy było po wszystkim... Kiedy Mirabella Pohlhoffer się ubrała, jeszcze miała ten wisiorek szyi?

– Nie zwróciłem na to uwagi. Czy to teraz jest aż tak ważne? Dlaczego pana interesuje jakiś wisiorek, a nie to, co się stało z Mirą? Trzeba wyjaśnić i znaleźć sprawcę.

– Od tego tu jesteśmy z kolegą, panie Bednarz – rzucił Araszkiwicz, wyciągnąwszy rękę w stronę okna, przy którym stał podkomisarz Grodzki oparty o ścianę. – Od zadawania pytań my jesteśmy. Pan ma odpowiadać. Jasne?

Grodzki pokręcił głową z niedowierzaniem. Jutro powie Syskiemu, aby pozbył się Arachy z wydziału. On niczego nie nauczył się w Legionowie. Wrócił ze świadectwem i dwiema gwiazdkami podkomisarza na pagonach, ale głupszy, a przede wszystkim bezczelny. Mimo że jest w korpusie oficerskim, to ćwierćinteligent. Przygłupi klarnet nie powinien być detektywem w policji kryminalnej. Jeśli lubi mundur, to niech się przenieś do prewencji albo do kompanii konwojowej. Tam wykonuje się rozkazy i nie każdego dnia trzeba myśleć. Krytykanckie opinie o policjantach jak zarazę roznoszą tacy jak Aracha.

– Co było dalej? – Grodzki znowu włączył się do rozmowy.

– Wróciliśmy do restauracji. Tańczyliśmy, piliśmy, jedliśmy. Ja mniej, Mira piła więcej. W pewnym momencie poczuła się niedobrze. Po prostu przesadziła z pićciem, a nie jest przyzwyczajona do mocniejszego alkoholu. Zaproponowałem, że ją odprowadzę do jej pokoju. I tak się stało.

– Pamięta pan, która wtedy była godzina?

– Kiedy przechodziliśmy obok recepcji, zerknąłem na zegar. Było dokładnie piętnaście po drugiej.

– I został pan, panie Bednarz, z Pohlhoffer Mirabellą w jej pokoju – ni to zapytał, ni stwierdził Araszkiwicz. On by tak zrobił.

– Nie.

– Nie? Taka okazja.

– Kiedy chciałem jej pomóc się rozebrać, kazała mi wrócić do restauracji. Wróciłem więc. Ponieważ nie miałem z kim... Może pół godziny później poszedłem do swojego pokoju i położyłem się spać.

– A co się panu śniło?

– Co mi się śniło? – zapytał Bednarz, zaskoczony dociekliwością policjanta. – Nie pamiętam. Nigdy nie pamiętam, co mi się śniło.

To tak jak ja, pomyślał Grodzki. Jego żona pamięta szczegóły. Na szafce przy jej łóżku leżą dwa senniki. Gdy tylko się obudzi, zagląda do jednego, potem sprawdza w drugim, czy to, co się jej śniło, tak samo interpretują autorzy obu książek. Niekiedy opowiada Grodzkiemu, ale jedynie wtedy, gdy jest zadowolona albo gdy on był w jej śnie. Kiedyś podczas szkolenia w Legionowie zapytał psychologa, dlaczego nie pamięta swoich snów i czy to ma coś wspólnego z pracą w policji. Psycholog, będący teoretykiem i praktykiem, nie odpowiedział wprost. Grodzki zrozumiał, że śnienie jest łącznikiem między rzeczywistością i marzeniami.

– Panie Bednarz, czy zauważył pan coś takiego, co wskazywało, że Pohlhoffer Mirabella popełni samobójstwo? Może wtedy, kiedy byliście w łóżku, powiedziała coś na ten temat? Może wcześniej albo później? Kobiety często lubią się wyzalić.

– Nie przypominam sobie.

– Mówiła coś o swoim pożyciu małżeńskim? Jak się jej układa z mężem?

– Nic takiego – odpowiedział Bednarz drżącym głosem.

– Może pan zapytał, dlaczego jej małżonek nie przyjechał na wesele?

– O ile dobrze zrozumiałem, to Wolfgang Pohlhoffer musiał pilnie wyjechać w sprawach biznesowych.

– Tak panu powiedziała Pohlhoffer Mirabella? – dociekał Araszkiwicz.

Bednarz kiwnął głową. Tego samego policjanci dowiedzieli się od Anny Marii i Cezarego.

– Jaki ma pan zawód? Od tego powinienem zacząć naszą rozmowę. No, co pan robi? Jakiś biznesik? Może szwindelek? Zresztą tego i tak się dowiem.

– Jestem adiunktem na naszym uniwersytecie. Doktorem nauk humanistycznych w zakresie filozofii.

Grodzki natychmiast odwrócił się w stronę Bednarza. Jako detektyw wiele razy rozmawiał z doktorami uniwersyteckimi, lecz żaden nie był filozofem. Wtedy zawsze starał się więcej słuchać niż pytać.

– Uczony. Coś więcej mogę usłyszeć, jeśli to nie jest tajemnica?

– Jako filozof zajmuję się metafizyką moralności. Jako nauczyciel akademicki prowadzę zajęcia ze studentami trzeciego roku.

– No i ładnie – westchnął Araszkiwicz. – Panie Bednarz, czy w zachowaniu Pohlhoffer Mirabelli naprawdę nie zauważył pan niczego, co by wskazywało, że ona popełni samobójstwo? Człowiek z pana wykształceniem i wiedzą powinien czuć przez skórę, że zanoszą się na coś niedobrego. Chyba że pan, doktorze Bednarz, poza filozofią moralności niczego więcej nie chce rozumieć – szydził Araszkiwicz. – Słyszał pan taki termin prawniczy, jak pomocnictwo sprawcze? Człowiek wykształcony, doktor, nauczyciel uniwersytecki, musiał słyszeć.

– Nie jestem prawnikiem – postawił się Jakub Bednarz. Włożył rękę do kieszeni spodni, ale nie namacał chusteczki, więc otwartą dłońią wytarł pot z czoła. – Gdy dotyczyły mnie sprawy natury prawnej, korzystałem z wiedzy adwokata.

– Ja nie jestem filozofem, doktorze Bednarz, a uważam wszystko, co pan z taką otwartością powiedział, za interesujące. Tak bardzo interesujące, że aż trudno uwierzyć, że do tego doszło i że pan nie czuje się winny. Będzie to wymagało dodatkowych wyjaśnień. Oczywiście wyjaśnień z pana strony.

– Poza tym, co powiedziałem...

– Chodzi o pomocnictwo sprawcze, doktorze Bednarz. Pomocnictwo sprawcze.

– Pan stawia mi jakiś zarzut?

– Pomocnictwo sprawcze.

– Panowie! – zawołał Jakub Bednarz, po czym najpierw podniósł obie dłonie, jakby tym starał się przekonać Araszkiwicza, że jest niewinny. Później odwrócił się do Grodzkiego, jakby liczył na to, że podkomisarz stanie po jego stronie. – Panowie, ja nie mam nic wspólnego z tym, co się stało – zapewnił ich głosem jęklwym.

– Właśnie do tego musi pan nas przekonać, doktorze Bednarz. Na komendzie.

ZIELONA GÓRA, UL. GŁOGOWSKA, NIEDZIELA, WIECZÓR

– Niech panowie nie wierzą, że nasz Kuba ma coś wspólnego ze śmiercią pani Mirabelli! – krzyknęła matka Anny Marii, gdy starszy posterunkowy wyprowadził Bednarza z windy. – Kuba nie mógł tego zrobić! Kuba jest niewinny! – Nie powiedziała, skąd ta pewność, ale przecież nie tylko ona dostrzegła w oczach Jakuba to coś nieproste do nazwania, gdy po północy wrócił z Mirabellą do restauracji. Szczęśliwy mężczyzna nie morduje tej, która go uszczęśliwiła.

– Kuba, to się szybko wyjaśni! Wynajmiemy najlepszego adwokata. Nie martw się, Kuba! Adwokat cię wyciągnie! – Anna Maria wyrzuciła z siebie jeszcze kilka podobnych zobowiązań.

Żadne nie trafiło do Jakuba Bednarza. Szedł z opuszczoną głową, jakby się wstydił albo nie chciał, żeby ktokolwiek widział łzy w jego oczach.

Goście zebrali się w recepcji. Jedyne Cezary pozostał w restauracji. Nigdy nie wierzył Jakubowi, mimo że byli kuzynami i od czasu do czasu spotykali

się przy stole podczas uroczystości rodzinnych. Rzadko ze sobą rozmawiali. Poszło o Olenę.

– Kuba nie mógł tego zrobić. Nigdy w życiu. Z Bellą dopiero byłby szczęśliwy – powiedziała Anna Maria, a jej matka natychmiast przytaknęła.

– Co to znaczy? Mój Kubuś i ta Mirabella? O czymś nie wiem? – zapytała matka Jakuba, lecz żadna nie odpowiedziała.

Szef techników kryminalnych również był przekonany, że Jakub Bednarz nie ma nic wspólnego ze śmiercią Mirabelli Pohlhoffer. Postawiony mu przez Araszkiewicza zarzut o pomocnictwo sprawcze jeszcze w trakcie wstępnego przesłuchania w pokoju menedżera hotelu, a właściwie nieprotokołowanej rozmowy, podkomisarz Grodzki uznał za pozbawiony podstaw prawnych, a przede wszystkim logicznych. Próbował wybić mu to z głowy, lecz Araszkiewicz uparcie trzymał się swojej tezy.

– Nie uzyskałeś najmniejszego dowodu, który by świadczył o tym, że Bednarz umoczył choćby mały palec w jej śmierci. Nawet nie znalazłeś tyciej poszlaki. Bez względu na to, co zaszło między nim i Mirabellą w nocy, nie mógł zapobiec jej śmierci. Nie mógł nie dlatego, że nie chciał, lecz że nie poznał jej zamiarów. A skoro nie poznał, dlatego niczego nie zrobił w tej sprawie – perswadował mu Grodzki.

– Doktor od filozofii moralnej. Taki, gdyby naprawdę chciał, mógł się domyślić, że z nią jest coś nie tak. Ile kobiet idzie do łóżka z facetem dopiero co poznanym? I to gdzie? Czy to jest normalne zachowanie? Albo czy normalne było to, że Mirabella pojawiła się sama na weselu? Mężatka bez męża na weselu kuzynki? Nie wierzę, że Bednarz i Mirabella wcześniej się nie znali. Oni musieli się znać. Czy ty, gdybyś był na miejscu Bednarza, po tym, co się wydarzyło, miałbyś czyste sumienie? Czy, gdybyś za jakiś czas spotkał Wolfganga Pohlhoffera, mógłbyś spojrzeć mu w oczy? Mógłbyś, bo ja nie?

– To są jedynie twoje spekulacje, Tadeusz. Słowa. Żaden sąd karny nie potraktuje poważnie takich domysłów detektywa policyjnego. Prokurator nie odważy się oskarżyć Bednarza o pomocnictwo sprawcze. Zresztą zanim naczelnik wydziału kryminalnego przekaże akta ze śledztwa do prokuratury, zażąda od ciebie niezbitych dowodów. Dowodów, Tadeusz. Dowodów, a tych brakuje. W takim razie poprosi cię o poszlaki. Poszlak także brakuje. Będą jedynie twoje spekulacje. Domysły ośmieszające policję. Dlatego, o ile znam Ostrouchego i prawo karne, a skończyłem nie jeden kursik w Legionowie,

lecz studia prawnicze na uniwersytecie i szkoły oficerów policji u nas i w Czechach, to, co się wydarzyło w Gremplerze, prokurator uzna za samobójstwo i umorzy śledztwo.

– Na komendzie tak przycisnę Bednarza, że się znajdą jakieś dowody.

– Zachowujesz się jak uczeń Andrieja Wyszynskiego. Dajcie mi człowieka... – zaczął Grodzki i zaraz urwał. Starsi policjanci często przypominali decyzje tego oskarżyciela w procesach pokazowych Stalinowskiej Rosji, mimo to młodszy zachowywali się tak, jakby byli jego uczniami.

– Nos mi podpowiada, że pan filozof wie dużo więcej niż nam powiedział. Pamiętasz sprawę doktora Letzkiego i tego studenta, który zabił się na jego parolotni? Przycisnąłem go i wyszło szydło z worka.

Grodzki zapalił papierosa, co oznaczało, że nie ma ochoty polemizować z Araszkiwiczem. Student zabił się dlatego, że Polka z Gubenu przecięła przewody paliwowe w motolotni Letzkiego, a prawdopodobnie miała zamiar w ten sposób uśmiercić Daniela Junga, który odkrył jej grzeszki.

Szef techników kryminalnych położył na stole przezroczysty woreczek. Był w nim telefon komórkowy.

– Huawei z pokoju trzydzieści osiem – powiedział. – Prawdopodobnie należał do denatki. Potwierdzimy to u operatora. W naszym laboratorium sprawdzimy linie papilarne na obudowie. Może poza denatką jeszcze ktoś miał go w ręku. Na wiele bym nie liczył, ale procedury są po to, żeby ich przestrzegać.

– Niech pan nie będzie taki pewny – zgasił go Araszkiwicz.

Szef techników wyprężył się. Zmierzył podkomisarza takim spojrzeniem, jakby miał zamiar postawić go na baczność. Rzadko się zdarzało, aby którykolwiek detektyw z nim się nie zgadzał. Jest chyba najstarszym czynnym policjantem w Zielonej Górze, a jego doświadczenia w tym fachu nie zastąpi żadne szkolenie czy kursokonferencja w ośrodku choćby zagranicznym. Zresztą od lat właśnie on prowadzi ćwiczenia z kandydatami na techników kryminalistyki. Już dawno mógł przejść na emeryturę, zatrudnić się w firmie ochroniarskiej, jak to robi większość policyjnych emerytów, ewentualnie założyć agencję detektywistyczną albo podpisać umowę o pracę w którymś z liceów służb mundurowych. Nikt nie wie tyle na temat winiarstwa i historii regionu, ile on, absolwent inżynierii medycznej i biochemii, z zamiłowania pomolog ze znaczącymi osiągnięciami w hodowli

nowych odmian winorośli. Gdy naczelnik wydziału kryminalnego miał jakieś wątpliwości czy coś mu nie pasowało, nigdy nie wdawał się w polemikę z szefem techników. Tak długo naprowadzał go na swoją drogę, aż ten zaskoczył i to, co chodziło po głowie komisarzowi Syskiemu, uznał za własne odkrycie.

Grodzki uśmiechnął się po nosem, po czym mrugnął do szefa techników, jakby tym gestem dawał mu do zrozumienia, żeby nie szedł z Araszkiwiczem na noże. Nie to, że mógł przegrać z podkomisarzem. Szkoda czasu i atłasu. Jeszcze przed wyjazdem na szkolenie kandydatów na oficerów policji Aracha uważał się za takiego, który pozjadał wszystkie rozumy. Po powrocie z Legionowa zachowuje się jak co najmniej zastępca naczelnika wydziału, którym przecież jest Grodzki.

– Ostatnią rozmowę właścicielka komórki przeprowadziła dziewięć minut przed siedemnastą. Gdzie logował się aparat, sprawdzimy. Notabene nie ma to większego znaczenia. Jak i nie ma znaczenia, z kim wtedy rozmawiała. Prawdopodobnie to była jej matka. Numer występuje w kontaktach jako Mamula. Może to być nazwisko, pseudonim lub, jak powiedziałem, jej matka albo teściowa. Połączenie trwało cztery minuty i siedem sekund.

– Musiała kończyć, bo o piątej zaczynała się msza ślubna – wtrącił Araszkiwicz.

– Pan to sprawdził?

– Tak jest w zaproszeniu na ślub.

– Odkryłem co innego, bardziej istotnego, nazwałbym to donioślejszym. Osoba, która posługiwała się tym huaweiem... Czy była to denatka, nie zaprzeczam i nie potwierdzam, panie podkomisarzu... Z tego samego aparatu wysłała krótką wiadomość. Esemes. Musiała być pod wpływem czegoś i pisała szybko, bo polszczyzna... Nie znam się na tym tak dobrze jak pan, detektywie. – Teraz szef techników mrugnął do Grodzkiego, jakby zgadzał się z wszystkim, co podkomisarz sądził o Araszkiwiczu. – Jest to coś w rodzaju listu pożegnalnego. Jakaś jego nowa forma.

– Jednak napisała list. – Grodzki zapalił papierosa i kiwnął głową do Araszkiwicza, jakby tym gestem gratulował mu sukcesu. A mimo to nie był przekonany, że hipoteza z samobójstwem Mirabelli Pohlhoffer trzyma się kupy. Ale skoro szef techników natrafił na esemes w postaci listu

pożegnane, to bez dwóch zdań było tak, jak założył Araszkiwicz. Udowodnienie tego nie będzie trudne. – Co napisała?

Więcej niż minutę trwało, zanim szef techników włączył komórkę, przesunął palcem wskazującym po wyświetlaczu i dotknął ikonki, pod którą ukryły się „Wiadomości”. Był jeden list wysłany w niedzielę o czwartej sześć.

– Esemeses został nadany do osoby zapisanej w kontaktach jako Wolf – powiedział szef techników. – Kim jest odbiorca, da się łatwo sprawdzić. Nawet zaraz moi chłopcy mogą to zrobić. Od ręki.

– Wolfgang Pohlhoffer – natychmiast poinformował go Araszkiwicz. – Prawdopodobnie wiadomość do niego, ale musowo to potwierdzić. Mirabella była jego drugą żoną, a on jej drugim mężem. Poznali się na cmentarzu przy grobach swoich pierwszych małżonków.

– Taki list może wskazywać, że to jednak był samobój – powiedział Grodzki.

– A nie mówiłem! – krzyknął radośnie Araszkiwicz. – Trzeba zwolnić Bednarza. Niewinny. Tyle roboty na nic.

– Ja, gdybym był na twoim miejscu, Aracha, zanim podjąłbym taką decyzję, skonsultowałbym ją z komisarzem Syskim. Naczelnik to naczelnik. Gubernator naszego krymu – roześmiał się Grodzki.

– Po co? Wszystko jasne. Prokurator też tak powiedział. Dziś oficer dyżurny – Araszkiwicz zrobił pół kroku w stronę Grodzkiego, wypiął pierś i pokazał ręką na siebie – decydujące zdanie do mnie należy, panie podkomisarzu.

JAKUBIN, UL. GRABOWA, PONIEDZIAŁEK, POPOŁUDNIE

Wczoraj na sumie proboszcz przypomniał, że wspólna modlitwa jakubinian i przyjezdnych za dusze zmarłych odbędzie się podczas mszy świętej, która rozpocznie się o drugiej po południu nie w kościele, a przy krzyżu i pomniczku na cmentarzu. Chyba że będzie padało, to wtedy w kościele. Bez względu na pogodę po zakończeniu mszy ksiądz odwiedzi najświeższe groby, co nie oznacza, że nie zatrzyma się przy tych starszych. Bardzo prosi, wręcz nakazuje, aby ci, którzy jeszcze nie wypucowali nagrobków na mogiłach, zrobili to natychmiast. Będą goście i co sobie pomyślą o jakubinianach?

Wyłączając Antoniego Żółtowskiego, od dawna nikt się nie pytał, czy cmentarz w Jakubinie był zawsze w tym samym miejscu – po słonecznej stronie wzgórza za kościołem. Co innego stadion, urząd gminy, szkoła. Cmentarz na pewno był tam wtedy, kiedy wieś nazywała się Jakobheide i mieszkańcy wyznawali religię luterańską, czego Żółtowski dowiedział się od dziadka Urszuli Wojtczak. Przez pierwsze powojenne lata traktowany jako obcy, zarósł pokrzywami, dzikimi bzami, brzoškami, robiniami, klonami. Późną jesienią, kiedy opadły liście z drzew, pokazywały się coraz bardziej garbate, wykrzywione i zapadające się nagrobki. Dopiero gdy zaczęło brakować miejsca na nowe groby tuż przy kościele, ktoś kazał rozebrać żeliwne płotki na starym cmentarzu i wywieźć je na złomowisko, a z granitowych płyt ułożyć krótszą drogę przez podmokłą łąkę do Krosna. Z biegiem lat koła samochodów wgniotą nagrobki w ziemię i nie będzie po nich śladu. Czyje to było polecenie, tym stary Wojtczak się nie zainteresował. Pewnie tego samego, który kazał zamienić dawny cmentarz miejski w centrum Krosna na park Tysiąclecia. Niedawno Żółtowski dowiedział się, że był tam grób Alfreda Henschkego, znanego w Niemczech jako Klabund, uważanego za wybitnego poetę, dramaturga i baśniopisarza. Jakubinianie nie mieli nic przeciw temu, aby cmentarz ogołocony z żeliwnych płotków i luterańskich nagrobków stał się miejscem wiecznego spoczynku ich bliskich. A kiedy proboszcz ogłosił, że nekropolia została wskazana przez Pana Boga, obok krzyża postawili pomniczek z tablicą „Zum Gedenken der bis zum Jahre 1945 verstoben ein Wohner von Jakobheide²⁹”. Od tamtego czasu przykościelny cmentarz w Jakubinie jest traktowany tak, jakby to było święte miejsce.

Pierwszego listopada przychodzą tam również ci jakubinianie, którzy nigdy nie byli na pogrzebie i nikogo bliskiego nie pochowali. Zwyczaj odwiedzania cmentarzy tego dnia jest powszechny w całej Polsce.

Żółtowski byli pewni, że Mirabellę i Wolfganga zastaną na cmentarzu. Nie tylko ich tam nie było, ale na mogiłach Olgierda i Birgit nie rosły świeże chryzantemy i nie paliły się znicze. Co prawda oba groby nie wyglądały jak opuszczone, lecz w porównaniu z sąsiednimi sprawiały wrażenie trochę zapomnianych. Żółtowski pomyślał, że Mirabella i Wolfgang jeszcze nie wrócili z wesela.

– Trzy dni świąteczne, więc balują. Ale żeby zapomnieć o dzisiejszym dniu?

– Zawsze to przyjemniej bajdurzyć z żywymi niż na cmentarzu wspominać zmarłych – skwitowała Żółtowska. Jest lekarką rodzinną, najlepiej więc to rozumie.

– Dziś Wszystkich Świętych. Właściwe Święto Zmarłych powinno być obchodzone drugiego listopada. Nasi rodzice chodzili na groby dziadków w Zaduszki – skontastował Żółtowski, jakby usprawiedliwiał siostrę, chociaż to, że Mirabella nie pojawiła się na cmentarzu wtedy, kiedy przebywa tam najwięcej ludzi, mu się nie podobało.

Żółtowska najpierw przytaknęła, a potem powiedziała:

– Gdybyśmy tu nie przyszli, nie przynieśli kwiatów i nie zapalili świeczek, byłyby to jedyne dwa zapomniane groby.

– Co by sobie ksiądz pomyślał?

– I wstyd przed ludźmi.

JAKUBIN, UL. PAŁACOWA, WTOREK, RANEK

Lukas Bielok postawił filiżankę z kawą na stoliku i coś mruknął. Pomimo tego że Wolfgang Pohlhoffer rozeznawał się w dźwiękach wydawanych przez Lukasa, czasem nie wszystko rozumiał. Wtedy dotykał jego ramienia, co było równoznaczne z prośbą o powtórzenie. Niekiedy Lukas wyciągał notes z kieszeni i pisał to, co by powiedział, gdyby nie był niemową, ale częściej migał. Znają się tak długo, że Wolfgang prawie nauczył się języka migowego. Właśnie teraz Lukas migał.

– Interesuje cię, jak było, *Liebchen*?

Wolfgang już miał odpowiedzieć, gdy Lukas mignął, że mleczko do kawy stoi w lodówce od piątku, może więc się zważyć. Sekretarka powinna codziennie przynosić świeże mleko. Co zrobić ze starym? Wylać? Szkoda. Lukas rozciągnął te swoje długie ręce, po czym pokręcił głową. Taki podobał się Wolfgangowi. Za to go kochał. Tak, to prawda. Wolfgang Pohlhoffer kochał Lukasa Bieloka. Formalnie żonaty mężczyzna kochał nie kobietę, nie hemafrodytę i nie transseksualistę, a konkretnego mężczyznę. Wygolonego pod pachami, ale trochę owłosionego powyżej piersi i na plecach, bez biustu, za to z fiutem i jądrami, codziennie golącego brodę i wąsy. Przy nim Wolfgang nie tylko czuł się pewniej, ale i był naprawdę szczęśliwy. Mirabella pewnie domyślała się tego, lecz nigdy nie powiedziała, co o tym sądzi, tym bardziej że od czasu do czasu Wolfgang ją przytulał i zachowywał się tak,

jak zachowuje się mąż, kiedy jest z żoną w sypialni. Birgit jeszcze na długo przed ślubem wiedziała, co łączy jej narzeczonego z Lukaszem, a mimo to zgodziła się, żeby pastor pobłogosławił ich małżeństwo. Dlaczego tak postąpiła, tego mu nie wyjaśniła. Wolfgang nie miał odwagi ją o to zapytać.

Lukas skierował wzrok na zegar i wydał z siebie dźwięk, którym oznajmił, że będzie towarzyszył Wolfgangowi przy śniadaniu. Najpierw złączonymi czterema palcami prawej dłoni lekko odchylił dolną wargę i pokazał zęby, potem zacisnął trzy palce tej samej ręki, a rozwidlonymi jak litera „v” kciukiem i palcem wskazującym dotknął stulonej lewej dłoni. Wolfgang zrozumiał, że może opowiadać, bo do śniadania zostało dwadzieścia minut.

– W hotelu spotkałem Ficnerskiego. Właściwie było odwrotnie. Nie ja jego, lecz on mnie spotkał – poprawił się. – Gdybym spodziewał się, że w niedzielę w samo południe Ficnerski także przyjdzie do hotelowej restauracji w Chociebużu, poszedłbym gdzie indziej na obiad. Wójt był na jakiejś konferencji. Dostał jakąś nagrodę. Coś przedstawił czy wygłosił. Nieważne. – Przeciął ręką powietrze, jakby ten ruch oznaczał to, co naprawdę myślał o wójcie, po czym podniósł się z fotela. Podeszedł do okna. Chwilę milczał. – A jeśli Ficnerski, Lukas, pochwali się nagrodą w urzędzie i wspomni, kto pierwszy złożył mu gratulacje? I że miało to miejsce jeszcze w Chociebużu?

Lukas zacisnął i tak wąskie usta. Oddychał przez nos. Zastanawiał się, co zrobić, żeby Ficnerski nie zdążył się pochwalić, kogo i gdzie spotkał w niedzielę w samo południe. Podeszedł do okna i stanął obok Wolfganga. Trwało chwilę, zanim wydał dźwięk i pokazał rękoma, co się stanie.

– Na pewno nie wspomni? – zapytał go Pohlhoffer, zaskoczony zdecydowanym stwierdzeniem ukochanego. – Jest ktoś, kto zmusi go do milczenia? A jeśli mu się nie uda, *Liebchen*?

Pewny swego pomysłu Lukas uśmiechnął się i zaraz przytulił głowę do ramienia Wolfganga.

Stali wpatrzeni w to, co działo się za jesiennym oknem. Nawet nie zauważyli, że Żółtowski otworzył drzwi. Kiedy menedżer zobaczył ich w takiej pozycji, nie odezwał się i natychmiast wycofał się do sekretariatu. Od dawna się domyślał, co łączy Wolfganga i Lukasa. O tym nie napomknął nawet żonie. Powinien porozmawiać z siostrą o jej małżeństwie, ale się wstydził. Pewnie by powiedziała, że to nie jego sprawa. Zresztą póki

Pohlhoffer płaci i nie grozi wyrzuceniem go z gabinetu menedżera, Żółtowski udaje, że niczego się nie domyśla, niczego nie widzi i o niczym nie wie. Ale jeśli Bielok zacznie mu rozkazywać, przy pierwszej okazji wywali całą prawdę na wierzch.

– Dwa pędzle – rzuciła sekretarka.

Żółtowski zrobił pytającą minę.

– Pedaty, panie dyrektorze. Pe-da-ty.

– Skąd pani to wie?

– Ślepy by tego nie zauważył. Niech pan nie udaje, panie dyrektorze, że nie wie, co ich łączy. – Roześmiała się. – Zresztą co to mnie obchodzi.

ZIELONA GÓRA, UL. WĄSKA, WTOREK, RANEK

Już wczoraj wieczorem Grodzki namawiał Syskiego przez telefon do odsunięcia Araszkiwicza od prowadzenia śledztwa w Gremplerze. Tadeusz może należeć do zespołu, ale na litość boską, niech nie będzie tym najważniejszym, który dyktuje wnioski, decyduje i wydaje polecenia. Jeszcze jako aspirant Aracha błądził się niemal na każdym kroku, co mu Syski wybaczał. Młody, usprawiedliwiał go. Popraktkuje i będzie z niego detektyw jak się patrzy. Po skończeniu przeszkolenia oficerskiego w Legionowie dostał dwie gwiazdki i natychmiast awansował na pokropka, jak szeregowi policjanci nazywali podkomisarzy. Tylko tyle się zmieniło, bo nadal kompromituje wydział. Na razie sygnały na temat jego zachowania nie dotarły do komendantki. Syski je zatrzymuje i tuszuje. Któregoś dnia jakiś ważniak z urzędu marszałka, wojewody lub prezydenta miasta zadzwoni do niej i nie będzie zważał na to, że kobieta, doktorka nauk prawnych, wykładowczyni uniwersytecka, tylko ją zbeszta bardziej niż święty Michał diabła. Zaskoczona tym komendantka zadzwoni do swego zastępcy, ten każe sekretarce wezwać Syskiego, powtórzy mu to, co usłyszał i dorzuci, co myśli nie o Araszkiwiczu, lecz o naczelniku wydziału kryminalnego, który nic sobie nie robi z takiego zachowania młodego podwładnego.

– Trzeba dać mu szansę – powiedział komisarz. – Gdzie Aracha ma się nauczyć?

– On powinien zacząć od szkoły w prewencji – stwierdził Grodzki. – Dopiero tam by go przeciwczyli. A byłoby jeszcze lepiej, gdyby został

komediantem jednoosobowego posterunku gdzieś na zadupiu. Najlepiej w którejś śródleśnej gminie. I niech tam kwitnie latami.

– Uważasz, że to śledztwo powinien przejąć i dokończyć ktoś z większym doświadczeniem? Kto? Może Ilona? Albo Kleemann?

– Lub ja na ochotnika, ale pod warunkiem że nie ja, a ktoś inny pojedzie do prosektorium i będzie przy oględzinach nieboszczki. Arachy nawet za karę bym tam nie posłał. Szkoda Krysi Kamińskiej. Jeszcze by dostała rozstroju żołądka, a jak ona się zdenerwuje, to... Będzie urwanie jaj – orzekł Grodzki pewnym siebie tonem.

Syski był tego samego zdania, ale nie powiedział głośno, że się z nim zgadza.

– Pomyślę nad tym. Rano dam ci odpowiedź.

– Jest pewne jak dwa razy dwa, że po tym, co zebrał Aracha, Ostrouchy umorzy sprawę. Śmierć tej... pani Mirabelli uzna za samobój.

Pomimo tego że komisarz Syski niemało wiedział o tym, co się wydarzyło w Gremplerze, podczas porannej odprawy kazał Araszekiewiczowi zdać relację z przebiegu śledztwa, przedstawić wnioski i naszkicować plan działania. To tak na wypadek, gdyby jednak prokurator miał pytania lub przypomniał sobie, że za często wnioskuje o umorzenie śledztwa. Przecież zwierzchnik Ostrouchego także rozlicza go z podjętych decyzji.

– Trzeba dać mu szansę – zdecydował Syski wczoraj wieczorem po zakończeniu rozmowy z podkomisarzem Grodzkim. – Niech Aracha wreszcie się wykaże. Spieprzy sprawę, będę mieć argument przeciw niemu.

Podkomisarz Araszekiewicz zaczął od tego, że jeszcze raz powinien przesłuchać Jakuba Bednarza. Najlepiej byłoby, gdyby ktoś spośród starszych detektywów mu towarzyszył jako nieformalny asystent. Na przykład nadkomisarz Mrozińska, podkomisarz Grodzki, komisarz Kleemann. Może by ten asystent na coś zwrócił uwagę, podpowiedział pytania, obserwował mowę ciała Bednarza, wniósł spostrzeżenia do jego portretu psychologicznego. A przy okazji by się dowiedział, jak prowadzić wstępne przesłuchanie metodą Webstera z FBI, która od wydarzeń z 11 września 2001 roku zaczyna zdobywać zwolenników na całym świecie i o której Araszekiewicz dowiedział się w Legionowie. W Polsce jest rzadko stosowana, w Zielonej Górze w ogóle, dlatego że nikt wcześniej nie zapoznał z nią miejscowych detektywów. Na efekty pracy techników kryminalistyki podkomisarz specjalnie nie liczy. Z pewnością potwierdzą, że znaleźli ślady

obecności Bednarza w pokoju trzydzieści osiem, do czego on się przyznaje, ale nie przyznaje się do zamordowania Mirabelli Pohlhoffer.

– Co dalej? – zapytał Araszkiewicz i sam sobie odpowiedział. – To zależy od tego, czego dowiemy się od Bednarza. Bądźcie pewni, tak przyduszę pana doktora, że przyzna się nawet do tego, czego nie zrobił, a ja potrafię.

Komórka Syskiego zasygnalizowała nadejście esemesa. Nie zwlekając, wyjął telefon z kieszeni, założył okulary na nos i kliknął wiadomości. Doktor Kamińska poinformowała go, że nie tak, jak zapowiadała, a dopiero w samo południe rozpoczną się sądowe oględziny zwłok. Czy ciało Mirabelli Pohlhoffer jako pierwsze znajdzie się na stole sekcyjnym, tego nie napisała.

– Ilona – wywołał nadkomisarz Mrozińską. – Na dwunastą doktor Kamińska zaprasza cię na spotkanie w wiadomym miejscu.

– Dlaczego mnie?

– Bo cię bardzo lubi, Ilonko – zaśmiał się kaśliwie komisarz Kleemann. – Będziecie mogły nagadać się o ciuchach. I nikt nie dowie się, o czym rozmawiałyście.

– Szefie, ja mam swoje pilne sprawy. Lepiej będzie, jeżeli podkomisarz Araszkiewicz jako prowadzący śledztwo... – zaczęła Mrozińska i zaraz urwała skarcona surowym spojrzeniem Syskiego.

JAKUBIN, UL. GŁÓWNA, WTOREK, RANEK

Od tego dnia, kiedy przestał być nauczycielem angielskiego, Adam Ficnerski zawsze ma przy sobie dwa telefony. Oba służbowe. Jeden, mniejszy, do pogwarek ze znajomymi, współpracownikami, tymi radnymi, którzy nie są przeciw niemu, oraz z żoną. I drugi, większy, nowocześniejszy, lecz przy nim nie czuje się swobodnie, gdy czyta wiadomości podawane przez portale na kieszonkowych wyświetlaczach. Odkąd jest wójtem, a to już trzeci rok, każdy dzień zaczyna tak samo. Od przejrzenia stron lokalnych w papierowej „Gazecie Zielonogórskiej”. Przede wszystkim interesują go informacje dotyczące Jakubina. Zwłaszcza pochwalne i stawiające gminę za wzór. Najbardziej jest zadowolony, gdy autor nie ukrywa jego nazwiska i wskazuje sukcesy, chociaż on ma inne zdanie na ten temat. Także czyta teksty krytyczne, ale zaraz się denerwuje i szuka winowajcy wśród swoich współpracowników. Najczęściej dostaje się prezesowi zakładu komunalnego, komendantowi straży gminnej, dyrektorze zespołu edukacyjnego

i kierownicze biblioteki. Rzadko, ale bywało, że i któremuś sołtysowi dawał do wiwatu. Jeśli niepochlebna opinia dotyczyła którejkolwiek firmy Wolfganga Pohlhoffera, to sprawdzał, czy bateria w komórce jest naładowana. Tego poranka był pewny, że zanim sekretarka poda mu kawę, odezwie się większa komórka lub zadzwoni telefon stacjonarny, on podniesie słuchawkę, przedstawi się, chociaż to zbędne, i usłyszy paternoster. Nie będzie to głos Pohlhoffera. Niemiaszek, jak nazywają go ci, którzy pracują w jego firmach, nigdy nie zadzwonił do wójta. Najczęściej robił to główny menedżer Antoni Żółtowski. Zdarzało się, że telefonowała sekretarka, ale wtedy Ficnerski nie drętwiał. Wójt obawia się Bieloka, który bywa kierowcą, ochroniarzem, adiutantem, sekretarzem, kelnerem, barmanem Pohlhoffera i, co jest tajemnicą poliszynela, kochankiem. Sekretarz gminy kiedyś mu powiedział, że zdaniem jego kuzyna, ginekologa z Zielonej Góry, który raz w miesiącu przyjmuje pacjentki w Jakubinie, Bielok ma cechy hemafrrodyty. Czym się różni gej od hemafrrodyty, tego kuzyn nie wyjaśnił. Sekretarz miał pójść do biblioteki i zajrzeć do encyklopedii, ale dotąd tego nie zrobił.

Wójt wie, że Żółtowski identycznie jak on zaczyna dzień od przeglądania miejscowych gazet. Pohlhoffer nie bierze ich do ręki przede wszystkim dlatego, że jeszcze nie tak dobrze włada polskim, chociaż zdał egzamin ze znajomości języka przed państwową komisją i złożył wniosek o drugie obywatelstwo. Raz w tygodniu, zawsze w piątek przed południem, listonosz przynosi do głównego biura Pohlhoffera paczuszkę „Düsseldorfer Rundschau” z sześciu poprzednich dni i nowy „Handelsblatt” oraz „Bravo Sport”.

Dziś wójt Ficnerski nie znalazł niczego w „Zielonogórskiej”, co by go zdenerwowało lub ucieszyło. Jedyna interesująca informacja dotyczyła piłki nożnej. Jakubińska Juwenia wygrała z Płomieniem Dąbie 6:1, bo musiała wygrać, żeby pozostać na pierwszym miejscu w klasie A. Za rok, kiedy drużyna znajdzie się w klasie okręgowej, będzie dużo trudniej, do czego trzeba już przyzwyczajać Pohlhoffera. Adam Ficnerski lubi piłkę i żużel. Na motorze nie siedział, ale od kwietnia do października w co drugą niedzielę zaraz po mszy jeździ na stadion przy Szosie Wrocławskiej w Zielonej Górze i kibicuje gremplerowcom. Piłkę kopał jak każdy młodziak w Jakubinie. Dosłownie kopał. Piłka była za składkowe pieniądze. Koszulki, spodenki, getry i buty też za składkowe. To znaczy zarobione a to podczas sadzenia lasu, a to podczas malowania huśtawek na placu zabaw przed Dniem Dziecka, a to podczas zbierania kartofli w pegeerze. Przepisy nakazują, aby każdy

piłkarz miał ochraniacze na nogach pod getrami, ale rówieśników Ficnerskiego nie było na nie stać. Niektórzy obwiązywali podudzia szmatami lub owijali je gazetami albo watą ze starych kufajek. Sędzia nie zwracał uwagi na to, że bramkarz nie ma przepisowych rękawic. Zresztą identyczne defekty dotyczyły rywali jakubinian na boisku. Dopiero kiedy Wolfgang Pohlhoffer odkupił tartak i ku zdziwieniu nadleśniczego uruchomił zakład produkujący architekturę ogrodową, piłkarzom się poprawiło. Najpierw drużyna przestała nazywać się Bóbr. Na nowych koszulkach z przodu pojawił się napis Juvenia, na plecach pod numerami HolzPohl. Każdy piłkarz dostał czarno-czerwone dresy, plecak, w którym był ręcznik, mydło i szampon do włosów oraz talon na zgrzewkę wody źródlanej WasserPohl. Od tamtego czasu ten, kto strzeli bramkę podczas meczu, w nagrodę otrzymuje karton soku jabłkowego ApfelPohl i dwie kostki masła ButterPohl. Większość graczy to pracownicy tartaku, zakładu produkującego ręczniki papierowe i papier toaletowy, przetwórci owoców, fabryczki izolacji termicznych i betoniarni, stacji paliw i marketów należących do holdingu Pohlhoffera. Nawet jeśli któraś firma ma pilne zamówienie i ludzie muszą pracować nie po osiem godzin od poniedziałku do piątku, a po dwanaście albo i więcej, piłkarzy to nie dotyczy. Sobotę przed każdą niedzielą między marcem i listopadem mają wolną. Pod koniec niedzielnych mszy, kiedy proboszcz odczytuje ogłoszenia parafialne, przypomina, z kim gra Juvenia, chociaż taka informacja wisi na tablicach przed portierniami i biurami wszystkich firm Pohlhoffera, w gablotach koło urzędu gminy, szkoły, biblioteki, restauracji i kościoła.

Póki Wolfgang Pohlhoffer nie sprowadził się do Jakubina, ludzie też jedli, żenili się, płodzili dzieci, umierali, plotkowali, kłócili się, skakali sobie do gardeł, narzekali na urzędników, organistę i kościelnego, nauczycieli, drożyznę, kolejki do lekarki, dziurawe drogi, brak autobusu do Zielonej Góry w sobotę i niedzielę. Menedżerka MarketPohla pewnie by powiedziała, że wtedy ludzie byli bardziej weseli. Mieli mniej pieniędzy i mimo to kupowali wino, piwo, nalewkę w kartonikach, rzadziej wódkę. Doszło nawet do tego, że jednego roku przed sylwestrem zabrakło ruskiego szampana. Dziś rzadko kupują wódkę, częściej piwo i wino, piją dopiero w piątek od wieczora, w sobotę i w niedzielę do popołudnia, podczas chrzcin, przyjęć komunijnych, częściej na stypach niż weselach. Piją, ale nie na umór i nie awanturują się, co z jednej strony cieszy jej męża, komendanta straży gminnej, z drugiej martwi. Wójt może dojść do wniosku, że strażnicy

są zbędni i zlikwiduje tę formację. Nawet podczas trzydniowego festiwalu muzyki techno, a wtedy piwo naprawdę leje się strumieniami, porządek jest jak na odpuszcie parafialnym ku czci świętej Jadwigi Śląskiej, patronki jakobińskiego kościoła. Może dlatego, że większość festiwalowiczów to Niemcy.

Chwała Panu Bogu, powtarzali poprzednicy Adama Ficnerskiego w urzędzie gminy i on po nich, że osiem lat temu przysłał Wolfganga Pohlhoffera do Jakubina. Dlaczego nie do większego Nowogrodu czy powiatowego Krosna albo Lubuska, tylko do niewielkiej i zapuszczonej wsi, wciśniętej między rzekę i las, tego nie wiedział, nie domyślał się i nie chciał pytać dlatego, żeby Pohlhoffer nie wycofał się z Jakubina. Dziwny Niemiec. Przecież fabrykę kleju do glazury, fugi, pianki montażowej, zaprawy tynkarskiej, kitu, uszczelniaczy dekarских czy preparatu do gruntowania ścian mógł postawić na każdym popegeerowskim polu. Takie tartaki jak ten za folwarkiem czekały na kupców w co drugiej wiosce między Zieloną Górą a Gorzowem. Zastępca nadleśniczego twierdził, że Pohlhoffer wybrał Jakubin ze względu na położenie blisko granicy nad Bobrem, klimat podobny do niemieckiego, miododajne wrzosowiska i coś, co jeszcze przed wojną odkryli balneolodzy z Berlina, ale nie zdążyli tego opisać. A dlaczego przeniósł swoje firmy z głębi Niemiec za Odrę i Nysę, domyślali się nawet ci, którzy nie czytali „Zielonogórskiej”, nie słuchali radia i nie oglądali telewizji. Za takie pieniądze, jakie Pohlhoffer płaci robotnikom, żaden Niemiec nie będzie harować. Polak nie dyskutuje. Polski mąż zaiwania cały dzień i się cieszy, że mu żona nie suszy głowy, a dzieci nie uważają go za ecie-pecie.

Wójt Jakubina jest przekonany, że gdyby nie Wolfgang Pohlhoffer, gmina byłaby biedniejsza niż przysłowiowa mysz kościelna. Ludzie nie mieliby zajęcia, co jest gorsze niż brak pieniędzy w kieszeni. A tak Jakubin jest stawiany za wzór w kraju. Jeden Niemiec o przeciętnym wyglądzie aż tyle zmienił. Takiemu należy się co najmniej złota odznaka za zasługi dla regionu.

Jedynie nie wychodzi z zabudowaniami popegeerowskimi. Co było można wyszabrować, miejscowi i przyjezdni menele nie wiadomo kiedy wynieśli do punktu skupu złomu. Fundacja teścia pani Mirabelli wydzierżawiła pałac, prawie wyremontowała główny korpus i jedno skrzydło, które przeznaczyła na hotelik. Może gdyby Olgierd nie zginął na polowaniu, sprawa wyglądałaby inaczej. Ku radości Ficnerskiego rok po śmiertelnym wypadku Birgit pan Wolfgang ożenił się z panią Mirabellą. Ludzie mówili, że poznali się

na cmentarzu przy grobach swoich zmarłych współmałżonków. I co w tym złego? Są młodzi, powinni mieć rodzinę, przy której doczekają się starości. Ona zarządza pałacem, on ma pieniądze. Gdyby Pohlhoffer zapytał wójta, to by mu podpowiedział, żeby wyremontował drugie skrzydło zabytku i tak jak zaplanował teść pani Mirabelli, urządził w nim centrum konferencyjne. Zrujnowane obory, stajnie, chlewnie i stodoły w folwarku przerobił na pokoje z łazienkami, zakładem rehabilitacji, hospicjum i co tam jeszcze będzie potrzebne starym ludziom. W takim ośrodku z wygodami i fachową opieką mogliby mieszkać emeryci z całej Polski, ale pewnie byłoby ich za mało, żeby szybko zwróciły się pieniądze wydane na przebudowę folwarku. To starzy Niemcy mogliby w nim żyć do sądnego dnia, tym bardziej że koszty utrzymania w Polsce są dużo niższe niż nawet we wschodnich Niemczech. Któregoś najbliższego dnia Ficnerski pójdzie do pałacu i na ten temat porozmawia z panią Mirabellą. Jeżeli propozycja wójta jej się spodoba, to i na pewno pan Wolfgang przytaknie.

Właściwie Ficnerski nie musi czytać „Zielonogórskiej”. Wynik niedzielnego meczu zna. Jednak czyta, bo może w niedzielę wydarzyło się coś tragicznego w którejś wiosce należącej do gminy Jakubin. Podpalenie, zabójstwo czy wypadek na drodze. O, wtedy do gazety zaglądną nawet ci, którzy ledwie sylabizują. Każdy chce sprawdzić, czy to, co widział lub o czym słyszał, pokrywa się z tym, co napisał dziennikarz.

Adam Ficnerski postanowił, że po południu zadzwoni do redaktora Junga, z którym widział się kilka razy na korytarzu w urzędzie marszałkowskim i zaprosi go do Jakubina. Albo przez telefon opowie mu o międzynarodowym spotkaniu gospodarzy gmin i miasteczek w Chociebużu. Pochwali się, że tam rozmawiał z gościem reprezentującym gminę Gamprin w północnym Liechtensteinie na temat wymiany delegacji. Ficnerski był na Słowacji, w Czechach, co dwa, trzy miesiące zaglądał do Brandenburgii. Póki jest wójtem, może jeździć na koszt gminy, tym bardziej że Pohlhoffer nie ma nic przeciw temu, bo nikt z takim zaangażowaniem nie promuje jego firm, jak robi to wójt Ficnerski. I może Pohlhoffer da się przekonać, żeby festiwal muzyki techno, który co roku w połowie sierpnia odbywa się na boisku Juvenii, transmitowała telewizja. Wtedy o tym, gdzie leży Jakubin i kto trzyma ster w gminie dowiedzą się nawet Ślązacy z ulicy Zgrzebnioka w Pszczynie, przy której mieszka szwagier Ficnerskiego. Na razie w czasie festiwalu kręcą się po wsi kamerzyści z niemieckich stacji telewizyjnych.

Z wójtem Ficnerskim dotąd nie rozmawiali, a przecież powinni, ale to pewnie dlatego, że gmina nie dołożyła ani grosza do festiwalu. Czy dobrze zrobi, jeżeli ujawni, ile pieniędzy zostawili w Jakubinie ci, którzy przyjechali z Niemiec, o tym musi podyskutować z redaktorem Jungiem. Zechcą porozmawiać, to zacznie od pochwalenia Wolfganga Pohlhofferera i Lukasa Bieloka jako głównego organizatora festiwalu. Gdyby nie oni obaj, nawet pies z kulawą nogą nie zawitałby do Jakubina.

Jak w każdy wtorek o jedenastej wójt rozpocznie odprawę z kierownikami referatów. Jeszcze nie zdecydował, od czego zacznie, ale przecież sekretarz gminy coś wymyśli. Ficnerski na pewno opowie o tym, co robił w weekend w Chociebużu. Wspomni o Wolfgangu Pohlhofferze, którego spotkał w restauracji luksusowego hotelu Lausitz przy Karl-Marx-Strasse.

– Czytałeś? – zapytał sekretarz, położywszy na biurku przed wójtem gazetę otworzoną na stronie ósmej. Wskazał palcem rubrykę *Z kroniki kryminalnej*.

– Nasza Juwenia miała wygrać i wygrała – powiedział Ficnerski. – Inna opcja jest nie do przyjęcia.

Dominiak powtórzył pytanie i jeszcze raz pokazał palcem miejsce w „Zielonogórskiej”, które powinno zainteresować wójta.

– A to? – Ficnerski pochylił się nad gazetą. Czytał na głos: – „W nocy z soboty na niedzielę podczas wesela w zielonogórskim hotelu Grempler zmarła Mirabella P. Okoliczności śmierci wyjaśnia policja pod nadzorem prokuratury.” Pewnie serducho nie wytrzymało napięcia nerwowego i stanęło. Nie podają, kim była ta Mirabella P. Niewątpliwie matka panny młodej albo pana młodego. Co w tym nadzwyczajnego? Nadzwyczajne byłoby, gdyby Mirabella P. zmarła z powodu przepicia.

– Mirabella – powtórzył sekretarz, kładąc nacisk na ostatnie dwie sylaby. – Mirabella P.

– Mało to...

– A nie chodzi tu czasem o szanowną małżonkę naszego Niemiaszka?

– Pogięło cię?

– Skończyły mi się papierosy, to poszedłem do marketu po pall malle. Kolejka jak za komuny, bo wczoraj było Wszystkich Świętych i market zamknięty. Stałem i słuchałem, co mówią ludzie. Wojtczacza, matka naszej Ulki, widziała, jak w sobotę po południu pani Mirabella wsiadała do mokki. Podobno pojechała na wesele.

– W niedzielę w południe spotkałem Pohlhoffera w Chociebużu. Gdyby coś takiego... już bym wiedział – Ficnerski zgasił sekretarza. Po czym znowu zerknął do gazety. – O, jeszcze jeden nieboszczyk. „W sobotę wieczorem na drodze krajowej 32 w Dąbiu został potrącony pieszy. Mężczyzna zmarł na miejscu. Świadkowie twierdzą, że potrącił go biały volkswagen. Jego kierowca nie dostosował prędkości do obowiązujących przepisów w terenie zabudowanym. Policja prosi o pomoc we wskazaniu sprawcy. Był to czwarty wypadek w Dąbiu w tym roku i drugi w październiku.”

– O tym mówili w sobotę i w niedzielę w naszym radiu.

– Już nie są modne czarne i srebrzyste auta. Teraz są dobrze widziane białe. Kto jeździ białym volkswagenem?

– Znam jednego – natychmiast odpowiedział sekretarz.

– Chyba ja też. – Ficnerski do niego mrugnął.

– Uważasz, że nasz Niemiaszek miałby z tym cokolwiek wspólnego?

– A co by Pohlhoffer robił w Dąbiu? Przecież już ci mówiłem, że spotkałem go w hotelowej restauracji w Chociebużu. Najpierw mnie nie poznał albo udawał. Potem, kiedy podszedłem do jego stolika i się przedstawiłem, tak mnie zmierzył, że... Gdyby nie było tam innych gości, to by mnie udusił gołymi rękami.

– Ty też masz białego passata. I w piątek jechałeś do Niemiec. Którędy, jeśli nie przez Dąbie?

Wójt Ficnerski zbladł.

ZIELONA GÓRA, UL. ZYTY, WTOREK, BARDZO WCZESNE POŁUDNIE

Ilona Mrozińska denerwowała się, gdy sekcję zwłok przeprowadzał doktor Trzcinka. Patolog zachowywał się wobec policjantki tak, jakby nie rozumiał, że przyszła do prosektorium nie z ciekawości ani z własnej woli, a na polecenie komisarza Syskiego. Pomimo tylu lat kierowania wydziałem, ten naczelnik nigdy nie był obecny przy lekarsko-sądowych oględzinach zwłok. Tak zawsze organizował pracę podwładnych, żeby wypadło na którąś z policjantek. Syski uważa, że skoro kobiety są bardziej wytrzymałe na ból, to i zniosą niemiłą woń martwego, rozkładającego się ciała.

– Dziś spóźniła się pani nadkomisarz. Taka obowiązkowa policjantka i nie zdążyła na czas? Chyba pierwszy raz to się pani przytrafiło, co? – powiedział ochroniarz tonem żartobliwym. Pamiętała go jeszcze z czasów, kiedy był dyżurnym w komisariacie przy alei Niepodległości 13. Wtedy we wtorki wieczorem Ilona jak i chyba wszyscy policjanci siadała na kanapie przed telewizorem i oglądała serial *13 posterunek* tylko dlatego, aby następnego dnia w trakcie przelotnych rozmów w komendzie o tym, co widzieli i słyszeli, nie robić wielkich oczu. Jako dyżurny w komisariacie znajdującym się w centrum miasta ochroniarz nie miał łatwego życia, dlatego dzień po tym, kiedy minęło piętnaście lat jego służby w policji, napisał raport z prośbą o przejście na wcześniejszą emeryturę. Nie on pierwszy wybrał tę drogę. Nadkomisarz Mrozińska również nie będzie pracowała godziny dłużej, a zostało jej jeszcze troszkę ponad pół roku.

– Ja się spóźniłam, panie Zbyszku? – zapytała Ilona z niedowierzaniem.

– Przecież nie ja. Ja waruję tu od siódmej rano i będę do siódmej wieczorem. Za to mi płacą. Taka fucha. W markecie miałbym ciut więcej, ale tam trzeba użerać się z pacanami. A tu... jeszcze ciszej niż na cmentarzu. – Roześmiał się i zaraz spoważniał.

– Jak mogłam się spóźnić, jeśli dopiero za pięć dwunasta? – Mrozińska pokazała głową na zegar uczepiony ściany nad drzwiami szatni dla osób funkcyjnych.

– Sekcja rozpoczęła się o dziewiątej. Ta denatka z hotelu, co panią interesuje, już przebadana. W tej chwili na stole jest dziecko spod Gorzowa. Sprawa bardzo pilna. Przyjechał prokurator, dwugwiazdkowy aspirant i jeszcze ktoś. Chyba z rodziny albo może adwokat. – Ilona zrobiła pytającą minę, więc ochroniarz powtórzył to, czego dowiedział się od policjanta. – Roczne dzieciątko. Gorączkowało. A bo to u takiego malucha dużo trzeba? Zamiast zawieźć je do lekarza, matka dała mu coś na zabicie temperatury. Płakało jeszcze głośniej. Partner matki, podobno nie ojciec niemowlaczka, leżał na wersalce przed telewizorem i oglądał transmisję z jakiegoś meczu. Kazał jej, to znaczy matce, coś zrobić, żeby dzieciątko przestało płakać. Jak zareagowała i co zrobiła, teraz nie ma znaczenia. Facet podniósł się z wersalki i walnął dzieciątkiem o podłogę. Ucichło. Na zawsze.

Policjantka milczała. Przypomniała sobie podobną sytuację z akademika dla rodzin studentów uniwersytetu. Tyle że w Ziemowicie nie partner matki, a ojciec walnął butelką po piwie niemowlaka w głowę, bo rozplakał się wtedy,

kiedy on zaczął się przygotowywać do egzaminu komisyjnego. Nieprzytomne dziecko jego matka wsadziła do torby na zakupy i zawiozła autobusem do szpitala. Zmarło na stole operacyjnym. Na swoje usprawiedliwienie ojciec niemowlaka miał jedynie to, że gdyby nie zdał egzaminu komisyjnego, musiałby pożegnać się ze studiami na rok.

– Trzeba poczekać – powiedziała Ilona Mrozińska bardziej do siebie niż do ochroniarza. – Dziś nigdzie mi się nie spieszy. Taki wyjątkowy dzień.

– Niech pani założy coś na siebie. Żeby w wydziale, jak pani wróci do komendy, nie jechało formaliną. Ja, gdy po służbie przychodzę do domu, pierwsze, co muszę zrobić, to porządnie cały się wymyć. Żona mówi, że bierze ją na wymioty, bo capi ode mnie trupiarnią. Cywilne ciuchy trzymam w worku plastikowym w szatni przy wejściu do szpitala od strony parku, a mimo to żona czuje smrodek prosektorium. A może nie czuje, tylko tak mówi, bo wie, gdzie pracuję.

– Coś w tym jest, panie Zbyszku – westchnęła nadkomisarz. Nie przyznała się, że po każdym powrocie ze szpitala do komendy zdejmuje z siebie gabardynę, jak Kleemann nazywa mundur wyjściowy, wchodzi pod prysznic, przebiera się w dżinsy i luźną bluzkę, zmywa makijaż i nakłada nowy, maluje usta szminką zapachową i mimo to czuje odór. Po powrocie do domu długo moczy się w wannie, myje głowę, po czym naciera ciało balsamem. Tego dnia nie je kolacji.

– Jeżeli ktoś ze znajomych mnie pyta, gdzie sobie dorabiam, to nie afiszuję się, że w prosektorium zakładu medycyny sądowej. W zakładzie jako pracownik ochrony, odpowiadam. Nie cała prawda, ale przecież i nie kłamstwo.

– Lepiej to by wyglądało, gdyby pan mówił, że ma zajęcie na uniwersytecie.

Ochroniarz nie roześmiał się, jakby nie zrozumiał żartu. Asystował Mrozińskiej, kiedy na mundur wyjściowy zakładała seledynowy fartuch z czegoś, co wyglądało jak wiskoza i pod czym po kwadransie przebywania w sali sekcyjnej robi się jak w saunie. Pomógł jej włożyć antypoślizgowe ochraniacze na czółenka. Potem podał czepek i maskę ochronną na twarz.

– Kiedy doktor Kamińska skończy sekcję dziecka, wyjdzie po panią nadkomisarz – powiedział tonem niemal urzędowym.

– Kamińska? – zapytała, ale zaraz przypomniała sobie, że doktor habilitowany Trzcinka przymierza się do fotela kierownika kliniki i katedry

patologii ogólnej. Z początkiem nowego roku profesor Kwiatkowska-Jung ma rozpocząć pracę w biurze regionalnym WHO³⁰ w Kopenhadze. Daniel nie chce jechać z żoną do Danii, bo czym będzie się tam zajmować, ale pewnie od tego się nie wykręci. Kiedy to się stanie, gabinet najważniejszej osoby w uniwersyteckim zakładzie medycyny sądowej zajmie doktor Kamińska.

– We wtorki przed południem profesor Trzcinka ma wykłady dla studentów piątego roku. Potem pójdzie na obronę doktoratu kogoś z Poczdamu, gdzie będzie recenzentem pracy. O drugiej rozpocznie się comiesięczne kolegium kierowników katedr i zakładów. Godzinę później wyjedzie na lotnisko i polecą do Warszawy. Wieczorem ma odebrać nagrodę imienia Włodzimierza Brodowskiego za zmodyfikowany skrypt do patologii szczegółowej dla naszych studentów – poinformował ją ochroniarz tak precyzyjnie, jakby był prawą ręką prodziekana Collegium Medicum do spraw naukowych albo kierownikiem dziekanatu. – Jak pani wie, sekcje przeprowadza się w dni nieparzyste. Ale że wczoraj było święto, to dzisiaj odstępstwo od zasad. I ze względu na to dziecko. Żeby tak... To się w mojej głowie nie chce pomieścić... Za jednym zamachem doktor Kamińska zrobi wszystko, a nie jest tego za dużo w szafach. Jutro będzie miała wolne. Chyba że przywiozą kogoś, kto nie może poczekać do piątku.

Ze zgrzytem rozsunęły się drzwi. Stał w nich technik sekcyjny już przebrany w czystą bluzę i spodnie do kompletu. Na gołych nogach miał białe laczki.

– To dla pani nadkomisarz. – Dużą szarą kopertę podał Ilonie Mrozińskiej. Domyśliła się, że jest w niej protokół z autopsji ciała Mirabelli Pohlhoffer. – Jeżeli pani nadkomisarz ma ochotę na kawę, doktor Kamińska zaprasza do swego gabinetu.

Policjantka miała nie tylko ochotę, ale i potrzebę porozmawiania o tym, co się zmieni w zakładzie medycyny sądowej od dnia, kiedy Trzcinka przeniesie się do gabinetu kierownika kliniki i katedry patologii ogólnej i Kamińska zajmie jego miejsce. To w razie, gdyby naczelnik wydziału albo zastępca komendanta zapytał zmianę. Nadkomisarz Mrozińska należy do kurczącej się grupy policjantów, którzy starają się dawać z siebie więcej niż należy do ich obowiązków służbowych. A taki na przykład komisarz Kleemann robi tyle, za ile mu płacą i jeszcze ma pretensję do Syskiego, że za sobotni czy świąteczny dyżur dostaje tylko jeden dzień wolnego. Nawet

nie dokłada się do prezentów z okazji imienin. Twierdzi, że jako praktykujący ewangelik świętuje urodziny. Kiedy wypadają jego urodziny, tego nikomu nie zdradził, a kadrowiec komendy, który ma dostęp do dokumentów personalnych, zasłania się procedurami o tajemnicy wewnętrznej.

– Wszystkie bieżące informacje dotyczące autopsji denatki z hotelu Grempler znajdzie pani w opinii – powiedziała doktor Kamińska, gdy technik postawił na stoliku kawę zalaną wrzątkiem w kolbie Erlenmayera i obok dwie menzurki ceramiczne. – Zmarła w niedzielę mniej więcej o czwartej nad ranem na wskutek wykrwawienia.

– Jednak samobójstwo? – zapytała, przypominając sobie to, czego się dowiedziała od Araszkiwicza.

Lekarka milczała, mając wzrok skierowany na kolbę i menzurki. Po minucie albo i dłużej, jakby się zastanawiała, ile może odsłonić, powiedziała:

– Domyślam się, a właściwie wiem na sto procent, co spowodowało jej zgon. Wykrwawienie. Nie domyślam się, co sprawiło, że położyła się spać i wstała z łóżka po to, aby odebrać sobie życie. Jeżeli wstała dobrowolnie. Może to były wyrzuty sumienia, że jako mężatka zadała się z obcym mężczyzną? Mam na myśli Jakuba Bednarza. Znam go. Właściwie lepiej znałam jego żonę. Jakiś rok temu Olena zginęła w wypadku lotniczym... Olena była moją rówieśnicą. Tyle że ona nadal latała, a ja musiałam wybrać pracę naukową. Profesor Jungowa szukała asystentki. Mogłam odmówić, bo z nieboszczykami... Pani też wiedziała, że w pionie kryminalnym będzie miała do czynienia z nieboszczykami i też nie odmówiła. – Patolożka uśmiechnęła się do Mrozińskiej, jakby traktowała ją z uznaniem.

Ilona pomyślała, że większość kobiet poświęca się jak nie rodzinie, to pracy, rzadziej hobby, nieliczne są egoistkami i wszystkie egocentryczkami. Bez wyjątku kobiety lubią być podziwiane, a jeszcze bardziej stawiane jako wzór do naśladowania. Zamiast tego powiedziała:

– I z pewnością pani nie żałuje swojej decyzji.

Kamińska nie zareagowała.

– Trzeba doznać jakiegoś urazu, żeby w ten sposób ze sobą skończyć – orzekła. – Chociaż...

– Mirabella Pohlhoffer była śmiertelnie chora. Dlatego najpierw poszła z nim do łóżka i potem odebrała sobie życie. To chce pani powiedzieć?

– Nie. Wszystkie narządy zgodnie...

– Co więc takiego? – przerwała jej policjantka, domyślając się, że doktor Kamińska nie wszystko zapisała w opinii badania.

– Intrygują mnie cięcia. Oba dokładne. Wręcz chirurgiczne. I oba bardzo głębokie. Wykonane z dużą siłą. Właściwie naczynia krwionośne zostały przecięte wraz z mięśniami zewnętrznymi. Rzadko który chirurg potrafi tak... Precyzyjnie samobójca może przeciąć naczynia krwionośne jednej ręki. Widok krwi nawet u doświadczonego lekarza powoduje jakiś taki odruch, że... Ja od dziewięciu lat mam do czynienia ze specjalnymi pacjentami. Jak mówicie: jestem lekarzem ostatniego kontaktu albo zimnym chirurgiem. To w ramach rewanżu za dowcipy o was. Przy okazji. Słyszałam nowy żart o policjantach. Albo nie. – Kamińska przybrała jeszcze poważniejszą minę. – Pani Ilono, kiedy przecinam skalpelem powłoki brzuszne, robię to w takim napięciu, że... Staram się opanować drżenie, a mimo to zawsze jestem pobudzona. Pocę się, chociaż zdaję sobie sprawę z tego, że w sali sekcyjnej nie chodzi o ratowanie życia. Nie jest tajemnicą, że zanim młodszy patolodzy przystąpią do pracy, wypijają kieliszek czegoś mocniejszego. I po latach niektórzy wpadają w alkoholizm. Pracował tu doktor Stoch. Mało kiedy widziano go trzeźwego, ale jako patolog był znakomity. Zapił się na śmierć. Nawet na rozprawę do sądu, a był biegłym, przychodził na bani.

– Do czego pani zmierza? – Policjantka zerknęła na zegarek. Nigdzie się nie spieszyła. To, o czym mówiła doktor Kamińska, słyszała od doktora Trzcinki.

– Uważam, że nawet zdecydowany samobójca nie byłby w stanie aż tak precyzyjnie i z taką siłą przeciąć sobie naczyń krwionośnych, jak to wyglądało u denatki z hotelowej wanny. I jeszcze jedno, pani Ilono. Oprócz cięć w poprzek, były niewielkie cięcia wzdłuż. Kobieta, która przecina żyły w poprzek, nie chce umrzeć. Taka kobieta chce zwrócić na siebie uwagę.

– Zabójstwo więc?

Doktor Kamińska niepewnie pokiwała głową. Po czym podniosła menzurkę do ust, ale jej nie przechyliła. Zastanawiała się, czy nie za daleko wkroczy w kompetencje detektywów policyjnych, jeżeli powie o tym, co zwróciło jej uwagę jeszcze w hotelu i teraz podczas sekcji.

– Jakies sugestie? Słucham? Przekażę je koledze prowadzącemu śledztwo.

– Wasze laboratorium sprawdzi, czyje odciski palców zachowały się na ręczce brzytwy. Przedwczoraj w hotelu, kiedy prowadziłam wstępne oględziny denatki, nie dostrzegłam krwi na ręczce. Czy to możliwe,

żeby drugą rękę tnąc nadgarstek nie zachlapała krwią rękojeści brzytwy? A przede wszystkim z anatomicznego punktu widzenia nie jest możliwe, żeby utrzymała brzytwę w dłoni, jeżeli przecięła naczynia krwionośne i mięśnie. I czy człowiek pod wpływem alkoholu postępuje tak, jakby był trzeźwiutki? Coś na ten temat wiem. Pani również.

Policjantka miała zamiar przyznać jej rację, ale ponieważ nie знаła szczegółów tego, co się wydarzyło w hotelu, tylko delikatnie się uśmiechnęła, pokręciła głową i zapewniła lekarzkę:

– Wątpliwości pani doktor przekażę kolegom.

– Napuściła wody do połowy wanny, wyjęła brzytwę z kosmetyczki, zamknęła kosmetyczkę na suwak i odłożyła ją na półkę przy lustrze, zaciągnęła zasłonkę i wzięła się za przecinanie żył tak, jakby robiła makijaż? W nocnej koszuli weszła do wanny? To pierwsze pytania. Drugie dotyczą łóżka. Dlaczego było zasłane? Podkomisarz Araszkiwicz mówił, że kiedy wszedł do pokoju, łóżko wyglądało tak, jakby nikt w nim nie leżał wcześniej. Moim zdaniem, pani Ilono, osoba, która ma zamiar popełnić samobójstwo, nie kładzie się do łóżka i nie robi porządku w pokoju. Fakt, pisze list, w którym wyjaśnia motywy swojej decyzji. Wiem to z doświadczenia. To już przecież dziewięć lat mojego bycia lekarką ostatniego kontaktu. No i to dodatkowe cięcie wzduż.

– Wątpliwości pani doktor przekażę koledze Araszkiwiczowi – powtórzyła policjantka.

– Pani Ilono, skoro użyła brzytwy do podcięcia naczyń krwionośnych, to znaczy, że przyjechała do hotelu z takim zamiarem. Brzytwę miała w kosmetyczce? Po co kobiecie brzytwa? Depilator elektryczny czy na baterię, tak. Ewentualnie klasyczna maszynka do golenia. Ale przecież nikt nie idzie na jakąkolwiek uroczystość bez wcześniejszego przygotowania się, zwłaszcza na wesele kuzynki. Każda z nas odwiedza kosmetyczkę albo sama robi sobie maseczkę, goli pachy, nogi i okolice tego miejsca – lekarka pokazała oczami na spojenie ud. – Akurat te sprawy denatka miała załatwione na szóstkę.

– Słuszne uwagi.

Doktor Kamińska zmarszczyła brwi.

– Chyba że... brzytwa dostała się w jej ręce inną drogą. Jaką i kiedy?

– Na razie przytakuję, bo nie jestem zbyt dobrze zorientowana w temacie. Zapewniam, że wszystko, co panią zastanawia, przekażę koledze

prowadzącemu sprawę. Dlatego zapisuję pani uwagi.

– Wracając do porządku zastanego w pokoju. Mógł go zrobić ktoś inny. Ten, kto podał jej środek nasenny. Jak podczas każdej sekcji, tak i teraz pobrałam próbki płynów ustrojowych. Czy podał i co, zbada laboratorium. Odpowiedź będzie najwcześniej w poniedziałek. Na pewno nie zażyła żadnego środka w postaci tabletek. Gdyby połknęła tabletki, to ich ślad pozostałby w żołądku. A w żołądku niestrawiony pokarm kapał się w alkoholu. Wypiła zdecydowanie za dużo. Środek usypiający, jakaś pochodna chlorometanu, mógł zostać podany w postaci gazowej. Nie powinnam tego powtarzać, ale słyszałam, jak pan Araszkiewicz mówił do komisarza Syskiego, że monitoring hotelowy został uszkodzony. Może również nie działała tam wentylacja.

– Kiepsko znam się na farmaceutykach, jednak pamiętam ze szkolenia, że chlorometan ze względu na słodkawy smak na ogół jest wyczuwalny. Choć w przypadku osoby odurzonej alkoholem mogło być inaczej. Zanotowałam i to pani spostrzeżenie.

– Jest jeszcze coś, pani Ilono. W pochwie denatki znajdowała się śladowa ilość w miarę świeżej spermy. To może znaczyć, że w trakcie wesela zadała się z mężczyzną. Z kim? Możliwe że z Jakubem Bednarzem. Z nim tańczyła i piła, co mnie nie dziwi. Samotny po śmierci Oleny. – Doktor Kamińska uśmiechnęła się pobłaźliwie, jakby usprawiedliwiała Bednarza. – Albo została zgwałcona. Przez kogo? Przez zabójcę?... Z pochwy pobrałam wymaz do analizy. Można przebadać wszystkich mężczyzn obecnych na weselu. Tylko czy to do któregoś doprowadzi, mam wątpliwości.

– Mąż?

– O ile dobrze zrozumiałam, na weselu nie było męża denatki. Dlaczego przyjechała sama? Tego nie dowiedziałam się, kiedy byłam w hotelu. Nawiasem mówiąc, ale tylko do pani wiadomości, nie lubię, kiedy sprawę prowadzi podkomisarz Araszkiewicz. Nie lubię i już. A teraz, po jego powrocie ze szkolenia, jeszcze bardziej nie lubię. Formalista. Zwraca uwagę na sprawy drugorzędne. Wyraźny brak doświadczenia? Nie tylko. Araszkiewicz nie ma tego czegoś, co mają inni detektywi, tacy z krwi i kości. Co ma pani, Natasza, Grodzki, Kleemann. A komisarz Syski jest mistrzem dociekania.

Ilona Mrozińska przytaknęła zadowolona.

– To tak, jak ja nie lubię, kiedy doktor Trzcinka przeprowadza obdukcję – przyznała się. – Nie lubię i już. Po prostu nie lubię.

Teraz Kamińska uśmiechnęła się porozumiewawczo. Chciała coś dodać, gdy do jej uszu dotarło ciche pukanie do drzwi. Kilka sekund później technik wszedł do gabinetu. Powiedział, że podkomisarz Tarniowy z komendy w Krośnie pyta, kiedy odbędzie się sekcja zwłok mężczyzny potrąconego przez samochód.

– Podał, że to volkswagen, model arteon czy jakoś podobnie. Wypadek w sobotę na drodze w Dąbiu. Tamtejszy prokurator, bodajże Andrzej Wojtczak, chce być obecny przy sekcji. Co odpowiedzieć?

– Cholera, na śmierć zapomniałam – przyznała się doktor Kamińska. – Niech pan mu powie, żeby dziś przyjechał. Załatwimy to i będzie spokój do piątku. Na przygotowanie ciała do obdukcji masz czterdzieści minut. Wystarczy?

– Da się zrobić, szefowo – zapewnił ją technik.

– Po wolnych dniach tak jest zawsze – powiedziała lekarka jakby się skarżyła. – Pani ma do obsłużenia tylko miasto i okoliczne gminy. My jesteśmy do usług wszystkich prokuratur. W dziewięćdziesięciu procentach z tego się utrzymujemy.

ZIELONA GÓRA, UL. WĄSKA, WTOREK, WCZESNE POPOŁUDNIE

Jeszcze przedwczoraj wieczorem po powrocie do mieszkania podkomisarz Araszkiewicz ułożył dwa warianty planu przesłuchania Jakuba Bednarza. Oba zapisał w zeszycie w kratkę. To, co wydawało mu się najważniejsze, zakreślił zielonym pisakiem. Tego nauczył się na ostatnim kursie w Legionowie. Także przedwczoraj wieczorem postanowił, że przed poranną odprawą wydziale oba pokaże naczelnikowi, spodziewając się przynajmniej pochwały, lecz Syski, mając co innego na głowie, nawet na nie zerknął na zeszyt, tylko w biegu machnął ręką.

Grodzki, któremu jeszcze w niedzielę naczelnik kazał być aniołem stróżem Araszkiewicza i w razie czego wziąć sprawę w swoje ręce, żeby nie doszło do wpadki kompromitującej policję, usiadł na krześle przy oknie. Najchętniej zapaliłby vouge'a, ale w pokoju przesłuchań były zainstalowane czujki dymu.

A i nie wiadomo, kto stoi za lustrem weneckim. Może tam być komendantka, która lubi bez zapowiedzi wpaść na odprawę w wydziale, do pokoi detektywów, a nawet do hali maszyn, czego nigdy nie robi jej pierwszy zastępca. Jeszcze chętniej podkomisarz przyniósłby sobie kawę z automatu, tyle że komendantka zabroniła popijania nawet wody przy osobach wezwanych na Wąską. Zmarnowana godzina, ocenił Grodzki czas, kiedy miał być niemy obserwator.

Podkomisarz Araszekiewicz poinformował Jakuba Bednarza, że na razie nie jest ani podejrzany ani tym bardziej oskarżony. Do zmiany jego statusu może dojść po dzisiejszym przesłuchaniu, o czym zadecyduje prokurator, dlatego jako oficer policji kryminalnej z odpowiednim doświadczeniem, na co położył akcent, radzi odpowiadać na pytania pełnymi zdaniami, krótko i zwłaszcza prawdomównie. Wszystko, co Bednarz powie, zostanie nagrane przez dyktafon, z wyłączeniem nieistotnych wtrąceń przepisane i w formie protokołu przedstawione mu do akceptacji własnoręcznym, czytelnym podpisem. Ma odpowiadać wyłącznie na pytania, choćby mu się nie podobały.

– Tak, jak na obronie dyplomu – podkreślił Araszekiewicz i nieznacznie uśmiechnął się do Grodzkiego, oczekując od niego pochwały lub chociażby kiwnięcia głową.

– Nie odpowiem na żadne pytanie, póki nie przyjdzie tu mój adwokat – uprzedził Bednarz.

– Adwokata to pan będzie potrzebował dopiero w sądzie, panie doktorze od filozofii. I to nie byle jakiego papugę.

– Znam swoje prawa i obowiązki. Przy przesłuchaniu może być obecny adwokat.

Araszekiewicz milczał. Zastanawiał się, co powiedzieć, żeby wyszło na jego.

Grodzki siedział na krześle przy oknie i także nabrał wody w usta. Był ciekawy, jak podkomisarz wybrnie z tej kłopotliwej sytuacji. Zastępca naczelnika wydziału, gdyby był na miejscu Araszekiewicza, rzuciłby którymś paragrafem i spytał, czy Bednarz także to wziął pod uwagę. Skoro on, absolwent studiów prawniczych i doświadczony detektyw, nie zna Kodeksu karnego na wyrywki, to filozof tym bardziej.

– To nie jest oficjalne przesłuchanie śledcze, panie Bednarz – wystrzelił Araszekiewicz uradowany, że akurat to przyszło mu do głowy.

– A co?

– Rozpoznanie wstępne. Czy okaże się konieczne przesłuchanie z udziałem prokuratora i adwokata, zadecyduje się w odpowiednim czasie.

Nagle Bednarzowi zaburczało w brzuchu. Podniósł dłoń do ust. Głodny, pomyślał Araszkiwicz. Tym lepiej.

– Proszę o szklankę wody – odezwał się Bednarz.

– Ja przyniosę – natychmiast zaoferował się Grodzki. Miał nadzieję, że przy okazji i on się czegoś napije. Wczoraj po powrocie z cmentarza najpierw pił ze szwagrem żołądkową czystą, a gdy jej zabrakło, wyjął z barku butelkę czerwonego wina. To i go suszyło od rana.

Zerkając do zeszytu, w którym był zanotowany plan, Araszkiwicz powiedział, że wstępne przesłuchanie Bednarza Jakuba rozpoczął we wtorek o godzinie dwunastej siedem w budynku komendy policji w Zielonej Górze przy Wąskiej w obecności podkomisarza Grodzkiego. Powinien zaznaczyć, że Grodzki wyszedł z pokoju, uznał to jednak za drobnostkę. Takie stwierdzenie nie interesuje prokuratora. Powinien wyjaśnić, na podstawie czego ustalił tożsamość przesłuchiwanego, lecz doszedł do wniosku, że to również zbędna formalność. Przecież przedwczoraj po południu oglądał dowód osobisty Bednarza. Nie uprzedził go, co grozi osobie przesłuchiwanej, gdyby skłamała lub zataiła ważne fakty. Recepcjonistka czy kelnerka może tego nie wiedzieć, ale doktor filozofii powinien, tym bardziej że przed chwilą domagał się obecności adwokata. Zresztą Bednarz nie ma innego wyjścia, jak ujawnić to, co się wydarzyło w pokoju trzydziestym ósmym w hotelu. Im wcześniej to zrobi, tym lepiej z jego punktu widzenia, bo sąd może wziąć to pod uwagę i wymierzyć łagodniejszą karę.

– Panie Bednarz, gdzie pan przebywał od popołudnia w sobotę do popołudnia w niedzielę? Gdzie od popołudnia do teraz, wiemy. Myślę, że ostatnią noc i przedpołudnie spędził pan na przypominaniu sobie zdarzeń, które odbyły się z pana udziałem. Im dokładniej pan opowie to, co sobie przypomniał, tym szybciej skończymy. – Przeczytawszy pierwsze pytanie zapisane w zeszycie, Araszkiwicz oparł się plecami o poręcz krzesła. – Niech pan mówi do dyktafonu tak, jakby mnie tu nie było.

Bednarz przycisnął dłonie do blatu stołu, aż palce mu zbieleły. Jeszcze się zastanawiał, od czego zacząć, żeby odpowiedź była pełna. Najważniejsze jest pierwsze zdanie.

– Najpierw byłem w kościele pod wezwaniem Świętego Urbana przy Lubuskiej dwa. Później wsiadłem do toyoty yaris i udałem się do hotelu

Grempler przy Głogowskiej. Numeru nie pamiętam.

– Jaki był powód obecności pana w tych miejscach?

– Uczestniczyłem w uroczystościach związanych ze ślubem kuzynki Anny Marii Zahorskiej i Marcina Ogrodzińskiego – odpowiedział Bednarz akurat wtedy, kiedy Grodzki przyniósł mu wodę w plastikowym kubku. – Dziękuję – podniósł oczy na podkomisarza.

– W kościele pan stał czy siedział?

– Siedziałem po prawej stronie w czwartej ławce. Tego, że siedziałem w czwartej ławce, nie jestem pewny.

– Kto siedział obok pana z lewej i prawej strony, panie Bednarz?

– Z prawej nikt, bo to było miejsce skrajne. Kto z lewej, nie pamiętam.

– A obok kogo siedział pan w trakcie przyjęcia w restauracji hotelu Grempler?

– Nie znam nazwisk osób, pomiędzy którymi siedziałem przy stole. Było to miejsce wskazane przez organizatorów wesela.

– Panie Bednarz, czy to jest możliwe? Niech pan dobrze się zastanowi. Tylko nic na chybcika. Nam się nie spieszy. Poprzednią odpowiedź za zadane pytanie uznaję z nieodpowiednią. – Araszekiewicz skarcił się, że nie uprzedził Bednarza, co mu grozi za kłamstwo. Spojrzał w stronę Grodzkiego, który stał przy oknie odwrócony do niego plecami, jakby przesłuchanie go nudziło.

– Po przyjeździe z kościoła do hotelu razem z wszystkimi gośćmi wszedłem do restauracji, gdzie odbyło się powitanie młodej pary. Na stole przed każdym krzesłem leżała karteczka z imieniem i nazwiskiem oraz numerem pokoju. Przed zajęciem wskazanego miejsca poszedłem do przydzielonego pokoju. Nie licząc wypowiedzi o charakterze kurtuazyjnym, nie prowadziłem konwersacji z sąsiadami po lewej i prawej ręce.

– Zaraz, zaraz, panie Bednarz. W niedzielę podczas naszej rozmowy w hotelu powiedział pan, że dialogował z Pohlhoffer Mirabellą. Teraz pan z tego się wycofuje?

– Dialogowałem od tego czasu, kiedy większość uczestników wesela wyszła na parkiet. Wtedy przeniosłem się na wolne obok niej miejsce. Było ono, jak się dowiedziałem od Miry, wyznaczone dla jej męża.

– O mężu Pohlhoffer Mirabelli na razie nie będziemy rozmawiali. Niech pan powie, co było przedmiotem dialogu.

– Wymiana spostrzeżeń – odpowiedział krótko Bednarz.

– Jakich?

– Dokładnie nie pamiętam. Na pewno Mira spytała, dlaczego jestem sam na weselu. Wyjaśniłem, że moja żona zginęła w wypadku na lotnisku w ubiegłym roku.

– Jak zareagowała Pohlhoffer Mirabella na tę przykrą, prawda, wiadomość?

– Zamilkła.

– Chyba nie powie pan, że od tego momentu tylko milczała?

– Staram się, jak pan podkomisarz na początku zaznaczył, odpowiadać prawdomównie, krótko i pełnymi zdaniami.

– Czy długo milczała?

– Kiedy wyjaśniłem, co się stało z moją żoną, Mira zamilkła. Później na chwilę położyła swoją dłoń na mojej dłoni. Odniosłem wrażenie, że to gest współczucia.

– Czy pan, panie Bednarz, zapytał Pohlhoffer Mirabellę, dlaczego jest sama na weselu? – Araszkiewicz starał się formułować pytania precyzyjnie.

– Tak.

– Jakiej odpowiedzi udzieliła Pohlhoffer Mirabella?

Grodzkiego denerwowało to częste wymienianie nazwiska i imienia denatki.

– Mira powiedziała, że małżonek został pilnie wezwany za granicę w celach biznesowych. Dodała, że mimo iż ja przyjechałem sam na wesele i ona sama, nie będziemy samotni.

Mądre zdanie, pomyślał Grodzki.

– Co zaszło później, panie Bednarz?

– Później?... Jedliśmy, piliśmy alkohol, śmialiśmy się, tańczyliśmy. Staraliśmy się zachowywać tak, jak zachowywała się większość gości weselnych.

– Pytając, co zaszło później, miałem na myśli to, panie Bednarz, kto wyszedł z inicjatywą opuszczenia restauracji. W niedzielę pan powiedział, że wyszliście z lokalu. Dlaczego i dokąd?

– Mira wypła za dużo alkoholu. Dlatego powiedziałem, że świeże powietrze dobrze jej zrobi i zaproponowałem, abyśmy wyszli na dwór.

– Stawiała opór? To znaczy, czy długo musiał pan ją do tego namawiać?

– Ponieważ drzwi wejściowe do hotelu były zamknięte na klucz, usiedliśmy na kanapie w recepcji. Tam Mira powiedziała, abym

ją zaprowadził do mojego pokoju.

– Wyjaśniła, w jakim celu?

– Nie.

– I pan oczywiście nie odmówił kobiecie, chociaż zamężna. Która wtedy była godzina?

– Z restauracji wyszliśmy w trakcie oczepin. Czyli kilka minut po północy.

– Panie Bednarz, czy pamięta pan, co Pohlhoffer Mirabella miała na szyi?

– Złoty naszyjnik ze swoim imieniem jako zawieszka pośrodku.

Zwróciłem na niego uwagę jeszcze w restauracji.

Każdy człowiek musi popełnić jakieś przestępstwo. Jeżeli jeszcze nie popełnił, to dlatego, że nie miał okazji. Zanim umrze, na pewno je popełni. Większe, mniejsze przestępstwo, ale na pewno popełni. Pierwsze, drugie. I każdy liczy na to, że nikt go nie złapie. Że mu się uda uniknąć kary. Skoro udało się pierwszy raz, uda się i drugi. Później jest następne przestępstwo. I kolejne. Aż kiedyś się nie uda. Tyle podkomisarz Araszekiewicz zapamiętał z ostatniego szkolenia dla kandydatów na oficerów kryminalnych w Legionowie. Policjant musi być bardziej cierpliwy niż nauczyciel w szkole specjalnej i tak spostrzegawczy jak przedszkolak, nakazał wykładowca. Nie ma doskonałych detektywów, jak i nie ma doskonałych przestępców. To zdanie dźwięczy w uszach Araszekiewicza od powrotu z Legionowa.

– Co było dalej, panie Bednarz?

– Czy muszę odpowiadać na pytania niezwiązane ze sprawą?

– Co było dalej, panie Bednarz? – powtórzył podkomisarz ostrzej.

– W moim pokoju poszliśmy do łóżka.

– Czy kiedy szliście do łóżka, Pohlhoffer Mirabella odpięła naszyjnik?

Jeśli odpięła, to co z nim zrobiła? – Bednarz wzruszył ramionami. Araszekiewicz szybko dodał: – To może być bardzo ważne. Niech pan przymknie oczy i postara się sobie przypomnieć. Od tego wiele zależy, panie Bednarz.

– Nie pamiętam, żeby coś zdejmowała z szyi.

– A kiedy było to... no... Kiedy uprawialiście seks, Pohlhoffer Mirabella jeszcze miała naszyjnik?

– Nie zwróciłem uwagi.

– To dlaczego naszyjnik został w pokoju, w którym pan mieszkał?

– Nie wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić.

– Co się działo po tym, do czego doszło w łóżku, panie Bednarz?

– Ubraliśmy się i wróciliśmy do restauracji. Znowu tańczyliśmy, jedliśmy i popijaliśmy. Ja mniej. Mira więcej. W pewnym momencie Mirze zrobiło się niedobrze. Przesadziła z piciem, a nie jest przyzwyczajona do mocniejszego alkoholu. Powiedziałem, że powinna odpocząć. Że zaprowadzę ją do jej pokoju. I tak się stało.

– Która wtedy była godzina?

– Kiedy przechodziliśmy przez recepcję, zerknąłem na wiszący tam zegar. Było piętnaście po drugiej.

– Do którego pokoju zaprowadził pan Pohlhoffer Mirabelle?

– Już powiedziałem, że do jej pokoju.

– Niech pan odpowiada na pytania, panie Bednarz.

– Trzydzieści osiem.

– Czy został pan w tym pokoju dłużej?

– Nie.

– Nie? Na pewno nie, panie Bednarz?

– Na pewno.

– Niech pan się skupi.

– Nie zostałem w jej pokoju – syknął Bednarz przez zaciśnięte zęby.

Podkomisarz Grodzki odchrząknął. Araszkiwicz przypomniał sobie, że policjantowi nie wolno wymuszać odpowiedzi ani komentować tego, co powiedział przesłuchiwany. Pomimo tego mu się wyrwało:

– A była taka okazja, co nie? – Araszkiwicz zatarł ręce. – Czy wchodził pan do łazienki w pokoju trzydzieści osiem?

– Tak.

– W jakim celu?

– Wyłącznie po to, żeby opróżnić pęcherz moczowy.

– Widział pan kosmetyczkę? – Ponieważ Bednarz obrzucił podkomisarza pytającym wzrokiem, Araszkiwicz wyjaśnił: – Kuferek na kosmetyki firmy Wittchen.

– Nie zwróciłem uwagi.

– A zaglądał pan do niego?

– Do czego?

– Do kosmetyczki? Znaczący do tego kufereka?

– Nie widziałem kufereka.

– Nie widział pan. Stał na półce przed lustrem. A może zauważył pan, panie Bednarz, jakieś dziwne przedmioty? Coś, co wydało się panu zbędne

na weselu. Czego kobieta nie powinna mieć, a Pohlhoffer Mirabella to miała. Bo ja wiem?

- Nie interesowałem się tym, co znajdowało się w jej łazience.
- Może zauważył pan jakieś tabletki w pokoju?
- Nie zauważyłem.

Grodzkiemu przeszło przez myśl, że Jakub Bednarz jest bardzo cierpliwy. On, gdyby był na jego miejscu, odpowiadałby jeszcze krócej. Tak. Nie. Nie pamiętam. Niech się Aracha męczy.

– W tym przesłuchaniu występuję jako podejrzany czy jako świadek?

– Od zadawania pytań, panie Bednarz, ja jestem – przypomniał Araszkiwicz. – A o tym, jak pan zostanie potraktowany, prokurator jeszcze nie zdecydował. Moim zdaniem na razie przeważa kwalifikacja: podejrzany. Ale może pan ją zmienić, precyzyjniej odpowiadając na pytania. Rozumiemy się, panie Bednarz?... Pytałem o tabletki w pokoju.

– Nie widziałem żadnych tabletek w pokoju trzydzieści osiem.

– Jak się zachowywała Pohlhoffer Mirabella?

– Mira zachowywała się tak, jak zachowuje się osoba pod wpływem alkoholu. Dużo mówiła. Logorea.

– Co takiego?

– Logorea pochodzi z języka greckiego. Oznacza bezładne, niekontrolowane wypowiedanie się, również pod wpływem alkoholu. Można to nazwać słowotokiem.

– Czy w tym słowotoku padło coś związanego z zamiarem przerywania swego życia? Pohlhoffer Miabella skarżyła się? Narzekała? Może na męża?

– Nie skarżyła się i nie narzekała.

– Co było dalej? Bo chyba nie stał pan z założonymi rękami, co, panie Bednarz?.

- Pomogłem Mirze położyć się na łóżku i wróciłem do restauracji.
- W sukience położyła się na łóżku?
- Zsunąłem jedynie szpilki z jej nóg.
- Co pan z nimi zrobił?
- Szpilki postawiłem pod krzesłem znajdującym się przy biurku.

Araszkiwicz zamknął zeszyt, gdzie miał plan przesłuchania. Odczytał wszystkie pytania, które ułożył w niedzielę wieczorem. Bednarz odpowiedział na nie jak na egzaminie. Niektórych odpowiedzi podkomisarz nie zrozumiał. Uniwersytecki filozof, określił w myślach Bednarza, ale nie powiedział tego

głośno. Ile razy Araszkiewicz słyszał, jak komisarz Syski nazywał Kleemanna filozofem. A jaki jest Kleemann, wszyscy w komendzie wiedzą i dlatego nikt nie chce z nim pracować. Co innego Grodzki. W porównaniu z niedzielnym przesłuchaniem w hotelu teraz dowiedział się niewiele nowego. Dziś rano, kiedy szedł z zeszytem do gabinetu naczelnika wydziału, wpadło mu do głowy jeszcze jedno pytanie. Wtedy go nie zapisał, a teraz nie mógł sobie przypomnieć. Jak ono brzmiało? Pewnie nic arcyważnego. Podkomisarz wstał, zrobił kilka kroków. Nic nie przychodziło mu do głowy. Po południu będzie musiał zwolnić Bednarza. Podeszedł do okna, przy którym stał milczący Grodzki oparty o parapet. Podkomisarz rozłożył ręce, co oznaczało, że i on ma pustkę w głowie.

Araszkiewicz westchnął niezadowolony, gdy nagle odwrócił się do Bednarza z pytaniem:

– Czy później zaglądał pan do pokoju trzydzieści osiem?

– Nie.

– Nie zainteresował się pan, doktorze, stanem Pohlhoffer Mirabelli?

– Dokładnie o trzeciej w nocy poszedłem do swojego pokoju i położyłem się spać. Wstałem kilka minut po jedenastej, wziąłem prysznic, ogoliłem się, ubrałem i przed dwunastą zszedłem do restauracji na poprawiny.

– Czy po wejściu do restauracji zauważył pan brak Pohlhoffer Mirabelli?

– Tak.

– Jak pan to sobie wytłumaczył?

– Wypiła za dużo, więc odpoczywa. Obecność na poprawinach nie jest obowiązkowa.

– A nie korciło pana, żeby sprawdzić, jak się ona czuje?

– Byłem gotów to zrobić, ale moja ciotka, matka Anny Marii, także zauważyła jej brak. Nawet spytała o numer pokoju, w którym śpi Mira. Uznała, że nie kto inny, a ja powinienem po nią iść. Ociągałem się, dlatego Anna Maria się zaoferowała. Ciotka była innego zdania i kazała iść Czarkowi Ogrodzińskiemu, bratu pana młodego.

– Panie Bednarz, czym pan się goli? – Araszkiewicz uśmiechnął się sam do siebie. Jednak przypomniał sobie to pytanie, którego nie zapisał w zeszycie.

– Jak pan widzi, nie muszę golić się codziennie. Raz w tygodniu przystrzygam zarost maszynką elektryczną. Podać jej markę i nazwę producenta?

Araszkiewicz machnął ręką lekceważąco, po czym znowu westchnął, zamknął zeszyt i szybko go otworzył. Wydawało mu się, że dostrzegł jeszcze jedno pytanie, które zaplątało się w gąszczu tych już odczytanych. Milcząc, prześlizgnął się wzrokiem po kartkach, ale nie było takiego pytania, dlatego znowu zamknął zeszyt i klasnął w dłonie. Wstał i jeszcze raz podszedł do okna, przy którym stał Grodzki.

– Co kolega podkomisarz o tym sądzi?

– Za słabo go przycisnąłeś – powiedział szeptem Grodzki. – On coś ukrywa.

Araszkiewicz natychmiast wrócił do stołu. Usiadł obok Bednarza, ale nie włączył dyktafonu.

– Tak poza protokołem, panie doktorze. Czegoś nie rozumiem. Zacznę od tego, że Pohlhoffer Mirabella przyjechała na wesele sama. Sama, bo jej małżonek został pilnie wezwany za granicę w celach biznesowych. A pan?

– Co ja?

– Widzę, że nosi pan obrączkę. To znaczy jednak żonaty. Dlaczego pan nie przyjechał na wesele z małżonką?

– Już pan o to pytał.

– Panie Bednarz, po to tu jestem. Pan nie ma obowiązku przypominać mi, o co pytałem, a ja jeszcze nie mam sklerozy. Pan na tylko odpowiadać. Zatem powtarzam. Dlaczego pan był na weselu bez małżonki? Co, ciche dni? Podpadł pan? A czym, jeżeli to nie jest tajemnica rodzinna, panie Bednarza?

– Gdyby pan uważnie mnie słuchał, wiedziałby, że moja żona nie żyje od półtora roku. Olena zginęła w wypadku samolotowym.

Kurwa, zaklął w myślach Araszkiewicz. Jednak już by skleroza? Rzeczywiście on coś takiego powiedział.

– Dobrze usłyszałem: Olena?

– Olena była Ukrainką. Studiowała coaching i doradztwo filozoficzne na naszym uniwersytecie. Poznałem ją, kiedy była na drugim roku. Jeszcze jako uczennica szkoły średniej w Łucku zaczęła uprawiać szybownictwo w tamtejszym aeroklubie. Pochodziła z rodziny o polskich korzeniach. U nas chciała pracować w pogotowiu lotniczym, dlatego starała się o licencję pilota śmigłowca. Przeszła kurs pilotażu i dla przyjemności latała na szybowcach w Aeroklubie Ziemi Lubuskiej. Dlaczego jej Swift wpadł w lewy korkociąg i uderzył w płytę lotniska na Przylepie, nie ustalono ewidentnie. Zdaniem

komisji badania wypadków lotniczych dwukrotna wicemistrzyni kraju powinna wyjść bez szwanku z korkociągu.

– Taa – westchnął Araszkiwicz, po czym podniósł wzrok na Grodzkiego, ale ten nie dał mu żadnego znaku. – Zostanie pan zwolniony. Jednak proszę nie wyjeżdżać z Zielonejgóry. W każdej chwili może być pan ponownie wezwany celem złożenia dodatkowych wyjaśnień. A tak przy okazji, wie pan, jaki wniosek ciśnie mi się do głowy? – Nie czekając na odpowiedź, podkomisarz rzucił: – Pan, doktorze od filozofii, jest niebezpieczny.

– Ja? Dlaczego?

– Ślubna zmarła śmiercią nienaturalną. Kochanka też. Nie chcę niczego przesądzać, panie Bednarz, ale prokurator na pewno także tego nie pominie.

ZIELONA GÓRA, UL. PARTYZANTÓW, WTOREK, WCZESNE POPOŁUDNIE

Kiedy komisarz Syski streścił prokuratorowi wnioski z zeznań z rozmów z osobami obecnymi na weselu, Ostrouchy powiedział, że nie wie, jaką podjąć decyzję. Waha się. Nie miałby wątpliwości, czy umorzyć śledztwo i dać sobie spokój z Mirabellą Pohlhoffer (Niech jej ziemia lekka będzie), gdyby nie kilka niewyjaśnionych spraw z niedawnych lat. Śmierć Olgierda, pierwszego męża Mirabelli, na pewno spowodowała breneka odbita rykoszetem o buk w trakcie polowania. Z czyjej dubeltówki została wystrzelona, specjalista z zakresu balistyki tego nie ustalił. Birgit, pierwsza żona Wolfganga, zginęła w wypadku drogowym. Zdaniem biegłego sądowego, wykryta w jej organizmie śladowa ilość tetrahydrokannabinolu nie powinna była spowodować upośledzenia koordynacji ruchowo-wzrokowej. Docent Pastwa z uniwersyteckiego zakładu budowy i eksploatacji pojazdów napisał, że nie udało się wyjaśnić, dlaczego insygnia zjechała z prostej drogi na pobocze, dachowała i zakleszczyła się między sosnami. Olena, żona Bednarza, także umarła śmiercią tragiczną w okolicznościach budzących wątpliwości komisji badania przyczyn wypadków lotniczych.

– Trzy zgony młodych osób. I trzy w okolicznościach niemożliwych do wyjaśnienia. Gdyby nie miał pan co robić a miał ochotę przeanalizować, co łączy te zejścia, to proszę zwrócić uwagę, że trzy śmierci w sytuacjach,

do których nie powinno dojść. – Wyraz twarzy Ostrouchego to potwierdzał. – I trzy osoby, które poprzez żywych są ze sobą powiązane.

– W niedzielę mieliśmy czwarte zejście. Gdyby nie ono, nie byłoby podstaw do łączenia wcześniejszych.

– Są podstawy, komisarzu, i ich nie ma. Dlatego jestem za tym, żeby to ostatnie śledztwo uznać za zakończone. Ma pan coś przeciw temu? – zapytał prokurator i zaraz zmienił zdanie. – Albo będzie bezpieczniej, jeśli je przeniesiemy do zamrażarki. To jest najlepsze wyjście. Nikt nam nie zarzuci zlekceważenia sprawy i w razie czego będziemy kryci.

Naczelnik Syski był tego samego zdania. Nie ma zbrodni doskonałej, jeśli trzy poprzednie, a teraz cztery przedwczesne śmierci należą do tej samej kategorii. Przykładów potwierdzających tę regułę komisarz nie musi długo szukać w swojej pamięci. Oto Niemka, właścicielka fabryki implantów medycznych, która zaprosiła bioinżyniera profesora Witkowskiego i dwie Polki do Goyatzu i wypłynęła z nimi łodzią na jezioro po to, żeby ich utopić. Niedługo później dowiedziała się, że zaatakował ją nowotwór złośliwy. Śmiertelnie chora wezwała wdowę po profesorze do hospicjum w Gubenie, gdzie przebywała. Tam do wszystkiego się przyznała, ale bez świadków. Chemik wyrzucony z wojska, a później poseł, był przekonany, że żaden biegły nie odkryje, kto podłożył ładunek wybuchowy pod lanią prokuratora generalnego i wysadził ją w powietrze razem z pasażerami niedaleko Zielonejgóry. Z pół roku trwało, zanim wydało się, kto udusił kierowniczkę sekretariatu partii rządzącej w jej mieszkaniu i wykończył komisarza Brumela z komendy stołecznej w lesie za Warszawą. Sprawca wpadł po tym, jak wysadził škodę Syskiego. Zastępca nadleśniczego na zielonogórskim Zatoniu w imię sprawiedliwości, co opisał w liście pożegnalnym, zamordował gwałciciela swojej córki i ojca zmarłego wnuka, ale nie mógł z tym żyć, dlatego się zastrzelił.

– Jeżeli to w Gremplerze nie było samobójstwem, a wiele wskazuje, że jednak było samobójstwem, to kto i dlaczego zamordował Mirabelle Pohlhoffer? – zapytał Syski po dłuższym namyśle.

– Mogła sama podciąć sobie żyły? Mogła. Czyli samobój. Tylko, komisarzu, dlaczego zrobiła to niedługo po tym, jak z własnej woli poszła do łóżka z mężczyzną poznanym na przyjęciu weselnym? Z tego, co mi pan przedstawił wynika, że nie Bednarz, lecz Mirabella Pohlhoffer była inicjatorką zbliżenia. Więc nagle pojawiły się wyrzuty sumienia z powodu zdrady męża?

Nie chce mi się wierzyć. Nie ona pierwsza i nie jedyna. I nie ostatnia. – Ostrouchy powiedział to takim tonem, jakby był znawcą psychiki kobiet, w co Syski wątpił. – Tym bardziej nie chce mi się wierzyć, że podcięła sobie żyły przy pomocy bardzo ostrego narzędzia wręcz z chirurgiczną precyzją, jak doktor Kamińska napisała w opinii po badaniu pośmiertnym. Jasne, że tego nie dało się zrobić przy pomocy scyzoryka, nożyczek do wycinania skórek... bo ja wiem?... żyłki do tarki pedicure, pilniczka do paznokci, pincety. To można było zrobić przy pomocy skalpela, ale w trakcie przeszukania w łazience nie natrafiono na skalpel. W łazience znaleziono brzytwę. Przeguby jej rąk zostały przecięte przy pomocy brzytwy. Tej brzytwy, którą znaleziono w łazience. W tej sprawie nie mamy wątpliwości. Komisarzu, czy zna pan kobietę, która wozi brzytwę w kosmetyczce? Po co kobiecie brzytwa? Brzytwą można zgolić włosy z nóg, ale nie pod pachami czy tam. – Prokurator posłał spojrzenie na rozperek. – Zatem, komisarzu, to nie mogło być samobójstwo. Czyli ktoś posłał Mirabellę Pohlhoffer na tamten świat. Kto?

– Z zawodowego obowiązku mnie także interesuje kto, panie prokuratorze. Jednak bardziej interesuje mnie dlaczego. Kiedy uda się wyjaśnić dlaczego, wskazanie zabójcy będzie dziecinnie łatwe. Jeżeli to było zabójstwo.

– Ma pan doktora Bednarza. Niech Araszkiwicz go...

– Bednarz? Ten potomek jakiegoś niedojdy? Muchy by nie zabił. Chyba że... – urwał Syski, unosząc dłonie, jakby wątpił w to, czego dowiedział się od Araszkiwicza.

– Co, chyba że?

– Chyba że Bednarz ma coś wspólnego ze śmiercią swojej żony.

– Tej Ukrainki? – zapytał Ostrouchy, spodziewając się potwierdzenia. Kiedy Syski kiwnął głową, kontynuował: – Podobno, ale tylko podobno... Pańscy podwładni powinni bardziej detalicznie przejrzeć tamten wypadek na Przylepie. Olena Bednarz dwukrotnie poddała się aborcji bez wiedzy męża. Chciała robić karierę w lotnictwie sanitarnym. Jej mążnek był do tego przekonany.

– Nie wierzę.

– Nie wierzy pan, że Ukrainka chciała robić karierę w polskim lotnictwie sanitarnym?

– Akurat w to wierzę. Czasem mam okazję wsiąść do motolotni redaktora Junga. Gdybym był młodszy, zapisałbym się na kurs pilotażu. A nie wierzę

w to, że Bednarz ma cokolwiek wspólnego z wypadkiem szybowca swojej żony na lotnisku. Ten niedojda...

– Ja z zawodowej ostrożności, komisarzu, póki nie zobaczę niepodważalnych dowodów winy, także nigdy nie wierzę. Jestem zawodowym niedowiarkiem. Same opowieści, chociażby najbardziej prawdopodobne, mnie nie przekonują, ale i ich nie lekceważę. Jak pan dobrze wie, w każdej bajce jest trochę prawdy.

– Czyta pan bajki?

Ostrouchy machnął ręką lekceważąco, po czym dodał:

– Starsza córka ma narzeczonego, to pewnie niedługo dowiem się, że zostanę dziadkiem, a wtedy... Dziadek powinien opowiadać bajki, jeszcze lepiej czytać i opowiadać. Już nawet sprawdziłem, gdzie u nas są księgarnie. Niewiele ich pozostało.

Syski miał ochotę powiedzieć, że w przeciwieństwie do większości znanych mu policjantów kryminalnych interesuje się historią alternatywną, która przedstawia odpowiedzi na pytanie „co by było, gdyby?”. Fantastyką zaraził go Daniel Jung. Powieści Naomi Novik, Amerykanki polskiego pochodzenia, z cyklu „Temeraire” niemal zna na pamięć. Nie powiedział tego, przypomniawszy sobie, że Ostrouchy interesuje się fotografowaniem podwodnym, a nie literaturą fantastyczną.

– Co kilka miesięcy dochodzi do wypadku na Przylepie, a mimo to w kręgach lotniczych katastrofa szybowca pilotowanego przez Olenę Bednarz jest, można tak powiedzieć, ciągle żywa. Jednym zdaniem, komisarzu, do sprawy trzeba wrócić i na tę okoliczność ponownie przesłuchać Bednarza. Niech pan zrobi to osobiście. Nie mam odwagi podpowiedzieć, ale proszę, aby pan porównał nowe zeznania z poprzednimi. Nos mi podpowiada, że warto.

– Szkoda czasu. Bednarz, jak powiedział mi Araszkiwicz i potwierdził to Grodzki, od śmierci żony aż do wesela pościł. I pewnie gdyby nie skusiła go ta Mirabella...

– Nie rozumiem. – Prokurator wybałuszył oczy.

– To znaczy, że do tego stopnia tkwił w żałobie, że żadna kobieta nie była w stanie zaciągnąć go do łóżka.

– I to właśnie powinno być podejrzane. Czy jest normalne, żeby zdrowy, młody facet dobrowolnie skazał się na wstrzemięźliwość? Mam kuzyna, również filozofa, który po śmierci żony poszedł do zakonu, ale on zawsze był

więcej niż święty. I przy tym... – Ostrouchy urwał, podniósł zaciśniętą pięść do czoła i kilka razy nią zakręcił. – Świrnięty do sześcianu. Więcej niż wybryk natury.

– Nie potwierdzę, że Bednarz jest jak większość filozofów. – Syski uśmiechnął się szeroko. – Jak większość znanych mi filozofów.

– A gdyby przeprowadzić pośmiertną analizę psychologiczną Mirabelli Pohlhoffer? Profesor Libera robiła takie rzeczy. Niewiele, ale zawsze coś z tego wynikało. Przynajmniej w sądzie mieliśmy argument trudny do podważenia.

– To zależy jedynie od pana, prokuratorze. Jeżeli stać prokuraturę na taki wydatek, nie mam nic przeciw temu. Jakby powiedział kolega Kleemann: moja chata z kraja. – Odezwała się komórka Syskiego. Komisarz zerknął na wyświetlacz i natychmiast wyłączył telefon. Nie przyznał się prokuratorowi, że żona chciała z nim rozmawiać. – Półtora promila alkoholu we krwi denatki.

– Mamy dwa wyjścia. Pierwsze, że to był samobój pod wpływem alkoholu i dać sobie spokój z wyjaśnianiem. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że tak właśnie było. Drugie...

– Uznać Bednarza za podejrzanego, przymknąć go na trzy miesiące i w międzyczasie znaleźć coś na niego. Biorąc na tapetę wypadek jego żony, jeżeli wtedy to był wypadek, na lotnisku.

– Znalazłoby się i trzecie.

– Jakie?

– Pozwolić Bednarzowi, żeby ze sobą skończył?

– I wtedy sprawę zamknąć?

Ostrouchy nie odpowiedział. Uśmiechnął się pod nosem, po czym wstał z fotela, wyciągnął rękę do policjanta i nią potrząsnął, jakby to miało oznaczać zgodę na takie zakończenie sprawy.

KROSNO ODRZAŃSKIE, UL. HENRYKA SIENKIEWICZA, WTOREK, WCZESNE POPOŁUDNIE

Zastępca komendanta nie był zadowolony z tego, co usłyszał od podkomisarza Tarniowego, tym bardziej że to czwarty wypadek śmiertelny w Dąbiu w tym roku i drugi w październiku. Dwa tygodnie temu pędząca z dużą prędkością

fabia wpadła w poślizg na zakręcie. Gdyby nie przydrożny klon, wpakowałyby się na podwórze, gdzie na ławce przed domem starowinka wygrzewał swoje kości w resztkach popołudniowego słońca. Pierwsi przyjechali ratownicy ze straży pożarnej. Długo się zastanawiali, od którego miejsca zacząć przecinanie karoserii, żeby nieboszczyka wyjąć zza kierownicy i go nie pohataratać. Technicy policyjni zrobili to, co do nich należało i odjechali do Krosna. Grabarze z zakładu pogrzebowego Cyprys włożyli ciało do czarnego worka i zawieźli je do kostnicy. Prokurator nawet nie zlecił sekcji zwłok ofiary. W sobotę sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Zastępca komendanta nie miał wątpliwości, że teraz Wojtczak będzie się domagał odnalezienia sprawcy wypadku i każe prowadzić śledztwo. Nic nie pomoże tłumaczenie, że zdjęcie wykonane przez fotoradar ustawiony przy końcu wsi jest słabo czytelne. Dwie pierwsze litery na tablicy rejestracyjnej samochodu „SG” podkomisarz Tarniowy odczytał bez wysiłku. Trzecią, której zaokrąglony fragment wystaje spod zbrązowiałego liścia klonu, może być „B”, „P”, „R”, „S”, „C”, „D” albo „O”. I jeszcze dwie cyfry z brzuszkami: „23”, „32”, „28”. A może pod liściem przyklejonym do tablicy kryje się „88”? Albo „66” czy „68”? Nie można wykluczyć „86” i „00”, „08”, „06”, „80” oraz „66”. Gdyby chociaż żółta nalepka nie była zachlapana, Tarniowy by nie kluczył. Naczelnik krośnieńskiej drogówki, który ma w małym palcu znaki spotykane na tablicach Berlina, Brandenburgii i Saksonii orzekł, że samochód nie został zarejestrowany we wschodnich Niemczech. Za kierownicą nie mógł siedzieć Niemiec zameldowany w Essen, Kolonii, Norymberdze czy jeszcze większym skupisku ludzi. Na tablicach samochodów zarejestrowanych w największych miastach występuje jedna litera, wyjątkowo dwie. Na przykład: na aucie mieszkańca Berlina jest „B”, mieszkającego w Düsseldorfie – „D”, w Stuttgarcie – „S”, w Monachium – „M”, we Frankfurcie nad Menem – „F”, we Frankfurcie nad Odrą – „FF”, w Bonn – „BN”, w Manheimie – „MA”, w Dortmundzie – „DO”. Ten, który potrafił śmiertelnie mężczyznę w Dąbiu, jest zameldowany w nie za dużym mieście lub na niemieckiej wsi.

– A może chodzi o Niemca mieszkającego na stałe i pracującego w Polsce?
– zapytał komisarz. – Mało ich przeniosło swoje firmy na nasz brzeg Odry? Choćby do Krosna. O, Niemiec to chytra sztuka. Niemiec potrafi liczyć. Jak Żyd.

Podkomisarz Tarniowy i to brał pod uwagę, tyle że w Polsce pracuje nie jeden Niemiec jeżdżący passatem. Co z tego, że przepisy nakazują, aby osoba, która przyjechała zza granicy do pracy na dłużej, zameldowała się i zarejestrowała swój samochód w Rzeczypospolitej. Przepisy sobie, a życie sobie. Ileż razy nawet z ust komendanta padało, że prawo jest po to, aby je omijać, a policja po to, aby wyłapywać winowajców. Z takim podejściem do przepisów Tarniowy się nie zgadzał, ale ponieważ należy do tych policjantów, którzy zdają sobie sprawę, ile znaczy milczenie w obecności zwierzchnika, nie ujawniał swoich myśli. Gdyby jednak zastępca spytał go o zdanie, powtórzyłby to, co kiedyś usłyszał od prokuratora Wojtczaka: *Qui tacet, non utique fatetur, sed tamen verum est eum non negare*³¹. Zastępca nie zna łaciny, jak i nie zna angielskiego i niemieckiego, ale do tego się nie przyznaje. Zawsze kiwa głową i się uśmiecha.

– Sprawę by rozwiązała obwodnica Dąbia – przypomniał podkomisarz to, co zastępca komendanta powtarzał wiele razy podczas narad w starostwie powiatowym.

Komisarz machnął ręką, jakby miał tego dość. Najpierw trzeba zbudować drugi most w Krośnie i dopiero wtedy skierować ruch samochodowy na obwodnicę, która od dawna jest w planie. Tyle aut z towarami przejeżdża przez stary most w dzień, że niedługo pod ich ciężarem kabłąki przęseł się wyprostują i wszystko zwali się do Odry. Jeżeli nic się nie zmieni, podkomisarz Tarniowy, który mieszka na osiedlu Królów, dostanie się do komendy, ale nie do kościoła świętej Jadwigi Śląskiej, chyba że łódką lub po moście pontonowym, jaki zbudują miejscowi saperzy w trakcie nocnych ćwiczeń.

– Ile passatów jeździ po naszych drogach? Tysiąc? Pięćdziesiąt tysięcy? Sto tysięcy? Może nawet więcej niż pół miliona? – zapytał zastępca, rzucając kordialne spojrzenie podkomisarzowi.

Tarniowy tego nie wiedział, wzruszył więc ramionami. Był przekonany, że passat to najczęściej spotykany model volkswagena w powiecie krośnieńskim.

– Nasz komendant ma passata. Starosta ma. Prezes sądu, wiceburmistrz, dyrektor liceum – kontynuował zastępca. – Ja też mam. Nie najnowszy, *szrotwagen*, ale za żadne skarby nie zamieniłbym go na peugeota, a tym bardziej na fiata. Co innego toyotka. Japońce mało palą i mają silniki nie do zdarcia.

– Japońce jeżdżące po drogach Europy są produkowane w Anglii, Turcji, Francji – Tarniowy popisał się znajomością motoryzacji. – Na przykład suzuki mojej szwagierki pochodzi z fabryki w Ostrzyhomie na Węgrzech. – Zastępca komendanta zrobił pytające oczy, więc podkomisarz wyjaśnił: – Po polsku Ostrzyhom, a po węgiersku Esztergom. Jednego roku pojechaliliśmy z żoną na Słowację. Po węgierskiej stronie Dunaju leży Esztergom, który Słowacy nazywają Ostrihomem. Po słowackiej stronie jest Šturovo, które Węgrzy nazywają Parkanami. U nas podobnie. Po naszej stronie jest Gubin, po niemieckiej Guben. My mamy Zgorzelec, Niemcy Görlitz.

– Minęło prawie pół tygodnia, a jeszcze żeśmy nie namierzyli sprawcy wypadku w Dąbiu.

– Trudna sprawa, ale... – zaczął podkomisarz i urwał. Znał zastępcę niemal jak swoją teściową, dlatego starał się powiedzieć nie za dużo i takim tonem, żeby w każdej chwili mógł się wycofać. – Do tej pory zrobiłem tyle, szefie, ile się dało. Nawet zaraz w sobotę zadzwoniłem do inspekcji transportu. Oni mają radar przy wjeździe do Dąbia. Na razie, jak mówi mój starszy do młodszego, dupa jasiu.

– W sprawach kryminalnych, podkomisarzu, nie ma lepszego od ciebie w całym powiecie – powtórzył zastępca to, co często mówił i dał znak oczyma Tarniowemu, że to koniec rozmowy na temat wypadku w Dąbiu. – Jakiś papier będziesz musiał nabazgrać. Na nasze szczęście jeszcze jest prokurator. Niech Wojtczak się martwi. Za to mu płacą. I to dużo więcej niż tobie.

KROSNO ODRZAŃSKIE, UL. PIASTÓW, WTOREK, POPOŁUDNIE

Andrzej Wojtczak zawsze uważał się za lepiej zorientowanego, chociaż każdą sprawę traktował tak, jakby do niego należało wyłącznie podpisanie aktu oskarżenia. Kiedy więc podkomisarz Tarniowy streścił mu to, co dotąd ustalił i zaraz dodał, że jego możliwości się wyczerpały, prokurator położył prawą dłoń na biurku i zaczął pukać palcem wskazującym w blat, nie pierwszy raz przypominając w ten sposób, że zadaniem policji jest wytypowanie podejrzanego i zebranie dowodów jego winy.

– Nie powiedziałem, że odszukanie kierowcy passata jest absolutnie niemożliwe. Kto raz spowodował wypadek, spowoduje drugi raz. I trzeci.

Jak nie w tym roku, to za dwa lata. Za trzy. Na pewno ktoś taki wpadnie. I wtedy poniesie karę za wszystkie swoje winy.

– Do rzeczy, podkomisarzu – ponaglił go Wojtczak, biorąc z kupki teczkę i zerkając na zegarek, co miało oznaczać, że ma na głowie jeszcze inne pilne sprawy do załatwienia. W rzeczywistości poza wypadkiem w Dąbiu w weekend nie wydarzyło się nic takiego w powiecie krośnieńskim, do czego jest potrzebny prokurator. Co innego od połowy czerwca do końca sierpnia, kiedy wzdłuż przygranicznych dróg stały wydekoltowane Ukrainki, Bułgarki, Rumunki, Mołdawianki, Serbki w kusych spódnicach i mizdrzyły się do Niemców za kierownicami. Późnym latem i wczesną jesienią grzybiarze z całego kraju zjeżdżali do lasów koło Gubina, Bobrowic, Bytnicy, Gryżyny. Wtedy krośnieński prokurator nawet nie myślał o wolnym weekendzie czy urlopie. Ale Wojtczak to lubi, tym bardziej że jeszcze w czasach studenckich nauczył się jeździć na nartach i od tamtego czasu każdego roku zimą dwa tygodnie spędza w austriackim Hochoetz.

– Ostatecznie można zawiesić śledztwo – podpowiedział Tarniowy. – Byłoby to szóste takie postępowanie w tym roku. Za to komendant nie poklepie mnie po ramieniu, ale i nie przerzuci do prewencji. Najwyżej obetnie nagrodę na koniec roku. Niewielka strata, zwłaszcza że tej nagrody ledwie wystarczy na kwiaty dla żony.

– Mój szef również nie poklepie mnie po ramieniu i na pewno nie pozbawi funkcji. W kwestii nagród na koniec roku... Mam nadzieję, że coś wymyślimy, żebyśmy nie byli za mocno stratni.

– W drodze z komendy do prokuratury, wymyśliłem takie rozwiązanie.

Wojtczak odsunął fotel od biurka. Założywszy nogę na nogę mocniej oparł się o poręcz.

– Jedyne pan potrafi znaleźć dziurę tam, gdzie jej nie ma – roześmiał się, ni to ganiąc, ni to chwając Tarniowego na zapas.

– Ofiara sobotniego wypadku w Dąbiu miała paskudną opinię. Zaraz po zdarzeniu próbowałem porozmawiać z ludźmi stojącymi przed sklepem. Szło jak po grudzie, ale i z okrucichów dało się troszkę złożyć.

– Widzieli samochód sprawcy? – zapytał prokurator, nie czekając, aż Tarniowy powie, czego się dowiedział.

– Jedno, co się prawie zgadzało w ich odpowiedziach, to kolor auta. Biały. Zdaniem jednych, to był nowusieńki passat. Drudzy twierdzili, że insygnia

albo coś podobnego. Taki pewny siebie zapamiętał volkswagena arteona w kolorze *milchweiss*³².

– Aż taki spostrzegawczy?

– Do września pracował w Niemczech. W autoryzowanym salonie Volkswagena. Zwolnili go. Na jego miejsce wzięli Ukraińca, bo pewnie tańszy.

– Sami faceci? – zapytał Wojtczak coraz bardziej zainteresowany tym, czego się dowiedział Tarniowy.

Podkomisarz potaknął.

– Na pierwszy rzut oka teraz wszystkie auta z tego samego segmentu, mimo że powstały w różnych fabrykach, niewiele się różnią. Trzeba być specem, żeby je rozpoznać po wyglądzie – dodał.

– Szkoda że nie było tam kobiet... Mężczyźni nie odróżniają kolorów. Lazurowy, ultramaryna, modry to dla faceta niebieski. Jasny albo ciemny. Ale zawsze niebieski. Czy pan wie, jak wygląda róż indyjski lub magenta? – Gdy Tarniowy zaprzeczył, prokurator przyznał się, że na kolorach zna się tak, jak kot na kwaśnym mleku. – A moja siostra w broszce pani premier dopatrzyła się czerni hiszpańskiej, szwedzkiej, onyksowej, hematytowej i dziesiątki odcieni. Przepraszam za to wtrącenie. – Wojtczak nieznacznie się uśmiechnął, po czym dał znak policjantowi, aby kontynuował.

– Ofiara wypadku, jak już powiedziałem, miała paskudną opinię. Zresztą o tych, którzy ją wydali, także nie potrafię powiedzieć za wiele dobrego. Jeden na bezrobociu, drugi dostaje zasiłek z opieki społecznej, trzeci żyje za to, co przywiezie z wystawek w Niemczech i sprzeda na giełdzie w Zielonejgórze, czwarty ma może czterdziestkę, ale twierdzi, że dość się napracował. Jedynie ten, który widział arteona *milchweiss* wyglądał na w miarę normalnego.

– Chociaż byli trzeźwi?

– Nie zataczali się i nie bełkotali.

– Miał pan wyjątkowe szczęście.

– Ich zdaniem z jednej strony szkoda chłopca, z drugiej jednego skurwysyna będzie mniej w Dąbiu. Ten, który widział arteona *milchweiss* dodał, że i policja będzie miała mniej roboty.

– Z powodu ofiary wypadku? – zaciekawił się Wojtczak, zerkając na zegarek.

Tarniowy przytaknął, po czym powiedział:

– Sześcioro dzieciaków. Najmłodsze ma miesiąc, najstarsze cztery lata. Facet nigdy nie ubrudził sobie rąk pracą. Wychleje wszystko, w czym jest choćby kropelka alkoholu. Nawet płyn do spryskiwaczy. Gdyby nie opieka społeczna i sąsiadki, jego dzieciaki byłyby głodne, bose, gołe.

Wojtczak znowu spojrzął na zegarek. Dokąd mu się spieszy? Tarniowy pomyślał, że nigdy w obecności swojego gościa w komendzie tak by się nie zachował.

– Umorzenie śledztwa – zaproponował policjant. Nie czekając na pytania prokuratora, zaczął uzasadniać swój wniosek: – Winny był mężczyzna, który znajdował się pod wpływem alkoholu. Dwa i pół promila. W tym stanie upojenia wtargnął pod koła passata.

– Passata?

– Lub arteona *milchweiss*.

– Trzeba zdecydować. Przyjmijmy, że chodzi o białego volkswagena passata. Jeżeli uda się potwierdzić, będziemy górą.

– Czy kierowca hamował? Pewnie tak, ale brak śladów na jezdni i potwierdzenia świadków. Na jego niekorzyść działa to przede wszystkim, że się nie zatrzymał i nie starał się udzielić pomocy ofierze.

– Spanikował.

– Gdyby przyjąć, że to był nieszczęśliwy wypadek, ucieczkę z miejsca zdarzenia trzeba by potraktować z całą surowością. Sądowe odebranie prawa jazdy...

– Sugeruje pan, że to był nieszczęśliwy wypadek... – powiedział zamyślony prokurator. – Należy się nad tym zastanowić.

– Nie powinienem mówić, że najbardziej ucieszy się opieka społeczna i sąsiadki. A ta, która urodziła sześcioro dzieciaków ofiary wypadku, da na mszę za kierowcę. To i proboszcz będzie zadowolony.

– Akurat za kierowcę? Znała go? – Wojtczak zrobił pytające oczy.

– Tak mi się powiedziało. Kobięcina nie da, bo skąd weźmie pieniądze? Gdyby je miała, dałaby dlatego za kierowcę, że uwolnił ją od nieroba, ochlapusa.

CZEŚĆ II

ZIELONA GÓRA, OS. SŁONECZNE, WTOREK, WCZESNY WIECZÓR

– Znowu dzwonili w Kopenhagi. Chcą wreszcie się dowiedzieć, jakie mają wynająć mieszkanie: coś większego dla nas dwojga czy tylko dla mnie pokój z kuchnią.

W piątek Miśka zadała Danielowi identyczne pytanie.

Wszyscy, których Jung się radził, czy na trzy lata powinien wyjechać z żoną do Danii, odpowiadali twierdząco. Janusz Grodzki nawet powiedział, że mu zazdrości, bo nie będzie musiał zrywać się rano do redakcji i piątek-świątek trzymać rękę na pulsie wydarzeń kryminalnych w regionie. Miśka zarobi na utrzymanie ich obojga i z pewnością jeszcze sporo odłoży. Mimo tego że będzie mieszkał za granicą, będzie otrzymywał emeryturę mundurową. Chociaż po tym, jak ministerstwo zaczęło oceniać byłych policjantów i szukać haków w ich życiorysach dlatego, żeby obniżyć im emeryturę, Grodzki nie dałby sobie ręki obciąć. Na wynajmie zielonogórskiego mieszkania Jung także zarobi. A gdyby miał zamiar sprzedać ibizkę, znajdą się tacy, którzy kupią ją z pocałowaniem ręki. Ilona Mrozińska powiedziała to samo, jakby podsłuchiwała ich rozmowę i dodała, że za trzy lata, po powrocie z Kopenhagi do Zielonejgóry, pewnie Miśkę znowu gdzieś poniesie. Czyje nazwisko dostało się do rejestru specjalistów Światowej Organizacji Zdrowia, nie tak szybko zostanie z niego wykreślone. Szwagier Ilony zaraz po studiach przypadkowo zaczął roczny staż w genewskim biurze WHO. Później był koordynatorem programu na rzecz zdrowia pracowników najemnych w Brazzaville, tam napisał rozprawę doktorską i obronił ją na uniwersytecie w Kinszasie. Teraz kieruje departamentem medycyny pracy w stolicy Kamerunu. Za pół roku skończy się kontrakt, a szwagier wróci do Genewy na stanowisko szefa projektu dotyczącego walki z udarem mózgu. Starsza siostra Ilony trochę mieszka w Genewie, trochę w Tel Awiwie, ale na każde

święta wraca do Zielonej Góry. Nie wyobraża sobie Wigilii Bożego Narodzenia bez potraw przygotowywanych w Polsce. Gdyby Jacek Syski był na miejscu Daniela, miał do wyboru Danię i Niemcy, wybrałby Niemcy, tym bardziej że jeden jego syn mieszka w Berlinie. I fundnąłby sobie psa albo kota. Nawet Szpalta, chociaż redakcja najwięcej traciła, namawiała Daniela do wyjazdu. Brak reportera śledczego z takim doświadczeniem i umiejętnościami, jakie ma Jung, odbije się nie tyle na walorach publikowanych artykułów, co odetnie dostęp redakcji do źródeł, a to nieuchronnie wpłynie na coraz mniejszą poczytność gazety. Czytelnicy będą częściej sięgali po konkurencyjny dziennik, co jego redaktor naczelny od dawna obiecuje właścicielowi wydawnictwa. Zdaniem Szpalty Kamil coraz pewniej porusza się po ścieżkach kryminalnych wytyczonych przez Daniela, ale jest za młody i ma zbyt krótki staż dziennikarski, żeby prokuratorzy traktowali go tak, jak traktują Junga. Kamil nie był policjantem, nie studiował prawa, ma dyplom magistra filologii polskiej w zakresie kreacji gier i literatury popularnej. Rzecznikom prasowym służb mundurowych zależy na tym, żeby najważniejsze informacje ukazywały się w „Zielonogórskiej”, którą kupuje więcej czytelników niż „Lubuską”, dlatego odpowiadają na pytania Kamila, niektórzy nie mają nic przeciw temu, żeby dzwonił na ich prywatne komórki nawet wieczorem i w święta. Szpalta umyśliła, że dopiero za kilka lat, kiedy Jung będzie miał dość pisania i przejdzie na emeryturę, Kamil zajmie jego miejsce w redakcji. Chyba jednak będzie musiała szybciej awansować go na kierownika działu kryminalnego. Jest jeszcze Feim Vlashi, Albańczyk po studiach prawniczych na uniwersytecie w Tiranie, który mimo że mówi po polsku niemal bez akcentu, nie chce przejść na katolicyzm. I nie najlepiej rozumie mentalność obyczajową Niemców, co na pograniczu nie jest bez znaczenia. A Maciek Libera, kiedy został zastępcą Szpalty, powiedział, że gdyby był rudy jak Daniel, bez zastanowienia wyjechałby do Danii. Tam, identycznie jak w Szwecji czy Islandii, nikt nie wytyka palcem rudych, bo co drugi mężczyzna jest piegowaty i ma rdzawe włosy.

Pomimo tych argumentów Daniel Jung jeszcze nie zdecydował, czy pojedzie z żoną do Kopenhagi. Przede wszystkim dlatego, że nie miałby tam takiego zajęcia, które wypełniałoby całe dni. Codziennie rano Miśka będzie wychodziła do biura regionalnego WHO i wracała do mieszkania dopiero przed wieczorem. W Zielonej Górze również wychodziła rano i wracała późno, a kiedy zostawała na nocny dyżur w klinice, to dopiero

następnego dnia, ale Daniel nigdy nie czuł się osamotniony. Miał swoją misję, która była tak samo ważna jak rodzina i dom. Niekiedy, do czego się nie przyznawał, jeszcze jako policjant i już jako dziennikarz na pierwszym miejscu stawiał pracę. Weekendy od wiosny do jesieni spędzał na lotnisku i w powietrzu. A czym będzie się zajmował w Kopenhadze? Wstanie, umyje się, przygotuje sobie śniadanie, włączy telewizor i co dalej? Nie zna duńskiego i nie ma ochoty się uczyć języka, który łączy mniej niż sześć milionów Europejczyków. Tych kilkadziesiąt słów angielskich, które pamięta jeszcze z liceum, to za mało, żeby sięgać po obcojęzyczne czasopisma i rozumieć, o czym piszą. Czy zdrowy człowiek przed pięćdziesiątką może swobodnie chodzić, myśleć, planować i marzyć, nie wiedząc, co się wokół niego dzieje? Czy taki mężczyzna nie będzie chciał zamienić swojego życia na inne, gdzie poczuje się szczęśliwszy? Jung nie miał wątpliwości, że współczesny świat to globalna wioska, o czym przekonał się, telefonując do Miśki z Pekinu, Kairu, Jerozolimy, Barcelony, Starej Zagory. Z punktu widzenia człowieka myślącego zamach terrorystyczny w restauracji nowozelandzkiego Christchurch był tak samo skierowany przeciw wolności ludzi, jak te na moście London Bridge w Londynie czy w moskiewskim teatrze na Dubrowce. Tylko upośledzony umysłowo nie zdaje sobie z tego sprawy. A gdy Miśka wyjedzie z inspekcją do Sankt Petersburga, Lwowa czy Kosowa i nie będzie jej w Kopenhadze przez tydzień albo i dłużej, z kim rozmawiać? Jeśli w tym czasie dojdzie do zamachu w którymś z tych miast, do kogo zadzwonić, żeby się upewnić, że jej nic się nie stało? I w ogóle co robić, mając za dużo wolnego czasu? Trochę tych książek fantastyczno-naukowych, których jeszcze nie przeczytał i teraz okurzone stoją na półkach, ze sobą zabierze. Przeczyta je w pierwszych tygodniach. Ile egzemplarzy da się wywieźć? Szpalta powiedziała, że gdyby była na jego miejscu, to by słuchała muzyki. Chodziła do kina. Oglądała filmy w telewizji i internecie. Rozmawiała ze znajomymi za pośrednictwem Skype'a albo innego bezpłatnego komunikatora. Uprawiała jogging. Spacerowała. Bywała w kawiarni. Zaglądała do galerii. Jeśli do galerii, to i do butików. Daniel nigdy nie robił większych zakupów, najwyżej rano chodził do sklepiku osiedlowego po chleb, mleko i po to, czego brakowało w kuchni. A tam musiałby wszystko kupować, bo przecież Miśka jako wicedyrektorka departamentu Europy Wschodniej nie będzie miała czasu na załatwianie takich spraw. Przez pierwsze miesiące pewnie poznawałby miasto.

Co później? Od czasu do czasu mógłby napisać do sobotnio-niedzielnej „Gazety Zielonogórskiej” o tym, co ciekawe się dzieje w Kopenhadze. Na przykład o kopenhaskich klubach żużlowych albo o stadionie Parken. Może nawet wybrałby się do Vojens czy do Holsted, gdzie są najlepsze drużyny zasilone przez polskich żużlowców. Gdy to zaproponował, Szpalta odpowiedziała, że nie zna ani jednej osoby w Zielonej Górze, którą interesuje Dania. Prędzej Szwecja, a najprędzej Norwegia. Zresztą Daniel jest reporterem śledczym, byłym policjantem, nie potrafi zajmując się pisaniem o polityce, kulturze, sprawach społecznych. Może faktycznie część czytelników zaciekawiliby to, co będzie o żużlu, tym bardziej że w Danii identycznie jak w Polsce ta dyscyplina sportu wabi sporo kibiców na stadiony. Raz w życiu Daniel był na meczu żużlowym i to na polecenie zastępczyni naczelnej. Gdyby nie pomoc rzecznika prasowego klubu, nie napisałby relacji z zawodów.

Za granicę powinno się jeździć najwyżej na wycieczkę i w odwiedziny do bliskich. Można tam pomieszkać tydzień, dziesięć dni, ale nie trzy lata. Trzy lata to kawał życia, szczególnie kiedy mężczyzna ma aż tyle planów, ile ma Daniel. Najlepiej byłoby, gdyby każdy mieszkał blisko miejsca swego urodzenia. Wtedy człowiek czułby się niezbędny. I grób każdego powinien być blisko tego miejsca. Feim Vashi, gdy o tym z nim rozmawiał, stwierdził, że jednak najważniejsza jest rodzina.

– Daniel, najpóźniej jutro z rana muszę odpowiedzieć Kopenhadze – naciskała Miśka. – Obiecałam, a ja, jak się przekonalesz, w przeciwieństwie do ciebie słowa dotrzymuję. Jaką dam im odpowiedź, teraz zależy wyłącznie od ciebie. Nie ode mnie, Daniel, lecz od cie-bie – podkreśliła, sylabizując.

– Na pewno dam odpowiedź – zapewnił ją, ale nie powiedział jaką. Był przekonany, że żona nie zrezygnuje z wyjazdu do Danii. Jeżeli on nie zgodzi się z nią wyjechać, Miśka będzie żyła po swojemu w Kopenhadze, on po swojemu w Zielonej Górze. Po blisko trzydziestu latach ich związek się rozleci. Szkoda wspólnych chwil, tym bardziej że byli raczej zgodnym małżeństwem. Prawda, toczyli spory, przechodzili obok siebie bez słów, obrzucali się chłodnymi spojrzeniami, ale nigdy nie podnosili na siebie rąk. Na pewno się szanują i kochają. I teraz ma się to zakończyć? Teraz, kiedy najtrudniejsze lata są za nimi? Wychowali i wykształcili dzieci, mają wnuki. A może jednak to nie koniec? Może w miesiącach nieparzystych Miśka będzie wracała do Zielonej Góry na dzień, dwa. W parzystych Daniel będzie jeździł

do Kopenhagi na weekend. Oczekiwanie na spotkanie z bliską osobą wiąże ludzi. – Znalazłem lepsze wyjście – zapewnił żonę.

– Jakie?

Prawdę mówiąc, to jeszcze w zeszłym roku Daniel chciał wyjechać z Polski. Nie na trzy lata i nie na dłużej. Na kilka tygodni. Chciał wyjechać przede wszystkim dlatego, że drażniły go opinie wypowiedziane przez polityków partii rządzącej i jej pociągnięcia niezgodne z prawem. Przestał więc oglądać telewizję publiczną. Poprzedniej ekipie także nie kibicował, ale wypowiedzi tamtych go nie denerwowały, a decyzje tych uważał za nie do przyjęcia. W zasadzie było mu obojętne, kto rządzi. Miał pracę i chciał ją dobrze wykonywać. Pięć lat temu wygrała wybory partia zlepiona rok wcześniej, o której programie niewiele słyszał. Zdawał sobie sprawę z tego, że w demokratycznym kraju europejskim ktoś musi być prezydentem, ktoś premierem i ktoś stać w opozycji. Raz są to lewicowcy z nazwy, a właściwie centryści, drugi raz prawicowcy o poglądach zbliżonych do centrystów. Trzydzieści lat temu zdarzyło się, że to samo ugrupowanie miało władzę dłużej niż wynosi jedna kadencja. Szczerze mówiąc, to Daniela Junga bardziej interesowało motolotniarstwo niż polityka. Podobny stosunek do niej miał Syski. Jednak komisarz uważał, że każdy Polak z krwi i kości, a tym bardziej wykształcony policjant, powinien być w kursie dzieła.

– Zastanawiałaś się, co zrobimy z Julkiem? – zapytał, gdy kot wszedł do pokoju i jak to miał w zwyczaju wskoczył na jego kolana. Gdy Daniel zaczął muskać go palcami po szyi, odezwało się dziękczynne mruczenie.

Miśka wzruszyła ramionami. Kiedy miała jechać do pracy na Węgrzech, Daniel zadał jej to samo pytanie. Odpowiedziała, że w zasadzie nie lubi kotów, ale ponieważ on je lubi, toleruje ich obecność w mieszkaniu.

– Możesz oddać Julka do schroniska.

– A nie możemy zabrać go do Kopenhagi?

– Kot jest twój.

– Julek jest mój tylko dlatego, że więcej przebywam w domu, karmię go, wybieram jego gówienka i siki z kuwety. Gdybyś go nie przyniosła do domu...

– To miałam zostawić kota w zakładzie, żeby szwendał się między nieboszczykami? Może ktoś specjalnie go podrzucił. Daniel, nie ma sprawy. Zabieramy Julka do Kopenhagi – Miśka zdecydowała w jednej chwili. – Będziesz miał fąfla przy sobie. Jedno zajęcie więcej.

ZIELONA GÓRA, AL. NIEPODLEGŁOŚCI, ŚRODA, POŁUDNIE

Jeszcze wczoraj wieczorem Daniel był pewny, że powie Miśce to, co ona tak bardzo pragnie usłyszeć. Czyli: zwolni się z redakcji albo napisze podanie o bezpłatny urlop i razem pojedą do Kopenhagi. Pomieszka tam pół roku, a jeśli nie będzie mu się bardzo nudziło, to i dłużej. Trzech lat nie wytrzyma, chociaż kto to wie? Może mu się spodoba nicnierobienie i bytowanie na garnuszku żony albo znajdzie sobie takie zajęcie, którym wypełni większość czasu w rozkładzie dnia. Co to będzie, nad tym się nie zastanawiał. Zdarzało się przecież, że nie chciał jechać z Miśką po raz nie wiadomo który na wczasy do Złotych Piasków w Bułgarii, gdzie stoi uniwersytecki dom wypoczynkowy, a potem dziękował jej za wybór tego miejsca. Nawet jeśli coś się powtarza, to nigdy nie jest dokładną kopią tego, co się odbyło. A i zdarza się, że kopia jest lepsza od oryginału.

Kupił przewodnik po Danii kontynentalnej, Bornholmie, Wyspach Owczych i Grenlandii. Postanowił, że poznawanie Kopenhagi rozpocznie od Tivoli, co zajmie mu pół tygodnia. Potem na dzień wybierze się do katedry Roskilde. Nie, najpierw zobaczy Kronborg, gdzie Szekspir umieścił akcję *Hamleta*. Na razie tylko tyle zaplanował. Wczoraj najpierw przed kolacją, później przed snem zabierał się do tego, żeby powiedzieć żonie: Postanowione. Razem jedziemy do Danii. Nie powiedział. I dobrze, że jakaś siła nie pozwoliła mu otworzyć ust. Gdyby powiedział wczoraj, dziś musiałby wymyślić coś takiego, co by usprawiedliwiało zmianę decyzji. Przecież nie rzuci: Wybacz, Misieńko. Niestety, nie mogę jechać. Odmieniło mi się. W nocy długo rozmyślał na ten temat. Po lewej stronie ustawił rządęk głosów za, po prawej przeciw. Nieco dłuższy był rządęk po lewej. Gdyby to opowiedział Miśce, dopiero wtedy pokazałaby, kim jest i ile potrafi. Jako kierowniczką uniwersyteckiego zakładu patologii ogólnej robiła takie rzeczy, jakich nigdy nie spodziewali się jej podwładni. Jako żona Daniela od blisko trzydziestu lat zaskakiwała go tak dalece, że dla świętego spokoju nie tylko zgadzał się z większością jej decyzji, lecz i je wychwalał. Brak jego zgody oznaczał milczenie Miśki przez kilka dni, a tego nie znosił bardziej niż gdyby żona wyniosła się z małżeńskiego łóżka.

– Daniel, ty będziesz głową rodziny, a ja szyją. Nawet jeśli mnie zdradzisz, rozwód nie wchodzi w rachubę. Prędzej cię zabiję niż pójdę do sądu –

zapowiedziała jeszcze zanim ksiądz związał ich ręce stulą i powtórzył za ewangelistą „Tego więc, co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela!”.

Dziś niemal w samo południe zadzwonił do Junga były dyrektor oddziału MetLive Bavaria. Tak się przedstawił. Daniel dawno z nim rozmawiał, toteż kiedy się przedstawił imieniem i nazwiskiem, uznał to za dowcip. Zawsze było tak, że najpierw słyszał głos sekretarki czy asystentki, która anonsowała swojego szefa. W dodatku ten, który zadzwonił, zaprezentował się jako były dyrektor. Albo chce się wyżalić, że został niesłusznie zwolniony z funkcji, albo wie o czymś, o czym jeszcze nie wiedzą dziennikarze innych redakcji. Mnie wybrał, bo zdaje sobie sprawę, że „Zielonogórska” ma najwięcej czytelników. Nawet prokurator okręgowy nie lekceważy tekstu podpisanego moim imieniem i nazwiskiem czy choćby inicjałami. Były dyrektor oddziału MetLive Bavaria musi mieć coś naprawdę ważnego do przekazania, uznał Jung i tylko dlatego nie odłożył słuchawki.

– Jestem gotów założyć się o co pan chce, że to pana zainteresuje – usłyszał. – Za pięć minut spotkajmy się w połowie drogi między redakcją a byłą moją firmą. W restauracji Między Nami. Mój wywiad doniósł, że z reguły właśnie tam pan widuje się ze swoimi rozmówcami.

I to wie? Jung chciał powiedzieć, że z reguły sam wybiera sobie rozmówców. Także wyznacza miejsce spotkania. Najczęściej jest to Essenza zamieniona na Między Nami, ale i bywa letnia kawiarenka przed Jazzgotem lub ławeczka na deptaku, lecz tym razem przytaknął. Nie ma powodu upierać się przy swoim.

– Zaprosi mnie pan do swego stałego stolika czy siadamy byle gdzie? – zapytał były dyrektor, gdy przekroczyli próg restauracji. – Kiedyś przyprowadzę tu swoje wnuki i pochwalę się, gdzie rozmawiałem ze sławnym redaktorem Jungiem.

– Sława to rzecz ulotna. – Dopiero teraz Daniel zdał sobie sprawę z tego, że zawsze siadał przy stoliku wciśniętym w narożnik zaraz za drzwiami. Nie było to przypadkowe. Z tego miejsca mógł obserwować wszystkich, którzy wchodzili do restauracji. To jest nawyk przeniesiony podświadomie z policji.

– Nie mam zamiaru spytać, czy nazwisko informatora zachowa pan w tajemnicy. – Były dyrektor wskazał na siebie, a kiedy podszedł kelner, poprosił go o pilsnera urquella i koreczki serowe na przekąskę. Daniel także lubił czeskie piwo. – Specjalnie nie zależy mi na tym, żeby pan ukrył źródło

informacji, mimo to wolałbym wystąpić anonimowo. Tak na wypadek, gdybym wygrał sprawę w sądzie pracy.

– Zawsze starałem się nie szkodzić swoim rozmówcom. Niestety, nie zawsze to się udawało.

– Mnie pan już nie zaszkodzi. Sam sobie zaszkodziłem. W pewien sposób wiąże się to jednak z panem, redaktorze. Może bardziej z gazetą, która drukuje pana teksty... Nie, jednak z panem – poprawił się po chwili.

– Proszę jaśniej.

– Czy pan jest autorem kroniki kryminalnej we wtorkowej gazecie? (daj), tak pan, redaktorze, podpisuje się pod swoimi informacjami, prawda?

– *Z kroniki policyjnej* ukazuje się codziennie. Na ogół są to moje słowa w całości. Na ogół. Bywa, że piszę je do spółki z kolegą. Bywa, że podaje je młodszy kolega. A w jaki sposób zaszkodziłem panu, były dyrektorze oddziału MetLive Bavaria? – zapytał Jung z ledwie wyczuwalną ironią w głosie.

– Sam sobie zaszkodziłem. Chciałby pan wiedzieć w jaki sposób? Słusznie. W każdym wieku warto się uczyć. I nawet od byłego dyrektora.

– Postanowił pan podzielić się swoim doświadczeniem i dlatego wezwał mnie do Między Nami? Czym sobie na to zasłużyłem? Aha, przejęła pana konkurencja i zaczęła od sprawdzenia przydatności? Chce pan wcisnąć mi jakieś ubezpieczenie? W mojej sytuacji zawodowej najważniejsza jest głowa i ręce. Zapiski robię długopisem w notesie jak większość dziennikarzy mojego pokolenia. Prawą ręką. Na laptopie używam przede wszystkim palców wskazujących obu rąk. Zanim usłyszę, co wybrać, niech pan powie, ile to będzie kosztowało. Nie, najpierw ile na tym zarobię, jeśli podpiszę umowę. Co się bardziej opłaci ubezpieczyć: prawą dłoń czy tylko oba palce wskazujące?

Były dyrektor przechylił głowę i wykrzywił usta, po czym machnął ręką jakby z lekceważeniem.

– Wysoko pana cenię, redaktorze, żeby z pana kpić.

– To?

– Przez dziewięć lat, kiedy byłem dyrektorem oddziału MetLive Bavaria, bo od trzech – odsunął rękaw marynarki i zerknął na zegarek – nie, od dwóch godzin już nim nie jestem, codziennie rano sekretarka przynosiła do mojego gabinetu filiżankę kawy i obie gazety regionalne. Nie mam zamiaru kadzić panu, dlatego zawsze rozpoczynałem prasówkę zawsze

od „Zielonogórskiej”, ale to święta prawda. Najdłużej zatrzymywała mnie kronika kryminalna, co jest zrozumiałe. Gdyby MetLive Bavaria sprzedawała sprzęt sportowy, podpatrywałbym to, co się dzieje na boiskach, stadionach, pływalniach i w halach. MetLive Bavaria to towarzystwo ubezpieczeniowe, więc wszyscy jego pracownicy mają obowiązek niuchać gdzie się tylko da, kogo by jeszcze złapać na lep którejś z osiemnastu wersji polis na życie. Właściwie to dwudziestu jeden. Pewnie pan nie zdaje sobie sprawy z tego, ile podpowiedzi dostarczył, redagując kronikę kryminalną. Nawet w tegorocznej zapowiedzi inauguracji roku w Uniwersytecie Trzeciego Wieku agentka MetLive Bavaria potrafiła znaleźć to, co okazało się korzystne dla towarzystwa.

– Pewnie tanie i z atrakcyjnym widokiem miejsce na cmentarzu Nowym. Osoby ubezpieczone w MetLive Bavaria mają pierwszeństwo.

Były dyrektor nie skomentował kaśliwości, czego Jung się spodziewał.

– Takie firmy jak MetLive Bavaria działają na zasadzie ryzyka. Raz się uda złapać klienta, raz się nie uda. Ileż razy zostawali na lodzie ci, którzy opłacili składkę, ale nie dotrzymali któregoś, z pozoru najmniej ważnego, punktu w umowie. Albo ktoś umarł za wcześnie. Albo się wycofał. Albo księgowa ustaliła, że kiedyś tam składka wpłynęła na konto towarzystwa z jednodniowym opóźnieniem. Z punktu widzenia zarządu chodzi o to, żeby była zachowana równowaga między dochodami i wydatkami, o czym klient nie powinien wiedzieć. A najlepiej, żeby po stronie dochodów była niewielka górka, wtedy fiskus się nie czepia. Dlatego umowy są tak chytrze sformułowane, żeby klient niewiele zrozumiał z tego, pod czym się podpisał.

– Żargon prawniczy. Jeszcze bardziej dokuczliwy niż ten, którym posługują się lekarze czy informatycy.

– Mieszmasz. Oni nazywają to językiem praktyki prawniczej. Szefostwo MetLive Bavaria uważa, że im więcej mieszmaszu w umowie, tym lepiej. Tak na wszelki wypadek. A nuż klient wynajmie nie w ciemę bitego adwokata i będzie ciągał ubezpieczalnię po sądach. Jeżeli klient wygra w sądzie rejonowym, towarzystwo odwoła się do sądu okręgowego. Jest jeszcze sąd apelacyjny. Skarga kasacyjna raczej nie wchodzi w rachubę. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej także, chociaż byli tacy, którzy i tam pisali. Wszystkie metody stosowane przez MetLive Bavaria są działaniem na zmęczenie klienta lub na przeczekanie. Nie tylko zarząd mojego towarzystwa... Przepraszam, zapędziłem się. Już nie mojego. Panie

redaktorze, nie powiem, że wszystkie ubezpieczalnie robią to samo i tak samo. Tak robi większość.

– Do rzeczy, panie dyrektorze – ponaglił go Jung. Za pół godziny rozpocznie się kolegium, Daniel musi więc wrócić w redakcji.

– Były dyrektorze. Zatem do rzeczy, skoro w przeciwieństwie do mnie panu się spieszy. We wtorkowej kronice znalazła się informacja na temat tragicznego wydarzenia podczas wesela w hotelu Grempler. Tam zmarła Mirabella P. Prawdopodobnie nie był to zgon z przyczyn naturalnych. Samobójstwo, zgadza się?

Jung ledwie zauważalnie kiwnął głową. Gdyby miał się z kimś założyć, że nikt drugi nie macał w tym palców, wstrzymałby się z podjęciem decyzji. Żaden śledczy, a jako reporter kryminalny także należy do tej grupy, tak długo nie traktuje samobójstwa jako samobójstwa, póki nie ma stuprocentowej pewności, że to jednak była śmierć z wyboru.

– Byłem już po lekturze gazety, kiedy przyszła do mnie jedna z pracownic oddziału – kontynuował były dyrektor. – Rozłożyła „Zielonogórską” na tej stronie, na której znajdowała się rubryka kryminalna. Powiedziała, że zmarła to przypuszczalnie Mirabella Pohlhoffer, nasza klientka z Jakubina. Kazałem sprawdzić umowę. Okazało się, że Mirabella Pohlhoffer wykupiła u nas polisę na życie. Właściwie nie ona osobiście. Zrobił to jej pierwszy teść dziewięć lat temu. Wtedy wykupił jedną polisę na nią i drugą na swojego syna Olgierda. Znałem go jeszcze z lat studenckich na technologii drewna w Poznaniu. Olgierd zginął od zabłąkanej kuli w trakcie polowania, co pan powinien pamiętać. Sprawa była wyjątkowo głośna. Niedługo po śmierci Olgierda Mirabella jako prawna spadkobierczyni złożyła wniosek o wypłatę pieniędzy z polisy. Tak się robi. Ponieważ to nie była kwota astronomiczna, towarzystwo wypełniło swoje zobowiązanie. Część uzyskanej sumy przekazała *a conto*³³ jako składkę, tym samym podnosząc kwotę ubezpieczenia do wysokości hipermaksymalnej, co spowodowało zainteresowanie naszej centrali. I pewnej instytucji nadzorczej, której urzędowej nazwy nie mogę wymienić, ponieważ własnoręcznie podpisałem zobowiązanie stosownej treści. Drugą część dołożyła, o ile mnie pamięć nie myli, a raczej nie myli, do remontu kolejnego kawałka pałacu w Jakubinie. Mimo że to już były jej prywatne pieniądze, centrala poleciła naszemu oddziałowi mieć baczenie na sposób ich wydawania. O każdym niezrozumiałym ruchu pani Mirabelli mam, to znaczy miałem obowiązek natychmiast powiadomić centralę, co zrobiłem

dziś przed dziewiątą. I o dziesiątej przestałem być dyrektorem oddziału. Zostałem odwołany ze skutkiem natychmiastowym bez prawa zajmowania równoznacznego stanowiska w innych towarzystwach. Obowiązki dyrektorskie przejęła zastępczyni.

– Poznam przyczynę tej decyzji czy to nie dla psa kiełbasa?

Były dyrektor przytaknął i się roześmiał, jakby jeszcze nie wierzył, że już nie jest dyrektorem.

– Zostałem odwołany za brak właściwego nadzoru nad tym, co robią pracownicy oddziału.

– A konkretnie, jeśli to nie jest tajemnica?

– Konkretnie za to, że firma musi wywiązać się z zobowiązania wobec prawnego spadkobiercy Mirabelli Pohlhoffer.

– Czyli jej męża. Niemca, do którego należą fabryczki, zakładziki, firemki w Jakubinie i okolicy. Krótko mówiąc: najbogatszy Niemiec w naszym regionie będzie jeszcze bogatszy. – Jung pomyślał, że może dlatego Wolfgang Pohlhoffer zamordował swoją żonę, ale tego nie powiedział. Póki policja nie zakończy śledztwa, pomimo znajomości w komendzie, nie będzie miał dostępu do zebranych materiałów.

Były dyrektor pokręcił głową.

– Gdyby o to chodziło, redaktorze, nie poprosiłbym pana o rozmowę w Między Nami. Za pośrednictwem sekretarki zaprosiłbym pana na kawę do gabinetu dyrektora oddziału MetLive Bavaria.

– O co więc chodzi? – Jung zrobił pytające oczy.

– Nie obowiązuje mnie tajemnica korporacyjna.

– Dowiem się, o co chodzi?

– Prawdopodobnie Wolfgang Pohlhoffer nic nie wie o polisie na życie wystawionej na jego żonę. Aha, jeszcze jedno, zanim przejdę do najważniejszego. Wtedy, dziewięć lat temu, kiedy pierwszy teść ubezpieczał syna i synową, towarzystwo postawiło warunki, jak się wydawało, zaporowe. Oczywiście na korzyść towarzystwa. Kwotą polisy oboje klienci będą objęci jedynie do pięćdziesiątego roku życia. Gdyby doszło do rozwodu, polisa wygaśnie automatycznie. Po śmierci Olgierda, kiedy Mirabella zmieniła polisę, co wiązało się z podniesieniem składki, nastąpiły zmiany w umowie. Każdego roku klientka miała obowiązek dostarczyć do oddziału wynik badania przeprowadzonego przez wskazany zespół lekarzy specjalistów. Takim zespołem w naszym oddziale kieruje pana małżonka. Kto

ją zastąpi, kiedy wyjedzie do Kopenhagi, tego nie wiem i się tym nie martwię, ponieważ już nie jestem dyrektorem oddziału. Gdyby ode mnie zależało, wskazałbym doktora Trzcinę. To był pierwszy warunek. Był i drugi. A właściwie uwaga, ale z prawnego punktu widzenia mająca nie mniejsze znaczenie niż warunek pierwszy. Mianowicie towarzystwo wypłaci pieniądze prawnemu spadkobiercy najpóźniej w ciągu tygodnia, licząc od dnia śmierci osoby, na którą została wystawiona polisa. I, proszę posłuchać, to jest bardzo ważne. W umowie zaznaczono, że chodzi o zgon naturalny, morderstwo lub śmierć w wyniku nieszczęśliwego zdarzenia. Nie wyjaśniono, co towarzystwo uznaje za nieszczęśliwe wydarzenie. Samobójstwo można zaliczyć do tej kategorii, jak i je wykluczyć. Dlaczego zostało zapisane w ten sposób, jak zostało zapisane, nie potrafię wyjaśnić. Centrala uznała, że to jest moja wina.

– Uuuu! – zawył Jung, czym zwrócił na siebie uwagę jeszcze nielicznych gości restauracji.

– Nie wiem, co panu przyszło do głowy, ale pewnie nie to, co chciałem powiedzieć.

– Cedzi pan słowa jak dyplomowany agent nie towarzystwa ubezpieczeniowego, lecz obcych służb specjalnych.

Były dyrektor uznał to za pochwałę.

– Niech pan słucha. – Jung się pochylił nad stolikiem i dał znak oczyma, że jest gotów. – Dokładnie w zeszły poniedziałek Mirabella Pohlhoffer zmieniła dyspozycję, urzędowo zwalniając swego męża, Wolfganga Pohlhoffera, z prowadzenia jej wszelkich spraw w naszym towarzystwie.

– Dlaczego?

– O to pracownica nie zapytała. Mogła, ale nie miała takiego obowiązku. Z punktu widzenia towarzystwa jest ważne, żeby klient opłacał składkę. Obie strony powinny stosować się do tego, co zostało zapisane w umowie, tyle że to bardziej dotyczy klienta niż towarzystwa. W zeszły poniedziałek Mirabella Pohlhoffer dostarczyła do biura oddziału notarialnie poświadczoną dyspozycję, zmieniającą dotychczasowe uzgodnienia. Na prowadzącego jej sprawy wyznaczyła Antoniego Żółtowskiego.

Jung już słyszał to nazwisko, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie i w jakich okolicznościach. Może nawet z nim rozmawiał. Antoni Żółtowski jest kimś ważnym, czyje nazwisko pojawia się w gazetach. Profesor uniwersytecki? Lekarz? Adwokat? Sportowiec? Malarz? Mecenas artystów?

Na pewno nie poseł, nie urzędnik marszałka czy wojewody, nie radny regionalny. Jung zmarszczył czoło. Pierwsze objawy sklerozy? To się wcześniej nie zdarzało.

– Żółtowski jest bratem pani Mirabelli i prawą ręką Wolfganga Pohlhoffera. Osobiście niczym nie kieruje, ale ma wpływ na decyzje właściciela firm. W Jakubinie, jak doniósł wywiadowca towarzystwa, nic nie ma prawa się zdarzyć bez jego akceptacji.

– Jaki związek ma Żółtowski z odwołaniem pana ze stanowiska dyrektora tutejszego oddziału?

– Zasadniczy.

– Może pan to wyjaśnić?

– Prawdopodobnie on... Powiem inaczej. Jego siostra Mirabella Pohlhoffer nie żyje. Rozmawiałem z prokuratorem Ostrouchym. To mój dobry znajomy. Wykluczył zgon naturalny. Nie potwierdził, że to było samobójstwo. Jak i nie powiedział, że podczas przyjęcia weselnego w hotelu Grempler doszło do zabójstwa. Póki śledztwo nie zostanie ukończone, a może trwać tak samo długo jak powtórne badanie przyczyn katastrofy smoleńskiej, prokuratura nie zajmie stanowiska. Mimo to w ciągu tygodnia, licząc od niedzieli, centrala towarzystwa będzie musiała wywiązać się z zobowiązania. Chodzi o polisę na życie. Czyli wypłaci ogromne pieniądze Żółtowskiemu.

– I dlatego został pan odwołany?

– Moja wina jest w tym, że zezwoliłem na zmianę w umowie. Powinienem przewidzieć, co się stanie. Powinienem, ale...

– Pana wina jest w tym, że nie mąż Mirabelli będzie bogatszy o niemałe pieniądze z polisy, lecz jej rodzony brat. Mając tyle na koncie, może Żółtowski zacznie działać na niekorzyść firm Pohlhoffera, a potem je kupować? I może ubezpieczy je w Warcie, Compensie czy innej konkurencji MetLive Bawarii?

– Coś w tym, czego pan się domyśla, jest.

– A czy pan się domyśla, dlaczego Mirabella zmieniła dyspozycję?

– Możliwe, że jej brat coś wie. Mnie to już nie interesuje. Pana, redaktorze... powinno. – Były dyrektor umilkł, ale tak, żeby to dotarło do Junga. Po krótkim namyśle kontynuował innym tonem: – Gdyby przed śmiercią Mirabella Pohlhoffer nie zmieniła dysponenta, pieniądze z polisy otrzymałby jej mąż. Obywatel niemiecki prowadzący interesy w Polsce.

MetLive Bavaria jest towarzystwem międzynarodowym z centralą umiejscowioną w Niemczech. Niech pan wyciągnie z tego wnioski.

– MetLive Bavaria prowadzi działalność w Polsce, dlatego musi należeć do Polskiej Izby Ubezpieczeń. Obowiązują ją polskie przepisy.

Były dyrektor nieznacznie się uśmiechnął.

– To już nie moje małpy i nie mój cyrk – dodał.

– Czy wtajemniczył pan prokuratora w to, w co mnie wtajemniczył?

– Próbowałem. Jednak Ostrouchy uznał, że zmiany w polisie nie mają żadnego związku ze zgonem w Gremplerze.

– Powiedział, na jakiej podstawie?

– Zadałem mu identyczne pytanie. Nie odpowiedział, a gdy je powtórzyłem, dodał, jakby się usprawiedliwiał, że śledztwo jeszcze nie zostało zamknięte.

JAKUBIN, UL. GŁÓWNA, CZWARTEK, PRZEDPOŁUDNIE

Nawet gdyby wójt Ficnerski nie zadzwonił wczoraj po południu, dziś Daniel Jung przyjechałby do Jakubina. Tym bardziej że udało mu się przekonać prokuratora Ostrouchego, aby potwierdził tożsamość denatki z Gremplera. Czy Mirabella Pohlhoffer miała wszystkiego dość i dlatego targnęła się na swoje życie, czy ktoś ją do tego zmusił? Kto? Dlaczego? Jak? Jeśli miała dość, to czego? Na te pytania prokurator nie odpowiedział, mimo że Jung zadał je nie za pośrednictwem rzecznika prasowego, a wprost Ostrouchemu, którego poznał jeszcze w czasach, gdy był policjantem. A może w łazience hotelowej nie doszło do samobójstwa, a do morderstwa? To, czego Jung dowiedział się nieoficjalnie od podkomisarza Grodzkiego i podstępnie od recepcjonistki z Gremplera, jednak wskazywało na zaplanowane samobójstwo. Był ciekawy, co na to doktor Żółtowska, jedyna lekarka w Jakubinie, która znała Mirabellę przede wszystkim jako siostrę swego męża. Nie szukałby dziury w całym ani nie brałby nikogo pod ostrzał, jak Ostrouchy nazwał łączenie oderwanych od siebie poszlak, gdyby nie informacje uzyskane od byłego dyrektora oddziału MetLive Bavaria. Jung nie pochwalił się prokuratorowi, co już wie i co postanowił jak najprędzej sprawdzić w Jakubinie.

– Tyle na razie. Śledztwo w toku – podsumował Ostrouchy i kazał mu czekać do konferencji prasowej.

– Kiedy wasz rzecznik ją zwoła? – zapytał Daniel, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że ten prokurator nie odpowie na to pytanie. Mimo łysiny i długiego stażu w prokuraturze Ostrouchy nie był nawet drugim zastępcą szefa wydziału śledczego.

– Proszę cierpliwie czekać, redaktorze.

A Jung nie miał zamiaru czekać. Po dyskusji ze Szpaltą doszedł do wniosku, że śledczym nie spieszy się z wyjaśnieniem tego, co się zdarzyło w Gremplerze podczas wesela. Dlaczego i czy tylko śledczym? Komu konkretnie? Musi być jeszcze coś, co Syski przed nim ukrył. Dlaczego? Od stażu w komendzie byli przyjaciółmi, jednak nie zawsze naczelnik wydziału kryminalnego wykladał karty na stół. Jeżeli Syski nie mógł powiedzieć czegoś wprost, to odpowiadał na pytania tak pokrętnie, jakby między słowami wskazywał drogę prowadzącą wprost do faktów. Dlatego po dyskusji z redaktorką naczelną Jung zdecydował, że uprzedzi śledczych i do konferencji prasowej przedstawi swoją wersję zdarzenia w hotelu. Robił tak wiele razy i wiele razy prokurator najpierw kwestionował jego ustalenia, nazywając je prawdopodobnymi lub wyssanymi z palca, a później zapraszał go do swojego gabinetu i przyznawał mu rację. Nigdy nie wprost.

Jung zabronił Kamilowi wychodzenia z redakcji i jeszcze kazał mu trzymać rękę na pulsie, tym bardziej że pewnie zostanie jego następcą, sam zaś wsiadł do ibizy. Po czterdziestu minutach spędzonych za kierownicą zatrzymał auto na zastawionym samochodami parkingu przed Urzędem Gminy w Jakubinie. Gdyby nie korki na ulicach Zielonej Góry i nieskoordynowana sygnalizacja świetlna, byłby na miejscu może dziesięć minut wcześniej. Zresztą specjalnie mu się nie spieszyło. Z wójtem miał się spotkać dopiero o jedenastej. Tego, co powie Ficnerski, będzie za mało na reportaż, a nie ma zamiaru karmić czytelników okruchami informacji. Na pewno jutro czy zaraz po niedzieli wróci do Jakubina. Do tego czasu coś powinno się wyjaśnić. Całe szczęście, że nieźle zna się z wójtem i nie będzie musiał kombinować, jak wyciągnąć z niego te wiadomości, które mogą się przydać. Przy gościach Ficnerski podkreślał, że jest dłużnikiem Daniela Junga, najlepszego dziennikarza w zachodniej Polsce i jego dobrego znajomego. Gdyby nie redaktor Jung, to o Jakubinie nikt by nie usłyszał. Daniel zdawał sobie sprawę z tego, że to nie tyle kurtuazja i grzeczność, co dodawanie sobie znaczenia, ale nie zaprzeczał. Każdy lubi się chwalić, a jeszcze bardziej być

chwalony. Pewnie tak samo wójt nadskakuje Pohlhofferowi, Żółtowskiemu, proboszczowi, nadleśniczemu i tym wszystkim, którzy płacą najwyższe podatki, a ich opinie mają pierwszorzędne znaczenie.

W trakcie wczorajszej rozmowy przez telefon Ficnerski pochwalił się, że przywiózł kilka książek z Niemiec, wydanych przez tamtejsze samorzady miejskie. Zwłaszcza podobały mu się te strony, na których autorzy przedstawiali osiągnięcia miasteczek, nie wynosząc pod niebiosa ich włodarzy, ale i o nich nie zapominając.

– Wójttem jak poetą się bywa – powiedział.

Adamowi Ficnerskiemu marzyła się podobna książka o Jakubinie, tym bardziej że wójtowie sąsiednich gmin wpadli na ten sam pomysł dużo wcześniej. Zimą wójt Jakubina wytypował autorów i wyznaczył im termin oddania tekstów. Wszyscy wywiązali się z zadania. Potem Ficnerski o nich zapomniał, ale w niedzielę wieczorem, w drodze powrotnej z Niemiec zdecydował, że książka się ukáže. Wstęp spłodził osobiście i pokazał go Pohlhofferowi. Niemiaszkowi się spodobały słowa, w jakich go wychwalał. Ficnerski dobrze wiedział, że co zadowoli Pohlhoffera, choćby było nieprawdziwe, także musi się podobać mieszkańcom Jakubina. Ogólny obraz gminy sportretował sekretarz przy pomocy bibliotekarki. Właściwie to ona napisała, a Dominiak dorzucił kilka okrągłych zdań. Czym zajmują się firmy Wolfganga Pohlhoffera, wyjaśnił Żółtowski jako zarządca i prawa ręką właściciela grupy spółek. Jego żona napisała laurkę o służbie zdrowia. Osiągnięcia sportowe mógłby przedstawić Lukas Bielok jako prezes Juvenii, tyle że nie najlepiej zna język polski, więc zrobił to wuefista będący wiceprezesem klubu. Dyrektorka szkoły wypichciła coś o edukacji. Proboszcz przedstawił parafię. Co napisał nadleśniczy, Ficnerski jeszcze nie przeczytał. Z dwóch powodów nie podobał mu się artykuł Mirabelli Pohlhoffer o dziedzictwie kulturowym. Po pierwsze, było za dużo o pałacu w Jakubinie, a za mało o pozostałych zabytkach, zwłaszcza że w gminnej kasie nie ma pieniędzy na ich remont. Gdyby Mirabella przedstawiła ich przeszłość, nawet skłamała, może znaleźliby się kupcy, tym bardziej że od przyjazdu Wolfganga Pohlhoffera do Jakubina o gminie zrobiło się głośno. Po drugie, zdania były za długie i przetkane niezrozumiałymi zwrotami. Wójt zastanawiał się, jak jej to powiedzieć, żeby się nie obraziła. Wszystkie teksty będą po polsku, a tylko podsumowanie po niemiecku i angielsku. Na angielski przetłumaczy je Ficnerski. Na niemiecki Lukas Bielok. Wójt nikomu

nie przyznał się, że obserwuje Bieloka. Dałby sobie rękę obciąć, że to nie jest taki sam mężczyzna jak sekretarz czy komendant straży gminnej. Niemowa, wysoki, dobrze zbudowany, więc silny, jednak trochę mało męski. Mężczyzna w jego wieku powinien być żonaty i mieć dwoje, troje dzieci. Ficnerskeimu nie chodzi o to, że Bielok jest asystentem, kierownicą, ochroniarzem Wolfganga Pohlhoffera. Gdyby nie to, że po śmierci pierwszej żony Pohlhoffer ożenił się z owdowiałą Mirabellą, jego również by uważał za geja. A może Wolfgang należy do tych, co to mogą z kobietą i z mężczyzną?

Pomimo tego że w różnych biurach Jung widział regały uginające się pod takimi książkami w twardej oprawie, których nie czytali nawet ich autorzy, pogratulował inicjatywy Ficnerskiemu. Jeśli inni cię nie wychwalają, chwal się sam, pomyślał o wójcie. Ale po chwili spytał, czy urząd stać na taki wydatek. Ficnerski przyznał się, że identyczne pytanie zadał mu sekretarz gminy. Nie czekając na odpowiedź, sekretarz wystrzelił serią krytycznych uwag. Jego zdaniem książkę powinien otwierać wstęp napisany przez wójta, ale podpisany przez przewodniczącego rady gminy i ozdobiony jego zdjęciem. Potem powinna być przedstawiona historia Jakubina od najdawniejszych czasów. Jeżeli nie da się opisać tego miejsca w okresie cywilizacji łużyckiej, to trzeba przypomnieć Lugiów, o których nie uczą w szkołach, a którzy walczyli z Rzymianami, co sekretarz usłyszał w starostwie podczas konferencji na temat najdawniejszych dziejów ziemi krośnieńskiej. A jeżeli i to nie będzie możliwe, należy zacząć od szóstego wieku naszej ery, kiedy nad Bobrem zaczęły powstawać osady słowiańskie. Czy ich mieszkańcy byli Łużyczanami, czy Polanami, któryś historiograf powinien podjąć decyzję. Przecież niema żadnych dokumentów, nikt więc tego nie sprawdzi. Gdyby jednak i to przysporzyło problemów, od razu można przejść do czasów piastowskich, umieszczając w panteonie zwycięzców Bolesława Chrobrego, który na początku drugiego tysiąclecia zajął Budziszyn razem z Łużycami. Trzeba zrobić to oględnie, żeby nie zrazić Pohlhoffera. Późniejsze dzieje ziem nad Odrą i Nysą nie są interesujące z punktu widzenia Polaków, można je więc pominąć, jak i klęskę Niemców w 1945 roku. Najważniejsze są ostatnie lata. Sekretarz nie miał wątpliwości, że lotny autor z wszystkim sobie poradzi. Kto będzie autorem? Nazwiska nie podał. Na pewno ktoś się znajdzie na uniwersytecie. W ostateczności może spytać bratanka, który za rok będzie doktorem nauk humanistycznych w zakresie historii, czy podejmie się tego zadania. Oczywiście trzeba będzie mu zapłacić, ale to nie jest sprawa

sekretarza. Wójt bierze niemałe pieniądze z gminnej kasy, to musi temu podołać. Tyle Ficnerski powiedział Jungowi wczoraj przez telefon. Resztę ma usłyszeć w jego gabinecie. Pewnie zaproponuje mi poprawienie błędów ortograficznych w tekstach, które napisali miejscowi autorzy, pomyślał Daniel. Albo zechce, abym dołączył do ich grona jako ten, który wykreuje tekst o przeszłości Jakubina. Jeżeli za pieniądze, to się zgodzę. W Kopenhadze będę miał dużo czasu.

– Pana Ficnerskiego nie ma – rzuciła kobieta, gdy Jung wszedł do sekretariatu urzędu gminy, nawet nie dociekając, kim jest i dlaczego zapytał o wójta.

– Daniel Jung. Dziennikarz. W trakcie wczorajszej rozmowy telefonicznej z panem Ficnerskim potwierdziłem swój przyjazd właśnie teraz. O jedenastej mamy się spotkać.

Kobieta natychmiast oderwała wzrok od ekranu komputera. Zaniemówiła i pomimo makijażu Jung dostrzegł, że się czerwieni. Nawet było jej ładnie. Po chwili, gdy wpatrywała się w dziennikarza z niedowierzaniem w oczach, gotowa zaraz podnieść się z krzesła i go przeprosić na stojąco za swoje zachowanie, otworzyły się drzwi z jej prawej strony.

– I co, już przyszedł? – zapytał mężczyzna w za ciasnej marynarce, pod krawatem, wskazując głową na tabliczkę „Mgr Adam Ficnerski wójt gminy Jakubin”. Jungiem, który stał obok biurka, jakby nie zauważył.

– Niestety – odpowiedziała kobieta, rozkładając ręce.

– Urszula dzwoniła?

– Na komórkę i na stacjonarny.

– Żaden nie odpowiada?

– Żaden.

– Znowuż pan wójt gdzieś sobie pojechał. Właśnie tak zachowują się cukrzycy. Człowiek na stanowisku powinien być zdrowy jak byk mojego te... Jak ryba. Mnie nie musi mówić, ale żeby nawet nie powiedział sekretarce?

Kobieta pokręciła głową i lekko się uśmiechnęła, jakby usprawiedliwiała wójta. Przecież Ficnerski nie musi jej wszystkiego mówić. Po czym otworzyła kalendarz, najpierw przewróciła kilka kartek do tyłu, potem do przodu i znowu pokręciła głową, tym razem robiąc pytającą minę.

– Pan redaktor – pokazała ręką na Junga – twierdzi, że na jedenastą szef zaprosił go na spotkanie. Mnie o tym nikt nie uprzedził. Widocznie...

– Redaktor z której prasy? – mężczyzna zwrócił się do Junga takim głosem, jakby miał pretensję o to, że bez jego wiedzy i zgody dziennikarz wszedł do budynku. – A ja sekretarz gminy. Dominiak jestem.

– „Gazeta Zielonogórska”.

– Nowy? U was zmiany na okrągło. Jeszcze człowiek nie zdąży się przyzwyczaić do jednego, a już nowy – stwierdził Dominiak, nie czekając na odpowiedź. – Urszula posyłała kogoś do wójta? Sprawdzała, co się stało? Aśka na szkoleniu w Zielonej Górze. Dzieciaki u babci w Krośnie. On sam w domu, to i... A może jakiś wylew? Albo udar mózgu, nie daj boże? Prędeż zawał. U cukrzyka wszystko możliwe. Mój bratanek, ten co za niedługo będzie doktorem od historii, też ma cukrzycę. Dopiero co skończył trzydziestkę i już trzy razy na dzień musi brać insulinę. Dawniej tego nie było.

Sekretarka pobladła, ale nie zapytała, dlaczego miała kogoś posłać do domu Adama Ficnerskiego. Powiedziała, że wójt nie pierwszy raz nie przyszedł do urzędu na ósmą.

– Pani księgowa niekiedy czekała na niego cały dzień. Nie miał kto podpisać przelewów do banku, a terminy płatności były na wczoraj. Tyle że jak pan wójt z kimś się umówił – pokazała na Junga – zawsze był na mur-beton. Pod tym względem można brać przykład z pana wójta.

Jak nic Ficnerski się urznął, pomyślał Dominiak, ale tego nie powiedział. Dostał nagrodę w Chociebużu, to musiał ją oblać. Ślubna na szkoleniu, dzieciaki u teściowej. Chata wolna. Ciekawe, z kim zalał pałę? Na pewno z księdzem Zygmuntem. Kumple. Przecież nie z Pohlhofferem ani nie z Żółtowskim. Oni teraz co innego mają na głowie.

– Proboszcz już chce wiedzieć, czy na pogrzebie będzie sztandar gminy. Bo jak gminy, to i straży pożarnej. I może jeszcze czyjś. Dwa to za mało. Niech Urszula sprawdzi, kto jeszcze ma sztandar. Może Juvenia. O, szkoła. I... Pszczelarze. Dawniej mieli. Aha, trzeba zamówić orkiestrę wojskową. Nie całą. Albo tylko tego z trąbką. Jeden będzie mniej kosztował.

– Zgodnie ze statutem wystarczy, że gmina wystawi poczet sztandarowy podczas najważniejszych uroczystości państwowych, lokalnych i religijnych oraz pochówków honorowych obywateli. Pani Pohlhoffer nie była radną i nie pełniła żadnej funkcji z wyboru – przypomniała sekretarka. – Chyba że...

– I co z tego, że nie była radną? Gdyby chciała, nawet mogła być przewodniczącą rady. Pani Mirabella to nie jakaś pierwsza lepsza kokota. Legalna małżonka pana Pohlhoffera. Siostra pana Żółtowskiego i szwagierka

pani Żółtowskiej – podkreślił sekretarz. – Jak zginęła pierwsza małżonka pana Pohlhofferera, na pogrzebie był poczet sztandarowy? Był. Proboszczowi i panu Pohlhofferowi tamto się podobało? Podobało. A tak generalnie... Niech Urszula pośle kogoś po wójta. Redaktor przyjechał. Z redaktorami to trzeba... Obsmarują w prasie, że człowiek. Sekretarz gminy jestem. Dominiak – jeszcze raz się przedstawił, wyciągając rękę w stronę Junga. – Zanim przyjedzie wójt, zapraszam redaktora do siebie. Pogadamy o tym i o owym. Dziesięć minut i wójt ma tu być – rzucił do sekretarki tonem rozkazującym.

JAKUBIN, UL. SADOWA, CZWARTEK, PRZEDPOŁUDNIE

Łatwo rozkazywać. Urszula Wojtczak zganiła w myślach sekretarza gminy. Otwarcie tego nigdy by nie powiedziała, zwłaszcza że studiowała z jego synem prawo administracyjne na uniwersytecie i dzięki niemu została sekretarką. Z budynku urzędu gminy na koniec Jakubina, gdzie w dawnym sadzie rozsiadło się osiedle nowych domów, trzeba iść co najmniej dziesięć minut. Samochodem byłoby szybciej, ale Urszuli jeszcze nie stać na taki luksus, a kierowca urzędowego multiwana nigdzie się nie ruszy bez wyraźnego polecenia wójta.

– Pół do dwunastej. O tej porze pan Adam jest w urzędzie! – odpowiedziała młoda kobieta, która ze szcztoką stała na ganku sąsiedniego domu, gdy Urszula zapytała ją, czy dziś widziała wójta.

– Powinien być, ale go nie ma.

– Śpi. Mój, jeśli go nie zbudzę, potrafi spać i do południa. Asia wyjechała, to nie ma kto wypędzić chłopca z łóżka.

Urszula wcisnęła zielony klawisz domofonu uczeponego słupka przy furtce. Przez drzwi i ogródek przebił się identyczny ding-dong jak ten, który słyszała na plebanii. Oczekała może pół minuty i chwyciła za klamkę furtki pewna, że za chwilę usłyszy zaspany głos wójta, ale nikt się nie odezwał. Jeszcze raz wdusiła zielony klawisz, teraz dłużej przytrzymując go palcem wskazującym. Nadal cisza. Wzruszyła ramionami, po czym zrobiła pytającą minę. Zerkając w stronę sąsiadki Ficnerskiego zastanawiała się, co powie sekretarzowi, kiedy wróci do urzędu. Gdyby redaktor nie czekał na wójta, powiedziałaaby, że zadzwoniła raz, poczekała, potem jeszcze raz, znowu

poczekala. Mogla zadzwonic trzeci raz, ale czy to cos by dalo? Wyglada na to, ze wójta nie ma w domu.

– Pan Adam mógł wczoraj popić, to i jak zabity jeszcze śpi – domyślała się sąsiadka. – Mojemu na drugi dzień po ochleństwie można strzelać nad głową. Niczego nie słyszy i nikogo nie widzi. Potem ma takiego kaca, że lepiej do niego nie podchodzić. Tak jest z wszystkimi chłopami.

Żona wyjechała na szkolenie, pewnie więc wójt gdzieś zabradziażył. Może pojechał do teściowej? Albo jeszcze nie wrócił z Zielonej Góry? Skończył anglistykę na uniwersytecie, ma tam tylu znajomych, że zawsze u któregoś się zatrzyma. A może zaczął rozmawiać na temat tej książki o Jakubinie, która ma niedługo powstać? Ostrożnie ze spekulacjami, napomniała się sekretarka. Wójt to osoba publiczna. Nawet jeśli nikt go nie widzi, to wszyscy wiedzą, czym się zajmuje, z kim rozmawia, gdzie bywa, co kupuje, co je rano, co na kolację, do kogo się uśmiecha, komu podaje rękę i kogo nie dostrzega. Wójt nie ma łatwego życia. Urszula sobie przypomniała, że Ficnerski jest cukrzykiem. Pomimo choroby jak niemal każdy mężczyzna w Jakubinie wójt nie wylewa za kołnierz, ale w porównaniu z sekretarzem gminy pije tyle co wróbelek. A w ogóle to od czasu, kiedy Pohlhoffer zaczął stawiać fabryki, miejscowi mężczyźni piją dużo mniej. Nie to, żeby nie mieli za co albo ksiądz wytykał meneli z wysokości ambony. Im człowiek ma więcej pieniędzy, tym bardziej jest oszczędny i wydaje je tylko na niezbędne rzeczy.

Co robić? Może sprawdzić, czy drzwi do domu są zamknięte na klucz. Jeżeli nie będą zamknięte, to Urszula stanie na progu, zawoła, poczeka z pół minuty, wejdzie do sieni i jeszcze raz zawoła. Jednak najpierw musi dostać się za płot. Spoglądając w stronę sąsiadki, jakby czekała na jej aprobatę, ostrożnie nacisnęła klamkę, zamek zachrobotał i ku zaskoczeniu Urszuli furtka popchnięta biodrem otworzyła się z piskliwym skrzypnięciem. Pierwsza przeszkoda pokonana, stwierdziła w myślach. Może i drzwi do domu będą otwarte? A to oznacza, że jednak wójt jeszcze śpi.

Drzwi były zamknięte na klucz. Uderzyła w nie pięścią i zawołała głosem tak jazgotliwym, że pewnie umarły by się obudził.

– Nie ma go – stwierdziła sąsiadka.

Na parterze jest salon z rozsuwanym stołem i sześcioma krzesłami, z kredensem i witryną, z kanapą i fotelami w pobliżu kominka. Urszula pomyślała, że może zobaczy przez szybę, co się tam dzieje. Weszła na taras od strony ogródka, lecz ogromne drzwi balkonowe zasłaniała firanka

aż do podłogi, dlatego kilka razy grzmotnęła pięścią w szybę, zawołała i nasłuchiwała. Żaden dźwięk nie doszedł jej uszu. Okno kuchenne także było zamknięte i do połowy przysłonięte zazdrostką. Pamiętała, że sypialnia z łóżkiem małżeńskim ukrytym pod baldachimem jest na piętrze. Do niej z jednej strony przylegają dwa pokoiki, z drugiej łazienka i garderoba z prasownią. Bała się, że jeśli rzuci bryłką ziemi w okno sypialni, to wybije szybę. Jednak rzuciła. Bryłka się rozkruszyła i ziemia spadła do ogródka.

– Panie wójcie! – zawołała. – Panie wójciee!

Tylko echo odpowiedziało. Wyjechał, orzekła w myślach. Dokąd i dlaczego nie powiedział tego sekretarzowi gminy ani mnie? Nie raz zdarzyło się, że wójt nagle musiał załatwić pilną sprawę w Krośnie czy Zielonej Górze, wtedy telefonował lub wysyłał esemes. Nawet następnego dnia po większym pijaństwie prosił mnie, żebym spławiła interesantów, bo on kiepsko się czuje i w takim stanie nie chce się pokazywać ludziom. Sekretarka w urzędzie powinna być jak żona wójta, a w niektórych sytuacjach jeszcze bardziej dyskretna niż ślubna towarzyszka życia.

– Ewidentnie pan Adam musi być w domu – powiedziała sąsiadka. – Niech pani zajrzy do garażu. Jak jest tam passat, to pan Adam nie wyjechał, bo czym? On piechotą nie pójdzie nawet na pasterkę, a do kościoła od nas ile? Piętnaście minut najwyżej i po równym. – Wyciągnęła rękę w kierunku wieży obitej blachą miedzianą jesienią zeszłego roku i dlatego jeszcze połyskującej w słońcu, zakończonej nowym krzyżem, widocznej z każdego miejsca w Jakubinie.

Słuszne rozumowanie, zgodziła się z nią Urszula. O poprzedniku Ficnerskiego radni mówili, że łatwiej go przeskoczyć niż obejść. Ten wójt też jest nie za wysoki, ale szczupły, wręcz skóra i kości. W kinie pamięci starała się wyświetlić obraz z parkingu przed urzędem gminy. Z prawej strony, gdzie zawsze stał biały passat Ficnerskiego, dziś było puste miejsce. Zapamiętała to dobrze, ponieważ obok srebrzyła się pięciodrzwiowa ibiza, identyczna jak auto jej brata, prokuratora w Krośnie. Pomyślała, że ibizą przyjechał redaktor Jung.

– Passat jest w garażu – odkryła, zaglądając przez okienko. – Wójt też musi być w domu. Coś mu się stało. Cukrzyk, cholera. To może być zawał? Albo jakiś wylew? Nie daj Boże udar mózgu. W przypadku diabetyka wszystko jest możliwe. Przypomniała sobie to, co powiedział sekretarz. –

Trzeba natychmiast wezwać lekarza. Niech pani w tej chwili dzwoni do doktor Żółtowskiej.

– Doktorka przyjedzie i którędy wejdzie do domu? – sąsiadka zgasła Urszulę. – Najpierw musowo zadzwonić na policję. Przyjadą, pewnie że przyjadą, ale czy od razu? Z godzinę albo i dłużej trzeba będzie na nich czekać.

JAKUBIN, UL. SADOWA, CZWARTEK, POŁUDNIE

Aspirant sztabowy stanął na palcach i chwyciwszy się oburącz za parapet, zajrzał do garażu przez niewielkie okno, po czym potwierdził, że tam stoi biały passat. Nie sięgnął wzrokiem tablicy rejestracyjnej, ale był pewny, że to ten sam samochód, za kierownicą którego tyle razy widział Ficnerskiego. Żona wójta jeździ wysłużonym czerwonym oplem adamem, jedynym autem tego modelu w powiecie.

– Sztachnięty – powiedział aspirant.

– Kto? – Urszula się obejrzała.

– Mówię, że ten biały passat jest sztachnięty z prawego boku.

– Jaki?

– Z prawej strony ma wgniecenie.

– Pewnie gdzieś wójt przywalił. W piątek z rana nie widziałam, żeby coś było wgniecione.

Aspirant cofnął się aż do furtki, przesunął polówkę na tył głowy i rozciągnął ręce, jakby nie wiedział, co teraz powinien zrobić. Dopiero kiedy Urszula zrobiła pytające oczy i odchrząknęła, wyjaśnił, że jeśli nikt nie zgłosił w komendzie zaginięcia człowieka, a od niedzieli nikt z Jakubina o czymś takim nie poinformował dyżurnego osobiście ani przez telefon, to bez zgody właściciela policjant nie może wejść na prywatną posesję.

– Takie jest prawo. Chyba że sąd wyda nakaz.

– Coś mi pan tu bajdurzy. Na pewno tak mówi prawo? Jak ten paragraf brzmi? – Urszula naskoczyła na policjanta. – Nie chciałabym być na pana miejscu, jeżeli coś się stanie wójtowi. Może już się stało? Jeżeli on tam czeka na pomoc, a pan zasłania się paragrafami...

– Bez wyraźnej zgody właściciela nie da rady – powtórzył aspirant sztabowy. – No chyba że chodzi o ratowanie życia, ale muszą być mocne

podstawy. Zaświadcza pani, że Ficnerski jest w domu i potrzebuje natychmiastowej pomocy? A pani? – zwrócił się do sąsiadki.

Urszula przytaknęła, sąsiadka zaś wzruszyła ramionami.

– Nie chciałabym być na pana miejscu – sekretarka ostrzegła policjanta i dała mu do zrozumienia, że od niej także wiele zależy. Zresztą aspirant o tym wiedział. – Jeżeli coś się stało wójtowi, a każdą okoliczność trzeba mieć na uwadze, bo to przecież cukrzyk, będę świadczyła przed sądem przeciw panu i policji. Myśmy – pokazała głową na sąsiadkę – zrobiły tyle, ile do nas należało.

To wystarczyło, żeby aspirant sztabowy wyjął komórkę z kieszeni bluzy, odszedł na bok i zadzwonił do kierownika rewiru dzielnicowych w Krośnie. Co mu zwierzchnik polecił, kobiety nie słyszały. Chwilę później aspirant rozmawiał z gminnym naczelnikiem straży pożarnej.

– Zaraz będzie tu samochód ratowniczy – rzucił do kobiet, chowając komórkę do kieszeni. – Ale o ile tam nie ma wójta – wyciągnął rękę za siebie – panie poniosą konsekwencje. Za bezpodstawne wezwanie policji i straży można zapłacić lepiej jak za zboże. Jednej pensji nie wystarczy. To, co robimy, moje panie?

– Wójta trzeba ratować! – krzyknęła Urszula.

Sąsiadka zmierzyła aspiranta takim wzrokiem, że się skulił i ruszył w stronę głównych drzwi. Nacisnął klamkę, jakby nie dowierzał sobie, czy na pewno są zamknięte na klucz.

Upłynęło nie więcej niż pół godziny, zanim kobiety i policjant najpierw usłyszeli syrenę i potem zobaczyli błękitne światło migające na dachu samochodu zbliżającego się do osiedla. Kilka minut później czerwony sprinter zatrzymał się na drodze przed domem wójta, wysiadło z niego dwóch umundurowanych strażaków i bez słowa podeszło do policjanta. Aspirant sztabowy, wskazawszy kobiety, powtórzył to, co od nich usłyszał i dodał, że biały passaat stoi w garażu.

– Nie wyjechał z domu, bo czym? Chyba że ktoś go zabrał? A dokąd?

– Pani Ficnerska jest na szkoleniu, maluchy na pewno u babci, to wójt popił i jak zabity jeszcze śpi – powiedziała sąsiadka. – Co by innego? Mojemu na drugi dzień po ochleństwie można strzelać nad głową. Niczego nie słyszy i nikogo nie widzi. Potem ma takiego kaca, że lepiej do niego nie podchodzić. Tak jest z wszystkimi chłopami. Ficnerski z innej gliny ulepiony? Tyle że teraz wójt.

– Sypialnia jest na piętrze – wyjaśnił policjant, zerkając na Urszulę, jakby ją prosił o potwierdzenie tego, czego dowiedział się wcześniej.

– Trzeba dostać się do środka – powiedział strażak z brodą i wąsami. Zadarł głowę, a ponieważ okna były zamknięte, stwierdził, że obejdzie się bez drabiny. – Wybije się szybę na dole i się wejdzie.

– Po co zaraz wybijać? – zapytał młodszy strażak, ten tylko z brodą. – Kto za to zapłaci? Ja na pewno nie. Można wejść jak ludzie. Przez drzwi. Po to są.

– Rozpoznałem sprawę. Od środka drzwi są zamknięte na klucz – poinformował policjant. – Najmniejsza strata byłaby, gdyby udało się wejść przez okienko w garażu. Wybić i po krzyku. Tylko nie wiadomo, czy z garażu jest przejście do domu.

– Powinno być. Teraz każdy tak buduje, żeby człowiek suchą nogą dostał się z garażu do domu i na odwrót – powiedział strażak z brodą i wąsami do tego, z którym przyjechał pod dom na Sadowej.

– Lepiej przez drzwi. Otworzy się breszką. – Nie czekając na jego decyzję, młodszy strażak podszedł do czerwonego sprintera. Spod fotela wyciągnął coś nie za długiego, co ojciec Urszuli nazywał łomikiem.

Wyłączając Pohlhoffera, Bieloka i Żółtowskich, mieszkańcy Jakubina to ci Polacy, których dziadkowie przyjechali na środkowe Nadodrze zaraz po tym, jak dopaliła się długa noc ostatniej wojny światowej. Wtedy jedni rozmawiali gwarą poleszucką, drudzy z zaśpiewem wileńskim, inni po lwowsku, taropolsku, łemkowsku, góralsku, poznańsku, kielecku. Pomimo różnorakiego nazywania tych samych przedmiotów i czynności, wszyscy się rozumieli. Teraz ich wnuki mówią taką samą polszczyzną jak ci, którzy mieszkają w Gdańsku, Warszawie, Krakowie, ale i niekiedy posługują się językiem nie przez wszystkich zrozumiałym. Ojciec Urszuli mówi wasserwaga na poziomicy. Zwracała mu uwagę, aby przecinaka nie nazywał majzlem, struga – heblem, dłuta – sztamajzą, młotka drewnianego do podbijania dłuta – knyplem, obcęgow – kombinerkami, złącza – klewą, zamka – rygłem, dźwigni – wajchą. Klamra, na którą dziadek wójta mówi szekla, w języku jej ojca to ankier. Brat skończył prawo na Uniwersytecie Zielonogórskim, mieszka i pracuje w Krośnie, w swoim domu mówi szkolną polszczyzną, a gdy przyjeżdża do Jakubina, próbuje wplatać słowa z języka ojca.

JAKUBIN, UL. GŁÓWNA, CZWARTEK, POŁUDNIE

– Takie nieszczęście, panie redaktorze. Pani Mirabella, żona pana Pohlhoffera...

– Już wiem – bąknął Jung. Podziękował sekretarzowi gminy za zaproszenie do jego pokoju, gdzie przy kawie miał czekać na wójta. Za ile minut przyjdzie Ficnerski, tego Dominiak nie wiedział, jak i nikt nie wiedział, dlaczego jeszcze nie ma go w urzędzie. I dlaczego z rana nie zadzwonił. Może został w domu, ponieważ coś nagle nawaliło, na przykład rozszczelniło się złącze rury centralnego ogrzewania i woda zalała się albo przekręcił się zamek w głównych drzwiach. A może wyjechał z Jakubina. Jeżeli wyjechał, to dokąd i kiedy wróci, tego także nikt nie wiedział. Jeśli poczuł się źle, bo złapał gripę czy dało znać o sobie przeziębienie, to dziś nie stawi się w urzędzie. Albo cukrzyca zatrzymała go w łóżku

Splótnąwszy ręce na piersi, sekretarz mówił:

– W ciągu ostatnich ośmiu lat nasz Jakubin zmienił się nie do poznania. Kiedyś wioska podupała jak dziesiątki podobnych, gdzie dominowały pegeery. Biedniutka gmina i biedniutka parafia, bo biedni ludzie. Tylko rozłożyć ręce, usiąść i płakać. Bezsilność, marazm i żadnej nadziei dosłownie. Który młody miał troszkę oleju w głowie i był odważniejszy, wyjechał do roboty za granicę. Starsi żyli z tego, co uchwali w chlewikach, co posiali na porzuconej ziemi i szczęśliwie zebrali, co ukradli w lesie, co przywieźli z wystawek w Niemczech. Gdyby nie zapomogi i renciny, beznadzieja na całej linii – Dominiak powiedział to, co Jung słyszał od mieszkańców innych wiosek nad Bobrem i Nysą. – A teraz, redaktorze, kto ma zdrowe ręce i chęć do roboty, zawsze znajdzie płatne zajęcie. U nas nie pracują jedynie ci, którzy już nie muszą, czyli emeryci. I też nie wszyscy. Starsi, tacy jeszcze na chodzie, dorabiają jako stróże. W Jakubinie jest więcej miejsc pracy niż gmina ma mieszkańców, licząc dzieci i emerytów. Firma HolzPohl, ta od architektury ogrodowej, dzień w dzień przywozi robotników z Krosna, z Gubina, nawet spod Zielonej Góry. Tak samo robi PapPohl. Trzy razy na dzień kursuje autobus do Krosna i z powrotem. Jednych pracowników transportuje do MetPohlu, drugich odwozi. Do BetPohlu, gdzie robota najlepiej płatna, ludziom opłaca się dojeżdżać po czterdzieści kilometrów. Tak samo jest w BudPohlu. Do ChemPohlu mniej chętnych, ale za to zarobek jak w kopalni złota albo i większy. Tam jest tak: godzina pracujesz i godzinę odpoczywasz. Osiem godzin bez przerwy człowiek nie wytrzyma. W zakładzie krawieckim więźniarki z Krzywańca szyją kostiumy na plażę.

Nie kupi się ich w zwyczajnym sklepie. Są w lepszych salonach z ciuszkami dla kobiet. Miejscowi mają robotę w piekarni, w mleczarni, w rzeźni, w browarze, w młynie, w owocarni, w marketach, w szkole, w urzędzie. Czy jest druga taka wieś, żeby jeden bank stał koło drugiego banku? Albo jeden market przy wjeździe, drugi koło kościoła i trzeci na osiedlu za boiskiem? Boisko? Co ja mówię? To stadion sportowy z plastikowymi krzeselkami dla widzów, z szatnią dla piłkarzy, gdzie jest ciepła i zimna woda, z salą widowiskową. PohlArena. Dużo mniejsza od tej na Sulechowskiej w Zielonej Górze, a akuratna na potrzeby Jakubina. Gdzie się odbyły ostatnie mistrzostwa Polski w korfbalu?

Jung zrobił pytającą minę.

– Nie wiem, co jest korfbal – przyznał się. – Pierwszy raz usłyszałem to słowo.

– U nas. – Dominiak zamilkł, jakby spodziewał się pochwały. Nie doczekawszy się, kontynuował: – Będzie redaktor miał czas, proszę zajrzeć do restauracji. Tej niedaleko kościoła. Jak w Palmiarni albo i lepiej. A jak jest festiwal techno... Na tym festiwalu wszyscy zarabiają. Oczywiście najczęściej firmy pana Pohlhoffera. Urząd ma coś z zezwoleń na sprzedaż piwa. Tyle, ile goście festiwalu wtedy wypiją, Jakubin nie wypije przez lato. Żeby inni nie zarabiali, pan Pohlhoffer założył browar PohlBrau. A ile nowych domów stanęło na osiedlu. I to jakich. Dawniej był tam pegeerowski sad. Nie szkoda jabłek, ale co za gruszki. Najwyższa jakość tylko na eksport. Wierzyć się nie chce, że w tym wszystkim maczał palce jeden człowiek. Co tu dużo gadać. Gdyby nie pan Pohlhoffer, byłoby u nas tak, jak po sąsiedzku albo jeszcze gorzej. Dąbie leży przy głównej drodze, to tamtędy jeżdżą autobusy. Jakubin jest na uboczu, można powiedzieć, że w lesie nad rzeką... Prawda, Pohlhoffer to Niemiec. Myśli po niemiecku... E, jaki on tam Niemiec. Już tutejszy. Kaleczy język, bo kaleczy, ale można się z nim dogadać bez tłumacza. Rok temu złożył papiery o polskie obywatelstwo. Na pojutrze dostał zaproszenie od wojewody. Dostanie paszport z ukoronowanym białym orłem na bordowej okładce.

– Mam jeszcze coś do załatwienia w przychodni – przerwał mu Jung. – Którędy do doktor Żółtowskiej?

– Jak redaktor uważa – powiedział niezadowolony sekretarz. – Do przychodni prosto – machnął ręką, jakby wskazywał drogę. – Obok nowej plebanii będzie pawilon. Też nowy. Z jednej strony wejście do biblioteki,

z drugiej do przychodni i apteki. Z urzędu będzie dziesięć minut wolnym krokiem. Szkoda samochodu. Tu wszędzie blisko.

Jung wyszedł na parking przed odrapanym, błagającym o remont budynkiem urzędu, gdzie drzemała jego ibiza. Nie mógł się zdecydować, czy wsiąść do auta, podjechać przed plebanię i tam zaparkować, czy iść pieszo. Po namyśle postanowił, że pójdzie pieszo. Nałyka się świeżego powietrza. Gdyby padało czy wiało, co innego, ale pogoda akuratna na spacer, tym bardziej że od dnia, kiedy Wolfgang Pohlhoffer przeprowadził się do Jakubina, jak powiedział sekretarz gminy, jest co oglądać we wsi.

Nigdy nie udało mu się porozmawiać z Pohlhofferem. Dwa razy próbował. Sekretarka podnosiła słuchawkę, wysłuchiwała go i kazała czekać na zaproszenie, które otrzyma od asystenta. Jung się nie doczekał. Może gdyby kierował działem reportażu czy ekonomicznym, nie pogodziłby się z przegraną. A ponieważ od wypadku śmiertelnego na polowaniu w Jakubinie nie wydarzyło się nic takiego, co by zaciekało Junga jako reportera śledczego, zapomniał o Wolfgangu Pohlhofferze. Teraz postanowił, że pojutrze pójdzie na uroczystość u wojewody i tam spróbuje umówić się z Pohlhofferem na rozmowę o tym, dlaczego wystąpił o przyznanie mu polskiego obywatelstwa. Przecież jako Niemiec może mieszkać i pracować w Jakubinie. Może wybierać radnych i wójta, chociaż i bez tego prawa ma największy wpływ na to, co się dzieje w gminie. Jedyne, czego nie może, to służyć w polskim wojsku, głosować na posłów i senatorów oraz kandydować do parlamentu.

Nie wszyscy ci; którzy do zakończenia drugiej światowej mieszkali na wschodnim brzegu Nysy i Odry, wyjechali lub zostali wysiedleni do Niemiec. Kto chciał zostać i potrafił udokumentować polskie pochodzenie, mógł się starać o pozostanie na ojcowiznie. Gdy otrzymał polskie obywatelstwo, w oczach sąsiadów jednak był Niemcem. Później, kiedy większość z tych pozostawionych na własnej skórze odczuło błąd, sporo z nich wyjechało do zachodnich Niemiec. Nadodrze porzucili przede wszystkim tacy, którzy lepiej mówili po niemiecku niż po polsku. Politycy nazwali to łączeniem rodzin. Razem z nimi wyjechało sporo Ślązaków, Mazurów, nawet Kaszubów, którzy mieli bliskich w Niemczech i przekonywali, że w ich żyłach płynie niemiecka krew. A teraz ci sami Ślązacy, Mazurzy, Kaszubi jako emeryci wracają za wschodnią Odrę i Nysę. Tu kupują stare domy, remontują je i swoim bogactwem kołają w oczy

zasiedziałyh mieszkańców. W Łagowie, w Lubniewicach i w letniskach wokół Jeziora Sławskiego wyrosły osiedla nazywane przez miejscowych niemieckimi koloniami. Po polskiej stronie, o żabi skok od Berlina, na razie jest dużo taniej. Gdy pierwsi emeryci zaczęli przekraczać wschodnie brzegi Odry i Nysy, sklepikarze rozpoczęli naukę niemieckiego języka. Po nich na kursy poszli dentyści, interniści, pielęgniarki, aptekarze, taksówkarze, stolarze, kwiaciarki, jubilerzy, restauratorzy i kelnerki, nawet księża i właściciele zakładów pogrzebowych.

Ojciec Miśki, którzy jako lekarz szpitalny całe dorosłe życie spędził z niemiecką żoną w Chociebużu, gdy tylko został emerytem, prosił Daniela, aby pomógł mu kupić stary dom na wsi blisko Zielonej Góry. Wyremontuje go i kiedyś przepisze na córkę albo na któregoś wnuka, bo przecież nie zabierze majątku ze sobą do grobu. Tak powiedział. Daniel długo go przekonywał, że samodzielny dom to kłopoty od rana do wieczora, a i często w nocy. Teść najlepiej zrobi, jeżeli na starość pozostanie w dotychczasowym mieszkaniu albo przeniesie się do domu opieki. Miśka będzie go odwiedzała tak często, jak to okaże się niezbędne albo i jeszcze częściej. Dwa, trzy razy w roku Miśka upiecze sernik lub szarlotkę, kupi domowy chleb, szynkę doprawioną ziołami, jajka z chowu ściółkowego, wiejski twaróg i co tam jeszcze mu się przypomni z lat, kiedy mieszkał w Polsce. Daniel zapali ibizę i przyjadą do Zum Schlangenkönig niedaleko Mittenwalde. Tak się dzieje. Teść jest zadowolony, a Miśka i Daniel mają spokojne głowy.

A kto będzie odwiedzał ojca, gdy oboje wyjadą do Kopenhagi?

JAKUBIN, UL. SADOWA, CZWARTEK, BARDZO WCZESNE POPOŁUDNIE

Otworzenie drzwi po pomocy breszki zajęło strażakowi z brodą nie więcej niż dziesięć sekund. Kiedy to się stało, jego starszy kolega wyciągnął rękę w stronę policjanta, co oznaczało, że dzielnicowy powinien pierwszy wejść do domu.

W salonie nie było nikogo. Pomimo to aspirant długo się rozglądał, jakby nie wierzył własnym oczom, potem stanął niemal na baczność i nastawił uszu. Wydawało mu się, że usłyszał jakiś dźwięk.

– On tak głośno tyka – powiedział strażak z brodą i wąsami, pokazując na zegar uczepiony ściany między oknem i kominkiem. – Widać, że chińska taniocha.

– Żona kupiła czosnek. Nie zalatuje czosnkiem. Pewnie chiński, bo nasz to. Niedługo wszystko będzie z Chin – wtrącił drugi strażak.

– Sypialnia jest na piętrze? – aspirant zwrócił się do Urszuli. Kiedy to potwierdziła, zdecydował: – Idziemy tam.

Drzwi do dwóch pokoi po lewej stronie były niedomknięte. Policjant najpierw zajrzał do pierwszego, gdzie na jednej ścianie wisiały plakaty z bajecznie kolorowymi samochodami, na drugiej prezentowali się żuźłowcy Gremplera. Domyślił się, że to pokój syna Ficnerskiego. W sąsiednim królowały barwne zdjęcia młodych kobiet w obcisłych kostiumach. Przypuszczał, że to gniazdko córki. Jego najmłodsza też tak wymościła jedną ścianę. Druga ściana, pełna fotosów modelek, należy do starszej córki. Potem otworzył drzwi środkowego pokoju. Królował w nim regał, po półkach którego od podłogi aż do sufitu wspinały się książki. Dzielnicowy był w wielu domach, ale tylu książek w jednym pokoju jeszcze nie widział. Na stoliku między kanapą i dwoma fotelami stała do połowy opróżniona butelka i szklanka wytłoczonym z boku napisem. Nie wiedział, jaki smak ma to, co pozostało w kwadratowej butelce z etykietą johnnie walker. Pomyślał jednak, że musi sporo kosztować.

W sypialni, poza zwisającym z sufitu czerwonym baldachimem ze złocistymi frędzlami i koronkami, nie było niczego, co by zainteresowało policjanta. Po obu stronach łóżka małżeńskiego przykrytego kapą w kolorze baldachimu i z takimi samymi ozdobami stały szafki nocne, na jednej tykał budzik i wystawała zakładka z książki. Niemal cały blat drugiej szafki zajmowały tubki, flakoniki i pudełeczka. Nad łóżkiem wisiało monidło, a na bocznych ścianach święte obrazki. Na komódce stał telewizor, pod nim skrył się odtwarzacz płyt kompaktowych. Gdyby na drugiej szafce oprócz kosmetyków leżały kolorowe czasopisma, byłoby jak w naszej sypialni, pomyślał aspirant zadowolony.

– I co? – Dzielnicowy odwrócił się do Urszuli, splótłszy ręce przed sobą. – Uprzedzałem, że za niezasadne wezwanie policji i straży...

– Wójt gdzieś tu musi być – sekretarka nie pozwoliła mu dokończyć zdania.

– Gdyby chciał schować się pod łóżkiem... Z takim maćkiem – pokazał na strażaka z brodą – nie da rady, ale Ficnerski to skóra i same gnaty.

– Przecież nie mógł wyjechać. Passat stoi w garażu – przypomniała Urszula.

– I tylko na tej podstawie pani twierdzi, że nie wyjechał? A nie mógł z kimś się zabrać?

– Dokąd miałby?

– No... no...

– Trzeba sprawdzić jeszcze dwa pomieszczenia. Garderobę i łazienkę – powiedziała sekretarka takim tonem, jakby ona była tą najważniejszą osobą.

Aby ją zbyć, policjant zapalił światło w garderobie i wetknął tam głowę.

– Żywego ducha – stwierdził. – Dla formalności, żeby pani nie zarzuciła nam ignorancji, zajrzyjmy i do łazieneczki – powiedział bardziej do siebie i strażaków niż do Urszuli. – Boże jedyny! – Oparłszy się mocno ramieniem o ścianę, natychmiast zamknął drzwi. Stał tak z pół minuty, może dłużej, a gdy się odwrócił, był blady. – W kabinie po-od prysznicy.

– Co pod prysznicem? – zapytał strażak z wąsami i brodą.

– Człowiek.

– Kąpie się?

Jeszcze bardziej blady aspirant sztabowy nieznacznie pokręcił głową.

– Ficnerski?

– Chyba on. Mężczyzna.

– Nasz wójt?

Aspirant sztabowy przymknął oczy.

JAKUBIN, UL. GŁÓWNA, CZWARTEK, WCZESNE POPOŁUDNIE

Minąwszy pocztę, szkołę, przedszkole i kryjący się za świerkami budynek nadleśnictwa Jung przyznał rację sekretarzowi gminy. Jakubin, mimo że jest wsią okoloną wrzosowymi lasami, nie wygląda jak wieś. W której wsi przy chodniku stoją ławki z oparciami i nikt ich nie połamał? Już chciał pochwalić mieszkańców za to, że nawet płoty przed domami wyglądają tak, jakby wczoraj zostały pomalowane, gdy odezwała się komórka w kieszeni kurtki. Wójt przyjechał do urzędu, trzeba wrócić, pomyślał niezadowolony. Zerknął

na wyświetlacz. Miśka o tej porze? Nie pamięta, kiedy ostatni raz rozmawiał z żoną przez telefon. Coś bardzo pilnego, uznał i kciukiem przesunął zieloną ikonkę w górę.

– Dzwonili z Kopenhagi – usłyszał. – Najpóźniej za godzinę muszę dać odpowiedź, jakie mają wynająć mieszkanie. Kawalerkę dla jednej osoby czy apartament rodzinny? Dłużej nie mogą czekać. Daniel, ja też mam tego dość. Zamiast...

– Apartament – rzucił, nie pozwalając żonie dokończyć zdania.

– Powtórz.

– A-par-ta-ment ro-dzi-nny.

– Daniel, jednak jedziesz ze mną? – zapytała, jakby nie wierzyła w to, co usłyszała. – Naprawdę jedziesz? Jednak się zdecydowałaś.

– Naprawdę.

– Jestem ci tak wdzięczna, jak tylko żona może być wdzięczna mężowi po blisko trzydziestu latach małżeństwa. Potwierdź to w sposób szczególny po twoim powrocie do domu.

Nie spytał, czego ma się spodziewać wieczorem. Pewnie Miśka przygotuje coś pysznego na kolację. Daniel lubi zapiekankę makaronową ze smażoną wieprzowiną, fasolką i ostrą papryką. Do tego musi być schłodzone białe wino. Miśka nie spytała, co spowodowało, że zmienił zdanie i pojedzie z nią do Kopenhagi. Dwa dni temu jeszcze się zastanawiał. Przede wszystkim dlatego, że nie umiał sobie wymyślić zajęcia w Danii, a jako bezrobotny i na utrzymaniu żony czułby się źle.

Miał przed sobą nowy parterowy budynek, opasany pergolami, po których mimo coraz bardziej chłodnej jesieni wspinały się amarantowe i złociste róże. Latem budynek pewnie był niewidoczny zza kwiatów. Nad schodami wisały w równym szeregu czerwone tablice z białymi literami. Dowiedział się z nich, że oprócz praktyki lekarskiej Vita-Med-bis wewnątrz znajduje się apteka całodobowa Przy Głównej, Gminny Ośrodek Pomocy Społecznej, Centrum Usług Wspólnych, Gminna Biblioteka Publiczna imienia Władysława Reymonta, wypożyczalnia naczyń KGW i Stowarzyszenie Przyjaciół Jakubina.

– Ja do doktor Żółtowskiej – powiedział do kobiety w śliwkowej bluzie, wpatrującej się z ekran telewizora na biurku.

– Pacjent pani doktor? – zapytała po chwili, nie podnosząc wzroku na Junga. – Jak nazwisko? Adres?

– Jestem dziennikarzem. Wczoraj telefonowałem do doktor Żółtowskiej.

Dopiero teraz kobieta oderwała oczy od ekranu. Szczęząc zęby pokazała ręką na przeszklone drzwi, za którymi jarzyła się neonówka. Jung pomyślał, że to poczekalnia dla pacjentów. Gdyby był ktoś w niej był, usiadłby na krześle i cierpliwie czekał.

– Nazywam się Daniel Jung – przedstawił się zaraz po wejściu do gabinetu.

Lekarka podniosła się z za biurka, uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego dłoń.

– Wczoraj, kiedy rozmawialiśmy przez telefon, nie przyznałam się, że znam pana jako autora. Nie czytam „Zielonogórskiej” codziennie, ale to nic nagannego, prawda? Radio jest szybsze i nie trzeba się wysilać – pokazała ręką na stolik przy ścianie za swoim fotelem. – Co pana redaktora sprowadziło do mnie? Chyba nie jakaś sprawa osobista. Może skarga pacjenta?

Powinien wyjaśnić, że wójt go zaprosił, co byłoby faktem nie do podważenia. Pomiął to, tym bardziej że podczas wczorajszej rozmowy z Ficnerskim przez telefon nie wszystko zrozumiał.

– Mirabella Pohlhoffer – odpowiedział. – Interesuje mnie wszystko, co się wiąże z Mirabellą Pohlhoffer.

– Też tak sądziłam, ale nie miałam odwagi o to zapytać – przyznała się cicho, jakby się wstydziła.

– Wstępnym zdaniem prokuratury Mirabella Pohlhoffer popełniła samobójstwo.

– Taka informacja również do mnie dotarła.

– Część śledczych ma wątpliwości, czy na pewno to było samobójstwo. Wątpliwości także ma lekarka, biegła sądowa, która przeprowadziła oględziny zwłok. Zdaję sobie sprawę z tego, że pani nie opowie się po jednej czy drugiej stronie. Mimo to chciałbym zadać pani kilka pytań, prosząc o szczerą odpowiedź.

– Skoro wczoraj zgodziłam się na rozmowę z panem redaktorem, proszę pytać. I proszę mieć na uwadze to, że mogę nie odpowiedzieć na wszystkie pytania, gdyż obowiązuje mnie tajemnica lekarska. Przepraszam, najpierw ja. Powinien pan wybrać się do okulisty.

Jung potarł oczy palcami. To aż tak źle ze mną?

– A pani... Skoro jestem...

– Jestem tylko wiejską lekarką. Oczywiście... to poważniejsza sprawa. Prawdopodobnie cierpi pan z powodu tak zwanego zespołu suchego oka. Dużo pan pracuje przy komputerze. Mój mąż...

– Dużo, nie dużo. Tyle, ile muszę. Takie czasy. Gdybym był ochroniarzem...

– Gdyby był pan ochroniarzem, oglądałby pan telewizję na okrągło. Ta osoba, która rejestruje pacjentów – lekarka kiwnęła głową w kierunku drzwi – poskarżyła mi się na pieczenie oczu. Dostała skierowanie do poradni okulistycznej i, niech się pan nie śmieje, zostanie przyjęta za osiem miesięcy. Taka jest kolejka. A miało być lepiej. Co innego prywatnie. Nawet jutro.

– Lepiej, jak twierdzi mój kolega z policji, już było. – Jung nie powiedział, że tak często mówi komisarz Syski. – I ta z rejestracji będzie czekała?

– Poradziłam jej, żeby poszła do apteki po krople nawilżające. Są w wolnej sprzedaży.

– Pomogły?

Żółtowska się roześmiała.

– Znowu ogląda telewizję. To znaczy, że jej pomogły. Gdybym miała na kogo, już dawno bym ją zwolniła. I co dalej? Od dnia, kiedy Pohlhoffer przyjechał do Jakubina, tu jest pustynia kadrowa. Mężowie dobrze zarabiają, to żony siedzą w domach.

Jung westchnął, jakby zgadzał się z Żółtowską.

– Czy Mirabella Pohlhoffer była pani pacjentką?

– Jestem jedyną lekarką w Jakubinie. Wszyscy mieszkańcy tej gminy znajdują się pod moją opieką. Nawet rodziny policjantów, pomimo tego że z urzędu są przypisane do lekarzy w poliklinice.

– Domyślam się, że pani potwierdzi, iż Mirabella Pohlhoffer bywała w tym gabinecie.

Żółtowska przytaknęła i splotła ręce na piersiach, po czym zrobiła taką minę, jakby nie zrozumiała, co powiedział Jung.

– Po to jest gabinet.

– Czy jej obecność w tym miejscu dotyczyła jedynie okresowych badań i chorób uważanych za sezonowe? Niegroźne, ale dokuczliwe. Na przykład grypy, przeziębienia, kataru. Czy może takich, które wymagają dłuższego leczenia przy udziale specjalisty? Na przykład... depresji.

– Przed chwilą zaznaczyłam, panie redaktorze, że obowiązuje mnie tajemnica lekarska. Dlatego jako lekarka rodzinna nie odpowiem na zadane

pytanie tak, jak pan tego przypuszczalnie oczekuje. – Jung miał na końcu języka zapewnienie, że tego, co usłyszy, nikomu nie powtórzy i nigdzie nie wykorzysta, gdy Żółtowska kontynuowała: – Bella nie była tylko moją pacjentką. Była także moją bratową.

– Mirabella to siostra pani męża? – Udał, że o tym nie wie.

Żółtowska potwierdziła ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

– Duchowo żyłyśmy nie za blisko siebie, ale w przykładowej zgodzie. Największy problem Belli dotyczył tego, że nie miała dziecka, a zbliżała się do granicy wieku, po przekroczeniu której kobieta nie powinna zająć w ciążę. Ona tak bardzo pragnęła... Dlatego rzadko przychodziła do nas. Częściej telefonowała, chociaż pomiędzy pałacem, gdzie mieszkała, a naszym domem jest nie więcej niż pięć minut drogi.

– Czyżby Mirabella nie odwiedzała swojego brata? Miała powody? A czy pani mąż bywał w pałacu?

– Nie będę wdawała się w to, co się dzieje w psychice kobiety, która jest świadoma tego, że nigdy nie zostanie biologiczną matką. Pan należy do ludzi wykształconych, inteligentnych, więc z łatwością to zrozumie. Dopowiem ogólnie, że tak jak każdy mężczyzna chce podbijać świat, rządzić, decydować... tak każda kobieta, z małymi wyjątkami, chce być podziwiana przez wielu, ale kochana przez jednego mężczyznę. To pierwszy fenomen kobiecości, coś w rodzaju choroby, obsesji przynależnej słabszej płci, jak twierdzą psychologowie kliniczni, ale nie uważają tego za chorobę. I każda kobieta, znowu z małymi wyjątkami, chce urodzić dziecko. To drugi fenomen kobiecości. Bella na pewno była kochana przez pierwszego męża. Olgierda. – Umilkła, jakby się zastanawiała, czy może powiedzieć wszystko, nawet to, czego nie była pewna. Po chwili kontynuowała: – Drugi mąż, Wolfgang, jest przeciwieństwem pierwszego. Czy ją kochał? Mam wątpliwości. Czy ona go kochała? Także mam wątpliwości.

– Małżeństwo z rozsądku?

– Tego nie jestem pewna.

– Dlaczego zgodziła się wyjść za Pohlhoffera?

– Na ten temat nigdy nie rozmawiałyśmy. – Żółtowska miała taki wyraz twarzy, jakby czuła się winna. – Z moich obserwacji wynikało, że Wolfgang traktował Bellę bardziej jak dobrą znajomą, a nie, czego ona pragnęła i czego ja się domyślam, jak najbliższą osobę. Chyba jej nie rozumiał lub, tego także tylko się domyślam, ożenił się z nią z innego powodu niż uczynił to,

na przykład mój Antoni, biorąc mnie za swoją żonę i zakładając rodzinę. Mamy dwoje dzieci.

– Wracając do bratowej, czy uważa pani, że w jednej skórze były dwie Mirabelle?

– W jakim znaczeniu?

– Jedna chciała żyć, kochać i być kochaną. Druga miała dość takiego życia, jakie miała. Chciała umrzeć. Ta druga popełniła samobójstwo, bo wiedziała, że nie jest kochana i nie zostanie matką. Bo bała się samotności na stare lata. Bo nie chciała, żeby obcy ją myli, karmili i czekali na jej śmierć.

– Nie wierzę. Zawsze wydawało mi się, że dobrze ją poznałam jako bratowa i jako lekarka. Chociaż teraz, kiedy usłyszałam od pana to, co usłyszałam, mam wątpliwości, czy na pewno dobrze ją poznałam. – Odezwał się telefon na biurku. – Przepraszam. Muszę odebrać. – Podniosła słuchawkę i przez chwilę milczała, coraz bardziej skupionymi oczyma wpatrując się w Junga. Daniel domyślił się, że to koniec rozmowy. W zasadzie Żółtowska wyjaśniła mu wszystko, czego oczekiwał. Zostało pytanie dotyczące polisy na życie. – Coś się wydarzyło w domu naszego wójta – powiedziała, podnosząc się zza biurka. – Natychmiast muszę tam jechać.

JAKUBIN, UL. SADOWA, CZWARTEK, WCZESNE POPOŁUDNIE

Wezwanie medyka sądowego z Zielonej Góry i czekanie godzinę albo i dłużej, żeby potwierdził to, czego była pewna lekarka rodzinna, prokurator Wojtczak uznał za stratę czasu. Zdaniem Żółtowskiej wójt nie żyje co najmniej od dwunastu godzin.

– Jestem lekarzem podstawowej opieki zdrowotnej, a nie specjalistką z zakresu patologii i medycyny sądowej. Moja opinia nie będzie więc mogła być wzięta pod uwagę przez sąd w sytuacji, gdyby się okazało, że w tym domu doszło do morderstwa – zaznaczyła Żółtowska. – Moim zadaniem jest stwierdzenie ustania oznak życia i wypełnienie formularza, na podstawie którego urząd stanu cywilnego wystawi akt zgonu. Dopiero wtedy rodzina będzie mogła pochować zwłoki. Oczywiście po uzyskaniu zgody właściwych władz – zaznaczyła, odwracając się do prokuratora. – Potwierdzam zatem, że Adam Ficnerski od wielu lat był moim pacjentem. Również znajdował się

pod opieką znanego w Zielonej Górze specjalisty z zakresu diabetologii. Ponieważ nawet w zaszłej sytuacji obowiązuje mnie tajemnica lekarska, nie powiem ze szczegółami, na co pacjent cierpiał i czy to mogło być przyczyną zgonu. Powiem to jedynie na wezwanie sądu. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. W karcie zgonu jako przyczynę śmierci podam wykrwawienie na wskutek wzdłużnych przecięć naczyń krwionośnych powyżej przegubów obu dłoni. Stało się to przy pomocy wyjątkowo ostrego przedmiotu.

– To znaczy? – zapytał Wojtczak, jakby nie wszystko zrozumiał.

– Znane mi i najbardziej ostre narzędzia to: skalpel, żyłotka i brzytwa. Na wsi jako ostre są traktowane: kosa, sierp i piła. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby doszło do przecięcia naczyń krwionośnych przy użyciu siekiery czy tasaka bez naruszenia kości. Okuliści i dermatolodzy używają laserów do przecinania tkanek. Niestety, panie prokuratorze, na tym się kończy moja wiedza w przedmiotowej sprawie.

– Czy bierze pani pod uwagę samobójstwo? – dociekał coraz bardziej niecierpliwy Wojtczak.

Lekarka popatrzyła na prokuratora z pobłażaniem, zwłaszcza że знаła jego rodziców jako pacjentów i wiedziała, gdzie pracuje jego siostra. Chwilę milczała, jakby coś przyszło jej do głowy, lecz nie miała pewności, czy tym nie podważy swego autorytetu, po czym powiedziała wymijająco:

– Na pytanie, co to było, samobójstwo czy morderstwo, udowodnionej odpowiedzi będzie musiała dostarczyć policja. O ile wie wiem, jeszcze się nie zdarzyło, żeby osoba, która wybrała śmierć samobójczą, przecięła sobie żyły wzdłuż u obu rąk jednocześnie. Na ogół robią to młode kobiety, ale wcale nie po to, żeby się wykrwawić i umrzeć. – Wojtczak otworzył usta, szybko więc dodała: – Robią to po to, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Prokurator uśmiechnął się zadowolony i spojrzał na nią wzrokiem, w którym aprobata mieszała się z podziękowaniem.

– Na mój nos ktoś pomógł panu Ficnerskiemu rozstać się z tym światem – powiedział dzielnicowy do podkomisarza Tarniowego. – Szykuje się zachrzan na wiele dni. Gdyby chodziło o zwyczajnego Kowalskiego... a to wójt przecież. W dodatku wójt gminy na fali.

– O ile wiem, osoba chorująca na cukrzycę, jeśli jej się życie znudzi, może to zrobić bardzo łatwo i bezboleśnie. Wystarczy przedawkować insulinę. Śpiączka na wieki wieków murowana. Insulina w tej sytuacji jest

nie do wykrycia jako przyczyna zgonu – popisał się swoją wiedzą podkomisarz.

Żółtowska skinęła głową, co oznaczało, że zgadza się z policjantem. Poznała Ficnerskiego jeszcze zanim został nauczycielem angielskiego. Już wtedy miał głowę pełną pomysłów, dlatego nie wierzyła, że z własnej woli rozstał się z tym światem. Jak każdy cukrzyk, który nie przestrzega diety, mógł nagle zasłabnąć, umrzeć z powodu zawału serca, miażdżycy, udaru mózgu, wylewu, zatoru płucnego, niewydolności nerek, marskości wątroby, nadciśnienia tętniczego i dziesiątki podobnych schorzeń z rakiem na czele. Była pewna, że Ficnerski nie cierpiał na schizofrenię, depresję, urojenia czy jakieś inne zaburzenie psychiczne. Pod tym względem wójt był okazem zdrowia i wzorem, czego nie mogła powiedzieć o swoim mężu, który z byle powodu się denerwował i wtedy wyjmował butelkę asbacha z barku. Ileż razy Tonik mówił, że dłużej nie wytrzyma. Coś sobie robi. Ma dość wtrącania się Pohlhoffera do wszystkiego i jego decyzji podejmowanych bez uprzedzenia. Antoni Żółtowski dawno by się zwolnił i wyjechał z Jakubina, tyle że nigdzie tyle nie zarobi. Zresztą sam Pohlhoffer jest do zaakceptowania, ale nie w parze ze swoim asystentem jako kierowcą, ochroniarzem, tłumaczem i ukrywanym kochankiem. Niestety, Bieloka nie da się pozbyć.

– Na pierwszy rzut oka wygląda to tak, że Ficnerski popełnił samobójstwo. Zastanawiam się, co go do tego zmusiło. Jakies sprawy administracyjne? Kwestie osobiste? Niepowodzenia? – zaczął rozważać prokurator. – Trzeba popробować to wyjaśnić. Być może, z pana doświadczeniem, panie podkomisarzu, się uda. Życzę zatem powodzenia.

– Jednoznacznej odpowiedzi na żadne z tych pytań nigdy nie poznamy. Może natrafimy na jakieś poszlaki, tyle że poszlaki to nie dowody i nawet początkujący sędzia będzie się starał je odrzucić. Powtarzam: jeżeli to było samobójstwo – zaznaczył Tarniowy. – A czy nie powinniśmy wziąć pod uwagę innej hipotezy?

– Zabójstwo, jak sugeruje pani doktor? – Wojtczak zrobił pytającą minę. – Pan sądzi, że wójt został zamordowany? – Policjant nie odpowiedział, prokurator więc kontynuował: – Słusznie. Na wstępnym etapie śledztwa nie można tego wykluczyć. Wszystko trzeba brać pod uwagę. Tylko, panie podkomisarzu, kto by odważył się to zrobić? To pierwsze pytanie. Drugie jest krótkie: dlaczego? A przy okazji spostrzeżenie: ile trzeba mieć siły, żeby nawet takie chuchro... Tu nie widać żadnego śladu walki.

– I żadnego narzędzia, którym tego dokonano – przypomniał policjant. – Przecież gdyby Ficnerski zdecydował się odebrać sobie życie przez, jak pani doktor określiła, wykrwawienie się, to gdzie jest ten przedmiot, przy pomocy którego przeciął sobie naczynia krwionośne? A może założył opaski zaciskowe na obie ręce, najpierw przeciął jedną żyłę, potem drugą, umył żyłkę czy co tam miał i schował to w szafce pod umywalką, żeby nie obryzgać ścian łazienki? Kto wchodzi w ubraniu pod prysznic? Po co?

– Tu się z panem zgadzam, podkomisarzu.

– Na dziewięćdziesiąt procent należy przyjąć, że wójt został zamordowany. I pod tym względem prowadzić śledztwo.

– Póki...

– Jeszcze jedno – Tarniowy nie dopuścił do głosu Wojtczaka. – To uwaga wyłącznie teoretyczna. Ze studiów nie wszystko pamiętam, ale akurat to pozostało mi w głowie. Może dlatego, że rzadko miałem do czynienia z samobójcami. Prawdę mówiąc, to tylko raz na początku służby jeszcze w komendzie w Zielonej Górze.

– Był pan podwładnym Syskiego? – Gdy policjant potaknął, prokurator dodał: – Często skakaliśmy sobie do oczu, ale śledczy z niego pierwsza klasa. Mistrz w zbieraniu dowodów. Dawno powinien być co najmniej młodszym inspektorem. Jest tylko komisarzem, a już był nadkomisarzem. Wie pan dlaczego został zdegradowany?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, Tarniowy toczył wcześniej rozpoczętą narrację:

– To wydarzenie będę pamiętać do końca życia. Nowy, taki z nadania politycznego nadleśniczy zwolnił z pracy długoletniego, starszego leśnika dlatego, że był w wieku emerytalnym i nie pochwałał zmian, jakie zaczął wprowadzać nowy szef. Nie tylko zwolnił, ale i kazał mu wynieść się ze służbowej leśniczówki, w której stary mieszkał tak długo, jak długo był leśnikiem. Coś ponad trzydzieści lat. Tę leśniczówkę miał ochotę zająć nowy nadleśniczy ze swoją rodziną. Staremu zaproponował pokój w domu zasłużonego pracownika Lasów Państwowych. Jeszcze tego samego dnia stary leśnik zastrzelił się ze sztucera. Dlaczego to zrobił, wyjaśnił w liście pożegnalnym. – Tarniowy umilkł. Nikt się nie odezwał. Po chwili policjant kontynuował: – Ze studiów jednak zapamiętałem, że każdy samobójca, bez względu na to, w jaki sposób odebrał sobie życie, zawsze zostawia list.

Pomimo niedoskonałej natury człowieka w każdym samobójcy jest coś takiego, co przed rozstaniem się ze światem, a może bardziej z bliskimi, każe mu napisać usprawiedliwienie. Jakby tą drogą samobójca wskazywał winnego lub prosił, żeby nie szukać tego, który zmusił go do targnięcia się na swoje życie. To coś w rodzaju spowiedzi bez rozgrzeszenia i ostatniego namaszczenia.

– List pożegnalny. – Wojtczak się skrzywił. – Gdyby pan miał rację, to Ficnerski powinien zostawić taki list. Czy zostawił? Gdzie? Ktoś go szukał?

– Technicy pracują. Na list jeszcze nie trafili – wyjaśnił spokojnie Tarniowy. – Na razie wykonują czynności podstawowe. Zbiorą ślady i wtedy zaczną zaglądać gdzie się tylko da. Mnie, panie prokuratorze, zastanawia jeszcze jedno.

– Też zapamiętał pan to ze studiów?

– Ficnerski jest jak patyk, na oko ze czterdzieści, pięćdziesiąt kilo. Przy wzroście z metr osiemdziesiąt... Czy jeden człowiek, choćby atleta, jest w stanie go unieść, żeby nie zostawić żadnego śladu?

– Aha, jest pan zdania, podkomisarzu, że jednak mamy do czynienia z zabójstwem. I że zabójców było co najmniej dwóch? Tak pan myśli?

– Myślę, że Ficnerski dobrze znał zabójców. Że wpuścił ich do swego domu, niczego nie podejrzewając. I że tu wydarzyło się coś, czym będziemy cholernie zaskoczeni.

Prokurator uniósł brwi.

– Aż tak...? Proszę, aby pan wykasował z głowy to, co powiedziała doktor Żółtowska.

– Słyszałem, o czym rozmawiacie, dlatego nie czekając na naszego informatyka, zajrzałem do komórki. Nie jakiś tam supernowoczesny tablet. Prosty w obsłudze samsung. Zresztą wszystkie telefony niewiele różnią się pomiędzy sobą – powiedział szef techników kryminalistycznych do Tarniowego i Wojtczaka. Wyciągnął lewą dłoń przed siebie i położył na niej komórkę. – To chyba jednak było samobójstwo.

– Co to było, ustali śledztwo. A ty mów do rzeczy – skarcił go podkomisarz.

– Denat zostawił coś w rodzaju listu pożegnalnego. – Szef techników włączył komórkę i palcem wskazującym prawej dłoni najechał na ikonkę, pod którą kryły się „Wiadomości wysłane”. – Sto sześć znaków. Język... jakby to napisał ktoś po zawodówce. Pewnie był rozemocjonowany. Zresztą ja też,

jak wysyłam esemesa do mojej starej, to na błędy nie zważam. Wiadomość wyszła o dwudziestej drugiej siedemnaście.

– Do kogo?

– Do Aśki.

– Do Aśki? – zaciekawiał się Tarniowy.

– Aśka to prawdopodobnie żona wójta. W sypialni obok telewizora stoją dwa zdjęcia w ramach. Na jednym jest mężczyzna, jakby Ficnerski w młodości, na drugim kobieta, pewnie wtedy jego narzeczona. Z tyłu, na zdjęciu tym z kobietą, jest taka dedykacja: „Pragnę Twojej miłości, smaku Twoich ust, Twoich pieścizot i miłych słów. Na zawsze ta jedyna – Aśka”.

– Ładne – powiedział Wojtczak, zaciskając dłonie. Nie przyznał się, że z Aśką chodził do tej samej klasy. Niewiele brakowało, a zostałaaby jego żoną. – Odebrała tego esemesa, co denat go wysłał? To znaczy, jak kolega – pokazał na szefa techników – zaznaczył, coś w rodzaju listu pożegnalnego.

– Pani Ficnerska jest na szkoleniu w Zielonej Górze. Dotąd nie odebrała wiadomości. Jak to często bywa z kobietami, pewnie rozładowała się jej komórka albo nie zabrała ładowarki ze sobą.

– Trzeba ją jakoś przygotować – zdecydował Tarniowy, zwracając się do dzielnicowego.

Żółtowska pobladła. Zasłoniła usta dłonią. Oparła się plecami o ścianę i zwiesiła głowę na ramię. Wyglądała tak, jakby przestała oddychać.

– O Boże jedyny – jęknęła. – To niemożliwe.

– Co takiego, pani doktor? – zapytał Wojtczak.

– Bella. Identycznie było z Bellą.

– O kim pani mówi?

– O mojej bratowej. Bella pojechała do Zielonej Góry na wesele swojej kuzynki. Mój mąż też miał jechać, ale nie najlepiej się czuł. Bellę znaleziono nieżywą w wannie w hotelu Grempler. Też miała podcięte żyły u obu rąk. Też wzdłuż.

– Dawno to się stało?

– Pięć dni temu. Jutro pogrzeb.

– Pierwsze słyszę. „Zielonogórska” chyba o tym nie pisała.

– W gazecie było we wtorek. O Belli i wypadku na drodze w Dąbiu.

JAKUBIN, UL. GŁÓWNA, CZWARTEK, WCZESNE POŁUDNIE

Lukas Bielok czuł słodko-gorzki smak czerniny. Już od śniadania nie mógł się doczekać obiadu. Właściwie to od popołudnia w niedzielę, kiedy po sumie ksiądz Zygmunt powiedział mu, że wreszcie kaczkę urosły i w środę zaprasza go na czerninę. Pochwalił się Wolfgangowi, a ten zrobił bolesciwą minę. Nie rozumiał, dlaczego on zawsze tak się zachowuje na napomknięcie o nie mającej sobie równej najbardziej wykwintnej zupie na świecie. Lukas oddałby za nią wszystkie kotlety, rolady, sznycle, gołonki, karminadle. Czerninę mógłby jeść trzy razy dziennie i nigdy nie miałby jej dość. Pamięta z dzieciństwa, że od poniedziałku do soboty wiosną i latem *uma*³⁴ najczęściej gotowała wodziankę, kartoflaną zalewając albo *ciaperkapustę*³⁵, a w niedziele i święta stawiała na stole garniec żurku z plasterkami swojskiej kielbasy i z tartymi kluskami. Niekiedy były jeszcze *gumiklyjzy*³⁶. Lukas nie lubił żurku, jednak jadł, ponieważ niczego więcej nie było na stole. Gdyby poprosił o *maszkety*³⁷, na przykład *sznitkę*³⁸ zwilżoną wodą i posypaną cukrem, *uma* by mu nie odmówiła, ale dopiero po obiedzie. Pytał, kiedy będzie czernina. *Uma* odpowiadała, że nie wcześniej aż spadnie śnieg i ściśnie mróz. Wtedy w sobotę *upa*³⁹ pójdzie do komórki, tam spuści krew z trusa⁴⁰ i ściągnie skórę, ona sprawi mięso i obierze dużo warzyw. W niedzielę rano *uma* postawi garnek z tym mięsem i warzywami na piecu kuchennym, rozpali pod nim ogień i będzie długo *pyrlila*⁴¹. Później obierze kartofle, zetrze je na tarce, doda jajko i mąkę, drewnianą łyżką uformuje kluski, bo czernina bez tartych klusek to nie czernina. Kluski zaczną *pyrlić* dopiero po tym, kiedy farorz, jak nazywała księżka, zawoła *Ite, missaa est*⁴².

– Zapraszam, zapraszam – powiedział proboszcz, ściskając dłoń Bieloka. – Na początek po kieliszeczkę ziołówki? – Nawet gdyby Lukas odmówił, ksiądz Zygmunt zapewniłby go, że kieliszek na apetyt jeszcze nikomu nie zaszkodził. Proboszcz powinien pamiętać, że i bez nalewki Lukas ma wilczy apetyt na czerninę. Po obiedzie *gospoia* wyjmie z kredensu karafkę z orzechówką i wytłumaczy, że to na lepsze trawienie. Lukas wypije jeden kieliszek, ale tylko dlatego, żeby dotrzymać towarzystwa proboszczowi.

Zawsze jest tak samo, odkąd Bielok przychodzi na plebanie. Ksiądz Zygmunt wskazuje Lukasowi krzesło przy dłuższym boku stołu, sam siada po przeciwnej stronie, żeby patrzeć mu w oczy. Najpierw proboszcz odmawia

modlitwę przed jedzeniem, a potem, jeszcze mając złożone dłonie, dziękuje Panu Niebios za to, że skierował na plebanię tak sprytną gosposię, jaką jest pani Stasia. Proboszczowie w sąsiednich parafiach narzekają na gosposie, a ksiądz Zygmunt nie może się jej nachwalić. Nie dość że ugotuje, upiecze, wysprząta plebanię, to jeszcze pamięta o posadzeniu w warzywniku tego, co jest nieodzowne w kuchni, żeby obiady były wykwintne. Chowa kury, kaczki i króliki. Kury najpierw na jajka, później na rosół. Kaczki i króliki od razu na czerninę i mięso.

– To nie mogą być zwyczajne kaczki. Pani Stasia hoduje kaczki francuskie. A dlaczego francuskie? Stasiu, proszę wytłumaczyć panu Lukasowi. – Ksiądz Zygmunt zachęcił gosposię, chociaż ona i bez tego by wyjaśniła, dlaczego francuskie są lepsze od kaczek białych.

– Francuskie mają najlepszą krew. Akuratną na czerninę. Jak się ją zbierze do słoiczka, to szybko nie gęstnieje i nie robią się ustoiny. Człowiek nie zdąży dojść z chlewika do kuchni i już krew z białych kaczek jest jak galareta. A krew kaczek francuskich gęstnieje powoli i nie trzeba dolewać do niej za dużo octu. Wystarczą dwie, trzy łyżki. Ocet kupny do niczego. Najlepszy jest swój. Winny albo jabłkowy. A najlepszy jest z czarnych porzeczek, bo kolor taki sam.

– Niech Stasia opowie panu Lukasowi, jak się robi taką czerninę. – Proboszcz zmrużył oczy i wciągnął do nosa to, co się unosiło nad talerzem.

– Jak? Zwyczajnie. – Po chwili, gdy ksiądz niezadowolony z jej odpowiedzi prychnął, wyjaśniła: – Najważniejsze to nie karmić kaczek byle czym. Kaczka, francuska czy biała, musi dostać to, co jest zdrowe. Najlepiej od gospodarza. Broń Panie Boże jakieś sztuczne dodatki. Ma być dużo zielonego, wtedy mięso nie prześmierdnie i będzie kruchutkie – orzekła. – Jak się robi czerninę? Zawsze tak samo.

– Czyli jak?

– Trzeba kaczkę złapać, mocno ścisnąć kolanami, naciąć nożem rozciąć o tu – pokazała ręką na czubek swojej głowy – i czekać, aż wszystka krew zleci do słoika.

– Na żywca Stasia ściąga krew?

Gosposia przytaknęła, a Bielok skulił się na krześle.

– Jakby najpierw zabić, to za dużo krwi zostanie w żyłach. A jak na żywca, to serce wypompuje co do kropli. Jak już krew wycieknie, kaczkę trzeba oskubać i oporzadzić. Później na skrzydełkach, szyi i podrobach gotuje się

rosół. Warzyw nie żałować. Po garści suszonych śliwek, gruszek i jabłek. Jak rosół się ugotuje, to garnek trzeba zdjąć z ognia i odstawić do sieni, żeby przestygł. Na koniec powoli wlać krew zaprawioną octem. Po wszystkim moja mama dodawała cynamon i goździki, ja dorzucam majeranek i troszkę cukru, to i czernina ma ten smak, który lubi ksiądz proboszcz. Słyszałam, że w Centralnej jedzą ją z makaronem albo z kartoflami. Po mojemu, do czerniny najlepsze są szare kluski. – Gospośia spojrzała na Lukasa, jakby domagała się pochwały. Nie doczekawszy się, dodała: – Mówią, że w niektórych domach gotują czerninę z królików. Mój proboszcz za żadne skarby takiej by nie jadł, prawda?

– Gdybym nie wiedział... Co Stasia robi, to smakuje jak w najlepszej restauracji. Biskup ordynariusz nie mógł się nachwalić gołąbków. Zjadł, wstyd powiedzieć, aż cztery, a nie były to liliputy.

– Sześć – gospośia poprawiła proboszcza. – Zostały cztery. Dałam je szoferowi księdza biskupa.

– Gdyby nie były smaczne, to by nie zjadł nawet jednego. – Ksiądz Zygmunt złożył dłonie i uniósł je tak, jak to robił podczas mszy przy ołtarzu, po czym skierował dziękczynne spojrzenie na portrety ordynariusza i papieża wiszące na ścianie za plecami Bieloła. Nie pochwalił się, że pod koniec wizyty, kiedy odprowadził biskupa do passata, usłyszał to, na co czekał od lat. Tegorocznej pasterki ksiądz Zygmunt nie odprawi w Jakubinie. – Pierwszego grudnia obejmę rządy w parafii Świętego Mikołaja w Zielonej Górze, ale to, panie Lukasiu, na razie tajemnica. Proszę o tym nie wspominać nawet panu Wolfgangowi. – Proboszcz wystawił palec wskazujący przed siebie, uśmiechając się do gospośi. – Stasia oczywiście jedzie ze mną.

Odezwał się telefon.

– Pewnie ktoś do proboszcza – powiedziała gospośia i ruszyła w stronę drzwi, przy których na ścianie wisiał nowoczesny aparat telefoniczny. – Zawsze, kiedy pora obiadu, to oni dzwonią.

Ksiądz Zygmunt odsunął krzesło od stołu i zaczął się podnosić. Pani Stasia dała mu znak ręką, żeby został na swoim miejscu.

– Kiedy to się stało? – zapytała. – Tak, zaraz poinformuję księdza proboszcza. – Wsunęła słuchawkę do gniazda w aparacie. – Wójt nie żyje.

– Ficnerski?

– U nas jest jeden wójt.

– Wójt umarł? Kiedy? Nagle? Dlaczego? Cukrzyk.

– Znaleźli go łazience. Cały był we krwi. Mówią, że popełnił samobójstwo.

KROSNO ODRZAŃSKIE, UL. HENRYKA SIENKIEWICZA, PIĄTEK, PRZEDPOŁUDNIE

Szef techników przyznał się Tarniowemu, że to był dopiero drugi przypadek w jego dziewięcioletniej służbie w policji, gdy podlegli mu specjaliści szukali dowodów morderstwa lub samobójstwa w domu denata. Prawdę mówiąc, to ani on, ani żaden z trzech techników nie wiedział, od czego zacząć. Co innego na drodze, nad jeziorem, w lesie, na polu namiotowym czy w motelu. W takich miejscach zawsze znajdzie się ktoś, kto coś widział lub usłyszał przypadkowo i odpowie na wezwanie policji. W czterech ścianach domu trzeba mieć dużo szczęścia albo niemałe doświadczenie, żeby trafić na coś jednoznacznego. W takim miejscu nawet trudno o poszlaki.

– Na podstawie pierwszych opinii przyjęliśmy, że Ficnerski popełnił samobójstwo. Wskazuje na to podcięcie żył i znalezione narzędzie.

– Kto przyjął?

– My. Moja latająca eskadra.

– W oparciu o co przyjęliście tę tezę? – zapytał Tarniowy, zaskoczony informacją szefa techników. Pomimo braku dowodów podkomisarz czuł przez skórę, że Ficnerski został zamordowany. Identycznie uważał prokurator. Tarniowy już zaczął układać plan prowadzenia śledztwa. Hipotetyczny, żeby coś było na papierze i żeby nie czepiał się zastępca komendanta. Prawie nigdy to, co zapisał na papierze, nie potwierdziło się w rzeczywistości. I prawie zawsze przypadek wskazywał Tarniowemu drogę do sprawcy.

– Przecież znaleźliśmy brzytwę – bronił swojej tezy szef techników.

– Brzytwa? Gdzie? Kiedy? Dlaczego jako prowadzący śledztwo nic o tym nie wiem?

– Wtedy, kiedy pierwszy raz przebywaliśmy w łazience, nie mieliśmy prawa zauważyć brzytwy. Znajdowała się pod prawym udem nogi denata. Dopiero jak łapiduchy zabrali ciało... Brzytwa z białą rączką. Na niej napis „Kronos Solingen”. Sprawdziłem w internecie. Wyrób niemiecki. Firma ma siedzibę w Solingen. Nadrenia Północna-Westfalia. W Krośnie nie do kupienia. Chyba że ktoś przywiózł z Niemiec. W Zielonejgórze... Może

w którejś większej drogerii. Na przykład w Rossmannie koło ratusza. Tam, gdzie dawniej były te wielkie Delikatesy. Znasz kogoś, kto goli się brzytwą? Bo ja nie. Ostatnią osobą, w której ręce widziałem brzytwę, był mój dziadek ze strony ojca, ale i on pod koniec życia przestał się nią golić. Na siedemdziesiąte urodziny ojciec sprezentował mu maszynkę elektryczną. Mimo że był to luksusowy produkt Brauna – podkreślił szef techników – nawalił po miesiącu. Silniczek się przepalił, bo zarost był za długi. Dziadek golił się raz na tydzień. Zawsze w sobotę wieczorem najpierw się golił, potem się kąpał w wannie i zmieniał kalesony. Jak się przepalił silniczek, ojciec sprezentował dziadkowi klasyczną maszynkę do golenia na mokro i dwie paczki żyletek.

– Zaskoczyłeś mnie.

– Dziadkiem?

– To, o czym powiedziałaś, zmienia...

– Doktor Żółtowska, zdaje się, także miała takie podejrzenie. Dopiero po czasie, kiedy nie znaleźliśmy najmniejszego dowodu na morderstwo, ktoś z was, ty czy prokurator, wysunął hipotezę, że mogło dojść do samobójstwa – przypomniał szef techników. Przytaknąwszy, Tarniowy w milczeniu odtwarzał sekundę po sekundzie w swojej pamięci. – To szukaliśmy dowodów pod kątem samobójstwa. I kłapa. Żadnego śladu. Dopiero jak natrafiliśmy na ten list w komórce...

– Nie pasuje samobójstwo ani zabójstwo, ani zgon naturalny – powiedział podkomisarz, kolejno zaginając trzy palce lewej dłoni – a jest nieboszczyk. Zagadka na razie nie do rozwiązania. Potrzebny byłby tu ktoś taki jak Eberhard Mock.

Szef techników uśmiechnął się pod nosem. Jak większość policjantów kryminalnych przeczytał wszystkie powieści Marka Krajewskiego, nawet te z komisarzem Popielskim, raz był na spotkaniu autorskim z pisarzem, ale nie wierzył, że w komendach mogą pracować tacy śledczy jak Mock. Gdyby policja lepiej płaciła, co innego.

– Wiesz, co mi przyszło do głowy? – Szef techników zmrużył oczy.

– Jakaś nowa fantazja? Akurat ciebie na to stać.

– Że to było samobójstwo upozorowane.

– Przez Ficnerskiego?

– Nie.

– Jeśli nie przez Ficnerskiego, to przez kogo? Żona go załatwiła, co? Albo teściowa?

– Tego nie wiem.

– Aha, uważasz, że jednak ktoś go stuknął.

– Mam wątpliwości, czy to stało się w jego domu. Powinny być tam jakieś ślady. Coś, co by wskazywało na przygotowanie... Na szklance chłopaki znaleźli odciski palców. Ale to nie były odciski palców wójta.

– Twoim zdaniem to mogło stać się w innym miejscu? I sprawca czy sprawcy podrzucili nieboszczyka do jego domu? O tym nie pomyślałem. Skoro nie ma żadnych śladów wskazujących na zabójstwo w domu, tak mogło być.

Tarniowemu przyszło na myśl, że wypadek, do którego doszło w sobotę po południu w Dąbiu, mógł spowodować wójt. Część świadków zapamiętało białego passata, a właśnie taki samochód stał w garażu Ficnerskiego. Zajrzał na stronę w notesie, gdzie opisał wszystko, co było na tablicy rejestracyjnej passata wójta. Nawet dostrzegł pęknięcie na dole ramki. Pierwszymi znakami na tablicy rejestracyjnej samochodu, pod który wpadł mężczyzna, były „SG”, co uwiecznił fotoradar w Dąbiu. Trzeciej litery i cyfr ukrytych pod liściem nie udało się odczytać. Na tablicy passata stojącego w garażu wójta było „FKR”, dwie cyfry i jeszcze dwie litery. Czyli auto Ficnerskiego nie mogło zabić mężczyzny w Dąbiu. Wątpliwości podkomisarza powodowało wgniecenie błotnika. Passat wójta miał je z lewej strony, a gdyby Ficnerski był sprawcą tamtego wypadku, powinno być z prawej.

Szef techników wyjął z kieszeni paczkę chesterfieldów i zapalniczkę. Tarniowy pokręcił głową, pokazując oczyma na czujkę. W starej komendzie nikt nie zabraniał kopcić w pokojach. W nowej nawet komendant, który wypala dwie paczki mocnych dziennie, schodzi do palarni. Gdyby ktoś złamał zakaz, odezwałby się alarm w dyżurce straży pożarnej. Pomimo tego że związkowcy policyjni uznali to za kneblowanie wolności, wszyscy podporządkowali się zakazowi.

– Nie zastanawia cię, dlaczego nikt spośród sąsiadów niczego nie zauważył? Przecież na wsi ludzie mają oczy ze wszystkich stron głowy, tym bardziej że chodzi o wójta. W Jakubinie nawet proboszcz niczego nie może ukryć przed parafianami.

– Jeśli Ficnerski został zamordowany poza domem, to ktoś musiał widzieć jakieś auto, jakichś ludzi. Światło. Słyszeć jakieś głosy. A jak taką tykę wnieść

po schodach z parteru na piętro? Ficnerski dużo nie waży, za to jest długi. Sprawców musiało być co najmniej dwóch albo i więcej.

– I dlaczego nie zostawili ciała w pokoju na parterze, tylko przenieśli je do łazienki na piętrze?

– Musieli wiedzieć, gdzie jest łazienka. Czyli: wcześniej bywali w domu wójta.

– Trzeba ich szukać w Jakubinie – stwierdził szef techników.

Do identycznego wniosku doszedł zastępca komendanta. I tak samo jak szef techników nie uważał, że Ficnerski podciął sobie żyły w łazience. Tarniowy jeszcze nie był tego pewny.

– Miał jakiś powód, żeby ze sobą skończyć? Kochanka? Kontrola? Kredyt? – zapytał komisarz. Żaden nie odpowiedział. – Z cukrzycą da się aż do znudzenia. Raczyśko? Chorobę psychiczną z góry trzeba wykluczyć. Przecież świrusa ludzie by nie wybrali na wójta. A jak mu się układało ze ślubną?

Tego Tarniowy nie wiedział.

– Jeszcze z nią nie rozmawiałem – przyznał się. – Nie potrafię tak z marszu.

– Alkoholizm pewnie też odpada. Co jeszcze prowadzi do samobójca? – Komisarz podniósł wzrok na Tarniowego. – Długi? – Ponieważ podkomisarz wzruszył ramionami, stwierdził: – Czyli nie wiadomo. Trzeba to zbadać. A chociaż miał wrogów?

– Każdy, kto jest na stanowisku, musi mieć wrogów. Na ogół podwładni nie lubią przełożonych – odezwał się szef techników.

Zastępca komendanta chciał powiedzieć, że się z nim nie zgadza, bo przecież on stara się żyć w zgodzie ze wszystkimi, gdy przypomniał sobie to, czego niedawno dowiedział się od kierownika referatu dzielnicowych. Wtedy zbył go machnięciem ręką. Teraz był gotów przyznać mu rację. Od wczorajszej rozmowy z naczelnikiem wydziału kadr w komendzie wojewódzkiej wie, że w tym roku nie przeniesie się do gabinetu komendanta. Chciałby się dowiedzieć, komu nie podobają się jego decyzje. Zerknął na Tarniowego. Ufał podkomisarzowi, dlatego był pewny, że naczelnik wydziału śledczego nie kopie pod nim dołków. Co innego szef techników, magister chemii, absolwent kursu dokształcającego w Oranienburgu.

– Dominiak. Sekretarz gminy. On może być wrogiem Ficnerskiego.

– Wiesz czy zgadujesz?

– Do takiego wniosku doszedłem po rozmowie z sekretarką. To siostra naszego prokuratora. Powiedziała, że formalnie Jakubin ma wójta Ficnerskiego, ale w rzeczywistości Ficnerski nie zarządza gminą.

– Sekretarz?

Tarniowy pokręcił głową.

– Niemiec – powiedział. Od dnia, kiedy Pohlhoffer zamieszkał w Jakubinie, wójtem może zostać ten, kogo on wskaże.

– Przecież co cztery lata odbywają się wybory – przypomniał zastępca komendanta.

– Święta prawda. Tylko że w Jakubinie nigdy nie było więcej kandydatów na stanowisko wójta niż jeden. Chętnych byłoby więcej, gdyby domyślni kandydaci nie zdawali sobie sprawy z tego, że ludzie i tak zagłosują na tego, którego wyznaczył Pohlhoffer. Cała wieś to przecież pracownicy jego firm albo kontrahenci. Nikt nie chce stracić roboty.

– Czy to znaczy, że Pohlhoffer wytypował Ficnerskiego na wójta?

– Ficnerski nie za często stawał okoniem, ale jednak stawał. Zasłaniał się przepisami.

– Uważasz, że Pohlhoffer ma coś wspólnego ze śmiercią Ficnerskiego?

– Pohlhoffer, jak się zorientowałem, nie brudzi sobie rąk takimi sprawami. Podobno chęć na wójtowanie ma Dominiak. Czy teraz Pohlhoffer postawi na niego, tego nie wiadomo. Sekretarka, jak wspomniałem, siostra prokuratora Wojtczaka, jest gotowa założyć się, że tak będzie. Ona ma zająć miejsce sekretarza gminy.

– Ficnerski to nie był kawał chłopca. Zgadza się? – zapytał zastępca komendanta. Tarniowy i szef techników przytaknęli. – Pytałeś o jego zdrowie?

– Doktor Żółtowska powiedziała, że chorował na cukrzycę typu drugiego.

– U niej się leczył?

Podkomisarz kiwnął głową, po czym dodał:

– Też jeździł do Zielonej Góry. Był wiceprezesem powiatowego koła diabetyków.

– A kto jest prezesem?

– Coś mi chodzi po głowie, że nasz starosta – odpowiedział szef techników.

– Panowie, na podstawie tego, co od was usłyszałem, wyciągam wniosek, że nie ma podstaw do uznania tego, co się stało z Ficnerskim, za zaplanowane

zabójstwo. Faktyczny brak dowodów. Poszlaki?... Gdyby klucz... ale klucz siedział w drzwiach od wewnętrznej strony. To którędy zabójca wydostał się z domu? Przez komin? Wskoczył przez okno i jak je za sobą zamknął? Wyszedł przez garaż?

– Przez garaż mógł – powiedział podkomisarz.

– Zostawił jakiś ślad?

Szef techników pokręcił głową.

– Brama garażowa ma to do siebie, że można ją otworzyć od środka. Po kilkunastu sekundach, to zależy od programu, zamyka się automatycznie. W tym czasie można spokojnie wyjść z garażu.

– Do tego cukrzyk. Coś o tym wiem. Mój ojczym był cukrzykiem.

– Mam szwagra cukrzyka – odezwał się szef techników. – To cholerna choroba. Człowiek nie może zjeść za dużo słodkiego ani wypić jak chłop.

– Panowie – zastępca podniósł głowę – należy przyjąć, że to, co się wydarzyło w domu wójta Jakubina, jednak było samobójstwem.

Tarniowy najpierw syknął przez zaciśnięte zęby, potem powiedział:

– Mam odmienne zdanie.

– Masz prawo mieć odmienne zdanie. I możesz szukać sprawcy. Ale na swój koszt.

– Brama garażowa daje możliwość wydostania się z domu. Jest jeszcze coś, co budzi moje podejrzenie, że to jednak nie było samobójstwo.

– Ustaliliśmy, Tarniowy...

– Komisarzu, na stoliku w dużym pokoju stała szklanka i do połowy opróżniona butelka johnnie walkera. – Podkomisarz popatrzył na szefa techników, a ten to potwierdził ruchem oczu. – Na szklance były wyłącznie odciski palców jednej osoby. Ficnerskiego. O ile wiem, cukrzycy nie piją mocnego alkoholu. Ktoś musiał...

– Koniec dyskusji, panowie. Ustaliliśmy, że to, co się wydarzyło w domu wójta Ficnerskiego, było sa-mo-bó-jem – przesylabizował zastępca, wskazując głową drzwi. – Dziękuję panom, Życzę owocnej pracy.

ZIELONA GÓRA, UL. PODGÓRNA, PIĄTEK,
PRZEDPOŁUDNIE

Wygładziwszy brodę i wąsy, dyrektor wydziału do spraw obywatelskich i cudzoziemców stanął z boku i przypatrywał się swojej zastępczyni, która ustawiała osoby w szeregu według tylko sobie znanego klucza. Robiła to tyle razy i zawsze wojewoda był zadowolony, a przede wszystkim to się liczyło, dlatego dyrektor o nic nie pytał. Wiedza jest bardzo ważna, ale doświadczenie ważniejsze, a najważniejszy jest wyraz twarzy wojewody. Gdyby zastępczyni odeszła z urzędu, dyrektor musiałby wymyślić nowy porządek. Na razie na to się nie zanosi. Zastępczyni nigdzie nie będzie czuła się tak ważna i aż tyle nie zarobi. Partia rządząca nie ma w planie przegrania głosowania, dlatego jej posłowie już na początku kadencji zmienili ordynację wyborczą na taką, która zagwarantuje im rządzenie bez ograniczeń. Gdyby jednak partia przegrała, to wojewoda i wicewojewoda, sekretarz urzędu, wszyscy dyrektorzy i ich zastępcy będą musieli wynieść się z gabinetów, do których się przyzwyczaili. Zajmą je osoby należące do zwycięskiego ugrupowania, ich bliscy i znajomi. Wtedy nowy dyrektor wydziału i nowa zastępczyni będą się martwili, jak ustawić cudzoziemców, żeby ten, kto zostanie wojewodą, był zadowolony.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, to ostatnio mieliśmy dziewięćdziesięciu trzech. Dziś więcej? Mniej? – zapytał wojewoda.

– Powinno być osiemdziesięciu siedmiu – odpowiedział dyrektor, wyprężając się, zaskoczony tym, że jeszcze nie ma dziesiątej, a wojewoda już przyszedł do sali.

– I znowu przewaga Ukraińców?

Dyrektor kiwnął głową, po czym zaczął wyjaśniać:

– Jest patriotyczna rodzina z Rosji z polskimi korzeniami jeszcze z czasów carskich. Jej przodek budował kolej z Krasnojarska do Turuchańska na Dalekiej Północy. Białorusinka, to znaczy obywatelka Białorusi, urodzona w nadgranicznym Grodnie, ojciec przedwojenny Polak, matka ruska. Pani Maływiecka Żaneta. Jest mąż i żona z Kazachstanu, dwoje dzieci i babka. Kogo jeszcze mamy? Aha, dwie osoby z Mołdawii. Macedończyk, który ożenił się z Polką, oboje studiowali matematykę na naszym uniwersytecie. Ten najwyższy to inżynier budowy wież telefonii komórkowej, pół-Łotysz, półruski, kawaler po politechnice w Rydze. Chciał dostać się do Niemiec, ale u nas poznał kobietę i został. – Patrzył w stronę swojej zastępczyni, w kinie pamięci przeglądając spis cudzoziemców, którym wojewoda złoży gratulacje i uściśnie dłonie, a on wręczy każdemu dokument potwierdzający

przyznanie polskiego obywatelstwa. – No i jest Niemiec. Jeden, panie wojewodo.

– Niemiec? To chyba pierwszy taki przypadek?

– Od dnia, kiedy pan jest wojewodą, pierwszy. W archiwum znalazłem sprawozdanie z informacją, że ostatnim Niemcem, który u nas odebrał dokument poświadczający nadanie praw obywatela Rzeczypospolitej, był Joachim Grempler.

– Coś mi mówi to nazwisko.

– Żużel, koszykówka kobiet, firma ochroniarska, gazeta, hotele, restauracje. Przede wszystkim budownictwo i deweloperka. W Zielonej Górze, jak się jedzie na Kisieliny, postawił ogromne osiedla. Z przodu Mazurskie, za nim Podlaskie i Kujawskie. Po przeciwnej stronie wybudował kolonię domków Raculski Zakątek. Do niego należy Leśny Drzonków, Wzgórze za Browarem i Ostoja nad Gęśnikiem – wyliczał dyrektor, nie przyznając się, że zanim został dyrektorem wydziału, był zastępcą zarządcy firmy Grempler Security. Nigdy nikomu nie przyznał się, że zaraz po studiach germanistycznych pracował w delegaturze Urzędu Ochrony Państwa, gdzie dosłużył się stopnia porucznika. – A! I właśnie naprawdę pięknie położony Ogród Braniborski, gdzie pan wojewoda mieszka. Nie skłamię, jeśli powiem, że Joachim Grempler ma ćwierć miasta w swoich rękach. Potomek niemieckich właścicieli winiarni. Zdaje się tej na Moniuszki. Nawet całkiem poprawnie posługuje się polskim. Oczywiście nie powie, że szedł Szczepan suchą szosą, susząc szorty. Grempler to zielonogórski Wedel czy Fukier. Czytałem w „Życiu Diecezjalnym”, że w żyłach arcybiskupa Hosera również płynie niemiecka krew. Po co daleko szukać? Przecież generał Anders także miał niemieckich przodków i przy tym był wzorem polskiego patrioty. O, jeszcze jeden. Arcyciekawy człowiek. W czasie pierwszej wojny światowej jako kapitan marynarki von Unruh dowodził okrętami floty niemieckiej. Po odzyskaniu niepodległości zgłosił się do polskiej marynarki. Proszę sobie wyobrazić, że do wybuchu drugiej wojny Józef Unrug jako wiceadmirał był dowódcą polskiej floty morskiej. Okrążony na Helu, skapitulował. Niemcy proponowali mu stanowisko dowódcze w swojej marynarce. Odmówił. Resztę wojny przesiedział za drutami obozów jenieckich, między innymi w Woldenbergu, czyli w dzisiejszym Dobiegniewie w naszym województwie.

O tym wojewoda nie słyszał. Jako inżynier ochrony środowiska z wykształcenia do zeszłego roku zajmował pokój zastępcy kierownika działu spalania odpadów w zakładzie komunalnym. Gdyby nie to, że prezydent namówił go do wypełnienia deklaracji partii, do której i on się zapisał, co gwarantowało mu kandydowanie na włodarza miasta, wracałby do domu w prześmierdniętej marynarce.

– Ten Niemiec, któremu dziś pan wojewoda wręczy decyzję, już raz starał się o polskie obywatelstwo. Wtedy słabo znał język polski. To znaczy mówił, ale co drugie słowo było w gwarze śląskiej. Zamiast pójść na kurs, uczył się naszego języka u swojego pracownika, już Niemca, który jako dziecko wyjechał ze Śląska.

– Niemiec żałował pieniędzy na porządny kurs, co? – zaśmiał się wojewoda. – A czym on się zajmuje? Też deweloper jak Grempler?

– Ten Niemiec, panie wojewodo, nazywa się Wolfgang Pohlhoffer. Joachim Grempler, jak powiedziałem, ma w swoich rękach ćwierć Zielonej Góry, a Pohlhoffer cały Jakubin i trochę okolicznych gmin. Tam chyba tylko szkoła, nadleśnictwo i lekarz rodzinny do niego nie należą. I oczywiście parafia. Nawet się mówi, że to, kogo mieszkańcy wybiorą na wójta, zależy wyłącznie od Pohlhoffera. Niestety, dziś pewnie będzie nieobecny. Zapewne widział pan nekrolog we wczorajszej „Zielonogórskiej”. Cała strona. Pierwszy raz gazeta wydrukowała coś tak wielkiego. To musi kosztować majątek.

– O czym pan mówi? – przerwał wojewoda, coraz bardziej zainteresowany wiadomościami dyrektora wydziału.

– Czyżby nie czytał pan w gazetach o tym, co się wydarzyło w hotelu przy Głogowskiej?

– U nas?

– W hotelu Grempler.

– Rzeczniczka nic mi nie powiedziała. Będę ją musiał... Poprzednia też... ale tamta nie należała do naszego ugrupowania.

– W niedzielę goście weselni znaleźli tam nieboszczyka. To znaczy kobietę.

– Zmarła podczas wesela? Może ktoś ją?

Dyrektor potrząsnął głową.

– W gazecie nie było jasno napisane. Morderstwo albo samobójstwo. Innej możliwości nie ma. Przepraszam, ewentualnie zgon z powodu jakiejś

zadawnionej choroby. Policja prowadzi śledztwo pod nadzorem prokuratury. Standard.

– A co to ma wspólnego z tym Niemcem? – zaciekawił się wojewoda. Nie potrafił sobie przypomnieć jego nazwiska.

– Denatka, być może ofiara zabójstwa albo samobójczyni, to żona właśnie tego Niemca.

– Niezbadane są wyroki boskie czy jakoś tak powiedział biskup Tadeusz. – Wojewoda chciał się pochwalić znajomością Pisma Świętego, ale nie był pewien, czy dobrze zapamiętał to, co usłyszał od ordynariusza, gdy w zeszłym tygodniu składał mu życzenia imieninowe. – Rodziców i nieszczęścia się nie wybiera.

– Zgon w knajpie, z przepicia, zgoda, ale żeby na weselu? To się w głowie nie mieści.

Zastępczyni odchrząknęła. A ponieważ dyrektor wydziału nie zareagował, podeszła do niego i szepnęła:

– Możemy zaczynać. Są wszyscy, którzy powinni być na dzisiejszej ceremonii.

– Niemiec?

– Doktor Pohlhoffer podziękował za zaproszenie na kawę. Zaraz po naszej uroczystości musi wrócić do Jakubina. O dwunastej ma tam jakąś ważną uroczystość rodzinną. Chodzi mi po głowie, że pogrzeb, ale nie jestem pewna.

ZIELONA GÓRA, UL. ZYTY, PIĄTEK, POŁUDNIE

– Pan u nas, zdaje się, pierwszy raz – powiedział ochroniarz do Tarniowego. Podkomisarz nie zaprzeczył i nie przyznał się, że nigdy nie był w prosektorium uniwersyteckim. Po prostu przybrał maskę zamyślonego. Zawsze mu się udawało wymigać z towarzyszenia medykowi podczas sądowych oględzin zwłok. Pewnie udałoby się i dziś, gdyby sekretarka Wojtczaka nie zadzwoniła do zastępcy komendanta z informacją, że wczoraj po powrocie z Jakubina prokurator poczuł się źle i dlatego wziął sobie wolne w piątek. W tej sytuacji ktoś spośród śledczych musi jechać do Zielonej Góry. Najlepiej gdyby to był podkomisarz Tarniowy. – Trudno przyzwyczaić się do smrodu, ale polecenie przełożonego trzeba wykonać bez dyskusji. Człowiek nie świnia, do wszystkiego przywyknie, prawda? Mnie na początku tak śmierdziało, że nie daj Panie Boże. Nie szło nic przełknąć. Najgorsze były

nocki. Cisza, nikogo żywego w prosektorium, można się zdrzemnąć, ale ten obrzydliwie słodki smród... Nie da się go pomylić z niczym innym. Żaden inny smród tak mocno nie wżera się w człowieka jak smród rozkładającego się ciała. Po latach tu spędzonych nieboszczyk mnie nie rusza. Nawet mógłbym być za tanatokosmetyka, gdybym wiedział co i jak.

– Żadna praca nie hańbi – odparł sucho policjant, dając ochroniarzowi do zrozumienia, że nie ma ochoty na kontynuowanie rozmowy.

Przez minutę albo i dłużej siedzieli w milczeniu. Ochroniarz, oparty plecami o ścianę, ćmił papierosa pod tabliczką „Palenie tytoniu na terenie całego obiektu surowo zabronione”.

– Zaraz doktor Kamińska skończy, to pan wejdzie. Tylko najpierw trzeba przepisowo się ubrać.

Tarniowy sięgnął po jednorazowy fartuch, ochraniacze na buty, czepek na głowę i maseczkę. Sterczał pochylony, trzymając ubranie w ręku, jakby się zastanawiał, co się stanie, jeżeli tego na siebie nie włoży. Przecież nie będzie przyglądał się, jak doktor Kamińska rozcina martwe ciało Ficnerskiego. Jego mniej, prokuratora więcej interesuje protokół z autopsji. Przyjechał do zakładu medycyny sądowej jedynie dlatego, że takie polecenie wydał mu zastępca komendanta. Bez zadawania pytań odbierze protokół i wróci do Krosna. Ostateczną decyzję podejmie Wojtczak, a ta, wiadomo, jaka będzie.

– Wczoraj, kiedy rozmawiałam z prokuratorem, zrozumiałam, że podejrzewa samobójstwo i miałam zamiar w tym kierunku prowadzić badanie zwłok. Dziś, po przeprowadzeniu oględzin, nie mogę tego potwierdzić – powiedziała doktor Kamińska, prowadząc Tarniowego do części administracyjnej prosektorium.

– I na pewno nie zgon naturalny. Więc zabójstwo? – dociekał podkomisarz.
– A ja...

– Drugi podobny przypadek, co ja mówię? wręcz identyczny. – Patolożka zatrzymała się przed drzwiami i położyła rękę na klamce, ale ich nie otworzyła. – Kilka dni temu to samo było w Zielonej Górze. Zgon także przez wykrwawienie po podłużnym przecięciu naczyń przy pomocy bardzo ostrego przedmiotu. Tam chodziło o brzytwę. Głębokie, chirurgiczne cięcie, wykonane z dużą siłą nacisku. Nie każdy chirurg tak potrafi. Tu – pokazała głową za siebie – to samo. Dosłownie kalka.

– Denata znaleźliśmy w kabinie prysznicowej w łazience. Przy nim leżała brzytwa.

– Pan i pańscy koledzy uznali to za samobójstwo? – zapytała, jakby chciała się upewnić, że właściwie zrozumiała to, co jej powiedział prokurator Wojtczak. Tarniowy przytaknął. – Także bym wyciągnęła taki wniosek. Tyle że w oparciu o to, co zobaczyłam na stole sekcyjnym, nie podzielam opinii panów. Wejdźmy. – Patolożka otworzyła drzwi gabinetu kierownika zakładu medycyny sądowej. Wisiała na nich tabliczka z informacją, że zakładem kieruje dr hab. Bronisław Trzcinka, profesor Uniwersytetu Zielonogórskiego. – Szefowa naszej katedry na dłużej wyjeżdża do Kopenhagi. Jej miejsce zajmie właśnie profesor Trzcinka. Właściwie to je zajął z początkiem nowego roku akademickiego. Na razie nieformalnie – wyjaśniła, ale nie dodała, że ona będzie jego zastępczynią Trzcinki i kierowniczką prosektorium.

Tarniowy stanął z boku. Uznał, że kobieta powinna pierwsza przekroczyć próg. A gdy i lekarka się zatrzymała, powiedział:

– Niech pani doktor prowadzi.

W gabinecie nie czuł tego specyficznego ni to zapachu, ni odoru, jaki był przed szatnią. Nareszcie oddychał również przez usta. Podniósł oczy na Kamińską i w jednej chwili doszedł do wniosku, że nie wygląda na taką, która ma do czynienia z nieboszczykami. Młoda, zgrabna i ładna szatynka. Był ciekawy, czy jest mężatką. Zerknął na jej prawą dłoń, ale nie dostrzegł ani obrączki, ani pierścionka. Zawsze mu się wydawało, że medycyna sądowa to domena posepnych mężczyzn, którzy lubią sobie golnąć. A tu proszę, nieszporna młoda kobieta.

– Protokół z oględzin wyślę pocztą wprost do prokuratury – oznajmiła Kamińska. – Oprócz potwierdzenia, że zgon nastąpił w środę około godziny dwudziestej trzeciej, będzie tam informacja o dostrzeżonych zmianach w wyniku chorób denata. Jak zawsze dołączę komunikat o próbkach pobranych do analizy i spodziewanych terminach odbioru wyników. Oczywiście napiszę, że sekcja zwłok odbyła się przy udziale przedstawiciela policji. – Mrugnęła do Tarniowego.

– Pani czyta w moich myślach. Właśnie o to miałem zamiar poprosić.

– Nigdzie nie jest napisane, że przedstawiciel organów śledczych od pierwszej do ostatniej minuty musi stać przy stole sekcyjnym.

Tarniowy nie był tego pewien, ale potaknął. Podobała mu się Kamińska jako lekarka i jako kobieta.

– Moja czy prokuratora obecność przy sekcji ma takie samo znaczenie dla śledztwa jak zeszłoroczny śnieg tej zimy – oznajmił, czując się coraz mniej

onieśmielony.

– Wracając do tego, o czym powiedziałam przed drzwiami. Nie chcę niczego sugerować, panie komisarzu. W oparciu o swoją bardziej teoretyczną niż praktyczną wiedzę w kwestii medycyny sądowej... tego, czym pan się aktualnie zajmuje, nie uważam za samobójstwo. Najpierw Ficnerskiego uśpiono, a potem sfingowano samobójstwo. Pobrałam próbki płynów ustrojowych. Laboratorium wykaże, jaki środek mu podano przed śmiercią. Moim zdaniem został potraktowany gazem usypiającym. Prawdopodobnie był to jakiś związek pochodnych chlorometanu. Teraz tyle tego jest, że się pogubiłam. Zresztą nazwa środka usypiającego nie ma tu większego znaczenia.

– Ficnerski chorował na cukrzycę.

– Nie można wykluczyć przedawkowania insuliny. Sam by to zrobił? Świadomie? Mam wątpliwości. Ktoś więc? Zgon z powodu przedawkowania insuliny jest wyjątkowo trudno wykryć.

– Zabójstwo, sądzi pani?

– O tym, że przedawkowanie insuliny prowadzi do zgonu, wiedzą cukrzycy i lekarze.

– Na pewno zabójstwo?

– To pana śledztwo, komisarzu – powiedziała lekarka. – Podpowiadam, aby pan skontaktował się z komisarzem Syskim w zielonogórskiej komendzie. Może on już do czegoś doszedł?

– Oczywiście.

– Przepraszam, że niczego nie zaproponowałam panu do picia. Za dwadzieścia minut muszę być w sądzie.

– Jako biegła – ni to zapytał, ni stwierdził Tarniowy.

– Sprawa rozwodowa, panie komisarzu. Przypuszczam, że wreszcie ostatnia. Tak bym chciała. Od czterech lat nie mieszkamy pod tym samym dachem, a mimo to ten, który przed ołtarzem przysięgał, że mnie nie zdradzi, nie chce zgodzić się na rozwód, chociaż winą jest po jego stronie. Twierdzi, że religia mu na to nie pozwala. Ale wtedy, kiedy mnie zdradzał, nie pamiętał o szóstym przykazaniu. Niech pan już idzie, bo powiem coś, czego będę się wstydziała.

ZIELONA GÓRA, UL. ZYTY, PIĄTEK, WCZESNE POPOŁUDNIE

Po wyjściu z prosektorium podkomisarz Tarniowy zadzwonił do komendy w Zielonej Górze. Chciał jak najszybciej porozmawiać z naczelnikiem Syskim. Jeżeli jest prawdą, że kilka dni temu podobny przypadek jak ten w Jakubinie miał miejsce w Zielonej Górze, to może miejscowi policjanci już wiedzą więcej. Sekretarka w wydziale kryminalnym powiedziała, że komisarz Syski jest poza budynkiem, a ona nie ma pojęcia, kiedy wróci do komendy ani gdzie go szukać. Na pewno wie, pomyślał Tarniowy. Wszystkie dobre sekretarki wiedzą, co robi ich szef poza biurem, ale zasłaniają się niewiedzą. Tego uczą się na kursach.

Czekać? Wracać do Krosna?

Przypomniał sobie, że gdy wysiadł z samochodu na przyszpitalnym parkingu, zadzwonił do niego zastępca komendanta. Komisarz należy do tych policjantów, którzy niewiele mówią, dlatego kontaktuje się z podwładnymi jedynie wtedy, kiedy ma coś naprawdę ważnego do przekazania. Zastępca powiedział więc, że leżą przed nim dane z ostatnich dni dotyczące telefonów wójta Jakubina. Nie pochwalił się, jak je tak szybko zdobył. Gdyby nawet Tarniowy o to zapytał, nie przyznałby się, że jego szwagier pracuje w Urzędzie Komunikacji Elektronicznej, o czym wiedzą wszyscy w komendzie. Zastępca przy pomocy szefa techników przeanalizował to, co przyszło faksem z central sieci telefonicznych. Od popołudnia w piątek do wieczora w niedzielę żadna z dwóch komórek Ficnerskiego nie logowała się w Polsce, co potwierdzało, że wójta nie było w kraju. Próbowano połączyć się z nim trzydzieści jeden razy. Zastępca policzył, że gdyby odebrał wszystkie połączenia i na każdą rozmowę przeznaczył tylko po trzy minuty, to miałby telefon przy uchu przez półtorej godziny. Gdy Ficnerski przebywał w kraju, rozmawiał trzy razy dłużej. Wójt dzwonił z Niemiec dwa razy do sekretarza gminy. Pierwsza rozmowa trwała cztery minuty z sekundami, druga niecałe trzy.

– Wiedział, skubaniec, że połączenia zagraniczne są droższe, to nie chciał naciągać gminy na wydatki.

– Już nie ma różnicy, dokąd się dzwoni. W całej Unii Europejskiej opłaty za połączenia są takie same – wtrącił Tarniowy.

– Aha, to może być ważne – zaznaczył zastępca. – Do sekretarza gminy dzwonił z samsunga. W sobotę po południu zadzwonił pod inny numer, ale nie z samsunga, a z nokii. Udało się ustalić, że wtedy rozmawiał z żoną. Pełne sześć minut. Do żony nawet w Polsce nigdy nie dzwonił ze służbowego telefonu, tylko zawsze z prywatnej nokii. Jaki troskliwy, skubaniec, prawda? Bardziej oszczędny. To było pierwsze. Drugie dotyczy tego służbowego samsunga. Jeszcze w Jakubinie, w czasie przeszukania domu, szef techników znalazł na nim coś w rodzaju listu pożegnania do żony. Pamiętasz treść?

– Tak jakby.

– Musisz pamiętać, bo ci pokazał i przeczytał, co tam było.

– Potwierdzam.

– I to mnie zastanawia. Skoro do żony nigdy, faktycznie nigdy nie dzwonił z samsunga, dlaczego akurat ten niby-list wysłał z samsunga? Przecież w kieszeni marynarki miał prywatną nokię. Był w takim stanie psychicznym, że zapomniał? Dlaczego? Co się wydarzyło? I trzecie. W środę o dwudziestą szesnaście ktoś się z nim skontaktował. Dostał esemes. Nie żona, bo na służbową komórkę. Żeś ciekawy kto?

– Komendancie...

– Bielok. Ten niemowa, który wozi Pohlhoffera. Tyle zrobiłem za ciebie, podkomisarzu. Aż tyle.

– Wiadomo, co było w esemesie?

– „To sie my umówili”.

– Tylko tyle?

– Zadzwon do prokuratora, ale broń Panie Boże, ani słowa o mnie. Sam żeś to ustalił.

A kiedy będzie po wszystkim, zastępca komendanta się pochwali, że poprawił sporządzony przeze mnie plan śledztwa i na bieżąco korelował moje kroki, był pewny Tarniowy. I może dzięki temu zostanie komendantem w którymś powiecie, a ja wreszcie wskoczę w mundur komisarza. Nie ma tego złego, co by nie wyszło na dobre.

Prokurator Wojtczak odezwał się natychmiast, jakby czekał przy telefonie.

– Jednak samobój w Jakubinie?

Tarniowy nie potwierdził i nie zaprzeczył.

– Próbowałem skontaktować się z komisarzem Syskim w zielonogórskiej komendzie. Coś identycznego miało miejsce na ich terenie działania. Uznali to za samobój. Tym bardziej że w krwi denatki stwierdzono ponad półtora

promila alkoholu. Ficnerski też był pod niewielkim wpływem cedwahapięćoha lub innej substancji o znaczeniu uspakajającym i w konsekwencji usypiającym. Lekarka, która przeprowadziła obdukcję denatki z Zielonejgóry, to ta sama doktor Kamińska, która przebadala ciało Ficnerskiego. Jej zdaniem ani tam, ani tu nie było samobója.

– Przedstawila jakieś dowody?

– Przede wszystko wyjątkowe podobieństwo i...

– I? – przerwał mu gwałtownie Wojtczak.

– Tamto w Zielonejgórze wydarzyło się podczas wesela w hotelu. Ofiarą była kobieta, uwaga, z Jakubina. Nasza ofiara, mówię o wójcie, również jest z Jakubina. Tamta miała podcięte żyły u obu rąk. Nasza także. Tamta czymś bardzo ostrym. Nasza także. Tamta została znaleziona rano w wannie w hotelowej łazience. Nasza pod prysznicem w domowej łazience.

– I do jakiego wniosku oni doszli?

– O tym właśnie chciałem porozmawiać z komisarzem Syskim. Podobno, ale tylko podobno, uznali to za samobója. Prokurator Ostrouchy wziął pod uwagę alkohol we krwi i dlatego wstępnie zdecydował się na umorzenie śledztwa.

– Tak i ja postanowię.

– A ja mam wątpliwości.

ZIELONA GÓRA, UL. WĄSKA, PIĄTEK, POPOŁUDNIE

Tarniowy zerknął na wyświetlacz służbowego smartfona. Niezapisany numer? Już chciał odłożyć xperię na fotel pasażera, gdy przypomniał sobie złotą myśl komendanta, jak żartowali naczelnicy wydziałów, że policjantowi nie wolno niczego i nikogo zlekceważyć.

– Każdy, nawet pozornie mało istotny sygnał, z punktu widzenia osoby mundurowej, może wskazać drogę do dużej sprawy i awansu – powtarzał komendant na każdej odprawie, wskazując ręką dwa srebrzące się paski i gwiazdkę na swoich pagonach i dodając: – Potwierdzenie na załączonym obrazku.

Podkomisarz dostał komórkę służbową, którą w wyjątkowych sytuacjach może traktować jak prywatną. Gdyby jednak za często dzwonił do znajomych albo za długo z nimi rozmawiał, komendant pewnie najpierw by mu to wytknął w cztery oczy, później na odprawie, a gdyby i to niczego

nie zmieniło, księgową kazałaby zapłacić albo bez jego zgody i wiedzy potrąciła coś z pensji. Po trzynastu latach służby nikt nie musi tłumaczyć Tarniowemu, gdzie przebiega granica między tym, co prywatne i tym, za co płaci komenda.

W czasie jazdy samochodem powinien być głuchy na dzwonek telefonu, ale przesunął palcem zieloną ikonkę i się przedstawił.

– Z tej strony Jacek Syski – usłyszał. – Kolega komisarz chciał ze mną rozmawiać, tak?

A jednak sekretarka poinformowała naczelnika, stwierdził Tarniowy miło zaskoczony. U nas byłoby to niemożliwe.

– Dzwoniłem do komendy jakieś dwadzieścia minut temu. Ponieważ sekretarka w pana wydziale... – urwał. Nie, nie, do niej nie mam żadnych uwag, pomyślał. – Wskoczyłem do kijanki i wracam do Krosna. Zaraz będę w Dąbiu. Chciałbym z panem porozmawiać, tylko że przez komórkę... a to...

– Dochodzi trzecia. Z pół godziny mogę poczekać, ale nie dłużej. Mam do załatwienia naprawdę ważne sprawy prywatne. Dawno zaplanowana wizyta u urologa. A jeszcze muszę wpaść do Złotego Domu po jakiś prezent. Urodziny żony. Zdąży pan do wpół do czwartej?

Tarniowy powiedział, że go rozumie. Lekarz jest ważniejszy. Za kwadrans powinien dojechać do Krosna. Miał zamiar wpaść do prokuratury, ale przed sekundami zmienił zdanie. Postanowił, że dojedzie do skrzyżowania Dąbie – Brzeźnica i tam zawróci.

– Najpóźniej za piętnaście minut będę na Wąskiej. Interesuje mnie „dętka” z hotelu Grempler. Mieszkała w Jakubinie, a to gmina w moim powiecie.

W komendzie był dwie minuty wcześniej niż zaplanował.

– Tę sprawę przekazałem młodszemu koledze. Takiemu dopiero po szkółce. Badał sumiennie. Może aż za sumiennie, jak twierdzi mój były zastępca, którego poprosiłem o kuratelę nad naszym adeptem. Ja też byłem na miejscu zdarzenia. Widziałem denatkę. Czy doszło do zabójstwa? Na razie brak niepodważalnych dowodów. Czy to było samobójstwo? Cholera wie. Gdybym jednak miał przechylić szalę na którąś stronę, to na tę z samobójstwem. Pewnie prokurator już by podpisał umorzenie śledztwa, tym bardziej że denatka była pod wpływem alkoholu, gdyby nie wątpliwości zgłoszone przez lekarzkę, która przeprowadziła autopsję. Zdaniem doktor Kamińskiej denatka nie mogła sama podciąć sobie żył wzdłuż

u obu rąk. U jednej tak, ale nie u obu. W dodatku brzytwą i to tak precyzyjnie, jakby to zrobił chirurg zajmujący się medycyną estetyczną – podkreślił Syski, starając się mówić językiem wymiecionym z żargonu policyjnego. – A dlaczego pana interesuje ta sprawa? Aha, już się domyślam. Przecież przeczytałem w „Zielonogórskiej”, co się wydarzyło w Jakubinie. Naprawdę tak to wyglądało, jak napisał Jung? – Tarniowy jeszcze nie przeglądał gazety, pomimo tego przytaknął. – Pytam, ponieważ czasem dziennikarze coś pokręcą, a potem prostują to, zwalają winę na innych i na końcu przeproszają, ale tak, żeby się wybielić. Chociaż Jung to inna broszka. Jemu coś takiego bardzo rzadko się zdarza.

Podkomisarz powiedział, że był w zakładzie medycyny sądowej. Po zakończeniu sekcji zwłok Ficnerskiego zadzwonił do prokuratora nadzorującego śledztwo w Krośnie. Wojtczak słuchał, zresztą zawsze wytrwale słucha i albo przytakuje, albo mruczy pod nosem. Bardzo rzadko zadaje takie pytania, na które trudno odpowiedzieć od ręki. Na podstawie jego zachowania, a tym bardziej nielicznych pytań, nie da się zorientować, ku czemu zmierza. Jego poprzednik, który przez wiele lat był prokuratorem wojskowym, podejmował decyzje w mgnieniu oka i jeśli nawet wyprowadzały śledczych w ślepią uliczkę, nigdy się z nich nie wycofywał.

– Gdy przez telefon powtórzyłem Wojtczakowi to, czego dowiedziałem się od doktor Kamińskiej, a miała jota w jotę identyczne wątpliwości jak te, jakie przed chwilą pan przedstawił, prokurator pierwszy raz w życiu natychmiast zdecydował. Umorzenie śledztwa. Ja bym jeszcze...

– A ja, gdybym był na pana miejscu, postawiłbym prokuratorowi piwo. Jedna sprawa z głowy. Jakie ma znaczenie to, czy facet sam sobie poderżnął żyły czy zrobił to ktoś? Zabójcy byli, są i będą, choćby pan stawał na rzesach. Sądy skazującą na dożywocie, a ilość zabójstw nie maleje. Gdyby nawet sądy wróciły do wydawania wyroków śmierci, także byłyby morderstwa.

– Po rozmowie z doktor Kamińską i mnie się wydaje, że tu coś nie pasuje.

– Mówi pan o denacie z Jakubina?

– Oboje są z Jakubina – powiedział Tarniowy. – Pani patolog chyba jednak ma rację. Czy zdrowy na umyśle mężczyzna, do tego na eksponowanym stanowisku, podcina sobie żyły? Mówię o wójcie. Brzytwą wzdłuż? Ponieważ nie chce zapaskudzić domu, robi to w łazience? Gdyby był podejrzany o lewiznę... Ten chłop miał rączki czyściutkie jak niemowlak.

Nawet jednego donosu na niego nie było. Sekretarz gminy coś tam... Zwykła zazdrość, nic więcej.

– Możliwe.

– Są podobne okoliczności? Są. Tu brzytwa i tu brzytwa. Cięcie nie w poprzek, jak to robią zakochane nastolatki, żeby zwrócić na siebie uwagę, a wzdłuż żył. Tu łazienka i tu łazienka. U was alkohol we krwi denatki i u nas alkohol. Zgon w nocy. Oboje w podobnym wieku. Jeśli wykluczyć samobójstwa, czy to nie może być identyczna sprawa? Może. To znaczy ten sam sprawca?

Syski najpierw potrząsnął głową, a chwilę później zrobił pytające oczy.

– Uważa pan, że to jednak zabójstwa? – Tarniowy nie odpowiedział twierdząco, ale i nie zaprzeczył. Wiedział, ile potrafi Syski, dlatego wołał milczeć. Zresztą milczenie tego śledczego dawało naczelnikowi wiele do myślenia. – Po tym, co pan powiedział, powinienem wyznaczyć innego policjanta do wyjaśnienia sprawy. Bardziej doświadczonego. Porozmawiam z kolegami w wydziale, chociaż prokurator Ostrouchy już zakwalifikował sprawę do umorzenia.

– Jakubin to wzorcowa gmina, gdzie każdy, kto chce pracować, ma pracę. Tam jest nie mniej firm niż w powiatowym Krośnie. Prawda, wszystkie należą do jednego właściciela, Niemca spod Düsseldorfu, ale jakie to ma znaczenie? Nie słyszałem, żeby ktoś z miejscowych powiedział o nim marne słowo. O wójcie na lewo i na prawo też tylko ochy i achy – relacjonował podkomisarz. – Jeszcze jedno, moim zdaniem bardzo ważne, panie naczelniku, co mnie poważnie zastanawia. Niech pan zwróci uwagę na to, że obojga denatów łączy Jakubin. Mirabella Pohlhoffer to przecież mieszkanka gminy, której wójtem był Adam Ficnerski.

– Tego nie wziąłem pod uwagę – przyznał się Syski. Po chwili zapytał: – Może to jednak przypadek?

– A może nie? – Tarniowy odpowiedział pytaniem. – Ficnerski był bardzo dobrym gospodarzem gminy. Czy więc to normalne, żeby wójt, któremu wszystko idzie jak po maśle, podciął sobie żyły? Dlaczego? I dlaczego przy pomocy brzytwy? Dlaczego wzdłuż? A czy to normalne, żeby żona najbogatszego człowieka w gminie Jakubin podcięła sobie żyły? Przy pomocy brzytwy. Wzdłuż.

– To nie jest normalne. Takiej odpowiedzi pan oczekiwał?

Tarniowy potwierdził oczami i zaraz dodał:

– Obojga denatów łączy brzytwy. Doktor Kamińska zauważyła, że brzytwy pochodzą od tego samego producenta. Kronos Solingen. Gdyby udało się stwierdzić, kto u nas je sprzedaje, może bylibyśmy w połowie drogi.

– Rozumiem pana wątpliwości. Wezmę je pod uwagę. Dziś już nie. Jutro spotkam się z prokuratorem Ostrouchym.

– A ja z prokuratorem Wojtczakiem.

– Do pana mam taką prośbę: o wszystkich swoich odkryciach, podejrzeniach, obiekcjach i co tam jeszcze wyda się panu interesujące, proszę informować mnie albo komisarza Grodzkiego. Jeszcze nie zdecydowałem, który z nas przejmie tę sprawę. Chyba jednak ja. – Syski podniósł oczy na zegar. – Kończmy. Na mnie czas. Do sklepu po prezent mogę pójść później. Urolog nie będzie czekał.

– Męska choroba? – zapytał Tarniowy. Zmieszany powiedział: – Przepraszam, nie powinienem. To sprawa prywatna.

– Kobiety często dopada rak piersi, nas dosłownie bierze za jaja nowotwór gruczołu krokowego. Inaczej stercza albo prostaty. Pan jest przed pięćdziesiątką, to jeszcze nie powinien się martwić. Potem trzeba zacząć poddawać się badaniu. Ja w zeszłym roku świętowałem swoje półwiecze. Ze mną nie jest aż tak źle, łagodny przerost prostaty, ale żebym nie miał do siebie pretensji, co pół roku chodzę do urologa, a ten każe zdjąć majtki i wkłada mi palec do dupy. Przepraszam, to uczenie nazywa się badanie *per rectum*. Nic przyjemnego. Bolesna będzie biopsja prostaty. Na razie profilaktycznie łykam tabletki ziołowe.

– Przynajmniej nie szkodzą.

– I pomagają jak świętemu kadzidło – roześmiał się Syski. – Ojciec miał to samo co ja. Przed sześćdziesiątką zmarł na raka prostaty.

– Choroba rodzinna. Mój ojciec też już nie żyje. Zawał. Mnie prawdopodobnie czeka to samo.

– Z prostatą ma problem prawie sto procent mężczyzn po pięćdziesiątce. Leczona, pozwala dłużej cieszyć się życiem.

JAKUBIN, UL. SADOWA, PIĄTEK, WCZESNY WIECZÓR

Wszyscy pracownicy firm należących do Wolfganga Pohlhoffera mieli wolny i, co uważali za ważniejsze, płatny dzień. Nawet szkoła była zamknięta. W samo południe jakubinianie odświętnie ubrani szli w stronę kościoła,

ale nie każdy dostał się do świątyni. Już rano strażnicy gminni zamknęli główną bramę. Przez furtkę przepuszczali jedynie te osoby, które wskazał im sekretarz gminy. Toteż ludzie szerokim wiankiem opasali płot wokół cmentarza. Jeszcze wczoraj Pohlhoffer wyznaczył Żółtowskiego na mistrza ceremonii, lecz gdy po rannej mszy żałobnej ksiądz Zygmunt powiedział, że jest w zwyczaju, iż najbliższa rodzina oprowadza zmarłą do grobu w milczeniu, zmienił swoje postanowienie. Antoni to przecież brat Mirabelli. Dlatego sekretarz ściągnął mistrza ceremonii z Zielonej Góry.

– Nie miało to już żadnego znaczenia – powiedział Żółtowski do Junga. – Wyjadę z Jakubina. Jeszcze nie wiem dokąd i czym będę się zajmował. W regionie lesistym technolog drewna nie powinien mieć trudności ze znalezieniem pracy.

Dopiero teraz Daniel żałował, że nie był na pogrzebie Mirabelli Pohlhoffer. Wczoraj przed południem miał taki zamiar, tym bardziej że o jej zdrowiu rozmawiał z doktor Żółtowską. Śmierć mieszkanki Jakubina w hotelowej łazience nie dawała mu spokoju. Ani jako policjant, ani jako dziennikarz nie słyszał, żeby gość weselny odebrał sobie życie podczas takiej uroczystości. Zdarzały się zgony, które spowodował zawał serca, uderzenie głową o posadzkę, przepicie i bardzo rzadko bijatyka. Syski także miał wątpliwości, czy to w Gremplerze było samobójstwem, ale skoro Araszkiewicz nie wytypował winnego i dlatego prokurator postanowił umorzyć śledztwo, komisarz uznał sprawę za zakończoną. Jako dziennikarz prowadzący rubrykę *Z kroniki kryminalnej* w gazecie Jung przyzwyczaił się do tego, że każdego dnia ktoś spośród zielonogórczyków ginie to na przejściu dla pieszych, to wyskakuje przez okno, to przedawkuje jakieś świństwo, to pijany siada za kierownicą, uderza autem w drzewo i tam skona, to wypada z łódki i topi się w Odrze czy częściej w jeziorze, to wieszka się w lesie. Zabójstw jest jeszcze więcej. Redaktor Jung już by przestał interesować się Mirabellą Pohlhoffer, gdyby nie to, że trzy dni po jej śmierci wójt Jakubina odszedł podobną drogą z tego świata. Na pewno tylko przypadek?

– Pan o czymś wie. W ostatnich dniach wydarzyło się coś, czego pan się przestraszył. Jest ktoś w otoczeniu pana, kogo pan się obawia. Pan żyje z duszą na ramieniu. Mam rację? – wystrzeliwszy serią podejrzeń, zapytał Jung.

Żółtowski zacisnął usta. Splótłszy dłonie, patrzył na dziennikarza tak, jakby potwierdzał to, co usłyszał, lecz bał się przyznać, żeby nie narobić sobie

biedy.

– To wszystko prawda, Tosiek? – odezwała się Żółtowska. – Dlaczego milczysz? Tosiek, co ty przede mną ukrywasz?

Żółtowski jeszcze bardziej zacisnął już zbiegłe usta.

– Panie inżynierze, ja – Jung wskazał na siebie kciukiem – będąc na miejscu pana, jutro z samego rana pojechałbym do prokuratury. Albo to, o czym pan wie i co pana męczy, opisałbym ze szczegółami, włożył do koperty i wysłał pocztą do Wojtczaka.

– Tosiek, pan redaktor dobrze radzi.

Łatwo radzić, pomyślał Jung. A jeśli ten ktoś, kogo obawia się Żółtowski, jemu również zagroził tym, co zrobił Mirabelli i Ficnerskiemu? To musi być ktoś z jego otoczenia. Kto? Chyba nie Pohlhoffer ani nie Bielok. Sekretarz gminy? Możliwe, gdyby nie to, że w podobny sposób zginęła Mirabella Pohlhoffer? Przecież Dominiaka nie było na weselu w Gremplerze.

– Zróbmy tak – odezwał się Jung po krótkim namyśle. – Pan mi opowie tyle, ile uzna za dopuszczalne, żeby mieć spokojne sumienie. Będzie panu lżej. Teraz jestem reporterem śledczym, wcześniej byłem policjantem kryminalnym z dyplomem magistra psychologii. Także skrzywdzonym przez osobę z bliskiego otoczenia. Odszedłem z komendy nie dlatego, że byłem kiepski w tym, czym się zajmowałem. Odszedłem, bo za dużo widziałem i wiedziałem. Za sumiennie podchodziłem do tego, co było moim zadaniem. Byłem za uczciwy. To moja wada jako policjanta. Żałosne, prawda? Uczciwość, szczerłość, solidność, rzetelność, staranność, nieprzekupność nie zawsze są pożądane przez przełożonych. Odszedłem z komendy i tego nie żałuję.

– Na pewno? – zapytała Żółtowska.

– Skłamałem – natychmiast przyznał się Jung. – Żałuję. Bardzo żałuję, chociaż nie powinienem. Pomiedzy dziennikarzem śledczym i policjantem kryminalnym jest niewielka różnica. Pomimo tego powinienem robić to, czego nauczono mnie w Pile, w Czechach, na szkoleniach, na odprawach, od starszych, bardziej doświadczonych policjantów i co starałem się naprawdę solidnie robić przez piętnaście lat po studiach.

– Radzi pan mojemu mężowi...

– Panie inżynierze, jeśli pan się nie zdecyduje, to ja porozmawiam z prokuratorem Wojtczakiem. Zrobię to jeszcze dziś. Prosto z Jakubina pojedę do Krosna.

– Tak będzie najlepiej, Tosiek. Zaufaj panu redaktorowi.

– Prawdę mówiąc, to nie wierzę żadnemu prokuratorowi. Za długo miałem do czynienia z przedstawicielami tej instytucji. Każdy lub prawie każdy oskarżyciel publiczny pomimo tego że uważa się za obrońcę ciemionych, pali kadzidło na cześć swoich zwierzchników i dlatego stosuje zasadę krwawego Wyszynskiego Andrieja Januariewicza.

Żółtowska zrobiła pytającą minę. Pierwszy raz usłyszała to nazwisko. Żółtowski się wyprostował i lekko uśmiechnął Junga, ale się nie odezwał.

– Dajcie mi człowieka, a znajdę na niego paragraf – dodał Jung trochę tajemniczo.

– To samo czasem odnosi się do lekarzy – powiedziała Żółtowska. – Lekarz, jeżeli nawet nie potrafi zdiagnozować choroby, przypisuje pacjentowi lekarstwa. Bywa, że takie, które zamiast pomagać, szkodzą, mimo to wyciąga rękę po zapłatę.

– Może także porozmawiam z profesorem Liberą na naszym uniwersytecie. Na zlecenie policji zajmuje się kreśleniem portretów psychologicznych sprawców przestępstw. To od niedawna zwie się profilowaniem. Jak każda nowa metoda ma wielu zwolenników, szczególnie wśród tych, którzy nie wiedzą, na czym polega. Tylko czy profesor Libera będzie w stanie panu pomóc? Na pewno wysłucha. Chociaż może coś poradzi. Zanim... Najlepiej byłoby, gdy pan – Jung dotknął ręki Żółtowskiego – zdecydował się na wizytę w prokuraturze. Naprawdę będzie panu lżej.

Żółtowski milczał, jakby się zastanawiał, czy może zaufać Jungowi. Zdawał sobie sprawę z tego, że komuś musi powiedzieć o tym, co się ostatnio wydarzyło. Jeżeli nie dziennikarzowi, którego jako tako zna i który dotąd go nie skrzywdził, to komu? Na pewno proboszczowi podczas spowiedzi, chociaż uważa się za praktykującego katolika i powinien traktować księdza Zygmunta jak apostoła pokrzywdzonych. Proboszcz jest częstym gościem Pohlhoffera i pewnie długo nie utrzymałby języka za zębami. Żonie też nie powiedział, a powinien zaraz po tym, gdy Mirabella poinformowała go o swojej decyzji. Został więc Jung. Tylko czy obcemu człowiekowi można powiedzieć aż tak dużo?

– Jeszcze jedno, panie inżynierze. Obiecuję – Jung podniósł prawą dłoń i wyprostował dwa palce – że bez pana wyraźnej zgody na ten temat nie napiszę nawet jednego zdania w gazecie.

Żółtowska uśmiechnęła się zadowolona. Jej mąż oderwał wzrok od blatu stolika. Oparłszy się mocno plecami o fotel, powiedział:

– Jest coś, czego moja zmarła siostra w szczegółach nie wyjawiała. Więcej się domyślam, niż od niej wiem. Oświadczyła, że podjęła pewną ważną decyzję i że ona mnie dotyczy. Spytałem co. Miała mi powiedzieć w poniedziałek. Wszystkich Świętych. Tego dnia wybieraliśmy się na cmentarz. Na grób Olgierda. Nie zdążyła, a tak...

– Czekala na odpowiednią chwilę – przerwała mu żona.

– Tego nie wiem i nie chciałbym zgadywać. To coś, jak przypuszczam, wiąże się z jej mężem. Z Wolfgangiem i z... – urwał, jakby jeszcze się zastanawiał, czy bez obawy o ośmieszenie się może wymienić imię tego, któremu od pierwszego spotkania nie zaufał i nie ufa.

– I z? – zapytał Jung.

– Pójdę zrobić coś do picia. – Żółtowska podniosła się z fotela. – Znosi się na dłuższą opowieść. A może przygotować coś do jedzenia?

Obaj pokręcili głowami. Kiedy wyszła z pokoju, Żółtowski cicho powiedział:

– I z Bielokiem.

– Tak myślałem – Jung przyznał się akurat w chwili, gdy poczuł wibrację w kieszeni. Wyjął komórkę i zerknął na wyświetlacz. – Zastępca mojej szefowej – powiedział do Żółtowskiego, jakby go pytał o zgodę na rozmowę. – Słucham cię, Maćku. – Po kilkudziesięciu sekundach przytakiwania zamknął komórkę. – Muszę pana przeprosić. Coś się wydarzyło na drodze w Dąbiu. Zastępca naczelnej uznał, że skoro jestem w pobliżu, to powinienem tam pojechać. Zwierzchnikom się nie odmawia. Wrócę i jeśli pan pozwoli, dokończymy rozmowę.

– Tam często coś się wydarza – przypomniał Żółtowski.

DĄBIE, UL. ZIELONOGÓRSKA, PIĄTEK, WCZESNY WIECZÓR

– A ten chuj jebany tu po co? Nie życzę sobie, kurwa! – zawołała Anitta Carewicz, gdy Jung wysiadł z ibizy. – Każ mu wypierdalać! Natychmiast! No już! – rzuciła do sierżanta w białej czapce.

Jung był pewny, że posłanka jest wstawiona. Nikt trzeźwy tak by się nie odezwał. Tym bardziej kobieta w średnim wieku, która wie, że każdy jej krok jest obserwowany, analizowany, zapamiętany dlatego, że kiedyś zostanie przypomniany. Tylko raz, gdy w zastępstwie szefa działu politycznego poszedł na jej konferencję prasową, odpowiadała na pytania tak, jakby piła jedynie wodę źródlaną. To było przed południem. Po południu dwaj młodzi policjanci odebrali jej kluczyki od toyoty przed urzędem marszałkowskim w Zielonej Górze. Była pijana. Ile promili alkoholu miała w wydychanym powietrzu, tego rzeczniczka komendantki nie wiedziała. Carewicz zasłoniła się immunitetem poselskim. Gdy szła ze swojego biura w stronę parkingu, dyżurujący tam starsi policjanci odwracali głowy. Nikt nie chciał z nią wojować. Zresztą to by nic nie dało. Nawet podczas zebrań partyjnych Anitta Carewicz zachowywała się jak władczyni.

Przed sklepem stało co najmniej trzydzieści osób, w większości byli to mężczyźni i dzieci. Jung nie miał wątpliwości, że rozmawiają o tym, co się wydarzyło na drodze. Mógł do nich podejść i już by się dowiedział tyle samo, ile od policjanta albo jeszcze więcej. Jednak skierował się do posterunkowego w białej czapce.

– Daniel Jung z „Gazety Zielonogórskiej” – przedstawił się, pokazując legitymację służbową.

Policjant nawet na nią nie spojrział.

– W sprawie informacji proszę się skontaktować z rzecznikiem prasowym komendy – rzucił głosem spłoszonym, cofając się do radiowozu, gdzie siedzący za kierownicą młodszy aspirant trzymał słuchawkę radiotelefonu przy uchu. Pewnie naczelnik wydziału ruchu drogowego już go poinstruował, co ma odpowiadać na pytania dziennikarzy, pomyślał Jung, wcale tym nie zaskoczony.

– Panie redaktorze – usłyszał głos z gromady przed sklepem. Odwrócił się. W jego stronę ruszył przygarbiony mężczyzna. Wachnik? Ten sam, którego nazywają pogromcą pijanych kierowców? Pewnie ktoś inny, podobny do Wachnika. Co by Wachnik robił w Dąbiu? – Pan mnie nie poznaje? Wachnik jestem. Maciek Libera, zastępca redaktorki naczelnej, to mój znajomy.

– A?

– Ja jej tego nie podaruję – powiedział Wachnik, pokazując na drugi brzeg jezdnii, gdzie przy toyocie rozbitej z lewego boku stała posłanka Carewicz

i sierżant w białej czapce.

Jung nie domyślał się, czego Wachnik nie podaruje posłance. Pokiwał głową, jakby akceptował to, co on powiedział i już chciał podejść do gromadki ludzi stojących przed sklepem, gdy Wachnik pochwalił się, że to piąta osoba od Wszystkich Świętych, którą przyłapał na jeździe samochodem po pijanemu.

– Wiedział pan, że pani Carewicz jest pijana i nie odebrał jej kluczyków? Dobrze usłyszałem?

– Próbowałem, ale... To zadzwoniłem na komendę. Gdyby drogówka przyjechała szybciej... Chwała bogu, że tamtych nie zabiła.

Dopiero teraz Jung dostrzegł niebieskiego peugeota na poboczu.

– Posłanka spowodowała wypadek – bardziej stwierdził niż zapytał.

– Pędziła, ile się dało. Więcej niż setką w terenie zabudowanym. To i nie wyrobiła na łuku drogi. Dobrze, że tylko tak to się skończyło. Niedawno w tym samym miejscu zginął miejscowy pijaczyna. Toyota posłanki ma rozbity lewy bok, ona rozerwany rękaw bluzki i zadrapania na twarzy.

– A tamci? – Jung wyciągnął rękę w kierunku peugeota.

– Dwoje dorosłych i dziecko karetka zabrała do szpitala. Pewnie nic dramatycznego, ale auto do kasacji. Człowiek ciuła, składa grosz do grosza, żeby mieć za co kupić samochód, a taka jedna...

– Najpierw zawiadomił pan policję...

– Zadzwoniłem na sto dwanaście.

– ... i potem do redakcji? – dokończył Jung.

– Prosto do Maćka Libery. Powiedziałem mu, co, jak i gdzie. Podziękował. Maciek jest cięty na Carewiczkę za krzywdę teścia po tym, jak wykreśliła Kunickiego z listy kandydatów na posła.

– A skąd pan wiedział, że posłanka jest pod wpływem?

Wyraźnie dumny Wachnik najpierw wypiął pierś, potem splótł palce dłoni i milczał, jakby się zastanawiał, ile może odkryć. Gdy doszedł do wniosku, że większość z tego, co ujawni, ma szansę pojawić się w gazecie, powiedział:

– Nareszcie jest decyzja w sprawie budowy obwodnicy Krosna. Za pięć lat będzie pan jeździł nowym mostem. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie Carewiczka, na obwodnicę byśmy jeszcze długo czekali. Dziś radni zatwierdzili zmianę w planie zagospodarowania gminy. Formalność. Po sesji wierchuszka miasta zaprosiła gości do zajazdu pod Osiecznicą. Pojechałem

tam jako przedstawiciel biura projektowego. Ochłaj i żarło. Dopiero tam zobaczyłem, ile wody Carewiczka może w siebie wlać. Burmistrz skapitulował po pierwszej butelce. Jego zastępca trzymał się dłużej. Ten z ministerstwa padł po drugiej godzinie. A Carewiczka na lewą nóżkę, na prawą. Za tych, co na morzu! No to po maluchu! Oby nam się! Osoba godna pije do dna! Żeby drzewa na nasze trumny jak najdłużej rosły! Baba nie do zdarcia.

– Dlatego już czwartą kadencję jest posłanką – roześmiał się Jung.

– Zdawałem sobie sprawę z tego, że przyjechałem własnym samochodem i własnym samochodem muszę wrócić do Zielonej Góry, to i poza jakimś sokiem niczego więcej nie wypilem. Gdzieś po trzech godzinach był koniec imprezy. Tego z ministerstwa kelnerzy zataszczyli do pokoju gościnnego. Po zastępcę burmistrza przyjechała jego żona. Ale mu dała wciry. Boże, jaka go obsobaczyła. Aż mi się żal chłopca zrobiło. Pił, bo musiał. Gdyby odmówił. Szkoda gadać. Na innych czekali kierowcy w służbowych autach. A ledwie trzymająca się na nogach Carewiczka jakby nigdy nic ładuje się za kierownicę toyoty. Próbowałem ją zatrzymać. Obsobaczyła mnie, że to napaść na posła Rzeczypospolitej. Ona jest nietykalna.

– I wtedy zadzwonił pan pod sto dwanaście.

– Zanim toyota posłanki ruszyła z parkingu przed zajazdem, stanąłem na jej drodze. A Carewiczka na gaz i myk bokiem. Apokalipsa! Wtedy zadzwoniłem na sto dwanaście. Przecież to morderczyni... Maćka Libereę powiadomiłem dopiero z Dąbia, jak już to się stało. – Wachnik wyciągnął rękę w stronę posłanki opartej o toyotę. – Ta pani ma trzy kolejne niewinne osoby ma na sumieniu.

JAKUBIN, UL. SADOWA, PIĄTEK, WIECZÓR

W drodze powrotnej do Jakubina Jung rozważał, co powiedzieć Żółtowskiemu, kiedy zapyta o wydarzenie w Dąbiu. Każdego by to interesowało. A Żółtowski nie zapytał. Powtórzył tylko, że to, o czym godzinę wcześniej rozmawiali, wiąże się z Bielokiem.

– Zwłaszcza z jego powodu moja siostra była nieszczęśliwa – dodał.

Dziś przed południem na parkingu przed urzędem wojewódzkim Jung pierwszy raz zobaczył Bieloka opartego o białego arteona. Wydał mu się facetem z pogardą traktującym tych wszystkich, którzy tak jak Wolfgang

Pohlhoffer przyjechali po odbiór dokumentu poświadczającego polskie obywatelstwo. Nawet przyszło mu na myśl, że najważniejszą osobą w Jakubinie jest nie właściciel HolzPohlu, WasserPohlu, ApfelPohlu i pozostałych firm, jak roznosi po gminie tamtejszy *vox populi*⁴³, lecz Lukas Bielok.

– Dlaczego pana siostra była nieszczęśliwa zwłaszcza z powodu Bieloka?
– zapytał Jung akcentując „zwłaszcza”.

– Nie wiem. To znaczy wmawiam sobie, że nie wiem. Bardziej się domyślam niż wiem, panie redaktorze. Ale póki nie będę mieć bezspornych dowodów, proszę na mnie nie naciskać. Przepraszam. Inżynier tym się różni od humanisty, że podejmuje decyzję dopiero wtedy, kiedy jest pewny swoich racji. Ja mam wykształcenie techniczne.

– Zatem nie naciskam – odparł Jung, co nie było szczerą prawdą, bo w głowie miał pytania dotyczące przeszłości Bieloka, na które musi uzyskać odpowiedź.

Żółtowski jakby czytał w jego myślach. Po chwili powiedział:

– Gdybym był na pana miejscu, panie redaktorze, zainteresowałbym się kolejami losu Bieloka. Zastanawia mnie, po pierwsze, dlaczego doktor nauk medycznych ze specjalnością chirurga medycyny estetycznej porzucił szpital uniwersytecki w wielkim mieście i zajął się biznesem po polskiej stronie. Mówię o Pohlhofferze. Po drugie, dlaczego nie Niemiec czystej krwi, a Ślązak z urodzenia został jego kierowcą, asystentem, ochroniarzem, nawet służącym. Co ich do siebie zbliżyło? Kiedy? Dlaczego Pohlhoffer bezgranicznie ufa Bielokowi? Ja się domyślam, ale póki nie zdobędę stuprocentowych dowodów, nie pisnę słowem. Jeszcze raz przepraszam. Taki jestem od dziecka.

– Rozłożył wymownie ręce. – Proszę sprawdzić.

– Co mam sprawdzić?

– Dlaczego Pohlhoffer aż tak ufa Bielokowi. Co ich zbliżyło? Co, kiedy, dlaczego i w jakich okolicznościach? – powtórzył Żółtowski.

– Dołożę starań – zapewnił go Jung. Pomyślał o Madlenie Havliček, dziennikarce tygodnika „Niederlausitzer Tageblatt” w Chociebużu. Tyle razy mu pomagała, to i teraz nie powinna odmówić. Jeżeli sama nie będzie w stanie dotrzeć do źródła, to jest jeszcze komisarz Tomiak. Ten policjant zrobi wszystko, o co go poprosi Madlena.

– Ile prawdy jest w tym, że pana siostra poznała Pohlhoffera na cmentarzu, kiedy chodziła na grób swego pierwszego męża?

– Bella poznała Pohlhoffera dużo wcześniej. Jeszcze Olgierd żył i jeszcze żyła Birgit. Tamto także wymaga nowego rozpoznania.

– Co tamto?

– Birgit zginęła dokładnie tydzień po Olgierdzie. On od pocisku podczas polowania w niewyjaśnionych okolicznościach. Ona nie opanowała kierownicy, mimo że nigdy nie jeździła za szybko. Co ciekawe, panie redaktorze, samochód uderzył w drzewo, ale poduszka powietrzna nie wystrzeliła, a przecież powinna. Birgit czasem wypijała odrobinę wina. Jeżeli planowała wyjazd samochodem do miasta, to co najmniej dzień wcześniej stroniła nawet od pralinek. Jak więc wytłumaczyć to, że podczas sekcji zwłok stwierdzono alkohol w jej organizmie?

– Uważa pan, że to nie był nieszczęśliwy wypadek? Może jednak coś wypijała?

Żółtowski pokręcił głową. Jung pomyślał o tym, co pół godziny temu widział na drodze w Dąbiu. Stojąca na lewym pasie toyota posłanki była rozbita z boku, jej nic groźnego się nie stało, nie licząc zadrapań i rozerwanego rękawa bluzki. Zasłaniając się immunitetem i legitymacją poselską, Carewicz nie pozwoliła pobrać sobie krwi do badania. Zresztą mundurowi zachowywali się wobec niej tak, jakby tamci z peugeotą spowodowali wypadek.

– Birgit niewiele piła. To była naprawdę rozumna kobieta.

– W takim razie...

– Uważam również, że to, co się stało w hotelu z moją siostrą, nie było samobójstwem – Żółtowski nie pozwolił dokończyć Jungowi. – Moja siostra nie miała myśli samobójczych. Zanim Bella zgodziła się na małżeństwo z Pohlhofferem, inaczej wyobrażała sobie ten związek.

– Żaliła się panu?

– Była zbyt ambitna, żeby swoimi problemami podzielić się nawet z bratem. Wydaje mi się, że Bella częściej rozmawiała z moją żoną niż ze mną.

– Skoro nie popełniła samobójstwa, jak pan uważa, i nie zmarła śmiercią naturalną, jak stwierdziła lekarka podczas sekcji, to co? Została zamordowana. Nic innego nie przychodzi mi na myśl. Zamordowana przez kogo? I dlaczego?

– Gdybym miał jakieś dowody, nie czekałbym minuty, tylko zgłosił to policji.

– Policja wzięła pod uwagę jednego spośród uczestników wesela. Wstępnie przesłuchała go w hotelu i potem szczegółowo w komendzie. Nie przyznał się, chociaż... – Jung w ostatniej chwili ugryzł się w język. Nie chciał powtórzyć tego, że Mirabella poszła do łóżka z Jakubem Bednarzem.

– Wiem, o kim pan mówi. Na ten temat rozmawiałem z Anną Marią, to znaczy z młodą panią Zahorską-Ogrodzińską. To jest moja kuzynka.

Powinowactwa rodzinne nie interesowały Junga. Czekał, kiedy Żółtowski mu się przyzna, że Mirabella zmieniła dysponenta polisy ubezpieczenia na życie.

– Kiedy ostatni raz widział się pan z siostrą?

– Jakieś... jakieś... – Żółtowski udawał albo rzeczywiście nie mógł sobie przypomnieć. – Dwa, trzy tygodnie temu. Przez telefon rozmawiałem z Bellą w poprzedni piątek koło południa. Żaliła się, że sama pójdzie na wesele, bo Wolfgang musi pilnie wyjechać do Niemiec.

– Czy pan także był zaproszony na tę uroczystość?

– Jakby to wytłumaczyć?

– Teściowie Anny Marii zdecydowali, że mąż i ja nie zostaniemy zaproszeni na uroczystość! – zawołała z kuchni Żółtowska.

– Firma Ogrodzińskiego, ojca Marcina, to znaczy teścia Anny Marii, brała wyroby od HolzPohlu. Na początku płaciła terminowo, później z opóźnieniem, a potem nawet przestała reagować na nasze wezwania do zapłaty. Miała ogromne zaległości. To podaliśmy ją do sądu. Skończyło się postępowaniem komorniczym – wyjaśnił Żółtowski głosem stłumionym, jakby się tego wstydził.

Jung podniósł rękę, co oznaczało, że tą sprawą nie jest zainteresowany.

– A czy siostra wspominała o polisie ubezpieczeniowej?

– Nie rozumiem, o co pan zapytał.

Zamiast odpowiedzieć, Jung przypomniał:

– Zdaniem pana, Mirabella nie popełniła samobójstwa. – Pomimo tego że Żółtowski natychmiast przytaknął, Jung powiedział: – Temu przekonaniu zaprzecza list pożegnalny. Wprawdzie nie na papierze i bez podpisu, ale wysłany z jej komórki do Wolfganga Pohlhoffera. Wysłany mniej więcej w czasie, kiedy tamto się stało.

Żółtowski nie dociekał, od kogo Jung to wie. Oniemiały wbił wzrok w blat stolika. Gdyby jednak spytał, Jung zataiłby, że zna szefa techników jeszcze

z czasów, kiedy pracował w komendzie. Większość pogłębionych informacji kryminalnych, które drukuje „Gazeta Zielonogórska” pochodzi z tego źródła. Z Jackiem Syskim zna się jeszcze bliżej, lecz od niego niewiele się dowiaduje. Mógłby go przyciskać do muru, ale wtedy byłby koniec ich przyjaźni. Na to nie może sobie pozwolić, zwłaszcza że druga żona Jacka jest cioteczna siostrą Miśki.

– Po kolei, panie redaktorze. Najpierw niech pan się dowie wszystkiego, ile się da na temat Bieloka. – Żółtowski wyjął spod stolika zieloną teczkę i położył ją przed Jungiem. – Tyle udało mi się zdobyć. Nie za wiele, ale zawsze coś, co może okazać się przydatne.

– Zbierał pan materiały na temat Bieloka? Dlaczego?

Żółtowski nie wyjaśnił. Przeciął ręką powietrze, jakby nie miało to znaczenia.

– A w sprawie listu pożegnalnego... – urwał. Po chwili kontynuował: – Trzeba sprawdzić, gdzie logował się Pohlhoffer. Z tym policja nie powinna mieć trudności. Przypuszczam, że pan również.

Do pokoju weszła Żółtowska, stawiając na stoliku półmisek z kanapkami i dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą.

– Wczoraj, kiedy pan odwiedził mnie w przychodni, powiedziałam, że Bella chciała mieć dziecko. Dotąd się nie udawało, co nie oznacza, że definitywnie zrezygnowała ze starań. Dziecko z Wolfgangiem. – Żółtowska zamilkła, zerkając na męża, jakby wzrokiem pytała go, czy może ujawnić to, co oboje wiedzą i co jest tajemnicą rodziny. – A teraz wyłącznie do pana wiadomości. W rozmowach ze mną Bella coraz bardziej zdawała sobie sprawę, że do tego nie dojdzie. Formalnie była żoną Wolfganga, nosiła jego nazwisko, praktycznie nie dzieliła z nim łoża.

– Białe małżeństwo?

– Przypuszczam, że pan sam odpowie na to pytanie, kiedy dowie się wszystkiego o Bieloku. Wczoraj w przychodni nie zdążyłam powiedzieć więcej.

– Pan Jung był wczoraj w przychodni? – zdziwił się Żółtowski. – Nie pytam po co, pytam, co jeszcze przede mną ukryłaś?

Żółtowska przez chwilę milczała, jakby się zastanawiała, czy przy Danielu powinna powtórzyć pytanie, które zadała jej Mirabella.

– Twoja siostra zapytała, jak przyjmiesz to, że zamieni dysponenta jej polisą na życie. Powiedziałam, aby z tym zwróciła się wprost do ciebie. Nic

więcej.

– Kiedy cię o to zapytała?

– W zeszły czwartek.

– Przez telefon rozmawiała ze mną w piątek. Jak mówiła, że sama pojedzie na wesele. Ani słowa na temat polisy. A skoro mowa o Belli... – Żółtowski urwał. Po czy zacisnął usta i przeniósł spojrzenie na sufit. – Bella nie była moją siostrą.

– Antoni, o czym ty mówisz?

– Bella nie była moją rodzoną siostrą.

– Niech pan go nie słucha. To emocje.

– Ojciec Belli i mój ojciec byli bliźniakami. Gdy chodziłem do pierwszej klasy podstawówki, moi rodzice zginęli w wypadku na przejeździe kolejowym. Stryj Paweł, czyli brat mojego ojca, wziął mnie do swego domu. To samo nazwisko... Stryj nie wyjawiał prawdy Belli, a mnie traktował tak, jakbym był jego rodzonym synem. Belli nie przyszło na myśl, że jestem jej stryjecznym bratem.

CHOCIEBUŻ (COTTBUS), ESCHENWEG, SOBOTA, PRZEDPOŁUDNIE

Wczoraj wieczorem zaraz po wyjściu z domu Żółtowskich Jung usiadł za kierownicą ibizy i zanim wyjechał z Jakubina, zadzwonił do Madleny Havliček. Odezwała się natychmiast, jakby czekała na rozmowę i bez zadawania dodatkowych pytań zgodziła się mu pomóc. Zaznaczyła jednak, żeby nie robił sobie wielkich nadziei. Postara się spełnić jego prośbę, ale w granicach rozsądku i swoich możliwości, a te wraz z przechodzeniem znajomych i przyjaciół na drugą stronę życia coraz bardziej się kurczą. Dodała, że modne ostatnio maszerowanie z kijami po parku, pływanie, aerobik czy fitness jej nie interesuje, tym bardziej sport wyczynowy, jeśli nie liczyć przyglądania się tańczącym łyżwiarzom lub gimnastyczkom ćwiczącym w telewizji. Nawet samotna kobieta w jej wieku nie ma dla kogo dbać o szczupłą sylwetkę. Co innego gdyby pojawił się ktoś, na kim jej będzie zależało. Na razie na to się nie zanoszą. Chociaż nigdy nie mów nigdy, dodała ze śmiechem i głosem przetkanym wiarą w zmianę swojej sytuacji. Zaraz skontaktuje się z kolegą syna pracującym w Lausitzer Sportschule⁴⁴, który

w młodości uprawiał jakąś dyscyplinę halową w ramach sztuk walki. Co to było, dokładnie nie wie. Pewnie judo, może karate, a może nawet zapasy. Na pewno jeździł na turnieje i gdy przychodził do jej syna, słyszała, jak się chwalił zdobyciem tytułu mistrza Niemiec, wygraniem zawodów za granicą czy rzuceniem kogoś na łopatki, kogo nie powinien pokonać. Madlena pomyśli, kto spośród jej znajomych jeszcze będzie w stanie okazać się pomocny. Przyznała się, że od niedawna ma na pieńku z kierownikiem działu sportowego „Niederlausitzer Tageblatt”, dlatego wolałaby go pominąć, ale w ostateczności i do niego zwróci się o wspomnienie. Aha, w sobotę nie wybiera się do redakcji, zaprasza więc Daniela do swojego domu.

– Czy jeszcze pamiętasz, jak dojechać na Eschenweg? – zapytała kąśliwie.

Pamiętał. I pamiętał o tym, żeby przywieźć jej kwiaty. Dawniej wpadał do ogrodnika w Gubinie, kupował bukiet dopiero co ściętych róż i przekraczał granicę pewny, że bez wody kwiaty nie zwiędną. Zresztą to nie więcej niż czterdzieści minut ślimaczej jazdy od mostu na Nysie przez drzemiące wioseczki Dolnych Łużyc na Eschenweg. W tamtym czasie świeże róże były najcenniejszym prezentem z Polski. Teraz w centrum Chociebuża jest co najmniej tyle samo kwaciarni co w Zielonejgórze. W jednym i drugim mieście już w połowie jesieni można kupić nawet tulipany wyhodowane być może przez tego samego ogrodnika w Brazylii czy Meksyku. Po kwiatkach widać, że z każdym rokiem świat staje się coraz mniejszy.

– *Měj žěk. Ty sy mě nejrědnjejšy Strus sobu pšinjaš, kaž pšecej. Ty ga wěš, co ja nejlubjej mam*⁴⁵ – powiedziała Madlena po łużycku, gdy Daniel podał jej naręczce purpurowych dali ze złocistymi oczkami, po czym pocałowała go w policzek i otarła się ramieniem o jego ramię.

Poczuł świeży zapach perfum. Na pewno dior. Identyczną woń rozsiewa Miśka. Jako mężatka Madlena nie pachniała byle czym. Tak samo jest teraz. A może Danielowi tak się tylko wydaje.

– Czy już udało ci się coś zdobyć? – zapytał jeszcze w korytarzu.

Nie odpowiedziała. Zatrzymała się przy szeroko otwartych drzwiach do dużego pokoju i nieznacznie się uśmiechnęła, wskazując ręką kierunek, jakby ten gest oznaczał, że wszystkiego dowie się we właściwym czasie. Przekroczył próg i się rozejrzał po salonie dużo większym niż jego całe trzypokojowe mieszkanie na osiedlu Słonecznym. Nic się nie zmieniło od mojego ostatniego pobytu, stwierdził w myślach. Madlena nie weszła za nim. Z korytarza rzuciła, żeby się rozgościł w pokoju. Ona włożyła dale

do wazonu, przygotuje kawę i coś na ząb. Tak powiedziała po polsku, czym zaskoczyła Daniela. Kiedyś nauczył ją kilku polskich wyrażen, nie pomijając bluzgów i najobrzydliwszych wulgaryzmów, o co Miśka miała do niego pretensję. W ramach rewanżu Madlena wtłoczyła mu do głowy wiązanę popularnych zwrotów łużyckich, także nie pomijając przekleństw i zaraz dodała, że jej niemieccy rodacy nie wymawiają ich tak poprawnie jak on. Daniel doszedł do wniosku, że gdyby musiał, to szybko by się nauczył jej języka. Łużycki mieszkańców Chociebuża jest podobny do polskiego. Mówiłby: *klěb, město, droga, casnik, tyženik, wobjed, kupka, rěc*⁴⁶. Nawet wiedziałby, czym się różnią *kwět* i *kwětk*⁴⁷. Może wypowiadałby te wyrazy z nietrafnym akcentem, ale pewnie Madlena by go rozumiała albo udawała, że rozumie. A gdyby mu się wyrwało *Ja budu ší najebaš*⁴⁸, to by strzeliła siarczystem śmiechem i w odpowiedzi popisała się identycznym bluzgiem po polsku. Dopóki żył Bohuslav, urządzali popisy językowe. Madlena deklamowała po łużycku, jej mąż po czesku, Miśka śpiewała po śląsku, a Daniel usiłował powtórzyć coś po ojcu, który wywodził się z Wołynia. Potem bardziej swawolili niż przechwalali się znajomością łaciny. Mowa niemiecka rzadko była obecna podczas ich spotkań tak po jednej, jak i po drugiej stronie granicy.

– Naiwnemu zawsze szczęście sprzyja czy jakoś tak – pierwszą część zdania Madlena powiedziała po polsku, drugą po łużycku. Daniel nie protestował, chociaż nie rozumiał, ku czemu ona zmierza. Był pewny, że nie jego miała na myśli. – Wczoraj, zaraz po rozmowie z tobą, zadzwoniłam do kolegi syna, tego, który pracuje w Lausitzer Sportschule. Jak przez mgłę pamiętał takiego zapaśnika, jakiego mi opisałeś. Lukas to dość popularne imię w Niemczech. Może nie tak jak Peter, Johann czy Wilhelm. Z historii powinienes pamiętać Lukasa Cranacha. Jest słynny grafik Lukas Bischoff. Jest popularny kompozytor Lukas Hilbert. Na studiach chodziłam na wykłady profesora Lukasa Bechera. Na pewno słyszałeś o takim piłkarzu jak Lukas Podolski.

– Urodzony w Gliwicach na Górnym Śląsku. Wyjechał z rodzicami do Niemiec. Grał bodajże w Bayernie Monachium, londyńskim Arsenalu, jakimś zespole tureckim. Reprezentował Niemcy na kilku mistrzostwach świata i Europy.

– Wiedziałam, ale nie aż tyle – pochwaliła Daniela. – A teraz Lukas Bielok. Nazwisko rzadkie w Niemczech. Kolega syna ma rano zajrzeć

do jakiejś publikacji i sprawdzić, czym się zajmował ten Bielok, który cię interesuje. Obiecał, że kiedy wszystkiego się dowie, da mi znać. – Pokazała głową na półmisek, na którym wdzięczyły się kanapki obłożone wędliną, żółtym serem i pomidorami na liściach sałaty. – Pachnący chlebuś prosto z pieca, kupiony rano w osiedlowym Kauflandzie. Dziś wyjątkowo wstałam wcześniej, żeby zdążyć przed twoim przyjazdem i... – urwała, roześmiała się, sięgnęła po kanapkę, namawiając Daniela do jej naśladowania. – Teraz pasuje powiedzonko o szczęśliwym przypadku. Mianowicie kiedy wyszłam z domu do sklepu, spotkałam sąsiadkę. Ona nigdy nie przejdzie bez słowa. Lubię wymienić z nią chociażby powitanie. To Polka z podwójnym obywatelstwem. Po studiach prawniczych na Viadrinie wyszła za Niemca, a ponieważ na uniwersytecie poznała niemieckie przepisy i zna polskie prawo i zwyczaje, na brak klientów nie narzeka. Kancelarię główną ma w Chociebużu, filię w Zielonejgórze. Właśnie wracała z Kauflandu ze świeżym pieczywem. Dzień dobry, pani Moltenthin, znowu zapowiada się pracowity dzień, ale jutro niedziela, to się odpocznie, palnęłam. Słusznie, pani Madleno. Zawsze mówi do mnie po imieniu. Na początku naszej znajomości to mnie denerwowało, bo w Niemczech w trakcie rozmowy tylko dzieci używają imion. Bywałeś w urzędach, widziałeś tabliczki przy drzwiach. *Frau*⁴⁹ Goldschmidt, *Frau* Windmüller, *Herr*⁵⁰ Hoffmann, *Herr* Schneider. Pani również tak wcześnie wstaje? O ile wiem, dziennikarze pracują do późnej nocy to i mają prawo dłużej się wylegiwać. Co innego my, prawnicy. Konkretni ludzie. Przed południem staramy się załatwić większość spraw, jakie sobie zaplanowaliśmy na dany dzień. Wyjaśniłam, że jako rasowa dziennikarka najbardziej lubię pracować w nocy i spać do dziewiątej. Dziś jest wyjątkowa sytuacja. Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie kolega z Zielonej Góry. Także reporter śledczy. Wyśmienite pióro, zapewniłam ją. – Madlena uśmiechnęła się do Daniela. – Poprosił o koleżeńską przysługę. Nigdy mu nie odmawiam, bo i ja korzystam z jego pomocy. Chociaż przystojny? Gdyby nie był żonaty, pani Moltenthin, albo gdybym nie szanowała jego uroczej małżonki, *notabene* s specjalistki w zakresie medycyny sądowej ze stopniem profesora, już dawno zarzuciłabym na niego sidła. Pomimo wdowieństwa staram się nie rozbijać udanych związków, tym bardziej moich serdecznych przyjaciół. Drobnie romansiki się nie liczą. – Tym razem Madlena puściła oko do Daniela, jakby tym gestem chciała mu o czymś przypomnieć. Udał, że tego nie dostrzegł. – Sąsiadka zapytała, czy to jakaś sprawa z obu

stron granicy. Nie znam szczegółów, tak odpowiedziałam. Koledze chodzi o sprawdzenie, czy w Niemczech był taki zapaśnik. Wymieniłam nazwisko i imię, a ona że jeśli to nie jest zbieg okoliczności, to zna kogoś takiego. Co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, odpowiednia waga. Goliat, ale nie ma niczego za dużo. Po prostu dobrze zbudowany. Chłop jak dąb. Może się podobać kobietom, tyle że on bardziej woli towarzystwo mężczyzn. Nazwisko też pasuje. Pasuje i to, że aktualnie przebywa po polskiej stronie. Bielok organizuje festiwale muzyki techno. Ten gatunek specjalnie nie interesuje mojej sąsiadki. Za to jej mąż, który prowadzi klub w Chociebużu, z setkami podobnych do siebie audiofilów co roku bywa na festiwalu techno w Jakubinie. Autokarami jadą tam technomani z Berlina, Lipska, Drezna, nawet z głębi Niemiec. Zdaniem jej mąż, jest to najlepiej zorganizowany festiwal muzyki techno w środkowej Europie. Za niewielkie pieniądze trzy dni radosnej zabawy. Słyszałaś o tym festiwalu?

– Coś tam – skłamał. Muszę kogoś popytać, pomyślał, ale nie wiedział kogo. Nawet nie wiedział, że jest taki gatunek muzyki i czym się charakteryzuje. Muzyka prawie go nie interesowała. Co innego książki fantastyczne, szczególnie historia alternatywna. Miśka śmiała się, że Daniel lepiej widzi orkiestrę niż ją słyszy. Ona zaś traktowała muzykę, szczególnie symfoniczną i kameralną, jako odprężenie po pracy w zakładzie medycyny sądowej, dlatego gdy tylko mogła, chodziła do filharmonii.

– Zapytałam, czy mąż przywiózł zdjęcia z tego festiwalu. Może coś dałoby się z nich odczytać. Sąsiadka odpowiedziała, że spieszy się do kancelarii. Z kancelarii zadzwoni do męża i tego się dowie.

Madlena znowu sięgnęła po kanapkę. Jedząc, przypatrywała się Danielowi. Nigdy nie ukrywała, że się jej podoba. Jest trochę podobny do Bohuslava. Kiedyś powiedziała przy Miśce, niby w żartach, aby się nie martwiła tym, czy Daniel sobie poradzi po jej śmierci. Jeśli Miśka umrze pierwsza, czego jej nie życzy, Madlena zaopiekuje się Danielem. Nawet nie winiła go za to, co się wydarzyło pod koniec lata w hotelu w Sprembergu. Wtedy ona go sprowokowała. Ponieważ nie wyrzucił Madleny ze swego pokoju, dlatego uchronił ją przed śmiercią. Przecież gdyby została w swoim łóżku, ten ktoś, kto polował na Daniela, a nie wiedział, że zamienili się pokojami, ją by zastrzelił.

– Skoro ten facet, Bielok, bardziej lubi mężczyzn niż kobiety, jak go pani poznała?

– Gej? – zapytał Jung i nie czekając na potwierdzenie, dodał: – Do takiego wniosku doszedłem wczoraj wieczorem po wyjściu od Żółtowskich, ale ponieważ wcześniej nie przyszło mi to na myśl, dałem sobie spokój z tym tematem.

– Homoseksualizm w ogóle, a męski szczególnie, w naszej cywilizacji bywa ukrywany, tym bardziej że jest on wyśmiewany przez heteroseksualistów. Znam takich, którzy powołują się na Biblię, gdzie jest powiedziane „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili sobie poddaną”. Na temat lesbijek nie słyszałam niczego śmiesznego, wulgarnego czy uwłaczającego kobiecej naturze. Na temat mężczyzn zorientowanych homoseksualnie nawet w Niemczech, a to kraj wyjątkowo tolerancyjny, słyszałam tyle dowcipów, że robiło mi się nieprzyjemnie. Nie sądzę, abym musiała cię przekonywać, że homoseksualizm jest tak samo naturalny jak heteroseksualizm. Jedni mają krucze włosy, drudzy złociste. – Madlena się roześmiała, puszczając oko do Daniela. – Czy ktoś z tego powodu wytyka tych lub tych? Homo- i heteroseksualizm nie powinien być oceniany w kategoriach moralnych. Homo- to po prostu inny sposób życia erotycznego. Erotycznego, a nie seksualnego. Wprawdzie Biblia podaje, że „Ktokolwiek obcuje cielesnie z mężczyzną, tak jak się obcuje z kobietą, popełnia obrzydliwość. Obaj będą ukarani śmiercią, sami na siebie tę śmierć ściągnęli”. Ale przecież jednego i drugiego stworzył ten sam Pan Bóg. Na obraz i podobieństwo swoje, o czym są święcie przekonani chrześcijanie. A niepodzielający tej wiary uważają, że jest to zgodne z naturą. Gdyby nie było zgodne, natura nie powoływałaby gejów i lesbijek. Daniel, zgódź się ze mną, że jeśli homoseksualiści są szczęśliwi, nie należy im zabraniać tego, co robią. Czy w starożytności homoseksualizm był traktowany jako zboczenie? Nie. Był, jeśli tak można to nazwać, akceptowany. Może lepiej powiedzieć: nie był aż tak nagannym występkiem jak to jest obecnie. Uważam, że homoseksualistów nie trzeba leczyć, bo to nie jest choroba. To jest inne zachowanie. Zresztą spotyka się je nie tylko w świecie ludzi, ale i wśród delfinów, łabędzi, nawet małp. Na szczęście nas, Daniel, ten egzystencjalny problem nie obejmuje.

Madlena mnie prowokuje, pomyślał. Zamiast cokolwiek powiedzieć, sięgnął po kanapkę i udawał, że mu bardzo smakuje. Przeżuwając ją, zapytał:

– No i jak ta adwokatka z sąsiedztwa go poznała, skoro ona nie słucha techno, a Bielok lubi mężczyzn?

– Przez jego szefa, klienta jej kancelarii.

– Wolfganga Pohlhofferera?

– Padło to imię i nazwisko. Mecenas Moltenthin pochwaliła się, że pomogła Pohlhofferowi przenieść firmę z Niemiec do Polski. Oczywiście wyłącznie od strony prawnej. Nigdy nie spodziewała się, że jego interesy w Polsce nabiorą takiego rozpędu. Co innego gdyby sprawa dotyczyła doświadczonego przedsiębiorcy. Zanim Pohlhoffer został właścicielem firmy wytwarzającej chemię budowlaną, był lekarzem w szpitalu uniwersyteckim w Düsseldorfie, specjalistą w zakresie chirurgii plastycznej. Podpowiadała, że jeśli tak bardzo chce żyć w Polsce, niech osiadzie w Poznaniu czy Wrocławiu i tam uruchomi klinikę czy tylko gabinet medycyny estetycznej. Na brak klientek na pewno nie będzie narzekał.

Najpierw rozjaśnił się wyświetlacz komórki, a chwileczkę później rozległa się melodyjka. Madlena spojrzała na ekranik telefonu leżącego przed nią na stoliku.

– Altmeier – powiedziała i zaraz wyjaśniła Danielowi, że to nauczyciel w szkole sportowej. Po czym przesunęła palcem wskazującym zieloną ikonkę na monitorze. – Zamieniam się w słuch, Peter.

Daniel wstał z fotela, podszedł do okna, za którym była opustoszała uliczka osiedlowa i odwrócony plecami do Madleny zastanawiał się, ile prawdy jest w tym, co przed chwilą powiedziała o Bieloku. Dlaczego Żółtowscy nie wspomnieli o festiwalu techno, na który zjeżdża tak dużo Niemców? Nie wierzył, żeby zapomnieli. Może to nie ten Bielok? Gdy Madlena skończyła rozmawiać przez telefon, zrobił dwa kroki w jej stronę i oparłszy się rękoma o poręcz fotela zapytał, czy Altmeier ma coś o Bieloku.

– Nie jest pewny na sto procent. Znalazł jakieś opracowanie na temat zapasów. Jest w nim historia, wyniki i fotografie mistrzów Niemiec, tyle że nie wszystko mu pasuje. Zaraz zacznie się przerwa obiadowa. Jedziemy do szkoły – zdecydowała. – Daniel, wiesz, jak wygląda Bielok? Poznałbyś go na zdjęciu?

– Widziałem go raz. Było to wczoraj przed południem na parkingu urzędu wojewódzkiego. Stał oparty o białego arteona.

Wsiedli do ibizy. Madlena zaproponowała, żeby jechali nie przez zatłoczone centrum Chociebuża, a bocznymi uliczkami. Są wąskie, jednak będzie dużo szybciej i bezpieczniej.

– Nie pochwaliłeś się – powiedziała, kiedy ruszył sprzed jej domu. – Sroki na Spremberger Turm⁵¹ kraczą, że wkrótce wyjedziesz z Miską do Kopenhagi. Żona do pracy w WHO, a ty? Na długo? Co będziesz robił w Danii?

– Nie wszystko na raz. Teraz co innego mam w głowie.

CHOCIEBUŻ (COTTBUS), LINNESTRASSE, SOBOTA, POŁUDNIE

Na schodach przed wejściem do szkoły sportowej stał rostry mężczyzna w granatowym dresie z napisem „Niederlausitz Cottbus” i w błękitnej czapce z białym pomponem na głowie. Kiedy zobaczył ibizę z polską tablicą rejestracyjną, wskazał ręką miejsce przy ścianie oznaczone niebieskim znakiem i podpisem „Besucher”⁵².

– Za dwadzieścia minut zaczynam trening – powiedział i niczego nie wyjaśniając, wszedł pierwszy do budynku. Madlena i Daniel ruszyli za nim szybkim krokiem. Zatrzymał się dopiero przy drzwiach z tabliczką „Herr Altmeier”. Otworzył je szeroko, zapraszając gości do środka, po czym podszedł do stołu, na którym leżały pożółkłe gazety i książka w kolorowej okładce. – Tylko tyle znalazłem na temat osoby interesującej panią redaktor – oznajmił Madlenie. – A pana prosiłem o przyjazd – zwrócił się do Junga – ponieważ z podpisów pod zdjęciami nie wynika, kto jest kim. Być może tu w ogóle nie ma tej osoby, która pana interesuje. Aczkolwiek... To powiem na koniec.

– Czyżby pan nie znał Bieloka? – zdziwiła się Madlena.

Altmeier uśmiechnął się półgębkiem, po czym złożył ręce jak do modlitwy.

– Chyba ten. – Na zdjęciu byli podobni do siebie dwaj zawodnicy. Jung pokazał na muskularnego mężczyznę w niebieskim kostiumie. – A może... Przylegający do ciała trykot zmienia sylwetkę zapaśnika. – Altmeier sięgnął po szkło powiększające i podał je Jungowi.

Daniel pochylił się nad gazetą. Cisza trwała z pół minuty, zanim się wyprostował i orzekł, że to z pewnością Bielok.

– Też tak myślałem – przyznał się Altmeier. – Ten obok na zdjęciu to również Bielok. Kuzyn tego, który pana interesuje. W klubie było dwóch Bieloków. Lukas i bodajże Hubert albo Herbert. Drugi Bielok nie liczył się

jako zawodnik. Lukas co innego. Najwyższa klasa. Ich ojciec w młodości również był zapaśnikiem. Sięgał nawet po tytuły na mistrzostwach Europy. Lukas także był mistrzem Europy.

– A pan? – zapytał Jung bardziej z grzeczności niż z ciekawienia.

– Ja? Nic wielkiego. Srebrny medal na policyjnych mistrzostwach Niemiec w Stuttgarcie – odpowiedział Altmeier. – Występowałem w wadze do dziewięćdziesięciu siedmiu kilogramów. Lukas także. Pomimo tego nigdy nie walczyliśmy ze sobą na macie. – Jung otworzył usta, żeby się dowiedzieć, co stało na przeszkodzie, gdy Altmeier dodał: – Ponieważ Lukas był wolniakiem, a ja reprezentowałem styl klasyczny.

– Sądziłam, że istnieje podział ze względu na wagę zawodników. A tu jeszcze rozbieżność na style. – Madlena powiedziała to do Altmeiera. – Nie pytam, czym różnią się style, bo za chwilę i tak wyleci mi to z głowy. Typowo męska forma sportu: powalić przeciwnika.

– Również kobiety uprawiają zapasy, pani redaktor. Właśnie za chwilę rozpocznę trening z grupą dziewcząt.

– Nie powinnam się dziwić. Żyjemy w czasach, kiedy trzeba dobrze się przyjrzeć, żeby nie pomylić mężczyzny z kobietą.

– W lutym odbędą się w Zielonej Górze mistrzostwa Polski kobiet w kulturystyce i fitness. Moja gazeta przyjęła nad nimi patronat medialny.

– Mężczyźni niewieścieją, kobiety się maskulinizują. Sprawcą tego jest testosteron – skomentował Altmeier. – Byłem zapaśniczym wicemistrzem Niemiec, a jednak wolę oglądać kobiety wykonujące ćwiczenia z maczugami czy rywalizujące ze sobą na równoważni. Siatkarki zachowują się jak aktorki. Sport zawodowy mężczyzn to przede wszystkim widowisko. Kobiety to gracia i teatr. To znaczy tak mam zakodowane w głowie.

– Wróćmy do Bieloka – przerwał mu Jung, ponownie spoglądając na zdjęcie w gazecie. – Co udało się panu ustalić?

Altmeier otworzył teczkę, wyjął z niej sfatygowaną legitymację ze znakiem federacji związków zapaśniczych i wyjaśnił, że to jest jego potwierdzenie przynależności do klubu w Düsseldorfie. Jedyne zawodnik, który zdobył jakiś medal na mistrzostwach Niemiec, mógł sobie pozwolić na uprawianie zapasów. Kandydaci na mistrzów albo mieli majątnych rodziców czy mecenasów i wtedy doskonalili technikę, albo wyróżniali się wyjątkową wagą i rozpiętością ramion. Póki Altmeier nie został wicemistrzem, nosił mundur policjanta. Bielok był w lepszej sytuacji, bo jako

absolwenta szkoły sanitariuszy medycznych zatrudniło go pogotowie ratunkowe. Jeszcze inni służyli w wojsku, dyżurowali w straży pożarnej, pracowali jako ochroniarze, żandarmi czy strażnicy leśni. Dopiero mistrzowie kraju mogli sobie pozwolić na całkowite poświęcenie się zapasom. Tak było również w boksie, judo, szermierce, kolarstwie, tenisie, ringo i pozostałych dyscyplinach indywidualnych. Tak było, tak jest i tak będzie. Sport coraz bardziej staje się sceną teatralną, a zawodnicy aktorami kształconymi przez trenerów z tytułami naukowymi. Starsi kadrowicze, którzy założyli rodziny, aby je utrzymać, najpierw traktują zapasy jako zawód, potem zostają instruktorami lub nauczycielami w szkołach sportowych. Zapasy są jak nieuleczalna choroba: kto raz się w nich zadurzył, pozostaje im wierny do grobowej deski. Czy Bielok również założył rodzinę, tego Altmeier nie wiedział. Pewnie nie, bo kiedy był u szczytu sławy, jeden z młodszych zapaśników pożalił się trenerowi, że Bielok zaprosił go do swego mieszkania, tam upoił i zgwałcił. Początkowo Bielok zaprzeczał, ale gdy za jakiś czas to się powtórzyło, przestał ukrywać, że jest gejem. Kiedy wiadomość się rozniosła, nikt nie chciał z nim walczyć na macie. Nie miał innego wyjścia, jak tylko pożegnać się z klubem i zapasami. A że był słusznej budowy, z prawem jazdy i uprawnieniami sanitariusza, bez żadnego wysiłku znalazł pracę w oddziale ratowniczym firmy produkującej artykuły chemii budowlanej w Solingen.

– Wieść gminna niosła, że awansował na osobistego kierowcę właściciela tej firmy. Podobno mającego skłonności homoseksualne. Powiadam „podobno”, bo jednak Pohlhoffer miał żonę. Czarowną Birgit, córkę założyciela firmy, która stała się jeszcze bardziej czarowna po wizycie w jego gabinecie medycyny estetycznej. I która bardziej wołała towarzystwo kobiet niż mężczyzn. Czy Pohlhoffer ożenił się z nią dlatego, żeby nikt nie posądzał go o pociąg do mężczyzn? Czy może po to, żeby przejąć firmę, co się stało niedługo po ślubie? Przejął, bo właściciel, czyli ojciec Birgit, popełnił samobójstwo. Do moich uszu doszło, że przy pomocy brzytwy podciął sobie żyły. Dlaczego wybrał taką śmierć? – Altmeier rozciągnął ręce, przechylił głowę na prawo i zacisnął usta, jakby to miało potwierdzić jego niewiedzę. – Wtedy nadeszły lepsze czasy dla naszych zapasów. Za to, że klub zmienił nazwę na AthletenPohl, firma wcześniej należąca do jego teścia, zaczęła wspierać zapaśników. Jak się mówiło, do tego Bielok przekonał Pohlhoffera. Jeżeli tak było, to by się potwierdziła prawda, że zapasy są nieuleczalną

chorobą, na którą zapadł Bielok. Zresztą ja również, dlatego jestem trenerem. Pohlhoffer także próbował jako zapaśnik, ale szybko dał sobie spokój z tą dyscypliną.

– W mojej redakcji pracuje bardzo ładna, niezamężna dziennikarka. Przekroczyła czterdziestkę. Zajmuje się problematyką zdrowotną. Dociekliwa publicystka i uczynna koleżanka. Także bardziej woli towarzystwo kobiet niż mężczyzn. Nie słyszałam, żeby ktokolwiek ją potępił czy wytknął palcem albo z niej kpił. Może gdzieś tam... ale na pewno nie w redakcji.

– Nie ma dowodów, pani redaktor, że wszyscy zapaśnicy są gejami. Przypuszczalnie jest wśród nich więcej osób nieheteroseksualnych niż wśród futbolistów, siatkarzy, kolarzy, biegaczy. Co ciekawe, im wyższy poziom profesjonalizmu, tym więcej zawodniczek przyznaje się do homoseksualizmu, jakby sport zawodowy kobiet preferował tę odmienność. – Altmeier odwrócił się do Junga. – Potwierdzenie tego, co przed chwilą powiedziałem, znajdzie pan w mojej rozprawie doktorskiej. – Sięgnął po książkę, otworzył ją na stronie tytułowej i wpisał dedykację. – Proszę na pamiątkę. Chciałbym, aby moje badania okazały się przydatne w pana pracy – powiedziawszy to do Junga, odwrócił się do Madleny. – Pani redaktor, nie ma też dowodów, że większość dziennikarzy, aktorów, malarzy, kompozytorów, poetów to zdecydowani homoseksualiści, jak się sądzi. W tych grupach bywają tacy, którzy mieli kontakty seksualne z osobami tej samej płci, ale potraktowałbym jako szukanie wrażenia. Czegoś, co zaowocuje twórczością. Z moich badań niezbicie wynika, że najwięcej osób o orientacji homoseksualnej jednak jest wśród sportowców uprawiających dyscypliny zaliczane do sztuk walki. – Zaczął kartkować książkę, jakby chciał potwierdzić to, co przed chwilą powiedział.

– Dlaczego zachowania homoseksualne sportowców były przedmiotem pana rozprawy doktorskiej?

Altmeier uśmiechnął się nieznacznie, ale nie odpowiedział na pytanie Junga.

– Dziś rano telefonowałem do Solingen, żeby uzyskać potwierdzenie tego, co kołatało się w mojej głowie, a czego nie byłem pewien. Po samobójstwie teścia Pohlhoffer przeniósł firmę do Polski i wyjechał tam z żoną. Nie on pierwszy na to się zdecydował. W biznesie liczą się koszty. Na razie koszty prowadzenia firmy w Polsce są niższe aniżeli w Niemczech. Na tym

kończy się moja wiedza na ten temat – oświadczył. – Staralem się, jak mogłem, pani redaktor. Czy o to panu chodziło? – zwrócił się do Junga.

– Dużo się dowiedziałem. Dziękuję.

– A to na pamiątkę spotkania. – Altmeier podał Jungowi książkę. – Znajdzie pan w niej wszystko, co dotyczy zachowań seksualnych niemieckich sportowców. Przypuszczam, że zachowania polskich sportowców są identyczne lub zbliżone.

Jung żałował, że nie miał przy sobie niczego, co mógłby podarować Altmeierowi.

– Bardzo mi pan, doktorze, pomógł – powiedział, mimo że jeszcze nie wiedział, co i jak wykorzysta.

– Nie musi pan odpowiedzieć. Do zadania tego pytania obliguje mnie czysta ciekawość – przyznał się Altmeier. – Dlaczego interesuje pana Bielok?

– Gdybym usłyszał to pytanie na początku, pewnie bym wyjaśnił. Od momentu, kiedy pan powiedział, że teść Pohlhoffera odebrał sobie życie przy pomocy brzytwy, coraz mniej interesuje mnie Bielok, a coraz więcej Pohlhoffer. Tym bardziej że Wolfgang Pohlhoffer z wykształcenia jest lekarzem z doświadczeniem w zakresie chirurgii plastycznej.

– Dopiero teraz mi się przypomniało. Tego Bieloka, który się liczył jako zapaśnik, można poznać po jednym. Jest niemową. Częściej spotyka się osoby nieme i głuche jednocześnie. Bielok ma doskonały słuch.

CZEŚĆ III

JAKUBIN, UL. PAŁACOWA, NIEDZIELA, PÓŹNY RANEK

Gdy każdą rozmowę w Jakubinie Kinga Moltenhin zaczynała od powtórzenia, że Wolfgang Pohlhoffer jest jej jedynym klientem, z którym rozmawia poza kancelarią, Bielok do niej migał. Adwokatka rozumiała, a właściwie się domyślała, że gdyby mógł powiedzieć, brzmiałoby to tak: jeśli to by się pani mecenas nie opłacało, nie zawracałaby pani sobie głowy Pohlhofferem.

– Braku klientów moja kancelaria nie odczuwała i nie odczuwa. A jeśli pan zna bardziej operatywne adwokatki niż ja, proszę je wskazać swemu... – urwała, kwaśnym spojrzeniem dając Bielokowi do zrozumienia, że domyśla się, co go łączy z Pohlhofferem.

– Dobrze, już dobrze, pani Moltenthin. Pani czas jest bardzo cenny. Mój również. – Pohlhoffer mrugnął do Bieloka, jakby go prosił, żeby nie drażnił adwokatki. Kinga Moltenthin jest jedyną prawniczką po niemieckiej i polskiej stronie, która zawsze zrobi to, czego od niej domaga się klient. Wszystkie jej usługi kosztują dużo więcej niż nakazuje taksa adwokacka, ale mimo tego to się opłaca. W sytuacji, w której się znalazł Pohlhoffer, nie pieniądze są najważniejsze. Gdyby nie spodziewał się zasilenia swojego konta dodatkową gotówką, wynająłby tańszą kancelarię. Poczeka jeszcze kilka dni i dopiero wtedy skontaktuje się z oddziałem MetLive Bavaria w Zielonej Górze i każe przelać wypłatę z polisy na życie Mirabelli na wskazany rachunek w Deutsche Banku. O tym nie piśmie słowem nawet Lukasowi. Ufa mu jak nikomu innemu na świecie, ale i Lukas nie powinien znać jego wszystkich tajemnic.

– Proszę przyjąć moje najserdeczniejsze wyrazy współczucia z powodu tragicznej śmierci małżonki.

Pohlhoffer odpowiedział adwokatce ledwie dostrzegalnym ruchem głowy, jakby cierpiał, przymknął oczy i złożył dłonie w modlitewnym geście, po czym się przygarbił i milczał. Marnie udaje przygnębionego wdowca,

oceniła jego posunięcia Moltenthin, lecz i ona zamilkła. Cisza trwała może minutę, co Bielok uznał za stratę czasu. Wychodził z założenia, że Pohlhoffer nie powinien tak się zachowywać przy adwokatce, tym bardziej że ona nie lituje się nad swoimi klientami.

– Zatem do rzeczy, panie Pohlhoffer – odezwała się prawniczka. – Czego pan oczekuje, że wezwał mnie w niedzielę z rana? Aha, to generuje dodatkowe koszty.

Pohlhoffer sięgnął po notatnik. Długo wpatrywał się w to, co wczoraj wieczorem zapisał Bielok, jakby nie z wszystkim się zgadzał.

– Muszę zostać prawnym właścicielem pałacu w Jakubinie. Moja rodzina musi go odzyskać. – Oderwał wzrok od notatnika. Przeniósłszy spojrzenie na adwokatkę, dodał: – Spodziewam się, że nie będzie to krótka i prosta droga. Dlatego postanowiłem powierzyć sprawę sprawdzonej kancelarii. Pani kancelarii, pani Moltenthin.

– Podczas naszego ostatniego spotkania u mnie w domu starałam się wyjaśnić panu, doktorze Polhoffer, że zgodnie z polskim prawem...

– Pani Moltenthin, nie znam się ani na niemieckim, ani na polskim prawie – przerwał jej Pohlhoffer. – W ogóle nie znam się na prawie, dlatego wynająłem pani kancelarię. Otrzyma pani honorarium proporcjonalne do ważności sprawy. Nie mam zamiaru ani czasu się targować. Inaczej mówiąc: płacę i wymagam. *Beim Geld hört die Freundschaft auf*⁵³.

– *Geld stinkt nich, Herr Pohlhoffer*⁵⁴, o czym pan również dobrze wie – odpowiedziała tonem zuchwałym adwokatka.

– Pani jeszcze może się wycofać. Nie będzie łatwo, ale, jak mówią w Polsce, „Za pieniądze ksiądz się modli, za pieniądze lud się podli...”

– ... za pieniądze prawnik staje, za pieniądze wygrana sprawa – dokończyła Moltenthin. – Unowocześniona wersja pieśni z Kujaw *Teraźniejsze świata żądze*, spisanej przez Oskara Kolberga, etnografa i muzykologa z dziewiętnastego wieku. Na studiach często o tym mówiono.

– Tego nie wiedziałem, pani mecenas. – Pohlhoffer oparł się mocno o poręcz krzesła, splótł dłonie na piersiach, jakby tym gestem dawał jej do zrozumienia, kim jest naprawdę i ile znaczą jego słowa. – Jeśli jeszcze pani się nie domyśliła, to proszę przyjąć do wiadomości, że nie dlatego przeniosłem fabrykę chemiczną z Solingen do Jakubina, żeby płacić podatki w Polsce. Ani że w Polsce jest tańsza siła robocza, łagodniejsze przepisy, bliżej na wygłodniałe rynki wschodniej Europy.

I nie dlatego założyłem kilkanaście innych firm w Jakubinie, żeby tutejsi ludzie mieli pracę.

– A ja, panie doktorze... – zaczęła Moltenthin z cierpkim uśmiechem na twarzy i zaraz urwała. Co go obchodzi, dlaczego zarejestrowałam kancelarię po niemieckiej stronie niedaleko granicy i jej filię w Polsce? Przecież nie zrobiłam tego tylko dlatego, aby załatwić sprawę za Niemców nieobeznanych z polskim prawem. Zrobiłam to przede wszystkim dla pieniędzy. – *Geld stinkt nich, Herr Pohlhoffer* – powtórzyła.

– Wynająłem pani kancelarię z nadzieją na odzyskanie pałacu i pozostałych dóbr, których została pozbawiona moja rodzina. Do tego zobowiązała mnie moja babcia, świętej pamięci doktor geodezji Agnes Marget Rotenhahn z domu Pohlhoffer. Należę do tej grupy Niemców, którzy traktują rodzinę jako najwyższą wartość daną przez Pana Wszechrzeczy.

Kinga Moltenthin pomyślała, że dopóki Pohlhoffer nie powie wszystkiego, co mu Bielok przygotował, nie powinna się odzywać. Cierpliwość jest koronną cechą każdej absolwentki wydziału prawa, a okrywającą się togą bystrej adwokatki przede wszystkim.

– Teraz pani – zwrócił się do niej Pohlhoffer. – Słucham. Słuchamy – poprawił się, zerkając na Bieloka.

– Kwestię mienia poniemieckiego na terenach zajętych przez państwa zwycięskie po drugiej wojnie światowej uregulowała deklaracja poczdamska trzy miesiące po bezwarunkowej kapitulacji Niemiec, o czym poinformowałam pana, panie Pohlhoffer, w trakcie spotkania w moim domu w Chociebużu. Niedawno Europejski Trybunał Praw Człowieka potwierdził, że Rzeczpospolita Polska nie musi zwracać majątków tym dawnym właścicielom niemieckim, którzy uciekli przed frontem – powiedziała adwokatka najpierw po niemiecku do Pohlhoffera i później po polsku do Bieloka, chociaż to było zbędne, bo Lukas zna oba języki. Uznała jednak, że w ten sposób da Pohlhofferowi do zrozumienia, ile znaczy jej wiedza prawnicza. – Tak więc pan, doktorze Pohlhoffer, nie ma żadnej szansy spełnić wywiązać się z zobowiązania wobec swojej świętej pamięci babki – zwróciła się tylko do Bieloka i zaraz uśmiechnęła się do Pohlhoffera. – Jednak... Jest coś, co daje cię nadziei. Cię przy odrobinie szczęścia, a pan ma szczęście w życiu. O ile się zorientowałam, w czasie wojny dobrami w Jakobheide zarządzały kobiety, córki właściciela. Jeżeli one zostały wypędzone przez Polaków, to właśnie jest ten cię nadziei na zwrot mienia. Cię,

podkreślam. Tylko cień. Ale jeśli uciekły przed nadchodzącym frontem... to i nawet tego cienia nie ma.

Pohlhoffer sięgnął po leżący na stoliku „Crossener Wochenblatt”. Otworzył go na stronie, gdzie były wspomnienia Agnes Margret von Rotenhahn. Gdy przemknął wzrokiem po akapicie, którego szukał, zrobił się blady.

– Uciekły? – domyśliła się Moltenthin.

Pohlhoffer przesunął kwartalnik w jej stronę. Czytała: „Byłyśmy tak szczęśliwe, że nie spostrzegłyśmy kapitana von Gorsena, który przyjechał do pałacu z informacją, że władze nakazały obowiązkową ewakuację wszystkich mieszkańców narodowości niemieckiej na zachód. Przez całą niedzielę pakowałyśmy żywność na drogę i umieszczaliśmy ją na wozie. Z rzeczy osobistych zabraliśmy tylko te najniezbędniejsze, licząc na to, że armia niemiecka zatrzyma nacierających Rosjan i niezadługo wrócimy do Jakobheide. Ze ściany w salonie zdjęliśmy jedynie portrety prapradziadka Jakoba i praprababci Seliny i owinięte w miękkie płótno włożyłyśmy je między odzież. W poniedziałek z samego rana ruszyliśmy na zachód”.

– Jednak uciekły. Tak myślałam. Żadnej szansy. Szkoda zachodu, panie Pohlhoffer – powiedziała zrezygnowanym głosem.

– Na pewno? – Bielok zamigał i to samo powtórzył ustami.

Kinga Moltenthin nie odpowiedziała.

– O ile się zorientowałam, pan i pani Mirabella mieliście rozdzielność majątkową. Czy zmarła małżonka zostawiła testament? – teraz adwokatka zwróciła się po niemiecku do Pohlhoffera.

– To stało się tak nagle.

– Zatem pan jako prawny spadkobierca może się starać o to, co należało do zmarłej. Z wnioskiem należy wystąpić do sądu. To formalność. Jeśli pan nie ma nic przeciw temu, moja kancelaria jest gotowa tym się zająć. – Pohlhoffer przytaknął natychmiast, Moltenthin więc kontynuowała. – Sprawdziłam w dokumentach, że po wojnie pałac był w zarządzie polskiego państwowego przedsiębiorstwa rolnego. W porównaniu z innymi budowlami użytkowymi przez takie przedsiębiorstwa zabytek w Jakubinie przetrwał do naszych czasów w nie najgorszym stanie. Latem podróżowałam po Bawarii, oglądałam tamtejsze pałace i zamki. Wewnątrz są zadbane, ale na zewnątrz niewiele lepiej wyglądają niż te po stronie polskiej. Po likwidacji przedsiębiorstwa rolnego pałac i sąsiednie budynki w Jakubinie przejął Skarb Państwa. Od niego wydzierżawiła pałac Fundacja im. Rodziny

Żółtowskich. Pana małżonka zajmowała stanowisko zarządcy i osoby odpowiedzialnej za doprowadzenie obiektu do stanu użyteczności publicznej. Tak to zostało zapisane w umowie. Co będzie dalej z pałacem? To pytanie powinno się zadać fundacji, a imiennie jej przewodniczącemu, którym jest, jak się zorientowałam, brat świętej pamięci Mirabelli, Antoni Żółtowski, *notabene* zatrudniony jako menedżer w grupie firm należących do pana – powiedziała do Pohlhoffer, ignorując Bieloka, który zaczął migać. – Ale... – urwała, dając znak ręką Bielokowi, żeby, póki ona nie skończy, jej nie przerywał. – Sprawa może przybrać inną formę, gdy pan, panie Pohlhoffer, otrzyma polskie obywatelstwo, co nie powinno być utrudnione, ponieważ...

Dwa dni temu Wolfgang dostał polskie obywatelstwo – napisał Bielok po niemiecku, wydarł kartkę z notesu i podał ją adwokatce.

– Gratuluję, panie Pohlhoffer. – Moltenthin klasnęła w dłonie. – Jesteśmy, że tak powiem, rodakami. Zatem teraz będzie łatwiej. Nie obiecuję, że na pewno to się uda, ale będzie łatwiej.

Kiedy Wolfgang odzyska pałac? – napisał Bielok, znowu wydarł kartkę z notesu i jak poprzednio podał ją adwokatce.

– Panie Pohlhoffer, powiedziałam, że teraz będzie łatwiej. Nic ponadto. Aha, dodałam, że niczego nie obiecuję. – Moltenthin zmarszczyła czoło. – Jeszcze muszę coś sprawdzić, żeby pana nie wprowadzić w błąd. Chodzi mi po głowie, że właściciel obiektu historycznego nie może być dwupaństwowcem. Gdyby to była prawda, czy jest pan gotów zrzec się obywatelstwa niemieckiego?

Pohlhoffer długo nie odpowiadał. Moltenthin nie naciskała. Rozumiała, że to decyzja bardzo trudna. Gdyby ona była na jego miejscu, także długo by się zastanawiała.

– Tak, jeżeli tego wymagają przepisy, ale z niechęcią. Pomimo uzyskania polskiego obywatelstwa, czuję się bardziej Niemcem niż Polakiem. Przypuszczam, że w pani, pani Moltenthin, mimo zamieszkiwania i kancelarii w Chociebużu, męża Niemca... dzieci nie mówiących po polsku... jest więcej Polki niż Niemki.

Czy wtedy na pewno Wolfgang odzyska pałac? – napisał Bielok.

– Powtarzam, że zgodnie z prawem międzynarodowym pałac został uznany za mienie ponemieckie i stanowi własność polskiego Skarbu Państwa. Jego odzyskanie przez dawnego niemieckiego właściciela nie wchodzi

w rachubę. Co innego, gdyby ostatnim właścicielem był obywatel Francji, Włoch... Wielkiej Brytanii.

– Pyr-pyr-pyr – wyrzucił z siebie Bielok. Zrobił się czerwony na twarzy, po czym zmierzył adwokatkę takim wzrokiem, jakby chciał powiedzieć, że nie po to Pohlhoffer ją wynajął, aby stawiała przeszkody.

Kinga Moltenthin zacisnęła dłonie. Miała ochotę wypalić coś, co by przytknęło Bieloka. Nie znosiła jego min i jego pyrkania. Był taki moment, kiedy chciała poprosić Pohlhoffera o to, żeby wyprosił Bieloka z pokoju, ale zrezygnowała z tego. Chodzi nie tylko o pieniądze, lecz i o opinię o jej kancelarii. Musi trzymać nerwy na wodzy i być cierpliwa.

– Jeszcze jest inna droga prowadząca do pałacu – powiedziała do Pohlhoffera, starając się, aby jej głos nie zdradzał poirytowania.

– Pyr-pyr. – Bielok zatarł ręce zadowolony, po czym dwa razy cmoknął do Pohlhoffera, nic sobie nie robiąc z tego, że nie są sami w pokoju.

Kinga Moltenthin rozumie gejów, dlatego ich nie potępia, ale wolałaby, żeby przy niej nie demonstrowali tego, co powinno być ich sekretem. Inaczej traktuje związek mężczyzny i kobiety.

– Bielok, niech pan pozwoli mi skończyć – odezwała się tonem nakazującym. – Panie Pohlhoffer, teraz, już jako obywatel polski, może pan wystąpić do Skarbu Państwa o wykupienie pałacu.

– O odzyskanie.

– O nabycie, czyli o wykupienie. Za pieniądze, panie Pohlhoffer. Za pieniądze-dze.

– Mam kupić to, co należy do mojej rodziny?

– Po pierwsze, co należało i co odebrano pana przodkom w zgodzie z prawem międzynarodowym. Po drugie, nie sądzę, żeby polski Skarb Państwa domagał się horrendalnych pieniędzy. Fundacja zainwestowała swoje środki w odbudowę obiektu, więc Skarb Państwa będzie musiał je zwrócić fundacji. Takie jest prawo. Będą to pieniądze, które Skarb Państwa uzyska od pana jako nabywcy pałacu.

– Moja żona inwestowała pieniądze należące do mnie.

– Zanim Mirabella z Żółtowskich została pana małżonką, panie Pohlhoffer, fundacja pozyskała środki finansowe od firm należących do jej teścia, ojca Olgierda – przypomniała adwokatka. – Dzięki tamtym pieniądzom pałac uzyskał nowy dach, zostało odnowione jedno skrzydło...

– Nie po to pani, Moltenthin, tu przyjechała.

– Słusznie, doktorze Pohlhoffer – rzuciła wściekle, ale zaraz pomyślała, że straci klienta i dlatego się uśmiechnęła – Zajmę się i tą sprawą. We wniosku o kupno pałacu trzeba będzie przedstawić harmonogram odbudowy i program użytkowy. Najlepiej podać, że zostanie przeznaczony na jakiś cel służący mieszkańcom Jakubina. Jestem przekonana, że o tym pan pomyślał.

Na twarzy Bieloka pojawił się uśmiezek. Mrugnął do Pohlhoffera, jakby tym gestem przekonywał go, że wszystko jest na dobrej drodze. Sprzedajna menda, oceniła go Kinga Moltenthin. Nienawidziła takich mężczyzn.

Pohlhoffer sięgnął po notatnik. Czytał to, co tam Bielok napisał i uśmiechał się do adwokatki, jakby oczekiwał od niej co najmniej pochwały, że koncepcja użytkowa pałacu nie ulega zmianie. Będzie tak, jak to sobie wymyśliła Mirabella, z jednym wyjątkiem: trzeba zmniejszyć ilość pokoi w części hotelowej, ale to jeszcze wymaga dyskusji w gronie specjalistów. Na pewno powinna zostać powiększona sala projekcyjna i jadalnia dla gości. W większej oficynie będzie coś podobnego do pracowni twórczych inspiracji z galerią i sklepikiem. Mniejszą oficynę przeznaczy na ośrodek rekolekcyjny lub schronisko dla samotnych matek z dziećmi. A jeśli to się nie uda, urządzi tam izbę pamięci z gabinetem narracji obrazkowej. W zrujnowanej oborze, stajni i stodole, czego nie objęła koncepcja Mirabelli, znajdą się pokoje dla osób w podeszłym wieku, które wymagają fachowej opieki. Najpierw jednak trzeba je wyremontować, a właściwie rozebrać i postawić od nowa. Z każdego pokoju będzie wyjście na taras, z tarasu do ogródka kwiatowego i do parku oplatającego jezioro, na brzegu którego powstanie przystań wioślarska albo pomost wędkarski.

– Rozważaliśmy – Pohlhoffer pokazał na Bieloka – czy temu kompleksowi nadać jakąś nazwę. Może Mirabella? Tylko Mirabella? Lukas zaproponował: Birgit i Mirabella. Wolałbym coś innego. Na przykład Wrzosowisko albo Jesień na Wrzosowisku. To od wrzosów kwitnących we wrześniu w okolicznych lasach. I od jesieni życia.

Cały czas adwokatka kiwała głową, co Pohlhoffer traktował jako akceptację pomysłu zagospodarowania pałacu i pobliskich budynków. Spodziewał się, że go zapyta, gdzie będzie jego miejsce, ale nie zapytała. Powiedziała jedynie, aby pamiętał o skonsultowaniu tego, co jej przedstawił, z władzami gminy i konserwatorem zabytków.

– Najpierw muszę mieć własność na papierze. To warunek zasadniczy.

– Domyślam się, że pokoje, które powstaną w przebudowanej oborze, stajni i stodole, będą tworzyły dom spokojnej starości. Za pobyt z utrzymaniem i opieką medyczną każdy mieszkaniec będzie płacił czy to z własnej kieszeni, czy zrobi to za niego rodzina albo ubezpieczalnia. I że spodziewa się pan przewagi mieszkańców mówiących po niemiecku, bo niewielu Polaków będzie stać na taki wydatek. A czy zastanawiał się pan nad tym, kto będzie kierował tą placówką?

Pohlhoffer pokazał na Bieloka.

– Oficjalnie Lukas. Do pomocy dobierze sobie kogoś spośród miejscowych – dodał.

– Polskie przepisy są identyczne jak niemieckie. Zarządca placówki opiekuńczej musi mieć odpowiednie wykształcenie i doświadczenie na tym stanowisku. Regionalny ośrodek polityki społecznej nie zaakceptuje kandydata na szefa placówki, jeżeli nie ma on kwalifikacji w zakresie pracy socjalnej lub pielęgniarstwa czy ratownictwa medycznego. Dopuszczalne są odbyte studia z pedagogiki społecznej lub inne pedagogiczne uzupełnione fachowymi kursami.

– Lukas skończył ratownictwo medyczne. Pracował w pogotowiu w Solingen – powiedział Pohlhoffer. – Potrafi nie tylko zrobić zastrzyk. Był zapaśnikiem, to i w razie czego poradzi sobie z krewkim staruszką. – Podniósł rękę i zacisnął pięść.

Lukas wydał tryumfujący kwik.

– Bielok podpadł dziennikarzom.

– Gdzie? Kiedy? Na festiwalu techno może?

– Wczoraj rano, kiedy wyjeżdżałam z domu do kancelarii, sąsiadka, redaktorka poczytnego tygodnika w Chociebużu, powiedziała mi, że czeka na reportera śledczego z Zielonejgóry, którego interesuje pewien niemiecki sportowiec. Wymieniła nazwisko, może to zbieżność, identyczne jak nazwisko pana. Bielok. Dodała, że był zapaśnikiem.

– Naprawdę? – zapytał Polhoffer, jakby nie dowierzał. Dopiero kiedy Kinga Moltenthin przytaknęła, skarłał i zaklął: – O, kurwa jebana mać!

ZIELONA GÓRA, OS. PROFESORSKIE, NIEDZIELA,
PRZEDPOŁUDNIE

Daniel Jung nawet nie próbował rozmawiać z Ostrouchym i Wojtczakiem. Z pierwszym kontaktował się wiele razy. Wiedział o nim tak dużo, że mógłby napisać jego biografię. Prokurator Ostrouchy, gdy policjanci z pionu kryminalnego dreptali w miejscu, nigdy nie odpowiadał na pytania dziennikarzy, zasłaniając się tajemnicą śledztwa. Co innego, kiedy podwładni Syskiego fetowali sukces. Wtedy Ostrouchy wpraszał się konferencję prasową rzeczniczki komendantki i ze szczegółami referował, jak do tego doszło, kto pierwszy wpadł na trop przestępcy, siebie wskazując jako nieprzeciętnego znawcę kryminalistyki i przypominając, że prowadzi zajęcia ze studentami prawa. Do drugiego prokuratora Jung nie zadzwonił, ponieważ nie miał numeru jego komórki w starym notatniku ani w „Kontaktach”, a książka telefoniczna pachniała naftaliną. Zresztą był przekonany, że Wojtczak wystękałby mu nie więcej niż dowiedział się od podkomisarza Tarniowego i zakończyłby przypomnieniem o podjętej decyzji. Adam Ficnerski popełnił samobójstwo, dlatego zgodnie z prawem dochodzenie zostało zamknięte i umorzone. Gdyby pojawiły się dowody winy osób trzecich, a nie minie trzydzieści lat od śmierci wójta, prokuratura postanowi, czy wznowić śledztwo. Dopiero teraz Jung zdał sobie sprawę z tego, że zawsze gdy śledztwo było proste i winowajca czekał w areszcie na rozprawę, Wojtczak zwoływał konferencję, zapraszał na nią Tarniowego, w obecności dziennikarzy nie skąpił pochwał policjantom i wylewnie dziękował podkomisarzowi za doprowadzenie do finału. Najpierw króciutko streszczał jego wynik, potem dłużej wyjaśniał, co zdecydował i dlaczego, siebie wskazując jako tego, bez którego wypowiedzi kryminalni jeszcze by szukali wiatru w polu. Jeżeli Tarniowemu i jego podwładnym nie udało się wyjść poza hipotezy i zamiast wytypować podejrzanego, a jeszcze lepiej sprawcę w pełnym tego słowa znaczeniu, rozłożyli ręce, co się zdarzało, Wojtczak nie przyznawał się do porażki, lecz identycznie jak Ostrouchy zasłaniał się tajemnicą śledztwa. Prawdę mówiąc inni prokuratorzy zachowywali się tak samo, czego Jung głośno nie komentował, żeby w ich środowisku nie mieć za dużo wrogów, ale co uważał za partactwo i rozleniwienie.

Dlatego wczoraj zaraz po tym, jak zatrzymał ibizę na parkingu przed motelem na polskim brzegu Nysy, Jung zadzwonił do profesor Barbary Libery. Tyle razy mu pomagała, więc i teraz nie powinna odmówić jego prośbie, tym bardziej że jej mąż wrócił do redakcji i znowu jest pierwszym zastępcą Szpalty. Gdyby dwa lata temu holding Kunickiego kupił wydawnictwo,

jak tego pragnęli dziennikarze, Maciek Libera pewnie zająłby gabinet redaktora naczelnego. Jung był przekonany, że powrót Maćka do redakcji, której właścicielem jest firma Grempler Media, to jednak posunięcie jego teścia. Kunicki obiecał zięciowi, że jeśli przeprosi Barbarę i przestanie się zadawać z ładniejszymi od niej kobietami, zostanie pierwszym zastępcą naczelną „Gazety Zielonogórskiej”. Tak długo, jak długo Szpalta będzie kierowała redakcją, Maciek za nic nie będzie odpowiadał. Pomimo tego naczelną oddała pod jego nadzór dział sportowy i kryminalny, co Jung potraktował obojętnie. Nadal z każdą ważniejszą sprawą chodzi lub telefonuje do Szpalty.

– Niedziela. Czy dziś nie powinienes być na lotnisku? – zapytał Libera, gdy Daniel wysiadł z ibizy na osiedlu Profesorskim. – W ogóle to kiedyś musisz mnie przewieźć parolotnią. Magda mówi, że wrażenia są niepowtarzalne. A tak przy okazji, ona ma żal do ciebie. – Maciej mrugnął znacząco. – Fajna dupa.

– Od pierwszego listopada do końca marca parolotniarze mają obowiązkową przerwę. Baloniarze, spadochroniarze, akrobaci również. Przede wszystkim ze względu na wiatr i częste opady.

– A wiesz, że zastanawiałem się, czy kupić sobie balon? Byłaby frajda oglądać miasto z góry.

– Oprócz balonu trzeba mieć licencję. Teść może ci sprezentować balon. Licencji nie da się kupić, sam musisz ją zdobyć.

– O tym nie pomyślałem – przyznał się formalny zwierzchnik Junga, zapraszając go do domu. – Napiszesz o Carewiczce?

– Byłem w Dąbiu, widziałem, w jakim stanie prowadziła toyotę i co się stało. Muszę.

– Nie musisz.

– Nie muszę?

– Taka jest sugestia.

– Czyja? Może Szpalty? Zaraz do niej zadzwonię.

– Nie Szpalty. Moja. To znaczy... Nie o wszystkim, co widziałeś, od razu należy pisać. – Na twarzy Maćka pojawił się cyniczny uśmiech. – Dopiero co Bacha wróciła ze sklepu. Tylko – pogroził palcem – nie męcz jej za długo. Jeszcze musi ugotować obiad. Teść przyjedzie. A zgodziła się porozmawiać z tobą ze względu na mnie. Kobieta musi wiedzieć, kto jest panem w domu, co nie, ekskomisarzu?

Nic się nie zmieniłeś, ocenił go Jung. Szkoda mi Barbary.

Profesor Libera zaprosiła Daniela do kuchni. Zapytała, czy będzie mu przeszkadzał zapach tego, co zaczęła pichcić na obiad. Ponieważ przez pięć dni tygodnia Maciej, dzieci i ona stołują się poza domem, w sobotę i niedzielę stara się przygotowywać posiłki rodzinne. Tego wymaga od niej ojciec, który niedzielny obiad traktuje na równi ze śniadaniem wielkanocnym czy wigilijną kolacją. Stanie przy garach Barbara traktuje na równi z odpoczynkiem, zresztą lubi gotować i w przeciwieństwie do większości swoich koleżanek z uniwersyteckiej psychologii nie uważa tego za ujmę na profesorskim honorze. Daniel przypomniał sobie, że jeśli Miśka nie ma dyżuru w klinice, w piątek wieczorem go pyta, co by zjadł, a w sobotę i niedzielę gotuje to, na co on ma ochotę. Miśkę i Barbarę łączą nie tylko tógi profesorskie oraz kuchnie, lecz i to, że w przeciwieństwie do swoich mężów lubią muzykę.

– Domyślam się, że ta nasza pogaducha będzie miała związek ze zgonami w hotelu i w domu wójta Jakubina – zaczęła rozmowę Barbara, stawiając na stole filiżanki, dzbanek z kawą i talerzyk z kokosankami. – Gdyby pan przyszedł przed wieczorem, czekałaby szarlotka. Upiekę, oczywiście, ale dopiero po obiedzie. Z naszych jabłek. Maciek, a jeszcze bardziej mój ojciec, uwielbia szarlotkę z kruszonką.

– Nie prosiłbym o spotkanie, gdyby nie wiadomość, którą zdobyłem wczoraj w Niemczech. Dotyczy ona zdarzenia sprzed dziewięciu, dziesięciu lat w Solingen niedaleko Düsseldorfu. Wtedy tam odebrał sobie życie teść Wolfganga Pohlhoffera, dziś pana na Jakubinie, a wówczas jednego z dyrektorów fabryki chemii budowlanej. Niedługo po tamtym samobójstwie Pohlhoffer przeniósł fabrykę do Polski, gdzie koszty produkcji ciągle są mniejsze niż w Niemczech.

– Dostrzegł pan związek pomiędzy tym, co się wydarzyło w Solingen i u nas?

– Tu i tam zgony. Tu i tam przy pomocy brzytwy. Brzytwy użyte w Polsce pochodzą z fabryki w Solingen. Gdzie wyprodukowano brzytwę, którą podciął sobie żyły teść Pohlhoffera, jeśli to rzeczywiście było samobójstwo, tego się nie dowiedziałem.

– Na razie nie łączyłabym tamtej sprawy z wydarzeniami u nas. Nie oznacza to, że nie widzę związku między nimi i dlatego je ignoruję – zastrzegła profesor Libera. – Wczoraj, po rozmowie z panem, korzystając

z doświadczenia psychologii kryminalnej, próbowałam dociec, dlaczego kobieta w hotelu i mężczyzna w Jakubinie popełnili samobójstwo. Niestety, klops. Za mało wiem o zmarłych. Żeby naszkicować ich portrety psychologiczne, muszę mieć więcej danych.

– Skłania się pani ku samobójstwom?

– Taką informację wyczytałam w gazecie.

– Pochodzi ze źródła policyjnego – wyjaśnił Jung. – A co pani o tym sądzi? Pani jako psycholożka. Jako profesor obeznana z kryminalistyką. Jako profilerka.

Libera pokręciła głową.

– Panie Danielu, pan dobrze wie, że daleko mi do profilerki. Zajmuję się tym na zasadzie: na bezrybiu i rak ryba. Zawodowych profilerów, nie takich, jakich przedstawili autorzy powieści kryminalnych, a bardziej psychologów śledczych, można policzyć na palcach jednej ręki. W Polsce, bo w Anglii czy w Stanach jest ich więcej.

Teraz Jung pokręcił głową.

– Nie zmienię swojej opinii na temat tego, co pani robi. Dla mnie jest pani najskuteczniejszą profilerką. Komisarz Syski tak samo uważa.

– Gdyby odrzucić to, że obojga łączy Jakubin, identycznie jak pan miałabym wątpliwości. Poważna psycholog sądowa... wolę formę męską... a za taką się uważam i tak traktują mnie instytucje wymiaru sprawiedliwości, nigdy nie powinna mieć pewności, że jej wnioski są nie do podważenia. W oparciu o to, co przeczytałam w gazecie, co mi powiedział Maciek i czego dowiedziałam się od pana, nie odważę się uznać tak jej, jak i jego za samobójców. Tego aktu jednak nie odrzucam. Także nie mam podstaw do stwierdzenia, że zostali oboje zamordowani. Chociaż... – urwała, jakby coś nagle przyszło jej do głowy, ale nie była tego pewna. – Samobójstwo jest karą wymierzoną sobie samemu. Co ona, Mirabella Pohlhoffer, co on, Adam Ficnerski... Co oni takiego zrobili, że aż tak musieli się ukarać? – zapytała. Nie usłyszawszy odpowiedzi, podniosła się i zaczęła mieszać w garnku. Zapach kwaszonej kapusty i jeszcze czegoś roznosił się po kuchni. – Policjanci byli na miejscach obu tragedii, zabrali materiały dowodowe, rozmawiali ze świadkami. Nawet nie wskazali podejrzanych. W niedzielę zatrzymali jednego uczestnika wesela i dzień później go wypuścili. W Jakubinie nikogo nie przytknęli. Tam brak jakichkolwiek poszlak. Dlatego obie prokuratury uznały zgony za samobójstwa.

– Pani nie zgadza się z ich decyzjami? – zapytał Jung. On także miał inne zdanie na ten temat.

– Z policją współpracuję co najmniej od piętnastu lat. Kiedyś było to takie tam... Ostatnio coraz bardziej na poważnie. Nigdy, panie Danielu, zresztą pan także to wie, nigdy się nie zdarzyło, żeby w naszym regionie ktoś odebrał sobie życie przy pomocy brzytwy. Cięcia żyłką... ale to wyglądało na straszenie pod wpływem środków odurzających... Coś na zasadzie zwrócenia na siebie uwagi. A teraz aż dwie osoby. Dwie z tej samej miejscowości. Nie zakochane i porzucone nastolatki. Dwie poważne osoby.

– Morderstwo tu i tam?

– Tego nie wiem.

– Morderstwo nie. Samobójstwo nie. Zgony naturalne?

– Tego też nie wiem.

– Ma pani wątpliwości co do postanowienia obu prokuratorów?

– Prokuratorzy zrobili to, do czego upoważnia ich prawo.

– Policjanci? – dociekał coraz bardziej niecierpliwy Jung.

I gdy postanowił, że dłużej nie będzie ukrywał tego, co go dręczy, Libera powiedziała, jakby czytała w jego myślach:

– Załóżmy, że tu i tu doszło do morderstwa. Że zabójcą jest ten sam osobnik. Ją i jego zamordował przy użyciu takiego samego narzędzia. Skoro dotąd w naszym regionie nie było takiego zdarzenia, nowicjusz więc? Przyjezdny? Najgorsze, co może być, to: pojawił się seryjny zabójca? Taki na dwóch morderstwach nie skończy.

– Dlatego po tym, czego dowiedziałem się wczoraj w Chociebużu, poprosiłem panią o spotkanie.

– Czego pan się dowiedział?

– Wiem o trzech zgonach na wskutek przecięcia naczyń krwionośnych u obu rąk. Pierwszy w Solingen, drugi w Zielonej Górze, trzeci w Jakubinie. Kto wtedy, kiedy miał miejsce pierwszy zgon, mieszkał w Solingen, a teraz mieszka w Jakubinie? – zapytał Jung i nie czekając na odpowiedź Libery, której by nie usłyszał, oznajmił: – Wolfgang Pohlhoffer. Jego asystent Lukas Bielok. Bodajże dwóch inżynierów z rodzinami. I króciutko Antoni Żółtowski, brat Mirabelli, która nagle upoważniła go do dysponowania polisą na jej życie. Oraz jego żona. Teraz Małgorzata Żółtowska jest lekarką rodzinną, a w przeszłości zrobiła specjalizację w zakresie traumatologii.

– Śledczy nie wzięli tych osób pod lupę?

– Za długo byłem policjantem w pionie kryminalnym, żeby nie wiedzieć, że śledczych, pani profesor, najbardziej cieszy, gdy prokurator ma podstawy do umorzenia dochodzenia. W znanych mi sprawach śledczy przyjęli, że ofiary same odebrały sobie życie. Zgodnie z prawem umarza się postępowanie karne przeciwko osobie, która zmarła.

– A pan, obecnie dziennikarz śledczy, kształcony w zakresie psychologii, po kursach kryminalistycznych i z praktyką nabytą w policji, ma wątpliwości. Mylę się?

– Podkomisarz Araszkiwicz jest młody. Brakuje mu doświadczenia, to i szybko, aż za szybko wywnioskował, że Mirabella Pohlhoffer sama sobie odebrała życie. Ale dlaczego identycznie postąpił stary wyga kryminalny, jakim jest podkomisarz Tarniowy?

– Panie Danielu, już powiedziałam, z czym pan się zgodził, że miałabym trudności, gdyby było trzeba naszkicować portrety psychologiczne obojga zmarłych. W oparciu o to, co przeczytałam w gazecie i czego dowiedziałam się od pana, również nie jestem w stanie zarysować profilu mordercy, jeśli tam były morderstwa. Musiałabym uzyskać dostęp do materiałów policyjnych. Na razie policja nie zwróciła się do mnie i pewnie się nie zwróci, skoro prokuratorzy umorzyli śledztwo. – Wyraz twarzy Libery wskazywał na to, że chciałaby pomóc Jungowi, lecz nie wie jak. Po chwili namysłu podpowiedziała, żeby szczerze porozmawiał z komisarzem Syskim. – Nikt tak dobrze z nim się nie zna jak pan. O ile wiem, jesteście kolegami od wielu lat. Przyjaciółmi – poprawiła się.

Jung nie zapytał, od kogo Libera to wie. On stara się mieć uszy i oczy zawsze otwarte, pewnie więc i jego ktoś śledzi.

– Nawet mój przyjaciel nie robi nic ponad to, czego domaga się od niego prokurator. A ponieważ policjanci nie natrafili na ślad sprawcy, Ostrouchy uznał, że Mirabella Pohlhoffer odebrała sobie życie przy pomocy brzytwy. Pani profesor, kto dziś podcina sobie żyły brzytwą? Załóżmy, że jednak tak się stało w hotelu. Dlaczego przy pomocy identycznego narzędzia cztery dni później wójt Jakubina podciął sobie żyły? Mirabella mogła mieć jakieś problemy. Może to że bezdzietna, a chciała być matką. Ale wójt, którego unosiły fale sukcesu? Facet z głową pełną pomysłów. Cierpiał z powodu cukrzycy. Czy to powód, żeby odebrać sobie życie? Cukrzyca kaleczy, ale nie zabija. Nie słyszałem, żeby ktoś popełnił samobójstwo z powodu cukrzycy. Z tą chorobą da się żyć.

– Podziwiam pana. Uparciuch. – Libera łypnęła wzrokiem do Junga. – Obie ofiary na pewno łączy Jakubin, brzytwa i noc – wymieniła, załamując palce lewej dłoni. – Czy jeszcze coś?

– Zbliżony wiek, co może być bez znaczenia.

– Tego nie brałabym pod uwagę. Przypadek.

– Pani profesor...

– Nie pomogę, panie Danielu. Proszę pić kawę i częstować się kokosankami. Gdyby Maciek wiedział, że je kupiłam, już by się do nich dorwał. Łasuch.

– Jak każdy mężczyzna – powiedział Jung. Zmarnowany czas, pomyślał, ale jeszcze się nie poddawał. – Doktor Kamińska także ma wątpliwości, czy to były samobójstwa. W obu protokołach sekcyjnych, tam gdzie lekarka ma prawo umieścić swoje uwagi, napisała, że nacięcia skóry denatów są wzdłuż naczyń krwionośnych, a nie w poprzek, co charakteryzuje samobójców. Wykonane takim samym narzędziem i jakby przez tę samą osobę.

– Miał pan dostęp do protokołów? Co się pytam? Żona.

Jung nie odpowiedział. Musiałby się przyznać, że Miśka od dawna nie odpowiada na jego prośby dotyczące tego, czym się zajmują patolodzy w zakładzie medycyny sądowej. Co innego doktor Trzcinka. Wiele razy wykorzystał znajomość z zastępcą Miśki.

– Jeszcze jedno. Z telefonów obojga denatów zostały wysłane listy pożegnalne. Z komórki Mirabelli do jej męża, z komórki Ficnerskiego do jego żony. Sami to zrobili? Treści jednego i drugiego listu są pokrewne. Nawet podobne błędy. Oni, wykształceni, humaniści robią błędy językowe? Czy to nie wydaje się pani podejrzane?

– Domaga się pan potwierdzenia? Potwierdzam więc, że to, jak i wcześniej przedstawione fakty, brzytwa, noc i Jakubin, wydaje mi się podejrzane. Zadowolony? Kawa. Proszę się częstować. – Pokazała na kokosanki.

– Pani profesor, jako były policjant i obecny reporter śledczy, nawet jeżeli detektywi podlegli mojemu przyjacielowi Jackowi Syskiemu wskazywali sprawcę, zawsze miałem wątpliwości.

– Jedynie ludzie głupi nie mają wątpliwości, jak twierdzi mój teść.

– Nie byłbym aż taki czepliwy, gdyby nie polisa. Na kilka dni przed śmiercią Mirabella Pohlhoffer zmieniła upoważnienie do dysponowania swoją polisą na życie. Przepisała je z męża na brata.

- Na pewno?
- Informacja z najpewniejszego źródła.
- To zmienia sytuację.

JAKUBIN, UL. SADOWA, NIEDZIELA, PRZEDPOŁUDNIE

Pomimo tego że Żółtowski powierzchownie znał się na samochodach, lubił krzątać się w garażu. Wolał to niż wyrywanie chwastów w ogródku czy zmiatanie jesiennych liści z chodnika przed domem. Najczęściej sprzątał i przewieszał narzędzia na tablicach, które zastępowały nawet najbardziej praktyczne szafki. Ci, którzy zaglądali do jego garażu, twierdzili, że mało która gospodyni ma taki ład i porządek w kuchni. Na czołowej ścianie wisiał zegar, pod nim była galeria widoczków z Karkonoszy, które namalował jeszcze jako student technologii drewna. Przez pięć dni tygodnia od rana do nocy Żółtowski nie wychodził z firm. Dopiero w sobotę odkosił trawę przed domem, przycinał gałęzki krzewów, zgrabiał liście, pucował swojego passata i golfa żony. Część tych zajęć mógłby przenieść na niedzielne przedpołudnie, ale sąsiedzi by go nazwali świętokradcą, ponieważ nie szanuje dnia świętego, dlatego od rana, jeżeli nie ma do załatwienia czegoś poza Jakubinem, stara się znaleźć sobie jakieś zajęcie za bramą garażu. Żółtowski należy do tych menedżerów, którzy poza przepisami prawa niczego nie czytają, a w telewizji oglądają jedynie wiadomości gospodarcze, ale i nie siedzą beczynn timer. Nie można powiedzieć, że nie chodzi do kościoła, bo bywa na rezurekcji, pokazuje się podczas procesji Bożego Ciała, śpiewa kolędy na pasterce, przyjmuje księdza po kolędzie.

Podniósł oczy na zegar. Sekundnik zatrzymał się między szóstą i siódmą. Bez wątpienia wyczerpały się baterie. Nie pamięta, kiedy je wymieniał. Stał na stołku przy ścianie i już wyciągnął ręce, żeby zdjąć zegar, gdy usłyszał krótki sygnał. Ktoś dzwoni w niedzielę? Wyjął telefon z kieszeni, kolejno przesunął ikonki i dopiero kiedy domyślił się, że to esemes, sięgnął po okulary leżące na półce pod zegarem. Na wyświetlaczu był tylko numer telefonu nadawcy. Jakaś reklama, pomyślał i z ciekawości od kogo nadeszła wiadomość, dotknął ikonki. „Czygo chcioł tyn redaktor co był u ciebia w piatek. Coś mu pedzioł. Łodpisz zaro bo jak nie to szlus”. Domyślił się, że to wiadomość od Lukasa Bieloka. Ale dlaczego wysłał ją z nieznanego numeru? Spanikował i nie chce zostawić śladu w sieci? A skąd wie,

że w piątek wieczorem rozmawiałem z Jungiem? Cholera, może założył mi podsłuch? Po nim tego można się spodziewać. I jeszcze mi grozi, menda parszywa. Nie odpiszę, zdecydował, chowając komórkę do kieszeni. Niech nie myśli sobie, że się go boję. A może to nie Bielok, tylko Pohlhoffer?

JAKUBIN, UL. PARKOWA, NIEDZIELA, POŁUDNIE

Ukrył się za lipą zaraz po tym, jak dzwon przypomniiał parafianom, że za pół godziny rozpocznie się suma. Wieczorem ksiądz Zygmunt odprawi jeszcze jedną mszę, ale wtedy niewielu jakubinian przyjdzie do świątyni. Przekonał się o tym tydzień temu. Poprzedniej niedzieli też stał za lipą i czekał, kiedy Bielok wyjdzie z domu do kościoła. Wyszedł dziesięć minut przed dwunastą. Postanowił, że tej niedzieli znowu przyjedzie do Jakubina. Astrę postawi na drodze przed pałacem, żeby nie rzucała się w oczy idącemu na sumę. To będzie pierwsza i ostatnia szansa, jaką da Pohlhofferowi. Dziś muszę stanąć przed nim i nie szukając specjalnych słów, wyrzucić mu prosto w oczy to, co widziałem. Nie za darmo, zdecydował jeszcze przed poprzednią niedzielą. Taka okazja może się nie powtórzyć. A jeśli on mnie wyśmieję i powie, że z tym powinienem iść na policję albo do prokuratury? Przecież ktoś tak bogaty jak Pohlhoffer nikogo się nie boi. Ponadto jeden świadek to za mało. Widziałem, ale nie mam żadnych dowodów. Mogłem się pomylić. Czy jeden biały volkswagen arteon elegance 2.0 TDI jeździ po polskich drogach? Ale tylko jeden ma taki numer rejestracyjny. Wyjął karteczkę z kieszeni. Mimo że nawet wyrwany ze snu o północy powtórzyłby te litery i cyfry, jeszcze raz im się przyjrzał. Zapisał je wtedy, kiedy Bielok tak postawił arteona na parkingu przez HolzPohlem, że zablokował jego astrę. Już wybrał komórkę, żeby wezwać straż gminną na pomoc, gdy Bielok wrócił do samochodu i odjechał jakby nigdy nic się nie stało.

Było chłodno, zatarł więc dłonie akurat w chwili, gdy Bielok wyszedł z przybudówki i pochylony ruszył w stronę kościoła. Wiedział, że Wolfgang Pohlhoffer jest ewangelikiem, jedynym wyznawcą tej religii w Jakubinie. Odpowiada na prośby księdza Zygmunta, lecz nie chodzi na msze. Czasem bywa w kościele Jezusowym w Zielonej Górze.

– Pan do mnie?

Nie spodziewał się, że Pohlhoffer tak szybko wyjdzie z domu. Właściwie to nie wiedział, jak wygląda Pohlhoffer. Nigdy go nie widział. Słyszał, że jest

w średnim wieku, średniego wzrostu, średniej wagi ciała i że ma szramę na czole nad lewym okiem.

– Czy możemy porozmawiać? – zapytał onieśmielony.

– Czy możemy porozmawiać? – powtórzył Pohlhoffer, jakby nie zrozumiał, czego chce stojący przed nim nieznajomy.

Mężczyzna kiwnął głową i zaraz powiedział, że nie tu.

– W domu. Dla pana będzie lepiej, jeżeli nikt nas nie będzie widział.

Pohlhoffer pozwolił mu wejść do przedsionka spełniającego funkcję poczekalni, pokazał ręką na krzesło. Sam usiadł na ławce przy drzwiach.

– Co pana sprowadza? Jak nazwisko? – zapytał Pohlhoffer tonem spokojnym, mimo że coś mu podpowiadało, aby się zaniepokoił.

– Mogę milczeć aż do śmierci, ale nic za darmo.

– Nie rozumiem.

– To będzie kosztowało.

– Co ma kosztować? – Pohlhoffer zadał to pytanie nie tyle głosem lekceważącym, co dociekliwym. Już nieźle posługiwał się językiem polskim, były jednak zwroty, których nie rozumiał.

– Mówię o tym, co się stało w sobotę przed wieczorem na drodze w Dąbiu. Wiem, kto wtedy siedział za kierownicą białego volkswagena arteona – powiedział mężczyzna, przybierając szczerzy wyraz twarzy.

– A dlaczego pan mi to mówi?

– Bo to pana powinno zainteresować.

– Kto więc siedział?

– Pan – odpowiedział mężczyzna, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Owszem, jestem właścicielem volkswagena arteona elegance 2.0 TDI z wyposażeniem biznesowym w kolorze *milchweiss*. Zazwyczaj za kierownicą siedzi mój asystent, który również jest kierowcą. Pan mówi o sobocie. O której sobocie? Wczoraj mój kierowca nie wsiadał do arteona – zapewnił go Pohlhoffer.

– Mówię o tym, co się wydarzyło nie wczoraj, lecz poprzedniej soboty przed wieczorem na drodze w Dąbiu. O białym volkswagenie arteonie, za kierownicą którego siedział mężczyzna w średnim wieku – wyjaśnił tak spokojnie, że aż się zdziwił.

– Słyszałem o tym wypadku. A dlaczego pan przyszedł akurat do mnie?

– Ten za kierownicą miał szramę na czole nad lewym okiem. – Teraz pokazał ręką na głowę Pohlhoffera.

– Jeśli pan był świadkiem wypadku, trzeba to zgłosić na policję. Taki jest obywatelski obowiązek.

– To, czy pójde na policję i powiem, kto poprzedniej soboty przed wieczorem siedział za kierownicą białego arteona, zależy od pana.

– Dlaczego ode mnie?

– Bo to był pan.

Pohlhoffer zrobił się blady na twarzy.

– Pan żartuje – powiedział szybko, czerwieniąc się. – Jakim prawem...?

– Ci, których niedługo po wypadku policjant pytał, co widzieli, mogli pana nie rozpoznać. To miejscowe nieroby. Mało kiedy są trzeźwi. Nie odróżniają passata od arteona. Nie wiedzą, jak wygląda ten, który jest właścicielem firm w Jakubinie i okolicy. Ja pana znam – skłamał. Pomimo tego że od czterech lat stoi przy frezarce w HolzPohlu, nigdy nie widział Pohlhoffera. Słyszał, że jest Niemcem w średnim wieku, który już ma polskie obywatelstwo, średniego wzrostu, średniej wagi ciała, ze szramą na czole nad lewym okiem. I że musi być bogaty, bo nie żałuje pieniędzy drużynie piłkarzy. – Wtedy, kiedy ten facet wpadł pod białego arteona, wracałem ze sklepu. Byłem po papierosy. Pałę czerwone marsy. W razie konieczności sklepowa potwierdzi. To siostra mojej żony. Jak więc będzie?

– Nie rozumiem.

– Niech pan nie udaje. Pan dobrze rozumie, z jaką propozycją przyszedłem. Tylko ode mnie zależy, czy... – urwał. Nie wiedział, co zrobić z rękoma. W takiej sytuacji zazwyczaj wyjmował papierosy z kieszeni. – Mogę milczeć, ale nie za darmo. To będzie pana kosztowało.

– Co będzie mnie kosztowało?

– To, że nie powiem policji, kto siedział za kierownicą białego volkswagena arteona zeszłej soboty, kiedy tamto się stało. Panie Pohlhoffer, ma pan jedno wyjście.

– Ja mam jedno wyjście?

– Trzeba zapłacić.

– Za co trzeba zapłacić? – Pohlhoffer spoważniał. Wyglądał tak, jakby już wszystko zrozumiał, ale jeszcze nie dowierzał, że ktoś go rozpoznał w arteonie.

– Trzeba zapłacić za moje milczenie.

– A czy wiesz, człowieku, co grozi za szantaż?

– To nie jest szantaż, panie Pohlhoffer. Jedyne zapłata za milczenie. Niech pan dobrze się zastanowi nad moją propozycją. Ma pan na to trzy dni. W środę da mi pan odpowiedź. Lepiej będzie dla pana, jeżeli tego dnia dostanę gotówkę do ręki.

ZIELONA GÓRA, OS. SŁONECZNE, NIEDZIELA, WIECZÓR

Zaraz po Bożym Narodzeniu Jungowie zaczną się urządzać w Danii. Jeszcze tego samego dnia, kiedy Daniel zgodził się jechać do Kopenhagi, Miśka potwierdziła w biurze regionalnym WHO, żeby dział kadr wynajął im mieszkanie rodzinne, nie za drogie, najlepiej w starym budownictwie, ale i nie takie, do którego będą się wstydzić zaprosić gości. I koniecznie w niedalekiej odległości od biura. Zastanawiała się, czy już wspomnieć o jakimś zajęciu dla Daniela, lecz doktor Trzcinka przekonał ją, żeby z tego zrezygnowała. Jeszcze Duńczycy pomyślą sobie, że zależy jej przede wszystkim na pieniądzach, co jest częściową prawdą. Oboje muszą zarobić na dom, który postawią na obrzeżach miasta, najlepiej w pobliżu lasu pachnącego żywicą. Chyba jednak dopiero po urządzeniu się w Kopenhadze zajmie się poszukiwaniem zajęcia dla męża. Zdrowy, sprawny, kreatywny, ciekawy świata mężczyzna z umiejętnościami reporterskimi i doświadczeniem redaktorskim może być potrzebny w redakcji któregoś czasopisma polonijnego. A jeśli powie, że zanim Daniel został dziennikarzem, zaraz po studiach psychologicznych przeszedł szkolenie policyjne, potem co roku jeździł na kursy, raz nawet na miesiąc do Holeszowa w Czechach, i piętnaście lat pracował w pionie kryminalnym, to z pocałowaniem ręki powinni go wziąć do ambasady. Gdyby lepiej znał angielski, bez dwóch zdań miałby zajęcie na przykład jako referent do spraw prasowych czy ktoś taki, kto potrafi napisać przemówienie, podziękowanie, list gratulacyjny. A czy w Kopenhadze nie przyda się jego znajomość niemieckiego? Doktor Trzcinka, gdy z nim rozmawiała o zajęciu dla Daniela, przypomniał sobie, że w niektórych stolicach europejskich policja utrzymuje oficera łącznikowego, może więc znalazłoby się zajęcie i dla Daniela. Jakie musi mieć kwalifikacje kandydat na tę funkcję, tego nie wiedziała. Daniel, gdy Miśka mu to powtórzyła, najpierw się roześmiał, a potem stwierdził, że jest

bez szansy. W tym przypadku ważniejsze są znajomości niż doświadczenie policyjne.

– Wyjeżdżasz i zachowujesz się tak, jakbyś nie miał zamiaru opuszczać redakcji – powiedział Syski. – Ja, gdybym był na twoim miejscu, zacząłbym od wykorzystania urlopu.

– I co będę robił na urlopie? – zapytał Jung. Nie czekając na odpowiedź, wyjaśnił, dlaczego zadał to pytanie: – Latem mógłbym pofruwać. Teraz jest martwy sezon w motolotniarstwie. Spać do południa, potem wałęsać się po mieście? To nie leży w mojej naturze. Gdybym miał pojęcie o gotowaniu, upichciłbym coś wyjątkowego na obiad i przy nakrytym stole czekał na Miśkę.

– A co z kotem? Zabieracie go do Kopenhagi? Jeżeli zastanawiacie się, co z nim zrobić, to mogę zaopiekować się Julkiem – wyszedł z ofertą Syski. – Oczywiście muszę spytać żonę, ale, tego jestem pewien, nie będzie miała nic przeciw Julkowi. Innego kota może by nie zaakceptowała. Julka lubi. Niewiele brakowało, a Karolina de Murville przed powrotem do Belgii wcisnęłaby mi swoje kociątko i mielibyśmy własnego mruzcusia. Ilona Mrozińska była pierwsza.

– Każdego dnia dzwonią ludzie do redakcji z informacją, że mają kocięta do oddania. Za darmo. Jeżeli... – Daniel nie dokończył. Przecież jeżeli Jacek weźmie kociaka z ogłoszenia, to nie zaopiekuje się Julkiem. I kot będzie musiał jechać do Danii, bo Daniel nie odda go do schroniska. A nie wiadomo, czy właściciel domu w Kopenhadze zgodzi się na pobyt zwierzaka w mieszkaniu. Najlepiej byłoby, gdyby Julek został w Zielonejgórze właśnie pod opieką Syskich.

– Któregoś dnia, więcej niż rok temu, na wycieraczce przed naszymi drzwiami spała mała ruda kuleczka. Nie uciekła, gdy mnie zobaczyła. Zamiauczała, jakby się ucieszyła, to wziąłem ją na ręce i wróciłem do mieszkania. Pomyślałem, że ktoś ją wyrzucił. Żona najpierw mnie zrugowała, bo cudzy kot będzie się plątał po kuchni. W dodatku rudy. Wyłączając ciebie, moja nie lubi rudzielców. Może kot jest chory i dlatego ktoś go się pozbył? Następnego dnia od rana mościła koszyczek szmatkami, żeby Rudzia miała swoje legowisko. Gdzieś tak tydzień później wracam z komendy, a córeczka sąsiadki z góry pyta mnie, czy nie widziałem Mai. To taka mała ruda koteczka. Dostała ją od babci na urodziny. Drzwi na korytarz były niedomknięte i Maja

wymknęła się z mieszkania. – Syski rozłożył ręce, co oznaczało, że kotka wróciła do małej właścicielki.

– Będziemy wdzięczni, jeśli zaopiekujecie się Julkiem – powiedział Daniel.

Syska zaoferowała swoją pomoc w kuchni, lecz już nie było co robić. Wszystko, co Miśka zaplanowała i przygotowała, znajdowało się na stole. Nie było tego za wiele, tym bardziej że Syscy zaliczali się do niejadków, a Miśka przed wyjazdem do Kopenhagi starała się zrzucić z siebie tyle kilogramów, ile tylko się da. Daniel nie miał powodu się odchudzać.

Po kolacji Syska pomogła Miśce zebrać statki ze stołu, zostawiając jedynie kieliszki i talerzyki, co oznaczało, że za chwilę któraś przyniesie jeszcze coś z kuchni, ale to już nie będzie nic sycącego. Pewnie półmisek przekąsek z serami, chudymi wędlinami, oliwkami, winogronami, ozdobiony gałązką rukoli lub innej zieleniny prosto z marketu. No i lokalne wino gronowe, po które Daniel specjalnie pojechał do Górzycowa, gdzie na nadodrzańskej skarpie wystawionej do południowego słońca Krojciowie założyli winnicę. Od tysiąca lat, a może i wcześniej, płodne wzgórza wokół miasta zajmują plantacje winnych krzewów. Zmieniają się ich właściciele, a mimo to wino, chociaż nie tak wykwintne jak napitek znad Mozeli czy Ebro albo Douro, przyciąga nie tylko smakoszy i turystów, lecz i artystów, a nawet przedsiębiorców szukających źródeł zysku. Niemiecki dramaturg Karl von Holtei napisał farsę *Dreiunddreissig Minuten in Grünberg oder der halbe Weg*⁵⁵, *notabene* niedawno sfilmowaną przez zielonogórczan, w której pisarz drwił z miejscowego trunku, ale i zachęcał do pociągania z kieliszka. Każdy, kto obejrzał farsę, po spektaklu szedł do winiarni, aby sprawdzić, czy to, co jej bohaterowie nazwali winem wartowniczym, winem czterech mężczyzn, winem obrotowym, winem pończoszonym, winem szkolnym, na pewno wykrzywia usta i wypala dziury w żołądku.

– Przedwczoraj byłem w Chociebużu – pochwalił się Daniel.

– Jakaś nowa sprawa z obu stron granicy?

– W piątek rozmawiałem z głównym menedżerem firm Pohlhoffera.

– Tego, którego żona...? – zaczął Syski, jakby chciał się upewnić, że wie, o kogo chodzi, ale nie pamięta jego nazwiska. – Pewnie tutejsi biznesmeni, tatusiowie córek na wydaniu, zastanawiają się, jak zdobyć przychylność wdowca. Nowobogaccy są bezwzględni, a interes i miłość to dwie różne sprawy. Rzadko kiedy zbieżne.

– Menedżer, Antoni Żółtowski, jest, to znaczy był przyszywanym szwagrem Pohlhoffera.

– Co to znaczy „przyszywanym szwagrem”?

– Mirabella Pohlhoffer to jego nieformalna siostra.

– „Nieformalna siostra”? Mów po ludzku.

Daniel powtórzył to, czego dowiedział się od Żółtowskiego. Ojciec Mirabelli i ojciec Antoniego byli bliźniakami. Gdy Antoni poszedł do podstawówki, jego rodzice zginęli w wypadku. Wtedy brat ojca wziął go do swojego domu. Nigdy nie powiedział prawdy Mirabelli, a Antoniego traktował tak, jakby był jego rodzonym synem.

– Ostrouchy uznał zgon w Gremplerze za samobójstwo. Dlatego umorzył śledztwo.

– Umorzył w oparciu o co?

– W oparciu o prawo. Brak dowodów na zabójstwo.

– Z medycznego punktu widzenia – Daniel ściszył głos, jakby nie chciał, żeby Miśka domyśliła się, że rozmawiał z doktor Kamińską – Mirabella zmarła w wyniku wykrwawienia. Podcięcie naczyń krwionośnych przy pomocy bardzo ostrego narzędzia. Podcięcie u obu rąk równocześnie, co budzi wątpliwości. Byłbym gotów zgodzić się z prokuratorem, że to samobójstwo, gdyby nie podcięcie wzdłuż, a nie w poprzek. I gdyby coś identycznego nie miało miejsca w Jakubinie. Ona zmarła w niedzielę wcześniej rano, a tamtejszy wójt we wtorek przed północą.

– Prokurator w Krośnie również umorzył śledztwo. Również ze względu na brak zdecydowanych dowodów, że tamo było zabójstwem. Spotkałem się z szefem krośnieńskich kryminalnych. Tarniowy ma wątpliwości, ale brakuje dowodów. Nawet jednej poszlaki.

– Żółtowski. W rozmowie uczestniczyła żona Antoniego, która jest lekarką w Jakubinie. Opowiedzieli o Pohlhofferach. Niemało ciekawego i dającego dużo do myślenia.

– Pewnie Żółtowski nie przepadał za Pohlhofferem, ale że był jego szwagrem i u niego pracował, na wszystkie wygibasy pana na Jakubinie przymykał oczy.

– Żółtowski dał mi do zrozumienia, że Pohlhoffer ma kochankę. Nie kobietę kochankę, lecz mężczyznę. Pohlhoffer należy do tych, co to mogą z kobietą i mogą z mężczyzną.

– Biseksualista z przewagą skłonności ku kobiecie czy ku mężczyźnie?

Tego Daniel nie wiedział.

– Żółtowski powiedział, że kochanek Pohlhoffera, Lukas Bielok, formalnie jego kierowca, asystent, ochroniarz i właśnie... w młodości był zapaśnikiem. Nawet zdobył mistrzostwo Niemiec. W jakich okolicznościach i kiedy zbliżył się do Pohlhoffera lub Pohlhoffer do niego, tego Żółtowski nie wiedział. Zaraz po wyjściu od niego zadzwoniłem do mojej znajomej w Chociebużu...

– Tej? – przerwał Syski, uśmiechając się i puszczając oko do Daniela. – Madlena jeszcze jest grzechu warta.

– Nie będę ci streszczać całej drogi. To, czego dowiedziałem się od Żółtowskiego, potwierdziło się w Chociebużu.

– Potrafisz wykorzystać doświadczenie wyniesione z policji – powiedział Syski, klepiąc Daniela po ramieniu.

– Teść naszego Pohlhoffera, ojciec jego pierwszej żony, tej, która zginęła w wypadku samochodowym pod Nowogrodem, popełnił samobójstwo. Brzytwą podciął sobie żyły u obu rąk.

– Powtórz.

– Firmę przejął zięć – kontynuował Jung. – Doktor nauk medycznych, specjalista w zakresie chirurgii plastycznej, Wolfgang Pohlhoffer. Dwa lata po śmierci teścia przeniósł ją do Jakubina. I razem z nim do Jakubina przyjechał Lukas Bielok. Bielok to Ślązak, który jako dziecko wybył do Niemiec z rodzicami w ramach tak zwanego łączenia rodzin.

– Była taka akcja za Gierka. Wtedy za jednego sprzedajnego Ślązaka, Mazura czy Kaszuba Niemcy Zachodnie płaciły Polsce po dwadzieścia tysięcy swoich marek. Policz, ile to pieniędzy za trzysta tysięcy sprzedanych w ten sposób. Część z nich wraca na stare śmieci. Dawnych Ślązaków z urodzenia spotkasz w Łagowie, Lubniewicach, Sławie. Po przejściu na emeryturę wybrali te miejscowości dlatego, że trochę mogą być w Polsce, trochę w Niemczech.

Jung nie pochwalił się, że na ten temat dużo wie, ponieważ jego teść, gdy przeszedł na emeryturę, także chciał kupić dom po polskiej stronie. Miśka długo go przekonywała, aby zamieszkał w niemieckim domu opieki. Zgodził się, pod warunkiem że Miśka będzie go odwiedzała nie tylko przy okazji świąt.

– Nie udało mi się dowiedzieć, gdzie Pohlhoffer poznał Bieloka. Domyślam się, że w klubie zapaśniczym. Bielok był zawodnikiem

z najwyższej półki. Pohlhoffer próbował w zapasach, ale mu nie wychodziło, dlatego został lekarzem.

– Podejrzewasz, że Pohlhoffer ma coś wspólnego z tymi...? – zapytał Syski, nie kończąc zdania. Jung nie kiwnął głową, ale i nie zaprzeczył. – Wskazanie podejrzanego to dopiero połowa sukcesu. Zostaje jeszcze pięćdziesiąt procent, które... – urwał, gdy do pokoju wróciły obie kobiety.

– Może i lepiej, że zabierzesz Daniela do Kopenhagi – powiedziała Syska do Miśki.

– Dla kogo lepiej?

– Dla ich obu. Odpoczną od siebie. Przecież oni w kółko rozmawiają o jednym. Nie potrafią oderwać się od spraw zawodowych. Zawsze są w pracy.

– Na emeryturze będziemy rozmawiali o chorobach, lekarzach, lekarstwach i chudych portfelach.

– Jacek najpierw musi zostać emerytem, ale jemu się nie spieszy. Przecież gdyby chciał, już mógłby być na emeryturze.

– I co będą robił na tej emeryturze?

To samo pytanie zadawał sobie Daniel. Tyle że dotyczyło Kopenhagi jako miejsca jego pobytu.

ZIELONA GÓRA, AL. NIEPODLEGŁOŚCI, PONIEDZIAŁEK, PRZEDPOŁUDNIE

Po burzliwym kolegium, podczas którego Maciej Libera nie pierwszy raz pokłócił się ze Szpalta, ale pierwszy raz zapowiedział, że niedługo skończy się jej rządy redakcją, naczelna ściągnęła Junga do swego gabinetu. Właściwie to sekretarka go wezwała bez jakiegokolwiek wyjaśnienia. Zrobiła to na polecenie Szpalty. Zwierzchnicy bardzo rzadko zapraszają podwładnych, najczęściej wzywają i nakazują. Szpalta również tak się zachowuje, ale nigdy wobec Junga. Jego, czego wszyscy w redakcji mu zazdroszczą, traktuje tak, jakby się go obawiała i poważała jednocześnie. A przecież Daniel nigdy nie czyhał, a teraz tym bardziej nie dybie na jej fotel za biurkiem. Nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby zostać redaktorem naczelnym gazety codziennej. Najlepiej się czuje jako reporter śledczy. Zgodził się być kierownikiem działu kryminalnego tylko dlatego, że o to poprosiła go Szpalta.

Nigdy nie próbował podlizać się dyrektorowi wydawnictwa ani jego właścicielowi, od których zależało to, kto zajmuje gabinet na pierwszym piętrze.

Szpalta napelniła dwie koniakówki przywiezionym z Norwegii gabrielsenem. Jedną postawiła na stole przed Jungiem, drugą objęła dłońmi, przypomniawszy sobie, że koniak najlepiej smakuje, gdy jest lekko ogrzany. Naczelną nie za często wzywała dziennikarzy do swego gabinetu, a zapraszała jeszcze rzadziej. Junga gościła wtedy, kiedy była wkurzona albo chciała się wyżalić, a nie miała przed kim. Koniakiem poczęstowała go tylko raz. Było to dwa lata temu. Po rozwodzie z drugim mężem.

– Oni odchodzą, a ja jestem niezniszczalna. Wiecznie żywa jak... – urwała i się uśmiechnęła, po czym zrobiła taką minę, że i Jung się roześmiał. – Jak Lenin? Tak pomyślałeś? A ja miałam na myśli film Levine’a z Johnem Malkovichem. Oglądałeś?

Jung przytaknął tylko dlatego, żeby sprawić radość Szpalcie. Gdyby był na jej miejscu, to po tym, co powiedział Libera podczas kolegium, by się rozbeczał i wyszedł z sali albo wykrzyczał swoją złość na zastępcę. Szpalta nie odezwała się nawet wtedy, kiedy Libera nazwał ją zasuszoną Dulcyneą z Toboso.

– Najpierw Chuda chciała mnie wypierdzielić z redakcji. Nie udało się. Potem Dżamila kopała dołki pode mną. Wyleciała z hukiem razem ze swoim mężusiem. Nawet nie obroniła jej Carewiczka. Teraz ten dupek żołądny Libera próbuje. Jeśli jest prawdą, że do trzech razy sztuka, to temu skurwielowi się uda. Jego teść jeszcze dużo może.

– A mnie ominie wątpliwa przyjemność pracy pod rządami Maćka – powiedział Jung wyraźnie ironicznym tonem. Nigdy nie uważał Libery za dziennikarza z powołania, a dziś się przekonał, że on nie powinien zarządzać nawet działem listów i interwencji. Gdyby został naczelnym, to pod jego kierownictwem „Gazeta Zielonogórska” zmarnieje i w mig straci czytelników, co ucieszy szefów obu konkurencyjnych dzienników.

Szpalta uśmiechnęła się nieznacznie i podniosła konikówkę do ust. Za jej przykładem Jung sięgnął po naczynie, mocno oparł się o poręcz krzesła i wciągnął aromat gabrielsena do nosa. Nie był amatorem koniaku, wolał piwo lub wino. Teraz pił bardziej z grzeczności i ciekawości smaku niż potrzeby sięgnięcia po alkohol.

– Nie zmieniłeś swojej decyzji? – zapytała. – Jednak Kopenhaga? Na pewno?

Przytaknął cicho. Po chwili dodał, że nie ma innego wyjścia. Nie chce jechać do Danii na tak długo, ale musi. Więcej niż ćwierć wieku temu przysięgał Miśce, że choćby się waliło i paliło, nie opuści jej aż do śmierci. Należy do tych, którzy bez względu na okoliczności dotrzymują danego słowa. Taki był jego ojciec, jego dziadek i jego pradziadek, gdy na matkę, babkę i prababkę zwały się przewlekłe choroby. Matkę zaatakowało nieustępliwe pod wpływem leków stwardnienie rozsiane. Jakie zaburzenie spowodowało śmierć do prababki, tego ojciec nie wiedział. Pewnie także stwardnienie rozsiane, z powodu którego umarła babka.

– Najbardziej mnie martwi to, że jeszcze nie wiem, czym się zajmę w Danii. Należę do tych typów, którzy muszą coś robić. Najlepiej pożytecznego. W przeciwnym razie się rozchorują. Albo zaczną pić. Miśka pójdzie do biura, a ja będę sprzątać, gotować, pracować. Czy to wypełni cały dzień? Powinienem pisać. Jestem nosicielem pisania. Tylko komu w Kopenhadze jest potrzebny polski autor?

Szpalta znowu się uśmiechnęła, tym razem nie pod nosem, a wyraźnie do Junga.

– Po starej znajomości podpowiem ci, czym mógłbyś się zająć. Wyjątkowo to nic nie będzie kosztowało. Nawet w naturze. – Podniosła konikówkę do ust, wysączyła gabrielsena, jeszcze raz się uśmiechnęła i mrugnęła znacząco do Junga, jakby usiłowała coś mu przypomnieć. Po czym podeszła do szafy, w której stała butelka i spytała, czy ma ochotę na jeszcze kilka łyków koniaku. – A mnie dziś alkohol wyjątkowo smakuje. Może dlatego, że ten dupek żółędny tak mnie wkurwił. Ja go muszę...

– Sądziłem, że nie przejęłaś się paplaniną Maćka – powiedział Jung, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że było odwrotnie.

Naczelna machnęła ręką, jakby tamto podczas kolegium już nie miało znaczenia. Opróżniła konikówkę i przez dłuższą chwilę milczała, trzymając wzrok nad głową Daniela.

– W Kopenhadze możesz zajmować się tym, czym zajmujesz się w Zielonej Górze. Nie dosłownie tym samym. I na pewno będziesz zadowolony, bo nikt nie będzie patrzył ci na ręce. Nikt nie spyta, dlaczego napisałeś o tym, a nie o tamtym. Dlaczego pominąłeś

to, co zwierzchnikowi rzuca się w oczy? Sam sobie będziesz szefem – stwierdziła, spodziewając pierwszego pytania.

Jung ani nie kręcił głową, ani nie przytakiwał. Nabrał wody w usta, wpatrując się w konikówkę, jakby to, co Szpalta powiedziała, wcale go nie zainteresowało.

A ona po chwili milczenia ujawniła, że gdyby była w Kopenhadze na miejscu Daniela, uruchomiłaby gazetę internetową albo prowadziła dziennik w formie bloga. Jedni medioznawcy traktują to jako dziennikarstwo społecznościowe, nazywane także obywatelskim, będące nowym trendem w metodach informowania, na pewno uzupełniające przestrzeń publiczną, drudzy uważają je za grafomanię. Pół biedy jeśli autor zdaje sobie z tego sprawę i nie uważa się za kogoś, kim nie jest i nie będzie. Najgorsze, co może się przytrafić autorowi, to samouwielbienie, ale Jungowi to nie grozi.

– Też lubię być podziwiany – wtrącił Daniel, czując ciepło rozchodzące się od żołądka. Teraz miał ochotę na jeszcze jeden kieliszek gabrielsena, ale i pamiętał o tym, że jeszcze dziś powinien zadzwonić do Wojtczaka, a w trakcie rozmowy z prokuratorem musi trzeźwy jak gwizdek.

– Są tacy, którzy odtrąbili koniec dziennikarstwa jako narzędzia przekazu wiadomości i źródła informacji – kontynuowała Szpalta. – Ty, Daniel, jesteś jednym z ostatnich reporterów mających na uwadze przede wszystkim czytelnika, co nie podoba się właścicielowi wydawnictwa i wkurza zarządzających naszym regionem. Nawet ja, mimo że zaczynałam, kiedy raczkowały komputery, już nie traktuję tego fachu tak jak ty, który masz krótszy staż dziennikarski, bo przez piętnaście lat po studiach byłeś policjantem. Dziś jestem naczelną redaktorką, jutro mogę być kierowniczką osiedlowego marketu, pojutrze zgłoszę się do urzędu pracy i będę czekała na propozycję. A ty tak nie potrafisz. Skoro masz talent do pisania reportaży kryminalnych, to zrób wszystko, żeby go wykorzystać. Ilu jest takich, którzy uważają się za dziennikarzy, a nie odróżniają reportażu od opisywactwa? Teraz w gazetach dominuje płyciutka informacja i infantylny komentarz, a właściwie bleblanie bez sensu. Mój pierwszy małżonek nazywał to struganiem patyków. Właściciele gazet zmuszają tych, którzy piszą, do cykania zdjęć ilustrujących teksty. To fotografie z nazwy, w rzeczywistości są to obrazki niewiele mające wspólnego z fotografią jako sztuką. Coraz częściej papier przestaje być materiałem, na którym są drukowane zdjęcia i litery układające się w zdania. Zastępują go nośniki elektroniczne.

Jak to działa, tego prawdziwy dziennikarz nie powinien rozumieć. Mam na myśli takiego, którego zdaje sobie sprawę z tego, co to jest poprawność językowa, kultura wypowiedzi, rzetelność informacji i stara się pisać tak, jak go tego uczono na uniwersytecie. Kto dziś weryfikuje co najmniej w dwóch miejscach, czy to, czego się dowiedział, naprawdę się wydarzyło i wyglądało tak, jak przekazał mu informator?

– Ja sprawdzam.

– Przecież powiedziałam, że jesteś jednym z ostatnich reporterów mających na uwadze prawdę. Młodzi myślą o sobie. Każdy chce zabłysnąć, co zrozumiałe, ale nie pożądane. Ja tego nie potrafię zaakceptować.

– Większość spośród studentów dziennikarstwa, z którymi prowadziłem ćwiczenia na uniwersytecie, miało ochotę pracować w telewizji, mniej w radiu. Tylko jedna osoba, ale to pewnie dlatego, że miała wadę wymowy, widziała się w gazecie – wtrącił Jung, jakby chciał potwierdzić to, o czym powiedziała Szpalta.

– Teraz każdy, kto ma dostęp do komputera, może być dziennikarzem. Nie wiem dokładnie, ale przypuszczam, że w co drugiej parafii wychodzi gazetka papierowa. Niemal każda gmina informuje na swojej stronie, gdzie był wójt, z kim rozmawiał, kogo pochwalił, komu przypiął medal. Czasem te wiadomości dodatkowo ukazują się na papierze po to, żeby ci, którzy, są na bakier w komputerami, nie czuli się wykluczeni. Każdy może pisać to, co chce i tak, jak potrafi. Jedni autorzy kłamią świadomie, drudzy podają prawdę szczerą aż do bólu. Ci i ci wiedzą, że nikomu nie będzie się chciało to sprawdzić. Daniel, ty najlepiej wiesz, że nie jest łatwo odróżnić prawdę od kłamstwa. Prawda częściej niż kłamstwo bywa traktowana podejrzliwie. Josephowi Goebbelsowi przypisuje się zdanie, że kłamstwo powtórzone tysiąc razy, staje się prawdą. On to podejście upowszechnił i je wykorzystał, ale nie on jest jego odkrywcą. Kto? Tego nie wiem. Pewnie któryś władca.

– Prędzej żona któregoś władcy.

– Politycy nie mają wątpliwości, że teraz jak nigdy wcześniej najważniejsze jest robienie dobrego wrażenia. Chodzi im o to, żeby nie wypaść z pamięci wyborców. Pomiedzy politykiem i dziennikarzem nowego wzoru jest coraz mniejsza różnica. Skoro każdy może pisać, również zaciera się różnica pomiędzy reporterem i czytelnikiem. Dziś takie czasy, że rzadko który czytelnik traktuje dziennikarza jako tego, który jest rzetelny od początku do końca. Który dlatego, że jedni mu płacą, musi ganić drugich.

Nawet do informacji kryminalnych czytelnicy podchodzą tak, jakby było one podejrzane.

– Dziękuję za pouczający wykład – odezwał się Jung akurat w chwili, gdy otworzyły się drzwi. Stała w nich pobladła sekretarka.

– Pan dyrektor wydawnictwa wzywa panią redaktor do siebie – szepnęła.

– Za chwilę.

– Pan dyrektor powiedział, że ma pani przyjść natychmiast. – Ściszym głosem dodała: – Jest u niego Libera.

Szpałta rozłożyła ręce, jakby tym gestem dawała Jungowi do zrozumienia, że to koniec rozmowy.

– Żebyś dobrze rozstał się z redakcją i został w pamięci czytelników, musisz napisać ten reportaż o samobójcach. Zdążysz przed wyjazdem do Kopenhagi?

Jung kiwnął głową, po czym dodał:

– Mam wątpliwości, czy to na pewno były samobójstwa.

ZIELONA GÓRA, UL. WĄSKA, PONIEDZIAŁEK, PRZEDPOŁUDNIE

Po powrocie do domu wczoraj wieczorem Jacek Syski zastanawiał się nad tym, co mu powiedział Daniel. To nie mógł być przypadek, że w odstępie zaledwie trzech dni dwie osoby umarły z powodu wykrwawienia po przecięciu żył. Co innego, gdyby jedna miała dom na wschodzie, druga na zachodzie Polski. Z Zielonej Góry do Jakubina, gdzie mieszka Wolfgang Pohlhoffer, jest nie więcej niż czterdzieści kilometrów, a przez Dąbie jeszcze bliżej. Nie odległość między miejscowościami dręczyła komisarza, a miejsca śmierci, pora i narzędzie, przy pomocy którego Mirabella i Ficnerski podcięli sobie żyły, jeśli na pewno sami to zrobili. Gdyby Jung nie powiedział Syskiemu, że dowiedział się w Chociebużu, co było przyczyną śmierci ojca Birgit, pierwszego teścia Pohlhoffera, nie zwracałby sobie głowy ostatnimi zgonami. Zgadzał się, że brzytwa albo podobne narzędzie łączy te trzy zejścia. Ale Jungowi chodziło przede wszystkim o ich przyczynę. Zresztą Syskiemu także, tyle że to nie jest najważniejsze w pracy detektywa policyjnego. Liczą się dowody, których nie podważy nawet najbardziej sprytny adwokat. Gdy podwładni je zbiorą, naczelnik wydziału wskaże Ostrouchemu, kogo powinien

oskarżyć. Araszkiwicz upiera się, że Mirabella popełniła samobójstwo. Innego zdania są Grodzki, Kleemann i Mrozińska. Starsi i bardziej doświadczeni policjanci podejrzewają, że zabójcą jest Wolfgang Pohlhoffer. Czy on zamordował swojego teścia, swoją żonę i wójta gminy? Odpowiedzi na to pytanie brak.

Po rozmowie z Danielem, pomimo tego że prokurator umorzył śledztwo, Syski zdecydował się je kontynuować. Na razie bez zgody zastępcy komendanta między sprawami, których nabierało się od groma. Może gdyby Kleemann czy Mrozińska mieli wtedy sobotnio-niedzielny dyżur, śledztwo poszłoby inną drogą. Araszkiwicz sobie nie poradził. Grodzki byłby najlepszy. Porozmawiam z Januszem, żeby tym się zajął albo mi pomógł, pomyślał akurat w chwili, kiedy otworzyły się drzwi jego gabinetu i stanął w nich podkomisarz Grodzki.

– Wzywałeś mnie, szefie?

– Czy kiedykolwiek cię wzywałem? – Syski odpowiedział pytaniem na pytanie. – Nie miałbym odwagi i za bardzo cię cenię, żeby cię traktować tak jak Arachę. – Jednak Janusz czyta w moich myślach, przeleciało mu przez głowę. – Być może poproszę cię o przysługę, ale nie teraz. Najpierw muszę coś sprawdzić.

– Kto będzie nas wspierał, jeżeli nie my sami, stara gwardia? Była ta przysłana przez centralę... No, ta z tatuażami na plecach?... Cholera, skleroza. Czas na emeryturkę.

– Pewnie myślisz o Karolinie de Murville? – zapytał Syski i zaraz przypomniał, że to praktykantka. – Skąd wiesz, że miała tatuaże na plecach?

Grodzki uśmiechnął się, po czym dodał, że byłby kiepskim detektywem, gdyby tego nie wiedział.

– Karolinka miała tatuaże nie tylko na plecach. Teraz taka moda wśród młodzieży.

– W czasach naszej młodości po tatuażu mogłeś poznać, kto siedział w ciupie, gdzie, który raz i za co.

– Ilona należy do naszego pokolenia, a po wewnętrznej stronie jej lewego ramienia fruwa pszczołka w aureoli. Gdybyś był ciekawy, gdzie Natasza kazała sobie wydziergać imię Arachy...

– Pewnie w pobliżu tego miejsca – odpowiedział Grodzki, kierując wzrok w dół. – Nie zapytam, czy ci się pochwaliła. Jesteś wzorcowym szefem wydziału, więc musisz wszystko wiedzieć.

Gdy tylko Grodzki zamknął za sobą drzwi, naczelnik zadzwonił do kierownika techników.

– Zrobisz coś dla mnie? – zapytał niezbyt pewnym głosem. Kilka razy ścięli się na odprawach. Syski miał go za nadgorliwca, który traktuje procedury tak, jakby ich nagięcie oznaczało wieczne potępienie. Zresztą inni naczelnicy także uważali szefa techników za formalistę.

– Służbowo nie mogę ci odmówić. Prywatnie, jako najstarszemu stażem w komendzie, również. Za bardzo cię cenię, komisarzu.

Kameleon, pomyślał Syski. Tacy faceci w policji są niebezpieczni.

– W nocy z poprzedniej soboty na niedzielę Mirabella Pohlhoffer popełniła samobójstwo w łazience hotelu Grempler.

– Mam sporo lat służby, ale jeszcze dzięki bogu nie dopadła mnie skleroza – wtrącił szef techników.

– Da się sprawdzić twoimi sposobami, gdzie wtedy przebywał jej małżonek? Wolfgang Pohlhoffer. To obywatel niemiecki.

– A dlaczego pan podkomisarz Araszkiwicz jako prowadzący śledztwo tego jeszcze nie zrobił? Przecież od tego powinien zacząć.

– Nie wszystko mi pasuje – skłamał. Wstydził się przyznać, że do takiego wniosku doszedł po rozmowie z Jungiem. – Araszkiwicz najpierw zasłaniał się pogrzebem, a potem prokurator uznał, że Mirabella popełniła samobójstwo i sprawa została zamknięta.

– Nie pasuje ci, że masz mniej roboty? Ja na twoim miejscu bym...

– Chodzi o męża denatki. Nie pojawił się na ślubie w kościele i nie był na weselu przyjaciółki swojej żony. Dlaczego? Jedna z osób składających wyjaśnienia powiedziała, że musiał nagle wyjechać w interesach do Niemiec. Dokąd dokładnie i czy na pewno? Według mojej wiedzy, a liznałem trochę wiadomości w Oranienburgu, żaden przedsiębiorca niemiecki nie prowadzi interesów w sobotę i niedzielę. Po to dłużej pracuje w pozostałe dni, żeby odpoczywać w weekend.

– Moi ludzie nie mają uprawnień do pracy za granicą. Powinieneś zadzwonić na Puławską i pogadać z kimś w biurze kryminalnym. Szybciej będzie, jeśli zwrócisz się do centrum w Świecku. Oni są od tego, żeby kontaktować się z Niemcami. Ale bez zgody naszej komendantki... Zaraz, komisarzu, przecież ty masz w Chociebużu tego znajomego policjanta, co mówi po polsku. Moi ludzie...

– Już wiem, co wolno twoim ludziom – Syski nie pozwolił dokończyć szefowi techników. – Inna kwestia. Wtedy w hotelu, jakżeśmy zaczęli badać sprawę Mirabelli, powiedziałeś, że przed śmiercią denatka wysłała list pożegnalny. Do kogo? Wtedy nie zwróciłem uwagi na twoje spostrzeżenie. Aracha też tego nie odnotował. Po kursie dostał podkomisarza i woda sodowa uderzyła mu do głowy. Zachowuje się tak, jakby robił łaskę, że pracuje.

– Zabezpieczyliśmy komórkę. Nowszy model huaweia. Poza odciskami palców właścicielki na obudowie nie było innych śladów. Ostatnią rozmowę przeprowadziła w sobotę siedem minut przed piątą po południu. Wtedy logowała się w samym centrum miasta. Prawdopodobnie sprzed kościoła Zbawiciela. List jako esemes został wysłany z huaweia do Wolfa. Sto siedemnaście znaków. To mi podpada.

– Przestań lawirować. Powiedz po ludzku, co ci, kurwa, podpada? – naskoczył na niego Syski, coraz bardziej zniecierpliwiony.

– Podpada mi to, że samobójczyni wysłała list pożegnalny pocztą elektroniczną.

Takie czasy, pomyślał komisarz, ale do słuchawki powiedział co innego:

– Wolałbyś, żeby napisała list na papierze firmowym hotelu i zostawiła go na biurku w pokoju? Ja też.

– Zgadza się. – Szef techników odchrząknął, jakby tym dźwiękiem chciał dać Syskiemu do zrozumienia, że mu się spieszy.

– O której godzinie wysłała ten list? Da się sprawdzić? Pytam o esemes.

– Akurat tego nie muszę sprawdzać. List wysłała o czwartej sześć.

– Po południu?

– Jeśli o czwartej sześć, to rano.

– A do kogo?

– Mówiłem, że do Wolfa.

– Gdzie on wtedy przebywał?

– Tego nie wiem. Moi chłopcy mogą jedynie sprawdzić, gdzie logował swój telefon w chwili odbierania wiadomości. Będzie im potrzebny numer jego komórki, ale to bułka z masłem. Podejrzewasz tego Wolfa?

– Gdyby się okazało, że Wolf logował swój telefon w pobliżu hotelu... Jeszcze jedno pytanie. Doszły mnie słuchy, że jest taka aplikacja, która działa jak nawigacja. Coś w rodzaju GPS. Podobno z dokładnością do kilku metrów podaje, gdzie przebywa właściciel komórki.

– Pospolity tak zwany lokalizator. Pozwala na śledzenie wybranego numeru. Powszechnie używają tego urządzenia właściciele firm transportowych. Często bywa wykorzystywana przez rodziców, którzy chcą wiedzieć, gdzie jest ich pociecha. I przez... małżonków. Częściej mężczyzn niż kobiety – dodał szef techników. – Sądysz, że Wolf ma coś wspólnego ze śmiercią Mirabelli?

– Na razie mam głowę pełną wątpliwości, które trzeba wyjaśnić.

– Pan podkomisarz Araszkiewicz tego nie robi. On powinien być przy kimś i się uczyć. Ja, gdybym był naczelnikiem wydziału kryminalnego, wziąłbym pod uwagę Grodzkiego. A może lepsza byłaby Ilonka Mrozińska? Jak śmieje się mój szwagier Jaromir, ten biofizyk z Ostrawy: *Kam nemůže čert, nastrčí babu*⁵⁶.

– Dziękuję za odpowiedź. – Syski nie przyznał się, że również myślał o powierzeniu tego śledztwa Grodzkiemu. Ilonę Mrozińską także brał pod uwagę, ale po tym, co powiedział szef techników, porozmawia z jednym i drugim. Grodzki nigdy mu nie odmówił, to i teraz na pewno nie odmówi. Ilona czasem stawiała okoniem. Muszę ją przekonać, że stara gwardia powinna trzymać się razem. Nie będzie to łatwe, ale do przeprowadzenia. Ilona lubi być chwalona.

ZIELONA GÓRA, AL. NIEPODLEGŁOŚCI, PONIEDZIAŁEK, WCZESNE POPOŁUDNIE

Prokurator Wojtczak nie miał nic przeciw temu, żeby Jung przyjechał do Krosna, najlepiej na początku przyszłego tygodnia, i na miejscu przejrzał materiały dotyczące śmierci wójta Ficnerskiego. Będzie mógł zacytować tyle, ile uzna za interesujące czytelników gazety. Dobrze by było, gdyby zwrócił się do prokuratora z prośbą o komentarz lub opinię na temat tego, co się stało w Jakubinie. Wprawdzie policyjni detektywi nie znaleźli dowodów wskazujących na udział osób trzecich w tym zdarzeniu, dlatego prokuratura nie miała innego wyjścia, jak umorzyć śledztwo, to nie wszystko jest ani jasne, ani rozstrzygające. Gdyby Wojtczak pracował jako reporter w dzienniku regionalnym, a ma troszkę praktyki, bo jako licealista pisał artykuły do szkolnej gazetki „Wiadomości z Ostatniej Ławki” i dlatego po maturze chciał studiować dziennikarstwo, ale nie został przyjęty

na ten kierunek z powodu braku miejsc, dlatego poszedł na prawo, gdzie kandydatów było nie za wielu. Zresztą co dwa, trzy lata posyła swoje teksty do „Zielonogórskich Studiów Prawniczych”. Ostatnio złożył do druku rozprawę na temat wybranych wad orzeczeń sądowych w postępowaniu karnym, która powinna ukazać się w najbliższym numerze periodyku uniwersyteckiego „Acta Iuris Lebusiana”, docierającego do prokuratur rejonowych. I dla świętego spokoju zatelefonowałby do wdowy po Ficnerskim.

– Aśkę, to znaczy panią Ficnerską, znam dość dobrze jeszcze z lat szkolnych. Razem dojeżdżaliśmy do liceum. Fajna babka, tylko... Ale nie powinna mieć nic przeciw temu rozmowie z panem, redaktorze. Ja wiem i pan coś wie, jak to bywa z kobietami w trudnych sytuacjach. – Po chwili poradził, żeby Jung najpierw skontaktował się z podkomisarzem Tarniowym, który prowadzi śledztwo w Jakubinie. – Zdaje się, że brzytwa i komórka Adama Ficnerskiego jeszcze znajdują się w depozycie na komendzie.

Jung zrobił tak, jak mu podpowiedział prokurator. W przyszłości to się przyda jeśli nie jemu, to na pewno jego następcy w redakcji. Reporterzy śledczy i policjanci kryminalni chodzą tymi samymi ścieżkami, dlatego powinni sobie pomagać. Przy najbliższej okazji Wojtczak na pewno zapyta Tarniowego, czy Jung do niego dzwonił i czy podkomisarz zgodził się na rozmowę. Będzie mu chodziło nie o to, co policjant może ujawnić, ale żeby pochwalił prokuratora. Jeżeli jego nazwisko pojawi się w reportażu i przełożeni w Zielonejgórze je dostrzegą, premia murowana. To się bardziej liczy niż gratulacje od kolegów czy tylko uścisk dłoni prezesa okręgówki.

Tarniowy niewiele miał do powiedzenia. Właściwie nic nie przyszło mu do głowy, czego Jung nie dowiedział się od Wojtczaka. Nie był przeciw temu, żeby dziennikarz zatelefonował do wdowy, ale i nie uważał tego za właściwe ledwie dwa dni po pogrzebie. Powiedziałby coś innego, gdyby technicy policyjni natrafili na jakieś podejrzone ślady i uznali je za wymagające wyjaśnienia. Na szklance i na butelce były te same ślady linii papilarnych co na komórce, czyli poza Ficnerskim nikt ich nie dotykał gołymi rękami. Badanie brzytwy na razie do niczego nie doprowadziło śledczych. Zresztą po zmyciu z niej krwi okazało się, że na rękojeści nie zachowały się odciski palców.

– List pożegnalny?

Podkomisarz przyznał się, że pierwszy raz widział list wklepany na ekranik komórki i wysłany pocztą elektroniczną do odbiorcy, którym okazała się żona Ficnerskiego. Najpierw był tym zaskoczony. Dopiero gdy szef techników wyjaśnił mu, że dziś w ten sposób można napisać nawet odwołanie od decyzji burmistrza Cebuli, a niektóre urzędy wręcz zachęcają do korzystania z dobrodziejstwa elektroniki, podkomisarz przestał pytać.

– Żeby się nie ośmieszyć – dodał.

– Takie czasy.

– Powinni o tym mówić podczas kursów dla kryminalnych. Niestety, redaktorze, tam uczą nas tego, do czego wcześniej sami doszliśmy. Jesteśmy lata świetlne za przestępcami. Ale to tak pomiędzy nami śledczymi, redaktorze? Pan tego nie napisze, co nie? Komendant by mi jaja urwał.

– Czy ma pan w głowie treść listu, który dostała Ficnerska? Może pan powtórzyć, co tam było? Chodzi mi o dokładnie zapisane wyrazy.

– Zrobię to, ale nie teraz. Za kilkanaście minut. Muszę odszukać wydruk w dokumentach, a nie chciałbym coś przekręcić. O ile pamięć mnie nie myli, polszczyzna... pożał się boże. Nawet nasze stupajki robią mniej byków w raportach ze służby.

JAKUBIN, UL. SADOWA, PONIEDZIAŁEK, WCZESNY WIECZÓR

Daniel Jung obawiał się spotkania z wdową po wójcie. Mimo to zaraz po rozmowie z podkomisarzem Tarniowym zadzwonił do niej. Przedstawił się i złożył kondolencje. Potem powiedział, że dość dobrze znał Adama Ficnerskiego, co nie było prawdą. Ponieważ się nie odezwała, zapytał, czy nie będzie miała nic przeciw temu, jeżeli przyjedzie do Jakubina i zada jej kilka pytań.

– Nawet zaraz. Mogę być za pół godziny z okładem – dodał przekonany, że dwa dni po pogrzebie wdowa nie zechce z nim rozmawiać. Zrobił to dla świętego spokoju i żeby Libera nie zarzucił mu pominięcia ważnego świadka, chociaż Daniel nie liczył na to, że usłyszy od niej coś odkrywczego.

Ficnerska nie tylko się zgodziła na spotkanie, lecz i zapytała, co będzie pił. Może przygotować na przykład *macchiato*⁵⁷. Odpowiedział, że lubi mocną herbatę bez cukru i cytryny.

– To czekam na pana redaktora – zakończyła rozmowę.

Jak się Daniel spodziewał, Ficnerska była ubrana na czarno. Niedawno poprawiła makijaż, bo poczuł świeży zapach perfum i kiedy wypowiadała swoje imię, dostrzegł jasną szminkę na jej pełnych ustach. Zaprowadziła go do dużego pokoju i wskazała ręką fotel przy kominku. Milcząc, usiadła na wprost niego. Na stoliku stały dwie filiżanki, pomiędzy nimi dzbanek z herbatą, na środku talerzyk z ciastkami. Z boku leżała złożona na pół kartka. Zastanawiał się, od czego zacząć. Wszystko, co sobie ułożył, teraz wydawało mu się nie na miejscu.

– Czym pan się do nas dostał? Nie zauważyłam samochodu.

– Mam w planie rozmowę jeszcze z kilkoma osobami w Jakubinie. Dlatego samochód zaparkowałem przed urzędem gminy, skąd wszędzie jednakowo blisko i daleko. A jeżdżę srebrzystą ibizą. Jak reklamuje się polski diler, to auto jest owocem niemieckiej precyzji i hiszpańskiego temperamentu, a ja cenię jedno i drugie. – Nie przyznał się, że od niej pójdzie do Żółtowskich i przed wieczorem spróbuje się dostać do Pohlhoffera. Może Żółtowski mu podpowie, jak to zrobić.

Mieszając herbatę w filiżance, Ficnerska podniosła na niego pytający wzrok.

– Przypuszczam, że pana redaktora interesuje, dlaczego Adik to zrobił. Czy wcześniej zauważyłam coś niepokojącego w jego zachowaniu? – Zamilkła, czekając na potwierdzenie. Jung przytaknął. – Powtórzę więc to, co powiedziałam policjantom. Nie, panie redaktorze, niczego niepokojącego wcześniej nie spostrzegłam. Byliśmy naprawdę zgodnym, szanującym się małżeństwem, chociaż mnie posądzano o miłostki tu i tam. Niech pan w to nie wierzy. W mieście sąsiedzi niewiele wiedzą o sąsiadach. Na takiej wsi jak Jakubin... Naturalnie jako panienska podkochiwałam się, na przykład w Andrzeju Wojtczaku, dziś prokuratorze w Krośnie. Raz nawet Andrzej zaprosił mnie na dyskotekę do Klubu Garnizonowego. Kto wie, jak by się to zakończyło? Może byłabym prokuratorową. Wracając do Adika... Mąż był cukrzykiem insulinozależnym, ale czy to powód, żeby popełnić samobójstwo? Choroba mu przeszkadzała, co nie znaczy, że uniemożliwiała funkcjonowanie. O stałych porach musiał przyjmować insulinę, odżywiać się w sposób zalecany przez diabetologa, systematycznie poddawać się badaniom. Nie jest prawdą, że cukrzyk powinien wystrzegać się alkoholu. Cukrzyk, panie redaktorze, jak każdy człowiek powinien wystrzegać się alkoholu

w nadmiarze. Adik do tego raczej się stosował. – Umilkła, jakby się zastanawiała, co jeszcze powinna powiedzieć o mężu. Jung także milczał. Miał kilka pytań, jednak wolał je zadać dopiero wtedy, kiedy Ficnerska się wygada. – Adik nie miał powodu popełnić samobójstwa. Człowiek, który codziennie walczy o swoje życie, nagle nie odbiera sobie możliwości życia... Cztery lata temu tak. Wtedy było nam bardzo ciężko, ale nie teraz. Jako wójt Adik zarabiał trzy razy więcej niż jako nauczyciel angielskiego. Ostatnią ratę pożyczki wziętej na budowę tego domu spłaciliśmy we wrześniu. Spłaciliśmy pożyczkę i zaraz Adik wziął kredyt na passata. Moja toyotka również kupiona na kredyt. Pod koniec czerwca przyszłego roku mieliśmy jechać do Albanii i Czarnogóry. Potem tydzień pobytu nad Adriatykiem. Już wpłaciliśmy zadatek wycieczkę. Dzieci. Sabinka była jego oczkiem w głowie. Wojtuś to bardziej maminsynek. Nie myśleliśmy o jeszcze jednym potomku, ale nie mielibyśmy nic przeciw temu, gdyby się nam przytrafiło. Zresztą... – urwała. Dopiero teraz miała w oczach łzy.

Po chwili milczenia Jung zapytał:

– Czy ktoś groził mężowi?

– Nic o tym nie wiem.

– Może zdarzały się głucho telefony?

– Nie w mojej obecności.

– Mąż się skarżył? Klął? Bo ja wiem... Pewnie nie wszystko, co chciał zrobić jako wójt Jakubina, mu się udawało.

– Wracał z urzędu i jak każdy, kto kimś jest, ciskał przekleństwami. A to księgowa czegoś nie dopilnowała. A to sekretarka mu nie przypomniała, a termin był na wczoraj. Kontrola za kontrolą. Radni. Sołtysi. Dyrektorka szkoły. Dziennikarze. Jak w każdym urzędzie. O nie, przepraszam. Raz tylko się zdarzyło, było to niedawno, w październiku, że kiedy Adik miał inne zdanie na jakiejś sprawie niż pan Pohlhoffer. O ile dobrze zapamiętałam, chodziło o książkę o Jakubinie, która jest na ukończeniu czy jest planowana. Wtedy Adik powiedział, że jeśli nie zgodzi się z Pohlhofferem, może to oznaczać koniec jego kariery jako wójta. W Jakubinie każdy, kto nie staje przeciw Pohlhofferowi, ma szansę kandydować na wójta. Choćby ludzie nie chcieli, wygra ten, którego Pohlhoffer każe wybrać. Nie inaczej było z wyborem Adika. Pan Pohlhoffer sobie go upatrzył. I później kiedy Adik jako wójt miał inne zdanie niż pan Pohlhoffer, dochodziło do zatargów. Adik to bardzo przeżywał. Z nim ja i nasze dzieci. Mówiłam: rzuć to. Nie musisz

wracać do szkoły. Z twoją znajomością angielskiego wszędzie znajdziesz pracę. Będziesz szanowany.

– Czyli największym wrogiem pani małżonka był Wolfgang Pohlhoffer?

– Największym wrogiem, tyle że utajnionym, był Dominiak, sekretarz gminy. On już tak się nosi, jakby był wójtem.

– Mógł być sprawcą tego, co się stało?

– Nikogo nie podejrzewam, panie redaktorze, ale i nie wierzę, żeby mój Adik popełnił samobójstwo. – Wdowa zacisnęła usta i pogrzyżyła się w milczeniu, jakby się nad czymś zastanawiała. Ciszę przerwała dopiero wtedy, kiedy Jung odchrząknął. – Nie zawsze są potrzebne dowody winy. Czasem wystarczy przypuszczenie, żeby komuś zniszczyć życie albo narobić sobie wrogów. Ja nie mam dokąd wyjechać z Jakubina. Tu się urodziłam, tu razem z Adikiem postawiłam ten dom, wydałam na świat dwoje dzieci, dlatego tu chcę pozostać. Na zawsze. Teraz żywa i potem martwa.

– Kiedy pani ostatni raz rozmawiała z mężem?

– Krótco, dosłownie w przelocie, po jego powrocie z Niemiec. Powtórzył to, co powiedział przez telefon, jak dzwonił z Chociebuża. W hotelu spotkał mężczyznę tak podobnego do pana Pohlhoffera, że podszedł do jego stolika, ale tamten twierdził, że go nie zna. Mąż był pewny, że to pan Pohlhoffer, ale dlaczego wypierał się znajomości? Dziwne, prawda, panie redaktorze?

Jung miał jeszcze jedno pytanie. Uważał je za najważniejsze.

– Kiedy pani odebrała esemesa, który wyszedł z komórki męża?

– Tego esemesa Adik nie mógł napisać. Magister filologii angielskiej z językiem polskim jako drugą specjalnością nie robi takich błędów. – Z kieszeni bluzki wyjęła kartkę, rozprostowała ją i dopiero wtedy położyła na stoliku. – Proszę zobaczyć. Czy tak pisze absolwent uniwersytetu?

Jung sięgnął po kartkę.

– Tego nie mógł napisać Adik – powtórzyła.

– Dlaczego?

– Przed chwilą powiedziałam, że byliśmy zgodnym małżeństwem. To prawda i nieprawda. Jeśli się sprzeczałyśmy, a sprzeczki się zdarzały, to tak, żeby one zostały w naszym domu. Czy pan zgadza się ze wszystkim, co powie małżonka?

– Ustępuję, to znaczy staram się ustępować, ale czasem... Zresztą moja żona zachowuje się identycznie jak ja. Wybucho, gniewa się, przeprasza. Dlatego jesteśmy ze sobą ponad ćwierć wieku.

– Adik ożenił się ze mną nie z wielkiej miłości. Zrobił to z rozsądku. Zostałam jego żoną dlatego, że byłam w ciąży z Wojtusiem... Adik nigdy nie powiedział, że mnie kocha. A tu – wyciągnęła dłoń w stronę kartki, która leżała przed Jungiem – takie wyznanie? W dodatku z błędami. Adik nie mógł tego napisać.

– Esemes został wysłany z komórki należącej do pani małżonka. Wysłany na kilka czy kilkanaście minut przed jego zgonem – powiedział Jung, nie przyznając się, że to wie od podkomisarza Tarniowego. – Zanim odebrał sobie życie, wypił whisky. Może pod wpływem alkoholu...

– Pan znał Adika dobrze, ale nie tak jak ja, ma więc pan prawo podejrzewać go o coś takiego. Jako cukrzyk pił tylko wtedy, kiedy musiał. Pił symbolicznie. Przez cały okres naszego małżeństwa nie widziałam Adika nie tylko pijanego, ale nawet podchmielonego.

Jung zamilkł. Przypomniało mu się pytanie profesor Libery, czy Ficnerski nie miał dość życia z cukrzycą. Tego pilnowania, żeby nie zapomnieć wziąć insuliny. Tego ograniczania smażonych, słodzonych, mącznych potraw. Wykreślenia ziemniaków z jadłospisu. Tego odmawiania alkoholu. Unikania pieprzu i papryki. Podwieczorków bez galaretek, kompotów, pączków, serników.

– Nie jest łatwo tak żyć, ale tak trzeba – powiedziała Ficnerska, jakby dostała się do głowy Junga. – Ksiądz Zygmunt często powtarza, że samobójstwo to tchórzostwo. Tylko człowiek słaby kończy ze sobą. Kończy, bo ma dość trudów życia. Mój Adik nie miał postury koszykarza, jednak był mocny fizycznie i psychicznie.

– Czy to samo co mnie powiedziała pani policjantowi, kiedy z panią rozmawiał? Chodzi mi alkohol. O układanie się w małżeństwie. – Boże, żeby tylko nie zaprzeczyła, że Tarniowy jej nie przesłuchał, pomyślał.

Ficnerska skinęła głową.

– Jednak odniosłam wrażenie, że policjant nie to chciał usłyszeć. On miał gotową tezę. Usiłował mnie przekonać, że Adik popełnił samobójstwo.

– Przedstawił jakieś dowody? Może poszlaki?

Tym razem wdowa pokręciła głową.

– Nie jestem policjantem ani prokuratorem, nie mam prawa wyręczać śledczych. Jako dziennikarz zajmujący się sprawami kryminalnymi sędzę, że pani ma rację. Adam Ficnerski nie odebrał sobie życia. – Po krótkim namyśle Jung dodał: – Nie mogę przedstawić niepodważalnych dowodów,

że pani mąż został zamordowany. W oparciu o to, co dotąd usłyszałem, co zdobyłem, do takiego wniosku doszedłem.

Ficnerska nie przyznała mu racji, ale i nie zaprzeczyła.

– Pan wie kto?

Zamiast odpowiedzieć, Jung wyjął z torby karteczkę niewiele większą od tej, która leżała na stoliku. Dostał ją od szefa techników, gdy po rozmowie ze Szpaltą pojechał do komendy. Miał kilka nowych pytań do Syskiego dotyczących tego, co się wydarzyło w Gremplerze. Prokurator umorzył śledztwo w sprawie śmierci Mirabelli Pohlhoffer, mógł je więc zadać Ostrouchemu, jednak wolał pytać komisarza. Znają się tak długo, że Jung domyśla się, kiedy Syski coś przed nim ukrywa albo nie może powiedzieć wprost. Karteczki leżały obok siebie na stoliku. Milcząc, przypatrywał się to jednej, to drugiej. Jeszcze nie był przekonany, że ma prawo ujawnić wdowie to, co mu chodzi po głowie. Może się wycofać? Ficnerska spodziewa się, że wymienię nazwisko mordercy, a tego przecież nie wiem. Podejrzewam, że ta sama osoba zabiła Mirabellę Pohlhoffer i Adama Ficnerskiego. I być może ojca Birgit, pierwszej żony Wolfganga Pohlhoffera. Podejrzewam na podstawie dowodów czy poszlak? Bardziej podejrzeń. Nabrał powietrza do płuc, wypuścił je z sykiem, i wziął karteczki w palce. W tym domu tego nie zrobię, zdecydował.

– Panie redaktorze – ponagliła go Ficnerska.

Jung znowu rozłożył karteczki na stoliku. Na tej od szefa techników było: „Wybocz. Panboczek nie doł mnie Dziecka. Ja je niepotrzebno na tym Świecie. Wolf Mężu mój kochom Cie. Wybocz mnie.” Na tej, którą podała mu wdowa, było: „Wybocz. Ponboczek mnie opuścił. Ja jest niepotrzebny na tym Świecie. Żono mojo kochom Cie. Wybocz mnie.” Obie powstały w tej samej głowie, stwierdził.

Czyjej? Tego Jung się domyślał, ale nie chciał wkraczać w rolę policjanta. To powinien zrobić podkomisarz Tarniowy.

– Niestety, przeliczyłem swoje możliwości – powiedział, podnosząc się z fotela. – Jeżeli dowiem się czegoś więcej, na pewno przekażę pani. Myślę, że policja będzie szybsza ode mnie.

Po wyjściu przed dom zadzwonił nie do Tarniowego, lecz do prokuratora Wojtczaka.

– Powinien pan wznowić śledztwo. To, co się stało w Jakubinie, nie mogło być samobójstwem. To było zabójstwo. Domyślam się, kto zamordował wójta

Ficnerskiego.

– Kto?

– Ta sama osoba, która zamordowała Mirabellę Pohlhoffer.

– W oparciu o co ta informacja? Takie dziennikarskie widzimi się? Wolno panu, ale ja tego nie wezmę pod uwagę. Ja muszę mieć dowód. Więc w oparciu o co doszedł pan do tego wniosku?

– W oparciu o treść esemesów.

– Esemesów?

– Podpowiadam, żeby pan skontaktował się z prokuratorem Ostrouchym w Zielonejgórze i razem z nim przeanalizował ostatnie esemesy wysłane z komórek obojga denatów. O mnie proszę nie wspominać.

ZIELONA GÓRA, UL. WĄSKA, PONIEDZIAŁEK, WCZESNY WIECZÓR

Komisarz Syski rozłożył na biurku papiery dotyczące śmierci Mirabelli Pohlhoffer, które zgromadził Araszkiwicz. Mógł kazać Grodzkiemu lub Kleemannowi, aby któryś je przeanalizował, ale wtedy pewnie by usłyszał, że skoro mądrała Aracha zaczął, niech mądrała skończy. Niewątpliwie to samo powiedziałyby Ilona Mrozińska albo by się zasłoniła czymś bardzo pilnym, co miała zrobić na wczoraj. Poza Nataszą, ale to żona Arachy, od powrotu ze szkolenia w Legionowie nikt nie chciał być jego partnerem w trakcie służby. Na razie Syski przykleił go do Artura Bojki, a to tylko dlatego, że biurka obu policjantów stoją w tym samym pokoju.

– Najlepiej byłoby, Aracha, gdyby cię awansowano do komendy wojewódzkiej – powiedział komisarz sam do siebie. – Ty byłbyś wniebowzięty i my wreszcie w różowych humorach. Tylko, dlatego nasze marzenie jest nierealne, takich gnid jak ty, Aracha, oni tam mają więcej niż komendant włosów na głowie.

Syski pamiętał, co doktor Kamińska napisała w protokole po sekcji zwłok Mirabelli Pohlhoffer, dlatego analizę wydruków zaczął od dokumentu z nagłówkiem laboratorium szpitala uniwersyteckiego. Kierowniczka placówki podpisała się pod danymi z badania płynów ustrojowych pobranych ze zwłok denatki. Komisarza interesowało to, czy stwierdzono w nich środek uspokajający, nasenny albo inny preparat o podobnym charakterze. Poza

alkoholem etylowym nie wykryto niczego, co można uznać za specyfik farmaceutyczny. A więc przed snem Mirabella nie połknęła tabletki na szybkie zaśnięcie, stwierdził w myślach komisarz. Czyli, jeśli przyjąć, że to, co się wydarzyło w hotelu Grempler, było morderstwem, ofiara została uśpiona w inny sposób. Jak? Trochę wiedza, trochę doświadczenie podpowiadało komisarzowi, że przy pomocy eteru, chloroformu lub czegoś pokrewnego w postaci gazowej. Z kupieniem takiego środka nie ma problemu. Ktoś wszedł do pokoju, w którym spała Mirabella i rozpylił gaz albo najpierw zrobił to przez dziurkę od klucza lub przez szparę między drzwiami i podłogą, dedukował naczelnik wydziału kryminalnego. Musiał mieć maskę na twarzy, w przeciwnym razie zasnąłby razem z ofiarą. Ten ktoś był obeznany w anestezji. Lekarz więc? Ratownik medyczny? Farmaceuta? Chemik? Ćpun?

Syski także nie miał wątpliwości, że treść tego, co szef techników uznał za list pożegnalny wysłany z komórki Mirabelli Pohlhoffer do Wolfa, jest spowinowacana z esemesem, który nadszedł do Ficnerskiej. Gdyby nie spostrzeżenie Tarniowego, Syski zgodziłby się z wnioskiem Araszkiewicza, że Mirabella popełniła samobójstwo. Dlaczego to zrobiła, tego dotąd naczelnik wydziału nie miał ochoty wyjaśniać, tym bardziej że nikt z jej rodziny nie wniósł zastrzeżeń do śledztwa umorzonego przez prokuratora. Ale teraz, kiedy na biurku przed nim leżą wydruki obu esemesów, sprawa nabrała nowego znaczenia. Syski powątpiewał, czy na pewno Mirabella Pohlhoffer odebrała sobie życie. Tarniowy również wątpił, czy to, co przed północą wydarzyło się w domu Adama Ficnerskiego, było samobójstwem. Nawet prokurator Wojtczak już nie był taki pewny. Jedyne Ostrouchy uparcie trzymał się wcześniejszej wersji, z czego cieszył się Araszkiewicz.

A jaką drogą treść listu Mirabelli Pohlhoffer dostała się do Tarniowego? Wtedy, kiedy podkomisarz przyjechał na Wąską, Syski na pewno nie napomknął o esemesie. Pewnie to zrobił Daniel Jung? Ten chłop, mimo że od dawna nie nosi policyjnego munduru, nawet jako reporter nie potrafi nie być śledczym. To dobrze, bo dzięki niemu jeszcze jest co czytać w „Zielonogórskiej”. W styczniu Daniel wyjedzie do Kopenhagi. Kto go zastąpi? Kamil czy Albańczyk? Wolałbym, żeby Feim Vlashi był jego następcą. A czym Daniel zajmie się w Danii? On nie może nic nie robić. Bez pracy zajmującej czas zdziwaczeje. Zarazi się chorobą psychiczną. Gdybym ja był w jego skórze, wziąłbym się za pisanie powieści

kryminalnych. Jeszcze lepiej fantastyczno-naukowych. Nie znam nikogo, kto pewniej niż Daniel porusza się po literaturze należącej do tego gatunku.

Druga kartka, która wcześniej zwróciła uwagę Syskiego, nie była wydrukiem z nagłówkiem. Pismem ręcznym szef techników wyjaśniał, że cztery razy próbował dostać się do naczelnika wydziału, ostatni raz po południu, i cztery razy sekretarka stawiała mu na drodze. Ponieważ nie może przekazać wiadomości osobiście, dlatego napisał ten list i zostawił go w dyżurce. Po pierwsze, w niedzielę po północy telefon Wolfganga Pohlhoffera logował się po polskiej stronie. Chodzi o esemes wysłany z komórki Mirabelli do Wolfa. Pohlhoffer odebrał go o trzeciej osiem. Po drugie, jeśli poważnie potraktować wniosek, że Mirabella została zamordowana, chociaż brakuje dowodów, to sprawca mógł namierzyć jej komórkę przy użyciu lokalizatora Ikol X. Ta aplikacja pozwala na monitorowanie każdego urządzenia mobilnego z systemem operacyjnym Android. Większość używanych obecnie telefonów komórkowych jest wyposażona w ten system. Gdyby było trzeba, szef techników pokaże komisarzowi dokumenty poświadczające to, co własnoręcznie napisał. Zrobi to jednak nie wcześniej aż dopiero w przyszły poniedziałek po powrocie ze szkolenia w Legionowie. Na miejscu Syskiego zatrzymałby Wolfganga Pohlhoffera i natychmiast go przesłuchał. Ten mężczyzna może być mordercą lub mieć coś wspólnego ze śmiercią Mirabelli.

Akurat w tym momencie odezwał się telefon na biurku naczelnika wydziału. Niechętnie podniósł słuchawkę. Zrobił to jedynie dlatego, że czasem zastępca komendanta sprawdzał, czy jeszcze jest w budynku komendy. Zastępca nigdy nie dzwonił do żadnego policjanta na komórkę.

– Dyżurka, panie naczelniku. Chłopaki przytargali gościa z Jakubina. Tego, co pan... Kazałem dać go na dołek. Posiedzi, to zmięknie.

– Od razu na sieczkarnię – Syski zmienił jego decyzję. – Zaraz tam przyjdę z komisarzem Grodzkim.

JAKUBIN, UL. GŁÓWNA, PONIEDZIAŁEK, WIECZÓR

– Tak sobie myślałam. – Do uszu Daniela Junga dotarł głos kobiety opartej o drzwi urzędu gminy. Stała tam, jakby na niego czekała.

Pewnie nie ma czym się dostać do Zielonej Góry, pomyślał. Ostatni autobus z Jakubina odjechał zaraz po południu. Wezmę ją, zdecydował. Gdy

podszedł bliżej i zaczął szukać kluczyka z pilotem w kieszeni kurtki, kobieta zrobiła krok w jego stronę. W świetle lampy zobaczył jej twarz. Nie była mu zupełnie obca. Zastanawiał się, gdzie już ją widział. Dopiero po chwili skupienia zdał sobie sprawę z tego, że to sekretarka w jakobińskim urzędzie gminy. Jeśli dobrze pamiętał, to nazywa się Urszula Wojtczak i jest siostrą prokuratora.

– Dopiero o tej porze wybiera się pani do Zielonej Góry? Narzeczony, co? Bo chyba na zakupy trochę późno? Do Focusa czy Estrady może by jeszcze pani zdążyła.

Urszula pokręciła głową.

– Ma pan interesujący samochód.

– Seat Ibiza. Automobil z ośmioletnią historią – rzucił ze śmiechem, pokazując ręką na litery hasła przedzierającego się przez pobrudzoną tylną szybę: „Niemiecka precyzja, hiszpański temperament”. – Za niecałe dwa miesiące wyjeżdżam na dłużej za granicę, więc Ibiza będzie do sprzedania. Poprzedni właściciel, a był nim stary leśnik, który nie dojadł i nie dospał, tyle czasu poświęcał ibizie, chciał, żeby trafiła w dobre ręce. Ja też chciałbym, żeby trafiła w dobre ręce. Interesuje panią moja oferta?

– Zainteresowała kogoś innego.

– Czyżby ten ktoś chciał ją kupić?

– Tego nie wiem.

– A ja myślałem, że do trzeciej jest pani sekretarką, po południu dilerką. – Jung znów się roześmiał i zaraz zamilkł. Tym razem nawet w jego uszach zabrzmiało to kąśliwie.

– Jestem tylko sekretarką, ale w nomenklaturze urzędowej moje stanowisko to referent do spraw administracyjnych, kancelaryjnych i personalnych.

– To skąd pani wie, że jest ktoś, kogo interesuje moja Ibiza?

– Widziałam przez okno.

– I zamiast wrócić do domu, czekała pani przed urzędem, żeby mi to powiedzieć? Nie wierzę.

– W poniedziałki pracuję dłużej. Wyjątkowo dziś zostałam jeszcze dłużej. W pewnym momencie stanęłam przy oknie, żeby wyprostować plecy. W tym miejscu – pokazała na prawy bok ibizy – stał Lukas Bielok. To asystent i kierowca pana Pohlhoffer'a. Pomyślałam, że spodobał mu się samochód,

dlatego mu się przypatrywał. On mnie nie widział, a ja widziałam, jak otwierał drzwi.

– Bez pilota to nie jest możliwe.

– Jednak otworzył.

– Po co miałby to robić?

– Tego nie wiem. Powiedziałam, co podpatrzyłam. Do widzenia, panie redaktorze.

Jung chciał zapytać, czy podwieźć ją do domu. Już otworzył usta, ale zrezygnował z tego, bo przecież Jakubin to nie Zielona Góra. Tu wszędzie blisko.

– Do widzenia – rzucił za nią i wsiadł do ibizy. Spojrzał na fotel pasażera, na dywaniki, zajrzał do schowka, ale nie dostrzegł śladu włamania. – Coś się przewidziało pani sekretarce – powiedział sam do siebie.

ZIELONA GÓRA, UL. WĄSKA, PONIEDZIAŁEK, WIECZÓR

Naczelnik wydziału kryminalnego komisarz Syski nie obawiał się Wolfganga Pohlhoffera, jednak czuł przed nim respekt. Przesłuchiwał byłego posła i wicemarszałka, profesorów uniwersytetu, lekarzy, radnych, właścicieli fabryczek, prezesów klubów sportowych. Nawet zadawał pytania niedoszłemu wojewodzie. Każdego traktował tak, jak nakazywały aktualnie obowiązujące procedury i przepisy. Nigdy nie maglował mężczyzny, który, jak dowiedział się od Daniela Junga, pomimo tego że jest ewangelikiem, ma większy posłuch w gminie niż wójt i katolicki proboszcz. Pan na Jakubinie. Dlatego komisarz miał zamiar na razie tylko porozmawiać z Pohlhofferem, a dopiero później przesłuchać go formalnie, lecz Grodzki poradził mu, żeby nie stosował taryfy ulgowej. Nie wiadomo, kogo pan na Jakubinie zna w komendzie głównej i czy się nie poskarży albo nie pochwali, że oszwabił policyjnego detektywa. Choćby w tym było tyle prawdy, co kot napłakał, góra jemu uwierzy. Do każdego, kto znajdzie się w pokoju przesłuchań, trzeba podchodzić tak, jak do podejrzanego o popełnienie największego przestępstwa karalnego. Wolfgang Pohlhoffer to nie jest szary człowiek. Niemiec, który w krótkim czasie zdobył zaufanie mieszkańców gminy i urzędników powiatowych, nawet tak zręcznego śledczego, jakim bez wątpienia jest komisarz Syski, może wystrychnąć na dudka.

Naczelnik położył przed sobą standardowy formularz, włączył dyktafon, przedstawił się i oznajmił, że w przesłuchaniu uczestniczy podkomisarz Grodzki. Patrząc na Pohlhoffera siedzącego przed nim z rękoma splecionymi na piersiach, komisarz wyjął komórkę z kieszeni, przed jej wyłączeniem sprawdził stan baterii, mrugnął do Grodzkiego, jakby go pytał, czy jest gotowy zadawać pytania, i dopiero wtedy odklepał formułkę z prawami, jakie przysługują przesłuchiwanemu. Po czym zamilkł i kiedy odchrząknął, żeby zapytać Pohlhoffera, czy wszystko zrozumiał, usłyszał:

– Bez udziału tłumacza przysięgłego nie będę odpowiadać.

W pizdę jeża, zaklął w myślach Syski. Dlaczego tego nie przewidziałem? Ledwie zacząłem i już dupa Jasiu. O nie, panie Pohlhoffer. Nie będzie srania po agresji, postanowił, zerkając na Grodzkiego, jakby prosił go o wsparcie.

– A do czego jest potrzebny tłumacz, skoro w zeszłym tygodniu podczas uroczystości u wojewody odebrał pan dokument poświadczający przyznanie polskiego obywatelstwa? Wnosząc o nie, przedstawił pan certyfikat potwierdzający znajomość języka polskiego na poziomie co najmniej komunikatywnym – powiedział podkomisarz Grodzki, chociaż akurat tego nie był pewny. – Nie tylko to. W trakcie rozmowy z dziennikarzem „Gazety Zielonogórskiej” tuż po piątkowej uroczystości pochwalił się pan znajomością historii Polski, a nawet zanucił pierwszą zwrotkę naszego hymnu narodowego.

Syski codziennie zaglądał do regionalnych gazet, ale tę informację przegapił.

– Bez adwokata nie odpowiem na żadne pytanie – postawił się Pohlhoffer.

– Takie mam prawo.

– Oczywiście, panie doktorze. Jako obywatel Rzeczypospolitej Polskiej ma pan takie prawo. Proszę zatem wezwać swojego adwokata albo podać numer jego telefonu, to ja czy komisarz Grodzki zaraz do niego zadzwoni.

Pohlhoffer zacisnął dłonie, aż paznokcie wbiły mu się w skórę.

– Jest późno i...

– Adwokaci to ludzie wolnego zawodu. Mają nienormowany czas pracy. – Syski nie pozwolił mu dokończyć zdania. Już zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli nadal będzie czuł respekt przed Pohlhofferem, to przegra. Musi być jeszcze bardziej twardy niż Grodzki.

– Moja pani mecenas ma kancelarię w Cottbus.

– W Chociebużu – Grodzki natychmiast poprawił Pohlhoffera. Denerwowali go ci, którzy Londyn nazywali Londonem, Nowy Jork –

Niujorkiem, Sprewę – Szprewą, mieszkańca Moskwy – moskwiczem. – Na wiele miejscowości za granicą mamy polskie, także przyjemne dla ucha nazwy. Jest pan w polskiej komendzie policji, ma pan polskie obywatelstwo, proszę zatem odpowiadać po polsku.

– Przepraszam – bąknął Pohlhoffer.

– I?

– O tej porze jej kancelaria w Chociebużu jest zamknięta.

– To może oznaczać, że pani mecenas nie ma prawa do wykonywania swego zawodu w naszym kraju. Czy została wpisana na listę adwokatów w Polsce?

Pohlhoffer wetknął dłonie między kolana i się przygarbił. Traci pewność siebie, ucieszył się Syski. Jeszcze trochę i będzie miękki jak plastelina.

– Jak się nazywa ta pana adwokatka? – zapytał komisarz.

– Mecenas Moltenthin.

– A jej imię?

Tego Pohlhoffer nie wiedział. Zresztą gdyby nawet wiedział, to usłyszałby od Syskiego, że często bywa w sądzie i na co dzień ma do czynienia z adwokatami, ale osoby o takim nazwisku nigdy nie spotkał.

– Bez adwokata nie odpowiem na żadne pytanie – powtórzył Pohlhoffer, odwracając głowę w stronę Grodzkiego, który stał przy oknie.

Syski znieruchomiał. Jeśli Pohlhoffer się uprze, dziś nic z przesłuchania, pomyślał.

– Możemy poczekać, aż znajdzie się adwokat, który jest na liście i zechce towarzyszyć panu w trakcie rozmowy. Możemy czekać nawet do środy. Na tyle pozwala prawo. Oczywiście czas oczekiwania na adwokata spędzi pan u nas. Ci lepiej zorientowani w żargonie policyjnym wiedzą, że to miejsce bywa nazywane dołkiem, panie Pohlhoffer. Nieprzemakalny materac i koc damy. Trzy posiłki dziennie panu zapewnimy. Nie będzie to nic kosztownego, ale z głodu pan nie padnie.

– Zatrzymanie mnie nawet na jedną dobę nie jest możliwe. Jutro rano muszę być w Jakubinie. O dziewiątej trzydzieści mam zaplanowaną telekonferencję biznesową. Chodzi o kontrakt sporej wartości na dostawę mebli ogrodowych do marketów w Norwegii i Szwecji. Po południu mam umówione spotkanie z doktorem Czarnolisem od zabytków w sprawie renowacji pałacu w Jakubinie.

– Wróci pan do Jakubina jeszcze dziś, jeżeli odpowie na nasze pytania – zapewnił go Syski. Po krótkim namyśle dodał, jakby się zreflektował, że nie powiedział całej prawdy: – Jeżeli nie będzie powodu do zatrzymania pana na dłużej.

– Jednak wolałbym... – zaczął Pohlhoffer i urwał, kiedy usłyszał kroki za sobą.

Z rękoma założonymi do tyłu Grodzki stanął z boku i nie odzywając się, wzrokiem pokazał na dyktafon. Dlaczego, tego nawet Syski się nie domyślił. Dopiero po chwili zapytał Pohlhoffera:

– Czy pan posługuje się telefonem komórkowym?

– Teraz chyba każdy...

– Ilu telefonów komórkowych pan używa?

– Mam telefon do użytku służbowego. Jego utrzymanie w całości wliczam do kosztów firmy. Mam drugą komórkę, prywatną, za którą płacę z własnej kieszeni. To znaczy także płaci firma, ale ten wydatek co miesiąc odciąga od mojego wynagrodzenia. Rewident z kontroli skarbowej nie uznał takiego postępowania księgowości za naruszenie przepisów o finansach. Miałem trzeci telefon, na *prepaid*, ale od czasu, kiedy wydano nakaz rejestrowania kart, zrezygnowałem z niego – przyznał się Pohlhoffer.

– Świetnie pan mówi po polsku – pochwalił go Grodzki.

– Staram się być przyzwoitym obywatelem Rzeczypospolitej Polskiej.

– Pewnie i nieźle zna pan gwarę śląską.

– Moim pierwszym nauczycielem polskiego był Lukas Bielok. Gdy pan Żółtowski wyjaśnił mi, że Lukas posługuje się gwarą śląską, wynająłem prywatnego nauczyciela. Podać jego nazwisko? – Syski kiwnął głową. – Pan Ficnerski. Nie robił tego za darmo.

– A gdyby był pan na Rheinstadion⁵⁸ i oglądał mecz Niemcy-Polska, to...

– Komu bym kibicował? – zapytał Pohlhoffer i zaraz odpowiedział: – Rzecz jasna że Niemcom. Przecież z urodzenia jestem Niemcem. Polska to moja druga ojczyzna. Polska jest mi bardzo bliska, ale Niemcy są tu. – Wskazał palcem pierś po lewej stronie, a Grodzki i Syski domyślili się, że chodzi o serce. Oni też tak by się zachowali.

– Czyli ma pan przy sobie dwa telefony komórkowe. – Gdy Pohlhoffer kiwnął głową, Grodzki poprosił go, aby oba położył na stole. – Czy zachował pan wiadomość nadesłaną nad ranem poprzedniej niedzieli?

– Tak przypuszczałem. – Pohlhoffer się uśmiechnął. – Pokazać?

– To za chwilę. Gdzie ją pan odebrał? Gdzie pan przebywał wtedy, kiedy nadeszła ta wiadomość?

Trwało kilkanaście sekund, zanim Pohlhoffer odpowiedział głosem podszytym strachem, co obaj policjanci natychmiast wyczuli:

– W hotelu Lausitz w Cott... w Chociebużu.

– Natychmiast po nadejściu?

– Otrzymuję dużo krótkich wiadomości. Zazwyczaj na bieżąco nie zwracam sobie nimi głowy. Odczytuję je dopiero w wolnym czasie. Z treścią tego, o który pan zapytał, zapoznałem się w niedzielę koło południa.

– Jak pan zareagował?

Nieodpowiednie pytanie, Syski zganił Grodzkiego w myślach. Stary wyjadacz nie powinien zadawać takich pytań. Z góry wiadomo, co usłyszy.

Pohlhoffer znowu się przygarbił. Milczał, jakby się zastanawiał, co odpowiedzieć.

Grodzki zrobił kółko wokół stołu. Zatrzymał się obok zachmurzonego Syskiego.

– Szkoda czasu, Pohlhoffer – powiedział Grodzki. – Tej wiadomości nie odebrał pan w Chociebużu. Tę wiadomość odebrał pan po polskiej stronie o czwartej siedem. To wynika z billingu, który otrzymaliśmy od operatora sieci. Pana komórka logowała się wtedy czterdzieści sześć kilometrów od centrum Chociebuża, gdzie stoi hotel Lausitz, i sześćdziesiąt trzy kilometry od hotelu Grempler. Sześćdziesiąt trzy kilometry jest z Zielonej Góry do Trzebiela nad Nysą. Nie twierdzę, nie twierdzimy – Grodzki szybko się poprawił – że pan jest sprawcą morderstwa w hotelu Grempler, ale i nie zdejmujemy z pana tego zarzutu. Na razie. – Policjant zrobił kilka kroków wokół stołu. Ściszywszy głos, kontynuował: – Nawet mając arteona nie byłby pan w stanie dojechać z Zielonej Góry do Trzebiela w ciągu godziny, chociaż to tylko sześćdziesiąt trzy kilometry. Raczej kiepskie i wąskie drogi, sporo miejscowości. Pospieszną jazdą przez Nowogród zwróciłby pan uwagę policji... Któryś kierowca by... Może, panie Pohlhoffer, jesteśmy w błędzie? A może jednak... – zaczął Grodzki pytającym głosem i urwał. Z teczki leżącej przed Syskim wyjął niewielką kartkę. Położył ją na stole stroną zadrukowaną do dołu. Nie wyjaśniając, co się na niej znajduje, mówił dalej: – Nie sądzę, żeby prokurator potraktował przyznanie się do morderstwa jako okoliczność łagodzącą. Inaczej może to potraktować

sąd. Ale najpierw trzeba powiedzieć prawdę, panie Pohlhoffer. Czyj to był pomysł?

– Nie rozumiem.

– Podkomisarz Grodzki zapytał, czyj to był pomysł – do rozmowy włączył się Syski.

– Nie rozumiem – powtórzył Pohlhoffer.

– Pytam o zgon pańskiej małżonki, Mirabelli Pohlhoffer, w hotelu Grempler, co stało się nad ranem poprzedniej niedzieli. W czasie, kiedy pan powinien przebywać w hotelu Lausitz w Chociebużu, a znajdował się po polskiej stronie, gdzie odebrał wiadomość, co potwierdził operator sieci telefonii komórkowej.

– Nie zamordowałem Mirabelli.

– Samobójstwo zostało odrzucone przez biegłego sądowego patologa. Zgon naturalny również. Zostało jedynie zabójstwo. Mógł być przypadek, ale i to zostało wykluczone. Pan twierdzi, że nie zamordował swojej żony – odezwał się Syski takim tonem, jakby mu wierzył. – Jeżeli więc nie pan, to kto przeciął jej naczynia krwionośne wzdłuż obu rąk, co doprowadziło do wykrwawienia i w rezultacie do zgonu?

Pohlhoffer nie odpowiedział. Jak poprzednio się przygarbił i wlepił wzrok w stół, a właściwie w kartkę, która na nim leżała.

– Jest pan ciekawy, co się znajduje na wydruku? – zapytał Syski. – Mogę ją odwrócić, nawet zaraz, ale wtedy... Najpierw kilka pytań. Odpowie pan i odwrócę kartkę. Kim pan jest z wykształcenia?

– Skończyłem medycynę na Uniwersytecie Heinricha Heinego w Düsseldorfie. Mam dyplom lekarski.

– Gdzie pan pracował po studiach?

– W szpitalu uniwersyteckim w Düsseldorfie.

– Jako kto?

– Najpierw odbyłem obowiązkowy staż. Potem zdałem egzamin i rozpocząłem specjalizację chirurgiczną. Przerwałem ją i zapisałem się na studia doktoranckie, zakończone stopniem doktora nauk medycznych, specjalisty w zakresie chirurgii plastycznej i medycyny estetycznej.

– Osiągnąwszy tyle, zajął się pan biznesem niezwiązanym z medycyną. Dlaczego?

– Przypadek.

– Nie rozumiem – przyznał się Syski. – Proszę to wyjaśnić.

- Ożeniłem się. Teść...
- Mówi pan o ojcu swojej pierwszej żony Birgit, z domu Geisel. – Grodzki nie powiedział, skąd to wie.
- Ojciec Birgit zmarł nagle.
- Czy zmarł śmiercią naturalną? – zapytał naczelnik wydziału, chociaż wiedział od Junga, jak to się stało.
- Lekarze podejrzewali u niego chorobę dwubiegunową. Teść odebrał sobie życie.
- W jaki sposób?
- Wykrwawił się.
- Wykrwawił się? Jak to możliwe? – Syski udawał zaskoczonego.
- Podciął sobie żyły.
- Gdzie? Pytam nie o miejsce, gdzie to się wydarzyło, lecz o część ciała.
- U obu rąk.
- Wzdłuż obu rąk? Identycznie jak to się stało z pana małżonką?
- Policja kryminalna z Solingen prowadziła śledztwo. Mnie nie uznała za winnego.

– A kogo uznała za winnego? – zapytał Grodzki, podchodząc do Pohlhoffera, jakby się obawiał, że przesłuchiwany mężczyzna coś sobie zrobi. Nie wiedział, czy policjanci, którzy przywieźli go z Jakubina, przeszukali jego kieszenie. Teraz na rewizję osobistą było za późno. – Pierwszy teść odebrał sobie życie, jak pan powiedział, co również potwierdziła niemiecka policja kryminalna. Do tamtej sprawy nie mamy zamiaru wracać, chociaż, kto wie, czy na pewno. Jeżeli coś będzie budziło nasze wątpliwości, to za pośrednictwem BKA⁵⁹ zwrócimy się do policji w Solingen o dokumenty. Druga pana żona, Pohlhoffer, sama nie odebrała sobie życia. To, co się wydarzyło w hotelu Grempler, było zabójstwem. Ktoś przeciął żyły Mirabelli Pohlhoffer. Przeciął identycznym narzędziem jak tamto, którym zostały przecięte żyły pierwszego pana teścia. Pan twierdzi, że tamto samobójstwo spowodowała choroba dwubiegunowa. Obecnie nie da się tego udowodnić, ale i nie można odrzucić. Pana druga żona nie cierpiała z powodu choroby dwubiegunowej. Mirabella Pohlhoffer zmarła z powodu wykrwawienia. Chcielibyśmy się dowiedzieć, kto doprowadził ją do śmierci?

Pohlhoffer nie był roslym mężczyzną, ale teraz wyglądał jak krasnal z mitologii Tolkiena. Nawet dotąd wyželowana fryzura się rozpadła. Czoło miał zroszone. Usta spierzchnięte.

- Nie ja – bąknął.
- Czy osoba, która zainstalowała lokalizator Ikol w komórce pana małżonki, zrobiła to dlatego, żeby ją śledzić? – zapytał Syski, już grając pierwsze skrzypce. Grodzki wycofał się pod okno.
- Ja nie zamordowałem Mirabelli.
- Ale pan wie kto.
- Ja nie.
- Dość tej zabawy, Pohlhoffer. Kto?
- Ja nie.
- Kto?!
- Domagam się adwokata.
- Ukrywanie sprawcy morderstwa wcale panu nie pomoże. Według polskiego prawa...
- Bielok – powiedział Pohlhoffer ledwie słyszalnym półgłosem i skulił się jeszcze bardziej.
- Kim jest Bielok?
- Pracuje ze mną.
- Jako kto?
- Kierowca, asystent, doradza mi.
- Co jeszcze łączy pana, Pohlhoffer, z Bielokiem? – Boże, nie pozwól, żeby Daniel wyjechał do Kopenhagi. Gdyby nie on, nie wiedziałbym połowy tego, co wiem, pomyślał Syski. Po jego wyjeździe stracę nie tylko przyjaciela, ale i będę musiał przejść na emeryturę.
- Pohlhoffer przełknął ślinę. Jego półgłos zamienił się w ledwie słyszalny szept.
- Po co te pytania? Przecież policja wszystko wie.
- Czy wtedy, w Solingen, Bielok zamordował pana teścia? – zapytał komisarz.
- Pohlhoffer nie zaprzeczył.
- Bielok również ma na sumieniu wójta Jakubina?
- Pohlhoffer kiwnął głową.

ZIELONA GÓRA, UL. WAZÓW, WTOREK,
PRZEDPOŁUDNIE

Po zapachu Daniel Jung czuł, że nie jest w swoim mieszkaniu na osiedlu Słonecznym. Na pewno leży w łóżku, przykryty czymś lekkim i świeżym, ale to nie jest jego kołdra. Gdzie się znajduje, tego nie wiedział. Bał się otworzyć oczy. Dopiero gdy spróbował poruszyć palcami lewej dłoni, coś zaczęło mu kołatać w głowie. Na pewno wsiadł do ibizy na parkingu przed Urzędem Gminy w Jakubinie, wsadził kluczyk do stacyjki i przekręcił nim w prawo. Silnik natychmiast zaskoczył. Włączył światła mijania. Wdusił klawisz radia. Lewą nogą mocno naparł na sprzęgło. Prawą ręką wcisnął dźwignię biegów i przesunął ją do przodu. Lekko dotknął pedału gazu. Samochód wycofał się z parkingu na ulicę. Jeszcze raz Daniel naparł na sprzęgło, wcisnął dźwignię biegów, przesunął ją w prawo i do przodu. Ruszył w stronę tunelu lasu. Robił to tyle razy, że nie mógł się pomylić. Aha, zanim przekręcił kluczyk w stacyjce, spojrzął na fotel pasażera, na dywaniki z przodu i z tyłu, zajrzał do schowka. Nic nie zatrzymało jego wzroku. Urszula Wojtczak powiedziała, że widziała przez okno, jak Bielok otwierał drzwi ibizy. Pewnie tak się jej wydawało. A może tym chciała zwrócić na siebie uwagę? Dlaczego? Zresztą bez pilota Bielok nie mógł dostać się do samochodu, a pilot i kluczyk Daniel miał w torbie, z którą był u Ficnerskiej. Coś się sekretarce przewidziało. Dopiero w lesie za Nowogrodem, gdy wyjechał z drogi wojewódzkiej na zatłoczoną „krajówkę”, usłyszał ni to przytłumiony wystrzał, ni puknięcie. Jakby coś pękło i zasyczało. Zdjął nogę ze stopki gazu, zerknął na dywanik przed fotelem pasażera, bo wydawało mu się, że stamtąd pochodził pogłos. Niczego nie dostrzegł. Pociągnął nosem. Czuł ten sam zapach cedru, którego przezroczysty pojemniczek koczował od dawna na kokpicie poniżej radia. Nikomu się nie pochwalił, że to prezent od Magdy. Swoją drogą, co teraz miałyby pęknąć? Latem mogła się nagrzać plastikowa butelka z resztką wody i gaz ją rozsadził. Jesienią Daniel nie woził wody w samochodzie, chociaż powinien mieć coś na wszelki wypadek. Pomyślał wtedy, że cały dzień na nogach, jest zmęczony, wprawdzie Ficnerska poczęstowała go mocną herbatą i ciastkami, ale przecież to nie to samo co obiadek w redakcyjnej garkuchni. Pewnie się przesłyszał.

– Co z nim? O, już po operacji. Udała się? Na pewno. A ty tak całą noc? Idź do domu. Prześpij się. Zostanę przy nim. – Daniel usłyszał przyciszony głos spod okna.

– Chwała Bogu, że wystrzeliła poduszka. Gdyby nie to... Ibiza nadaje się tylko na złom. Co tam Ibiza. Najważniejszy jest Daniel.

– Obrażenia?

– *Fractura obliqua*⁶⁰. To znaczy ma złamaną kość promieniową lewej ręki. Poważne uszkodzenie, ale z tego wychodzi się po sześciu tygodniach. Poważniejsze jest złamanie kości piszczelowej prawej nogi. *Fractura complicata*⁶¹, jak mówią ortopedzi. Z kilkoma przemieszczeniami. A jeszcze poważniejsze jest to, że więzadło boczne zostało rozerwane. Młody mężczyzna, jeśli nie wystąpią jakieś powikłania, potrzebuje co najmniej trzech miesięcy na dojście do jako takiej sprawności.

– Najważniejsze, że narządy wewnętrzne nie zostały uszkodzone.

– Poduszki go uratowały, mimo to jest potłuczony i posiniaczony. Twarz jak u zakapiora po ustawce. Do tego wstrząśnienie mózgu. Wprawdzie lekkie, ale może odczuwać zawroty głowy – powiedziała kobieta.

Daniel nie był pewny, czy to głos Miśki. Gdyby nie szumiało mu w głowie, nie miałby wątpliwości. Chyba jednak żona. Gdzie jestem? Aha, w szpitalu, domyślił, gdy znowu pociągnął nosem.

– Ktoś zadzwonił na sto dwanaście. – Poznał głos Jacka Syskiego. Pomyślał, że jeśli teraz otworzy oczy i się odezwie, nie dowie się, dlaczego jest w szpitalu. – A potem było tak, jak jest zawsze przy wypadkach komunikacyjnych.

– Sprawdziłeś, dlaczego do tego doszło? Przecież Daniel to nie rajdowiec i nigdy nie jeździ jak wariat. Nawet kiedy trzeba się pospieszyć, nie przygazuje.

– Jesień, liście na jezdni, do tego wilgoć i wieczór. Łuk. Ktoś musiał go oślepić długimi światłami. Mało to takich idiotów?

– E...

– Cholera, tyle razy w tym miejscu samochody wypadły z jezdni i mimo tego drogowcy zachowują się tak, jakby tam nigdy nic się nie stało. Jedyne, co zrobili, to ustawili znak ograniczający prędkość. Niewiele to dało. Tam trzeba poszerzyć jezdnię albo wyprostować drogę.

– E, wszystko się sypie.

– Przed wieczorem Daniel zadzwonił do mnie z Jakubina. Powiedział, że rozmawiał z żoną zmarłego wójta. Prawdę mówiąc, to jestem mu wdzięczny za informację. Zrobił to, czego nie zrobiła miejscowa policja.

– Nie pierwszy raz.

– Daniel nie przestał być policjantem. On tylko nie nosi munduru. Różni się ode mnie tym, że jemu mniej wolno. Powinien wrócić do komendy.

– Chyba się budzi – powiedziała Miśka i zrobiła kilka kroków w stronę łóżka.

– Czy jestem w szpitalu? – zapytał Daniel, jakby chciał się upewnić.

– Jak się czujesz? Boli? Po czymś takim... – Syski nie skończył.

– Jesteś w szpitalu. Już na ortopedii. Wcześniej byłeś na ratunkowym. Wczoraj wieczorem miałeś wypadek.

Tego się domyślił. Nie wiedział jednak, jak to się stało. Przecież nie jechał za szybko. I nie zahamował nagle. Nawet na polnej drodze zawsze starał się przestrzegać przepisów, a między Nowogrodem i Zieloną Górą jeździł z oczami szeroko otwartymi, chociaż większość kierowców nie zważała na znaki ograniczające prędkość. Byli tacy, którzy trąbili na niego, jakby uważali ibizę za zawalidrogę.

– Wyjdiesz z tego – pocieszył go Syski.

– Dziękuję za dobre słowo.

– Co pamiętasz?

– Nic.

– Coś jednak...

– Siedziałem za kierownicą. Grało radio. Było mi trochę smutno, bo to jedna z moich ostatnich spraw reporterskich. W Kopenhadze...

– Kopenhagę na razie trzeba odłożyć – przerwała mu Miśka. – Co będzie dalej, zastanowimy się, ale nie teraz i nie tu.

– Czyżbyś zrezygnowała z wyjazdu? – zapytał policjant.

– Powiedziałam, że się zastanowimy. Teraz ważniejsze jest jego zdrowie. – Miśka położyła swoją dłoń na gipsowym panczerzu, w którym tkwiła lewa ręka Daniela. Pytającymi oczami pokazała na prawą nogę, od palców aż po pachwinę oplecioną bandażem i wciśniętą w gipsowy pancierz.

Daniel lekko się uśmiechnął. Nie pojedzie do Kopenhagi. Zostanie w Zielonej Górze i będzie zajmował się tym, czym dotąd się trudnił. Hura! Tego najbardziej pragnął. Szczęście w nieszczęściu, pomyślał i znowu lekko się uśmiechnął.

– Czułeś coś w czasie jazdy? Może jakiś zapach? Gaz? Spaliny? Może zrobiło ci się słabo? Albo zakręciło ci się w głowie i wtedy...?

– Nic z tych rzeczy.

– Nigdy wcześniej?

– Przecież wiesz, oboje wiecie, że dwa razy w roku staję przed komisją lotniczo-lekarską. Ci, którzy mnie badali, to nie łapiduchy w białych kitlach. Gdyby było coś nie tak, odebraliby mi licencję motolotniarza.

ZIELONA GÓRA, UL. WĄSKA, WTOREK, WCZESNE POPOŁUDNIE

– Pod twoją nieobecność rozmawiałem z szefem naszej „drogówki” – powiedział Grodzki, kiedy Syski wrócił ze szpitala do komendy. – Chodzi o wczorajszy wypadek Junga.

– Mam do niego zadzwonić, bo jest coś...? Daniel winny? Tak myślałem.

Grodzki spojrział na naczelnika wzrokiem, w którym szacunek mieszał się z poufałością, po czym uśmiechnął się pod nosem.

– Powtórzę ci to, co mi powiedział. Czy jest to ważne, sam ocenisz. Po mojemu, warte uwagi. Może mieć fundamentalny związek z Jakubinem. Czy na pewno? Raczej tak. Jaki? Trzeba nad tym jeszcze popracować. Robota w sam raz dla Arachy. Spieprzy, będziesz miał podstawę, żeby się go pozbyć.

Syski westchnął, po czym machnął ręką, jakby nie to teraz było najważniejsze.

– Aracha jest młody. Musi się uczyć. Przy tobie, przy mnie, przy Ilonie – powiedział, stając w obronie podkomisarza.

Grodzki skrzywił usta. Było widać, że nie zgadza się z naczelnikiem.

– Przechodząc do Pohlhoffera, nie wierzę, żeby zrobił to osobiście. Ale i nie dałbym posiekać się na kawałki, że nie maczał w tym palców. Kiedy weźmiemy się za Bieloka, to wtedy...

– Miałeś załatwić tłumaczkę. Dzwoniłeś do Cecylii? Bez niej...

Grodzki podniósł obie dłonie w obronnym geście.

– Błagam, Jacek, nie zadawaj mi takich pytań. Nie jestem Arachą, żebyś musiał mnie sprawdzać.

– Zapal sobie i do rzeczy.

– Palenie w budynku komendy zakazane, o czym jako już niepalący nie musisz wiedzieć, ale jako naczelnik powinienes.

– W moim pokoju dozwolone. Póki co, dzięki bogu i komendzie głównej, nie stać nas na czujki w każdym pomieszczeniu. Wyobraź sobie, co by się działo, gdyby czujki były nawet w kiblach. Zakazy są po to, żeby je łamać.

Akurat z tym Grodzki się zgadzał. Komendantka wydała zakaz palenia, a kto wejdzie do jej gabinetu, zobaczy popielniczkę pełną petów.

– Jest problem.

– Nie masz ćmików przy sobie? To i lepiej. Będziesz dłużej żył.

– Ja umrę z powodu nowotworu płuc, a ty z powodu nowotworu jelita grubego – roześmiał się Grodzki. – Wracając do pani Cecylii. Ona dziś nie może przyjechać do komendy. Teraz ma lekcje w ośrodku przy Wojska Polskiego. Potem jedzie na dużo wcześniej uzgodnione konsultacje u głuchoniemych w Krośnie. Dopiero jutro między ósmą a dziesiątą będzie miała wolną godzinkę.

Syski zerknął na zegarek. Spieszyło mu się. Jeszcze musi załatwić kilka pilnych spraw. Gdyby nie chodziło o Daniela, tak bardzo nie interesowałby się wypadkiem koło Nowogrodu.

– Za Bieloka weźmiemy się jutro. Chyba że znajdziesz inną tłumaczkę.

– Poczekajmy do jutra. Z Bieloka żaden orzeł. Jak już jest w naszej klatce, to na pewno nie wyfrunie – skwitował Grodzki.

– A czego ciekawego dowiedziałeś się od szefa „drogówki”? Przedmowę pomień.

– Akurat w tym czasie, kiedy to się stało, „ruchacze” wracali z Nowogrodu. Na miejscu zdarzenia byli pierwsi. Dobre dziesięć minut za nimi przygnała karetka. Zaraz za nią straż. Ibizka zakleszczyła się między sosnami. Strażacy rozkawałkowali blachy. Przy pomocy ratowników wyciągnęli Daniela. Był przytomny. Do karetki i hajda na Wazów. „Ruchaczom” coś nie pasowało, to przekręcili do swojego szefa. Ten do szefa techników. Szef techników posłał tam swoich chłopaków. I dobrze, bo... Zgadnij, co znaleźli pod fotelem pasażera w ibizce Daniela.

– Przychrzaniasz się do Arachy za jego pociągnięcia, a ze mną bawisz się w ciuciubabkę.

– Technicy znaleźli coś takiego, co kubek w kubek przypomina dezodorant w sprayu. Bez naklejki. Było puste. Ale jak zaczęli to oglądać, doszli do wniosku, że niedawno zostało otwarte. To pierwsze. Drugie, ważniejsze. Sprawdzili ślady na puszcze.

– Jeszcze w lesie?

– W laboratorium. Na puszcze nie było odcisków palców Daniela.

– A czyje?

– Tego nie ustalili. Ktoś więc mu ją podrzucił. Może nie pustą puszkę, bo po co? A może puszka była pełna i się rozszczelniła? Kiedy, dlaczego, itede, musowo to przebadać. Na jej wieku był dykiel.

– Dykiel?

– Fachowo to się nazywa dozownik. Aplikator. W jaki sposób ten dykiel został otwarty, to też musowo przebadać. Sam się nie otworzył, chociaż... Coś mi podpowiada, że ma to związek z Jakubinem.

– Jakieś znaki na tej puszcze?

– Golusieńka jak odaliski z haremu w łaźni tureckiej. Widziałem taki obraz w Luwrze.

Syski podniósł obie dłonie, co oznaczało, że nie o sztuce ma chęć teraz rozmawiać. Zresztą w przeciwieństwie do Grodzkiego malarstwo niewiele go interesowało. Kiedy piętnaście lat temu pierwszy raz wszedł do gabinetu naczelnika wydziału kryminalnego, na ścianie na wprost biurka wisiały dwie reprodukcje. Gdyby teraz ktokolwiek zapytał go o tytuły i nazwiska malarzy, wzruszyłby ramionami.

– Ciekawe.

– To dzieło Ingesa w Luwrze? – zapytał Grodzki, gotów wyjaśnić Syskiemu, że obraz przedstawia postacie w wcześniejszych obrazów.

– Czyś ty...?

– A, puszka?

– Weź Arachę i obejrzyjcie ibizkę.

– Uważasz...?

– Weź Arachę i obejrzyjcie ibizę – powtórzył naczelnik.

– Mogło być tak, że Jung na coś trafił. I ktoś zaczął robić w portki ze strachu. Kto? Dlaczego? Trzeba pogadać z Jungiem. A jak z nim? Kiedy wyjdzie?

– Myślałem, że nie zapytasz.

Grodzki przełknął ślinę. Zawstydzony powiedział:

– Gdyby było naprawdę źle, od tego byś zaczął.

– Jest nadzieja, że za kilka tygodni dojdzie do siebie.

– To z Kopenhagi nici?

– Wczoraj Daniel pojechał do Jakubina. Miał rozmawiać z wdową po wójcie. Nie radziłem mu. Za wcześnie. Za jakiś czas, gdy ochłonie, zgoda. Ale do niego możesz mówić, a on i tak, charakterniak, zrobi po swojemu.

Wieczorem zadzwonił do mnie Wojtczak, prokurator z Krosna. Powiedział o Danielu. Że skojarzył listy wysłane z telefonów Mirabelli i wójta.

– A co wspólnego ma z tym wdowa po wójcie?

– Daniel nie wiedział, jak dojechać do jej domu, dlatego ibizę zostawił pod urzędem gminy. Do wdowy poszedł na nogach. Ktoś to widział. Ten ktoś spodziewał się, że wdowa powie coś, co naprowadzi Daniela na ślad autora listów. I ten ktoś bardzo nie chciał, żeby Daniel...

– Dlatego włożył puszkę do ibizy – domyślił się Grodzki. – Kiedy, jak, skoro ibiza była zamknięta?

– I to również musowo wyjaśnić. Niech laboratorium zakończy badanie puszek. Jeśli był w niej gaz... usypiający, to...

– Niemal identyczna sytuacja była trzy, nie! cztery lata temu. A może to już więcej. Dokładnie w tym samym miejscu wypadek spowodowała pierwsza żona Pohlhoffera. Jechała nowiutką insignią.

– Dlaczego tego nie pamiętam?

– Bo pewnie wtedy byłeś na jakimś kursie w Legionowie. Tamto dobrze zapamiętałem, bo „drogówka” nas wezwała. Strażacy też musieli rozkawałkować blachy. Kobieta zginęła na miejscu. W uwagach na protokole z sekcji Trzcinka napisał, że była pod niewielkim wpływem. Alkohol mógł, ale nie powinien zakłócić koordynacji ruchowo-wzrokowej. Prokurator jednak sprawę umorzył. Dopiero teraz sobie myślę... – Grodzki zmrużył oczy. Po chwili milczenia mówił dalej: – Myślę, że tamta kobieta może i była pod niewielkim wpływem alkoholu, ale nie z tego powodu doszło do wypadku. Ona została obezwładniona bezwonnym gazem. Wtedy technicy znaleźli w samochodzie pustą puszkę. Też bez żadnych znaków. Tam, gdzie miejsce na zatyczkę, było coś jak dozownik.

– Podczas przesłuchania w Gremplerze Anna Maria powiedziała, że pierwsza żona Pohlhoffera zginęła w wypadku na drodze za Nowogrodem. Przejrzyj tamten protokół – nakazał Syski. – Daniel też mógł... Puszka. Gaz.

– Tego spróbujemy się dowiedzieć jutro.

– Kto? Jej brat? A może Bielok?

Grodzki westchnął, po czym powiedział:

– Pohlhoffer ma alibi nie do podważenia. I stać go na najlepszego adwokata.

ZIELONA GÓRA, UL. WĄSKA, ŚRODA, WCZESNY RANEK

Było tak, jak się zapowiadało.

Ci, którzy muszą dyżurować z wtorku na środę na „dołku”, nie mają nic przeciw takiej służbie. To nie to samo, co w nocy z piątku na sobotę i z soboty na niedzielę. Wtedy w izbie zatrzymań wszystkie cele są zajęte. W większych panuje tłok jak przed południem w Wigilię na dworcu Zielona Góra Główna. I wtedy dyżurny nie ma nawet czasu, żeby się wysikać. Radiowozy przywożą ubzdryngolonych, naćpanych, krzykliwych, rozbójników, nożowników, damskich bokserów, podpalaczy, złodziejasków, włamywaczy, prostytutki. Pomiedzy nimi są tacy, którzy nie patrzą dyżurnemu w oczy i kulą się ze wstydu oraz tacy, którzy chwalać się znajomością a to z posłem partii rządzącej, a to z żuźlowcem czy koszykarzem, a to z właścicielem którejś firmy, a to z komendantką lub jej zastępcą. Żeby tylko się chwalili, a oni jeszcze straszą i grożą. Z wtorku na środę także nie ma nudy na dołku, ale kto chociaż raz dyżurował w weekend, ten uważa tę noc za spokojną. Nad ranem, gdy jedna część zatrzymanych robi rachunek sumienia, druga głowi się, jak wyjść z aresztu z twarzą i bocznymi drzwiami, a trzecia ma to wszystko w dupie, dyżurny nawet może się zdrzemnąć.

Najpóźniej o szóstej policjant dyżurujący na „dołku” musi rozpocząć zaglądnienie do każdej celi i potem napisać kilka zdań w książce obchodu. Taka jest procedura.

Sierżant Rudiak przypomniał sobie, co mu powiedział Araszkiwicz, kiedy wczoraj wieczorem przywiózł dobrze ubranego, z trzydniowym zarostem, milczącego mężczyznę. Że to niemowa. Niemiec. Nazywa się Bielok Lukas. Jest podejrzany o co najmniej dwa morderstwa w Polsce i jedno w Niemczech. Tamto w Niemczech mogło się przedawnić. Araszkiwicz ostrzegł Rudiaka, żeby nie próbował rozmawiać z Bielokiem, bo bez pośredniczenia tłumaczki języka migowego niczego od niego się nie dowie. Tłumaczka, która zawsze jest na zawołanie policji, ma inne zajęcia i przyjdzie do komendy dopiero w środę o ósmej. Najlepiej wsadzić go do jedyńki. Zatrzymany, a przy tym również podejrzany, powinien opróżnić kieszenie, ale jak to powiedzieć Niemcowi? Dlatego Rudiak sam wyciągnął pasek z jego spodni, zdjął krawat, wyjął wszystko, co było w kieszeniach, obmacał Bieloka z przodu i z tyłu, nawet sprawdził podeszwy butów i zaprowadził go do celi na końcu korytarza, gdzie były dwie jedyńki, jak się śmiano, dla najlepszych gości.

Jeszcze chwilę Rudiak stał oparty o kratę. Nie mógł się zdecydować, czy najpierw wejść do celi i sprawdzić, co się stało, bo może to na posadźce nie jest krwią, czy zadzwonić do oficera dyżurnego komendy. Jeżeli sam wejdzie, będzie to wbrew procedurze. Trzeba się skontaktować z dyżurką. W nocy oficer dyżurny jest tak samo ważny jak komendantka.

Rudiak jednak wszedł do celi. Kurwa, krew! Skąd się wzięła krew?

Stanął nad mężczyzną. Mimo kiepskiego światła dostrzegł okrwawioną brzytwę w jego prawej ręce. Z lewej już nie ciekła krew.

– Ty chuju złamany! Coś narobił?! – ryknął Rudiak i wyskoczył z celi. Dobiegł do dyżurki, chwycił słuchawkę i skamieniał. Nie pamiętał numeru telefonu do pogotowia. Tyle razy tam dzwonił, a teraz miał pustkę w głowie. Po chwili odrętwienia przypomniał sobie numer sto dwanaście. Do tego, który się odezwał, jednym tchem wyrzucił kim jest, skąd i dlaczego dzwoni. – Ten chuj, co go Aracha wczoraj wieczorem przywiózł na „dołek”, chyba podciął sobie żyły! – zawołał do interkomu. Nie pytając, czy dyżurny komendy go słyszy, dodał, żeby natychmiast poinformował komendantkę, jej zastępcę i Syskiego. – Lecę do celi! Muszę coś zrobić!

Osiem minut później ratownicy ułożyli Bieloka na noszach i wynieśli z celi.

– Módl się, żeby przeżył – rzucił dyżurny komendy do Rudiaka. – Przeszukałeś kieszenie, jak przyjmowałeś go na „dołek”?

– Skurwysyn musiał gdzieś tę brzytwę schować.

– Pewnie miał pod jajami w nogawce spodni – powiedział dyżurny, jakby usprawiedliwiał Rudiaka. – A to co? Świeże? Widziałeś?

– „*Ich liebe Dich Wolf. Verzeih mir!*”⁶² – przesylabizował Rudiak. Zrobił krok przed siebie z zamiarem sprawdzenia, czy to na pewno świeży napis. – Krew. Ten pedał dlatego przeciął sobie żyłę, żeby to napisać. Idiota! Idiota! Ja przez niego...

EPILOG

Badanie próbek pobranych ze ściany na „dołku” potwierdziło, że napis został zrobiony krwią tej samej grupy, która była na posadzce celi i na ostrzu brzytwy znalezionej przy Lukasiu Bieloku. Podczas przesłuchania Bielok przyznał się do rozcięcia naczyń krwionośnych Mirabelli Pohlhoffer i Adama Ficnerskiego. Na inne pytania najpierw zadane przez Grodzkiego i Tarniowego, później powtórzone przez Syskiego, na przykład dotyczącego tego, jak dostał się do domu wójta, nie odpowiedział. Zwiesił głowę i skubał skórki wokół paznokci dłoni. Tłumaczka języka migowego rozłożyła ręce, a innego sposobu przesłuchania niż przy jej pomocy śledczy nie znali. To znaczy jest jeszcze jeden, ale to ostateczność.

– *Sursum corda*⁶³, kolego prokuratorze! – powiedział Ostrouchy do Wojtczaka, pokazując mu, gdzie ma podpisać wniosek do sądu o osadzenie Bieloka w areszcie na co najmniej trzy miesiące. – Chwała bogu, że łapiduchom udało się go odratować. Gdyby zabrał tajemnicę ze sobą do grobu, musielibyśmy umorzyć sprawę. Regionalna za to by nie pobłogosławiła.

– A teraz mają panowie nadzieję na błogosławieństwo – roześmiał się komisarz Syski. – I punkty do premii.

Ostrouchy mrugnął do Wojtczaka, co oznaczało, że policjant się nie myli. Każdy wszędzie oczekuje na pochwałę, a urzędnik żywi się pochwałami.

– W areszcie Bielok nie będzie wtrząchał rarytasów, to i może szybciej zrozumie, że nie z nami takie numery, panie naczelniku – powiedział Ostrouchy, jakby się usprawiedliwiał.

– A jeżeli pomimo braku rarytasów nadal będzie milczał?

– Byłby głupi.

– Bielok to Ślązak z urodzenia. Pani Cecylia uważa, że z niego nie da się nic więcej wydusić.

– To doprowadzimy do procesu poszłakowego. Panów, słowa te kierujemy wspólnie – Ostrouchy pokazał na siebie i Wojtczaka – do pana, komisarzu Syski, i pana podkomisarza Tarniowego, prosimy o zebranie jak najwięcej

materiałów. Teraz nie powinno być problemów. Właściwie te, które już mamy, powinny wystarczyć sądowi, ale od przybytku głowa nie boli. Za to wam płacą.

Profesor Libera porównała treść esemesów wysłanych z telefonów Mirabelli Pohlhoffer i Adama Ficnerskiego. Oba mogły się urodzić w tej samej głowie. Czy na pewno w głowie Lukasa Bieloka, jak Daniel Jung podpowiedział Syskiemu, tego nie była pewna. Wątpliwości zasiał napis na ścianie aresztu policyjnego, wykonany poprawną niemczyzną.

– Dawniej większość kandydatów na doktorów psychologii wybierało rosyjski jako język obcy i z niego zdawało egzamin. Dziś większość kandydatów preferuje angielski, chociaż anglojęzyczni psychologowie niczym specjalnym nie zapisali się w historii tej nauki. Co innego niemieckojęzyczni. Od czasów Melanchtona nic się nie zmieniło. Dlatego wybrałam niemiecki. Mogę powiedzieć, że ten język znam co najmniej dobrze. Niestety, ponieważ nie jestem na liście biegłych sądowych, moja opinia może zostać podważona przez adwokatkę Bieloka. Moi znajomi z Chociebuża twierdzą, że Kinga Moltenthin to adwokatka kuta na cztery nogi. Dlatego ktoś z uprawnieniami powinien zbadać teksty pod względem językowym – podpowiedziała profesor Libera. – Grafolog także by się przydał.

– Z tym nie będzie problemu – zapewnił ją Syski. – Zanim sprawa trafi na wokandę, upłynie dużo wody w Odrze. Znajdziemy kogoś jak nie u nas, to w Niemczech. Teraz ważniejszy jest Daniel Jung.

– Coś z panem Danielem? Rozmawiałam z nim w sobotę właśnie na temat tych zgonów. Miał kilka pytań. Chodziło przede wszystkim jedynie o esemesy. Coś mu się stało, panie komisarzu? Czyżby był w szpitalu? Ale chyba nic poważnego? – Libera wystrzeliła serią pytań.

– Był w szpitalu. Już jest w domu. Wraca do zdrowia pod nadzorem doktora Trzcinki.

– Jednak pan Daniel był w szpitalu – powtórzyła z niedowierzaniem. – Maciek nic mi nie powiedział. Mąż często ma przede mną jakieś tajemnice.

Pewnie jest zazdrosny, pomyślał komisarz.

*

Syski powiedział Jungowi to, co usłyszał i czego był pewny. Nie wszystko, bo tę część, którą sprawdza Araszkiwicz, na razie zatrzymał dla siebie. Zakończył tym, że obaj prokuratorzy mają zamiar umieścić go na liście najważniejszych świadków w procesie Bieloka.

– I Pohlhoffera – dodał Daniel.

– Pohlhoffer stanie przed sądem osobno. W innej sprawie. Także kryminalnej.

Jung zrobił pytającą minę. Nie słyszał o niczym, co się ostatnio wydarzyło z udziałem Pohlhoffera.

– Gdzie i kiedy nawarzył sobie piwa? Dlaczego nic o tym nie wiem? Aha, wtedy, kiedy leżałem w szpitalu...? Kamil o tym nie napisał? Jakaś tajemnica?

– Wyobraź sobie, że Tarniowy, znany ci podkomisarz z Krosna, po twoim odkryciu, że esemesy wysłane z komórek Mirabelli i wójta mają podobną treść, bardziej z obawy o posądzenie zlekceważenia swoich zadań niż z powodu nadgorliwości, wrócił do wypadku w Dąbiu. A właściwie to nie on, a jego szef, *notabene* mój młodszy kolega z uczelni.

– Mówisz o tym, który spowodowała posłanka Carewicz? Byłem wtedy w Jakubinie. Dostałem cynk i pognałem do Dąbia. Zalana w cztery dupy posłanka... Widziałem rozbite auto tamtych i lekko uszkodzoną toyotę posłanki. Carewicz mnie zbluzgała. A twoi koledzy z „drogówki” mieli takiego pietra, że... Odesłali mnie do waszej rzeczniczki.

– Mówię o tym wypadku, który wydarzył się w sobotę poprzedzającą śmierć Mirabelli w Gremplerze. Wtedy Pohlhoffer jechał przez Dąbie białym volkswagenem. Dokąd? Prawdopodobnie w stronę przejścia granicznego i dalej do Niemiec. To jeszcze trzeba wyjaśnić, chociaż pewnie będzie bez znaczenia. Mniej więcej na wysokości sklepów w Dąbiu potracił wsiowego cepa pod wpływem, próbującego przejść przez drogę. Chłopina zmarł zanim przyjechała karetka z Krosna. Ale... – Syski urwał, jakby w tym momencie coś odkrywczego nagle przyszło mu do głowy. Po chwili kontynuował: – I tu Wszechmogący znowu przyszedł nam z pomocą. Białe volkswagen jechał za szybko, a w Dąbiu od dawna obowiązuje ograniczenie prędkości. Dokładnie o siedemnastej dwanaście fotoradar, wprowadzie solarowy, czyli czynny od wschodu do zachodu słońca, jednak jakimś cudem cyknął fotkę. Jeszcze tego samego wieczoru Tarniowy zadzwonił do miejscowej stacji inspekcji transportu. Siedzącemu tam gnojowi nie chciało się przejrzeć monitoringu to zbył policjanta jakąś bajdą. Dopiero dzień

czy dwa później podkomisarz dostał zdjęcie. Poza tym, że volkswagen miał niemieckie blachy, nie doszedł do żadnego sensownego wniosku. Inny na jego miejscu dałby sobie spokój, ale nie Tarniowy. Podkomisarz pojechał do Dąbia. Namierzył tych, którzy widzieli wypadek. Jedni mówili, że to był biały passat, inni twierdzili, że biała insygnia. A jeden zapamiętał arteona w kolorze *milchweiss*. To pierwsze. Czyli szukaj wiatru w polu. Drugie, ważniejsze, ci sprzed sklepu niczego dobrego nie powiedzieli o ofierze. Dwie lewe ręce do roboty, moczymorda, a przy tym dzieciorób. Gdyby nie pięćset plus...

– A nie dodali, że nawet Wszechmogący był bezradny wobec łajdusa i dlatego nie ostrzegł go przed nadjeżdżającym samochodem?

Syski westchnął, po czym pokręcił głową. Miał ochotę ogłosić wniosek, że skoro Daniel zaczyna żartować, to znaczy, że jest z nim coraz lepiej. Zamiast tego powiedział:

– Ze względu na niemożliwość wskazania sprawcy wypadku krośnieński prokurator umorzył śledztwo. Może gdyby ofiarą był ktoś inny... Po twoim odkryciu z esemesami coś nie dawało spokoju Tarniowemu. Właściwie nie tyle jemu, co zastępcy komendanta. Zdjęcie cyknięte przez fotoradar w Dąbiu kazał podrzucić do naszego laboratorium. Jest lepiej wyposażone niż to w Krośnie i w ogóle. Nasi spece podejrzewali, że volkswagen na fotografii to podrasowany passat albo panteon. Wtedy któremuś przyszedł do głowy pomysł, żeby szarpnąć się na Zdrojową, do salonu Volkswagena, i naocznie sprawdzić, do czego jest podobna bryka ze zdjęcia. Wyobraź sobie, że to arteon elegance 2.0 TDI. Najbardziej ekskluzywna wersja passata. – Syski uśmiechnął się szeroko, jakby to on odkrył. – Nie wiem, po co Tarniowy pojechał do Jakubina. Spotkał Żółtowskiego i od niego dowiedział się, że takim autem od niedawna jeździ Pohlhoffer. Dopiero wtedy porównał zdjęcie z fotoradaru z oryginałem. Niestety cyfry na tablicy rejestracyjnej, tej na zdjęciu, były nie za wyraźne, ale dwie pierwsze litery czytelne. „SG”.

– Po uderzeniu tego pijaczyny w Dąbiu, coś musiało zostać na masce.

– Masz rację. Był niezauważalny gołym okiem ślad między kloszem lampy a blachą. I były niteczki z bluzy ofiary.

– Pohlhoffer już o tym wie? Jak zareagował?

– Tarniowy mówi, że odkąd pracuje w pionie kryminalnym, w Krośnie i powiecie nie było tygodnia bez nieboszczyka na drodze, ale jeszcze nie przesłuchiwał sprawcy, który przyznał się do spowodowania wypadku.

Nawet jeśli dowody były bezsporne i sąd uznał winę kierowcy, adwokat każdego z nich zapowiadał odwołanie od wyroku.

– Taka jest rola obrońcy. Za to bierze pieniądze. Im dłużej sprawa się ciągnie, tym więcej trafia do jego kieszeni. Pohlhoffer posiedzi?

– Prawdopodobnie sąd uzna to za wypadek nieumyślny. Gdyby Pohlhoffer się zatrzymał... Za Dąbie dostanie najwyżej czwórkę. Połowę na pewno odpokutuje.

– Bielok dłużej posiedzi.

– Jeśli mu się udowodni trzy morderstwa... Do dwóch się przyznał. A jeśli się potwierdzi, z czym na razie są problemy, że wszystkie były na polecenie...

– Doktora Pohlhoffera? Jego kochanka?

– Jak dobrze wiesz, wszystkie morderstwa są popełniane z dwóch powodów. A: z miłości. B: dla pieniędzy. Pomijam przypadkowe. Rzadko i raczej nie u nas: z zemsty. Tu było: na zabój.

Jung przypomniał sobie opowieść, którą usłyszał latem w Albanii. Tam sięgające średniowiecza rodowe porachunki i honorowe zemsty, ważniejsze niż prawo państwowe, przykazania i zasady religijne, są zabronione, a pomimo tego z powodu *Kanunu*⁶⁴ każdego roku ginie około tysiąca mężczyzn.

– Szkoda ludzi. Mam na myśli tych, którzy dostali robotę w Jakubinie. Pewnie teraz wszystko się rozleci – powiedział.

– Wygląda na to, że niewiele się zmieni. Żółtowski poprowadzi biznes. Pohlhoffer jakby coś czuł, dlatego wcześniej przekazał mu wszystkie kompetencje do zarządzania firmami. Żółtowski został prokurentem.

– Coś takiego czułem, kiedy ostatnio rozmawiałem z Żółtowskim. I wtedy sobie pomyślałem, że to z polisą nie było przypadkowe. Mirabella spodziewała się takiego końca swego żywota. Muszę go odwiedzić – powiedział Jung. – Ale to dopiero po powrocie z Danii.

– Jednak jedziesz? Kiedy?

– To zależy od decyzji lekarzy. W sobotę Miśka wróci z Kopenhagi i wtedy wszystko się wyjaśni.

PODZIĘKOWANIA

Podstawówkę skończyłem w Kostrzynie nad Odrą, gdzie się urodziłem w poniemieckim domu. Maturę zdałem w Chojnie, która krótko była stolicą niemieckiej Nowej Marchii. Dyplom magisterski uzyskałem w Szczecinie, mieście dawniej pomorskim, szwedzkim i niemieckim. Mieszkam w Zielonej Górze, przez Niemców nazywanej Grünbergiem. Tak więc wszystko w moim życiu wiąże się z poniemieckimi, czyli obecnie zachodnią Polską, przez pierwsze lata po drugiej wojnie światowej nazywaną ziemią odzyskanymi albo prastarymi ziemią piastowskimi. Tu jest mój dom i tu będzie moje wieczne miejsce. Mogłem, lecz nie chciałem wyjechać do bardziej centralnej Polski. Zachodnie regiony mnie fascynują, szczególnie ich czeskie, austro-węgierskie i niemieckie (w tym saksońskie i pruskie) dzieje. Dlatego na kartkach swoich książek tak często nawiązuję do prawdziwych lub domniemanych epizodów z historii Śląska i Ziemi Lubuskiej. Nie jestem dyplomowanym historykiem, ale przeszłość bardzo mnie interesuje, szczególnie ta zajmująca się dziejami pogranicza polsko-niemieckiego. Pisząc Majątek czerpałem głównie ze swojego źródła wiadomości, niekiedy jednak, gdy nie byłem pewny lub nie wiedziałem, gdzie znaleźć potwierdzenie tego, co mi chodziło po głowie, o pomoc zwracałem się do przyjaciół i znajomych z uniwersyteckimi dyplomami znawców przeszłości.

Dziękuję kustoszom z działu informacji ksiąźnicy im. Norwida w Zielonej Górze i Janowi Tyrze, z zamiłowania i pasji bibliofilowi w Żarach. Pomogli mi historycy i politolodzy z Uniwersytetu Zielonogórskiego, a szczególnie profesorowie Wiesław Hładkiewicz i Czesław Osękowski, eksperci od relacji polsko-niemieckich w dawnych czasach i współcześnie. Dr Iwona Peryt-Gerasimczuk odpowiadała na moje pytania dotyczące tego, dlaczego dawni właściciele niemieccy nie mogą odzyskać swoich majątków po polskiej stronie Nysy Łużyckiej i Odry. Znawczyni historii i miłośniczka literatury kryminalnej dr Alina Polak-Woźniak korygowała i uzupełniała moją wiedzę o starych czasach na Śląsku. Zawsze mogłem liczyć na podpowiedź pisarza dr. Jana Mielżyńskiego, z zamiłowania myśliwego, popularyzatora łowiectwa z głową.

Swoją wiedzę z zachodniej strony Odry wspierał mnie Gregor Wieczorek, redaktor naczelny tygodnika „Nowy Casnik”, ukazującego się w języku dolnołużyckim w Chociebużu. Sporo o Polakach żyjących w Niemczech dowiedziałem się od Izabeli Duschy. Gdyby nie wsparcie znajomych z kręgów prawniczych, a szczególnie Jana Wojtasika, wykładowcy Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury, pogubiłbym się w gąszczu paragrafów i procedur.

Przepraszam, że nie wszystkie wasze wykłady potraktowałem tak, jak powinienem, żeby być w zgodzie z przepisami. Nie mam wykształcenia prawniczego, dlatego niektóre regulacje umieszczone w kodeksach biorę na chłopski rozum, a i bywa, że uważam je za szkodliwe i niepotrzebne. Za uwagi i podpowiedzi dziękuję przyjaciołom, którzy czytali pierwsze wersje Brzytwy: Marii Wasik i Grażynie Zwolińskiej oraz kolegom po piórze Zbyszkowi Kozłowskiemu i Krzyškowi Koziółkowi.

Dziękuję żonie za cierpliwość i milczenie wtedy, kiedy zachowywałem się w domu nie tak, jak powinien się zachować mąż.

- 1 (niem.) „Kwartalnik Krośnieński” Biuletyn dla byłych mieszkańców miasta i powiatu Krosno Odrzańskie.
- 2 (niem.) Górny Śląsk.
- 3 (niem.) Zielona Góra.
- 4 (niem.) Wielkie Księstwo Poznańskie.
- 5 (niem.) Cesarska Akademia Rycerska w Legnicy.
- 6 (niem.) Wrocław.
- 7 (niem.) Uniwersytet Śląski im. Fryderyka Wilhelma we Wrocławiu.
- 8 (niem.) Fabryka Budowy Mostów i Konstrukcji Stalowych „Beuchelt & Co.”.
- 9 (niem.) Narodowosocjalistyczna Partia Robotników (Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei).
- 10 (niem.) Związek Niemieckich Dziewcząt (Bund Deutscher Mädels), utworzony w 1930 r., działający w ramach Hitlerjugend.
- 11 (niem.) Siły zbrojne III Rzeszy Niemieckiej.
- 12 (niem.) Fabryka amunicji: Towarzystwo Akcyjne „Dynamit Alfred Nobel” Krzystkowice (obecnie Nowogród Bobrzański).
- 13 (niem.) Wolsztyn, Babimost, Wschowa, Sława.
- 14 (niem.) *Białe gołębie*.
- 15 (niem.) *Dunaj błękitny, błękitny*.
- 16 (niem.) Nysa Łużycka.

- 17 (niem.) Kochany.
- 18 (łac.) Nieznajomość prawa szkodzi.
- 19 (niem.) Ty dupku.
- 20 (łac.) Z domu.
- 21 (łac.) Z pierwszego małżeństwa.
- 22 (łac.) Z drugiego małżeństwa.
- 23 (łac.) Z trzeciego małżeństwa.
- 24 (niem.) Powiernictwo Pruskie, spółka komandytowo-akcyjna powstała w 2000 r. w Düsseldorfie.
- 25 (niem.) Ziomkostwo Prus Wschodnich utworzone w 1948 r. w Hamburgu.
- 26 (łac.) Prawo nie działa wstecz.
- 27 (łac.) Twarde prawo, ale prawo.
- 28 (niem.) Prusy Wschodnie.
- 29 (niem.) Na pamiątkę mieszkańcom Jakubina, którzy zmarli przed 1945 rokiem.
- 30 (ang.) Światowa Organizacja Zdrowia – World Health Organization.

- 31 (łac.) Kto milczy, nie przyznaje wprawdzie, lecz jednak prawdą jest,
że nie przeczy.
- 32 (niem.) Biały mleczny.
- 33 (wł.) Na poczet.
- 34 (śl.) Babcia.
- 35 (śl.) Potrawa z ziemniaków i kapusty.
- 36 (śl.) Kluski śląskie.
- 37 (śl.) Coś dobrego jedzenia.
- 38 (śl.) Kromka chleba.
- 39 (śl.) Dziadek.
- 40 (śl.) Królik.
- 41 (śl.) Gotować.
- 42 (łac.) Idźcie, ofiara spełniona.
- 43 (łac.) Głos ludu.
- 44 (niem.) Łużycka Szkoła Sportowa.
- 45 (łuż.) Dziękuję ci. Jak zawsze przyjechałeś z najpiękniejszymi kwiatami. Wiesz,
co najbardziej lubię.
- 46 (łuż.) Chleb, miasto, ulica, gazeta, tygodnik, obiad, grupa, język.
- 47 (łuż.) Kwiat, bukiet.
- 48 (łuż.) Ja cię pierdolę.
- 49 (niem.) Pani.
- 50 (niem.) Pan.
- 51 Wieża Grodkowska w Chociebużu, zbudowana w 1823 roku, będąca symbolem
stolicy Dolnych Łużyc.
- 52 (niem.) Gość, odwiedzający.
- 53 (niem.) Pieniądz nie zna przyjaźni.
- 54 (niem.) Pieniądze nie śmierdzą, panie Pohlhoffer.
- 55 (niem.) *Trzydzieści trzy minuty w Zielonej Górze albo w połowie drogi.*
- 56 (czes.) Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle.
- 57 (wł.) Splamiony. Espresso z małą ilością spienionego mleka.
- 58 Stadion w Düsseldorfie, po przebudowie od 2002 r. nazywa się LTU Arena
- 59 (niem.) Bundeskriminalamt – niemiecki federalny urząd kryminalny policji.
- 60 (łac.) Złamanie skośne.
- 61 (łac.) Złamanie powikłane.
- 62 (niem.) Kocham cię, Wolf. Wybacz mi!
- 63 (łac.) W górę serca.
- 64 (alb.) Kodeks albańskiego prawa zwyczajowego (z Wikipedii).